

Dara Horn  
Lepszy świat  
Przełożyła z angielskiego Urszula Gardner  
Wydawnictwo „Książnica”  
Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału The World to Come  
Opracowanie graficzne Marek J. Piwko  
Zdjęcie na okładce Copyright © Lise Gagne Copyright © Paul Piebing  
Konsultacja judaistyczna doktor Zofia Borzymińska  
Cytaty ze Starego Testamentu podano za Biblią Tysiąclecia.  
Fragment autobiografii Marka Chagalla pt. "Moje życie" w przekładzie Jolanty Sell  
Fragmenty utworu Mordechaja Gebirtiga pt. Rejzele  
w przekładzie Jerzego Ficowskiego  
Fragmenty utworów Maniego Lejba Jingł cingł chwat  
oraz Icyka Mangera Chawe un der epelbojm  
przełożył z angielskiego Robert J. Szmidt  
Copyright © 2006 by Dara Horn Wszelkie prawa zastrzeżone  
For the Polish translation Copyright © by Urszula Gardner  
For the Polish edition  
Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”  
Katowice 2007  
ISBN 978-83-7132-991-3

[www.najlepszyPrezent.Pl](http://www.najlepszyPrezent.Pl)  
TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA  
Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:  
[sklep@NajlepszyPrezent.pl](mailto:sklep@NajlepszyPrezent.pl) +48 61 652 92 60 +48 61 652 92 00  
Publicat SA, ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań  
książki szybko i przez całą dobę • łatwa obsługa • pełna oferta • promocje.

#### Opis z okładki.

Wart milion dolarów obraz Marka Chagalla ginie z jednego z nowojorskich muzeów podczas wieczorku dla samotnych serc. Nikt nawet nie podejrzewa, że sprawcą kradzieży jest Benjamin Zyskind - niegdyś cudowne dziecko, obecnie układający pytania do teleturniejów samotnik - przekonany, że ten sam obraz wisiał na ścianie salonu w jego domu rodzinnym. Ben robi co może, by uniknąć konfrontacji z policją, równocześnie starając się rozwikłać zagadkę obrazu, który skrywa nie tylko historię jego rodziny, ale i tajemnicę niezwyklej przyjaźni dwóch wielkich artystów: Marka Chagalla i Der Nistera.

Zadziwiający kolaż historii, mistyki, teologii, romansu i kryminału. Dzieło godne mistrza pióra, skrzące się od mądrości i tajemnicy.

Booklist.

Podobnie jak obrazy Chagalla, tak i powieść Dara Horn jest głęboko osadzona w rosyjsko żydowskim folklorze. Jest ona nie tylko ciepła i zabawna, ale również przesycona melancholią towarzyszącą historii dziewiętnasto i dwudziestowiecznej kultury żydowskiej.

Dara Horn.

Urodzona w 1977 r. amerykańska powieściopisarka i publicystka. Studiowała na Harvardzie i w Cambridge. Obroniła pracę doktorską z literatury hebrajskiej i jidysz. Zadebiutowała w roku 2003

powieścią In the Image, którą zarówno krytycy, jak i czytelnicy przyjęli entuzjastycznie. Wydany w 2006 r. Lepszy świat już został uhonorowany wieloma nagrodami i przełożony na dziesięć języków. pisarka mieszka z mężem i córką w Nowym Jorku.  
ISBN 978-83-7132-991-3

Książkę tę dedykuję swemu rodzeństwu:  
Jordanie, Zachary'emu i Ariel,  
moim pokrewnym duszom  
we wszystkich możliwych światach.

## Rozdział Pierwszy.

Dawno minęły czasy, kiedy Zyskindowie nie stanowiliby wyjątku; kiedy świat pękał w szwach od rodzin, których wszyscy członkowie byli sobie tak bliscy, że nie dało się powiedzieć, gdzie się kończy życie jednego i zaczyna życie drugiego człowieka. Oczywiście wciąż się zdarzają relikty przeszłości - zepchnięte na swoisty margines społeczeństwa, nic dziwnego więc, iż romantyczne w swej wymowie przekonanie, że rodzina jest centrum wszechświata, zostało wśród nich zastąpione nowocześniejszym i wygodniejszym poglądem, iż nikt i nic, co do rodziny nie należy, nie ma najmniejszego znaczenia.

Benjamin Zyskind odnosił ostatnimi czasy wrażenie, że cały świat nie ma znaczenia. Czuł się tak, jakby był jedynym żyjącym przedstawicielem ludzkości, stąpającym po wielkim cmentarzysku, i w którąkolwiek stronę się zwrócił, widział zmarłych. Wcześniej, kiedy jeszcze żyli jego rodzice, myślał o nich tylko wtedy, gdy miało to sens: podczas rozmowy z nimi albo w trakcie rozmowy o nich bądź też snując plany w jakiś sposób z nimi związane. Teraz wszakże towarzyszyli mu nieustannie, na każdym kroku przypominając o swej obecności. Kiedy szedł ulicą, widział ich przed sobą, zawsze od tyłu albo jak właśnie znikają za rogiem; kiedy popołudniowym szczytem siedział w taksówce, w samochodzie jadącym tuż obok dostrzegał sylwetkę ojca, który jednak nieodmiennie patrzył w przeciwną stronę; czasem w niedzielny poranek mignęła mu matka - w grobie od pół roku, choć Benjaminowi wydawało

7

się niemożliwe, by od jej śmierci upłynęło aż sześć miesięcy - i zaraz, jeszcze nim zdążył wyraźnie dostrzec jej twarz, kryła się w jakiejś bramie czy zaułku. Spokoju ducha Ben zaznawał wyłącznie w swoim biurze, i to tylko wtedy gdy zamknął za sobą drzwi.

W pracy zajmował się układaniem pytań do teleturnieju „Amerykański geniusz”. Robił to od siedmiu długich lat i powoli przygasła fascynacja, którą odczuwał w początkach swojej kariery. A przecież zwykł był przechwalać się wszem wobec, że jest z telewizji, i sypał wymyślnymi pytaniami jak z rękawa, czerpiąc satysfakcję za każdym razem, kiedy to za jego przyczyną poległ kolejny zawodnik. W głębi ducha marzył, by samemu poprowadzić program, i nie liczyło się dlań to, że jest mizernej postury (mierzył niespełna metr siedemdziesiąt w kapeluszu przy wadze sześćdziesięciu kilogramów) ani że mówi nieciekawym głosem i ledwie widzi bez okularów o szklach grubych jak denka od butelek. Mimo że raz w tygodniu zasiadał przed telewizorem, nawet mu nie zaświtało, iż większość widzów teleturnieju stanowią gospodynie domowe, omdlewające nie z powodu wyżyn intelektualnych, lecz na myśl o spotkaniu oko w oko z Morganem Finneganem, profesjonalnym konferansjerem rodem z Teksasu, przystojniakiem, który na ekranie błyszczał dowcipem, charme'em i chyba jeszcze swą bujną rudą czupryną, bo z pewnością nie inteligencją. Wszelako Ben, choć niedawno stuknęła mu trzydziestka, wciąż ufał zasadom logiki. Skoro to on jest najbystrzejszy z całego zespołu, prędzej czy później czeka go upragniona nagroda... Tymczasem wyspecjalizował się w pytaniach z najwyższej półki, na które potrafili odpowiedzieć prawdziwi mistrzowie, a i to nie zawsze. Jednym słowem Benjamin Zyskind układał pytania warte

tysiąc i więcej dolarów, a przynajmniej tak było dotychczas. Kilka miesięcy temu po raz pierwszy odrzucono jego wymyśloną w pocie czoła propozycję i od tego czasu zdarzało się to coraz częściej, tak że ostatnio kłębiły mu się w głowie pytania służbowe poplątane z osobistymi:

Jaki uznany rosyjski pisarz pochodzenia żydowskiego został stracony w 1950 roku na podstawie fałszywego oskarżenia o zdradę?

8

Ile razy Nina skłamała mówiąc, że mnie kocha?

Gdzie dokładnie w Wietnamie stoczono bitwę, której sukces natchnął Pentagon, by w 1965 roku rzucić do walki kolejne tysiące żołnierzy?

Przez ile miesięcy spośród żalosnych jedenastu, przez które byliśmy małżeństwem, Nina sypiała z innymi mężczyznami?

Jaka jest przybliżona liczba amerykańskich żołnierzy, którzy utracili członki w walkach toczonych po zakończeniu drugiej wojny światowej?

Jaki procent dorosłych mężczyzn mających siostrę bliźniaczkę jest o nią zazdrosny tak jak ja o Sarę?

Jeśli Sara sprzeda dom po rodzicach, czy cokolwiek po nich zostanie?

Jak się dowiedzieć, czy moi rodzice są mną rozczarowani czy też nie, skoro oboje nie żyją?

Oczywiście Ben nawet nie próbował odpowiadać na te pytania. W minionych miesiącach starał się raczej skoncentrować na tym, co pozostało mu z życia: na żalostnej pracy, siostrze bliźniacze, mieszkaniu ogołoconym przez pazerną byłą żonę i kupce książeczek dla dzieci, autorstwa jego matki. No i od wczoraj - na wartym milion dolarów obrazie Marka Chagalla.

Wszystkiemu była winna Sara. To ona namówiła go, żeby udał się do muzeum, gdzie przy okazji wystawy zorganizowano także wieczorek dla samotnych serc. Odkąd się rozwiódł, nieustannie wierciła mu dziurę w brzuchu, aby opuścił swoją skorupę i postarał się poznać kogoś nowego - nazywała to dawaniem losowi szansy. Stara dobra Sara, wieczna idealistka, a zarazem twardo stąpająca po ziemi kobieta, która przytomnie zdążyła wyjść za mąż, nim umarła matka (ślub odbył się w szpitalu, w prywatnym pokoju pani Zyskind), i wyjątkowo szybko, niejako za jednym zamachem, pozbierała się po szoku zamążpójścia i utraty rodzicielki w dwa tygodnie później. Ben na rzuconą niby mimochodem propozycję wzruszył ramionami, ale uległ, z doświadczenia wiedząc, że na nic się nie zdadzą jego protesty ani wyjaśnienia, iż wszelkie próby

9

szukania szczęścia są w jego wypadku z góry skazane na niepowodzenie.

Ledwie przekroczył obwarowany wykrywaczami metalu próg galerii, zorientował się, że wystawa zatytułowana „Rosyjskie lata Marka Chagalla” przyciągnęła również duchy. Gdziekolwiek zwrócił wzrok, wśród gęstego tłumu widział swoich rodziców i nie miało znaczenia, że większość zwiedzających stanowili ludzie młodzi. Śmierć igra z czasem i umarli ukazują się żywym w każdej zapamiętanej przez nich postaci, na każdym etapie życia, w każdym wieku - a zarazem równie bezwiewowi jak bezcieleśni. Kiedy Ben spoglądał na czubek głowy stojącej przed nim kobiety, dziewczyny prawie, z trudem zwalczał impuls, by nie obejść jej dokoła i nie spojrzeć prosto w twarz, bojąc się uczucia ulgi, która by go ogarnęła na widok nieznanym rysów. Postanowił raczej skupić się na sztuce.

Opuścił zwarty tłum kłębiący się pośrodku sali wystawowej, ociążałym krokiem przesuwając się ku ścianom, i przystanął na wprost olbrzymiego płótna zatytułowanego - musiał się nachylić, by odczytać napis - „Promenada”. Na pierwszym planie widniał kroczący pewnie mężczyzna, z jedną ręką opuszczoną wzdłuż boku (w niej trzymał małego ptaszka), z drugą zaś uniesioną do góry (do tej uczepiona była kobieta, powiewająca w powietrzu niczym flaga na maszcie; efekt ruchu potęgowała, zda się trzepocząca na wietrze, karmazynowa suknia). Następny obraz - „Nad miastem” - ukazywał być może tę samą parę wzlatującą w niebo (mężczyzna miał na sobie zieloną koszulę, kobieta zaś niebieską suknię, spod której na wysokości kostek u nóg wystawała koronkowa halka); wznosili się na tle bieli, jak gdyby władcy przestworzy jeszcze nie zdecydowali, czym

zapełnić pustkę. Przez ułamek sekundy Ben żałował, że nie potrafi latać... Odwrócił się, by bardziej tradycyjnym sposobem opuścić galerię, i w tej samej chwili usłyszał:

- A pan, panie Zyskind?

Rozejrzał się wokół, zaskoczony. Czyżby nawet tutaj kręcił się ktoś z telewizji, kto go znał?

Przyjrzał się trzem kobietom, które go osaczyły pod obrazem fruującej pary, i z westchnieniem ulgi

10

skonstatował, iż wszyscy obecni - on także

- mają przypięte kartoniki z nazwiskiem. Niemniej znalazł się w pułapce.

Prześladowniczo roześmiały się i Ben był zmuszony się uśmiechnąć. W końcu teoretycznie z własnej woli przyszedł na wieczorek samotnych serc, Rzucił okiem na identyfikator pierwszej z brzegu, tej, która go zaczepiła. „Erika Frank, personel muzeum” - przeczytał i zaraz pomyślał, że pewnie wysłano ją tu na wabia. Była najładniejsza spośród całej trójki; nieco niższa od Bena, z zaokrąglonymi biodrami, włosami sięgającymi niemal pasa oraz (nie mógł tego nie zauważyć, mimo że było mu bardzo wstyd) gładkim, lekko opalonym ciałem wyzierającym zza opiętej do granic błękitnej bluzeczki. Uważnie przypatrywała mu się dużymi szmaragdowymi oczyma. Wyobraził sobie nawet, co nimi widzi: niskiego, chudego, niewartego zachodu samotnika, i natychmiast wróciły doń wspomnienia. Ninę poznał na podobnym przyjęciu jakieś dwa lata temu. Był wówczas bardziej pewny siebie, miał więcej optymizmu. Opowiedział właśnie dowcip, nie najlepszy

- prawdę mówiąc zupełnie okropny i ani trochę śmieszny

- i Nina się roześmiała, co Bena zbiło z tropu. Nawet wtedy bowiem ludzie częściej śmiali się z niego niż razem z nim. Z mety się w niej zakochał i byłby oświadczył tak jak stał. Kiedy przed paroma miesiącami nie wróciła z pracy do domu, pierwsze co przyszło mu na myśl, to że jego żona została porwana.

Tymczasem Erika Fjank wyjaśniała:

- Rozmawialiśmy o językach obcych w muzealnictwie... Czy zna pan jakiś obcy język, panie Zyskind?

Ben nie był w nastroju do czczych pogawędek, ale podjął wysiłek przypomniawszy sobie błagalną minę Sary i nietajoną troskę w jej oczach. Zresztą rzeczywiście mówił w kilku obcych językach, na potrzeby chwili wybrał jednak taki, po którym się spodziewał, że utnie rozmowę w pół słowa.

- Owszem, jidysz - oznajmił i od razu tego pożałował. Moment później zlorzeczył sobie w duchu na całego, gdyż

należąca do personelu muzeum Erika Frank okazała zainteresowanie.

11

- Jeju! Nie miałam pojęcia, że ktoś jeszcze zna jidysz! - wykrzyknęła wpatrując się w Bena, jakby był rzadkim eksponatem. Chciał jej odpowiedzieć, że taki już z niego dziwak, skamielina, wyrzutek pokoleń, pozostałość po dawno zapomnianym świecie, i dodać, że kiedy już się na niego napatrzą i powzdychają, chętnie poszedłby do domu, jednakże dobre wychowanie wzbraniało mu tego zrobić.

- Ale po co... To jest, chciałam zapytać, gdzie się pan nauczył? Od dziadków?

Ben popatrzył po zafascynowanych twarzach, czując się jak gwałciciel przed ławą przysięgłych złożoną z samych kobiet.

- Nie, nie od dziadków - odparł sucho. - Od ojca. Erika nie spuszczała z niego wzroku, machinalnie bawiąc

się kosmykiem złotych włosów. Przez ułamek sekundy czuł nadzieję, która wszakże prędko zgasła, kiedy przypomniał sobie, co nastąpi dalej. Po raz drugi pożałował, że nie potrafi latać, gdyż w położeniu, w jakim się znalazł, podskoczyć i wzbić się ponad głowami słuchaczek było jego jedyną szansą na wolność.

- I często rozmawiacie ze sobą w jidysz? - drażyła Erika.

- Niezbyt często, zwłaszcza że ojciec nie żyje od prawie dwudziestu lat...

Oczywiście nie chciał, żeby to tak wyszło, ale po fakcie nawet się ucieszył. Dziwną satysfakcję sprawiło mu, kiedy uśmiech spełził z ich twarzy niczym źle przymocowana maska. Powietrze pomiędzy nimi zawirowało, powstał jakby przeciąg, na którym zawisło obszerne i całkowicie gładkie płótno. Dziewiczo czyste.

- Och, przepraszam - wydukała Erika.

Wszyscy czworo wbili wzrok w podłogę na przepisowe siedem sekund - rytuał dobrze znany każdemu, kto wcześniej stracił rodziców. Ben odliczał w duchu: jeden, dwa, trzy... czekając, aż ktoś wreszcie zmieni temat. Dawno minęły czasy, kiedy czuł się zażenowany udzieliwszy informacji o śmierci ojca, i nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek ktoś zdoła go wprawić w związku z tym w pomieszczenie. Tymczasem tak właśnie się stało. Z irytacją pomyślał, że to gorsze od czekania na

winę - cóż sensownego można zrobić w ciągu tych paru czy parunastu sekund! Przypomniało mu się, że Sara zapowiedziała się z wizytą tego wieczoru, obiecując, iż nie poruszy tematu sprzedaży domu po rodzicach. W takim razie o czym będziemy rozmawiać? zastanawiał się Ben w milczeniu.

- W jidysz najbardziej uderzające jest to - ciszę znowu przerwała Erika - jak wiele jest w nim humoru.

Jej uśmiech, tak obiecujący jeszcze przed chwilą, zaczął przyprawiać Bena o mdłości.

- Ot, tyle co w każdym innym języku - bąknął pod nosem.

W duchu zaś dodał: To, co w jidysz jest naprawdę najbardziej uderzające, a o czym nie macie pojęcia, gdyż Woody Allen zapomniał to ująć w scenariuszu, jest świat zmarłych weń wpisany, szczerą bojaźń przed Bogiem, nieomal automatyczna potrzeba odwoływania się do imienia Boskiego w każdej sytuacji, ufność, że lepszy świat nie jest samoistnym bytem, lecz wynika z tu i teraz na tym padole, i pewność, że Wszechmogący jest na wyciągnięcie ręki, tyle że nie każdy zdaje sobie z tego sprawę. Zachował jednak te myśli dla siebie i tylko zerknął na Erikę, po czym spuścił oczy i wbił wzrok we własne stopy. Po dłuższej chwili dotarło do niego, że przebijając się w pośpiechu pomiędzy pracą a wyjściem z domu włożył dwa różne buty.

- Bardzo panie przepraszam - rzekł, po czym rozerwał okrażający go pierścień i dał nura w tłum gości.

Przedarł się na drugą stronę i wzdłuż ściany ruszył w kierunku wyjścia, po drodze przyglądając się obrazom, które niczym okna panoramiczne otwierały się na inne światy. Ben nie poświęcał wiele uwagi płótnom przedstawiającym kanciaste postacie w stylu wczesnego kubizmu czy dziwaczne jaskrawe wnętrza a la Matisse; jego zdaniem były wymęczone i wtórne. Zainteresowanie okazał dopiero wtedy, gdy wśród barw i kształtów dostrzegł ruch, a konkretnie latanie. Unosiły się chmury, anioły, kozły, wypowiedziane przez ludzi słowa, a wreszcie sami ludzie: kobiety i mężczyźni, którzy wyglądali, jakby powietrze było ich naturalnym żywiołem. W skleconym

13

naprędce prywatnym rankingu Bena obraz był tym lepszy, im więcej ruchu go ożywiało, im więcej przedmiotów i postaci szybowało na tle nieba. Również przelotnie jego myśli zajmowała Erika Frank; zastanawiał się nawet, czyby jej nie odnaleźć, ale odważył się tylko rozejrzeć w poszukiwaniu jej twarzy. Gdy nigdzie jej nie zobaczył, poczuł się rozczarowany, co zdziwiło jego samego. Patrzył na wiszące przed nim płótno tak długo, aż wzrok mu się zamglił i widział jedną białą plamę. Do rzeczywistości przywołał go tubalny głos strażnika, który przyłożywszy dłonie do ust, ryknął:

- Zapraszamy na dół! Za pięć minut zacznie grać orkiestra.

Orkiestra? A jednak Sara nie wie wszystkiego, pomyślał. Gdyby wiedziała, że na wieczorku będzie muzyka, a może nawet i tańce, nigdy by go nie zmuszała, aby tutaj przyszedł - żaloba po ich matce jeszcze nie dobiegła końca. W pierwszej chwili poczuł przypływ paniki, zaraz jednak się uspokoił i pozwalając rozchichotanemu tłumowi płynąć koło siebie, z ulgą stwierdził, że oto ma doskonałą wymówkę, by cichcem się ulotnić, o czym marzył, niemal odkąd się tu znalazł. Odczekał, aż sala opustoszeje, i kiedy był sam jak palec, ruszył w przeciwną stronę. Nagle z którychś drzwi wyjrzała

kobieca głowa, otoczona chmurą jasnych włosów. Erika Frank.

- Idzie pan na dół? - spytała.

Uśmiechała się do niego, mimo że wcześniej odbyli tę krepującą rozmowę. Czyżby już o niej zapomniała? Nie, stwierdził w duchu Ben. Teraz jej uśmiech był inny: poważniejszy, przebieglejszy, jakby porozumiewawczy. Jak gdyby zrzuciła maskę i objawiła mu prawdziwą siebie, przebaczącą... A może się z niego śmiała? Ben próbował powiedzieć coś, co by ją zatrzymało chwilę dłużej; był rozpaczliwie ciekaw, co ona naprawdę o nim myśli, jednakże nie potrafił znaleźć właściwych słów.

- Za momencik - rzekł więc, szczerze żałując, że nie może dołączyć do reszty towarzystwa bawiącego się na dole. Niepotrzebnie, jak się okazało.

- Ja nie mogę zostać - usłyszał. Chciałby się oczywiście dowiedzieć, dlaczego nie, ale nie dostał szansy. Erika pomachała mu

14

i już na powrót zniknęła za drzwiami z tabliczką „Tylko dla personelu”, mówiąc: - Dobrej zabawy! Przez krótką chwilę wyglądała jak jeszcze jeden obraz: powiewające długie złociste włosy obramowane futryną drzwi. Sekundę później w tym samym miejscu była tylko biel. Ben poczuł ucisk w dołku. Powiódł wzrokiem po opustoszałej galerii, myśląc: No, Saro... Próbowałem, tego nie możesz mi odmówić. Okręcił się na pięcie, chcąc jak najszybciej się stamtąd wydostać, i... zamarł. Wśród serii niewielkich obrazów wiszących gęsto na najbliższej ścianie dostrzegł bowiem coś, co przykuło jego wzrok. Zobaczył ośnieżoną ulicę, wzdłuż której ciągnął się niski płótek i rząd zapadających się domków o spadzistych dachach odbijających światło we wszystkich kierunkach. Na pierwszym planie widniał brodaty mężczyzna w czapce, z laską i tobołkiem, unoszący się nad ulicą i domami, lecz nie zdający sobie z tego sprawy, o ile można wnioskować z jego niewyraźnego profilu. Obrazek był malutki, mniej więcej wielkości kartki wyrwanej ze szkolnego zeszytu, i opisany jako wypożyczony z jakiegoś muzeum w Rosji, pochodzący z 1914 roku szkic do płótna „Nad Witebskiem”. Ta informacja zaintrygowała Bena, bo choć z racji zawodu znał wiele ciekawostek, także dotyczących historii malarstwa, nigdy nie słyszał tego tytułu. Dla niego był to po prostu obrazek, który wisiał na poczesnym miejscu nad pianinem w domu jego rodziców. Stojąc bez ruchu wpatrywał się w mężczyznę frunącego po późnojesiennym lub zimowym wieczornym niebie i wspominał wszystkie te chłodne wieczory sprzed lat, które on i Sara spędzali z ojcem. W podobnej scenerii na przełomie października i listopada w trójkę przemierzali dzielnicę, by popisami i udawanymi groźbami wyłudzić od sąsiadów słodycze i drobniaki z okazji święta Halloween. Na przemian dźwigali za ciężkie dla nich składane reżyserskie krzesło, na którym ojciec przysiadawał, kiedy się zmęczył, co praktycznie oznaczało dłuższy postój przy każdym nawiedzonym domu. Im robiło się później, tym wolniej szedł Ben, nieświadomie naśladując kuśtykanie ojca; ciągnął za sobą prawą nogę, niby dla frajdy z hałasu, jaki przy tym czynił (chodniki były zasłane spadłymi

15

liśćmi), naprawdę zaś dlatego, że tylko pod osłoną nocy, gdy niebo wisiało nisko nad nimi niczym ciężka granatowa pierzyna podtrzymywana ogołoconymi z listowia gałęziami, odważał się imitować sposób poruszania się ojca: lewa noga, kule, chroma noga, lewa noga, kule, chroma noga, lewa noga, kule, chroma noga... ten odwieczny czworostopy marsz, jaki pamiętał od wczesnego dzieciństwa. Teraz pomyślał, że ojciec pewnie także zawsze marzył o tym, by oderwać się od ziemi i pofrunąć.

Ben zbliżył nos do ściany i chłonał obrazek całym sobą. Ostatni raz widział go przed piętnastu laty, chociaż oczywiście to nie mógł być ten sam obrazek. Artyści znani są z tego, że malują w kółko to samo, pomyślał. Najlepszym przykładem malarskiego roztrzepania była jego siostra Sara, nie zawsze mająca czas i głowę, by zrobić porządek w mieszkaniu i zmyć ślady farb z mebli.

Uderzające podobieństwo musiało być złudzeniem, podobnie jak ludzie przypominający jego rodziców, ludzi, których ostatnio spotykał na każdym kroku tylko dlatego, że tak bardzo tęsknił za

matką i ojcem, a może pamięć po prostu splątała mu figła.

Wzruszywszy ramionami, wypuścił długo wstrzymywane powietrze i już miał wyjść z galerii na dobre, gdy jego wzrok padł na prawy dolny róg obrazu. Mały fragment połyskiwał, to znów wydawał się srebrzysty w świetle silnych jarzeniowych lamp - w tym samym miejscu siedmioletnia Sara postanowiła spróbować swych sił i talentu i nałożyła odrobinę bezbarwnego lakieru do paznokci. Niewykluczone, że chciała nim pokryć cały obrazek, ale na szczęście rodzice ją przyłapali na gorącym uczynku i odebrali córce narzędzie zbrodni. Uświadomiwszy sobie implikacje tego, co widzi, Ben zatrzęsł się z oburzenia.

Uważnie przeczytał tabliczkę informacyjną. „Szkic do obrazu "Nad Witebskiem" - własność muzeum w...” Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Ben wyciągnął ręce w stronę obrazu, gotów pochwycić ramę niczym poręcz albo szczebel drabiny. W tym samym czasie wyobrażał sobie, że zbliża się do ściany, wnika w płótno i unosi się coraz wyżej i wyżej... Otrzeźwiało go, gdy kątem oka dostrzegł wyciągnięte

16

przed siebie niczym szpony rozczapierzone palce. Szybko opuścił ręce wzdłuż tułowia i rozejrzał się ukradkiem, czy ktoś go obserwuje.

W pobliżu nie było nikogo, nawet pochrapującego starego strażnika.

Dziwne rzeczy dzieją się z obrazami, na które nikt nie patrzy. Zaczynają śpiewać. Kiedy z galerii wychodzi ostatni człowiek, rozbrzmiewa muzyka barw. Ben stał jak zaczarowany i przysłuchiwał się, jak każdy kolor rezonuje inną nutą. Czerwień wyciągała wysokie tony, błękit niskie i głuche. Mały obrazek, na którym skupiony był wzrok Bena, włączył się z cichymi akordami przypominającymi uderzenia w klawisze pianina, którego grę Ben zapamiętał z domu rodzinnego. On mnie przyzywa, pomyślał Ben podchodząc jeszcze bliżej. Spinając się jak do skoku i używając całej swojej siły uchwycił ramę i oderwał ją od ściany, niemal tracąc przy tym równowagę - tak lekki był obraz.

Później wyszedł z muzeum jak gdyby nigdy nic.

## Rozdział Drugi.

Borys Kulbak przebywał w podmoskiewskiej kolonii dla żydowskich sierot wojennych od trzech miesięcy. Był rok 1920. Choć Borys miał już skończone dziesięć lat, to gdyby ktoś go poprosił, by opowiedział o swym dotychczasowym życiu, niewiele by umiał rzec. Pamiętał właściwie tylko jedno wydarzenie. Dawno, dawno temu w miasteczku, w którym mieszkał, pewnego dnia - a był to piękny wiosenny dzień, taki co to przynosi delikatną bryzę i ziemia zaczyna tajać pod stopami, tak że człowiekowi wydaje się, że nie idzie, lecz płynie w powietrzu, zupełnie pozbawiony ciężaru - więc tego właśnie pięknego wiosennego dnia, gdy tak unosił się nad ulicą miasteczka, widział grupę chłopców okładających kijami konia. Była to stara klacz ze złamaną prawą przednią nogą; dostrzegł ją na moment przed tym, nim otoczyły ją zawzięte wyrostki. Obserwował, jak się zbliżają wymachując kijami, które zapewne jeszcze niedawno służyły im do zabawy, i jak na widok bezbronnego zwierzęcia zmieniają im się twarze. Cmokali uspokajająco, jak gdyby biedna szkapka mogła im umknąć, lecz wkrótce padł pierwszy cios. Rozległo się przeciągłe, pełne cierpienia rżenie. Jakby tym zachęceni, chłopcy zaczęli okładać boki i łeb zwierzęcia potężnymi razami. Któryś z nich trafił w oko i trysnęła krew. To podnieciło ich jeszcze bardziej, posypały się kolejne ciosy, którym towarzyszyły krzyki i śmiech. Borys, z początku zafascynowany spektaklem do tego stopnia, że stał jak przymurowany, w końcu odwrócił

18

wzrok. Kiedy teraz próbował sobie przypomnieć, co wtedy takiego poczuł, mgliście pamiętał zdenerwowanie i wstyd, ale już nie umiałby powiedzieć, z jakiego powodu był zdenerwowany czy zawstydzony.

Większość osieroconych dzieci trafiła do kolonii wraz z rodzeństwem, tak więc wszędzie wokół

roilo się od par, trójek czy wręcz małych grupek, w których trzymali się bracia i kuzyni. Na ogół im byli liczniejsi, tym podlej się zachowywali, wykluczając z zabaw każdego, kto nie był z nimi spokrewniony, a czasami nawet dręcząc osamotnionego biedaka, niemniej Borys im zazdrościł. Zresztą nie tylko im; chętnie by się zamienił na rolę z kolegą, który miał choćby młodszą siostrę. Dziewczynki mieszały w położonym nieopodal małym domku i często przychodziły z odwiedzinami, wszystkie w mniej więcej tym samym wieku, gdyż te, które ukończyły dwanaście lat, przebywały razem z rodzicami w świecie, który właśnie przestał istnieć. Zapytany Borys odpowiadał, że nigdy nie miał braci ani sióstr, że zawsze był jedynakiem - choć nie była to do końca prawda. Gdy wyteżył pamięć, przypominał sobie mgliście

- czyż to nie dziwna sprawa ze wspomnieniami, że nie sposób ich pochwycić, podobnie jak pasma mgły w powietrzu

- że dawno, dawno temu w domu pojawił się mały braciszek, który wszakże zapadł na płuca, jeszcze zanim nauczył się chodzić, i przekaszła całe lato i jesień, a także znaczną część zimy, aż pewnej przejmującej ziąbem nocy nieustający charkot ucichł, a cisza powstała w jego miejsce tak zdumiała wszystkich, że upłynęła długa chwila, nim mrok rozjaśniony tylko słabym płomykiem świecy rozdarł przeraźliwy szloch matki. A później jeszcze Borys miał mieć drugiego braciszka - albo siostrzyczkę, chociaż oczywiście wolałby braciszka. Nigdy się go jednak nie doczekał i nie zyskał nawet pewności, czy to był faktycznie braciszek, wyrwany z rozprutego kindzalem brzucha matki i szybujący w nocnym powietrzu, przez strzaskaną szybę okna sypialni, w pomrokę na zewnątrz, podczas gdy on sam leżał rozciągnięty na małżeńskim łóżku swoich rodziców, z rękoma przytroczonymi do kolumnienek wezgłowia i ustami zakneblowanymi bielizną zerwaną z matki, a z pokoju obok

19

dobiegało przedśmiertne rżenie jego ojca. Ułamek sekundy po tym, jak został skępowany i unieruchomiony, a chwilę zanim zdzielono go pałką w czoło z zamiarem odebrania mu życia, widział swego niedoszłego brata czy niedoszłą siostrę, z w pełni uformowaną główką i kończynami, kurczącymi się i rozprostowującymi, mokrymi od śluzu, wody i krwi, i z maleńką twarzyczką, do której sięgała maleńka rączka, by w usteczkach ukryć maleńki kciuk.

Później zapadła ciemność. Nadeszły miesiące, w czasie których Borys błąkał się po mieście, kradł żywność, pieniądze, cokolwiek było do ukradzenia, sypiał w stajniach, wprost na bruku, gdziekolwiek, i żeby utrzymać się przy życiu, nie raz wyjadał resztki walcząc o nie ze zdziczałymi psami. Dołączył do grupki chłopców, których znał jeszcze ze szkoły, z czasów kiedy istniało coś takiego jak szkoła. Już wtedy go nie lubili i znęcali się nad nim, a teraz było tylko gorzej. Wysyłali go z misją, by przyniósł im coś do jedzenia, a potem bili do nieprzytomności, kiedy nie chciał oddać okruchów ukrytych za pazuchą dla siebie. Zimą od nich uciekł. Odczekał do późna w nocy i kiedy miał pewność, że wszyscy posnęli, wymknął się cichcem i biegł do utraty tchu, aż dotarł do obrzeży miasteczka. Zastanawiał się, czyby nie ukryć się w lesie, ale wiedział, że tam roi się od wygłodniałych dzikich zwierząt i bandytów, i zabrakło mu odwagi. Skierował się więc w stronę żydowskiego cmentarza. Niegdyś bał się zmarłych, ale po tym co przeżył ostatnimi czasy, wydali mu się mniej groźni od żywych... W bladym świetle zorzy potykał się o wystające z ziemi nagrobki, aż w końcu znalazł wykopany pusty grób. Ułożył się w nim i przykrywszy nogi i tułów warstwą zmarzniętej gleby, trzęsąc się na całym cieple, przymknął oczy pozwalając, by śnieg osiadał mu na powiekach. Kilka godzin potem, na wpół zamarzniętego, znalazł go grabarz. Zarząd cmentarza opłacił przejazd Borysa do Malachówki.

Znajdująca się tam kolonia dla żydowskich sierot wojennych, a zwłaszcza obóz dla chłopców, było to państwo w państwie, odrębna republika radziecka, zaczarowana wyspa na oceanie okrutnej rzeczywistości. Pięćdziesiąt osób, z których żadna nie przekroczyła wieku szesnastu lat, mieszało w skupisku

20

były jak skleconych drewnianych chat. Gotowali sami dla siebie, uprawiali warzywa, rąbali drwa;



mieli nawet własne sowiety - radę starszych chłopców, którzy dzierżyli władzę. Ranki wypełniała nauka (jedyni dorośli to byli właśnie nauczyciele, uczący matematyki i innych przedmiotów ścisłych, podstaw socjalizmu, literatury i sztuki), popołudnia zaś praca; wieczorami siadywali w swojej chacie, grzali się przy ogniu, rozdzielali zajęcia na dzień następny i śpiewali hymny pochwalne ku czci Armii Czerwonej. To wszystko zdumiewało Borysa, wprawiało go w pomieszanie. Nie potrafił rozmawiać z towarzyszami niedoli, toteż prawie się nie odzywał, ale to nikogo nie dziwiło, gdyż w kolonii przebywało więcej „niemych” chłopców i nikt się z nich nie wyśmiewał ani nie zmuszał ich do mówienia. Tak więc Borys żył chwilą, przemieszczał się od jednego momentu pełnego światła do kolejnego, od jednego posiłku, którego nie musiał ukraść i którego nikt jemu nie kradł, do następnego, wreszcie mając prawdziwy koc, a nie tylko podarty płaszcz, i czystą, choć ogoloną głowę, na której już nie buszowały pchły, a wokół niego roilo się od podobnych mu istot skupionych na tym, co jest, a nie na tym, co było. Zresztą dnie wypełnione nauką, pracą i zabawą nie pozwalały rozmyślać o przeszłości. Co innego nocą...

Każdego wieczoru chłopcy z chaty Borysa ustawiali się karnie przy swoich pryczach, wzorowanych na żołnierskich, śpiewali Międzynarodówkę i jak jeden mąż kładli się spać, niczym subordynowane wojsko. Po zgaszeniu świateł zapadała przejmująca cisza, która aż prosiła się, by ktoś ją przerwał, podobnie jak burzowa chmura tylko czeka, by lunąć rześistym deszczem. Najczęściej zaczynało się od małego chłopca śpiącego na odległym krańcu chaty, znacznie młodszego od Borysa. Na początku uderzał w ryk, zaraz gdy zgasły światła, w miarę upływu miesięcy wszakże potrafił wytrzymać coraz dłużej, a jego szloch przekształcił się w ciche pociąganie nosem. To był sygnał dla reszty małych chłopców, którzy jeden po drugim zaczęli płakać, zawodzić z każdym oddechem coraz głośniej, na podobieństwo deszczu przybierającego na sile, aż w końcu starsi chłopcy mieli tego dosyć i zaczęli na nich wrzeszczeć, wyzywać najgorszymi przekleństwami, a czasem

21

nawet wstawali, żeby temu czy tamtemu przyłożyć. Potem znów następowała cisza, ale była to prawdziwa cisza przed burzą. Najgorsze przychodziło głęboką nocą, kiedy wszyscy chłopcy spali jak kamień. Wtedy rozpętywała się istna nawałnica. Najpierw wstawał jeden ze starszych chłopców i wciąż śpiąc krzyczał, że dom się pali. Wrzeszczał wniebogłosy przez parę długich minut, wymachując rękoma i zagarniając wyimaginowane rodzeństwo przed siebie i kierując się w stronę okna. Zdarzało się, że budził się dopiero, gdy połowę ciała miał już na zewnątrz. Później inny chłopiec, który za dnia nie znał innego boga oprócz Lenina, podnosił się z pryczy i lunatykując odnajdywał wschodnią ścianę, gdzie przystawał w pokornej postawie swych ojców i mamrotał wieczorną modlitwę po hebrajsku, dopóki ktoś nie znalazł w sobie dość energii, by także wstać i wymierzywszy tamtemu siarczasty policzek przywołać go do rzeczywistości. Jeszcze inny miał w zwyczaju atakować swych sąsiadów oraz każdego, kto był na tyle głupi, że wszedł mu w somnambuliczną drogę, wykrzykując imiona swych starszych siostr i poprzysięgając zemstę. Jego ofiary nieraz dopiero rano spostrzegały, że są całe posiniaczone. Jednakże nawet on nie był najgorszy, zdaniem Borysa. Najgorszy bowiem był jego równolatek, śpiący dwie prycze dalej. Otóż ten chłopiec zasypiał jak aniołek, a na jego twarzy malował się wyraz spokoju; ani drgnął, kiedy wokół rozpętywało się conocne pandemonium, spał snem sprawiedliwego podczas najgorszych krzyków i szamotaniny i dopiero gdy ostatni noktambulik zmęczył się swymi wyczynami, gdy minęło parę długich i cichych chwil, dopiero wtedy - noc w noc - wydawał przeraźliwy, mrozący krew w żyłach wrzask, po czym wołał: „Mamo! Mamo!”, powtarzając to słowo bez ustanku, aż ktoś nim potrząsnął i go zbudził. Nareszcie nastawał spokój. Młodszy chłopcy zaczęli posapywać, starsi pochrapywali, a Borys Kulbak walczył z opadającymi powiekami, za wszelką cenę nie chcąc do siebie dopuścić snów.

Tak było do czasu, kiedy poznał towarzysza Chagalla.

Odkąd Borys znalazł się w Małachówce, zajęcia ze sztuki nie odbyły się ani razu, gdyż jakiś czas przed jego przyjazdem

22

nauczyciel podupał na zdrowiu i w końcu wrócił do Moskwy. Wszelako na wiosnę, właśnie tego słonecznego ciepłego dnia, miała mieć miejsce pierwsza po długiej przerwie lekcja plastyki. Borys nigdy wcześniej nie był w sali zajęć plastycznych, jako że od wyjazdu schorowanego nauczyciela służyła ona za klasę najstarszych chłopców. Kiedy tam wszedł, pełen obaw, zobaczył na brudnych ścianach prace sprzed kilku miesięcy. Roilo się na nich od uśmiechniętych robotników, umiśnionych komsomolców i pucołowatych komsomołek przerzucających bele siana, czerwonoarmiejców wyrzucających pięści w powietrze w geście zwycięstwa, a w tle nieodmiennie wschodził rubinowy świt. Borys przyjrzał się uważnie każdemu z obrazków i stwierdził, że mu się nie podobają - oczywiście tylko w duchu, gdyż był już na tyle wyrobiony politycznie (dzięki wbijanym do głów dzień w dzień podstawom socjalizmu), iż wyczuwał niewłaściwość takiej opinii. Nie był do końca pewien, dlaczego jest to opinia niewłaściwa, ponieważ nie rozumiał wszystkiego, czego starał się ich nauczyć politruk, ale miał niejasne przeczucie, że brak zachwyty nad tymi pracami prowadzi prosto do świata, w którym bite są konie i bici mali chłopcy (nawet jeśli on, Borys, nie potrafił pojąć związku między jednym i drugim). Tak czy inaczej, na wszelki wypadek przybrał wyraz umiarkowanego podziwu - i tak zastała go reszta jego klasy. Borys znalazł sobie miejsce z tyłu sali, za długim rzędem ogolonych chłopięcych głów, tak że niewiele widział i dopiero kiedy siedzący przed nim poderwali się na równe nogi i wyprężyli na baczność obok ławek, domyślił się, iż do sali wkroczył ich nowy nauczyciel.

- Usiądźcie, proszę. Nie ma potrzeby stawać na baczność na mój widok - oznajmił i chłopcy go posłuchali.

Kiedy nauczyciel stanął za prowizoryczną katedrą, Borys mógł mu się przyjrzeć dokładniej. Był to wysoki mężczyzna, młodszy od większości uczących. Ubranie także miał inne niż oni: białą nie najczystsza koszulę, szare spodnie w jasne prążki i jaskrawoczerwone szelki. Głowę zdobiły mu ciemne loki, które wywołały u Borysa falę zazdrości. Nauczyciel zdawał się mierzyć go spojrzeniem, choć najpewniej próbował ogarnąć

23

wzrokiem wszystkich uczniów, po czym wbił oczy we własne dłonie i odkaszlnął potężnie. Echo jeszcze nie przebrzmiało, gdy podjął:

- Dzień dobry, chłopcy. Bez wątplenia wiecie, kim jestem. To ja będę was uczył plastyki. Nazywam się towarzysz Chagall. - Zwinął dłoń w pięść i znów kaszlnął, tym razem tłumiąc odgłos i nie pozwalając mu odbić się głuchym echem od betonowej podłogi.

Chłopcy jak na komendę wykrzyknęli: - Dzień dobry, towarzyszu Chagall! - i Borys się do nich przyłączył.

Nauczyciel zacisnął wydatne usta w wąską kreskę i oparł się plecami o ścianę. Z gardła wydobył mu się ni to śmiech, ni to czkawka, więc szybko się odwrócił, udając, że poprawia mankiet koszuli. Znów wpatrzył się w uczniów, wydymając dolną wargę jak rozkapryszone dziecko, i wydmuchnął powietrze, tak że kędzior spoczywający na jego czole podniósł się i opadł gwałtownie. Potem zaczął szybkimi krokami przemierzać salę wzdłuż ścian, przyglądając się wiszącym tam obrazom. Chłopcy obserwowali go bez ruchu.

- Te obrazy - Chagall zatoczył ręką, pokazując szereg rubinowych wschodów słońca - kto namalował?

Uczniowie milczeli, nie wiedząc, jakiej odpowiedzi się po nich spodziewa. Wreszcie chłopiec siedzący tuż przed Borysem podniósł rękę i powiedział:

- Uczniowie, towarzyszu Chagall.

- Jacy uczniowie? - dopytywał Chagall. - Wy czy jacyś inni, przed wami?

Chłopcy popatrzyli po sobie niepewnie, znów nie wiedząc, czy lepiej się do obrazów przyznać czy nie. Tylko Borys się nieco odprężył, ciesząc się, że jest w Małachówce za krótko, by być autorem którejkolwiek z prac.

- Część namalowaliśmy my, a część inni chłopcy - udzielił odpowiedzi grubasek siedzący w tym samym rzędzie co

Borys.

Mężczyzna skinął powoli głową, obrzucając obrazy kolejnym długim spojrzeniem.

- Pytałem o to - wyjaśnił - ponieważ wiem, że stać was na więcej.

24

Chuda szyja chłopca siedzącego tuż przed Borysem zrobiła się nagle ceglastoczerwona. Po jego lewej i prawej powstał lekki szmer; większość uczniów miała oczy wbite w podłogę.

- Ilu z was miało kiedyś zajęcia z plastyki? - dążył nauczyciel. Błysnęły spojrzenia, z zagryzionych warg odpłynęła krew. Paru chłopców uniosło niechętnie ręce, jak gdyby obawiali się, że najłżejszy ruch zagrozi obiegowi powietrza w sali; unikali wzrokiem nauczyciela i siebie nawzajem. - A jak kazał wam malować wasz poprzedni pan od plastyki?

Zaległa głucha cisza. Kiedy się niebezpiecznie przedłużała, odezwał się chłopak, którego Borys serdecznie nie znosił: ryży okrutnik (o tym, że był rudy, Borys wnioskował na podstawie pomarańczowej szczeciny na jego wygolonej głowie, a na własne oczy widział, jak zabawiał się ciskaniem kamieni w bezdomne psy).

- Powiedział, żebyśmy malowali to, co widzimy.

- To, co widzicie... - powtórzył zamyślony nauczyciel i nagle zapytał: - To, co widzicie, czy to, na co patrzycie? - Rudzielec rozwarł buzię, by odpowiedzieć, lecz nie wydał żadnego dźwięku. - Bo to duża różnica - ciągnął tymczasem towarzysz Chagall. - To, że na coś patrzycie, nie oznacza jeszcze, że to coś naprawdę widzicie. - Podniósł lewą rękę i nią pomachał. - Weźmy na przykład moją dłoń. Gdybym się w nią skaleczył, popłynęłaby czerwona krew. Krew jest czerwona, tak?

Borys skulił się w sobie. W tej sali nie było ani jednego chłopca, który by nie wiedział, jaki kolor ma krew. Rozejrzał się dyskretnie wokół i dostrzegł grymasy na twarzach kolegów - każdy na swój sposób próbował ukryć wrażenie, jakie zrobiły na nim słowa nauczyciela. Ten ścigał brwi, ów nerwowo pocierał łysą czaszkę, tamten znowu przykładął dłonie do rozgrzanych policzków. Ryży po prostu spuścił głowę i mocno zagryzał dolną wargę. Nikt się nie odzywał. Wszyscy czekali, co będzie dalej.

Chagall podwijał rękaw nieświeżej koszuli, obnażając przedramię.

25

- Przyjrzyjcie się dobrze - polecił. - Widzicie żyły, o tutaj? - Przejechał brudnym paznokciem po bladej skórze. - Ta krew wcale nie jest czerwona... Jest sina!

Skierował się do katedry, na której stały rzędy słoików, ujął pierwszy z brzegu pędzel i zanurzył go najpierw w niebieskiej, a potem w zielonej farbie. Borys wyciągał szyję, by lepiej widzieć. Na oczach zafascynowanych chłopców przyłożył włosie pędzla do skóry na grzbiecie dłoni, po czym zaczął nim jeździć tam i z powrotem po całym przedramieniu, zahaczając o wywinięty za łokieć rękaw koszuli. Potem oparł się o blat katedry obiema dłońmi - bliźniaczkami, z których jedna nadal pozostawała odziana, druga zaś była obnażona i to po niej spływały strumyki i potoki sianej krwi. Borys oczyma wyobraźni widział, jak ta krew, biorąca początek na kłykciach nauczyciela, poprzez jego przedramię, łokieć i bark zmierza do serca.

- Nie wystarczy patrzeć! - rzekł z mocą mężczyzna. - Ja będę od was wymagać, żebyście widzieli. - Porwał skądś stertę białych płacht papieru i zaczął je rozdawać, potem to samo zrobił z pędzlami i farbami. Chłopcy, nie przyzwyczajeni, by ktoś im usługiwał, zerwali się z miejsc i dokończyli dzieła. - Dzisiaj namalujecie coś, co widzieliście na własne oczy - zakomunikował im, kiedy znów zajęli swoje miejsca.

Borys rozejrzał się po sali i zauważył, że chłopcy popatrują na siebie niepewnie. Sam także nie potrafił sobie przypomnieć niczego, co widział i co chciałby namalować. Ale nauczyciel nie przestawał ich zachęcać i z wolna jego twarz rozjaśniał uśmiech, kiedy pierwsze głowy pochylały się nad dziewczym kartonem. Pędzle poszły w ruch.

- Obojętne, czy widzieliście to wczoraj czy całe lata temu - ciągnął towarzysz Chagall. - Nie ma

również znaczenia, co to będzie ani jak to namalujecie. Jeśli o mnie chodzi, możecie sobie obrać za model człowieka albo drzewo, albo prostokąt. Najważniejsze, byście namalowali to, co naprawdę zobaczyliście.

Borys znów się rozejrzył. Do jego rzędu dotarły najgorsze materiały - wystrzępione pędzle, niepełny zestaw farb. Trzeba będzie się prosić o niektóre kolory, pomyślał wygladzając

26

plachtę papieru przed sobą. Chłopiec po jego prawej kładł już pracowicie grubą warstwę niebieskiej farby na samym dole kartki. To wtedy Borysa olśniło: widział coś takiego, o czym mówił nauczyciel, coś jak te żyły z siną krwią, która naprawdę wcale nie jest sina... Zaczął malować obraz łona.

Większość ludzi nigdy nie widziała wnętrza łona albo raczej: wszyscy je widzieli, tylko mało kto pamięta. Borysowi przypomniano, jak wygląda, tamtej nocy sprzed roku, ale to była tylko „czerwona krew”, by użyć słów nauczyciela. On postanowił namalować to, co widział, kiedyś, dawniej... Najpierw naszkicował zarys sylwetki, pękatej w środku (nagle powróciły wspomnienia i słowa matki - zadziwiająco zważywszy, że przez trzy miesiące pobytu w kolonii, a i wcześniej także, nie potrafił sobie nic przypomnieć; tymczasem teraz wydarzenia i słowa z przeszłości przedostawały się na światło dzienne niczym te czerwono sine żyły). Tamtego dnia matka powiedziała mu, że dziecko jest bardzo ożywione i mocno kopie. Siedziała przy nim na łóżku, mówiąc mu dobranoc i szczerze opatulając go kocem. Była już wiosna, ale w powietrzu wciąż czuło się chłód. Bluzka, opięta do granic na jej brzuchu, połyskiwała złotawo w świetle lampki. Kiedy ujęła jego dłoń w swoją, dostrzegł niebieskawe żyłki pulsujące w czubkach jej palców (a może tylko tak mu się zdawało). Przyłożyła jego dłoń do nabrzmiałego brzucha i zapytała:

„Czujesz?”

Choć Borys bardzo się starał, niczego nie poczuł i było mu z tego powodu wstyd, toteż skłamał. Wtedy zrobiło mu się wstyd podwójnie - dlatego że nie poczuł ruchów dziecka i dlatego że okłamał matkę. Kłamstwo nie było wielkie i co ważniejsze, nigdy nie miało zostać wykryte, niemniej cichy wstyd pozostał. Aby go odgonić i przerwać denerwującą ciszę, Borys zapytał: „Co dziecko tam robi?” Zresztą po prawdzie był ciekaw, czemu tak długo trwa, nim dziecko się narodzi. I tak usłyszał od matki opowieść o ludziach, którzy czekają na swoje narodziny.

Zanim dziecko się urodzi, opowiadała Borysowi matka, uczęszcza do szkoły. Ale nie do takiej zwykłej szkoły jak szkoła Borysa, tylko do trochę innej, w której nauczycielami są

27

anieli. Tam uczy się na pamięć całej Tory i poznaje wszystkie tajemnice wszechświata, lecz tuż przed narodzinami jeden z aniołów przykładą mu palec do ust - w tym momencie matka przerwała i położyła swój palec na wargach Borysa (czy na pewno nie widział jej sinych żyłek?) - i szeptem nakazuje: Tylko nie mów nikomu... I dziecko posłusznie wszystko zapomina.

„Ale dlaczego tak się dzieje? Czemu musi o wszystkim zapomnieć?” Borys uwolnił się spod dotyku matki i zadał to pytanie, choć wcale nie chciał poznać odpowiedzi. Po prostu bał się, że matka zaraz poskarży się na bolący kręgosłup, wstanie, zgasi światło i odejdzie, rozplywając się w mroku.

„Dlatego” - odparła, opierając dłoń na wystającym brzuchu - „żeby przez całe życie bacznie wszystko obserwowało, próbując sobie przypomnieć to, czego dowiedziało się od aniołów.”

Borys chciał nad tym chwilę pomyśleć, ale matka już nachylała się, by go pocałować po raz ostatni na dobranoc. Proszę, nie odchodź, pomyślał i w przypiływie rozpaczony zadał kolejne pytanie:

„A czy ty coś sobie przypomniałaś? Chociaż jedną malutką rzecz?”

„Nawet parę” - szepnęła mu do ucha, po czym tak jak się obawiał, podniosła się ciężko, zgasiła lampę i nim zdążył zaprotestować, zostawiła go samego.

Łono, które namalował Borys, było mroczne w środku, podobne do jaskini najeżonej stalaktytami; przecinał je wąty pojedynczy promień światła. Wnętrze skrywało w sobie bezcenne skarby (Borys słyszał kiedyś o odkrytym w Egipcie podziemnym grobowcu, w którym zgromadzono wszystko, co potrzebne zmarłemu w zaświatach): tylną ścianę zajmowały rzędy półek z książkami, w dole wałyły

się zwoje i pergaminy. Pośrodku tkwił mały stół - niełatwo go było narysować drżącą ręką - a przy nim na małym krzeselku siedziało dziecko. Małe, grube różowiotkie dziecko (wyszło trochę za różowe i nieco grubsze, niż zamierzał) o łysej czaszce przywodzącej na myśl starego człowieka. Malując je zastanawiał się, czy ludzie, nim przyjdą na świat, robią się coraz młodszy, tak jak niektórzy starzeją się, zanim umrą. Tak czy inaczej, dziecko

28

siedziało zwrócone twarzą w stronę oglądającego obrazek i choć przed nim szeroko otwarta leżała na stole jakaś księga, patrzyło prosto przed siebie wzrokiem niezamierzenie przyprawiającym o ciarki na grzbiecie. Opodal niego unosił się anioł. Nie przypominał aniołów wrytych na wrotach kościoła, istot, które Borys widywał przechodząc koło chrześcijańskiej świątyni i które nieodmiennie miały tylko po dwa skrzydła, lecz wzorowany był na postaciach, o jakich opowiadał mu kiedyś ojciec: te miały w sumie sześć skrzydeł - dwa zakrywały im twarze, dwa osłaniały nogi, a ostatnia para służyła do latania. Anioł z obrazka Borysa, dosyć zatłoczonego i zapaćkanego farbą, był właściwie białą niebieską pierzastą plamą farby położoną nieco powyżej i lekko na lewo od centralnej postaci dziecka. Dopracowawszy jego ostatnie skrzydło, Borys z niezadowoleniem zauważył, że kapka niebieskiej farby spadła na twarz dziecka, tuż pod małym noskiem.

- To jest wspaniałe - powiedział jakiś głos za jego plecami.

Borys podniósł głowę i zdziwił się ujrawszy, że w sali znajduje się tylko on i nauczyciel; wszyscy uczniowie dawno zdążyli skończyć i oddać swoje prace. Mężczyzna oparł się o ławkę, a przy każdym jego ruchu z przedramienia luszczyla się fioletowa farba. Borysa przeszedł dreszcz - od czasu gdy został znaleziony w grobie na cmentarzu, nie przebywał sam na sam z osobą dorosłą i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Towarzysz Chagall jednak zdawał się zainteresowany wyłącznie obrazkiem. Z braku czegoś lepszego do roboty Borys także mu się przyjrzał i zauważył, że nic nie wyszło tak, jak zamierzał. Dziecko było zdecydowanie za grube; promień światła bardziej przypominał wiązkę słomy; anioł ginał w chmurze pierza i w zależności od kąta patrzenia wydawał się to ptakiem, to znów zwykłą plamą. No i ta nieszczęsna kapka niebieskiej farby nad górną wargą dziecka! Do tego papier kurczył się i zwijał, w miarę jak świeżo namalowany obrazek sechł. Borys z drżeniem serca czekał, aż nauczyciel się odezwie, ten wszakże zaczął nieoczekiwanie gwizdać. Bojąc się poruszyć, chłopiec całym sobą chłonał melodię wydostającą się spomiędzy jego ust - gdyż była to melodia, raczej ciche zawodzenie

29

niż gwizd, El Małe Rachamim, modlitwy odmawianej na cmentarzu. Borys ją rozpoznał, gdyż w ciągu paru miesięcy spędzonych na ulicy często okradał żałobników na hucznych pogrzebach, podczas gdy oni zawodzili zagłuszając tego z nich, który się modlił.

Chagall urwał w pół nuty i powtórzył:

- Wspaniałe. Jak się nazywasz, chłopcze?

- Towarzysz Kulbak.

Mężczyzna znów dostał czkawki, ale tym razem Borys wyraźnie posłyszał w niej skrywany śmiech i na jego policzki wypłynął rumieniec jeszcze bardziej jaskrawy niż twarz namalowanego przezeń dziecka. Spuścił wzrok i zaraz zauważył, że ma poplamione dłonie, toteż ze strachem zastanowił się, czy i jego górna warga nosi ślad anielskiego dotyku. Aby to sprawdzić, potarł palcem delikatne miejsce pod nosem. W tym samym czasie nauczyciel mówił doń:

- Towarzyszu Kulbak, bardzo chciałbym móc powiesić ten obraz na ścianie.

Borys przełknął ciężko i kładąc pobrudzone farbą dłonie na brzegach zamalowanego kartonu, zapytał burkliwie:

- A co za niego dostanę?

Takie pytanie zadawał zawsze, odkąd zebrał pierwsze cięgi na ulicy, ilekroć ktokolwiek chciał mu coś zabrać. Kiedy na przykład ktoś miał chrapkę na jego buty, a był od niego większy i silniejszy, pytał, co dostanie w zamian, i otrzymywał cztery bajgle i dwa cukierki. Wprawdzie od tej pory

musiał chodzić boso, ale przynajmniej nie dal się oskubać.

Nauczyciel zareagował szczerym śmiechem.

- Towarzyszu Kulbak - rzekł wesoło - prawdziwy z was kapitalista!

Borys nie odrywał wzroku od obrazka i nie wypuszczał go z uścisku. Ostatnie słowo zdzieliło go jak obuchem; nie wiedział, co dokładnie oznacza (choć nieraz to chłopcom w kolonii wyjaśniano), ale był świadom, że z pewnością coś straszego. Tymczasem ku jego zdumieniu nauczyciel nie tylko go nie ukarał, ale potraktował wszystko jako żart i ciągnął:

- Umiesz sobie radzić w życiu, chłopcze. Skoro chcesz pohandlować, zgoda. Nie ma na tym świecie nic uczciwszego

30

niż handel. Chodź ze mną, a przekonamy się, czy mam dla ciebie coś, za co oddałbyś mi swój obrazek.

I wyciągnął do Borysa dłoń, tę z pomalowanymi na sino żyłami. Borys przyjrzał się jej uważnie, potem zadarł głowę i popatrzył mężczyźnie w twarz, później jeszcze raz na dłoń, nie wiedząc, czego tamten od niego oczekuje. Upłynęła dłuższa chwila, nim Chagall znów się roześmiał i jakby nigdy nic złapał Borysa za rękę. Chłopiec poczuł, jak jego chropawa, posiekana od zimnej wody dłoń ginie w wielkiej gładkiej dłoni artysty. Jak kreda o kamień, pomyślał. Wzdrygnął się.

Koniuszkami palców wolnej ręki pochwycił róg malunku i ściągnął go z ławki, pamiętając, by nie dotknąć zamalowaną stroną podartych spodni.

Ruszyli bez słowa - na wskroś sali, przez błotnisty trawnik, w stronę głównej drogi. Stopy Borysa z płaskiem zagłębiały się w mokrą glebę, a on wpatrywał się w niebieskawe żyłki na podbiciu i w to, pod czym ginęły: zbutwiałe liście, kawałki nadgniłej kory, grudki zmarzniętego śniegu, porzucone przez psy kości. Kiedy podniósł głowę, stali przed dużym kamiennym domem, który Borys często widywał z oddali i o którym paru chłopców powiadało, że jest nawiedzony, a w co on nigdy nie wierzył. Zresztą, nie bał się zmarłych.

- Musisz wybaczyć ten wstrętny zapach - powiedział Chagall otwierając ciężkie drewniane drzwi. - Parter wciąż jest nie zamieszkały, zbyt tutaj brudno, jak w chlewie prawdę mówiąc. Próbuje to wywietrzyć, ale...

Borys wszedł do środka i ze zdziwienia otworzył szerzej oczy. To, co zobaczył, jeszcze trzy miesiące temu określiliby mianem pałacu. Z jednej i drugiej strony korytarza znajdował się duży mroczny pokój, a pośrodku wylały się w górę wąskie schody. Na ziemi wszędzie poniewierały się fiołki po zużytych lekarstwach; tu i ówdzie wałało się zwierzęce łajno. Zanim Borys zamknął za sobą drzwi, na chwilę powstał przeciąg, który przywiódł do jego nozdrzy znajomą woń, zapamiętaną z okresu, gdy żył na ulicy - woń choroby, wydaliny i nieruchomego powietrza, które okrywało człowieka niczym farba.

31

W tym domu pachniało na pomarańczowo i zielono - tak przynajmniej uznał Borys, nim nauczyciel pociągnął go na górę, zatykając nos i wyjaśniając:

- Żona z córką jeszcze nie przyjechały. Na razie są z wizytą u teściów w Witebsku.

Na szczycie schodów pchnął jakieś drzwi i Borys przestąpił za nim próg, pozwalając, by ciężkie drewniane skrzydło odcięło ich od przyprawiającego o mdłości smrodu.

Borys znowu się zdziwił, gdyż znalazł się w pomieszczeniu, które jego zdaniem przypominało wnętrze łona. Był to długi i wąski pokój o jednym jedynym oknie na bocznej ścianie - stamtąd do środka wlewała się rzeka światła. Pod oknem stały sztalugi z naciągniętym płótnem, rażącym oczy nietkniętą bielą. Całą tylną ścianę zajmowały rzędy półek; środkowe i górne ugięły się pod książkami rozmaitych kształtów i kolorów, dolne zaś usiłowały pomieścić jakieś opasłe rulony. Na dwóch niewielkich stolikach pełno było farb, prawdziwych malarskich farb w metalowych tubkach, a w kilku szklankach mieniła się kolorami tęczy mętna woda. Na ścianach jeden za drugim wisały wielkie obrazy. Kobieta ulatująca z ręki mężczyzny niczym chorągiew na wietrze, para

nowożeńców połączona uściskiem anioła (panna młoda miała na policzku jakby wygrawerowaną malutką postać)... Te, które nie zmieściły się na ścianach, stały oparte o mur - większość z nich przedstawiała ludzi popękanych na kawałeczki - tak widział to Borys - skrzypka, klaskającą grubaszkę czy niedokończony profil skryby. W róg wciśnięto żelazne łóżko, które poszerzono za pomocą drewnianych beli, wyglądających i pachnących podobnie jak podkłady kolejowe. W przeciwległym kącie stał zlew i piec, i jeszcze jeden mały stolik z paroma zydami. Na skrawku wolnej podłogi leżały rozrzucone różowe i żółte ubranka dla lalek; deski upstrzone były plamami niebieskiej farby. Borys patrzył na kolorowe ubranka i wyobrażał sobie - nie, nie wyobrażał, on je zobaczył - lalki, do których niegdyś należały (a może była to tylko jedna, wyjątkowo dobrze ubrana lalka?), jak ustawiają się, niecierpliwie czekając, kiedy będą mogły opuścić łono i wyjść na prawdziwy świat. Anioł sfrunął z obrazu i stanął na straży przy drzwiach, przytykając palec do

32

maleńkich usteczek i szepecząc każdej lalce do ucha: „Tylko nie mów nikomu...”

Ktoś zapukał.

Borys ocknął się i zerknął na nauczyciela, który właśnie przewracał oczyma.

- Że też nie da mi chwili spokoju - burknął. Pełnym głosem zaś powiedział: - Otwarte, i dobrze o tym wiesz, więc nie strój ceregieli!

Drzwi niemal wyskoczyły z zawiasów, z takim impetem je otwarto. W progu stanął mężczyzna mniej więcej w wieku Chagalla, ciemnowłosa jak i on, lecz znacznie niższy i biedniej ubrany (niegdyś galowy ciemny garnitur był wyświechtany do granic); długi nos wyrastał spomiędzy krzaczastych czarnych brwi, pod nim rozpościerał się niczym trzecia brew grubaśny wąs, skrywający szeroki uśmiech. Na widok Borysa uśmiechnął się jeszcze szerzej, zaraz jednak przeniósł wzrok na gospodarza tego dziwnego lokum i machając trzymaną w ręku kopertą, oznajmił:

- Przyszła depesza od Szlojmeo Michoelsa. Chce, żebyś wrócił do Moskwy i dokończył dekoracje teatralne, cytuję, najszybciej jak to możliwe. Wygląda na to, że stary tym razem nie żartuje...

- Bardzo ci dziękuję, że wyęczasz mnie w czytaniu korespondencji - rzekł sucho Chagall i jednym zwinnym ruchem wyszarpnął tamtemu z dłoni świstek papieru.

- Zawsze do usług, towarzyszu Chagall - śpiewnie wyrecytował gość, wchodząc do środka i czując się jak u siebie. Wyćwiczonym ruchem ominął rozłożone na podłodze lalczyne ubranka i opadł na zydel, za oparcie mając biblioteczkę. Nagle spowaźniał, przyjrzał się bacznie Borysowi i rzekł:

- Zdaje się, że nie mieliśmy okazji się poznać.

Chagall uderzył się w pierś i z przesadną emfazą zwrócił się do chłopca:

- Wybacz, że od razu nie przedstawiłem ci mojego drogiego gościa. Oto mój sąsiad z góry, słynny na cały świat pisarz Pinie Kahanowicz, znany także pod imieniem Der Nister...

- skłonił się w stronę mężczyzny, który siedząc wydawał się jeszcze niższy i drobniejszy, niż kiedy stał. Borys przetłumaczył

33

sobie w duchu przydomek pisarza (Der Nister znaczy w jidysz „Ten Ukryty”) i wyobraził sobie, a może zobaczył, jak ten dziwny mały mężczyzna ukrywa się pośród ksiąg i płócien, na których tle siedział, zamieniając się w jeszcze jeden, najmniej ciekawy ze wszystkich portret. Tymczasem Chagall dokończył prezentacji: - Wykłada literaturę w starszych klasach. - Der Nister uśmiechnął się z aprobatą, ukazując brzydki namalowane, szare zęby. - A to - gospodarz dał chłopcu kuksańca i wypchnął go na środek pomieszczenia - towarzysz Kulbak, niewiarygodnie utalentowany artysta młodego pokolenia. - Borysowi nagle zrobiło się zimno; spuścił wzrok na czubki gołych palców u nóg i potarł lewą stopę o prawą. - No dalej, towarzyszu Kulbak, pokaż nam, co namalowałeś - i dla zachęty pacnął go w plecy otwartą dłonią.

Borys wyciągnął do przodu rękę, w której cały czas trzymał swój obrazek, i niechętnie odwrócił go w stronę Der Nistera. Sam nie musiał znów na niego patrzeć, by wiedzieć, iż jest zły, znacznie gorszy, niż wydawało mu się przedtem, zanim jeszcze obejrzał prawdziwe obrazy wiszące na

ścianach. Zastanowił się nawet przelotnie, czy przypadkiem nie jest w jakiś ukryty sposób ślepy, i to nie tylko na kolory.

- Zdziwiająca! - ocenił zaprezentowany obrazek Der Nister. Borys nie wiedział, czy ma mu wierzyć czy nie. Nie miał czasu się zdecydować, gdyż pisarz ciągnął, patrząc poważnie na nauczyciela plastyki: - Dlaczego dzieci są od nas o tyle mądrzejsze?

- Pamiętaj, że ci chłopcy nie są dziećmi - odparł cicho Chagall. - To dorośli uwięzieni w ciałach dzieci.

- Tak, to prawda - westchnął Der Nister. Ponownie przyjrzał się obrazkowi, uważniej niż za pierwszym razem, a potem przeniósł wzrok na Borysa i także mu się przypatrzył. Chłopiec poczuł się nieswojo, jak gdyby mężczyzna przenikał go na wskroś: aż do ukrytych głęboko żył pompujących krew, do płuc tłoczących powietrze, do mózgu skrywającego myśli. Zaczął oddychać dopiero, gdy tamten przemówił: - Moja córka jest tylko parę lat młodsza od ciebie. - Borys milczał.

- Jak masz naprawdę na imię, towarzyszu Kulbak?

34

Borys popatrzył na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

- Borys... - powiedział niepewnie.

- Nie - przerwał mu surowo mężczyzna siedzący na zydlu i ani na chwilę nie spuszczaający zeń oka.

- Chodzi mi o twoje prawdziwe imię, żydowskie.

Borys zamarł ze strachu. Czyżby nie pamiętał już swego prawdziwego imienia? Cisza przedłużała się nieznośnie.

- Beniamin - szepnął i powtórzył nieco głośniej:

- Beniamin.

Od przeszło roku nikt go tak nie nazywał.

- Beniamin, dobrze usłyszał pochwałę. - A dalej? Beniamin, syn kogo?

Borys zamyślił się głęboko, serce nadal waliło mu jak młotem. Matka powiedziała mu kiedyś, że tylko znając swoje pełne imię przejdzie do lepszego świata. Ale jak ono brzmiało...?

- Beniamin, syn Jakuba! - wykrzyknął z ulgą. Der Nister rozpromienił się.

- Beniamin i Jakub. Nafszo keszura be nafszo. Wiesz, co to znaczy? - Borys pokręcił głową. W szkole wciąż często rozmawiał w jidysz, z nauczycielami, gdyż chłopcy woleli mówić po rosyjsku, ale hebrajskiego już nie pamiętał. - To urywek z Genesis, Księgi Rodzaju - wyjaśnił Der Nister.

- Przypowieść o Jakubie i Beniaminie, ojcu i synu. Nafszo keszura be nafszo... A jego dusza jest związana z jego duszą... Ich dusze są związane. Cokolwiek przydarzy się jednemu, spotka też drugiego...

Borys zeszywniał. Poczuł się tak jak tamtego ranka, kiedy znaleziono go zmarzniętego na kość w pustym grobie. Uśmiech spelzł z twarzy Der Nistera; ciężka, oblażąca fioletową tanią farbą dłoń spoczęła na ramieniu chłopca.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział uspokajającym głosem Chagall. - Mój sąsiad to znany żartowniś, lubi zagadki.

Wolno, bardzo wolno krew zaczęła na powrót krążyć w żyłach Borysa Kulbaka, Beniamina, syna Jakuba. Patrzył to na Chagalla, stojącego nad nim i dziwnie się uśmiechającego, to na Der Nistera, siedzącego niemal pod nim i spoglądającego nań z wyrazem współczucia w małych oczkach. Czuł się

35

niepewnie; był wystraszony i zmieszany widokiem tych dwóch męskich twarzy, które przypominały mu twarze chłopców z sierocińca i innych, także tych, których znał, zanim znalazł się w Małachówce. Chagall był podobny do okrutników wyśmiewających i bijących słabszych od siebie, podczas gdy Der Nister wyglądał bardziej jak ofiara, jak jeden z tych malców, którzy uderzają w ryk, nim ktoś tknie ich palcem, i płaczą również potem, gdy już dadzą się zbić i nikt im nie jest w stanie pomóc. Więc to się nigdy nie zmienia, pomyślał Borys i zadrżał. Zwiesił głowę i ze smutkiem wgapiał się w nabrzmiałe żyły na przemarzniętych stopach.



- Towarzysz Kahanowicz i ja - ciągnął nauczyciel plastyki gromkim głosem - pracujemy czasami razem. Tworzymy książki dla dzieci: on pisze historyjki, a ja maluję obrazki.

- Aha - powiedział Borys, żeby tylko coś powiedzieć. Na wszelki wypadek przygotowywał się na najgorsze.

- Dlaczego mu nie pokażesz jednej ze swoich książek? - zapytał Chagall sąsiada i skinął głową w stronę biblioteczki. - Cały ich rząd stoi tuż za tobą.

Borys słyszał nienaturalne ożywienie w jego głosie i wyobrażał je sobie jako soczystą zielen.

- Ale przecież sam mówiłeś, że ci chłopcy nie są już dziećmi - zaprotestował Der Nister, przyglądając się Borysowi z powątpiewaniem. Nagle twarz mu się rozjaśniła, jakby wpadł na genialny pomysł. - A może lepiej przeczytam jedną z moich prawdziwych historii? Na przykład tę, którą napisałem w tym tygodniu?

Poderwał się na równe nogi, aż zydel się zachybotął, i wyszarpnął z wewnętrznej kieszeni marynarki pogniecioną kartkę.

- O Boże, tylko nie to - jęknął Chagall. - Oszczędź nas...

Der Nister go jednak nie słuchał, rozkładał już papier, wyglądał brzegi, mamrocząc:

- To zaledwie fragment większej całości... Posłuchajcie, a potem powiedzcie, co o tym myślicie.

36

To będzie historia mostu nad mostami, mostu wiodącego z najgłębszych otchłani ziemi wprost do nieba. Słyszeliście o takim moście?

- Nie wydaje ci się, że most to nie najlepsze określenie?

- wpadł mu w słowo Chagall. - Prędzej to była jakaś drabina. Co o tym sądzisz, towarzyszu Kulbak?

Borys wzruszył ramionami, chcąc sprawiać wrażenie, że wszystko mu jedno. Wszakże w środku aż go paliło z ciekawości. Czy to możliwe, że taki most naprawdę istnieje? Popatrzył z nadzieją na Der Nistera, który stracił gdzieś cały swój fason. Jeszcze chwilę temu był pewien siebie i władczy, niemal zmusił ich do wysłuchania swojej historii, a teraz, patrzcie państwo, przestępuje niepewnie z nogi na nogę, składa i rozkłada wymiętą i zatłuszczoną kartkę papieru, otwiera i zamyka usta jak ryba wyrzucona na brzeg. Chagall także musiał to zauważyć, gdyż westchnął przeciągle i uśmiechnąwszy się wyrozumiale, osunął się na ziemię. Borys przykucnął obok niego i już obaj słuchali bez słowa.

Cóż, jest powód, dla którego nigdy o nim nie słyszeliście.

Most ten powstał w szóstym dniu stworzenia, pod sam wieczór, kiedy niebo zasnuwał już nocny mrok - była to ostatnia rzecz, jaką Pan Bóg stworzył, nim uznał, że świat jest już gotów i on sam może udać się na zasłużony odpoczynek. Tworzył go naprędce, nie poświęcając swemu dziełu wiele czasu ani uwagi, i ukończonemu nawet dobrze się nie przyjrzał, tak mu było spieszo świętować szabas. Tak więc most pierwszą noc swego istnienia spędził sam. Jego sylwetka jaśniała w mroku niebiańskim światłem, gdyż mimo że wyrastał z niezgłębionej otchłani, sięgał do najświętszej części królestwa Bożego, w którym panowały już świąteczne cisza i spokój.

Za wieloma drzwiami tamże prowadzącymi Pan Bóg przymierzał się do świętowania szabasu po znojnym tygodniu spędzonym na ziemi, ani jednej myśli nie kierując w stronę dopiero co stworzonego mostu. Prawda bowiem była taka, iż uciekł od niego nie tylko po to, by czcić dzień święty, ale także - a może głównie

- dlatego, aby nie musieć dłużej słuchać narzekań niewdzięcznika.

37

Bo choć most był bardzo zadowolony ze swego szczytu, pławiącego się w ciepłe królestwa Bożego, to obrzydzeniem napawała go zimna otchłań, w której miał zanurzone stopy, a która roiła

się od oślizgłych stworów przyprawiających go o niepohamowane dreszcze.

Wołania i złorzeczenia posłyszał Szatan i złożył mostowi wizytę, będącą zarazem jego pierwszą wizytą na ziemi.

- O, tutaj jesteś - rzekł jakby nigdy nic. - Popatrz, już jest ciemno, zaczął się szabas, a Bóg zamknął się w swym królestwie i zostawił cię samego. Może pójdziesz ze mną na dół, do otchłani?

- O, co to, to nie - obruszył się most na tę propozycję. - Za nic w świecie tam nie zejść. Wystarczy mi, że całe stopy mam pokryte błotem i oślizgłymi stworami, po co mi jeszcze pobrudzić sobie głowę?

- I tak tego nie unikniesz - stwierdził Szatan.

- Jak to? - zaniepokoił się most. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Szatan roześmiał się nieprzyjemnie.

- To ty nic nie wiesz? - zapytał. - Nikt ci nie objaśnił, na czym polega twoje zadanie?

- Moje zadanie? - Most był coraz bardziej zdziwiony.

- Oczywiście! - wykrzyknął Szatan załamując ręce. - Sam nie mogę uwierzyć, jakie to niesprawiedliwe! Wszystko na tym świecie zostało stworzone dla radości istnienia, podczas gdy ty - w tym miejscu Szatan udął, że uronił łzę nad losem mostu nad mostami - ty jeden masz służyć innym! Będą po tobie chodzić

- dodał ze zgrozą.

I wyjaśnił obrazowo, że od zarania świata aż do jego końca ludzie będą wydobywać się z otchłani i kierować w górę właśnie za jego sprawą, po nim. A przy tym, rzecz jasna, będą go niemilosiernie brudzić, dotykając swymi obrzydliwymi ciałami i wcierając kurz, błoto i śluz w jego cudowną konstrukcję, tak że prędzej czy później będzie unurzany od stóp do głów, istny niewolnik ludzkości. Most słuchał słów Szatana z rosnącym przerażeniem i tylko z trudem hamował mdłości.

- No i jak? Nie czujesz się tym obrażony? - podjudzał go Szatan.

38

Most wzdrygnął się i zapytał:

- Ale co mogę na to poradzić?

Wtedy Szatan zbliżył się i szepnął mostowi do ucha:

- Przełam się! Teraz, natychmiast, póki Bóg jest za wieloma drzwiami i nic nie usłyszy. A potem założymy swoje królestwo w otchłani, ty zaś będziesz przyzwoitym mostem, przerzuconym ponad otchłanią, a nie jak teraz idiotycznie sięgającym nieba. Widział kto kiedy pionowy most?!... Po co nam Bóg i jego królestwo, skoro doskonale poradzimy sobie bez niego? - Most słuchał uważnie, ale nie mówił ani tak, ani nie. Szatan postanowił dać mu czas do namysłu. - No, zastanów się dobrze - powiedział i odszedł.

Most nad mostami drżał jak w febrze. Nie dość, że marzły mu stopy ukryte głęboko w otchłani, to jeszcze musiał podjąć taką decyzję! I to w pierwszym dniu swego istnienia!

Kiedy skończył się szabas, Pan Bóg otworzył drzwi swego królestwa i stanął w progu.

- Dobrego tygodnia! - pozdrowił most słowami, które miały być powtarzane tydzień po tygodniu jak świat długi i szeroki.

Nagle most poczuł się bardzo niegodny i aby to zmienić, napiął się i przełamał tam nisko, zostawiając swoją dolną część na pastwę stworów z otchłani. Lecz chociaż przestał odczuwać zimno w stopach, jego głowa, jaśniejąca dotąd niebiańskim światłem, przygasła jak oczy pobitego człowieka.

- Dobrego tygodnia! - odparł.

Ale z jakiegoś powodu oczy miał spuszczone i gorzał ze wstydu.

Der Nister zamilkł, lecz Borys czuł, że opowieść nie dobiegła jeszcze końca. Jakże to tak? myślał.

Czy naprawdę nie ma sposobu, by na dobre uwolnić się od brudu? Przypomniał sobie coś, co usłyszał w szkole - nie tutaj w Malachówce, ale dawno temu, w poprzednim życiu. Nauczyciel powiedział, że świat na początku składał się z „naczyn” (Borys od razu wyobraził sobie wtedy rząd czystych szklanych słoików, jakie stały w matczynej kuchni) i że te „naczynia” znajdowały się jedne w drugich, a w tym ostatnim, najmniejszym, tkwił sam Pan Bóg. Ale że był zbyt wielki, by

pomieściło go jakiegokolwiek naczynie na świecie, pękło i to, w którym się znajdował,

39

i wszystkie następne także, co oznacza, iż cały świat leży w gruzach i w niczym nie przypomina tego, czym miał być pierwotnie. Borys popatrzył na swoje bose stopy, na walające się na podłodze poplamione lalczyne ubranka i nie mógł uwolnić się od myśli, że jest jak ta ułamana część mostu nad mostami, zniszczona i porzucona na pastwę losu, albo jak ten roztrzaskany w drobny mak świat.

- Kahanowicz, mówię ci, i to nie po raz pierwszy, że przez takie opowieści wysiadają cię z Kraju Rad!

Der Nister skrzywił się i popatrzył na Chagalla spode łba, zaciskając przy tym nerwowo wargi. Składając pokrytą drobnym pismem kartkę papieru, rzekł butnie:

- Moja opowieść roi się od symboli. Wiesz, co to symbolizm, stary?

Borys wodził wzrokiem od jednego do drugiego, zastanawiając się, o czym mówią i co to takiego ten symbolizm. Nauczyciel plastyki poskubał niebieskawe przedramię i przyglądając się opadającym na ziemię płatkom farby (wyglądały jak maleńkie kawałeczki ceramiki albo malowanego szkła), wydał przeciągły pomruk. Borys nie potrafił oderwać oczu od nabrzmiałych żył ukrytych pod ciemną skórą porośniętą czarnymi kręconymi włoskami.

- To nie symbolizm mnie martwi... - wolno pokręcił głową Chagall - ...ale to, że twoje opowieści rozrastają się niepokojąco, aż w końcu zatracają sens.

- Otóż mylicie się, towarzyszu! - Der Nister się ożywił. - Każda moja opowieść nabiera sensu dopiero wtedy, gdy umieszczę w niej wszystkie niezbędne fragmenty.

- Hmm... - Chagall wciąż nie był przekonany i wciąż drapał się po oblażącej z farby ręce. U jego stóp rozścieliło się istne morze. Borys rzucił szybkie spojrzenie za Ukrytego. Teraz nie tylko skrzypek i skryba wydawali się popękani, także ich narzędzia takie były, a zwój papirusu dzieliły na dwoje grube linie wyryte głęboko w farbie. - Byłbym zapomniat! - wykrzyknął Chagall. - Przecież chłopiec ma wybrać jeden z moich obrazów. W zamian dostanę jego obrazek!

- No, no - uniósł brwi Der Nister - kapitalistyczna wymiana. Ciekawe, czy rada kolonii o tym wie?

40

- To sprawa między mną i towarzyszem Kulbakiem

- obruszył się Chagall - i byłaby już dawno zakończona, gdybyś się tu nie wprosił ze swymi bajeczkami... No, rozejrzyj się dobrze, chłopcze.

Onieśmielony Borys zaczął obchodzić pokój, starając się nie deptać ubranek, a za nim podążał głos nauczyciela. Kiedy zatrzymał się dłużej przy obrazie nowożeńców, usłyszał:

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę dać ci żadnego z większych płócien... - Fioletowo niebieska dłoń zakryła twarz panny młodej. - Będę je niedługo wystawiał. A tamte z kolei

- machnął ręką w stronę „popękanych” portretów - wezmą udział w przedstawieniu w Teatrze Żydowskim...

- Pod warunkiem że raczysz odpowiedzieć na depeszę

- zauważył przytomnie Der Nister, wymownie patrząc na porzuconą na stole kopertę.

Chagall zignorował tę uwagę i dalej informował Borysa:

- Jestem niezwykle podekscytowany... To będzie przedstawienie oparte na twórczości Szolema Alejchema. Słyszałeś o nim?

Borys zmarszczył czoło w przypiływie koncentracji. Oczyrna wyobraźni zobaczył matkę, siedzącą na skraju jego łóżeczka i trzymającą w ręku jakąś książkę, ale nie mógł sobie przypomnieć nic więcej, tego, co było przedtem i potem.

- Pamiętam... - rzekł cicho - ...pamiętam opowieść o kozie. To znaczy o człowieku, któremu kradną kozę raz po raz, a on nic o tym nie wie...

Chagall spojrział na chłopca niepewnie, Der Nister jednak znów był w swoim żywiole.

- Ta opowieść nosi tytuł „Zaczarowany krawiec” - wyjaśnił. - Prawdę powiedziawszy, jest jedną z moich ulubionych. Wiecie, jak się kończy? - Borys potrząsnął głową, na co Der Nister

zapropował: - Chętnie ci to zdradzę...

- Och, proszę, oszczędź nas! - jęknął Chagall. - Tylko nie druga opowieść tego samego dnia! Der Nister wszakże był nieugięty.

- Jesteście pewni, że chcecie poznać zakończenie? Na pewno? Ale to nie będzie dobre zakończenie, mimo że opowieść rozpoczęła się pogodnie... Większość takich opowieści

41

kończy się przecież bardzo, bardzo smutno... Jednakże opowiadający nie jest smutnym i sam bardzo nie lubi złych zakończeń, o morałach nie wspominając, toteż pozostawi was uśmiechniętymi. Wyrazi nawet życzenie, by wszyscy ludzie na świecie częściej się śmiali, niż płakali. Śmiech to zdrowie, każdy lekarz wam to powie...

Borys wyobrażał sobie, że każde kolejne słowo jest mniejsze od poprzedniego, a następne jeszcze drobniejsze - ostatnie było zupełnie maciupkie. Der Nister nie mówił, on deklamował i Borys właściwie powinien być zażenowany takim przedstawieniem, ale jakoś nie był. Rozumiał, że ten dziwny mężczyzna nie popisuje się przed nimi, nie puszy i w ogóle nie robi niczego na pokaz. Prawdę powiedziawszy, Borys słuchał z otwartą buzią i zamknął ją dopiero wtedy, gdy Der Nister już zwykłym głosem skomentował:

- Ciekawe, czemu nie wezmą tego na tapetę w teatrze? Przysporzyłoby mniej kłopotów...

- Może, ale zakończenie jest do niczego. Ludzie lubią prawdziwe zakończenia. Musi być odkupienie grzechów albo chociaż obietnica poprawy...

- Czyżby? A od kiedy to w życiu występują te twoje „prawdziwe zakończenia”? Od kiedy cokolwiek się kończy?

- No a socrealizm?

Borys skurczył się w sobie. Nie wiedział, o czym tamci mówią, ale nie podobał mu się ton, w jaki zaczęli uderzać.

- Mówię ci, że to najlepsze zakończenie z możliwych - upierał się Der Nister, znów mnąc w rękach kartkę ze swoją opowieścią. - Śmiech to zdrowie... A co ty o tym sądzisz, towarzyszu Kulbak?

- N... nie wiem - wydukał Borys.

W głębi duszy przyznawał rację nauczycielowi plastyki. Kiedy coś się kończyło, kończyło się na dobre. Albo raczej na złe, bo mało który koniec, jakiego doświadczył Borys, był zabawny. Zerknął teraz na Ukrytego, chcąc dojrzeć wglębienie nad górną wargą, to od przyłożenia palca anioła, lecz skrywały

je gęste wąsiska.

- Chłopiec ma w nosie twoje opowieści - podsumował Chagall. - Przyszedł tu wybrać obraz, to wszystko. Jak już

42

mówiłem, nie mogę dać ci dużego obrazu, ale chętnie wymienię szkic za szkic... - Na ramię Borysa opadła niebieska ręka i pociągnęła go w stronę ułożonych jeden na drugim niewielkich obrazów. - Przejrzyj je sobie i powiedz mi, który chcesz za swój.

Borys zdziwił się ujrawszy przed sobą miniatury płócien wiszących na ścianach, jak gdyby każde rozpadło się na kilka mniejszych: skrzypek bez skrzypiec, panna młoda bez pana młodego... Nad niektórymi przystawał dłużej (na przykład nad tym, gdzie dwie kobiety kąpały niemowlę), inne czym prędzej odwracał (głównie te ukazujące rannych żołnierzy), jednakże na wszystkich razily go zbyt jaskrawe, nienaturalne kolory. Aż natrafił na obrazek, który przykuł jego wzrok - przedstawiał ulicę, bardzo podobną do tej, przy której kiedyś mieszkał Borys, ciągnącą się w dal, i mężczyznę w ciemnym płaszczu, bardzo podobnego do rodzzonego ojca Borysa, unoszącego się w powietrzu ponad dachami domów. To było coś, co Borys niegdyś widywał.

- Ten - szepnął.

- Ten? - zapytał nauczyciel. Borysowi na moment zamarło serce, gdyż ton głosu zdawał się sugerować zły wybór, zaraz wszakże na nowo się roztrzepotało. Chagall ujął obrazek w dłoń i uśmiechnął się doń jak do starego przyjaciela. - W myślach nazywam go „Latanie po domach” -

powiedział cicho, jakby zdradzał sekret. - Kiedy byłem małym chłopcem, w okolicy roilo się od żebraków i często słyszałem to określenie... Tak właśnie wyobrażałem sobie to ich latanie...

- To jego ulubiona zabawa - dodał Der Nister. - Gdybyś przyjrzał się tym wszystkim obrazom, dostrzegłbyś, że większość z nich to takie właśnie gierki słowne...

Tymczasem Chagall wziął do ręki obrazek Borysa i oglądał go w gasnącym świetle dnia.

- Do twojego pasuje mi nazwa: „El Małe Rechamim”.

Borys rozpoznał tytuł modlitwy pogrzebowej, którą wcześniej nucił jego nauczyciel, chociaż teraz popełnił błąd przekręcając ostatnie słowo.

- Lubi gierki słowne - powtórzył Der Nister. - Czasem myślę, że to on powinien być pisarzem, nie ja... - Widząc

43

pytający wzrok Borysa, wyjaśnił: - Rechamim zamiast Rachamim, rozumiesz już? - Chłopiec potrząsnął głową. - Rachamim znaczy „litość”, zatem El Małe Rachamim to „Boże pełen miłosierdzia”, podczas gdy Rechamim to łona, a więc tytuł twojego dzieła brzmi „Boże pełen łon”. Pełen łon?!

- No to ustalone - przerwał te wywody Chagall. - Mój obrazek jest od dziś twój, a twoje dzieło zawiśnie jutro w klasie.

Borys już chciał wziąć wybrany obrazek i skierować się w stronę drzwi, kiedy Der Nister zerwał się z zydlą.

- Zaraz! - wykrzyknął. - Nie chcę być gorszy! Skoro bierzesz jego obraz, weź i moją opowieść... - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął jeszcze bardziej niż przedtem pomiętą kartkę. - Ja znam ją na pamięć, a tobie może się przydać.

Wyjął obraz z rąk chłopca, odwrócił go stroną zamalowaną do dołu i balansując na kolanie, składał wymiętoszoną kartkę papieru w wąski pasek, który potem wsunął pomiędzy płótno a drewno.

- Ostrożnie! - Chagall musiał zniżyć głos, żeby nie krzyknąć. - Nie wolno napinać tak płótna, wszystko się obluzuje i za dwadzieścia lat rozpadnie na kawałki!

Der Nister jednak nie miał zamiaru niczego poprawiać. Zaśmiał się i powiedział:

- Nic się nie martw, jestem pewien, że nasz młodszy kolega dobrze się zajmie twoim obrazem w stanie odmiennym

- to mówiąc, uroczyście wręczył szkic Chagalla Borysowi.

- Wierzę, że zaopiekujesz się oboma przekazanymi ci dziś dziełami.

Borys ujął obraz, podziękował i zaczął wycofywać się z pokoju.

- A kolacja? - zapytał nagle Der Nister. - Nie zostaniesz na kolacji?

Borys popatrzył najpierw na niego, potem na Chagalla

- pierwszy się uśmiechał, drugi szczyrzył zęby - i przypomniał sobie twarze chłopców. Poczul, że natychmiast musi

44

stamtąd wyjść, uciec od tej przerażającej jasności przywodzącej mu na myśl najgorszy koszmar.

- M... muszę wracać do chaty - wydukał, doskonale wiedząc, że kłamie. - Rada mnie ukarze, jeśli nie wywiążę się ze zleconych mi zadań.

Der Nister pokiwał głową.

- Mówisz jak rasowy marksista. Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się i wdeptujcie w błoto ludzi sztuki!

- Cicho, Kahanowicz - syknął Chagall, do chłopca zaś z szerokim uśmiechem powiedział: - Zobaczmy się jutro w klasie.

- Dziękuję - bąknął Borys opuszczając pokój.

- Cała przyjemność po naszej stronie - zapewnił go Der Nister gromkim głosem. - Nie co dzień spotyka się chłopca o takiej wyobraźni!

Drzwi zatrzasnęły się i Borys ruszył pędem po schodach. Wkraczając w otchłań zapuszczonego

parteru modlił się skrycie, by ostatnie stopnie nie zapadły się pod nim i na wieki nie uwięziły go w narastającym zaduchu. Uciekał od tego, co zobaczył na górze i co na zawsze wryło mu się w pamięć, od świadomości, że mężczyzna, który śmiał się z niego, przetrwa, ten zaś, który z łagodnym uśmiechem pochwalił jego wyobraźnię, zostanie starty na proch.

## Rozdział Trzeci.

Jest jeszcze ładniejszy, niż go zapamiętałem, myślał Ben leżąc brzuchem na łóżku i wpatrując się w oparty o wezłowie obrazek. Spoglądając nań z tej perspektywy, czuł się tak, jakby sam wędrował ulicami miasteczka, a właściwie nie tyle wędrował, ile płynął nad nimi. Być może sprawiła to pozycja, a może stan podniecenia, w jaki wprawiła go kradzież, tak czy inaczej Benowi wydawało się, że jest lekki jak piórko, i zastanawiał się nawet, czy nie tak właśnie czują się ludzie, którzy nareszcie uwolnili się od swego ciała. Kiedy wszakże dał mu się we znaki dziwny ból w okolicach zuchwy, podniósł się do pozycji siedzącej i mimochodem zerknął w wiszące na ścianie sypialni lustro - jeden z nielicznych sprzętów, z których jego żona nie ogołociła mieszkania. Ku własnemu zdumieniu zobaczył, że uśmiecha się od ucha do ucha.

Niespokojnym krokiem przemierzył puste wnętrza - oprócz lustra żona zostawiła mu jeszcze tylko łóżko, regał na książki i biurko, na którym teraz piętrzyły się papiery przyniesione z pracy: Ben miał zaległości w pisaniu artykułów do wirtualnej encyklopedii „Amerykańskiego geniusza”, nie będącej niczym innym jak źródłem gotowców dla leniwych piątoklasistów. Na szczycie leżał brudnopis hasła o kocie Schrödingera, owym słynnym paradoksie teorii kwantowej, która tak go zafrapowała, gdy jako nastolatek usłyszał o niej po raz pierwszy. Choć był niemal dwakroć starszy, wciąż fascynował go hipotetyczny eksperyment, w którym do jednego pudełka

46

wkładano kota i ampułkę z trucizną, w wyniku czego zwierzak miał pięćdziesięcioprocentową szansę przeżycia. Słowa artykułu nieudolnie oddawały istotę rzeczy (będzie jeszcze musiał popracować nad tym tekstem):

Cząstki elementarne często opisywane są jako pozostające w dwu stanach równocześnie, co oczywiście jest paradoksem podobnie jak pomysł, że kot jest tylko w pięćdziesięciu procentach żywy do czasu, aż ktoś otworzy pudełko i zajrzy do środka, by to sprawdzić. Na poziomie makroskopowym nie jest możliwe, aby coś znajdowało się równocześnie w stanie życia i śmierci ani też aby pozostawało tylko w połowie żywe.

Ben zadumał się i uśmiechnął jeszcze szerzej; nagle wydało mu się jak najbardziej prawdopodobne, że coś albo raczej ktoś jest zarazem żywy i martwy. Z pewnością można być na poły martwym, uznał rozglądając się wokół. Podłoga zasłana była pytaniami, które nie trafiły do teleturnieju.

Które azteckie bóstwo jest Panem Tamtego Świata?

Jaką nazwą opatrzone zakłęcia odkryte na zwojach papirusów wetkniętych pomiędzy uda egipskich mumii?

Jakim terminem starożytni Grecy określali wędrówkę dusz?

Co według Księgi Rodzaju strzeże ścieżki wiodącej do drzewa życia?

Trudno powiedzieć, czy był to główny powód rozvodu - w każdym razie Ben miał irytujący zwyczaj zapisywania pytania wtedy, gdy przyszło mu do głowy, bez względu na to co akurat robił, i porzucania zagryzmołonego świstka. Potem wchodził na przykład do łazienki i sięgając po papier toaletowy, głowił się, na które lata przypadła pierwsza pięciolatka ogłoszona przez Stalina, albo będąc w sklepie, na końcu listy zakupów dostrzegał nazwisko Jerzego Waszyngtona z pytajnikami wziętymi w nawias (zapewne chodziło o datę urodzenia pierwszego prezydenta). Częściej, niżby sobie tego życzyła, na pytania natrafiała jego żona i jeśli była w dobrym humorze, czyniła własne dopiski:

Czy obecna pięciolatka obejmuje umycie wanny?

Jaki prezent chciałbyś dostać na urodziny?

Dlaczego musimy składać wizyty w szpitalu w każdy weekend?

47

Zdajesz sobie sprawę, że twoja siostra chodzi wiecznie upaprana farbą?

Pod koniec jednak już jej to nie bawiło, a jeżeli nawet znalazła jakieś pytanie, na przykład o królów z pierwszej dynastii Starego Państwa w Egipcie, dopisywała:

Jakie to ma znaczenie?

Ben dopiero w trakcie rozwodu domyślił się, że nie chodziło jej wyłącznie o faraonów. A później, kiedy męczył się w swoim biurze nad kolejną serią podchwytliwych pytań, został zaskoczony przez najazd w jej wykonaniu, którego nie powstydziliby się najgorszy starożytny barbarzyńca i w którego wyniku jego mieszkanie ziało teraz pustką. Sara radziła mu, żeby podał swoją eks do sądu, ale on poszedł po linii najmniejszego oporu i po prostu wymienił zamki w drzwiach. Niestety nie zdażył uchronić swej kolekcji książek (po co jej były, do licha, jego książki?!) - setek tomów zbieranych od dzieciństwa, z czasów gdy był cudownym dzieckiem i nim jeszcze dowiedział się, że nie ma czegoś takiego jak cudowny dorosły. Z imponującej biblioteki zostawiła - w przyływie wspaniałomyślności bądź złośliwości - wszystkie co do jednej ilustrowane książeczki dla dzieci autorstwa jego matki. W ostatnich miesiącach unikał ich jak ognia, lecz tego dnia, przyglądając się odzyskanemu obrazowi i czekając na Sarę, sięgnął po swą ulubioną i ją otworzył.

Było to istne arcydzieło. Idealne połączenie słowa drukowanego i rysunków - te pociągnięte pewną kreską przedstawiały rzeczy solidne, przedmioty występujące w opowieści od początku do końca, podczas gdy pełne artyzmu rozmyte maźnięcia akwareli symbolizowały to wszystko, co zniknęło. Właśnie za nie matka Bena otrzymała nagrodę - i nic dziwnego, gdyż była ilustratorką na długo przed tym, nim zaczęła pisać książki. Tym razem po raz pierwszy Ben zwrócił bacniejszą uwagę na tekst. Trzymając w ręku otwartą na pierwszej stronie książkę, przysiadł na łóżku i czując się żywiej, niż kiedykolwiek na przestrzeni ostatniego półrocza, zaczął czytać.

48

O człowieku, który przespał koniec świata

Gdziekolwiek był, cokolwiek robił, zawsze chciało mu się spać. Zapadał w sen przy każdej okazji, potrafił zasnąć dosłownie wszędzie: wśród ludzi i hałasu, podczas przyjęć i koncertów - po prostu siadał, zamykał oczy i odpływał w sen.

Którejś nocy, gdy spał smacznie we własnym łóżku, wydawało mu się, że słyszy odgłosy burzy, ale że miał kamienny sen, nie obudził się nawet wtedy, gdy podłoga pod nim zaczęła drżeć. Naciągnął kołdrę pod brodę, zacisnął mocniej oczy i spał dalej, śniąc, że za oknem szaleje nawałnica. Kiedy wreszcie się przebudził, czekała na niego nie lada niespodzianka.

Nigdzie nie było jego żony, ba, nigdzie nie było jego łóżka! Rozejrzał się za kołdrą, ale jej też nie znalazł; chciał wyjrzeć przez okno, ale nie było okna! Byłby zbiegł na łeb, na szyję ze schodów, wniebogłosy wołając „Pomocy!”, lecz oczywiście schodów także nie było, jak również brakło powietrza, którego mógłby nabrać w płuca. Tak czy inaczej chciał jakoś wyjść na zewnątrz, jednakże nie istniało już coś takiego jak zewnątrz.

Przez długą chwilę stał pośrodku sypialni, która nie była już sypialnią, nie wiedząc, co ze sobą począć. W końcu oczy zaczęły mu się kleić, więc postanowił, że położy się na podłodze i troszkę się prześpi... Wszelako podłogi również nie było!

„A to dopiero” - pomyślał. - „Wygląda na to, że przespałem koniec świata!”

Kiedy to sobie uświadomił, rozżościł się. Cóż on pocznie bez świata? Jak będzie zarabiał na chleb? Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy wszystko jest takie drogie, choć człowiek nie ma pewności, że nie otruje się tym, co można dostać w sklepach... No i co z jego żoną? Czy to możliwe, iż zniknęła z resztą świata i ostatnimi drobnymi w kieszeniach jego spodni? Wprost nie mieściło mu się w głowie, by jego żona mogła ot, tak sobie zniknąć! Najbardziej jednak martwiło go to, że nie miał gdzie spać. No bo gdzie ma się położyć zlakniony snu człowiek, kiedy skończył się świat?

„Hm...” - zamyślił się i westchnął w duchu: - „Trudna rada! Skoro tak, to może przynajmniej

obejrzą jakiś dobry film w kinie."

Tyle że - ku jego szczeremu zdziwieniu - kin także od dawna nie było.

49

- No nie... - mruknął. - W co ja się najlepszego wpakowałem! Gdybym nie był takim śpiochem i nie przegapił końca świata, zniknąłbym jak należy z wszystkimi innymi, a tak co? Ani żony, ani kina, ani kawy... Nawiasem mówiąc, ciekawe, z kim ona zniknęła - zaniepokoił się nie na żarty. - Chyba nie z tym facetem z ostatniego piętra!

Chciał sprawdzić, która godzina, ale oczywiście nie miał już zegarka.

„Pewnie najwyższa pora na filiżankę porannej kawy” - rozpaczał w duchu. - „Gdybym tak bardzo nie kochał spać, piłbym teraz aromatyczną kawę, zamiast zastanawiać się, co ze mną będzie!”

W końcu nie wytrzymał napięcia i zaczął krzyczeć:

- Pomocy, pomocy!

Naturalnie z jego ust nie wydobył się najłżejszy dźwięk. To go zupełnie załamało - zaczął walić głową w nicość, ale że była to bardzo miękka nicość, w niczym nie przypominająca solidnego muru, który jeszcze niedawno tkwił w tym samym miejscu, nic mu się nie stało i mógł mi opowiedzieć tę historię.

Ostatnim razem kiedy Ben czytał tę opowieść, a było to wiele lat temu, wydała mu się zabawnie absurdalna. Gdy skończył ją czytać teraz, wśród pustki ogołoconego z mebli mieszkania, zdumiało go, jak bardzo jest prawdziwa. Na własnej skórze doświadczył utraty żony i życia, takim jakie znał, tylko dlatego, że nie pilnował ich wystarczająco uważnie; przekonał się, że wielką naiwnością jest ufać tym, których kochamy, i powierzać im siebie - zaiste bardzo łatwo jest przespać koniec własnego świata...

Ben wciąż tłukł głową w mur własnych myśli, kiedy u jego drzwi wreszcie pojawiła się Sara.

Tego wieczoru Sara jak zwykle promieniowała pewnością siebie, wynikającą z prostego faktu:

młodsza o dziesięć minut bliźniaczka Bena miała w nosie, co myślą o niej inni (Ben bardzo jej tego zazdrościł). Była doktorantką na wydziale historii sztuki, a przy tym artystką z powołania, i podobnie jak ludzkie opinie, także własny wygląd był jej obojętny. U Bena

50

stawiała się zaraz po pracy i poznać po niej było, iż za dnia nie uczyła, tylko malowała: prawą dłoń pstrzyły plamki niebieskiej farby, smuga tego samego koloru ozdobiła jej czoło, zapewne gdy poprawiała opadające na oczy kosmyki, gdyż włosy miała spięte w nieporządny koński ogon za pomocą zwykłej białej tasiemki. A jednak wyzierało z niej piękno, widoczne dla osób, które dobrze ją znały; ktoś, kto spotykał ją po raz pierwszy, dawał mu się zaskoczyć, kiedy się śmiała mrużąc ciemne oczy w wąskie szparki albo kiedy marszczyła brew skupiając się na lekturze, palcami wolnej ręki masując sobie kark bądź w zamyśleniu gładząc czoło, z którego dosyć nisko wyrastały czarne włosy, na ogół spięte w gruby kucyk, chociaż czasami pozwalała im luźnymi lokami spływać po ramionach... Wtedy każdemu wydawała się piękna.

Ben i Sara już dawno przestali się witać zdawkowym „Cześć!” dobrym dla obcych sobie osób i z marszu przechodzili do sedna. Nawet ich rozmowy telefoniczne najczęściej rozpoczynały się od brutalnego pytania, wyrzuconego w powietrze niczym lewy sierpowy. Tym razem Sara rozejrzała się po pokoju, zarejestrowała walające się po podłodze karteluski z pytaniami, podniosła pierwszy z brzegu, przeczytała i uśmiechnęła się szeroko.

- „Księga umarłych” - powiedziała z tryumfem. Była to prawidłowa odpowiedź na pytanie o mumie i zaklęcia.

- Prawdziwy z ciebie amerykański geniusz! - zapewnił ją Ben.

Chrząknęła, przyjrzała się mu i dostrzegłszy książkę na jego podolku, zapytała: - Co czytasz? -

jakby nie wiedziała, jakie książki zostawiła mu żona. Ben zatrzasnął okładki i próbował wymyślić ciętą ripostę, wszakże usta same rozszerzyły mu się w uśmiechu. Sara przypatrzyła mu się uważniej.

- Z czego się tak cieszysz? Poznałeś kogoś w muzeum? Nagle opuścił go skrywany całymi latami



żał do Sary

- o jej talent, o wygadanie, dzięki któremu zawsze występowała w imieniu ich obojga, nawet o udane małżeństwo z wyjątkowym mężczyzną, którego sam wpakował jej w ramiona. Tego wieczoru to on był gwiazdą. Odwrócił się do skarbu,

51

wciąż leżącego za jego plecami, ujął go z namaszczeniem i wstając umieścił przed sobą, tak by Sara mogła dobrze widzieć.

- Poznajesz? - spytał cicho.

Upłynęła długa chwila, nim Sara odpowiedziała. Wpatrywała się w obrazek jak zaczarowana, a kiedy wreszcie się odezwała, Ben odniósł wrażenie, iż przemawia doń nie ze swego ciała, lecz gdzieś spod sufitu.

- Pamiętam z domu... - wyszeptała. Wolno przeniosła wzrok z obrazu na twarz Bena. - Kupiłeś kopię w muzeum?

- To nie kopia, Saro. To dokładnie ten sam obrazek, który wisiał w naszym salonie. Popatrz... o tu, w tym rogu... wyraźnie widać ślady lakieru do paznokci, którym go pomalowałam.

Sara nachyliła się i zbadała wzrokiem wskazany róg.

- O mój Boże, rzeczywiście. - Złapała się za usta i cofnęła o krok. - Skąd go masz?

- Z muzeum.

- Jak to?

- Był jednym z eksponatów.

Poderwała raptownie głowę i zrobiła jeszcze parę kroków do tyłu, tak że plecami dotykała ściany. Zatrzymała się i wpatrywała w Bena rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma, bez jednego słowa.

Poczuł się w obowiązku dodać coś, wyjaśnić, w jaki sposób własność muzeum znalazła się w jego posiadaniu.

- Nie mieli alarmów ani nic takiego... Sam byłem zdziwiony.

Broda zaczęła jej drżeć. Całą wieczność trwało, nim zareagowała.

- Ben, to przestępstwo - powiedziała i przełknąwszy ciężko ślinę, powtórzyła: - Przestępstwo, rozumiesz? Nie przelewki, jak w wypadku drobnej kradzieży w sklepie. Za coś takiego idzie się do więzienia, na litość boską!

- Tylko wtedy, gdy sprawca zostanie złapany - zauważył przytomnie Ben.

Sara zachłysnęła się z oburzenia.

- Gdy zostanie złapany?!!

52

Ben ani trochę nie przejął się siostrą, znów odwrócił obrazek i patrząc na niego, wolno osunął się na podłogę, za podparcie mając ramę łóżka. Sara ukucnęła przy nim, z trudem pohamowując złość. Jej oczy miały błyskawice, lecz Ben tego nie widział: pozornie całą uwagę poświęcał trzymanemu w ręku obrazkowi, modląc się w duchu, by Sara czym prędzej się opanowała. Wreszcie klapnęła obok niego i wypuściła głośno powietrze, powodując jeszcze większy zamęt w i tak rozwianych włosach. Ben pomyślał, że równie dobrze mogliby mieć po osiem lat, siedzieć na podłodze w pokoju któregoś z nich i kontemplować rysunek wyglądający na dzieło ośmiolatka. Na ułamek sekundy błysnęło w jego umyśle wspomnienie podobnej sytuacji, gdy to oni maczając dłonie w farbkach wodnych zamalowali całą ścianę sypialni Sary czymś, co ich zdaniem było śladami dzikich zwierząt. Zapewne nie skończyłoby się na jednej ścianie, gdyby nie przyłapali ich rodzice. W zażenowanie wprawiło Bena, że tęskni za tamtymi czasami. Obok niego Sara oddychała miarowo, jakby odzyskując spokój, wszakże jak się okazało, wciąż nie potrafiła skłecić zdania.

- Nie możesz... Nie możesz tak po prostu... Po prostu nie możesz...

- Dlaczego nie? - przerwał jej zniecierpliwiony Ben.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy kradnę ja, popełniam przestępstwo, a kiedy ktoś kradnie nam, nie robi nic złego?

- Przecież wiesz, że niczego nie jesteśmy w stanie udowodnić! A nawet gdybyśmy potrafili...

Nieoczekiwanie Ben grzotnął obrazkiem o podłogę. Cienka rama wytrzymała, chociaż zatrzeszczała niebezpiecznie; namalowana postać nadal unosiła się - albo jak kto woli leżała na płask - uwięziona w uścisku silnej męskiej ręki.

- Mam dość! - Ben krzyknął tak przeraźliwie i z taką złością, że zdziwiło to jego samego. Gdybyż miał odwagę w podobny sposób krzyknąć na swoją żonę, nim odeszła...

- Mam dość tego, że wszystko mi się odbiera! Rozumiesz, Saro? Z naszej rodziny pozostaliśmy tylko my... i ten obrazek.

- Wstrząsnął nim ni to szloch, ni to dreszcz. Namalowana postać również zadrżała. - Naszego domu także już nie ma...

53

Bo jak sądzę, przyszedł porozmawiać o jego sprzedaży, prawda? Sama więc widzisz, że nic nam nie zostało!

Z nich wszystkich tylko Sara zachowała spokój. Oparła się mocniej o ramę łóżka, uśmiechnęła i rzekła:

- Wcale nie chciałam rozmawiać z tobą o domu...

- Ben wstrzymał oddech, w uszach szumiała mu krew.

- Chciałam powiedzieć ci, że spodziewam się dziecka. Będziesz wujkiem, mój ty nierozumny starszy bracie. - Nie doczekawszy się żadnej reakcji, wybuchnęła śmiechem. Ben spoglądał to na nią, to na obrazek, nie wiedząc, czy ma się śmiać czy płakać. Podejrzewał, że siostra stroi sobie z niego żarty. Popatrzył na nią twardo i pytająco uniósł brwi, a ona w odpowiedzi potaknęła i drżącym głosem dokończyła: - Chcieliśmy powiedzieć ci o tym razem, ale Leonid ostatnio zostaje dłużej w pracy, a ja już nie mogłam się doczekać, żeby zobaczyć twoją minę, jak się dowiesz. Dziecko przyjdzie na świat zaraz po święcie Paschy.

Ben czuł się tak, jakby dostał silny cios w splot słoneczny. Początkowy szok przerodził się w zazdrość, która zamgliła mu wzrok; w płucach brakowało mu tchu. Kiedy wreszcie odzyskał zdolność mówienia, zamiast gratulacji wydukał:

- J... jesteś pewna?

- Ależ oczywiście, że jestem pewna! - zapewniła go ze śmiechem Sara.

Jąkał się i krztusił, rozpaczliwie próbując wyartykułować coś, co nie zdradzi jego prawdziwych uczuć.

- Tak, wiem, ale... Chodziło mi o to, że... Przecież dopiero się pobraliście! Czy jesteś pewna, że tego właśnie chciałaś?

Sara uniosła oczy do nieba, zadzierając przy tym wysoko głowę, i Ben dostrzegł jeszcze jedną niebieską plamkę na jej twarzy - dokładnie pomiędzy górną wargą i nosem.

- Tak. Tego właśnie oboje z Leonidem chcieliśmy

- powiedziała cicho. - Mieliśmy tylko nadzieję, że mama...

- Pociągnęła nosem.

Ben popatrzył na niebieszczącą się górną wargę siostry, jej niebieskie czoło i ręce, rzucił okiem na trzymany przez siebie obrazek, i pomyślał: Boże drogi, dziecko... A nasi rodzice nigdy go nawet nie zobaczą!

54

Tak jak siedzieli na podłodze, objęli się obydwójce, a właściwie troje, uświadomił sobie Ben mamrocząc wreszcie słowa gratulacji i otuchy. Teraz wyczuwał już obecność tej trzeciej osoby, nie będącej jeszcze osobą. Trzymali się mocno i kołysali w swoich ramionach, próbując przeniknąć myśli nie narodzonego dziecka.

W końcu Sara wstała, przywracając ich do rzeczywistości. Podniosła upuszczony przez Bena obrazek i ostrożnie położyła go na łóżku.

- Ktoś po niego przyjdzie - oznajmiła. - Nie możesz go tutaj zostawić. Musisz znaleźć jakąś kryjówkę.

- Gdzie na przykład?

- Gdziekolwiek, byle nie tutaj. Dziecko, kiedy już się urodzi, będzie potrzebowało wujka, i to na wolności, nie w więzieniu. - No tak, pomyślał Ben. Teraz najbardziej liczy się dziecko. - Nie martw się, wyciągniemy cię z tego.

Ben skrzywił się boleśnie.

- To jest nasz obrazek. Możesz mówić, co chcesz, ale ja nie mam zamiaru go zwracać ani tym bardziej do niczego się przyznawać. Nie przekonasz mnie, Saro.

- No to ty mnie przekonaj, że nie trafisz za kratki!

Długo po tym jak Sara wróciła do siebie, Ben leżał bezsennie w łóżku i wydawało mu się, że szybuje ponad cmentarzyskiem, w które zmienił się świat. Nagle, ku własnemu zdumieniu, daleko w dole dojrzał dwie wąskie ścieżynki, które nie wyglądały jak alejki cmentarne, tylko jak drogi, które naprawdę dokądś prowadzą. Może jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał Ben zasypiając.

## Rozdział Czwarty.

Benjamin Zyskind zaczął przejawiać nieprzeciętną inteligencję dopiero w wieku jedenastu lat. Niewykluczone, że był cudownym dzieckiem już wcześniej, mając sześć lat (badania naukowe dowodzą, że właśnie wtedy ludzki charakter i osobowość nabierają kształtu), niemniej dopiero jako jedenastolatek doświadczył czegoś, co wywarło niebagatelny wpływ na jego życie. Po pierwsze, zmarł jego ojciec. Po drugie, został zamknięty w klatce.

Klatka to oczywiście nie była prawdziwa klatka, tylko proteza ortopedyczna marki Milwaukee, ale dla Bena - odkąd ją zobaczył czy raczej, bardziej precyzyjnie, odkąd lekarz przy pomocy matki zamknął go w niej na dobre (co zajęło przeszło pół godziny, które Ben z pewnością spożytkowałby na gorący protest, gdyby wiedział to, co oznajmiono mu już po fackie, a mianowicie że spędzi w niej najbliższe sześć lat bez chwili przerwy) - równała się karcerowi, i to dożywotniemu: w końcu był na nią skazany na więcej niż połowę dotychczasowego życia, a właściwie na całe, wzięwszy pod uwagę, że z paru pierwszych lat i tak niczego nie pamiętał. Ben był mądrym chłopcem, zawsze wygrywał w gry planszowe, ale ruchliwym: nie potrafił usiedzieć na miejscu. Wszędzie go było pełno, poruszał się szaleńczym biegiem, a jedyne chwile, kiedy stał spokojnie, spędzał za domem, z niemałą fascynacją obserwując efekty swoich eksperymentów i porównując palność rozmaitych środków czystości znalezionych w szafce pod zlewem.

56

Podczas choroby ojca, trwającej w sumie trzy miesiące, nikt nie zwrócił uwagi, że prawy bark Bena dziwnie zwisa. Gdy ojciec umarł, wszyscy zapadli się w sobie i znów nikt niczego nie zauważył. Dopiero parę tygodni po pogrzebie, kiedy Sara zaczęła rysować skrzywione postaci i sama naśladowała małą sylwetkę brata, matka otrząsnęła się ze stuporu i podniosła alarm. Uspokajano ją, że to normalne u nastolatka, który wstydy się własnego rosnącego ciała, jednakże nikt nawet nie mógł przypuszczać, że Ben wstydy się również własnej duszy. Ostatnią chwilą wolności Ben cieszył się wracając taksówką od lekarza - klatka leżała na siedzeniu obok. Gehenna miała się rozpocząć nazajutrz. I zaczęła się czterdziestopięciominutowym upokorzeniem, kiedy matka usiłowała wtłoczyć go do środka, aż w końcu poddała się i z ulgą poszła odebrać telefon od agenta ubezpieczeniowego. Ben dalej walczył sam, do czasu aż do łazienki wkroczyła Sara, zastając go wciśniętego pomiędzy umywalkę i sedes, gołego jak go Pan Bóg stworzył, jeśli nie liczyć skąpych slipków i do połowy założonej protezy.

- Mama kazała, żebym ci pomogła - oznajmiła, unikając jego wzroku. Sama była już ubrana w szkolny mundurek.

- Nie potrzebuję pomocy! - warknął Ben, wstydliwie się od niej odwracając.

Sara była odeń dziesięć minut młodsza i dotąd zawsze jej o tym przypominał, ale ostatnimi czasy gdzieś utracił tę przewagę. Po śmierci ojca zauważalnie wystrzeliła w górę i teraz górowała nad nim wzrostem, miała nawet zaczątki piersi, podczas gdy on nadal był dziecięcej postury, bez cienia włosów na twarzy, patyczaty, a do tego - jak w tamtej chwili - prawie nagi i obleczony w ohydny

stalową klatkę. Zawział się w sobie i zagryzając z wysiłku wargę, sięgnął po klamrę kołnierza, którą próbował spiąć kilkakrotnie i tyleż samo razy musiał zrezygnować, gdyż zwyczajnie nie miał dość długich i elastycznych rąk ani wystarczająco dużo siły, by pokonać oporny metal. Tym razem było jeszcze gorzej, ponieważ całą operację obserwowała Sara - czuł na sobie jej wzrok i robiło mu się jeszcze goręcej. Na dodatek kołnierz zaczął mu się wpijać w tchawicę, co było wprost nie do wytrzymania. Ben rzucił okiem w lustro i zadrżał ze zgrozy. Wyglądał groteskowo:

57

pręty klatki, jeden z przodu i dwa z tyłu, biegły wzdłuż jego tułowia, od szyi po dolne partie brzucha, a szyję otaczał nie domknięty pierścień kołnierza, odbierającego mu dech w piersi. Talię opasywał wzmocniony metalem plastik, podobna płyta tkwiła pod jego chorym ramieniem. Gdyby miał odwagę, toby się rozplakał.

- Daj, pomogę ci - zaoferowała Sara od drzwi łazienki. Chwilę później już sięgała po oporną klamrę, a jej włosy łaskotały Bena w kark.

- Nie chcę, żebyś mi pomagała! - ryknął jak ranione zwierzę.

Poczynił jeszcze jedną próbę, wyginając całe ciało niczym człowiek guma i machając żałośnie rękoma, lecz na próżno. Sara obserwowała go, krzywiąc się - z obrzydzenia lub współczucia, trudno by to było stwierdzić - po czym nagle zwinnym ruchem szarpnęła klamrę i ją zatrzasnęła. Od tej chwili Ben był stuprocentowo unieruchomiony: nie mógł się odwrócić ani schylić, ani nawet pokręcić głową. Znalazł się na łasce i niełasce humorzastej Sary. Patrzył prosto przed siebie - w lustro. Jemu z kolei przyglądał się sponad metalowego rusztowania zapłakany i zasmarkany chłopiec.

- Wyglądasz jak rycerz w zbroi, wiesz? Nikt nie jest w stanie cię skrzywdzić - szepnęła Sara. Jej twarz pojawiła się w lustrze obok niego. W przyływie rozpaczycy zamknął mocno oczy. Pod metalem i plastikiem wszystko niemiłosiernie go swędziało. - Ben, będzie dobrze, zobaczysz - zapewniła go czule Sara. - Teraz może już być tylko lepiej, prawda?

Ben gwałtownie rozwarł powieki i w chwili jasności pomyślał: Nieprawda! Właśnie że może być jeszcze gorzej! Jednakże zmusił się, by niezauważalnie skinąć głową, i przybrał coś na kształt uśmiechu. Dokonując tych cudów dla dobra młodszej siostry, rozumiał, że oto jest świadkiem pierwszego przebłysku swego geniuszu.

Nazajutrz matki nie rozpraszały żadne telefony, toteż Ben znalazł się wewnątrz swojej klatki szybciej, niżby sobie życzył. Pozostawiony sam sobie odnalazł wycinki z gazet poruszające

58

temat radzieckiego dysydenta pochodzenia żydowskiego, Natana Sharansky'ego, dopiero co uwolnionego z gułagu, i wprost nie mógł się oderwać od opisów więziennego życia, które dzień i noc toczyło się za grubym betonowym murem. Wkrótce artykuły prasowe przestały mu wystarczać i zaczął wypożyczać z biblioteki książki o więzieniach, gułagach, obozach, a nawet, niezupełnie przypadkiem, o „Hanoi Hilton”, czyli okrytym złą sławą obozie jenieckim Hoa Lo z czasów wojny wietnamskiej. Tę ostatnią książkę niestety wypatrzyła jego matka i zwróciła do biblioteki pod pretekstem, że dawno minął termin jej oddania, ale Ben i tak ją przeczytał, tyle że w mniej komfortowych warunkach i udając, że to lektura wymagana na fakultet do szkoły. Przestał się bawić zestawem małego chemika i nie podkradał już materiałów łatwopalnych, by podziwiać miniaturowe eksplozje za domem - zamiast tego całe dni spędzał w swoim pokoju, czytając. Sara z dobroci serca albo z czystej złośliwości - Ben najwyraźniej nie potrafił przejrzeć intencji bliźnich - wystosowała list do małej lokalnej stacji telewizyjnej z propozycją programu „Dorośli kontra cudowne dzieci”. Ku zdumieniu wszystkich pomysł chwycił, a pilotowy odcinek zrobił furorę, w czym nie było niczego dziwnego, jako że cudowny Zyskind odniósł miażdżące zwycięstwo trzystoma punktami nad uznanym w świecie nauki profesorem nauk politycznych z Uniwersytetu Princeton.

Oczywiście medialna sława odbiła się rykoszetem i znacznie pogorszyła jego pozycję w szkole. Już wcześniej miał mało kolegów, ale odkąd zaczął występować w telewizji i co gorsza, mądrzyć się,

nikt nie chciał się z nim zadawać, przynajmniej nie w normalny, przyzwoity sposób. Nęcano go, jak tylko dojrzewające nastolatki potrafią to robić: podkładano mu pinezki, zapychano zamek szafki na ubrania, pluto nań i strzelano mu balonami z gumy do zucia prosto w twarz. Najgorsze były przerwy obiadowe, kiedy stanowił łatwy cel; w tamtym czasie Ben najbardziej lubił wtorki, gdyż wtedy obie siódme klasy kończyły zajęcia o tej samej godzinie, co dawało mu możliwość schronienia się pod skrzydła Sary, która notabene także nie miała wielu przyjaciół. Jednakże na ogół był zdany sam na siebie i skazany na niewybredne kawały uczniów,

59

takie jak przekazywanie mu podczas lekcji „liścików” z obelgami czy maraton bekania, ilekroć został wezwany do odpowiedzi (zadziwiające, że nikt z nauczycieli na to nie reagował). Każdy dzień zaczynał się i kończył odśpiewaniem w szkolnym autobusie „hymnu” na jego cześć. Że go nie zbito na kwaśne jabłko, zawdzięczał tylko temu, iż kiedy on po raz pierwszy męczył się ze swoją klatką u lekarza, w szkole zorganizowano pogadankę na temat skoliozy, z której uczniowie wyciągnęli wniosek, że Zyskind jest kaleką.

A noce były jeszcze gorsze. Ben nie umiał zasnąć w niewygodnej pozycji narzuconej przez stalowo plastikowy gorset, leżał więc i przysłuchiwał się, jak matka krąży po domu, otwiera i zamyka szuflady z rzeczami ojca, od czasu do czasu wyrzucając coś na podłogę, w pokoju obok zaś Sara łkała coraz głośniej, aż w końcu na paluszkach przebiegała do sypialni rodziców, gdzie z westchnieniem ulgi wtulała twarz w ojcowską poduszkę. Jeśli udało jej się zasnąć we własnym łóżku, spała z otwartymi oczyma - o czym Ben przekonał się, zakradając się w środku nocy do jej pokoju, aby zabrać jakąś książkę

- jak gdyby spodziewała się, że w każdej chwili może nastąpić kolejna katastrofa, i musiała być na nią przygotowana. A Ben, z książką czy bez, leżał wyciągnięty jak długi niczym na Madejowym łożu, bezskutecznie walcząc z przytłaczającym go na wysokości mostka ciężarem, i z każdą nocą zyskiwał na pewności, że to co się stało, to nie jest żaden żart ani koszmar, ani nawet nieszczęście, jakie przecież każdemu może się przytrafić, ale cena za miłość; że tak właśnie będzie wyglądało jego życie, a dotychczasowy ból to dopiero preludium do tego, co go czeka w przyszłości, że po ojcu przyjdzie czas na jego matkę, siostrę, żonę, dzieci - wszystkich, których pokocha

- ponieważ człowiek to ledwie smuga dymu na rzeczywistości i najlepsze, co może się nam w tym życiu przydarzyć, to nie pozostać ostatnimi...

Dwa lata później, kiedy Ben był gwiazdą telewizji i więźniem swojej klatki, w jego życiu pojawił się Leonid Iljicz Dymitrow.

60

Cztery miesiące przed bar micwą Ben zyskał brata bliźniaka w osobie Leonida Iljicza z Czarnobyli na Ukrainie w ZSRR, gdzie żaden żydowski chłopiec nie miał szans na oficjalne wstąpienie do świata dorosłych. Według zamysłu tego szlachetnego przedsięwzięcia, szeroko wówczas rozpowszechnionego w całej Ameryce już od przeszło dziesięciu lat, Ben miał zostać zawezwany do Tory nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu swego „bliźniaka” zza żelaznej kurtyny. Odpowiednio wcześniej otrzymał jego adres z poleceniem, by napisał list, nie oczekując nań odpowiedzi. Sara, która jako dziewczynka dostąpiła bar micwy o rok wcześniej, w wieku dwunastu lat - jak we wszystkim, i w tym wyprzedziła Bena - po prostu wysłała kartkę pocztową z najlepszymi życzeniami dla ofiary nietolerancji religijnej, po czym niemal natychmiast wyrzuciła adres. Godzinę potem nie pamiętała nawet imienia małej Rosjanki.

Jednakże kiedy Ben otrzymał adres Leonida, wydrukowany na eleganckim papierze z logo stowarzyszenia zaangażowanego w ochronę praw Żydów rosyjskich, z gwiazdą Dawida wplecioną pomiędzy sierp i młot i hasłem: „Jeśli nie teraz, to kiedy?”, pomyślał o swojej okropnej szkole, w której nadal był prześladowany w równej mierze z powodu swojej klatki, jak i swego geniuszu, i postanowił, że będzie pisał tak długo, aż w końcu otrzyma odpowiedź.

Drogi Leonidzie!

Pozdrowienia z Kraju Ludzi Wolnych i Odważnych!

Nazywam się Ben Zyskind i jestem Twoim „bliźniakiem” z okazji bar micwy. Nie mogę się już doczekać naszego święta i bardzo żałuję, że nie będzie Cię koło mnie, kiedy będę recytował fragment Tory za nas obu. Wybrałem ten kawałek o wyjściu Żydów z niewoli egipskiej i przekraczaniu Morza Czerwonego. Mam szczerą nadzieję, że i Tobie uda się je kiedyś przekroczyć i przybyć do Ziemi Obiecanej.

Twój „bliźniak” Benjamin Zyskind.

61

Ben był bardzo dumny z aluzji do Morza Czerwonego. Początkowo chciał użyć jakiejś bardziej zawołowanej metafory, aby zmylić radzieckich cenzorów, ale że nie mógł być pewien, na ile domyślny jest Leonid - ani czy w ogóle zna angielski, jeżeli już o to chodzi - zdecydował się na złoty środek. Wykaligrafował swój podpis, starannie zakleił kopertę, nalepił znaczek, wysłał list i... czekał.

Leonid nie odpisał.

Bena to niezmiernie zmartwiło - dlatego że wciąż nie miał korespondencyjnego przyjaciela, a także ponieważ obawiał się, że wpakował Leonida i całą jego rodzinę w poważne kłopoty. Matka zapewniała go wprawdzie, że świat się zmienił i takie rzeczy już nie mają miejsca, ale Ben nie był tego wcale taki pewien. Przez wiele dni chodził jak struty, zadreęczając się w myślach możliwymi scenariuszami, na przykład że jego list wpadł w łapy KGB, które natychmiast zaarrestowało trzynastoletniego wroga ludu i wysłało go do Nowosybirsk (Ben usłyszał tę nazwę na lekcji geografii, kiedy była mowa o najniższych temperaturach na świecie; Nowosybirsk zajmował stosunkowo wysokie miejsce na liście miast o populacji powyżej miliona mieszkańców, gdzie panowała najniższa średnia dzienna temperatura powietrza). Po jakimś czasie mu przeszło i zaczął podejrzewać, że Leonid po prostu nie zna angielskiego i że na nic się zdało jego staranne wybieranie słów łatwych i zrozumiałych dla pięciolatka. Rzykując, że przez niego Dymitrowowie trafią do gułagu, postanowił napisać drugi list.

Drogi Leonidzie!

Pozdrawia Cię Twój bar micwa bliźniak Benjamin Zyskind.

To już mój drugi list, gdyż na pierwszy nie odpisałeś. Oczywiście rozumiem, że może to dla Ciebie być trudne, więc się nie gniewam.

W tym liście chcę Ci opowiedzieć o sobie. Chodzę do siódmej klasy. Myślę, że Ty też - to znaczy, jeśli w ZSRR macie siódmą klasę. Chociaż przeczytałem wiele książek, w tym także o Związku Radzieckim, nigdzie nie było napisane, czy szkoła dzieli się u was na klasy i jeśli tak, to na ile.

Pewnie pomyślałeś

62

sobie, że muszę czytać te wszystkie książki w szkole. Otóż nie: szkoła to łatwizna, a ja występuję w programie „Dorośli kontra cudowne dzieci”, w którym odpowiadam na trudne pytania, a moimi przeciwnikami są bardzo mądry ludzie.

Zeszłego wieczoru także byłem w studio i wygrałem, jak zwykle. Jedno z pierwszych pytań brzmiało: „Jaki był powód katastrofy w Czarnobylu?” i oczywiście znałem na nie odpowiedź, częściowo dzięki Tobie, ponieważ dopiero kiedy otrzymałem Twój adres, zainteresowałem się miastem, w którym mieszkasz. Tak więc chyba muszę Ci podziękować. Dziękuję!

Przypuszczam, że Ty nie masz okazji występować w telewizji, zatem jeśli chcesz, mogę być Twoim bliźniakiem nie tylko z okazji bar micwy, ale także w TV! W takim razie przyjmij moje gratulacje, że mieszkasz w Czarnobylu i znałeś odpowiedź na pytanie o katastrofę.

Przy okazji - ciekaw jestem, czy rozwinęły się w Tobie jakieś mutacje...

Twój „bliźniak” Benjamin Zyskind.

Leonid dalej milczał.

Widząc, że Ben codziennie zagląda do skrzynki na listy, jego matka powiedziała:

- Może powinienes przestać do niego pisać.

Była pochłonięta nadawaniem ostatecznego kształtu naszkicowanym ołówkiem rysunkom. Ben

wiedział, że oprócz ilustrowania cudzych książek matka próbuje stworzyć własną, do czego przymierzała się jak przysłowiowy pies do jeża, podejmując i zarzucając pracę w regularnych odstępach czasu. Miały się tam znaleźć rysunki miasta, pogrążonego w błocie, i małego chłopca z gasnącą latarnią, stojącego na miejskim rynku i wołającego o pomoc, podczas gdy błoto wciąga go coraz głębiej i głębiej.

- Ale Sara wciąż pisze do taty! - bronił się Ben. - Dzień w dzień, od dwóch lat!
- To co innego - westchnęła matka, pracowicie wypełniając obrazek kolorem.

63

Zajrząwszy jej przez ramię, Ben zobaczył, jak kilka lekkich kresek zamienia się w mężczyznę nadjeżdżającego na koniu od strony horyzontu. Zdawał sobie sprawę, że matka nie jest w nastroju do rozmowy, zwłaszcza o ojcu, ale nie dawał za wygraną.

- Jedyna różnica jest taka, że Sara marnuje znaczki pocztowe, a ja nie! - Ben nie zważał na to, że przeciąga strunę, precyzując, co dokładnie ma na myśli. - Ten mój „bliźniak” Leonid może mi kiedyś odpowiedzieć, podczas gdy tata z całą pewnością...
- Dostyc, Ben! - przerwała mu ostro matka, odrywając wzrok od rysunku. Jej twarz poczerwieniała.
- ...nie odpowie Sarze! Słyszał to kto, żeby zmarli odpowiadali na listy!
- Dostyc tego!

Ben jednak nie miał zamiaru przestawać. Na tyle na ile umożliwiał mu to gorset, wykręcił szyję i kierując głos w stronę przedpokoju, krzyknął:

- Słyszysz, Sara? Tata nie żyje! Na tamtym świecie nie czyta się listów!

Matka, ze złości czerwona jak piwonia, nie wytrzymała i uniosła rękę wysoko w powietrze.

Dostrzegłszy to kątem oka, Ben skulił się w sobie; w „klatce” nie był w stanie zrobić uniku ani tym bardziej uciec. Jednakże cios nie padł - wzrok matki nagle złagodniał, gdy popatrzyła na nienaturalnie opadający, teraz zmuszony do trzymania poziomu, bark. Jej współczucie było gorsze od uderzenia i Ben poczuł żal na myśl, że nawet rodzona matka uważa go za kalekę.

- Idź do swojego pokoju - powiedziała głucho, opuszczając wolno rękę i sięgając po pędzelek. - Po prostu zejdź mi z oczu.

Ben bardzo chciał się jakoś odciąć, ale rozmowa była skończona. Wszystko było skończone. Drżąc wewnątrz swego pancerza, upokorzony i bezradny, powłókł się w stronę swojego pokoju, mamrocząc pod nosem:

- Na tamtym świecie nie czyta się listów!

64

Na tym niestety także nie, o czym Ben przekonał się w miesiącach, które nadeszły. Termin bar micwy zbliżał się nieubłaganie, a odpowiedzi od Leonida jak nie było, tak nie było. Jeśli na to popatrzeć obiektywnie, nie miało to wielkiego znaczenia - przecież mały Rosjanin był tylko symbolem, niewyraźną sylwetką unoszącą się na nienamalowanym tle. Jednakże w umyśle Bena z każdym dniem nabierał kształtów, jak embrión w łonie matki - z niebytu wyłaniały się palce i usta, kręgosłup i oczy, i włosy... Kiedy tylko mógł, Ben wyobrażał sobie, że i on dysponuje kruchym, lecz zwinnym i wytrzymałym ciałem o najprostszym kręgosłupie na świecie.

Nie przestał też pisać listów, chociaż zaczął korzystać z innej skrzynki pocztowej, ustawionej w pobliżu szkoły.

Drogi Leonidzie!

W ostatnim liście opowiedziałem Ci o sobie, ale sądzę, że powinieneś również dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie.

Moja mama mówi, że nasza rodzina od zawsze walczyła o wolność. Ona sama przyjechała do Stanów jako mała dziewczynka - z ZSRR. Wtedy było to jeszcze trudniejsze niż teraz, a sam na pewno wiesz, jak ciężko jest wydostać się z Twojego kraju. Ojciec mamy a mój dziadek trafił tam do więzienia, wcale nie dlatego że kogoś zabił czy okradł, czy coś, ale zupełnie bez powodu, co ponoć wciąż często się zdarza. Mama z babcią wyjechały, nie wiedząc, co się z nim dzieje, i dopiero wiele lat później dowiedziały się, że zmarł.

Mój tato także walczył o wolność, służąc krajowi podczas wojny w Wietnamie. Na pewno chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej, ale obawiam się, że nie jestem w stanie spełnić Twego życzenia, ponieważ sam niewiele wiem - ludzie jakoś nie lubią rozmawiać na ten temat, a jak już Ci wcześniej wspomniałem, w szkole uczymy się o innych, niepotrzebnych rzeczach. Na przykład co roku mamy historię Ameryki, ale zawsze kończy się na 1945 roku. Przypuszczam, że uznano, iż po tym roku nie wydarzyło się już nic ciekawego. Wprawdzie na samym końcu podręcznika jest rozdział poświęcony latom 1945 i późniejszym, ale zawsze zanim do niego dojdziemy, kończy się rok szkolny. Wyszperałem parę książek o Wietnamie w bibliotece, ale kiedy je

65

przyniosłem do domu, mama wpadła w szał i zaczęła na mnie wrzeszczeć.

Dwa lata temu znalazłem w szufladzie taty metalowe blaszki z jego nazwiskiem. Zapytałem mamę, co to takiego, a ona odpowiedziała, że będąc na wojnie, tato musiał je nosić na szyi na wypadek, gdyby go zabito i zmasakrowano mu twarz, tak że nikt nie byłby w stanie go rozpoznać. Na szczęście dla Ciebie nic podobnego się nie stało - no wiesz, wtedy ja bym się nie urodził i nie miałbyś swego „bliźniaka”.

Twój „bliźniak” Benjamin Zyskind.

Drogi Leonidzie!

Zapomniałem Ci ostatnio napisać, że mój tato zmarł parę lat temu.

Zapomniałem także o najważniejszym: w zeszłym tygodniu odbyła się nasza bar micwa. Tak jak Ci obiecywałem, odczytałem fragment Tory bez zająknięcia, tak jak należy to zrobić. Oczywiście mam na myśli nie tylko swój, ale i Twój fragment, więc możesz wszystkim mówić, że Twoja bar micwa odbyła się jak należy. Chyba się cieszysz, zwłaszcza że nie musiałeś nawet kiwnąć palcem, prawda? Po uroczystości poszliśmy do nas do domu na obiad, który był strasznie nudny, bo wszyscy mówili w kółko to samo: gratulacje, jesteś już prawdziwym mężczyzną, twój tato byłby z ciebie bardzo dumny, jaka szkoda, że go tu z nami nie ma, i tak dalej w ten deseń. Myślę więc, że nie masz czego żałować.

Oczywiście było mi przykro, że nie mogłeś być obecny na swojej bar micwie, ale jeśli mam być z Tobą całkowicie szczery, znacznie bardziej brakowało mi mojego taty.

Twój „bliźniak” Benjamin Z.

Drogi Leonidzie!

Nienawidzę szkoły! No, może z wyjątkiem lekcji matematyki. Cała reszta to potworna strata czasu! Wspominałem Ci chyba, że wiele czytam, w tym także książek o więzieniach, i właśnie z nich dowiedziałem się, że większość więzień malowano na

66

mdłe kolory. Uwierzysz, że moja szkoła jest również pomalowana na mdłe kolory?! Wszystkie ściany są beżowe, podłogi szare, a szafki na ubrania seledynowe! Tylko świeżo wyremontowane skrzydło budynku jest inne, ale tam z kolei jest za kolorowo: drzwi są odblaskowo niebieskie, szafki czerwone i żółte, a podłoga lśniącą białą - to znaczy jeszcze do niedawna taka była, bo teraz też jest już zmatowiała i szarobura. To ciekawe, że dopiero teraz zrozumiałem, że mdłe kolory wcale nie były takie złe. Przy nich przynajmniej nie trzeba było udawać, że jest się zadowolonym i szczęśliwym!

Prawdę powiedziawszy, mam poważne wątpliwości, czy gdziekolwiek można być zadowolonym i szczęśliwym. Wydaje mi się, że kiedy byłem mały, byłem szczęśliwy przez większość czasu, ale nie mogę tego wiedzieć na pewno, teraz zaś najczęściej jestem nieszczęśliwy. Czasami myślę nawet, że szczęśliwy byłem tylko przed narodzinami, lecz wtedy jeszcze nie potrafiłem tego docenić. Jestem pewien, że w miejscu, w którym przebywałem, zanim przyszedłem na świat, było całkiem miło, tyle że nic z tego nie pamiętam, no i nie mogę tam już wrócić...

Zastanawiam się, czy i Ty masz podobne odczucia, ale oczywiście jeśli nie chcesz, to nie pisz.

Twój „bliźniak” Ben Z.

Minęły dwa lata, a Ben wciąż pisał. Któregoś dnia Związek Radziecki upadł, rozpoczął się exodus z



„Morza Czerwonego” i mniej więcej połowa diasporę żydowskiej z Czarnobyli znalazła się w New Jersey, w mieście, gdzie mieszkał Ben. Pośród nich był Leonid Dymitrow. Znajome nazwisko wpadło w oko matce Bena, kiedy przeglądała w prasie listę imigrantów szukających osób chętnych, by wprowadzić ich w nowy świat. Dokładnie mówiąc, na liście znajdowała się pani Dymitrowa (matka Leonida, nauczycielka angielskiego) i L. Dymitrow (dziewiątoklasista). Wystarczył jeden telefon i byli umówieni na obiad w domu Bena.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Zyskindowie ustawili się rzędkiem w przedpokoju (stojący na końcu Ben chwalił Boga, że jego nowy gorset nie ma już podpórki na brodeę

67

i niemal w całości mieści się pod koszulą). Na progu stała potężna ciemnowłosa kobieta, ubrana w mdłą brązową sukienkę, za nią majaczył ktoś jeszcze, lecz Ben nie widział wyraźnie, gdyż zasłaniała mu Sara, wciąż od niego wyższa i ostatnimi czasy nieustannie brudna od farby. Matka Bena czyniła honory pani domu.

- Witam, jak się pani miewa, pani Dymitrowa?

- Och, proszę mi mówić Raisa - odparła kobieta głębokim basem, połykając końcówki.

- W takim razie ty także musisz mówić do mnie po imieniu - zaproponowała matka Bena z uśmiechem. - Kiedy byłam małą dziewczynką, wołano mnie... Raisa!

Raisa Dymitrowa otworzyła szeroko oczy, z niemałym trudem, gdyż powieki miała pokryte grubą warstwą cienia i tuszu, i głośno powiedziała coś po rosyjsku.

Matka Bena roześmiała się i wyjaśniła:

- Niestety nie mówię już po rosyjsku.

Ben zdziwił się, słysząc to kłamstwo. Dobrze wiedział, że późną nocą przez sen matka nie raz krzyczała w ojczystym języku. Raisa Dymitrowa jednak najwyraźniej pochwalała zdradę ojczyzny.

- I dobrze - oznajmiła tubalnie. - Rosjanie to złodziejskie szczury.

Pani Zyskind uśmiechnęła się niepewnie, po czym odwróciła do dzieci i dokończyła prezentację.

- A to są...

Ben wszakże nie usłyszał nic więcej, gdyż w tej samej chwili przez próg przestąpił Leonid.

Piętnastolatków, bez względu na to skąd pochodzą, można podzielić na dwie grupy: tych, co wyglądają na dwanaście lat, i tych, których śmiało można nazwać starymi koźmi, przypominającymi młodych mężczyzn. Benjamin Zyskind niewątpliwie należał do pierwszej grupy. Leonid Iljicz Dymitrow - do drugiej.

Powiedzieć, że był duży, to za mało. On był ogromny, kolosalny! Ben musiał wyciągać szyję, co nie było łatwe z uwagi na krępujące go pasy gorsetu, żeby ogarnąć wzrokiem całą sylwetkę swego „bliźniaka”. Myślał przy tym, że to niemożliwe,

68

by taki rozmiar osiągnął zdrowy na ciele chłopak. Z pewnością cierpi na nadczynność któregoś gruczołu dokrewnego albo na akromegalię, uznał w duchu (świerzbil go przy tym palec, którym zazwyczaj uderzał w przycisk sygnalizujący, że zna prawidłową odpowiedź). Do głowy przychodziły mu i inne możliwości: kretynizm, zespół Marfana. (Na ten ostatni cierpiał, jak wszystkim wiadomo, Abraham Lincoln. To dlatego był niespotykane wysokiego wzrostu, miał zapadniętą klatkę piersiową, dłuższe niż normalnie kończyny, szmery w sercu i tak dalej. Nawet gdyby nie zginął zamordowany, nie dożyłby czterdziestki, no ale przynajmniej nie zostałby zastrzelony.) Równie prawdopodobne było, że Leonid poważnie ucierpiał podczas katastrofy w Czarnobyli.

Na oko mierzył co najmniej dwa metry. Kiedy przekraczał próg domu Zyskindów, musiał się pochylić, by czubkiem głowy nie zahaczyć o futrynę. Wypełnił sobą cały otwór drzwiowy (Benowi na ten widok równocześnie wychodziły oczy z orbit i boleśnie wpijały się w kark pasy przekłętego gorsetu), tak potężnej był postury. Masywne ramiona wtłoczone miał w przykrótkie rękawy flanelowej koszuli, silnie owłosioną klatkę piersiową ściśle opinała czarna trykotowa koszulka, a monumentalne nogi, z których jedna stała już pewnie w mieszkaniu, podczas gdy druga wciąż

czekała na wycieracze, górowały nad progiem niczym słynny Kolos Rodyjski (Ben przytrzymał siłą rwącą się do przycisku rękę). Sylwetkę herosa wieńczyła gigantyczna głowa, opromieniona ceglastoczerwonymi włosami przypominającymi płonąca aureolę, z wielką obwisłą twarzą niczym księżyc w pełni (choć raczej należałoby rzec: krwisto zachodzące słońce), w której tkwiły oczy spoglądające na zebranych z ni mniej, ni więcej tylko pogardliwą nudą. Iskierki zainteresowania pojawiły się w nich dopiero wtedy, gdy spoczęły na Sarze. Ładnie wykrojone usta najpierw ułożyły się w brzydki grymas, a później dzięki drobnej zmianie w układzie warg przybrały kształt lekkiego uśmiechu.

Ben odczekał, aż przybysz spojrzy wprost na niego, i wtedy wyciągnął przed siebie dłoń. Od dłuższej chwili prowadził w głowie obliczenia, na jaką wysokość będzie musiał ją unieść, by mogło dojść do powitalnego uścisku, przemyśliwując także,

69

co by tu powiedzieć. Właśnie gdy miał wydusić z siebie banalne „Cześć!”, Leonid odwrócił się, przyjrzał swojej lewej stopie, wciąż stojącej na ganku, po czym splunął tuż obok i roztarł czubkiem buta rzucony tam wcześniej przez siebie niedopałek.

- Nie mam pojęcia, czym karmią go w szkole - (Leonid zrzędzeniem losu trafił do tej samej szkoły, do której uczęszczał Ben) - ale nawet w Czarnobylu, gdzie nie było do jedzenia nic innego jak tylko kapusta, nie przestawał rosnać

- oznajmiła Raisa Dymitrowa, gdy usiedli do stołu. - Aż się boję pomyśleć, co się będzie działo tutaj, z całym tym amerykańskim jedzeniem na wyciągnięcie ręki! Skaranie boskie mieć w domu takiego giganta... - Leonid mruknął coś pod nosem, Ben zaś nie wiedział, co ze sobą począć. - No ale - Raisa roześmiała się dźwięcznie - wiadomo, jacy są mężczyźni. To istne potwory. Powinnaś się cieszyć, że masz w domu tylko jednego.

Ben zauważył, że twarz matki boleśnie się ściągnęła na tę uwagę - ledwie dostrzegalny ruch mięśni, drgnienie powieki, których Raisa Dymitrowa nawet się nie domyślała, mimo że patrzyła wprost na rozmówczynię, siedząc naprzeciwko niej. Poczesne miejsce przy stole i ulubione krzesło świętej pamięci pana Zyskinda zajmował Leonid.

- A czy tata Leonida także przyjechał do Ameryki? Raisa sarknęła.

- Tata Loni to... Nie znam angielskiego słowa, ale po naszymu mówi się na takich mamzer - powiedziała gniewnie.

- Dwa lata temu uciekł z gruzińską dziwką.

Sara, która właśnie upijała łyk soku, zakrzuszyła się, rozkasłała gwałtownie, po czym prychnęła płynem na stół. Otwierała i zamykała usta, nie mogąc złapać powietrza, co spowodowało, że obie kobiety, niezmiernie zadowolone z tej nagłej zmiany tematu, podskoczyły do niej i jęły ją na przemian walić po plecach i proponować coś do picia. (Ben oczywiście podejrzewał, że Sara udaje.) Wkrótce wszyscy się śmiali w głos i nikt już nie pamiętał, co mówiła pani Dymitrowa o swoim mężu. Nawet Leonid się rozchmurzył.

70

Przez resztę kolacji Ben uważnie przyglądał się Loni. Doszedł do wniosku, że chłopak zna angielski, ponieważ we właściwych momentach chrząkał potakująco bądź przecząco. Przede wszystkim jednak Leonid jadł. Nie, nie jadł; on pochłaniał to, co znalazło się na jego talerzu, machając rękoma wielkimi jak łopaty. Ben nie wierzył, że ma przed sobą tego samego Leonida, do którego pisał przez ponad dwa lata. Przecież tamten był normalnego wzrostu, łagodny jak baranek, powolny i rozmowny. Z pewnością ani trochę niepodobny do tego behemota. Ben jak zwykle oddał się zajęciu całą duszą, toteż niewiele słyszał z toczącej się przy stole rozmowy - aż do chwili, kiedy padło jego imię.

- Ben pisał takie wspaniałe listy do Loni - oświadczyła Raisa Dymitrowa. - Wiem, bo sama je czytałam... To znaczy nie wszystkie, tylko te ostatnie.

- Ostatnie? - powtórzyła matka Bena, nachylając się do przodu. - Jak to? Przecież bar micwa była dwa lata temu.

Raisa zaśmiała się, a tłuszcz na jej podbródku zafalował.

- No tak... Niemniej ostatni list przyszedł na trzy dni przed naszym wyjazdem z ZSRR.

Niewykluczone, że odkąd nie ma kto jej opróżniać, skrzynka na listy jest nimi wypchana...

Sara także się nachyliła. Teraz już wszyscy wpatrywali się w Bena, który po raz pierwszy w życiu zapragnął, by klatka, jaką musi nosić, była większa i do tego najlepiej nieprzezroczysta.

- Zabrałam je nawet do szkoły, żeby pokazać moim uczniom - ciągnęła ożywionym tonem Raisa Dymitrowa. Kiedy się uśmiechała, na jaw wychodziło jej mało imponujące uzębienie. - Nie co dzień mieli okazję, by zapoznać się z tekstem pisanym przez rówieśnika z Ameryki i dowiedzieć czegoś o tym kraju z pierwszej ręki. Do tego listy Bena były takie uczuciowe...

Kiedy Ben to usłyszał, zrobił się czerwieńszy niż ukraiński barszcz, a oczy zaszyły mu mgłą.

- A Leonid ich nie czytał? - zdziwiła się w imieniu Bena jego matka. - Przecież listy były właściwie do niego...

71

Odpowiedzią był perlisty śmiech, jakiego nie powstydzilaby się aktorka prowincjonalnego teatru.

- Och, wiesz, jacy są chłopcy. Wolą oglądać dziewczęta w telewizji, niż czytać listy w obcym języku. Prawda, Lonia? Nic, tylko patrzyłbyś na ładne dziewczęta - zwróciła się do syna i znowu wyszczerzyła.

Leonid nie raczył odpowiedzieć, zmienił się tylko lekko na twarzy. Matka Bena, ratując sytuację, skierowała rozmowę na naukę języków obcych i zapytała o poziom uczniów Raisy, równocześnie wstając od stołu i zbierając naczynia. Na ten znak całe towarzystwo poderwało się i gęsiego ruszyło do kuchni. W niczym to jednak nie pomogło Benowi, który najchętniej wpełzłby pod stół i tam dokonał swego nędznego żywota.

- ...nie chciałam ich zostawiać - mówiła Raisa, krążąc pomiędzy kuchnią i salonem w ślad za matką Bena, wynoszącą owoce, ciasteczka i kawę - ale czułam, że muszę stamtąd wyjechać. Cały ten kraj jest skorumpowany do granic.

Leonid w tym czasie, karnie odłożywszy swój talerz do zlewu, zawisł nad szafką obok, gdzie na blacie piętrzyła się sterta gazet z okazałym zdjęciem na wierzchu. Raisa, zaciekawiona, co zdołało przykuć uwagę Loni, zatrzymała się przy nim. Pokazał jej zdjęcie, po czym poszeptali chwilę. Ben widział, jak Raisa trzepnęła syna w rękę, by odłożył fotografię na miejsce.

Pani Zyskind zajrzała im przez ramię i powiedziała:

- A, to obraz Chagalla.

Raisa skurczyła się w sobie, zawstydzona.

- Tak... Tak właśnie myślałam - bąknęła. - Ale nie byłam pewna, bo to taki mały obraz, a on przecież malował tylko duże.

Ben stanął na palcach, by zobaczyć, o czym mowa, i dostrzegł fotografię obrazka z salonu, na której uwieczniona była także dłoń jego matki. Leonid stracił zainteresowanie całą sprawą, wyszedł z kuchni i z nadąsaną miną opadł na krzesło.

- Jest mały dlatego, że to tylko szkic... wprawka do prawdziwego obrazu - wyjaśniła pani Zyskind i pukając paznokciem

72

w gruboziarnistą fotografię, dodała: - A to moja dłoń i moja obrączka.

Raisa przyjrzała się wskazanemu palcowi serdecznemu, potem przeniosła wzrok na jego oryginał i z podnieceniem zapytała:

- Macie obraz Chagalla? Matka Bena potrząsnęła głową.

- Już nie... To długa historia.

Wyraźnie posmutniała, jakby żałując, że w ogóle poruszyła ten temat. Ujęła naręczę gazet, razem z fotografią, i schowała do szuflady.

Kiedy wszyscy znowu znaleźli się przy stole, Raisa na powrót dosiadła swego konika.

- Złodziejskie szczury, co do jednego. Z dnia na dzień było coraz gorzej, nawet uczniowie zamieniali się w małych złodziejasków. Dawali zły przykład Loni. Bałam się o niego, bo nigdy nie

wiadomo, co wyrosnie z dzieciaka. My, rodzice i nauczyciele, możemy się tylko starać, ale któż to może wiedzieć, jaki będzie efekt?

Częstując wszystkich winogronami, matka Bena zapytała:

- Zatem wciąż pracujesz jako nauczycielka?

- Nie - westchnęła ciężko Raisa. Opuściła głowę i zamknawszy oczy, dotknęła ich kącików wymanikiowanym kciukiem i palcem wskazującym. Tarła powieki tak długo, aż Zyskindowie zaczęli się niepokoić, czy w ogóle jeszcze coś powie. W końcu uniosła głowę i przez zęby dokończyła:

- Pracuję w salonie kosmetycznym, niedaleko szkoły Loni. Załatwiła mi tę posadę znajoma Rosjanka...

Przy stole zaległa cisza, którą nieoczekiwanie przerwała Sara.

- Na pewno mogłaby pani tutaj uczyć - oznajmiła łagodnie. Ben uświadomił sobie, że jego siostra i matka mają bardzo podobny głos, co tylko sprawiło, że poczuł jeszcze głębszy wstyd z powodu swojego: cienkiego i piskliwego. - Być może musiałyby pani najpierw skończyć jakiś kurs czy coś, ale potem na pewno...

- Nie - przerwała jej Raisa, znów z opuszczoną głową.

- Obawiam się, że nie mam tu za wielu możliwości... - Jej

73

imponujący biust zafalował pod sukienką, kiedy ciężko wzdychała nad swoim losem. Jednakże gdy mówiła o synu, w jej głosie pobrzmiwała nadzieja. - Lonia to co innego. Jest z niego nie tylko bystre, ale przede wszystkim dobre dziecko.

Oczy wszystkich skierowały się na kryształowego Lonię, który właśnie zapalał papierosa.

Kiedy jakiś czas potem goście pożegnali się i wyszli, Ben uświadomił sobie, że ani razu nie usłyszał głosu Leonida Dymitrowa.

Nazajutrz na lekcji matematyki Ben dowiedział się, że musi zaopatrzyć się w kalkulator model TI-82. Jako że większość jego kolegów miała już prawo jazdy (Ben jako cudowne dziecko chodził do wyższej klasy, niżby na to wskazywał jego wiek) albo przynajmniej znali kogoś, kto mógł ich prosto po szkole podrzucić do sklepu z elektroniką, gdzie można było taki sprzęt kupić najtaniej, on chyba jedyny wybrał się na zakupy z matką. Zjeździli pół miasta, ale kalkulatora TI-82 nigdzie nie było. Następnego ranka kiedy przeciskał się przez szkolną cizbę, w tłumie wypatrywał rudą czuprynę Leonida. Przypomniawszy sobie, że Leonid - wskutek różnic w poziomie nauczania w Związku Radzieckim i Stanach Zjednoczonych (wyjątkowo ta różnica wypadła na korzyść ZSRR) - także znalazł się w wyższej klasie, gdzie omawiano podstawy rachunku różniczkowego. Ciekawe, czy i on miał problemy z zakupem kalkulatora, pomyślał Ben. Nie musiał długo czekać na odpowiedź.

- Kalkulatory sprzedam, tanio! - darł się Leonid, przekrzykując hałas panujący na korytarzu.

Ben wytrwale torował sobie drogę naprzód i kiedy wreszcie stanął w pierścieniu bezpośrednio okalającym Leonida, dostrzegł u jego stóp górę kartonów, z których uczniowie porywali upragnione TI-82, wypychając zadowolonymu Loni do ręki banknoty. Kieszenie spodni miał już nimi wypchane.

- Cześć! - odezwał się Ben matowym głosem, nie wiedząc, czy ma zachowywać się wobec Rosjanina przyjaźnie czy

74

też nie. Nie zdołał jednak ukryć przepelniającego go gniewu. - Nie możesz tu handlować!

Leonid rozejrzał się wokół, potem opuścił wzrok i dojrzał Bena. Cisnął niedopałek na podłogę i zgniół go czubkiem buta, dokładnie tak jak to zrobił na ganku w domu Zyskindów. W tym samym czasie ktoś dał Benowi sójkę w bok, co rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Patrzył z fascynacją to na zgniecionego peta, wyglądającego na wypucowanej podłodze jak przybysz z kosmosu, to na wielkie czarne trampki Leonida.

- Tutaj nie wolno palić! - wybuchnął, rozpychając się łokciami dla obrony przed kolejnym atakiem.

- Nikotyna powoduje raka płuc, ludzie od tego umierają!

To właśnie spotkało ojca Bena.

Leonid wszakże się nie przejmował. Dobijając targu lewą ręką, prawą zdołał wydobyć papierosa z kieszeni koszuli i go zapalić, po czym jakby nigdy nic wydmuchał dym prosto w twarz Bena, upominając kolejnego chętnego:

- Nie wydaję reszty. Jak chcesz, możesz kupić dwa i jeden dać koledze.

Następny już miętosił w rękę trzy banknoty dwudziestodolarowe i niecierpliwie czekał swojej kolejki.

- Pan z matematyki się o tym dowie - oznajmił Ben, rozpaczliwie wypatrując jakiegokolwiek nauczyciela na horyzoncie. Nadaremno. Wszyscy byli w swoich klasach, za chwilę miała rozpocząć się pierwsza lekcja.

- Jurij! - ryknął Leonid na całe gardło.

Nieopodał rosyjski chłopak, z mięśniem piwnym jak u czterdziestolatka, wąsem sypiącym się pod nosem i upierścienionymi dłońmi, terroryzował jakiegoś słabeusza, przypierając go do ściany. Usłyszawszy swoje imię puścił ofiarę i poszukał wzrokiem, kto go wołał.

- Widzisz go? - zapytał Leonid zupełnie niepotrzebnie, gdyż potwór już się do nich zbliżał.

Ben zaczął coś mówić, ale nikt go nie słuchał. Młody Dymitrow mruknął coś do Jurija, po rosyjsku oczywiście, a ten po prostu złapał Bena pod brodę i uniósł go w powietrze - no, może niezupełnie w powietrze, lecz na tyle wysoko, że

75

biedak musiał stanąć na palcach, jeśli nie chciał stracić głowy. W piersi mu coś trzasnęło, kręgosłup chrupnął, gorset utrzymał jednak wszystko w kupie.

- To jest Jurij - oznajmił, znowu niepotrzebnie, Leonid. Wielka łapa odsunęła się od twarzy Bena, który w szoku mógł tylko kołysać się w przód i w tył. - Jurij bije dla mnie ludzi.

Dwa wielkoludy popatrzyły na siebie, potem na Bena, i wybuchnęły śmiechem. Sadło im się trzęsło, oczka zrobiły się malutkie, ale nawet mimo to Leonid dostrzegł rękę próbującą wykraść z kartonu kalkulator i boleśnie ją przydeptał. Czas było zamykać kramik. Jurij wolnym krokiem oddalił się w stronę toalety, a Leonid zaczął zbierać dobytek, nie przestając się podśmiewać. Ben przełknął ciężko ślinę i starając się nadać swemu głosowi niższe, groźniejsze brzmienie, zapytał:

- Co ty sobie wyobrażasz? Że występujesz w kiepskim filmie?

W tle rozległ się dzwonek na lekcję. Leonid bez wysiłku uniósł wielkie pudło i na odchodnym odwrócił się do Bena.

- Właśnie tak - podchwycił ochoczo. - To jest kiepski film, a ty jesteś w nim gwiazdą.

Od tonu, jakim to powiedział, Benowi przeszły po grzbiecie ciarki.

Ledwie kilka tygodni później w szkole Benjamina powstał pierwszy w historii tej placówki gang. Jego założycielem był oczywiście Leonid Dymitrow, a członkami - wyłącznie Rosjanie z ostatniej fali emigracji, przy czym Jurij zajmował pozycję kluczową, dosłownie, jako że jego ulubionym zajęciem było włamywanie się do szafek na ubrania i osobiste drobiazgi uczniów. Rządzili szóstką zastraszonych acz bitnych cherlaków, czarnowłosych i długonosych niczym stado kruków, oraz czwórka hożych dziewoi o monstrualnych piersiach i fryzurach, jakie amerykańskie dziewczęta przestały nosić lata temu, a które bynajmniej nie przeszkadzały im zadzierać nosa. Między sobą porozumiewali się po rosyjsku, choć czasami - ku wielkiemu zdumieniu Bena, który starał się ich unikać,

76

jak tylko mógł, ale zdarzało się, że po prostu nie miał wyboru i musiał przejść blisko nich - czasami więc wtrącali w środek zdania słówko w jidysz. Nie mieli nazwy, lecz za ich plecami zaczęto ich określać mianem Atomowego Gangu.

Ich działalność sprowadzała się do kradzieży i handlu trefnym towarem, a w ofercie zazwyczaj mieli marihuanę i drobny sprzęt elektroniczny, wśród którego prym wiodły kalkulatory TI-82, choć zdarzały się także radia samochodowe i - ostatnio coraz częściej - inne części samochodowe pochodzące jak nic ze szkolnego parkingu. Za dziuplę służyła im męska toaleta. Jak na prawdziwą

mafię przystało, nie brzydzili się również zastraszaniem, czego Ben doświadczał na własnej skórze przynajmniej raz dziennie, kiedy zajmował swoje miejsce w pracowni matematycznej. Siedzący za nim Leonid złośliwie wykopywał mu spod siedzenia krzesło, a w trakcie lekcji rzucał na ławkę liściki napisane wymyślnym charakterem pisma i zawsze niosące tę samą groźbę, chociaż w odmiennych słowach i z różnymi błędami ortograficznymi, co niezmiernie irytowało analityczny umysł Bena.

**MIEJ SIĘ NA BACZNOŚCI, MONDRALO!  
WKRUTCE PRZESTANIESZ BŁYSZCZEĆ!  
POBIJE CIE!**

Sama groźba wywoływała w nim strach, uczucie dotąd mu nie znane. Jednakże nie poskarżył się wychowawcy ani nawet matce, gdyż czuł, iż sam jest sobie winien. Leonid Dymitrow, do którego pisywał regularnie przez trzy lata, teraz mu odpowiadał, a on, Ben, nie był pewien, czy uczucie mdłości, jakiego doświadcza, ilekroć otrzymuje wykaligrafowany liścik, ma więcej wspólnego ze zwykłym tchórzostwem i świadomością, że Leonid - gdyby chciał - starłby go na proch, czy też raczej z poczuciem wstydu, iż przez parę lat wywnętrzał się w swych listach przed nie znanym człowiekiem, wkładając mu do ręki broń przeciwko sobie.

Stracił ochotę do nauki. Zamiast zaraz po szkole siadać do lekcji, książek z biblioteki albo chociaż eksperymentów chemicznych, snuł się po salonie, raz po raz przystając przed zdjęciem ojca, umieszczonym na poczesnym miejscu na kominku. Wpatrywał się w nie, aż oczy mu łzawiły, dopóki

77

w zamku drzwi wejściowych nie rozległ się chrobot klucza, sygnalizujący powrót do domu jego siostry albo matki. Któregoś razu, ze świeżą groźbą zmięta w tylnej kieszeni spodni, zamiast do salonu udał się prosto do sypialni matki, gdzie jak wiedział, ukryte było pudełko z rzeczami po ojcu. Wyjąwszy z niego nieśmiertelniki świętej pamięci pana Zyskinda, trzymał je w ręku i rozmyślał. Przypomniawszy sobie swoją bar micwę i to, że Leonid był wówczas jego „bliźniakiem” (zadziwiające, że Jurij także musiał mieć swego „bliźniaka” - był nim zapewne jakiś nieszczęśnik ze szkoły Bena), oczyma wyobraźni zobaczył swoje pierwsze spotkanie z Leonidem, z obrzydzeniem wspomniawszy jego nawyk gaszenia papierosa butem.

Nawet się nie spodziewał, że wkrótce zostanie przez niego pobity, w bardzo dosłownym tego słowa znaczeniu.

Nadeszła zima. Ben długo nienawidził zimy, ponieważ dzień, w którym zmarł jego ojciec, był mroźny, jednakże odkąd zaczął nosić gorset ortopedyczny, nie mógł się wprost doczekać, kiedy będzie mógł wkładać grube swetry szczelnie zakrywające jego wstyd i hańbę - i tego roku więc ucieszył się, gdy zrobiło się zimno. Chociaż temperatura obniżyła się na tyle, że mogłyby spaść śnieg, jak dotąd nie pojawił się ani jeden płatek. Zamiast białego puchu ziemię pokrywała warstwa obumarłej trawy i zbutwiałych liści, które powoli zamieniały się w gęste brązowe błoto. Całe miasto zdawało się znajdować pod nim. Dni kurczyły się na podobieństwo schnących liści i stawały coraz ciemniejsze. Tamtego dnia Ben został w szkole dłużej, gdyż przygotowywał się do olimpiady matematycznej, i później nie pozostało mu nic innego, jak wracać do domu samemu.

Wychodząc z budynku szkoły myśli miał zaprzątniętą książką, którą minionego wieczoru pokazała jemu i Sarze matka. Była to pierwsza książka dla dzieci w całości jej autorstwa, nosząca idiotyczny zdaniem Bena tytuł „Przechera” i napisana od początku do końca wierszem. Traktowała o losach małego chłopca, przezywanego Przecherą z uwagi na jego inteligencję, cięty język nawet w rozmowach z dorosłymi oraz niespotykaną odwagę. Pierwsza zwrotka opisywała miasteczko,

78

w którym chłopiec żył - domy miały dachy pokryte strzechą, na ulicach roiło się od koni, a jednak Ben rozpoznawał w nim własne miasto, głównie z powodu podobieństwa, jeśli idzie o ilość błota. W miasteczku również zaczęła się już zima, ale że na ziemię nie spadła jeszcze ani jedna śnieżynka, ulice zalegała gruba warstwa błota. Tak gruba, że z łatwością połykała całych ludzi, którzy

nieopatrznie wyszli z domu: zostawiali połknięci i wszelki słuch po nich ginał. Zniknęło w ten sposób wielu mieszkańców, a pozostali swoją jedyną szansę upatrywali w rychłych opadach śniegu. Ten wszakże jak nie padał, tak nie padał. Któregoś popołudnia Przechera i jego koledzy wracali drogą ze szkoły, przyświecając sobie latarenkami - na przeciwległej stronie tekstu widniała ilustracja ukazująca przestraszone twarze chłopców, wydobyte z mroku przez słabe światło latarni; stąpali ostrożnie, za wszelką cenę unikając kontaktu z krwiożerczym błotem. Na następnej stronie główny bohater potykał się i upadał prosto w błocko, gubiąc latarnię, a jego przyjaciele - ładni mi przyjaciele, pomyślał sobie Ben - rozpięchali się we wszystkie strony, zbyt przerażeni, by mu pomóc. Przechera nie stracił wszakże hartu ducha: choć leżał w błocie i był zupełnie sam, jego serce ani razu nie zadrżało ze strachu. Nim zdążył stracić nadzieję na ratunek, na ulicy pojawił się szlachetny jeździec, który go wypatrzył i jednym silnym ruchem wciągnął na siodło. Jeździec zapytał chłopca, dlaczego nie płakał ani nie wołał pomocy, a ten odparł, iż ani trochę się nie bał. Mężczyzna był pod wielkim wrażeniem odwagi Przechery i uczynił mu propozycję. Mam ja tu niebywale cennego konika, Który tak szybki jest, że strzały prześciga. Chyba z ognia powstało to stworzenie! Sto mil w mig, gdy takie mam życzenie. Ów pierścień magiczny też posiadam, Magiczny jest, prawdę ci powiadam: Siedem razy go obróć, taki to trik, A śnieżny puch całą ziemię otuli w mig!

79

Zatem czuj się, chłopcze, gościem moim I wybieraj, co ci bardziej przystoi. Pierścień weźmiesz, a może konika, Zdecyduj szybko, bo okazja znika!

Trudny wybór dla Przechery naszego - To albo tamto? Jedno lepsze od drugiego. Zgodnie z radą, skoro okazja szybko znika: Wezmę ja pierścień, ale zabiorę też konika!

Zadziwiające, jak wiele można osiągnąć, nie stosując się do narzuconych reguł. Szlachetny jeździec, nie mogąc wyjść z podziwu nad przebiegłością i odwagą spotkanego chłopca, zeskakuje z rączego rumaka i z własnej woli pozbywa się zarówno końskiej uzdy, jak i ściągniętego z palca magicznego pierścienia. Przechera rychło wyrusza w szeroki świat, unosząc się nad ziemią niczym puch na porywistym wietrze, i w jakiegokolwiek krainie się znajdzie, wydaje walkę błotu za pomocą pierścienia.

I pomknął nasz Przechera niczym strzała! Na tym koniku każda odległość była mała. Miasteczko jego szybko zniknęło w oddali, Gdy w przestrzeń bezimienną się zanurzali.

I dlatego każdego roku, gdy zbliża się zima, Gdy zacina deszcz i chłód już długo trzyma, W dzień, gdy śniegu bezowocnie wypatrujesz, Bo spaść powinien, w kościach już go czujesz...

Hej! Widzisz konika mknącego tuż nad ziemią. I Przecherę szybko pierścieniem kręcącego. Po siedmiokroć przekręcony sprawi on, Że ziemię spowije puszysty śnieg i szron.

- recytował w głowie Ben.

Ja to skądś znam, myślał, zmierzając w stronę domu i lawirując pomiędzy kałużami i plackami błota. Oczywiście

80

nie same słowa - z pewnością nigdy wcześniej nie słyszał tego głupiego wierszyka, ale historię, opowieść... Było w niej coś znajomego. Tylko co?

Próbował dogrzebać się w pamięci do czegoś, co pomogłoby mu rozwiązać zagadkę, kiedy nagle tuż przy jego uchu rozległ się tubalny głos:

- No, dograłeś się, mądralo!

Ben nawet nie miał czasu się odwrócić, już trzymały go silne ręce, które odrywały go od ziemi i ciskały o ścianę. Pozbierawszy się, odruchowo przypadł do muru plecami i w tej samej chwili stanął oko w oko z członkami Atomowego Gangu. Otaczali go półkrygiem, w którego środku, na lekko wysuniętej pozycji, stał nie kto inny jak Leonid. Nim zdążył pozbierać myśli, Jurij znowu go dopadł, zdzierając mu plecak z ramion.

- Myślałeś, że żartuję? Otóż nie - cedził słowa Leonid.

- Spiorę cię na kwaśne jabłko, własnoręcznie.

Ben rozejrzał się wokół. Wpatrywało się w niego z napięciem kilkanaście par czarnych oczu, wzierających spod kruczoczarnych grzywek i znad ostro zakończonych nosów, przywodzących na myśl drapieżne - albo raczej padlinożerne

- ptaki. Wszyscy prześladowcy byli od niego więksi i silniejsi. Pod wpływem emocji doznał uczucia déjà vu, jak gdyby to się już kiedyś wydarzyło czy też jakby coś podobnego przeżył we śnie.

Ale tym razem to nie był sen... Ben zagryzł wargę aż do bólu i poczuł słodki smak krwi, równocześnie tracąc na moment ostrość widzenia. Nagle ogarnęło go uczucie podobne do tego, jakiego nie raz doświadczał podczas sesji nagraniowych w studiu „Dorośli kontra cudowne dzieci” w tej krótkiej chwili pomiędzy zarejestrowaniem zadanego pytania a uświadomieniem sobie, że zna odpowiedź. Przeszedł go znajomy dreszcz podniecenia i już się nie bał. Przynajmniej nie bardziej niż Przechera.

- No, dalej - wyzywająco popatrzył Leonidowi w oczy. Na ułamek sekundy ogarnęła go panika gracza, który nie

jest stuprocentowo pewien swojej odpowiedzi, jednakże nie dał tego po sobie poznać.

81

Członkowie Atomowego Gangu wymienili zdumione spojrzenia i wstrzymali oddech. Atmosferę rozładował Leonid, wybuchając śmiechem.

- No, no, mądralo... - zasmakował. - Skoro tak, to będziemy walczyć uczciwie. Żebyś nie mógł się nikomu poskarżyć, że dostałeś wpięprz od wielkoluda. Żeby było sprawiedliwie, ukłękne w błocie, a i tak pokonam cię małym palcem.

- Jak chcesz - odparł Ben lekko drżącym głosem, szukając wsparcia w murze.

Tym razem przez gang przeszedł szmer zdumionych szeptów. Przyboczny Leonida, wielki Jurij, sięgnął do plecaka Bena i wydobył zeń podręcznik do trygonometrii. Otworzył go, nie po to jednak by się czegoś nauczyć, lecz po to by tak rozpostarty położyć w błocie u stóp swego przywódcy.

Kiedy Leonid opadł na kolana, błoto klasnęło i do połowy pożarło grubą książkę. Ben patrzył na klęczącego przed nim chłopaka, który wyglądał jak dorosły mężczyzna, i wbrew własnej woli przypomniał sobie, jak podczas Jom Kipur jego ojciec, wysoki acz szczupły, dumny człowiek, ten jeden jedyny raz w roku przyklękał na zdrowe kolano, przy czym na moment tracił równowagę, zaraz wszakże podpierał się dłońmi o posadzkę synagogi i przyciskał czoło do zimnych kamieni, aż w końcu Ben pomagał mu wstać... Wizja ta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, gdyż oto miał przed sobą gigantyczną głowę Leonida, która wydawała mu się jeszcze większa i jeszcze groźniejsza, odkąd znalazła się na wysokości jego oczu. Po raz pierwszy mógł stwierdzić, że rzęsy Loni są tego samego koloru co jego włosy, czyli ognistorude.

Leonid już się nie śmiał. Nie uśmiechał się nawet. Uderzył się lekko w pierś, co Benowi skojarzyło się z zachowaniem samca alfa w stadzie goryli. Kiedy jednak mocarna dłoń ruszyła w jego stronę, porzucił wszelkie rozmyślenia, schował głowę w ramionach i zakrył twarz rękoma, lekko rozczapierzając palce, by mieć ogląd sytuacji. Zobaczył, jak Lonia nadyma ogorzałe policzki, marszczy się i zaciska dłoń w pięść.

Dalej wypadki potoczyły się tak szybko, że Ben nawet nie zdążył mrugnąć. Nie czuł uderzenia, za to przed sobą miał Goliata zataczającego się w błocie od niewysłowionego bólu.

82

Leonid strzaskał sobie aż pięć różnych kości dłoni i nadgarstka, kiedy jego pięść z potężną siłą zetknęła się ze stalową klatką Bena.

Nazajutrz Ben bardzo się zdziwił zobaczywszy, że mieszkanie, które zajmuje Leonid z Raisą, a oprócz nich także niespokrewniona z nimi starszawa Rosjanka z siedmioletnią wnuczką, jest wielkości największej sypialni w jego domu. Znalazł się tam, ponieważ matka uznała, iż Leonidowi należą się przeprosiny, i nieważne było, że Ben zarzekał się na wszystkie świętości, iż to co się stało, nie było jego winą. W sukurs przyszła mu Sara, proponując, że dotrzyma mu towarzystwa w wypełnianiu przykrego obowiązku, co Ben przyjął z mieszaniną zakłopotania i ulgi.

Drzwi otworzyła im staruszka, którą Ben wziął za babcię Leonida (i dopiero później dowiedział się,



że ta wcale nią nie jest). Właściwie nie tyle otworzyła, ile uchyliła, nie zdejmując łańcucha. Wyglądała na korytarz jednym okiem i milczała.

- Dzień dobry! - odezwał się Ben, starając się nadać głosowi niższy, bardziej dorosły ton. - Nazywam się Benjamin Zyskind i przyszedłem, żeby...

W tym momencie drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Zerknął za siebie i wymienili z Sarą zdumione spojrzenia, wkrótce jednak oboje znów patrzyli na drzwi, za którymi teraz rozlegały się krzyki. To Leonid wrzeszczał coś po rosyjsku. Chrobot łańcucha wyprzedził o ułamek sekundy ponowne otwarcie drzwi, tym razem na oścież. Ben miał zamiar grzecznie podziękować domniemanej babci Leonida, lecz nim zdążył to zrobić, jej już nie było - zniknęła właśnie w pokoiku, który na oko bardziej przypominał schowek na miotły niż porządny pokój. Zanim starszka szczelnie zamknęła za sobą kolejne drzwi, Ben zauważył, że pokój jest tak mały, iż niemal całą jego powierzchnię zajmuje łóżko; poza tym na każdym skrawku podłogi stały wybebeszone kartony.

Przechodząc w głąb mieszkania, Ben zorientował się, iż składa się ono z: mikroskopijnej kuchenki, będącej naprawdę wnęką kuchenną tuż przy drzwiach wejściowych, równie miniaturowej łazienki, zawieszanej suszącej się damską bielizną,

83

z której powodu - chcąc skorzystać z umywalki czy toalety

- należałoby się zgiąć wpół, oraz dwóch pokoiów. Ten drugi, do którego wprowadził ich Leonid, także nie grzeszył wielkością, zastawiony był piętrzącymi się kartonami i stertami albumów fotograficznych, pomiędzy nimi zaś leżała piankowa poducha z rodzaju tych, jakie w razie potrzeby mogą posłużyć również za materac. W pobliżu rzucony był koc, na jego wierzchu spoczywał kawał plastikowej folii, a na samym szczycie niebezpiecznie balansowała wypełniona po brzegi popielniczka. Kawałek dalej poniewierał się zeszyt, słownik rosyjsko angielski w miękkiej oprawie oraz egzemplarz „Tropiciela śladów” J. F. Coopera. To samo wydanie co moje, pomyślał Ben i nagle ze wstydem uzmysłowił sobie, że w tym miejscu musi sypiać Leonid, a prawdopodobnie i jego matka

- a materac był okropnie wąski i z pewnością za krótki dla wybijanej sylwetki wielkoluda. Ben bezwiednie pociągnął nosem. W powietrzu unosił się dziwny ciężki zapach, coś jak spalenizna czy stęchlizna i coś jeszcze, coś bardzo słodkiego

- Ben nie rozpoznał od razu, w identyfikacji pomógł leżący w kącie zbrązowiały ze starości ogryzek jabłka. Poczul, że zaczyna się pocić - ospałe krople wędrowały po jego plecach i torsie, urządzając mu istną chińską torturę - zdjął więc płaszcz i z braku lepszego miejsca odłożył go na wyglądający najbardziej stabilnie karton.

Leonid tymczasem rozsiadł się na poduszce, plecami opierając się o ścianę i wyciągając przed siebie długie nogi. Dłoń i kawałek przedramienia miał w gipsie, a wszystko to na temblaku, tak że wyglądał jak prawdziwa ofiara wypadku. Nie zaszczycał gości ani jednym spojrzeniem, bezmyślnie wgapił się w telewizor - na ekranie rozgrywał się jakiś mecz.

- Przyszedłem cię przeprosić - oznajmił Ben. Przećwiczył swoją kwestię na Sarze w drodze tutaj i był już w stanie wypowiedzieć te słowa bez wpadania we wściekłość. - Naprawdę mi przykro z powodu twojej ręki. Jeśli jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, na przykład nosić twoje książki albo robić za ciebie notatki w szkole, to ja...

Leonid ani drgnął. Nawet jego oczy zdawały się nieruchome. Ben mimowolnie przeniósł wzrok na wyciszony telewizor

84

i zobaczył, że w miejsce meczu pojawił się dobrze mu znany teleturniej. Na wielkim ekranie w studiu błyskało pytanie: „Kto jest twórcą układu okresowego pierwiastków?”

- Mendelejew - odpowiedzieli unisono obaj chłopcy.

Ben poczuł dreszczyk emocji. Lawirując pomiędzy pudłami, przysunął się bliżej telewizora i w napięciu czekał na następne pytanie.

„Jak się nazywa stolica Uzbekistanu?”

- Taszkient - padło basem Leonida i dyszkantem Bena.

Rywalizacja spowodowała u Bena przyspieszone bicie serca, szum w uszach i nadmierną potliwość, którą wzmogła jeszcze klatka pod ubraniem. Leonid także nie pozostał obojętny - nachylił się do przodu, obronnym gestem zdrowej ręki ochraniając tę drugą, zranioną. Kolejne pytanie zaskoczyło ich obu.

„Jak brzmi nazwisko kompozytora symfonii e mol «Z Nowego Świata»?”

- Dvorak - padło niemal równocześnie. Leonid był o ułamek sekundy szybszy.

Ben pocił się jak mysz, z nerwów drgała mu dolna warga, ogarniało go to samo uczucie, którego nieraz doświadczył w studiu telewizyjnym: że znajduje się poza własnym ciałem. Nie miał czasu się pozbierać, gdyż już błyskało nowe pytanie. „Kto napisał powieść «Ojcowie i dzieci»?” Wpatrywał się bezradnie w słowa na ekranie, przetrząsając pamięć i wydzielając hektolitry adrenaliny.

- Turgieniew - powiedział Leonid jakby nigdy nic. Ben oderwał wzrok od telewizora i popatrzył na swego

rywala, spokojnego i gotowego stawić czoło kolejnym wyzwaniom. Ze wstydu skurczył się i byłby zgarbił, gdyby nie prostująca go klatka.

- No, no - pokręciła głową Sara. - Ben nie znał odpowiedzi.

Leonid podskoczył, jak gdyby dopiero teraz zarejestrował obecność dziewczyny. Odwrócił się, przelotnie spoglądając na Bena, i z równym zainteresowaniem jak przed chwilą w ekran wgapił się w Sarę. Ben nie potrafił zrozumieć, co takiego interesującego jest w jego siostrze, więc również na nią spojrział.

85

Swój stary płaszcz miała przewieszony przez ramię, tak że stała tam tylko w sweterku, który dostała na ostatnie urodziny i który podkreślał jej wydatne kształty, głębokim wycięciem odsłaniając dekolt. Leonid na ten widok tylko się wyszczerzył.

- Pobiłem mądrą! - orzekł.

- A ja myślałam, że to on cię pobił! - odparła Sara z uśmiechem. Ben wodził wzrokiem od jednego do drugiego, lecz oni nie zwracali na intruza najmniejszej uwagi. Jego siostra uśmiechała się coraz szerzej, a Leonid gruchnął śmiechem, doceniając dowcip. - Często oglądasz ten teleturniej? - zapytała nagle Sara.

- O, tak! Pytania o Amerykę są dla mnie trudne, ale z każdym dniem idzie mi coraz lepiej.

- Moim zdaniem powinniście zmierzyć się z Benem, tak naprawdę... - Sara rozejrzała się po pokoju i dodała: - Ale chyba prędzej u nas niż tutaj.

Ben skrzywił się na ten pomysł. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby Leonid, uzbrojony w gips, odwiedził go w jego własnym domu! Co też ta Sara sobie myśli... Leonid jednak puścił zaproszenie mimo uszu.

- Tutaj jest i tak lepiej niż w Czarnobylu. Tam w dwóch pokojach mieszkaliśmy w piątkę, a tu jest nas tylko czwórka.

Ben przypomniał sobie, że ojciec Leonida opuścił rodzinę, uciekając z gruzińską dziewczyną, co by stawiało ich w podobnej sytuacji: obaj wychowywali się bez ojca i obaj otoczeni byli wyłącznie przez kobiety. Nie był pewien, czy podoba mu się to, że mają z Leonidem coś wspólnego, i chciał się nad tym lepiej zastanowić, ale znów odezwała się Sara, przerywając jego tok myśli.

- Założę się - mówiła - że dałoby się tutaj wygospodarować trochę miejsca. Można by na przykład przesunąć gdzieś te kartony... - wskazała na najwyższą piramidę i zapytała: - A co w nich w ogóle jest?

Leonid wzruszył ramionami.

- Książki, ubrania i takie tam...

- Byłoby o wiele wygodniej, gdyby wszystko wypakować i poukładać na półkach albo w komodach, a kartony wyrzucić.

86

Oczywiście najpierw trzeba by te półki czy meble zrobić, ale potem mielibyście tutaj znacznie więcej miejsca. I światła. No i można by się też pozbyć tej okropnej tapety, przez którą pokój wydaje się jeszcze mniejszy, niż jest w rzeczywistości, i pomalować ściany na biało... - Sara uśmiechnęła się do własnych myśli. - Wtedy optycznie pokój by się powiększył, lekko licząc dwa razy.

Ben rozejrzył się wokół siebie, starając się nie zatrzymywać wzroku na pobojuwisku dłużej niż to konieczne, i w duchu pokręcił głową: co ta Sara wygaduje! Jego zdaniem mieszkanie nie miało ani trochę potencjału. Do tego całe było przesycone odorem dymu papierosowego, który przywołał odległe wspomnienia. Zdaje się, że jako bardzo mały chłopiec często był świadkiem awantur, jakie matka urządzała ojcu, kiedy ten zapalił papierosa w mieszkaniu - nie chciała, żeby narażał zdrowie jego i Sary.

- Nie stać nas na to - bąknął pod nosem Leonid, wpatrując się w czubki swoich wielkich butów. No tak, pomyślał Ben, Sara popełniła gafę. Po co się w ogóle odzywała? Teraz jemu przyjdzie ratować sytuację. Z rumieńcem na twarzy próbował wydukać - już drugie tego dnia - przeprosiny, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Tymczasem Sara paplała jak natchniona.

- To nic - machnęła ręką. - U nas w domu na pewno są jakieś nie wykorzystane półki i trochę farby, która została po ostatnim malowaniu. Ben i ja chętnie ci pomożemy. Prawda, Ben?

- Prawda - przytaknął Ben łamiącym się głosem. Chwilę później Ben i Sara maszerowali z powrotem do

domu. Milczeli. Wokół nich ciemniało zimowe popołudnie, jedno z tych, kiedy powietrze wydaje się zimne i nieruchome jak zastygły cement. Nawet błotnista wcześniej ścieżka prowadząca od budynku na ulicę była teraz skostniała, a walające się uprzednio spadłe liście zamieniły się jakby w sztywne, martwe ptaki. Wystarczyło wszakże, aby zawiązał lekuchny wietrzyk, a suche, na poły zbutwiałe liście poderwały się i zawirowały w szaleńczym tańcu. Ben zerknął na siostrę, żeby sprawdzić, czy i ona zauważyła ten spektakl - Sara jednak szła ze spuszczoną głową,

87

zatopiona we własnych myślach, a na jej ustach majaczył ledwie widoczny uśmiech.

- Mądralo, będziesz dzisiaj robił za mnie notatki? - spytał Leonid na najbliższej lekcji matematyki. Zazwyczaj to Ben był w klasie pierwszy, a Leonid notorycznie się spóźniał, na co nauczyciel dawno przestał zwracać uwagę, tego dnia wszakże „bliźniak” i wróg Bena w jednej osobie siedział wygodnie rozparty w ławce na długo przed dzwonkiem, z naszykowanymi przyborami, książką i otwartym zeszytem wyglądając jak pilny uczeń. Ben zdążył zauważyć, że odkąd „pobił” Leonida w wymuszonym bezpośrednim starciu, Atomowy Gang przestał wpatrywać się w swego przywódcę jak w obraz. Nic dziwnego: w gangu władzę przejął Jurij i trzymał wszystkich twardą ręką. Leonid zupełnie przestał się liczyć. Cóż, nawet najsilniejsi muszą kiedyś odejść, skonstatował gorzko Ben.

- Jasne - odparł teraz z pozorną nonszalancją, czując, że w środku cały się kurczy ze strachu. W duchu rzekł sobie zaś: To dziwne, że poprosił o pomoc dopiero dzisiaj.

Podejrzane wydało mu się, że przez kilka poprzednich dni Leonid radził sobie świetnie sam.

Czyżby to ambicja nie pozwalała mu poprosić o pomoc wcześniej? Inna sprawa, że uśmiech zdawał się mieć szerszy... Ben nie mógł się w tym połapać. I nie miał nawet czasu, gdyż Leonid już podawał mu zdrową ręką otwarty zeszyt, w którym u góry strony widniało krótkie zdanie, nabazgrane jeszcze gorzej aniżeli niegdysiejsze groźby. Spodziewając się następnej - albo przynajmniej ostrzeżenia - Ben otworzył szerzej oczy, kiedy przeczytał: TWOJA SIOSTRA TO NIEZŁA LASKA!

Niemalże wybuchnął śmiechem; po pierwsze tak bardzo absurdalne mu się to wydało, a po drugie zwiertzył żart. Kto jak kto, ale Sara z pewnością nie była żadną „laską”! Wyglądałaby jako tako, gdyby ubrała się w czyste, nie poplamione farbą ciuchy i przejechała grzebieniem po włosach, ale ona nie przywiązywała wagi do takich spraw. Ben zmusił się, żeby skupić się na tym co istotne.

Najwidoczniej Leonid szykował na niego kolejny atak, bardziej wysublimowany, a zarazem

88

okrutniejszy, gdyż we wszystko miała być wplątana jego siostra. Nie chcąc nawet sobie wyobrazić, w jaki dokładnie sposób zamierza go dręczyć potężny Rosjanin, był pewien jednego: Leonid się na niego wziął i nie ma co liczyć, że wyjdzie z opresji obronną ręką. Jak długo mógł, odwlekał moment, kiedy ich oczy się spotkają, wreszcie zebrał się na odwagę i szykując się na najgorsze, spojrzął za siebie. Leonid miał dziwny wyraz twarzy: brwi nieco uniesione, dolna warga zagryziona - tak wygląda człowiek, który nie jest pewien swojej pozycji, albo ktoś, kto czeka na wyrok. Rzęsy mu zatrzepotały, zdrową ręką sięgnął po zeszyt, mruknął: - Zaczekaj... - i już walczył z długopisem, zasłaniając to, co pisze, gipsem.

Ben wzruszył ramionami i zaczął wypakowywać swoje rzeczy: podręcznik, notatnik i kalkulator, po czym pedantycznie ułożył je na ławce, pilnując się, by przypadkiem się nie odwrócić. Chwilę później zeszyt Leonida znów leżał przed nim, a pod pierwszym zdaniem pojawiło się drugie, prawie zupełnie nieczytelne. Czując się nieco pewniej, Ben ujął zeszyt w obie dłonie, przysunął go do oczu i jął rozszyfrowywać koślawe litery.

**JA CHCIEĆ WIEDZIEĆ, CZY ONA MIEĆ CHŁOPAKA?**

Bena zalała fala ulgi. To on miał władzę nad Leonidem!

Znacznie później przypomniał sobie słowa Raisy Dymitrowej: „...nigdy nie wiadomo, co wyrośnie z dzieciaka”. Wtedy w klasie, czekając, aż zacznie się lekcja matematyki, nie mógł wiedzieć, że lata później spotka się z siostrą, która oznajmi mu, iż ona i Leonid spodziewają się dziecka, i że on sam będzie śnił o tym dziecku, które gdy już się narodzi, nosić będzie imię pani Zyskind albo pana Zyskinda, że od jego odpowiedzi: „Tak, ma” bądź „Nie, nie ma” zależy przyszłość - zależy cały nowy, lepszy świat. Wtedy w klasie rzecz sprowadzała się do tego, kto nad kim ma władzę i czy jeden drugiemu może zaufać. Chwilę mu zajęło, nim zdecydował się napisać:

**NIE, NIE MA. MOŻESZ DO NIEJ ZADZWONIC.** Oddając zeszyt Leonidowi, Ben wyjrzał przez okno i zobaczył, że rozpadał się śnieg, pierwszy tej zimy.

89

Tego wieczoru kiedy Ben przyszedł do domu, w którym się wychował, żeby schować obraz ukradziony (on wolał myśleć: uratowany) z muzeum, było zimno, lecz nie padało.

Na miejscu zastał ciszę, tę samą, która dusiła go i dławiła przez ostatnie pół roku, za każdym razem gdy łapał pociąg do New Jersey, by uporządkować kolejny pokój, i która towarzyszyła mu także później podczas krótkiego pobytu i nie opuszczała go nawet w drodze powrotnej. Kładła się grubą warstwą na każdym przedmiocie niczym wszędobylski kurz, jakiego nie sposób się pozbyć. W dniach tuż po pogrzebie, gdy leżał w swoim starym łóżku, czuł, jak ścieli się nad jego górną wargą, gromadząc się w zagłębieniu pod nosem, podczas kiedy on nie umiał się zdecydować, czy już się przebudził czy wciąż jeszcze śpi - czy dźwięki, które słyszy jak przez watę: warkot zapalnego silnika, śpiew rur, głos matki, należą do jego snu czy do rzeczywistości... Ilekroć przychodził do tego domu, wycęzał słuch, czekając, spodziewając się, mając nadzieję, że ktoś go zawoła. Nikt nie wołał, a on nadal nie wiedział, czy śni czy żyje.

Tym razem przyjechał w konkretnym celu. Pewnym krokiem podszedł do ściany, na której zawsze wisiał obraz, i umieścił go na starym miejscu, uprzednio zdjawszy oprawne w szkło zdjęcie Sary i Leonida. Tego samego Leonida, który przyjechał do Stanów z Czarnobyla, założył licealny Atomowy Gang, z wyróżnieniem ukończył college i zrobił doktorat w cztery lata, a potem uzyskał członkostwo wielu poważanych stowarzyszeń matematycznych na całym świecie; który nawet zrezygnował z przyjęcia posady profesora na uniwersytecie w Cambridge, gdyż wolał ożenić się z Sarą i podjąć pracę w banku inwestycyjnym, gdzie zarabiał krocie, zajmując się wyceną aktywów przy zastosowaniu matematycznych modeli komputerowych. Niekiedy Benowi było trudno w to wszystko uwierzyć, chociaż daleki był od zazdrośczenia szwagrowi jego sukcesów. Leonid wyszedł na ludzi. Rację miała Raisa Dymitrowa: nigdy nie wiadomo, co wyrośnie z dzieciaka. Teraz zagadkę stanowiło nie narodzone dziecko Sary i Leonida...

Kiedy Benjamin Zyskind trzymał w jednym ręku zdjęcie Leonida, w drugim zaś obraz z postacią unoszącą się nad

miastem, w jego umyśle błysnęła scena, podczas której widział obu mężczyzn równocześnie. Było to zaraz po przyjeździe Dymitrowów do Stanów, wtedy gdy przyszli z wizytą. Leonid odnalazł w kuchni gazetę ze zdjęciem obrazu, leżącą na samym szczycie całej sterty prasy. Ben nagle się ożywił. Sprężystym jak na niego krokiem przeszedł do gabinetu rodziców, gdzie trzymane było domowe archiwum, mając następny jasno wytyczony cel.

## Rozdział Piąty.

Jak wygląda dziecko w łonie matki? Der Nister w dzieciństwie usłyszał taką oto odpowiedź na to pytanie: łokcie trzyma na kolanach, dłońmi zakrywa skronie, piętami sięga pleców, a nad jego głową wisi zapalona świeczka. Za zamkniętymi powiekami przesuwają mu się obrazy z tego i tamtego świata. To najlepszy, najszcześniejszy okres w życiu człowieka. Kiedy dobiega końca, obok pojawia się anioł, który mówi: „Już czas”. Dziecko oczywiście nie kwapi się z przyjściem na świat - kto chciałby opuszczać tak przytulne i bezpieczne miejsce? „Proszę” - zwraca się z błaganiem do anioła - „nie każ mi stąd iść.” Wtedy anioł bierze pozorowany zamach i uderza je lekko w twarz, wskutek czego dziecko się rodzi i zapomina wszystko z poprzedniego życia - to dlatego tak bardzo krzyczy zaraz po narodzinach. Ale wcześniej jest szczęśliwe i spokojne, i czeka.

Wszystko, co Der Nister zrobił tamtego dnia, było na pokaz, dla dobra dzieci. Podsluchawszy pod drzwiami pracowni Chagalla, wpadł do środka i przechodził samego siebie, aby wydawać się wesołym, tryskającym humorem i energią. Wierzył, że jest to winien chłopcom z sierocińca, którzy nie zaznali w życiu wiele radości. Nie znaczy to, że on i Chagall wywodzili się z różnych światów. W Berdyczowie, rodzinnym miasteczku Der Nistera, rok wcześniej doszło do masakry, w której zginęli starcy i dzieci. W tym samym czasie w Witebsku do rodzinnego domu żony Chagalla wpadli żołdacy i trzymając

92

domowników na muszce, splądrowali co było do splądrowania, a resztę roztrzaskali w drobny mak. Takie zachowanie nikogo już wtedy nie dziwiło. Jednakże Der Nister jakimś cudem wciąż okazywał ufność w świat i ludzi, podczas gdy Chagall tylko udawał, że jest rozkosznie naiwny. Nawet swój pseudonim Ukryty wybrał w zgodzie z własnym charakterem - z natury był łagodny i nieśmiały i nieodmiennie wierzył, że szczęście, jakiego doświadczył przed narodzinami, nadal na niego czeka.

Nic dziwnego, że w końcu spotkało go to, co go spotkało.

Wszelako wiele lat wcześniej wydawca Der Nistera przesłał kilka jego opowiadań do słynnego pisarza I. L. Pereca, którego Der Nister od dawna podziwiał, ba, gotów był całować ziemię w miejscu, gdzie tamten stąpnął. Uzyskawszy tą drogą zaproszenie od Pereca - największego jak dotąd pisarza żydowskiego, proroka, który z literatury uczynił nową religię, swymi słowami łącząc świat zmarłych ze światem żywych, człowieka spotykającego się tylko z najbardziej obiecującymi adeptami pióra - usłyszawszy zatem, iż dostąpił tego zaszczytu i jest godzien poznać Mistrza osobiście, Der Nister wpadł w drżączkę i trząsł się przez całą drogę ze swego mieszkanka w Kijowie do warszawskiego apartamentu Pereca, z wiadomych względów nie wyłączając czasu, który spędził w przedziale trzeciej klasy nocnego pociągu łączącego te dwa miasta. Znalazłszy się na ulicy Ceglanej pod numerem jeden, spędził tam większość poranka, całe przedpołudnie i znaczną część popołudnia, aż w końcu nadeszła godzina umówionego spotkania. Der Nister zebrał się w sobie, wydobył te niewielkie pokłady odwagi, które posiadał, i zapukał do drzwi. I zaczął się trząść jeszcze bardziej. Gdy stanął oko w oko nie z lokajem czy choćby sekretarzem, ale z Mistrzem we własnej osobie. Der Nister nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, Pereca rozpoznałby wszędzie i o każdej porze, zresztą nie sposób było pomylić z kim innym tego zwalistego mężczyzny pod sześćdziesiątkę o bujnej strzesze włosów i sumiastym wąsie. Wtedy

jeszcze nikomu nie przyszło na myśl, że długo, długo później pojawi się na ziemi podobny doń z wyglądu osobnik, mianowicie Józef Stalin.

93

- Ukryty skryty w mroku korytarza! - wykrzyknął Perec od drzwi.

Der Nister stał jak rażony piorunem: po raz pierwszy ktoś zwrócił się do niego używając jego literackiego pseudonimu. Byłby zasłabł z wrażenia, a także dlatego iż od wyjazdu z domu nic nie miał w ustach, ale Perec już go trzymał za rękaw i ciągnął przez hol w głąb trypokojowego apartamentu. (Żaden żydowski pisarz, nawet Perec, nie był bogaczem. Der Nister wiedział o tym aż nazbyt dobrze, gdyż sam nieraz przymierał głodem, kiedy przez dłuższy czas nie trafiała mu się dorywcza praca w charakterze nauczyciela.)

Mistrz zatrzymał się dopiero pod oknem i zlustrował wzrokiem przybysza.

- Pewnie nie spodziewałeś się, że będę bielutki jak gołąb

- rozczochrał dłonią bujne siwe włosy - ale ja chyba też nie sądziłem, że przyślą mi kogoś zielonego jak trawa po deszczu. Ile masz lat?

- Dwadzieścia cztery - odparł Der Nister, zapadając się w siebie. Od tej chwili do końca wizyty nie wypowiedział już ani jednego słowa.

- Cóż, może coś na to poradzimy... - Perec oczywiście żartował, ale Der Nister dopatrywał się podtekstu w jego słowach: młodość to jeszcze nie wszystko, może być wielkim atutem, ale i zgubą... Za wszelką cenę próbował wyglądać na starszego i mądrzejszego, kiedy Mistrz sadzał go w fotelu w swoim gabinecie. - Jeśli chodzi o twoje opowiadania...

- podjął, ale natychmiast znowu urwał, skoczył na równe nogi i podszedł do biurka, uginającego się od książek, albumów, notesów, kartek papieru i leżących luzem papierosów. Der Nister nie mógł oderwać oczu od tego widoku. Czy to możliwe, że ma przed sobą biurko Pereca? To samo, przy którym wielki pisarz tworzy nowe światy? Z zamyślenia wyrwało go pytanie: - Masz ochotę na cygaro?

Der Nister przytaknął, wciąż będąc w zbyt wielkim szoku, by cokolwiek powiedzieć. W głowie nieznośnie mu wirowało, lecz nic nie mógł na to poradzić. Podane mu przez proroka cygaro on, śmiertelny, ujął tak niezdarnie, że prawie je przy tym zmiażdżył. Oto trzymał w ręku podarunek bogów! Ale już

94

zbliżała się doń dłoń ze świętym ogniem. Co robić? Jak zapalić cygaro, by nie urazić gospodarza i je zachować na zawsze? Nie miał wyboru: musiał się nachylić i przystawić jego czubek do płomienia, lecz później tylko udał, że się zaciąga. Za parę minut zgasze je opuszkami, pomyślał, i schowam do kieszeni. Tak był zaabsorbowany obmyśleniem tego planu, że zupełnie się wyłączył i stracił część wypowiedzi Pereca, który zdążył powrócić do tematu jego opowiadań.

- To, co w twych pracach podoba mi się najbardziej, to zdolność łączenia dobra i zła - mówił Perec.

- Współcześnie większość ludzi nie wierzy w zło. Powszechna jest opinia, że każdy akt okrucieństwa wynika z nieporozumienia i że gdyby tylko udało się nam poznać jego przyczynę, ukryty motyw, i je usunąć, do niczego złego by nie doszło. Sam kiedyś w to wierzyłem, gdy jeszcze byłem młody... - Spomiędzy warg pisarza wydobyła się smużka dymu, gdy dodawał: - Z wykształcenia jestem prawnikiem, wiesz...

Der Nister wiedział o tym doskonale. Zagubione dusze w utworach Pereca często były sądzone przed Boskim trybunałem i na ogół ostatnie słowo miał... prokurator.

- Na swój sposób żałuję, że ty w to nie wierzysz... - Odchylił się w fotelu i postukał czubkiem cygara w talerzyk stojący na niskiej ławie. - No wiesz, w to, że nad złem można zapanować. Taka wiara się przydaje... W twoich utworach zło jest irracjonalne, a zarazem tak bardzo ludzkie. Mimo wszystko to mi się podoba - powtórzył.

Der Nister zdobył się na uśmiech, lecz jak się okazało, jego radość była przedwczesna.

- Ale jesteś zbyt pobłażliwy - Perec machnął ręką, rozwiewając kłęb dymu i nadzieje Der Nistera - dla siebie i dla piękna. Piękno cię uwiodło i myślisz, że skoro potrafiś napisać ładne zdanie, nie ma

znaczenia, jak twoja opowieść się potoczy czy skończy... Twoje pisanie bardziej przypomina malowanie obrazu niż opowiadanie historii. A podczas gdy obraz nie musi mieć znaczenia, opowieść powinna je mieć.

Chociaż Der Nister z okazji tego spotkania wykosztował się na nowy serdak, nagle poczuł się zupełnie nagi. Najchętniej

95

wtopiłby się w fotel. Nerwowymi ruchami chudych palców bawił się cygarem i wykorzystawszy moment, kiedy Perce spuścił z niego wzrok, schował je do kieszeni.

- Pamiętasz z dzieciństwa - ciągnął Mistrz - opowieść o chwili naszego przejścia do lepszego świata? - Głos miał niski, ciężki, a jednak jego słowa unosiły się na kółkach dymu, który coraz szczelniej wypełniał pokój zarzucony hebrajskimi księgami, jak gdyby w tej pośredniej postaci pomiędzy ogniem i popiołem podstępnie chciał je pojąć i strawić. Der Nister przełknął ślinę i wziął głęboki oddech, czekając na dobrze mu znany ciąg dalszy. - Będą doń wiodły dwa mosty: jeden z żelaza i jeden z papieru. Szubrawcy ruszą mostem żelaznym i załamie się on pod nimi. Sprawiedliwi przejdą po moście papierowym, a on ich utrzyma, gdyż to słowo, nic innego, prowadzi do lepszego świata. Twoim zadaniem jako pisarza, zadaniem jedynym i najważniejszym, jest wybudować ten właśnie papierowy most.

Der Nister znajdował się w stanie takiego pomieszania z powodu bliskości Mistrza, że z trudem przyszło mu się skupić na jego słowach. Czuł się tak, jakby widział dźwięk i słyszał obraz. W krótkiej chwili jasności, kiedy udało mu się zapanować nad własnymi zmysłami, zerknął na blat ławy i dostrzegł leżący na nim skrawek papieru, na którym było coś napisane - z pewnością ręką samego Pereca! Bezgłośnie i z namaszczeniem odczytał: „Kupić jajka” i postanowił, że przy pierwszej sposobności ukradnie ten świstek. Tymczasem Perce przestał świdrować wzrokiem swego gościa, odchrząknął i rzekł:

- Zobaczmy, czy zdołam odnaleźć źródło, z którego pochodzi ta opowieść.

Wstał gwałtownie i wypadł z pokoju.

Der Nister odzyskał zdolność ruchu, rzucił się, by pochwycić i ukryć wypatrzoną kartkę papieru, i w tej samej chwili poczuł, że coś się pali. Rozejrzał się wokół nieprzytomnie, po czym opuścił oczy na miejsce, które przez prawie całe spotkanie świdrował wzrokiem Perce. W kieszonce jego nowego serdaka widniała wielka dziura, wypalona przez nie zgaszone dobrze cygaro. Der Nister nigdy już nie miał mieć tak eleganckiej kamizeli.

96

Nigdy więcej też nie dane mu było zapalić cygara.

„Podczas gdy obraz nie musi mieć znaczenia, opowieść powinna je mieć.” Der Nister nie raz wracał myślą do tego stwierdzenia, zwłaszcza w latach kiedy jego własne pisarstwo stawało się coraz bardziej pokrętne i niejasne, on zaś starał się mu nadać jakiś sens. Zastanawiał się także, dlaczego obrazy są zwolnione z obowiązku niesienia znaczenia. Przecież właściwie wszystko na tym świecie winno mieć nie tylko sens, ale i cel. A może znaczenie pojawia się tylko tam, gdzie jest początek i koniec? Na przykład w opowieści czy życiu, ale już nie w obrazie? Wszelako Der Nister był zbyt nieśmiały, aby zadawać takie pytania na głos. Musiało minąć dziesięć lat, nim zdobył się na odwagę i zapytał o to swego sąsiada artystę, nauczyciela plastyki w szkole dla żydowskich sierot. Stało się to dzień po tym, jak jeden z chłopców odwiedził mieszkanie, a zarazem prywatną pracownię Chagalla - widok tego dziwnego cichego dziecka wśród namalowanych obrazów, także tych zaczętych i nie dokończonych, nie dawał mu spokoju. Następnego popołudnia, wracając do swego mieszkania na ostatnim piętrze, Der Nister zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami sąsiada.

Chagall był w wirze pracy, zajęty dopracowywaniem szkiców do malowideł ściennych przewidzianych dla moskiewskiego Teatru Żydowskiego, mimo że jak dotąd nie zobaczył ani kopiejki z obiecane honorarium, co doprowadzało go do uzasadnionego szału. Jego obsesją była myśl, że czteroletnia córeczka umrze mu z głodu, jak tak dalej pójdzie, chociaż i tak powodziło mu

się lepiej niż większości zaprzyjaźnionych z nim artystów wywodzących się z tego samego kręgu. Ostatnimi czasy nastąpił wysyp zleceń, podczas gdy taki na przykład Der Nister usiłował utrzymać rodzinę tylko za skromną nauczycielską pensję. Chagall schował dumę do kieszeni i brał, co mu wpadło w ręce - między innymi podjął się zilustrowania poezji Icyka Fefera, grafomana wysławiającego Birobidżan, nowo powstałą republikę radziecko żydowską na rosyjskim Dalekim Wschodzie, tuż przy granicy z Koreą. Wiersze

97

były do niczego, nawet jeśli wierzyło się propagandzie, o co z pewnością nikt Chagalla nie posądzał. (Malarz właśnie czynił przygotowania do przeprowadzki do Berlina.)

Z Der Nisterem pozostawał na przyjaznej stopie; prawił mu komplementy, które pisarz gładko łykał.

- Bardzo cenię to, co piszesz - powiedział mu na przykład zaraz po tym, jak ukończyli pracę nad pierwszą wspólną książką dla dzieci. - Jesteś dla mnie inspiracją - zatoczył ręką koło, pokazując na swoje obrazy. - Wiesz, że na każdym z nich jest ukryte twoje imię? - Był to oczywiście żart, ale Der Nister i tak przyjrzał się obrazom uważniej, tak na wszelki wypadek, co tylko rozbawiło Chagalla. - W przyszłości, kiedy ludzie będą je ode mnie kupowali - oświadczył uroczyście - powiem, że żaden by nie powstał, gdyby nie mój wspaniały sąsiad z góry. - I roześmiał się donośnie.

Tamtego popołudnia Der Nister stał w drzwiach pracowni i spoglądał na Chagalla z zazdrością. Bardzo by sobie życzył mieć podobne podejście do życia, umiejętność obracania wszystkiego w żart.

- Ten obraz - zaczął ostrożnie, wskazując na płótno, które przedstawiało mężczyznę i kobietę (czyżby byli to Chagall i jego żona?) całujących się na niebieskim tle. Właściwie kolor tła przesiąkał przez postaci, tak że pierwszy i drugi plan stanowiły niebieską jedność, podobnie jak obie sylwetki (mężczyzna trzymał dłoń obleczoną w rękawiczkę na policzku, brodzie i szyi kobiety). - Ciekawi mnie, co on znaczy, co wyraża...?

Chagall oderwał się na moment od pracy i podążył wzrokiem za palcem wskazującym Der Nistera. Zapatrzył się w obraz i wyglądało na to, że zaraz powie coś naprawdę głębokiego, lecz zamiast to zrobić, wzruszył tylko ramionami.

- Błękit - powiedział i na powrót zabrał się do malowania.

Ostłupiały Der Nister gapił się w kark malarza.

- Jak to: błękit? - zapytał, kiedy wrócił mu głos. - To znaczy, przecież sam widzę, że jest niebieski. Ale czy nie kryje się za nim coś więcej, jakieś głębsze znaczenie, którego być może nie chcesz mi ujawnić? Na przykład coś związanego

98

z miłością? Albo zaspokojeniem? Albo... albo... - zaczął się jękać - z se... seksem?

Chagall jęknął i z rozmachem cisnął pędzel, którego używał, do kubka z zabarwioną na pomarańczowo wodą, po czym gwałtownie okręcił się na krześle.

- Błękit - powtórzył dobitnie, zakładając poplamione przedramiona na piersi.

- Błękit? - ponownie zdziwił się Der Nister, bezradnie rozkładając ręce.

- Tak, po prostu błękit. - Chagall nie tracił cierpliwości. Pod nosem miał maleńką plamkę czerwonej farby, wyglądało to jak ranka. - Niby dlaczego obraz miałby coś znaczyć?! Chyba że potrafisz mi odpowiedzieć na pytanie, co znaczy twoja córka?

Der Nister przygryzł wargę. Przed oczyma stanęła mu Hodele - zaledwie ośmiolatka, a już taka utalentowana: potrafiła rozwiązywać zagadki, pisać w trzech językach, aż kipiała energią, gotowa zawojować świat. Wyobrazenie było tak rzeczywiste, że niemal poczuł dotyk jej jedwabistych włosów. Czy to możliwe, by tak wspaniały prezent od Boga był bez głębszego znaczenia?

- Ona znaczy - zaczął mówić, nim nawet zdał sobie sprawę, że w ogóle chce coś powiedzieć - ona znaczy przyszłość. Kiedyś zapali dla mnie świeczkę, a jej wnuki będą nosiły moje imię.

- A jeśli nie?

Der Nister ledwie opanował zabobonną chęć, by splunąć trzy razy, jak to robili starzy Żydzi, gdy



ktoś wspomniał o przyszłości. Niepotrzebnie, gdyż Chagall go przejrzał i ironicznie dopełnił rytuału, udając, że pluje niczym pomarszczona staruszka.

- No? Co wtedy? - drażył. - Jakie wtedy będzie jej znaczenie? - Przyjrzał się swojemu kciukowi, starł z niego trochę zaschłej farby i upuścił wiórek na ziemię. - A co z Borysem Kulbakiem? Czy on także coś znaczy twoim zdaniem?

Pisarz drgnął usłyszawszy imię chłopca. Przypomniał sobie jego niepokojący obrazek: nieforemny okrąg, wewnątrz

99

którego widniało pacnięcie farby, jak gdyby zaczątek jakiejś istoty - Chagall twierdził, że to faktycznie był płód w łonie matki. Mając te informacje, nietrudno się było dopatrzeć podobieństwa pomiędzy łysą główką płodu a ostrzyżoną na zero łepetyną chłopca, zwłaszcza że i jedna, i druga twarz przypominała maskę zastygłą ze strachu. Na szczęście jego Hodele lubiła się uśmiechać i często to robiła.

- Przejrzałem jego akta dzisiaj w szkole - ciągnął Chagall, trąc wielkim palcem bosej stopy niesymetryczną pomarańczową plamę na podłodze. - Ma jedenaście lat, pochodzi z Żytomierza... Hodele też urodziła się w Żytomierzu, pomyślał Der Nister. Nocą po szarym dniu, ciężkim od mgły i deszczu... Wśród krzyków cierpienia i morza krwi. A jednak jasność zwyciężyła.

- ...nęli go z grobu na żytomierskim cmentarzu - monotonnym głosem ciągnął Chagall. - Wygląda na to, że pogrzebał się sam żywcem...

Der Nister poczuł, że braknie mu tchu. Zatem chłopiec również coś znaczył, i to coś ważnego: był dowodem, że nieboszczycy powstaną z martwych. Już widział oczyma wyobraźni, jak Borys żeni się z Hodele, mają dzieci, dla których on maluje, a ona układa zagadki.

- ...ale to oczywiście nic nie znaczy - oświadczył Chagall. Der Nister popatrzył na niego z oburzeniem, lecz zaraz z ulgą stwierdził, że malarz porzucił temat młodego Kulbaka i znów mówi o swym obrazie. - To tylko kolor. I światło. - Okręcił się na krześle, tak że znów siedział przed stołem, i ujął w dłoń porzucony przed chwilą pędzel. - Tylko tyle i aż tyle. Odrobina radości na tym świecie. Oddałbyś sobie wielką przysługę, Kahanowicz, gdybyś nie próbował wszystkiego analizować. - Znów zmienił temat. - No to kiedy dostanę od ciebie następną książkę do zilustrowania? - spytał.

- Jeszcze jej nie s... skończyłem... - Der Nister ponownie się zaciął. - Muszę więcej pracować - dodał, chociaż myślami był gdzie indziej. W przyszłości, razem z Hodele i Borysem Kulbakiem.

100

- No i dobrze - odparł Chagall. - W takim razie znikaj i zostaw mnie w spokoju. I nie pokazuj się, jeśli nie będziesz miał czegoś wesołego do opowiedzenia - zagroził.

Der Nister jak cień zniknął za drzwiami. Pnąc się wąskimi schodami do swego mieszkania na ostatnim piętrze, rozmyślał, czy jest możliwym zawrzeć w opowieści choćby odrobinę szczęścia, skoro zawczasu trzeba obmyślić początek, środek i koniec... Przyśpieszył, mając nadzieję, że w domu czeka na niego córka.

## Rozdział Szósty.

Kiedy Erika Frank podjęła pracę w Muzeum Sztuki Żydowskiej, odkryła różnice dzielące zwykłe muzea, w jakich pracowała dotychczas, od muzeum stricte żydowskiego. Po pierwsze, cały budżet przeznaczony na ochronę wykorzystywany był do ochrony ludzi, a nie dzieł sztuki. Wraz z umową o pracę wręczono jej broszurkę, w której obok innych ważnych informacji na temat bezpieczeństwa i higieny pracy znalazła się lista ataków, przeprowadzonych w świecie na rozmaite instytucje żydowskie.

1994 - atak bombowy w dzielnicy żydowskiej w Buenos Aires: 85 zabitych, 300 rannych;

2002 - atak bombowy na synagogę na Dżerbie w Tunezji: 14 zabitych;

2003 - równoczesny atak bombowy na dwie synagogi w Stambule: 25 zabitych;  
2003 - równoczesny atak bombowy w pięciu lokalizacjach, w tym na budynek pełniący funkcję ośrodka żydowskiego w Casablance: 41 zabitych;  
2003 - atak bombowy na żydowskie przedszkole w Kaliningradzie w Rosji: 1 dziecko ranne;  
2003 - podpalenie Muzeum Holokaustu w Terre Haute w stanie Indiana w USA: budynek doszczętnie zniszczony;  
2004 - atak bombowy na żydowską szkołę: brak danych co do liczby rannych.

102

Aby dostać się do pracy, Erika musiała przejść istny tor przeszkód - wykrywacze metalu dla niej, promienie rentgena dla jej torebki, elektroniczne zamki o ciągle zmieniających się kodach do każdych drzwi, no i wszędobylscy ochroniarze z oczami dookoła głowy. Dyrekcja muzeum regularnie otrzymywała fakсы z Federalnego Biura Śledczego, informujące o groźbach ataku bombowego na placówkę, wraz z zaleceniami, by wreszcie wybudować wielkie, ohydne betonowe bariery pomiędzy fasadą budynku a ulicą, nie zważając na to, że muzeum jest atrakcją turystyczną, do tego w ładnej dzielnicy. Jak dotąd dyrekcja się nie ugięła, ale krążyły słuchy, że czas oszpeccenia budynku jest już bliski. Mimo tego, wydawałoby się, aż za gęstego sita ostatnio ktoś jakby nigdy nic, wyniósł z muzeum obraz Chagalla, wart, bagatela! milion dolarów, i nie rozległ się żaden alarm ani żadna kamera nie zarejestrowała kradzieży!

Było coś jeszcze, co czyniło tę pracę inną od wszystkiego, a co Erika zdążyła poznać w swej niezbyt długiej karierze: tutaj wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. Cały personel w małym palcu miał historię jej rodziny - śmierć matki, depresję ojca, narodziny jej bratanców, ba, oni wiedzieli nawet, z kim i jak długo chodziła! Erika szybko zaczęła się w tej atmosferze dusić.

Nawiasem mówiąc, Erika widziała wczoraj swoją matkę. We śnie oczywiście. Tym razem znajdowała się pośród tłumu na tle nocnego nieba (być może miał się odbyć pokaz fajerwerków albo coś w tym stylu) i z wielkim zaparciem przedzierała się przez ludzką ciżbę, która stawiała jej opór, uniemożliwiając dotarcie do celu wędrówki. Gdy Erika ją zauważyła, schwyciła jej dłoń i zapytała: „Mamo, co robisz? Przecież ty nie żyjesz!” Kobieta wyrwała się i dając się na powrót wessać tłumowi, krzyknęła: „Po prostu się ruszam! W ten sposób nikt nic nie zauważy!”

Ostatnimi czasy Erika miała kłopoty nie z zasypianiem, jak większość ludzi, lecz z budzeniem się. Otworzyć oczy znaczyło pożegnać się ze snami, przynajmniej na najbliższe paręnaście godzin, utracić nadal błakający się na wargach uśmiech, ujrzeć przed sobą białą ścianę i uświadomić sobie

103

z duszą, bolesną pewnością, że oto dla niej rozpoczyna się kolejny dzień, podczas gdy jej matka nie żyje. Wciąż od nowa zaskakiwało ją, że mimo iż dano jej czas, by przygotowała się na nieuniknione (trzy miesiące - dziewięćdziesiąt dni i nocy wypełnionych rozpaczłą mieszaną z nadzieją, oczekiwaniem zarazem cudu i najgorszego), z każdym dniem było jej ciężej.

Przez większą część ubiegłego roku, kiedy jeszcze pracowała na poprzedniej posadzie, w innym muzeum, spotykała się ze swoim szefem. Był to wysoki mężczyzna imieniem Saul, noszący śmieszny cienki wąsik i ślad po obrączce. To on przeprowadzał selekcję kandydatów i zatrudnił ją od ręki, nie każąc nawet czekać na swój telefon dla zachowania pozorów. Wiedziała, że olśniła go bardziej swoim wyglądem aniżeli profesjonalizmem, ale i tak przyjęła pracę. Początkowo czuła się mile polectana, że Saul wykorzystując ją - swoją nową wystrzałową dziewczynę - stara się odegrać na eks żonie. Później naprawdę polubiła spędzać z nim każdą wolną chwilę, chociaż gdyby ją ktoś zapytał, nie potrafiłaby sprecyzować, czy to dlatego, że zaczęła darzyć Saula sympatią, czy też raczej po prostu szukała wytchnienia od rozmów o radio i chemoterapii. Liczyło się to, że jest żydem, kiedyś był buntownikiem (wciąż nosił mały kolczyk w górnej części małżowiny usznej) i świetnie gotuje.

Nim się spostrzegła, już u niego mieszkała, jednakże bez błogosławieństwa matki, której powiedziała, że zmieniła numer telefonu z powodu natrętnych telemarketerów (na szczęście zdołała przekonać Saula, iż jej głos lepiej brzmi na ich wspólnej automatycznej sekretarce). Matce nie

przyznała się do samego końca, choć podejrzewała, że ta sama się częściowo domyśliła prawdy. Właściwie nigdy nie miała przed matką sekretów i tym razem to także nie był sekret, lecz raczej próba, by zobaczyć, jak to będzie nie móc się jej zwierzyć... Erika nie powiedziała Saulowi, że jej matka umiera, tylko że jest chora i wymaga opieki. O zgonie dowiedział się parę dni po pogrzebie - Erika nie chciała go wtedy u swego boku. Kiedy znów spotkali się po krótkiej przerwie (Erika wróciła doń po przepisowych siedmiu dniach żałoby), Saul ubolewał, że był nieobecny na pogrzebie i że nie mógł otoczyć Eriki pomocnym ramieniem,

104

i natychmiast zaczął ją traktować, jakby była ze szkła. Ona sama nie miała ochoty na karesy, pieszczoty napawały ją wstrętem, a kiedy jakimś cudem poczuła przyjemność, nienawidziła się jeszcze długo potem.

Rodzice Saula także byli rozwodnikami - z ojcem nie zamienił słowa od przeszło piętnastu lat, a matki szczerze nie znosił. Jednakże wraz ze śmiercią niedoszłej teściowej jego gniew stopniał. Zaczął dzwonić do matki przynajmniej raz w tygodniu i zawsze zmuszał Erikę, by i ona przez chwilę z nią porozmawiała. Oczywiście wiedziała, że Saulem kierują dobre intencje, a mimo to czuła niewysłowioną zazdrość i złość. Gdyby w to wierzyła i umiała, rzuciłaby na któreś z nich urok.

Kilka miesięcy później Erika i Saul pojechali na wesele jego brata, a właściwie przyrodniego brata, gdyż był to syn obecnego męża jego matki. Jak nakazywała rodzinna tradycja, był to jego drugi albo nawet trzeci ślub - Erika nie miała głowy do liczb, nigdy nie lubiła arytmetyki. Na samo wesele także nie miała ochoty i większość czasu spędziła w toalecie. Zamknawszy się w kabinie za którymś z kolei razem, podsłuchiwała rozmowę matki Saula z jakąś obcą kobietą.

- Jej matka dopiero co umarła i biedactwo ma tylko nas...

Erika była przekonana, że rozmawiają o pannie młodej, o której nie wiedziała praktycznie nic z wyjątkiem tego, że do ołtarza nikt jej nie doprowadził, co sugerowałoby niezbyt liczną rodzinę. Z błędu wyprowadził ją głos nieznajomej kobiety, dotąd tylko cmokaniem wyrażającej współczucie.

- Zatem Saul jak zwykle zachował się po rycersku. Ciekawe, czy łączy ich coś poważniejszego?

Poważne, pomyślała Erika, to może być schorzenie. Tymczasem matka Saula uśmiechnęła się szeroko, co Erika poznała po jej głosie.

- Saul byłby głupcem, gdyby nie chciał jej przy sobie zatrzymać. Dziewczeta takie jak ona szukają tylko, kogo by tutaj pokochać. A Saul... cóż... on wprost rozkwita, kiedy jest kochany. Do tego ona wydaje się taka uległa...

Dwie pary wysokich obcasów zastukały po marmurowej posadzce, kiedy obie kobiety przechodziły do kabin po prawej

105

i po lewej stronie Eriki, tak że została osaczona przez dalszy ciąg rozmowy, rozbrzmiewający echem nad jej zgiętym karkiem.

- Druga żona mojego ojca była właśnie taka - oznajmiła nieznajoma. - Po tym jak owdowiała, dosłownie przyssała się do mojego ojca, jak gdyby nie mogła bez niego żyć. Początkowo myślałam, że wyszłam z niego wszelkie życie, ale było dokładnie na odwrót.

W toalecie po prawej rozległ się szum spłukiwanej wody. Przekrzykiwała go matka Saula:

- Taak! Myślę, że Saul nie mógł lepiej trafić.

- A do tego jest taka ładna! - Nieznajoma jak gdyby chciała się podliznąć matce Saula. - Istna piękność... - Resztę wypowiedzi zagłuszyła spłuczka.

- Yhm - mruknęła matka Saula puszcżając wodę do umywalki, a Erika wręcz zobaczyła rysującą się między jej brwiami kreskę. - Wygląda na to, że wnuki będą miała tylko dla siebie... Normalnie monopol na nie dostaje matka dziewczyny... - Zreflektowawszy się, dodała: - To chyba nie za wcześnie myśleć o takich sprawach? - Erika z trudem utrzymywała niewygodną pozycję, by nie dopuścić do włączenia fotokomórki uruchamiającej mechanizm spłuczki. - Och, no i Saul nie będzie musiał znosić fochów teściowej!

Choć mięśnie jej zdrętwiały, Erika siedziała jak przymurowana do toalety długo po tym, jak obie kobiety wróciły na przyjęcie. Łokcie położyła na kolanach, brodę oparła na złączonych dłoniach i wpatrywała się w seledynową posadzkę z marmuru. Toaleta zrobiona była z najlepszych materiałów, ale nie dało się ukryć, że pod tym wszystkim rurami płynie zwykle gówno. Parę dni temu obudziła się wczesnym rankiem, wytrącona ze snu przez chrapanie Saula, i za wszelką cenę chciała na powrót zasnąć. (Kiedy śniła, stała w kuchni razem z matką i czekała, aż matka jej odpowie, jakich talerzy ma użyć do nakrycia stołu: dużych czy deserowych.) Niestety Saul jak na złość przewracał się z boku na bok, sapał, a raz nawet bezwiednie objął ją ramieniem. Odtrąciła je i odsunęła się od jego rozgrzanego ciała. Wreszcie udało jej się zasnąć. Znalazła się

106

na weselu. Wszystko wyglądało tak jak przed laty, kiedy ślub brał jej brat, tyle że teraz panną młodą miała być Erika, której matka pomagała dopiąć suknię. Nie udało jej się dowiedzieć, kto miał być panem młodym, gdyż znowu się przebudziła. W trzecim śnie nie było już jej matki. Erika leżała w łóżku obok Saula - tak że właściwie trudno było ocenić, czy to sen czy jawa - i przysłuchiwała się skrzypieniu drzwi frontowych. Wystraszona obudziła Saula i powiedziała mu, że ktoś jest w domu. Z początku jej nie uwierzył, ale kiedy obcy mężczyzna, potężny dryblas zakutany w ciemny płaszcz i trzymający w prawym ręku nóż, zakradł się do sypialni, poderwał się do pozycji siedzącej i nakrywając pierzyną, zaoferował intruzowi ciało Eriki w zamian za życie. Dryblas już się zabierał do dzieła, kiedy Erika ponownie się obudziła.

Na dworze wciąż było ciemno. Saul przetoczył się na brzuch, wydając przy tym gardłowy dźwięk, Erika zaś ledwie stłumiła szloch. Nigdy nie płakała w obecności Saula, gdyż wiedziała, że gdyby kiedykolwiek to zrobiła, on zaraz by ją objął, zaczął opowiadać dowcipy albo mówić od rzeczy, byle tylko odwrócić jej uwagę, a potem głaskałby ją po plecach, po piersiach, wszędzie, byle tylko nie płakała - to znaczy byle on nie musiał słuchać jej płaczu. Pomyślała, że lepiej by było, gdyby została sama. Nie na zawsze, tylko teraz, przez parę godzin. Nie miała pojęcia, dokąd pójść, ale to było najmniejsze z jej zmartwień.

Wyślizgnęła się z łóżka i przemknęła do łazienki, unikając swego odbicia w lustrze. Pod prysznicem pozwoliła sobie na kilka stłumionych szlochów, łzy zmieszały się ze strugami wody zalewającej jej twarz. Zakręciła kurki, stanęła boso na posadzce łazienki i zaczęła się wycierać: włosy, całe ciało, stopy. Kiedy nachyliła się, by wytrzeć dobrze palce u nóg, za sobą zobaczyła drugą parę stóp - większych i ciemniejszych.

- Masz piękne ciało, Eriko. Wiesz o tym, prawda?

Wyprostowała się i nim jeszcze obróciła, ujrzała twarz Saula w łazienkowym lustrze. Patrzył na nią, mrużąc oczy (był krótkowidzem, a przed snem wyjmował soczewki kontaktowe) i uśmiechając się dziwnie. Kilkakrotnie widziała ten uśmiech, gdy spał. Brodę i żuchwę pokrywała mu ciemna szczecina,

107

która go postarzała. Był nagi, jeśli nie liczyć bokserek, których przód powoli się wybrzuszał. Od drzwi pociągnęło chłodem i Erika się wzdrygnęła. Złapała rogi ręcznika i owinęła się nim starannie, czując, jak jej ciało pokrywa gęsia skórka.

- Pragnę cię, Eriko.

Saul postąpił ku niej, obiema dłońmi ujął jej twarz, popieścił chwilę policzki i szyję i zjechał niżej, chwycił jej dłonie zaciskające się na brzegu ręcznika i uwolnił go, po czym rozluźniając węzeł, zaczął go z niej zsuwać. Erika stała bez ruchu, obserwując spod przymkniętych powiek rozwój wypadków. Kiedy ręcznik opadł na posadzkę, przez moment chciała się po niego schylić, ale Saul już go sobie przysunął stopą i stanął na nim, zbliżając się do niej jeszcze bardziej i zakleszczając ją pomiędzy swoim muskularnym ciałem a umywalką.

- Kocham cię, Eriko.

Pocałował ją w usta, prawą ręką pieszcząc policzek, brodę, szyję i powoli zmiernając ku jej lewej piersi. Erika chciała coś powiedzieć, ale język miała uwięziony w jego ustach. Lewą dłonią chwycił

ją za prawy nadgarstek i przyciągnął jej rozczapierzone palce do swojego brzucha. Czują, jak gładka skóra unosi się i opada w sposób idealnie zsynchronizowany z jego wdechami i wydechami, które czują na własnych wargach, coraz szybszymi, kiedy wpychał jej dłoń za gumkę bokserek. Całą siłą oparła się o umywalkę, a on położył jej dłoń na piersi i jął okrażać brodawkę palcem wskazującym, przyciskając się do niej jeszcze silniej, tak że prawą dłoń miała praktycznie unieruchomioną. Drugą ręką zjeżdżał niżej, aż w końcu dotarł pomiędzy jej uda, ledwie muskając ich sklepienie. Erika jęknęła, bardziej z przyzwyczajenia niż z namiętności. Kochali się zaledwie parę godzin wcześniej i była wykończona. Najchętniej osunęłyby się na podłogę i tam została, aż się wyśpi.

- Chcę, żebyś mi dała dzieci, Eriko - szepnął jej do ucha.

To było coś nowego. Erika otworzyła szeroko oczy, uświadamiając sobie nagle chłód porcelanowej umywalki wrzynającej się jej w pośladki. Saul wpatrywał się w nią z natężeniem,

108

na co przeszedł ją kolejny dreszcz. On spodziewa się po mnie odpowiedzi, pomyślała.

Przypomniała sobie słowa jego matki: „Wygląda na to, że wnuki będę miała tylko dla siebie...”

Milczała. Saul uśmiechnął się lekko i przymknął oczy, znów nachylając się do jej ucha. Najpierw poczuła ciepły oddech, a potem usłyszała:

- Wyjdź za mnie, Eriko.

- Nie.

Odsunęła się, na ile to było możliwe, i spojrzała mu w twarz, by zobaczyć, czy zrozumiał. Tak.

Wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem, jego dłonie już nie krążyły po jej ciele w łagodnej pieszczocie. Moment później przygniatał ją do umywalki, przedzierając się do nieprzygotowanego wnętrza. Kiedy wygiął plecy w łuk w paroksyzmie rozkoszy i ciężko łapał powietrze, Erika pchnęła go z całą mocą i wyszarpnęła się, lecz zaraz niefortunnie poślizgnęła na mokrej od wody posadzce i padła na ziemię jak worek kartofli. Saul, oszalały niczym piekielny demon, zwałił się na nią. Jak wyjątkowo ciężki koc albo całun.

Po jakimś czasie jakby nigdy nic wstał, podał jej rękę i zaciągnął z powrotem do łóżka, gdzie odwrócił się do niej plecami i zapadł w sen. Ona leżała jak trusia dopóty, dopóki nie rozległo się pierwsze chrapnięcie. Wtedy wypełzła z łóżka, ostrożnie, nie czyniąc najłżejszego szelestu. Jak się przed paroma minutami okazało, Saul nie miał tak mocnego snu, jak zawsze myślała. Teraz bała się nawet otworzyć szafę, włożyła więc swoje stare spodnie od dresu i koszulkę Saula, którą znalazła na ziemi, złapała torebkę i uciekła.

Słońce dopiero wschodziło i ktokolwiek znajdował się o tej porze na ulicy, był jeszcze bardziej bezdomny niż ona. Snuła się ulicami miasta przez niemal dwanaście godzin, nim w końcu zebrała się na odwagę i zapukała do drzwi swego brata.

Przez trzy następne dni spała na kanapie w salonie brata i bratowej, a w chwilach przytomności czytała książeczki swoim bratanicom. Kiedy i jedno, i drugie ją zmęczyło, wróciła do pracy. Tam znalazła na swoim biurku list podpisany przez Saula i dwóch jeszcze członków dyrekcji, informujący ją, że

109

dokonano oceny jej przydatności dla muzeum i zgodnie powzięto opinię, iż pozostawia ona wiele do życzenia.

Miesiąc później Erika siedziała w swojej nowej pracy: jej obecne biuro mieściło się w ponurych piwnicach Muzeum Sztuki Żydowskiej.

Nowy szef Eriki miał na imię Max i ku jej wielkiej uldze okazał się sześćdziesięcioletnim zonatym dziadkiem. Ich stosunki układały się nadzwyczaj poprawnie - do czasu kradzieży, gdyż Max winą za wyniesienie obrazu z muzeum obarczył Erikę. Doskonale wiedział, że to ona była odpowiedzialna za bezpieczeństwo ekspozycji podczas wieczorku samotnych serc, a jednak w trakcie spotkania „sztabu kryzysowego”, zwołanego nazajutrz z samego rana, zmusił ją, by jak w szkole podniosła rękę i się do tego przyznała, choć nikt przy zdrowych zmysłach nie oczekiwałby,

że jeden człowiek zdoła zapewnić bezpieczeństwo wystawie, ani tym bardziej nie oskarżyłby o zaniedbanie tylko jednej osoby. Parę godzin później wpadł do jej biura i tocząc pianę z ust, krzyczał:

- Postawmy sprawę jasno! - Kopniakiem odsunął krzesło dla interesantów i groźnie zawisł nad biurkiem Eriki. - Są trzy fakty. Jesteś tu nowa. Ty byłaś pomysłodawczynią tego cholernego wieczorku. Obraz zginął niemal na twoich oczach.

Erika parę razy głęboko zaczerpnęła tchu, szykując się do walki. W poprzednich miejscach pracy nie raz miewała scysje z kolegami czy szefostwem i umiała się bronić.

- Nie winałabym o ten incydent wieczorku - odparła powoli. - Wszystko zostało zorganizowane zgodnie z przepisami. Problem w tym, że nasze muzeum nie ma systemu zabezpieczeń. Bez niego właściwie nie powinno się organizować jakiegokolwiek wystawy, każdy muzealnik to panu powie. Na absurd zakrawa, że przy tak rozdmuchanym budżecie na ochronę całość wydatków idzie na jakieś wykrywacze metalu, które przecież w żaden sposób...

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to muzeum ma szczególne wymagania, jeśli chodzi o ochronę? - zapytał nieco łagodniej Max.

110

Erika wzruszyła ramionami. Cokolwiek powie, będzie to niczym groch o ścianę, a do tego gwóźdź do jej zawodowej trumny. Bronić się, to jedno. Kłócić z szefem - zupełnie co innego.

Doświadczenie z Saulem nauczyło ją mieć się na baczności.

- Oto co zrobisz - oznajmił Max, nachylając się jeszcze bardziej, tak że prawie stykali się nosami.

Mówiąc, dmuchał jej w twarz. - Istnieje lista zaproszonych na tę imprezę gości. Do diabła, sama robiłaś te idiotyczne plakietki z nazwiskami! Skontaktujesz się z nimi wszystkimi i każdego po kolei wypytasz, czy nie zauważył czegoś podejrzanego. Osobiście.

Erika popatrzyła nań z niedowierzaniem. Chyba nie mówił poważnie?

- A czy to przypadkiem nie zadanie dla policji?

- Owszem, ale wiesz, jacy są policjanci. Nie będą mieli pojęcia, o co dokładnie pytać. A my jesteśmy po to, żeby im pomóc. No i... - oblizał się oblesnie - z pewnością do niektórych z tych gości... samotnych serc... - wycedził - tobie będzie łatwiej dotrzeć. - Erika wzdrygnęła się z obrzydzenia, lecz nie mogła zaprotestować. - Na co czekasz? - rzucił Max od drzwi. - Zaczynaj się z nimi umawiać!

Erika posłuchała. Po trzech wyczerpujących dniach nie była ani odrobinę mądrzejsza. Większości ludzi z listy nawet nie zastała, dzwoniąc pod podany numer telefonu, i choć prosiła o przekazanie im wiadomości, by pilnie się z nią skontaktowali, mało kto to zrobił. Paru przyszło do jej biura z wymalowaną na twarzy fałszywą troską, podczas gdy w środku aż kipieli z podniecenia - będą co mieli opowiadać znajomym! Wszyscy powtarzali to samo, jakby się zmówili. „Ukradziono obraz? O rany, to niedobrze! Niech się zastanowię... Nie, niczego nie widziałem. To znaczy, kręciło się tutaj parę klawych lasek, no i to one przykuły moją uwagę... Naprawdę bardzo mi przykro, że ma pani kłopot. Życzę powodzenia!” Kobiety były jeszcze mniej rozmowne.

W paru gazetach ukazał się artykuł z dużym zdjęciem obrazu i prośbą o kontakt, gdyby ktoś był w stanie pomóc go odnaleźć, ale oddźwięk był praktycznie żaden. Policja skłaniała się do wersji, że kradzieży dokonał ktoś z muzeum, ale

111

Erika jakoś w to nie wierzyła. Pracowali z nią podtatusiali mężczyźni, których biurka upstrzone były fotografiami pociech, zagonione kobiety z przedmieść, zawsze w drodze do przedszkola albo pediatry, niewydarzone podfruwaćki spędzające większą część dniówki na grze w warcaby z komputerem. Brak choćby najmniej prawdopodobnego tropu w niczym nie pomagał: muzeum z jednej strony było naciskane przez rosyjską galerię, właściciela obrazu, z drugiej - przez towarzystwo ubezpieczeniowe, wietrzące próbę wyłudzenia odszkodowania. Wyglądało na to, że pozycja placówki w branży została poważnie nadwerężona. Wieść o kradzieży rozeszła się szeroko; nawet Saul wystosował oficjalne pismo z wyrazami ubolewania w imieniu swego muzeum, choć

Erika podejrzewała, że zrobił to tylko po to, by jej dopiec.

Wreszcie dobrnęła do końca listy. Ostatnią osobą, z którą udało jej się umówić na spotkanie, był Benjamin Zyskind.

Spóźniał się już ponad pięć minut. Prawie dziesięć. Erika była zmęczona wydarzeniami ostatnich dni i najchętniej poszłaby do domu. Poirytowana postanowiła, że zaczeka na niego jeszcze góra pięć minut. Z nudów zaczęła bazgrać po specjalnie przygotowanej kartce. Zyskind, przeczytała. Z jakiegoś powodu zabrzmiało to znajomo, chociaż dałaby sobie głowę uciąć, że nie poznała nikogo o tym nazwisku, na pewno nie podczas wieczorku w muzeum. Musiała więc pamiętać je skądś indziej. Nagle ją olśniło. Takie nazwisko widniało na okładce książeczki, którą czytała bratanicom - odkąd się wyprowadziła od Saula, była u nich częstym gościem, a one za każdym razem wierciły jej dziurę w brzuchu, by im poczytała. Miały pokaźną biblioteczkę, w której królowały książki tej właśnie autorki; dziewczynki odmawiały słuchania czegokolwiek innego. Na szczęście dla Eriki bajki były całkiem dobre.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Otwarte! - krzyknęła nieco nieprzytomnie, zapomniawszy, na kogo czeka.

Kiedy drzwi się uchylały, Erika wstrzymała oddech.

Do jej biura wszedł mężczyzna, z którym rozmawiała w trakcie wieczorku. Jego nazwisko nic jej wtedy jeszcze nie

112

mówiło, więc jej pamięć go nie zachowała. Był to ten sam nerwowy człowieczek, który na nią warknął podczas krótkiej wymiany zdań. Niewysoki, szczupły ciemnowłosy okularnik - pamiętała, że gdy stali, oczy mieli prawie na tym samym poziomie, tyle że jego schowane były za niemożliwie grubymi szklami oprawnymi w lennonki. Pomimo nijakiej aparycji i niezbyt miłego zachowania wrył się jej w pamięć; teraz także wydawał się interesujący. Stał niepewnie w progu, trzymając skrzydło drzwi, jakby nie był zdecydowany, czy ma wejść do środka czy też raczej powinien dać drapaką. Albo jak gdyby czekał, aż ona wypowie magiczne zaklęcie.

- Cieszę się, że znowu się spotykamy. - Erika starała się nadać głosowi urzędowe brzmienie. -

Proszę dalej... Chciałabym zadać panu kilka pytań w związku z kradzieżą jednego z naszych obrazów. W rozmowie telefonicznej napomknął pan, że policja już pana przesłuchiwała. To dobrze. Ja poproszę pana tylko o parę informacji...

- W porządku.

Sposób, w jaki to powiedział, nad wyraz spokojnie i cicho, nieco ją zaskoczył. Podczas jej przydługiej i niezbyt naturalnej przemowy wszedł wreszcie do środka i zasiadł jak petent po drugiej stronie biurka, na tym samym krześle, na którym nie tak dawno Max wyżywał się, wylewając na nią swoją złość. Kiedy na krótką chwilę ściągnął okulary, by je przetrzeć, po raz pierwszy zauważyła, że oczy ma ogromne i bardzo ciemne, prawie czarne. Od dłuższej chwili bawiła się długopisem i teraz nagle wymknął jej się z palców i potoczył na ziemię. Zakłopotana sięgnęła do szuflady po coś do pisania, lecz Benjamin Zyskind ją ubiegł; schylił się, podniósł upuszczony przez nią długopis i położywszy go na brzegu biurka, pchnął w jej stronę. Uśmiechnął się, gdy go zręcznie złapała, mimo że pchnięcie było „podkreślane”.

Niemal się czerwieniąc spuściła wzrok i zadała pierwsze pytanie. Podany adres kaligrafowała długo i starannie, nie zapominając o ogonku przy żadnej literze. „78. Zachodnia”, przeczytała i się zachwyciła. Zaraz jednak skarciła się w duchu, by nie zachowywała się jak nastolatka.

- A jaki jest pański zawód?

113

Popatrywała na niego, czekając na odpowiedź. W ostrym świetle jarzeniówek, jakie zainstalowano wszędzie w muzeum, nikt nie prezentował się bez skazy i Benjamin Zyskind nie był wyjątkiem. Jego blada skóra zdawała się cienka jak pergamin wiekowego manuskryptu i tak samo nierówna, a pod nią wyraźnie rysowały się sinoniebieskie żyły. Wyglądał na starszego niż wtedy, kiedy go poznała, a zarazem pewniejszego siebie. Nie unikał jej spojrzenia, wręcz przeciwnie. Podobnie

patrzył na nią ojciec, gdy miał lepszy dzień.

- Pracuję w telewizji.

Doprawdy? pomyślała. To, że jej wydawał się przystojny, nie znaczyło jeszcze, iż miał aparycję amanta, i jakoś nie pasował do srebrnego ekranu. Niemniej raczej nie skłamał, gdyż podając zawód, wyprostował się jakby z dumą.

- A co dokładnie pan robi? - spytała z czystej ciekawości.

- Układam pytania do teleturnieju „Amerykański geniusz”.

Erika czekała na ciąg dalszy. Na przykład puszczenie oka albo skrzyżowanie palców, cokolwiek, co świadczyłoby, że jej gość żartuje. Niczego takiego się nie doczekała.

- To do tego potrzebny jest osobny etat?

- Dziennie w mojej głowie powstaje około tysiąca pytań, kilkaset z nich zapisuję - wyjaśniał ze śmiertelną powagą Benjamin - a spośród nich wszystkich zazwyczaj wybierane jest tylko jedno. I tak codziennie, przez pięć dni w tygodniu.

Erika już miała się roześmiać, uznając, że to jednak żart, kiedy Benjamin poruszył się na krześle i wyciągnął z kieszeni portfel. Chwilę później na jej biurku wylądowała postrzępiona na brzegach wizytówka.

Benjamin Zyskind. Twórca pytań.

W prawym górnym rogu widniało logo stacji telewizyjnej, uwiarygodniające przekaz.

- Hmm... To chyba ciekawa praca... - odezwała się ostrożnie. - Zdaje się, że widziałam ten teleturniej raz czy

114

dwa, ale nie jestem pewna, bo mógł mi się pomylić z jakimś innym... Zaraz, zaraz... Czy to nie ten program, który prowadzi taki denerwujący gość? Udawany kowboj? Jak ja go nie znoszę!

Powiedziała to bez zastanowienia, toteż nie spodziewała się żadnej konkretnej reakcji, niemniej zaskoczyło ją, kiedy Benjamin się roześmiał. Głośno i gardłowo, dudniąc wręcz. Musiała się powstrzymać, żeby również nie wybuchnąć śmiechem, gdyż mógłby uznać, iż śmieje się z niego.

- Zgadza się! - usłyszała, gdy nieoczekiwany atak śmiechu minął.

Erika zatarła w duchu ręce. Faceci tacy jak Max i Saul próbowali jej wmówić, że jest szalona, że odstaje od normalnych ludzi na milę, chociaż sama tego nie dostrzega - ciekawe więc, co by powiedzieli, gdyby poznali Zyskinda? Ten to dopiero jest świr! Nagle poczuła się znacznie lepiej.

- Dobrze, przejdźmy do naszych baranów - uśmiechnęła się zachęcająco. - Co pan pamięta z wieczorku w muzeum?

Jeśli jeszcze przed chwilą był zrelaksowany, zmieniło się to w ułamku sekundy. Odchylił się na oparcie krzesła, obronnym gestem skrzyżował ramiona.

- Proszę posłuchać - rzekł. - Wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem na policji.

Wszystko - powtórzył. - Może ich pani zapytać. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Prawdę mówiąc, nie pamiętam nawet, czy widziałem ten obraz na wystawie. Kiedy go zobaczyłem na zdjęciu w gazecie, wydawało mi się, że patrzę na niego pierwszy raz w życiu.

Erika nerwowo postukała czubkiem długopisu o blat. Znów to samo, westchnęła. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Ten tutaj to być może niegroźny maniak, ale to Max jest naprawdę szalony, jeśli uważa, iż w ten sposób znajdzie się złodzieja! Postanowiła dla porządku zapytać o jeszcze jedno i dać sobie spokój.

- Pan wciąż był w galerii, kiedy na dole zaczęła grać muzyka, zgadza się? - Benjamin zaczął się wiercić. - Może

115

był tam ktoś jeszcze? Proszę spróbować sobie przypomnieć, to ważne.

Dziwne, ale zrobiło jej się go żal. Po nieudanym związku z Saulem i po tym, jak ją potraktował na koniec, w prawie każdym mężczyźnie widziała potwora, ale ten drobny człowiek o skrzekliwym śmiechu, sympatyczny okularnik, który siedział naprzeciwko niej i łagodnie jej się przyglądał,



wydawał się zupełnie niegroźny. Źle go oceniła podczas wieczorku: nie był ani niegrzeczny, ani mizernej postury. Gdyby spotkali się w innych okolicznościach, gdyby nie miała na głowie tego nieszczęsnego obrazu, byłaby poklepała Benjamina po rękę, aby dodać mu otuchy.

- Naprawdę nic nie pamiętam. Z galerii poszedłem prosto do wyjścia.

- Nie został pan na tańcach?

- Nie - pokręcił głową. - Byłem umówiony z siostrą. Wprawdzie policja już to sprawdzała, ale jeśli uważa pani, że to konieczne, proszę do niej zadzwonić. Jestem pewien, że bardzo się z pani telefonu ucieszy i chętnie odpowie na wszelkie pytania, o ile, rzecz jasna, dysponuje pani wolnymi pokojami przesłuchań... - Sama nie wiedząc dlaczego, Erika się skrzywiła. Sarkazm w jego głosie nie powinien był jej dotknąć, a jednak tak się stało. Musiał to zauważyć, gdyż dodał miękko: - Przepraszam... - przygarbił się i opuścił wzrok - miałem ciężki tydzień.

- Tak jak my wszyscy - odparła wspaniałomyślnie. Z trudem ukryła zaskoczenie: minęły lata, odkąd jakikolwiek mężczyzna ją za coś przeprosił. Uśmiechnęła się szeroko.

- Czy ma pani do mnie jeszcze jakieś pytania, czy mogę już pójść? - zapytał Benjamin zmęczonym głosem.

Zerknęła do notatnika, próbując wymyślić, jak przedłużyć to spotkanie i zupełnie się nie skompromitować. Jej wzrok padł na wcześniej poczynione bazgroły oraz zapisane informacje: adres i nazwisko.

- Czy pan nie jest przypadkiem spokrewniony z Rosalie Zyskind? - zapytała podnosząc głowę.

Chociaż niemal równocześnie uświadomiła sobie, jak bardzo nie na miejscu było jej pytanie, błysk w jego oku i to, że

116

znów się wyprostował, dawały nadzieję, iż odpowiedź będzie twierdząca. Nim jednak zdążył skinąć głową, jego twarz na powrót poszarzała, usta zacięły się w kreskę. Wydawał się rozczarowany, jak gdyby zależało mu, aby odpowiedzieć na maksymalną liczbę pytań związanych ze sprawą i w ten sposób udowodnić swą niewinność, nie zaś tracić czas na bzdury. Patrzył na Erikę wyczekująco, spodziewając się ciągu dalszego. Zakłopotana wyjaśniła więc: - Wiem, że to się panu wyda śmieszne... - po co w ogóle o tym wspominałam! klęła się w duchu - ale moje bratanice mają całą kolekcję książeczek autorstwa Rosalie Zyskind, które bardzo mi się spodobały, i choć jestem świadoma, że na świecie roi się od Zyskindów, pomyślałam sobie, że może pan i autorka jesteście spokrewnieni - zakończyła blado.

Mężczyzna wpatrywał się w nią bezmyślnie, ruszając głową na boki, jakby właśnie zakręciło mu się w głowie i próbował dojść do siebie. Erika już miała powiedzieć, żeby zapomnieć, że w ogóle o to zapytała, kiedy nieoczekiwanie przemówił.

- Rosalie Zyskind to moja matka.

- Pańska matka? - zdumiała się Erika szczerze i nim zdążyła pomyśleć, zasypywała go gradem słów: - Och, w takim razie koniecznie musi pan jej przekazać, że wprost uwielbiam jej książki! Zwłaszcza „Miasto Umarłych”. Moim zdaniem ta opowieść jest rewelacyjna! Zazwyczaj horrory dla dzieci są albo głupie, albo ociekają krwią, a tu po prostu występują ludzie, którzy nie wiedzą, że nie żyją! Co za pomysł! Jakiej wyobraźni trzeba, by swoich bohaterów przywrócić do życia, dlatego że nie zasługują na to, by nie żyć? Oczywiście dzieci traktują to inaczej, dla nich to bajka na dobranoc, ale ja, po tym jak im ją czytałam przez parę wieczorów z rzędu, później długo nie mogłam zasnąć. Nie dawała mi spokoju ta linijka pod sam koniec... jak to szło?... „W naszym mieście nikt nie umiera, ponieważ nikt tutaj tak naprawdę nie żył”... Takie zdanie nie pasuje do książki dla dzieci, to jest jak... sama nie wiem...

Erika urwała, uzmysłowiwszy sobie, że paple, co jej ślina na język przyniesie, a co gorsza dzieli się swymi przemyśleniami

117

z prawie obcym człowiekiem, tylko dlatego że od długiego czasu nie miała okazji z nikim porozmawiać, jeśli nie liczyć współpracowników i brata. No i był jeszcze jeden powód: nie chciała,

by siedzący przed nią mężczyzna wyszedł. Wstrzymała oddech i uważnie mu się przyjrzała. Odkąd przyznał się do pokrewieństwa z Rosalie Zyskind, nie drgnął ani o milimetr i wyglądał jak rzeźba, jakich pełno było w muzeum. Powiodła po nim wzrokiem, tak jak to czyniła podziwiając dzieło sztuki, i zauważyła niesłychane napięcie. Uśmiechnęła się, lecz on nie odwzajemnił uśmiechu. Zza grubych szkielek okularów śledziły ją skonfundowane oczy. Wreszcie mężczyzna zaszurał krzesłem i wstał. Erika poczuła falę paniki: powiedziała coś nie tak i wszystko zepsuła.

- Naprawdę jestem fanką twórczości pańskiej matki - powtórzyła, wstydząc się wcześniejszego wybuchu szczerości. - Z wielką niecierpliwością czekam na jej następną książkę.

- Przykro mi, ale muszę już iść - oznajmił nieswoim głosem, patrząc na owłosiony nadgarstek, na miejsce gdzie byłby zegarek, gdyby go nosił. - Czy mogę...?

Nim Erika zdążyła skinać głową, już stał przy drzwiach.

- Przepraszam, że zabrałam panu tyle czasu! - krzyknęła, lecz nie wiedziała, czy ją usłyszał, gdyż drzwi już się zatrzasnęły.

Wpatrywała się w nie, rozważając w duchu, czy wypada za nim pobiec. Jeśli nawet tak było, zmitrężyła zbyt wiele czasu na obmyślanie powodu, jaki mu poda, kiedy już go dogoni. Zamiast więc poderwać się na równe nogi i biec korytarzem, gapiała się na skromnie zapisaną kartkę papieru, na której podczas spotkania przybyło wiele nieczytelnych bazgrołów, za to żadnych informacji, a przed oczyma miała książeczki, które tyle razy czytała bratanicom. Przymknęła powieki i zobaczyła strugi akwareli i surowe czarno białe ryciny, które płynnie przeszły w rysunek projektu. Jej matka była architektem i Erika od małego uwielbiała obserwować ją przy pracy, śledzić, jak pewną ręką kreśli narodzone w umyśle linie, każdy nowo powstały, idealnie precyzyjny kąt niósł przed sobą nieograniczone możliwości, a całość przedstawiała świat, który

118

dopiero miał zaistnieć... Ciekawa była, jak by to było dorastać w domu Zyskindów, gdzie matka nie tylko rysowała, ale także pisała? Czy dzieciństwo jej i Benjamina miało wiele wspólnego?...

Rozwarła powieki i potrząsnęła głową. No tak, znowu to robiła: śniła na jawie życie innych ludzi.

Brat często jej powtarzał, że zbyt poważnie wszystko traktuje, wierzy każdemu, przejmuje się wszystkimi, a potem narzeka, kiedy przyjdzie jej wypić nawarzone piwo. Jesteś nazbyt ufna, mówił jej, i to cię kiedyś zgubi. Westchnęła. A ciebie, braciszku, odgryzła się w duchu, zgubi to, że zawsze masz rację!

Wróciwszy do rzeczywistości Erika sięgnęła po segregator, do którego wpinała plon swych przesłuchań, lecz zawahała się, nim dodała do niego „akta” Zyskinda. Będę musiała to przepisać na czysto, pomyślała. Odłożyła kartkę na bok i kątem oka dostrzegła plik dokumentów, jakie trafiły na jej biurko po kradzieży. Dotąd nie miała jeszcze czasu się z nimi zapoznać. Teraz także wcale jej się to nie uśmiechało, więc postanowiła tylko nieco uporządkować biurko, spodziewając się wizyty Maxa z samego rana. Na szczycie sterty leżał wydruk ze skróconą informacją o obrazie.

Szkic do „Nad Witebskiem”, Marc Chagall, 1914. Poprzedni właściciel: Prywatna kolekcja Rosalie K. Zyskind.

## Rozdział Siódmy.

Sara usłyszała niegdyś, że kiedy jedno z bliźniąt się rodzi, drugie obserwuje, jak jego dotychczasowy towarzysz znika, i cierpi przy tym niewysłowioną udramę. Dopiero parę chwil później przekona się, że bliźniak wcale nie umarł, wręcz przeciwnie: jest żywy bardziej niż kiedykolwiek i za chwilę stanie się jeszcze bliższy niż wtedy, gdy oboje znajdowali się ściśnięci w łonie matki. Podobnie jest z przejściem na tamten świat. To, że pozostali przy życiu myślą, iż umarli odeszli na dobre, wcale nie oznacza, że tak jest naprawdę. Bywa, że zmarli są bliżej, niż nam się wydaje.

Bena i Sarę dzieliło zaledwie dziesięć minut, lecz było to dziesięć minut na korzyść Bena i Sara została na zawsze napiętnowana tymi kilkoma chwilami samotności, które spędziła w ciszy i pustce

czekając na swoje narodziny. Odtąd nieodmiennie towarzyszył jej smutek, ten sam, którego zaznała całą sobą, gdy po raz pierwszy w życiu poczuła się opuszczona. Wszelako to doświadczenie miało inny jeszcze skutek: Sara posiadała pewność, namacalną niby twardy i gładki kamień tkwiący w jej wnętrzu, że ci, co odeszli, nadal są z nami. Przecież choć Ben zniknął na jej oczach, prędko się odnalazł i od tego czasu przez większą część życia byli nierozłączni. To dawało podstawy, by wierzyć, że każdy, kogo utraci w przyszłości, będzie na wyciągnięcie ręki. Wystarczy się skupić, odetchnąć głęboko i wyciągnąć rękę...

120

Czyniła to regularnie od ósmego dnia po śmierci ojca. Wcześniejsze siedem dni spędziła nie wychodząc z domu, mimo że oznaczało to utratę tygodnia nauki, i wraz z Benem po raz pierwszy odbywając żałobę po kimś. Wszystko było dla nich nowe: rozdarte ubrania, niskie krzeselka wypożyczone z domu pogrzebowego, zakryte lustra, chodzenie boso, spanie na podłodze, nieprzerwany strumień ludzi znoszących do domu ohydne ciasteczka, nabożeństwa odprawiane co wieczór w obecności gości i - najgorsza ze wszystkiego - niezrozumiała modlitwa, którą trzeba było odmawiać dzień w dzień przez okrągły rok. Matka wytłumaczyła im, że nie ma w niej ani słowa o śmierci, pełno za to pochwał pod adresem Boga: jaki to jest wielki i wspaniały, i chwalony, i czczony, i podziwiany, i szanowany, i wynoszony ponad wszystko, niech Jego imię będzie błogosławione. Pośród nieustających modłów, dziwnie ubranych obcych ludzi i plansz do gry, ułożonych na podłodze ich sypialni, do której uciekali przed trudną do wytrzymania ciszą panującą w salonie, kiedy dorośli przestawali się modlić i nie mieli sobie nic do powiedzenia, Sara odkryła, że nic, ale to nic w ciągu ostatniego tygodnia nie miało związku z jej ojcem. Nawet sam pogrzeb sprowadzał się do widoku drewnianej skrzynki, a trochę później, kiedy wszyscy, włączając w to Bena i ją, Sarę, rzucili na wieko po garści ziemi - do widoku drewnianej skrzynki z upapranym wiekiem. Podczas żałoby, ilekroć zaczynała się jakaś rozmowa, dokładano starań, by nawet nie wymienić jego imienia. Jak gdyby zmówili się, by o nim zapomnieć... Jak gdyby chcieli, by i ona zapomniała...

Jednakże ósmego dnia, kiedy żałoba się skończyła i Sara wróciła do szkoły, do swojej piątej klasy, czekała ją wycieczka, na którą Ben pojechał dwa tygodnie wcześniej z inną klasą. Nagrodą za czterdzieści minut spędzone w rozklekotanym szkolnym autobusie wiozącym ich do nowojorskiego Metropolitan Museum of Art było coś o wielkim znaczeniu dla dalszego życia Sary - o znaczeniu tak wielkim, że jej nauczyciele nawet się tego nie domyślali. W muzeum Sara zobaczyła bowiem mumie.

Naturalnie słyszała wcześniej o mumiach, podobnie jak większość jej jedenastoletnich kolegów i koleżanek, którzy

121

mimo to, z nosami przyklejonymi do szklanych klatek ochraniających eksponaty przed nazbyt wścibskimi zwiedzającymi, wybałuszali oczy na humanoidalne pudła skrywające ciała zakonserwowane przed ponad pięcioma tysiącami lat, w nadziei że uda im się dojrzeć kawałek skóry albo kości. Sara była ponad to. Ostatnie doświadczenia nauczyły ją, że skrzynia to tylko skrzynia, nie ma się czym podniecać. Ją fascynowało co innego. Obok nielicznych wystawionych mumii galeria pękała w szwach od innych przedmiotów: mis, talerzy, kubków, naszyjników, grzebieni, pierścionków, waz, tkanin, figurek, rysunków i zwojów. Wszystko to, jak było napisane na tabliczkach informacyjnych, miało służyć zmarłym na tamtym świecie. Dostawali łodzie, by móc przepłynąć rzekę, jedzenie, by nigdy nie zaznać głodu, ubrania, by nie wstydzić się swej nagości, nawet gry, mające uprzyjemnić im wędrówkę i pobyt w krainie umarłych, do której zawieść ich miały mapy i dokładne wskazówki, a gdyby te zawiodły, pomocą winni im służyć niewolnicy w postaci figurek. Na piaskowcu widniały rysunki ludzi, których znali za życia, zawsze z profilu, a także inne, ale również z profilu, przedstawiające zmarłego przy pracy, jaką wykonywał za życia, jak gdyby dla przypomnienia, że i po śmierci nie powinien próżnować. Dla rozrywki zaopatrywano ich w książki w formie zwojów - Sara wypatrzyła taką o tytule „Księga umarłych”.

Chłonęła całą sobą eksponat za eksponatem, by dopiero po wyjściu z muzeum - okazało się, że spędzili w jego murach wiele godzin: słońce zdążyło zejść, a dzień ustąpił przyprawiającemu o dreszcz zimowemu wieczorowi, który zabarwił niebo granatem - coś sobie uświadomić. Siedziała jak porażona na swoim miejscu w autobusie, podczas gdy wokół rozlegały się podekscytowane głosy przekonujące, że najlepszym sposobem na wyciągnięcie mózgu przed mumifikacją było wydłubanie go kawałek po kawałku przez nos. Nie zwracała na nie uwagi. Z przerażeniem myślała, że kiedy tydzień temu chowano jej ojca, nie dano mu na drogę nic. Zupełnie nic. Nawet skrzynka, w którą go włożono, niczym się nie wyróżniała - ot, zwykłe nieoheblowane deski, zbite na słowo honoru. Nagrobek stanie dopiero za jedenaście miesięcy, tak powiedziała matka, lecz wszystko co

122

na nim zostanie wyryte, to jego imię i nazwisko. Po przyjeździe do domu Sara zasypała matkę pytaniami o to, jak ojciec został ubrany i co włożono do trumny, i z trudem udało jej się wyciągnąć odpowiedź, iż zamiast nałożyć mu zwykle ubranie, owinięto go białym całunem i to wszystko. Sara zadrżała: jak jej ojciec poradzi sobie na tamtym świecie? Bez mapy, wskazującej mu drogę, bez narzędzi, którymi mógłby pracować, bez jednego marnego obrazka czy książki?

Powzięła postanowienie, że mu pomoże. Zbuduje dlań grobowiec z prawdziwego zdarzenia. Kiedy w następnych dniach rozpoczęły się przygotowania, najpierw wybrała miejsce: mały pokój z tyłu domu, coś w rodzaju gabinetu wypełnionego półkami, szafkami i stołem, przy którym często pracował ojciec. I matka także, dopóki po pogrzebie i żałobie, zaraz ósmego dnia, nie wyruszyła na miasto z misją zakupienia nowego stołu do pracy i nie postawiła nabytku w innym pokoju.

Gabinetu nie otwierano od śmierci ojca i Sara miała nadzieję, że tak już pozostanie, gdyż nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano. To, że matka i brat unikali tego miejsca, było jej tylko na rękę. Nie zamierzała się z nikim dzielić swoim pomysłem, ponieważ w muzeum dowiedziała się, że najgorszą plagą grobowców są rabusie. Im mniej osób będzie o nim wiedziało, tym lepiej, uznała. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że pracować będzie codziennie wczesnym popołudniem, po szkole, kiedy oboje z Benem zazwyczaj odrabiali lekcje. Cóż, teraz będzie je odrabiał tylko Ben. Sara odkryła ostatnio, że zadania domowe i szkoła, wokół których do niedawna kręciło się jej życie, nie mają większego znaczenia. Co ciekawe, tego samego zdania musieli być jej nauczyciele, gdyż mimo że przestała oddawać schludne wypracowania i projekty, nikt jej o nic nie pytał. Ten czy ów zatrzymał ją w drzwiach, po tym jak wszystkie inne dzieci opuściły już salę, i z wyrazem współczucia na twarzy bąkał: „Wiem, co musisz czuć, Saro...”, na co ona tylko kiwała głową z uroczystą miną, po czym padało sakramentalne pytanie: „W domu wszystko w porządku?”, na co znów kiwała potakująco, aż wreszcie słyszała propozycję: „Jeśli tylko mógłbym ci jakoś pomóc, dasz mi znać, prawda?”, co kończyło rozmowę. Sara kiwała głową po raz ostatni i wychodziła

123

z sali przekonana, że wszystko czego się po niej w szkole oczekuje, to kiwanie głową, zwłaszcza wtedy gdy się z czymś nie zgadza. Najważniejsze, że jej plan nabierał kształtów: miała już wybrane czas i miejsce akcji.

Pierwsze, czym powinnam się zająć, to mapy, postanowiła. Bez mapy ani rusz, także na tamtym świecie. Wślizgnęła się do garażu i otworzyła skrytkę na rękawiczki, i się zdumiała. W środku wszystko było tak, jak zostawił to ojciec: rozmaite mapy poskładane w sposób, który tylko on potrafił powtórzyć, z najczęściej pokonywanymi trasami na wierzchu, rzucającymi się w oczy dzięki fluorescencyjnym podkreśleniom i tytułom wycieczek wykaligrafowanym starannym pismem ojca (zawsze używał wyłącznie wielkich liter) na wąskim białym brzegu. Czas jak gdyby się cofnął i przez moment było możliwe, że do garażu zaraz wpadnie reszta rodziny, ojciec zasiądzie za kierownicą i ruszą na wycieczkę... Jeśli chodzi o podróż ojca, tę, która go czekała, Sara wykradła Benowi parę matchboxów, kiedy był z wizytą u lekarza, i wybór pomiędzy czerwonym ferrari i złotym lamborghini pozostawiła głównemu zainteresowanemu. Z resztą poszło jej trochę trudniej. Największe kłopoty miała ze skompletowaniem garderoby, gdyż wymagało to zakradania się do sypialni matki i konfiskaty jednej rzeczy za każdym razem, by jej obecność i kradzież nie

rzucały się zanadto w oczy. Zaczęła od bielizny i skarpetek, a kiedy nabrała wprawy, podprowadziła kilka par spodni, naręczę koszul, krawat (na wypadek gdyby był wymagany, podobnie jak w niektórych nowojorskich restauracjach) oraz sweter (na wypadek gdyby na tamtym świecie było zimno, w co osobiście Sara nie wierzyła). Jedzenie na szczęście mogło być tylko symboliczne, jak dowiedziała się z informacji w muzeum, toteż po krótkim namyśle zdecydowała się na paczuszkę rodzynek i migdałów, które wydały jej się najbardziej trwale ze wszystkich produktów, jakie znalazła w kuchni. Grobowiec się zappełnił.

Teraz czekała ją najtrudniejsza część zadania: malowidła naścienne. Ta część operacji wymagała poważnych przygotowań. Zaczęła od obserwacji swoich modeli: przyglądała im się ukradkiem przez parę wieczorów z rzędu, po czym zabrała się

124

do szkicowania, najpierw tylko w głowie, a potem już naprawdę, na papierze, ale szybko zrozumiała, że to na nic. Jeśli miała ich namalować porządnie, szkic musiał być wykonany z natury, dlatego też opowiedziała matce bajeczkę o nowym projekcie plastycznym w szkole. (Ben oczywiście zwietrzył pismo nosem, ale był zbyt zaabsorbowany przyzwyczajaniem się do nowej klatki, by przejmować się jakimś tam kłamstwem siostry.) Sara nie spodziewała się, że rysowanie jest aż tak trudne. Najwięcej kłopotów przysporzyły jej ręce i nosy

- niewiarygodnie trudno było uchwycić odpowiedni kąt zarówno patrzenia, jak i ciągniętej kreski; do tego Ben był taki nieproporcjonalny, a jego kinol zdawał się wyrastać spośród brwi, co oczywiście nie było możliwe. Dopiero teraz, męcząc się, z wysuniętym czubkiem języka, Sara doceniła rysowników, których dzieła oglądała w muzeum - ich kunszt i spryt, gdyż ułatwili sobie sprawę, uwieczniając wszystkie postaci wyłącznie z profilu. Jej ojciec zasługiwał jednak na coś lepszego. Chętnie zatem skorzystała z podpowiedzi matki, która uwierzyła w bajeczkę o projekcie plastycznym i udzieliła jej lekcji: wyjaśniła, na czym polega perspektywa, i pokazała, jak zacząć rysować, by rysunek wyszedł. Poćwiczywszy trochę, Sara z ulgą stwierdziła, że rady były dobre i że nosy i ręce już nie nastreczają tylu problemów. Najbardziej bała się chwili, kiedy przyjdzie jej narysować ojca, nie mając nawet jego zdjęcia, ale okazało się, że pokłady jej wyobraźni są nieograniczone. Przymykając powieki zwalniała obrazy, jakich - tego była pewna

- nigdy w życiu nie widziała. Wystarczyło kilka bezsennych nocy i ku swojej wielkiej radości była w stanie zobaczyć

- zobaczyć, nie: wyobrazić sobie - ojca w każdym możliwym wieku i w każdym miejscu, także na długo zanim go w ogóle poznała i tam gdzie nigdy nie miała okazji go widzieć, do tego z najdrobniejszymi szczegółami, charakterystycznymi ruchami, a nawet tikami. Rysunki tak jak poprzednio najpierw powstały w formie szkicu, potem zostały namalowane farbami na papierze, by wreszcie - po odsunięciu mebli zasłaniających ścianę i splądrowaniu przyborów malarskich matki - trafić na ścianę w gabinecie, to jest, pardon, w grobowcu.

125

Pośrodku namalowała ojca, takim jakim go zapamiętała: siedzącego przy stole do pracy, rysującego na wielkiej płachcie papieru, która z jednej strony cała była zapelniona rzędami cyfr i liczb. W ten sposób chciała mu zapewnić zajęcie na tamtym świecie. Potem ścianę zappełniły mniejsze malunki, sięgające tak wysoko, jak wysoko ona sama potrafiła sięgnąć stając na palcach, przedstawiające każdy pokój w ich domu z osobna. W salonie ojciec siedział przy pianinie, z jedną ręką na klawiaturze, a drugą na ramieniu jej, Sary, kiedy ze skupioną miną starała się zagrać grę. W kuchni ojciec siedział przy stole i grał w warcaby z Benem, obaj z czegoś się zaśmiewali (Sara namalowała otwarte usta). W sypialni leżał koło matki, obejmując ją ciasno ramieniem - tak, jak Sara ich kiedyś widziała w wielkim łóżku.

Malowidła zajęły więcej niż jedną ścianę i Sara była z nich bardzo zadowolona, niemniej nie dawało jej spokoju, że w grobowcu wciąż czegoś brakuje. Księgi umarłych. Rozpoczęła poszukiwania, lecz żadna z książek, jakie wpadły jej w ręce, nie wydawała się stosowna, te zaś, które były odpowiednie - Talmud, kronika rodzinna, album z fotografiami - z pewnością nie mogły

zniknąć stamtąd, gdzie stały. Nie pozostało jej nic innego, jak stworzyć własną księgę. Sara pamiętała bajkę, którą ojciec czytał jej wielokrotnie i którą bardzo lubiła. Nosiła tytuł: „Miasto Umarłych” i Sara pomyślała sobie, że właśnie tego jej ojciec będzie potrzebował w zaświatach. Sporą część tekstu umiała na pamięć, a z resztą będzie musiała sobie jakoś poradzić. Kilka kartek papieru pocięła na wąskie paski, po czym sklepiła je w długi zwój i zaczęła na nim spisywać opowieść, niezdarnymi słowami jedenastolatki, tu i ówdzie dodając coś od siebie, niczym starożytny skryba. Zdawała sobie sprawę, że jej opowieść nawet się nie umywa do tej, którą usłyszała od ojca, ale nie pozwoliła, by ją to zraziło. Pewnego razu, będąc w dalekiej trasie, zauważyłem idącego poboczem mężczyznę. Szurał stopami wzbijając tumany kurzu i prawdę rzekłszy wyglądał tak, jakby się zaraz miał przewrócić. Pomyślałem więc sobie, że powinienem zachować się ładnie i go

126

podwieźć, i tak właśnie zrobiłem. Kiedy już wsiadł do auta, zaczęliśmy rozmawiać.

- Skąd pan pochodzi? - spytałem.

- Z Miasta Umarłych - odparł.

- Nigdy o takim nie słyszałem - stwierdziłem, podejrzewając, że sobie ze mnie zażartował.

Mężczyzna roześmiał się i powiedział:

- To, że pan o nim nie słyszał, nie znaczy jeszcze, że ono nie istnieje, drogi panie! Nie każde miejsce musi być zaznaczone na mapie! Ale może mi pan wierzyć na słowo: Miasto Umarłych istnieje i wygląda jak każde inne: są w nim domy, sklepy, szkoły i wszystko co potrzebne...

- W takim razie dlaczego ma taką dziwną nazwę?

- Wcale nie dziwną! - zaprzeczył mężczyzna. - Po prostu to jest Miasto Umarłych. Od chwili założenia wisiało na włosku i kiedy ten włoszek się zerwał, zostało w powietrzu bez żadnej podpory i tak stało się Miastem Umarłych. Jeśli pan chce, mogę panu opowiedzieć, dlaczego tak się stało.

- Proszę mi opowiedzieć - zgodziłem się.

- Na samym początku wisiało na włosku, dlatego że powstało w miejscu, w którym nie wolno było niczego budować. Z tego samego powodu nigdy nie umieszczono go na żadnej mapie. Powoli sprowadzali się tam ludzie i dobudowywali to, co było im najbardziej potrzebne: domy, szkołę i cmentarz. Miasto pewnie by się rozrastało, ale wieści o nim dotarły do władz. Przyszedł nakaz, aby wszystko sprzedać. Cóż mieli zrobić biedni mieszkańcy, zaczęli posłusznie wyprzedawać swoją własność, ale kiedy przyszło do sprzedaży cmentarza, zbuntowali się ich Umarli. No i powychodzili z grobów. - Tak powiedział: powychodzili z grobów. A potem zapytał: - Wierzy mi pan?

Sam nie wiedziałem, czy mu wierzyć czy nie. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by ktoś, kto umarł, wrócił do życia...

- Wierzę, że ludzka dusza jest nieśmiertelna, ale ciało? Raczej nie... Na pewno nie! Jak ktoś umrze, jego w stu procentach martwe ciało składają do grobu i już.

- No tak, ale co pańskim zdaniem dzieje się z duszą? - spytał niezrażony mężczyzna. - Skoro jest nieśmiertelna?... Oczywiście wiadomo, że jeśli człowiek był dobry za życia, jego

127

dusza idzie do lepszego świata, a jeśli zły, zostaje ukarana. Lecz skąd w ogóle pomysł, by nagradzać albo karać? Powiem panu, proszę słuchać uważnie. Każdy człowiek ma wolną wolę: może czynić dobro, jeżeli taka jego wola, bądź zło, wszystko zależy od jego wyboru. Jednakże są ludzie, którzy nigdy nie robią ani nic dobrego, ani nic złego, nigdy nie podejmują żadnych ważnych decyzji; ludzie, którzy nie są do końca ludźmi, którzy wiodą życie nie będące do końca życiem... Co dzieje się z ich duszami?

- Nie mam pojęcia - rzekłem. - A pan to wie? Pokiwał głową.

- Nie! Dusza kogoś takiego po prostu dalej żyje w wymyślonym przez siebie świecie. I tak właśnie się stało w naszym mieście: nikt tam naprawdę nie umarł, ponieważ nikt naprawdę nie żył! Nikt nie dokonywał wyboru pomiędzy dobrem i złem, nikt nigdy nic nie robił. Zresztą jak się nad tym zastanowić, to pewnie nie tylko nasze miasto jest takie... Tak czy inaczej - ciągnął - zmarli po

śmierci wracają do życia, lecz ani oni niczego nie pamiętają, ani ich nikt nie pamięta, gdyż nic, co zrobili, nie było warte zapamiętania. Wkrótce po pogrzebie wyłażą ze swoich grobów, idą do domu, zakładają swoją piżamę i kładą się spać!

- Jak to? - zdziwiłem się. - I nikomu z żywych nie wydaje się to podejrzane?

Znowu się roześmiał.

- Mówi pan: żywi? Oni niczego nie zauważają! Są zbyt zajęci swymi małkimi sprawami i problemami. Zresztą, niby czemu mieliby cokolwiek zauważać? - zastanowił się. - Przecież umarli niczym się nie różni od żywego człowieka. W ten sposób umarli całkowicie przejęli nasze miasto. Poszło im jak z płatka, bo nie potrzebowali jedzenia ani powietrza, nie mieli również zmartwień. No bo co jest powodem zmartwień? Głównie wiedza i konieczność podejmowania decyzji! A oni o niczym nie mają pojęcia, ich głów nie zaprzęta najłżejsza wątpliwość, nie zadają pytań i nie dokonują wyborów. Żyć, nie umierać!

Popatrzyłem na swojego pasażera i zadałem mu gnębiące mnie od dłuższej chwili pytanie: -A pan?

- Ja jestem na poły umarli - odparł i wykorzystawszy moment, gdy zwoleń, otworzył drzwi i wyskoczył na jezdnię.

Chwilę później jego sylwetka znikła w pobliskim lesie.

128

Sara postawiła ostatnią kropkę i Księga Umarłych była gotowa. Popatrzyła na swoje dzieło i z rozpaczą przypomniała sobie, że ta w muzeum oprócz tekstu miała ilustracje, a ona zapisała każdy wolny skrawek papieru. Dokleiła więc kolejny pasek u samego dołu i narysowała trzy rzeczy, co do których była pewna, że ojciec będzie ich potrzebował, a których bała się szukać: jego dwie kule i protezę.

Sara dowiedziała się o ojcowskiej protezie wiele lat temu, kiedy miała tylko sześć lat i nie mogła spać. Tamtej nocy chwyciła się wszystkich sposobów, o których słyszała, że są pomocne przy zasypianiu, takich jak: liczenie owiec, liczenie kóz, po prostu liczenie, udawanie, że jest się na tratwie na otwartym oceanie, udawanie, że się lata, i tak dalej... Nic nie pomagało. Wstała więc i ciemnym holem przeszła pod sypialnię rodziców, gdzie -jak zobaczyła dzięki wąskiej szczelinie pomiędzy progiem a drzwiami - wciąż paliło się światło. Bez słowa, bez pukania, oparła się o drzwi i pchnęła je delikatnie.

Było lato, a noc duszna i gorąca, toteż nie zdziwiła się, że matka ma na sobie tylko bluzkę, tę samą, którą nosiła w dzień, i majteczki. Leżała na wznak, z gołymi nogami wyprostowanymi w kolanach. Ojciec, ubrany w białe slipy i cały owłosiony, położył się na boku. Twarzą był zwrócony ku matce, dłonią unosił materiał jej bluzki, czegoś tam szukając, i z zamkniętymi oczyma szeptał jej coś do ucha, chociaż wyglądało to raczej tak, jakby smakował jego koniuszek. Oczy matki także były zamknięte, a ona sama raz po raz wydawała z siebie dziwny, zduszony śmiech, przerywany krótkimi oddechami. Z czego tak się śmieje? zaciekała się Sara, obserwując, jak matka wyciąga rękę i obejmuje ojca w pasie. Potem uniosła się lekko na łokciu i nie patrząc, co robi, przejechała wolną dłonią po jego brzuchu, wciąż się przy tym śmiejąc i sapiąc. W końcu wsunęła dwa palce za gumkę slipów. Ułamek sekundy później otworzyła oczy i jej śmiech zamarł.

- Sara!

Dziewczynka stała w drzwiach, długa nocna koszulka zwijała jej się u stóp. Chciała coś powiedzieć, wytłumaczyć się,

129

ale w tej samej chwili odwrócił się do niej ojciec i jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Sara w dalszym ciągu nie wiedziała, z czego śmiali się rodzice. Z niepokojem obserwowała matkę, która nagle przypomniała sobie o ręce i wyszarpnęła ją zza gumki, czemu towarzyszyło głośne plaśnięcie i jeszcze głośniejsze westchnienie matki. Sara nie poruszyła się ani na jotę. Usta miała rozchyłone, dłoń opartą o framugę drzwi - spoconą. Czuła się tak, jakby zjadła za dużo cukierków ciągutek, po których człowiek ma wrażenie, że lepi się od stóp do głów.

- Wszystko w porządku, Saro. Chodź do nas - powiedział ojciec dziwnie pobudzonym głosem.

Niezdarnie zmienił pozycję, składając na czole matki pocałunek, na co ona w odpowiedzi się skrzywiła.

- Nie mogę... Nie mogę zasnąć... - oznajmiła Sara i chciała coś dodać, ale w tej samej chwili ojciec przewrócił się na wznak, a ona zaniemówiła.

Oczywiście widziała już protezę - mniej więcej rok wcześniej, kiedy siedziała na kolanach u ojca, trąciła stopą jego twardą plastikową łydkę, a on po prostu podwinął nogawkę i pokazał jej, o co się uderzyła. Przyjęła to jak coś najnaturalniejszego pod słońcem, myśląc, że podobną nogę mają wszyscy inni ojcowie, którzy przecież zarostem na twarzy i owłosionymi dłońmi przypominali jej tatę. Jednakże później zauważyła, że ojcowie jej koleżanek mają po dwie prawdziwe nogi, takie same jak jej czy jej matki. No i byli jeszcze mężczyźni w telewizji, także obunożni, tyle że ich nie można było brać na serio, bo nie byli prawdziwi. Najbardziej dawał jej do myślenia człowiek mieszkający po przeciwnej stronie ulicy. Pan Eriksen lubił latem podlewać kwiatki i zawsze robił to ubrany w krótkie spodenki, tak że Sara zyskała sposobność, by przyjrzeć się jego kończynom i z niemałym zdumieniem skonstatowała, że pod dwoma błyszczącymi w słońcu kolanami tkwiły dwie normalne łydki tego samego koloru. Postanowiła nawet zbadać to bliżej i pod jakimś pretekstem przeszła koło niego, co jedynie doprowadziło do jeszcze większego zamętu w jej głowie: łydki były nie tylko tego samego koloru, ale obie równie owłosione! A że akurat był boso, dostrzegła także, iż

130

obie jego stopy kończą się palcami! (Plastikowa noga ojca, jak o niej myślała, była nie tylko twarda i różowa, ale przede wszystkim zupełnie pozbawiona włosów i palców i jak dotąd zawsze schowana w skarpetce i bucie.) Zafascynowana chciała obejrzeć nogę pana Eriksena z jeszcze mniejszej odległości i już szła przez trawnik, w głowie szykując wymówkę, że szuka zagubionej zabawki, kiedy z domu zawołała ją matka. Krzyk był przeraźliwy i Sara pomyślała sobie, że może mężczyźni z dwiema nogami są niebezpieczni. Od tamtej pory to wszystko z rzadka tylko zaprzątało jej myśli - aż do chwili gdy ujrzała prawdziwą nogę ojca w całej okazałości, kiedy tak leżał wyciągnięty na wznak w małżeńskim łóżku. Składała się ona z kościstego uda, purpurowego węzła w miejscu kolana i... niczego więcej.

Sara uświadomiła sobie, że lada moment do sypialni rodziców może wpaść Ben, obudzony ich rozmową, i czar chwili pryśnie. Tym bardziej więc musiała wykorzystać niepowtarzalną okazję. Wsłuchiwała się, próbując ocenić, czy Ben już skrada się za jej plecami, lecz usłyszała jedynie zwykłe dźwięki nocnego domu, cykanie świerszczy za otwartym na oścież oknem i coś jakby pochrapywanie Bena. Po cichutku, na paluszkach, podeszła do łóżka. Spoglądając na wpatrzonych w nią rodziców, zapytała:

- Tatusiu, mogę obejrzeć twoją nogę?

Wyczuła, że oboje zeszywnieli. Po matce było to nawet widać: wszelki kolor uciekł z jej twarzy, oczy i usta wydawały się suche i napięte jak pożółkła trawa na letnim trawniku. Niecierpliwym gestem odgarnęła opadający jej na jedno oko kosmyk włosów. Ojciec leżał bez ruchu, wyciągnięty jak długi, podpierając się z tyłu na łokciach. Ich twarze, zastygłe jak maski, wyglądały jak dwa portrety wiszące koło siebie na ścianie. Wreszcie matka wolno odwróciła głowę i popatrzyła na ojca, lecz ten nie odwzajemnił spojrzenia. Nie odrywał wzroku od Sary; brwi miał uniesione, jak gdyby z szoku czy strachu.

Nagle zamrugnął gwałtownie i opuścił wzrok na kikut. Nogą targnął dreszcz, jak to nieraz się zdarzało pod ochroną spodni, co jednak nie umykało uwadze Sary. Jednakże widok obnażonej

131

trzęsącej się nogi podziałał na nią znacznie silniej niż cokolwiek, co widziała przedtem, i dziewczynka także drgnęła. Ojciec położył dłoń na udzie, przyciskając je do materaca i rozmasowując kciukiem. Dreszcze ustały.

- Oczywiście, Saro - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - Właż do łóżka.

Matka wyprostowała się sztywno, jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, natomiast Sara skwapliwie posłuchała zaproszenia i wdrapała się na łóżko. Usiadłszy w jego nogach, napawała się



wielkością, miękkością i obfitością pościeli. Jej rodzice spali na prawdziwej wyspie! Posuwała się wolno wzdłuż zdrowej nogi ojca, nie mogąc się nadziwić długim i owłosionym palcom u stóp, z których drugi był dłuższy od pierwszego (właściwie nigdy wcześniej nie widziała tej stopy, zawsze bezpiecznie ukrytej w skarpetce i bucie, nawet w domu), aż w końcu zatrzymała się na wysokości kolan i zerknęła na kikut, będący paskudną spletaną masą zmasakrowanych tkanek.

Skóra, w niektórych miejscach różowa, w innych sino purpurowa, była nierówna, a liczne zagłębienia, zbiegające się poszarpanym okręgiem na obrzeżu kikuta, zdawały się zupełnie czarne, jakby dostał się tam brud czy żwir, tak jak to dzieje się przy upadku, kiedy ktoś zedrze sobie kolana. Włoski na udzie zaczynały rosnać dobre parę centymetrów wyżej, ale nawet to nie nadawało mu normalnego wyglądu: było zapadnięte po bokach, tam gdzie drugie udo ładnie się zaokrągliło, i bardziej przypominało patyk albo kość. Chora noga podskoczyła na oczach Sary, a ojciec znów przycisnął ją całą dłonią do materaca, aby powstrzymać drżenie; przełknął przy tym ciężko i stłumił coś jakby jęk.

Sara nadal wpatrywała się w kikut, marszcząc śmiesznie czoło. Parę dni wcześniej była potężna burza i wiał wicher, który złamał gruby konar jednego z drzew sąsiadów i cisnął go na ich podjazd. Kiedy nazajutrz Sara szła do szkoły, przyjrzała się okaleczonemu drzewu, a zwłaszcza miejscu, skąd wyrastała martwa teraz gałąź: było napuchnięte i naciekło jakimś sokami. Może tato także nie zdążył schronić się przed burzą, pomyślała, albo trafił go piorun...

132

- Dlaczego twoja noga tak wygląda, tato? - odważyła się spytać.

Rodzice wymienili szybkie spojrzenia. Matka otwierała usta, szukając właściwych słów, lecz nim zdążyła wymyślić odpowiedź, ubiegł ją ojciec Sary.

- Byłem kiedyś w dżungli - powiedział - i wielki tygrys odgryzł mi nogę w kolanie.

Sara wlepiła w niego wzrok, podejrzewając, że stroi sobie z niej żarty, lecz on patrzył na nią z całkowitą powagą.

- Naprawdę? - szepnęła przejęta. Ojciec przytaknął skinieniem.

- Naprawdę - rzekł po chwili. - Wdałem się w walkę z bestią i straciłem nogę.

- Czy to bolało?

- Dostyc tego, Daniel! - wtrąciła matka stanowczo, odsuwając się od męża i odwracając doń plecami.

Kiedy matka mościła się na pomiętej pościeli, Sara dostrzegła, że zza jej majteczek wystają ciemne kręte loczki. Ten widok wyprowadził Sarę z równowagi: czemu wszyscy są tacy włochaci? Zaraz jednak jej uwagę na powrót przyciągnął kikut. Wodząc po nim oczyma, szukała śladów tygrysiich zębów. Tak, teraz kiedy mu się lepiej przyjrzała, chyba faktycznie rozpoznawała je wśród niezliczonych zagłębień w ciele.

- Mogę dotknąć? - zapytała.

Ojciec zawahał się, zerknął na matkę, jakby szukając u niej rady, lecz ona wciąż leżała plecami do niego, z głową tylko lekko odwróconą, tak by móc śledzić poczynania Sary.

- Jasne, skoro chcesz - wyraził zgodę ojciec i uniósł delikatnie kikut.

Sara wyraźnie usłyszała, jak matka wstrzymuje oddech. Sama zadrzała, z emocji lub strachu, i powoli wyciągnęła rękę. Najpierw kikuta dotknęły czubki jej palców, ostrożnie, jakby badając, czy jest rzeczywisty i czy na pewno nie zrobi jej krzywdy; chwilę później przyłożyła do niego całą dłoń, a nawet odważyła się przejechać po nim ręką. Zdziwiło ją, że jest taki ciepły i bardzo podobny w dotyku do ojcowskiej dłoni: chropawy i twardy. Wodziła palcem wzdłuż zagłębień w skórze,

133

porównując chorą nogę ze zdrową. Ta zdrowa, długa i prosta, wydawała się należeć do kogoś innego, nie do jej ojca. Nagle Sara poczuła, jak jej pierś przygniata jakiś ciężar, nie od zewnątrz, tylko od wewnątrz.

- Na pewno bolało - stwierdziła cicho, współczująco.

- O tak, bardzo - potwierdził ojciec z westchnieniem i ujął ją za dłoń.

To wtedy mu uwierzyła.

Moment później unosił się na łokciach, by podciągnąć się wyżej, i oparłszy się wygodnie o zagłówek sięgnął po leżące na nocnej szafce papierosy. Wytrząsnął jednego i umieścił go między zębami, po czym wrócił spojrzeniem do Sary i na osłep zaczął szukać zapalniczki.

- Po co pojechałeś do tej dżungli, tato?

Matka Sary poderwała się i przyjęła taką samą pozycję jak przed chwilą ojciec. Popatrzyła na niego i nagle, bez ostrzeżenia, wyrwała mu papieros spomiędzy warg. Rzuciwszy wciąż nie zapalony na podłogę, odezwała się do Sary i patrzyła prosto na Sarę, lecz oczywiście było, iż zwraca się do męża. Słowa opuszczały jej usta jakby bokiem, kierując się w jego stronę, i spadały na niego niczym razy.

- To bardzo dobre pytanie, Saro - mówiła. - Ciekawe, czy tata umie na nie odpowiedzieć... - Teraz już mówiła bezpośrednio do niego. - No? Umiesz? Bo ja bardzo bym chciała znać odpowiedź!

Ojciec uśmiechnął się z przymusem do Sary, unikając przy tym miotającego błyskawice wzroku żony.

- Pojechałem, żeby walczyć z tygrysami...

- I tygrysy wygrały? - z przejęciem spytała go Sara. Przez twarz ojca przebiegł grymas, jakby uderzył się

w bosy palec u nogi. Oczy mu się zwięzły, mięśnie stężały... Sara uzmysłowiła sobie, że ojciec bardzo często robi taką minę. Wpatrzona w niego jak w obraz czekała na odpowiedź, kiedy matka położyła jej dłoń na ramieniu, mówiąc stanowczo:

- Saro, czas, byś wróciła do swojego łóżka! Potrząsając głową Sara wtuliła się w ojca. Za żadne skarby

nie chciała wracać do swego pokoju!

- A jeśli w moim pokoju czai się tygrys?

134

Oczywiście wiedziała, że to niemożliwe, ale każdy sposób był dobry, aby nie stracić tej niepowtarzalnej szansy na sam na sam z rodzicami, bez płaczącego się pod nogami Bena.

- W twoim pokoju nie ma żadnych tygrysów, Saro! - zapewnił ją ojciec z uśmiechem, tracąc gdzieś swą zwykłą maskę. - Przecież mówiłem ci, że one mieszkają w dżungli.

- A co jeśli przyśni mi się jakiś tygrys? - spytała i usłyszała gniewne sapnięcie matki. - Albo nawet całe stado?

Uczepiła się tych biednych tygrysów, gdyż bała się powiedzieć, czego obawia się naprawdę, jakby samo sprecyzowanie swego strachu i nazwanie go po imieniu mogło spowodować jego urzeczywistnienie. Niemniej w głębi ducha drżała na myśl, że gdy zamknie oczy, przyśnią jej się nogi, nogi bez właścicieli, bez ludzi, których powinny nosić, nogi obute, kopiące w drzwi jej pokoju, goniące ją po ulicy...

Ojciec przymknął oczy, ziewnął szeroko, po czym spojrzał na nią i poklepawszy ją po głowie, powiedział:

- Nie bój się. Nic złego ci się nie przyśni. No a teraz już zmykaj do łóżka!

- Dobranoc, Saro - dodała matka, kładąc głowę na poduszce.

Dziewczynce nie pozostało nic innego, jak posłuchać polecenia. Ześlizgnęła się z łóżka, wolnym krokiem podeszła do drzwi i stojąc w progu pożyczyła rodzicom dobrej nocy. Potem starannie zamknęła drzwi za sobą i ruszyła korytarzem, stawiając kroki tak głośno, jak umiała, będąc na bosaka. Równie głośno otworzyła i zamknęła drzwi do swego pokoju, po czym odwróciła się na pięcie i cichcem zakradła pod sypialnię rodziców, gdzie osunęła się na ziemię i przyłożywszy głowę do futryny, słuchała.

- ...nie!, nie możesz cały czas opowiadać dzieciom kłamstw - mówiła matka.

Potem rozległ się kaszel ojca, bardziej chrapliwy i dłuższy niż zwykle, i skrzywienie materaca. Sara wzdrygnęła się, wyobrażając sobie, że kikut ociera się o udo matki.

- A co miałem jej powiedzieć? - zapytał nieswoim głosem i zaraz odchrząknął. Wydał jeszcze jakiś dziwny dźwięk, którego Sara nie potrafiła zidentyfikować (czyżby splunął?),

135

i odzyskawszy głos, zaczął mówić donośniej, krzyżeć prawie: - Co twoim zdaniem, Rosalie, powinienem jej powiedzieć, no? Coś o drodze? O pieczarze? O pułapce? Naprawdę wolałabyś, żebym powiedział jej prawdę? Wszystko? O tym gównie, którym wysmarowali zaostrome tyczki, także?...

- Cii... Ona wciąż tu jest... - przerwała mu matka. Sara wstrzymała oddech, mocniej przyciskając głowę do

futryny i koncentrując się na tym, by stać się niewidzialną. Właściwie w obecnej sytuacji najlepiej byłoby zamienić się w parę niewidzialnych uszu, unoszących się w powietrzu na wysokości dziurki od klucza. W absolutnej ciszy, w bezruchu czekała, wyobrażając sobie, że po drugiej stronie drzwi jej ojciec również koncentruje się i nasłuchuje, próbując ustalić, czy ona faktycznie tu jest czy też nie.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytał w końcu.

- Bo zawsze się czają pod drzwiami - odparła matka cieplejszym tonem. - No, twoja kolej, żeby położyć ją do łóżka, Królu Koszmarów. A tak nawiasem mówiąc, będziemy mieć wiele szczęścia, jeśli przez najbliższy tydzień usłyszymy o czymś innym niż tygrysy...

Sara rozważyła swoje położenie. Mogła pobiec do swego pokoju albo zostać tam, gdzie jest.

Zdecydowała, że zostanie. Wsłuchiwała się i oczyma wyobraźni widziała, jak ojciec z wysiłkiem podnosi się z łóżka i sięga po swoje kule. Zgrzyt, zgrzyt. Chwilę później drzwi uchylły się i ojciec stanął przed nią, ubrany w niebieskie spodnie od piżamy i nic poza tym. Nie wypuszczając kuli z ręki, niezgrabnie podrapał się po owłosionej piersi i czekał. Sara wstała z podłogi i wyciągnęła doń rękę. Wszystko, co mógł jej zaoferować, to mały palec lewej dłoni, najmniej zaangażowany w trzymanie kuli, lecz ona niezrażona ujęła go i tak pomaszzerowali do jej pokoju.

Szli wolno, a Sara bardzo się starała, by nie wyprzedzać ojca, który najpierw wysuwał przed siebie kule, opierał się na nich mocno i dopiero potem robił krok do przodu zdrową nogą, tak że nawet ona, ze swoimi drobnymi dziecięcymi kroczkami, byłaby w stanie zostawić go w tyle. Trzymała się jednak jego boku i raz po raz spoglądając na pustą prawą nogawkę (czy jej się wydawało, czy rzeczywiście dostrzegła zarys kikuta?),

136

zastanawiała się, jak zadać pytanie, które męczyło ją, odkąd podsłuchiwała rozmowę rodziców.

Zebrawszy się wreszcie w sobie, odczekała, aż umilknie odgłos stawianych kul, i zanim ojciec donośnie stąpnął, uderzając w deski podłogi gołą piętą, zapytała drżącym głosem:

- Czy ja powinnam się bać tygrysów? - W myśli zaś dodała: Albo dróg, pieczar i tych, no... tyczek?

- Nie - usłyszała w odpowiedzi - nie musisz się ich bać ani trochę.

Jedno po drugim weszli do jej pokoju. Ojciec dokuśtykał do łóżka i oparłszy się zdrową nogą o jego ramę, oswobodził prawą dłoń, by ująć Sarę za rękę i pomóc jej się położyć. Kiedy już znalazła się pod kołdrą, przysiadł na brzegu i nachyliwszy się, ucałował czubek jej głowy, mówiąc miękko: -

Słodkich snów, Saro - po czym wyprostował się i już sięgał po kule.

Proszę, nie odchodź jeszcze, zaklinała go w duchu dziewczynka.

- Zaśpiewaj mi tę piosenkę o mamie - poprosiła. Ojciec zawahał się. Przejechał palcem po jej policzku

i rzucił spojrzenie na drzwi pokoju naprzeciwko, gdzie niespokojnie spał Ben.

- Obudzimy twój brata - powiedział szeptem.

Sara rozkoszowała się dotykiem jego palca na swoim policzku. Było to tak wyjątkowe doznanie, tak rzadkie, że czuła się, jakby ją przykryto czystym jedwabiem albo jakby pływała w podgrzanym basenie, albo jeszcze lepiej, jakby unosiła się na pierzastej chmurce...

- Zaśpiewaj... - powtórzyła prosząco.

- A nie jesteś na to za duża?

Nagle przypomniała sobie, że kiedy była znacznie mniejsza, lubili z ojcem zabawę, która polegała na tym, że Sara nadymała policzki, a on próbował je „przekłuć”, żeby uwolnić uwięzione powietrze, pukając na przemian to z jednej, to z drugiej strony tak długo, aż w końcu wybuchała

niepohamowanym śmiechem. Czując dawno zapomniany, ale jakże znajomy dotyk uświadomiła sobie z przerażeniem, że to uczucie bliskości, napawające ją słodyczą, w każdej chwili może

137

zniknąć - tak samo jak powietrze więzione po wewnętrznej stronie policzka, kiedy nie ma się wystarczająco dużo silnej woli i determinacji.

- Nie zasnę, dopóki mi nie zaśpiewasz - oznajmiła.

Ojciec westchnął, ale nie był to wyraz zmęczenia czy poirytowania, tylko normalne ludzkie westchnienie, pełne spokoju i rezygnacji. Sara wyobraziła sobie, że podobnie wzdycha chmura, która zaraz ma zniknąć, albo wiatr, gdy cichnie. Ułożyła się wysoko na poduszce, a on nachylił się do jej ucha, tak że czuła jego oddech, lekko łaskoczący ją w szyję. Kiedy zaczął nucić, z jego głosu zniknęła zwykła chropawość, nie potrzebował robić przerw, by odchrząknąć czy odkaslnąć. Słowa niesione przez nuty trafiały bezpośrednio do wnętrza głowy Sary, jak gdyby były to jej własne myśli. Słyszała je wcześniej setki razy, w te noce, kiedy nie mogła zasnąć.

Sztejł zich dort in gesele

Sztił, fartracht, a hajzele

Drinen, afn bojdemsztibl

Wojnt majn tajer Rejzele!

Jedn owntfam hajzł,

Drej ich zich arum,

CWgib afajfun rufojs, Rejzł:

„Kum, kum, kum!”

Słowa były w jidysz, ale Sara wiedziała, co znaczą.

Dobrze tę uliczkę znam

cichy domek stoi tam,

a w tym domku na poddaszu

mieszka moje Rejzele.

Pod tym domkiem co dzień rano

staję u jej drzwi,

pogwizduję, czekam na nią...

raz - dwa - trzy.

Jest taka chwila, która powtarza się niezmiennie od tysięcy lat w każdym miejscu, gdziekolwiek śpią dzieci, w każdą

138

ciemną noc, która niesie strachy, i prawie każdy, kto kiedyś był dzieckiem, pamięta ją do końca swych dni... To chwila, gdy jest się układanym do snu w ciemną groźną noc, pełną strasznych dźwięków za oknem, które uciszyć mogą wyłącznie jeszcze straszniejsze dźwięki, będące tworem wyobraźni dziecka. Zatem jest tak: poszedłeś albo poszedłaś już spać, miałeś albo miałaś szczerą chęć zasnąć, ale z powodu strasznych dźwięków dochodzących z za okna i tych jeszcze straszniejszych, od których roi się w twojej głowie, nie jesteś w stanie zmrzyć oka. Wtedy przychodzi do ciebie ktoś starszy, prawdę powiedziawszy ktoś tak stary, że wprost nie potrafisz uwierzyć, że i ty kiedyś będziesz w jego wieku, i sprawia, że zasypiasz jak niemowlę. Lecz to, co zapamiętasz do końca swego życia, to nie opowieść, którą ta niewypowiedzianie wiekowa osoba ci opowiedziała, ani nawet nie słowa kołysanki, którą zaśpiewała ci drżącym głosem, lecz chwila tuż potem. Leżysz z zamkniętymi oczyma i choć jeszcze nie śpisz, czujesz, że strachy powoli cię opuszczają i że zaraz zapadniesz w wyczekiwany słodki sen. Tymczasem masz świadomość, że człowiek, który sprawił, że strachy cię opuściły, wciąż siedzi tuż przy tobie i myśląc, że śpisz już głęboko, wpatruje się w ciebie uważnie. Podczas tej niewyobrażalnie krótkiej chwili pomiędzy ostatnim wypowiedzianym słowem opowieści czy ostatnią nutą kołysanki a powstaniem z łóżka i rozstaniem na dobre - co jest zaledwie próbą tego, co czeka was w przyszłości, ale ty o tym jeszcze na szczęście nie wiesz - czas stoi w miejscu, a ty czujesz, wiesz, widzisz (mimo że masz mocno zaciśnięte powieki), że ten ktoś,

wpatrzony w ciebie w ciemności, nagle uświadamia sobie, że jego życie ma sens dzięki tobie. Sara oddałaby całą swoją prawą nogę, i lewą też, byle tylko doświadczyć takiej chwili raz jeszcze... Matka Sary wciąż jeszcze nie miała pojęcia o istnieniu „grobowca”, kiedy któregoś popołudnia oznajmiła, iż wybiera się do Nowego Jorku w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie i prawdopodobnie wróci dopiero wieczorem. Sara odetchnęła z ulgą, że nie pośpieszyła się z jedzeniem i dzięki temu wysłuchiwała komunikatu jeszcze przy stole - w przeciwnym razie

139

matka szukałaby jej po całym domu i niewątpliwie znalazłaby ją w „grobowcu”, gdzie wciąż miała w zwyczaju spędzać wolny czas. Niemniej była zaskoczona: matka, która wcześniej bywała częstym gościem w Nowym Jorku, nie pojechała tam ani razu, odkąd umarł ojciec...

- A po co jedziesz? - spytała zaciekawiona.

- W interesach. Nie zabieram cię ze sobą, bobyś się tylko nudziła.

Sara uznała, że matka ma pewnie wyznaczone jedno z tych spotkań w sprawie książki, którą obecnie ilustrowała, i nie drażyła tematu. Perspektywa całego popołudnia samotnie spędzonego w domu wydała jej się obiecująca, toteż nie zwracała matce więcej głowy, lecz kiedy zamknęły się za nią drzwi, poczuła, jak spada na jej drobne ramiona wielki ciężar. Była w domu zupełnie sama. (Ben miał jakieś zajęcia dodatkowe w szkole, coś związanego z konkursem czy olimpiadą, jak zwykle.) Dotychczas zdarzało się, że zostawali w domu sami, ale zawsze byli we dwójkę: Ben i ona, tak że nie bała się wtedy przebywać w grobowcu, gdyż pociechę stanowiła obecność brata kilka pokoiów dalej, w jego prywatnej klatce. Zostać samej to było zupełnie co innego. Kiedy usłyszała, że samochód rusza, wybiegła z domu tak jak stała, machając rękoma, by matka na nią zaczekała. Nie musiała niczego wyjaśniać: żadnej z nich nie uśmiechało się rozstanie, choćby tylko na kilka godzin. Mimo to Sara dopiero po prawie półgodzinie jazdy odważyła się zapytać matkę, jaki jest konkretnie cel ich podróży.

- Spotkanie z człowiekiem, który kupił nasz obraz - odparła matka, patrząc prosto przed siebie.

- Jaki obraz? - spanikowała Sara. „Nasz” sugerowało, że chodzi o malowidło ściennie w grobowcu.

- Ten, który zawsze wisiał w salonie... Przedstawiający mężczyznę unoszącego się w powietrzu.

Sara oczyma wyobraźni zobaczyła obraz wraz z kawałkiem ściany, gdyż tak właśnie go zapamiętała. Często na niego patrzyła, kiedy grała na pianinie - to znaczy, dokąd grała na pianinie. Od śmierci ojca jakoś nie miała na to ochoty. Niemniej zmartwiło ją, że obraz zniknął, a ona nawet tego nie

140

zauważyła. Zdecydowanie zbyt wiele czasu spędzam w grobowcu, pomyślała, podczas gdy w domu tyle się dzieje. Zerknęła za siebie, na tylne siedzenie, by sprawdzić, czy może tam leży, lecz niczego nie dostrzegła.

- Znalazł się na niego kupiec?

- Tak. Pewien mężczyzna z Rosji...

Sara przeniosła wzrok z matki na drogę i z powrotem.

- To po co jedziemy do Nowego Jorku? - spytała skonfundowana.

- Bo tam znajduje się marszand... człowiek, który handluje dziełami sztuki - wyjaśniała cierpliwie matka. - Obraz od jakiegoś czasu jest u niego, a on starał się znaleźć nań kupca. No i znalazł.

Właściwie wszystko jest już załatwione, podpisałam jakieś papiery i obraz zmienił właściciela...

Sara przewiercała matkę wzrokiem.

- W takim razie po co tam jedziesz? - Była zła i żałowała, że jednak nie została w domu.

- Po to - westchnęła matka - żeby poznać tego człowieka, który kupił obraz. To ktoś z muzeum w Rosji i będzie w Nowym Jorku tylko przez jeden dzień. - Nagle jej głos złagodniał. - Też bym sobie nie robiła kłopotu, ale zapomniałam o jednej rzeczy, kiedy przekazywałam obraz marszandowi... Za ramą obrazu były jakieś papiery, a ja tak się śpieszyłam, że je tam zostawiłam, i teraz mam nadzieję, że nowy właściciel zechce mi je zwrócić. Tylko te papiery... - urwała i zamrugła nerwowo oczyma. - Ale po co ja ci to wszystko opowiadam? Mówiłam ci, że to będzie nudna

wycieczka.

Sara wyjrzała za okno i patrzyła na uciekające szeregi domków z wyliniałymi trawnikami.

- A dlaczego w ogóle go sprzedajemy? - zapytała, smakując na języku słówko „my”. Poczuli się nagle bardzo dorosła.

Kiedy odwróciła głowę, by spojrzeć na matkę, ta miała usta zacięte w wąską kreskę i kurczowo trzymała kierownicę.

- Ponieważ malarz niedawno zmarł i obraz warty jest prawdziwą fortunę. Dzięki tym pieniądzom zatrzymamy dom, a ty i Ben będziecie mogli pójść do college'u.

141

Sara z jakiegoś powodu nie chciała o tym słuchać. Udając znudzenie, zerknęła w lusterko dla pasażera i bardzo się zdziwiła zobaczywszy, że jej włosy stały się jakby bardziej kręcone, a twarz szczuplejsza. Wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy zmarł ojciec. Z bólem uświadomiła sobie, że niedługo zmieni się tak bardzo, że ojciec, gdyby się nagle pojawił, miałby trudności z rozpoznaniem jej. Przyjrzała się matce, szukając i u niej zmian w wyglądzie, lecz nagle znów przypomniała sobie o obrazie.

- Nie lubiłaś go?

- Ko... Czego? - spytała matka i obdarzyła ją niepewnym spojrzeniem.

- Obrazu. Nie podobał ci się?

Matka nie od razu odpowiedziała. Kiedy się odezwała, jej głos był pełen napięcia.

- Owszem, podobał.

- No to może powinniśmy go zatrzymać?

Ręce na kierownicy zacisnęły się, usta zacięły jeszcze bardziej.

- Nie zawsze można mieć to, co by się chciało mieć

- oznajmiła głucho, patrząc prosto przed siebie. Na czoło opadł jej kosmyk grzywki, więc go zdmuchnęła, nie odrywając rąk od kierownicy. - Czasem coś się bardzo lubi, ale można to mieć tylko przez krótki czas, a potem jedyne co człowiekowi pozostaje, to być szczęśliwym, że kiedykolwiek był w posiadaniu tego czegoś... I cieszyć się wspomnieniami - dodała po chwili. - Podobnie jak w wypadku książki wypożyczonej z biblioteki...

Albo człowieka, pomyślała Sara. Zagryzła wargę i znów odwróciła głowę. Za oknem samochodu rozpościerał się chyba najbrzydszy kawałek autostrady, całe kilometry wyludnionej przestrzeni z opuszczonymi rudkami i szarobrazowymi ugorami. Tylko niebo zmieniło kolor na nieco radośniejszy

- zamiast wyblakłej szarości, która towarzyszyła im od New Jersey, nad ich głowami pojawił się chaber, taki, jaki potrafi się nieoczekiwanie pokazać w najbardziej pochmurny dzień albo tuż zanim zajdzie słońce, rzucając wyzwanie chmurom czy nadchodzącej nocy. Sara zadrżała zdawszy sobie sprawę,

142

że choć wyszła ze szkoły przed zaledwie paroma godzinami, dzień już ma się ku końcowi. Objęła się ciasno ramionami, jakby w proteście przed nieuniknionym: że teraz coraz wcześniej będzie robiło się ciemno i że noce będą coraz dłuższe. W niczym nie pocieszała jej świadomość, iż za kilka miesięcy ten proces się odwróci - aż nazbyt dobrze wiedziała, że potem, prędzej czy później, znowu zwycięży zima.

Bardzo długo jechały w milczeniu. Nim Sara odezwała się ponownie, przećwiczyła w głowie pytanie, które chciała zadać, gdyż zależało jej, by wypadło dokładnie tak, jak sobie życzyła.

Ostatnimi czasy mało co działo się po jej myśli.

- Mamo... Wierzysz w reinkarnację?

O reinkarnacji usłyszała w szkole parę dni po pamiętnej wycieczce do muzeum, gdzie oprócz wystawy zatytułowanej „Starożytny Egipt” obejrzeli również „Wczesnośredniowieczną Europę”. Jeden z jej kolegów widać bardzo się przejął widokiem zbroi i opisów turniejów rycerskich, gdyż z wielkim zapałem klarował jej, że tak naprawdę jest Sir Galahadem, który odrodził się w nowym

ciele. Jako że był najlepszym uczniem w klasie, prymusem lubianym przez nauczycieli i zniechęconym przez dzieci, Sara mu uwierzyła.

- Nie - odpowiedziała na jej pytanie matka.

- Dlaczego nie?

- No bo jak się nad tym zastanowić, to się nie trzyma kupy.

Sara zastanowiła się, ale nie potrafiła zrozumieć, o co chodzi matce. Niemniej czuła wdzięczność nawet za tę mało zrozumiałą odpowiedź, gdyż był to pierwszy raz od śmierci, a właściwie od początku choroby ojca, kiedy rozmawiały na jakiś poważniejszy temat. Znowu poczuła się dorosła i wyprostowała się na siedzeniu pasażera - tym samym, o które toczyły się wieczne rodzinne bitwy - i postanowiła nie przejmować się tym, że nie wszystko rozumie. Najważniejsze, że matka znów traktuje ją poważnie. I normalnie.

- Co to znaczy: nie trzyma kupy?

Pytanie zadała bardziej z potrzeby podtrzymania rozmowy i iluzji normalności aniżeli dlatego, że koniecznie chciała poznać odpowiedź. Markowała ciekawość, podczas gdy w środku

143

przepełniała ją radość krusząca pokłady smutku i cierpienia, które nagromadziły się w niej w minionych tygodniach, ba, miesiącach już. Cieszyła się, że jedzie z matką i rozmawia z nią jak równa z równą.

- No więc... - zaczęła matka zbierając myśli - na początku byli Adam i Ewa, tak? - zabębniła palcami w kierownicę.

- Noo... tak - przytaknęła Sara niepewnie. Sir Galahad powiedział jej również, że Stary Testament to jedna wielka bajka.

Matka przez moment zajęta była zmienianiem pasa, ale kiedy zakończyła manewr, podjęła wywód.

- A jeśli nie podoba ci się ta wersja, to przynajmniej przyjmijmy, że kiedyś na świecie było mniej ludzi niż obecnie. Może być?

- Może być - zgodziła się ochoczo Sara, teraz już naprawdę ciekawa ciągu dalszego.

- W takim razie - ciągnęła matka - jakim cudem ludzie otrzymują dusze po kimś, skoro na początku były tylko dwie? Albo tuzin, setka czy tysiąc, obojętne. Biorąc pod uwagę liczbę ludzi żyjących dzisiaj na świecie, wyraźnie widać, że nie wystarczyłoby dusz, by obdzielić nimi każdego.

Sara zamyśliła się. Nie spodziewała się, że matka tak łatwo podważy rewelacje klasowego prymusa. Do tego rozmowa niebezpiecznie zahaczała o matematykę, której nie znosiła.

- Ale... Ale co to za różnica, skoro każdy i tak dostaje starą duszę, po kimś? - wyartykułowała wolno to, co jej chodziło po głowie.

- Co to za różnica, pytasz? - Matka mocniej złapała kierownicę. - A co twoim zdaniem kształtuje duszę, czyni z niej tę a nie inną osobę? Wybory, których dokonuje za życia! Czy myślisz, że ja byłabym tą samą osobą, gdybym nie była twoją mamą? I przy tym mamą Bena? Kim bym była, gdybym miała inne dzieci albo nie miała ich w ogóle?

- N... nie wiem - wyjąkała Sara, uzmysłowivszy sobie nieoczekiwanie i po raz pierwszy w życiu, że nim ona i Ben przyszli na świat, ich matka nie była niczyją mamą, a mimo to

144

była przecież sobą. A może nie?... zakradła się zdradziecka myśl.

Sara naprawdę nie wiedziała. I nie było sposobu, by się o tym przekonała, gdyż wszystkie zdjęcia matki z czasów, kiedy o niej i o Benie wciąż jeszcze ćwierkały wróbelki, były czarno białe, a do tego w ogóle nie istniały fotografie sprzed jej piątych urodzin, gdyż się zawieruszyły, jak mówiła matka, a poza tym nawet kolorowe nie oddają wszystkiego, na przykład głosu, a zresztą gdyby nawet mieli nagrania wideo, to przecież one także nie dałyby odpowiedzi na najważniejsze: jak matka pachniała, jaka była w dotyku i jak by odpowiedziała na takie czy inne pytanie...

- ...założmy przez moment, że dusza rzeczywiście wciela się w innego człowieka - mówiła tymczasem matka. - Że w ten sposób dostaje drugą szansę. Jakie znaczenie w tym kontekście ma życie jej pierwszego „właściciela”? A jego wybory? Czy się w ogóle liczą, skoro to pierwsze życie

to była zaledwie próba? Wreszcie jaki sens ma nasze życie, jeśli przyjąć, że to co przeżywamy, nie jest ostateczne, prawdziwe, bo później będzie coś jeszcze?

Sara zupełnie się w tym wszystkim pogubiła. Reinkarnacja, tak jak ją przedstawił Sir Galahad Bis, wydawała się prosta i zrozumiała. To, co mówiła jej matka, już takie nie było. Do tego sprawiała wrażenie podenerwowanej, jak gdyby temat wyprowadził ją z równowagi, i Sara zaczęła żałować, że w ogóle go poruszyła.

- Saro, pamiętasz, dlaczego ludzi wygnano z raju? Teraz naprawdę się wystraszyła. Chyba lepiej będzie, jeśli

zapomnę o tym, co usłyszałam od tego mądrali, pomyślała i postanowiła trzymać się standardowej wersji.

- Ponieważ zjedli owoc z takiego jednego drzewa...

- Tak uważa większość ludzi - przyznała matka. - Ale ja raz wczytałam się w tę historię uważniej i odkryłam coś, na co nikt wcześniej chyba nie zwrócił uwagi... W Biblii nigdzie nie jest napisane, że ludzi wygnano, ponieważ zjedli owoc z drzewa poznania dobra i zła. O, nie! Otóż po tym jak już się posilili, Pan Bóg powiedział: „Ojej, właśnie zjedli owoc z drzewa poznania dobra i zła! Co będzie, jak zjedzą także owoc

145

z drzewa życia i staną się nieśmiertelni?" I na wszelki wypadek wygnał ich z raju, a na ścieżce wiodącej do drzewa życia ustawił połyskujące ostrze miecza...

- Połyskujące ostrze? - zdumiała się Sara.

- Wszystko po to, żeby ludzie nie mogli żyć wiecznie! Nawet w ciele kogoś innego. Żaden śmiertelnik nie jest w stanie ominąć tej pułapki, ergo wszyscy jesteśmy śmiertelni, Saro, i żyjemy tylko raz. Zakonotuj to sobie dobrze. Wszystko co robisz tu i teraz, się liczy. Nie pozwól nikomu wmówić sobie, że twoje życie jest tylko próbą...

Przed chwilą wjechały do tunelu i teraz posuwały się wolno w mdłym żółtopomarańczowym świetle wzdłuż ścian wyłożonych flizami jak w łazience albo na basenie. Zazwyczaj był to ulubiony moment podróży dla Sary: wypatrywała napisów z liczbą przejechanych metrów, klaskała radośnie w dłonie na widok mozaiki z malutkich fliz, informującej o przekroczeniu granicy pomiędzy New Jersey i Nowym Jorkiem, zgadywała w duchu, jak jeszcze daleko do zakrętu, za którym na końcu tunelu wreszcie pokaże się światelko, z wypiekami na twarzy przysłuchiwała się opowieści ojca o tym, jak budowano tunel: jakiego dokładnie ciężkiego sprzętu użyto, ile ton ziemi usunięto spod koryta rzeki... Nie tyle interesowały ją szczegóły, ile fascynowała wiedza ojca, to że w jego głowie mieszczą się sekrety, dzięki którym - teoretycznie - powstały wszystkie drogi na ziemi. Tym razem jednak siedziała spokojnie i gapiąc się w okno, rozmyślała o połyskującym ostrzu. Jeśli Pan Bóg sądził, że nikt nie jest w stanie go obejść i dotrzeć do drzewa życia, najwyraźniej nie brał pod uwagę jej ojca!

Matka tarła prawe oko uważając, by nie rozmazać przy tym makijażu, który nałożyła po raz pierwszy od wielu tygodni.

- Nie... - powiedziała. - Nie wierzę w reinkarnację. Chcesz się dowiedzieć, w co wierzę?

- Tak - odparła Sara, mimo że podejrzewała, iż matka nie mówi już do niej, lecz do samej siebie albo nawet do kogoś, kogo w samochodzie w ogóle nie było.

- Wydaje mi się, że po śmierci ludzie idą tam, skąd przyszli, to znaczy do tego samego miejsca, w którym dusze

146

czekają na narodziny. Mówi się przecież: odszedł do lepszego świata, a jaki świat byłby lepszy niż ten, gdzie tworzy się nowe dusze, na przyszłość? A nagrodą dla tych, którzy się dobrze sprawowali za życia... - urwała, przełknęła z trudem i podjęła po długiej chwili - ...jest to, że mogą pomagać przy tworzeniu dusz dla tych, którzy jeszcze się nie urodzili w ich rodzinie. To zmarli decydują, jakie cechy będzie miał nowy członek ich rodu, a kształtując jego duszę, nadają mu jakie chcą talenty, umysł, zdolności... Oczywiście nie wszystkie zostaną wykorzystane, to już zależy od osoby,



która się urodzi: może z nich zrobić dobry użytek albo je doszczętnie zaprzepaścić... Zmarli przodkowie obdarzają ich tylko potencjałem. - Dmuchnęła, by odsunąć ten sam kosmyk włosów co wcześniej. - Dlatego, Saro, twoje dzieci będą prawdziwymi szczęściarzami, ponieważ to tata będzie pomagał je ukształtować, podobnie jak dziadek pomógł stworzyć ciebie...

Oślepiło je światło dnia. Wyjechały z tunelu i niemal natychmiast znalazły się w mieście - od tej chwili jechały w milczeniu, gdyż matka koncentrowała się na prowadzeniu auta, a potem długo szukała miejsca do zaparkowania. Sara przyglądała się mijanym ulicom i zauważyła, że Nowy Jork bardzo się zmienił od ostatniego razu, kiedy tu była, miesiące temu, jeszcze przed chorobą ojca, gdy wybrali się całą rodziną, by pójść do cyrku. Teraz na każdych światłach samochód oblepiali mężczyźni z brudnymi szmatami, udający, że myją szyby, i proszący o drobne, nie zważając na to, że się ich odpędza i trąbi; zza zapaćkanych szyb, których nigdy nie zdążyły wyczyścić wycieraczki, gdyż zaraz były następne światła i wszystko się powtarzało, budynki wyglądały jeszcze bardziej ponuro; elewacje straszyły niezrozumiałymi słowami wytatuowanymi na gołych ceglach, a sklepowe markizy niczym śmiercionośnym oddechem pokrył czarny sprej. Kiedy już wysiadły z samochodu, Sara widziała tylko ohydne plamy na chodniku, które trzeba było wymijać, i zwały porozrywanych worków na odpadki, z których dochodził mdławawy odór, i wstrętne śmieci wirujące w powietrzu... Starła się nie dostrzegać zakutanych w stare łachy mężczyzn o długich brodach pozlepianych

147

resztkami jedzenia, którzy leżeli blisko wylotów wentylacyjnych. Szła za matką ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie i tak znalazły się wreszcie w wysokim budynku, gdzie przy frontowych drzwiach trzeba było podać nazwisko, aby dostać się do środka. W windzie zdjęty płaszcz, taki panował tam gorąc, a kiedy wysiadły i ruszyły ciągiem korytarzy i przechodnich pokoi, Sara pomyślała, że trafiła do grobowca.

Pokoje były ciasne i mroczne, wypełnione po brzegi różnymi przedmiotami, głównie dziwnymi meblami, fikuśnymi stolikami i cudacznymi krzesłami, lecz także - jak na grobowiec przystało - rzeźbami i malowidłami. Sara nie mogła się na nie napatrzeć. Większość z nich nie przedstawiała niczego konkretnego, tylko kolorowe plamy i niezidentyfikowane kształty, lecz na niektórych widniały postaci. One także były dziwne; napuchnięte albo rozczłonkowane, albo składające się z równiutkich kółek i kwadratów, chociaż zdarzały się pomiędzy nimi sylwetki oddane z taką precyzją i tak realne, że Sara się czerwieniła przypominając sobie swe niedawne, ledwie udane próby namalowania bliskich, tak by choć trochę przypominali istoty ludzkie. Tak samo było z rzeźbami, które tarasowały im drogę. Jedne stanowiły bezkształtną masę kamienia, z innych sterczały powykręcane kawałki drewna lub metalu, co przywodziło Sarze na myśl zabawę modeliną albo klockami, mimo że zdawała sobie sprawę, iż przynajmniej część z nich również przedstawia ludzi - czy też raczej próbuje ich przedstawiać, bo czasem trudno było się dopatrzeć głowy w okrągłej nieociosanej bryle czy w podłużnych kanciastych cylindrach dojrzeć nogi. Wszakże były i takie - i te Sarze podobały się najbardziej - które wyglądały jak prawdziwi ludzie, zgoda, że brzydki, ale jej zdaniem niemal gotowi do drogi na tamten świat... Chętnie przyjrzałyby się im dokładniej i nawet zastanawiała się, co zastanie w następnej komnacie czy komorze, jak zaczęła w myślach nazywać te pokoje, kiedy ich wędrówka dobiegła końca. W pokoju pojawił się niski mężczyzna, którego twarz zdobił wielki wąs i taki sam uśmiech.

148

- Rosalie! - zadudnił. - Już się baliśmy, że nie przyjedziesz! A tu proszę, niespodzianka, i do tego jeszcze przyproceedziłaś kogoś!

- To Sara, moja córka... A to pan Pomornik, ten, o którym ci opowiadałam.

- Miło mi cię poznać, Saro - rzekł z powagą pan Pomornik i wyciągnął do niej rękę. - Ja także wiele o tobie słyzałem, o tobie i twoim bracie. Wasza mama mówi o was bez ustanku. Musi z was być niezła kawaleria...

Sara nie była pewna, czy rozumie, co pan Pomornik chce przez to powiedzieć, niemniej podała mu

rękę i wymienili uścisk. Dłoń mężczyzny była ciepła i twarda, podobna do dłoni jej ojca.

- Czy pan pochodzi z Rosji? - spytała.

Po jego głosie nie można było tego poznać, ale przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda? Jej matka urodziła się w Rosji, a mówiła jak rodowita Amerykanka.

Zapytany lekko się zmieszał.

- Z Rosji? - powtórzył. I roześmiał się, odpowiedział: - Nie, nie pochodzę z Rosji, ale jeśli tak bardzo ci zależy, by poznać kogoś stamtąd, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem...

Ujął ją za rękę i ruszył w stronę drzwi położonych w głębi, których Sara wcześniej nie widziała.

Musiła szybko przebierać nogami, żeby za nim nadążyć. Dziwnie było znów poczuć dotyk męskiej dłoni na swojej, iść za rękę z kimś starszym i szybszym od niej. Na szczęście za plecami czuła obecność matki, idącej ich śladem.

Pomieszczenie, do którego weszli, z pewnością było kiedyś grobem - tak przynajmniej jawiło się oczom Sary. Wszystkie cztery rogi zajmowały pokaźne rzeźby, a na ścianach tłoczyły się obrazy jak nic przedstawiające zmarłych przy zwykłych czynnościach, które wykonywali jeszcze za życia.

Grobowiec jak się patrzy, oceniła Sara przebiegając wzrokiem od jednego portretu do drugiego, od jednej twarzy do drugiej. Wokół aż roiło się od ludzkich głów - wykutych w kamieniu, odlanych w brązie, namalowanych farbami olejnymi, akwarelami, naszkicowanych węglem... Nagle jedna z nich poruszyła się, niemal

149

przyprawiając Sarę o atak serca, wszelako dziewczynka uspokoiła się widząc, że głowa jest jak najbardziej żywa i należy do reszty ciała zajmującego fotel pod ścianą.

- Siergieju, przedstawiam ci Rosalie Zyskind. Rosalie, to pan Popow.

Mężczyzna podniósł się z trudem, z powodu tuszy lub podeszłego wieku. Kiedy już się wyprostował, Sara mogła stwierdzić, że Siergiej Popow jest nie tylko stary i gruby, ale wręcz wiekowy i olbrzymi. Głowę miał kanciastą i siwą, niczym szczyt zdawała się wieńczyć górę obleczonego w brązowy garnitur ciała, na którym tworzyły się lawiny tłuszczu, rysujące się pod nieskazitelnie białą koszulą. Krawat kończył się pomiędzy mostkiem i pępkiem, zbyt krótki, by przykryć brzuch wylewający się zza paska spodni. Sara zadrżała na myśl, że mężczyzna nigdy nie przestał rosnąć i wraz z upływem lat robi się coraz większy i bardziej tłusty.

- Pani Zyskind! - zwrócił się do matki Sary. Głos miał niski, zdradzający akcent obcokrajowca. - Jakże się cieszę z naszego spotkania.

Dopiero teraz niski mężczyzna puścił rękę Sary, obszedł ją i zajął pozycję pomiędzy tamtą dwójką. Sara przypatrywała się, jak wymieniają uścisk dłoni, po czym wstrzymała oddech, kiedy wielki mężczyzna najpierw się schylił, a potem zwyczajnie ukucnął, żeby móc się z nią przywitać. Z bliska był jeszcze bardziej przerażający, niż kiedy nad nią górował. Twarz miał pomarszczoną i zaczerwienioną (także skóra pod białymi jak mleko włosami wydawała się mocno różowa), a jego krzaczaste brwi poruszały się niezależnie jedna od drugiej, jakby to nie były wcale brwi, tylko tłuste gąsienice pełzające nad świdrującymi ją oczyma.

- A tobie jak na imię? - spytał śmiesznym śpiwnym głosem, jak gdyby była małym dzieckiem.

Sara nie odpowiedziała ani nawet się nie uśmiechnęła. Nigdy nie reagowała, kiedy ludzie traktowali ją jak bobasa. Poza tym mężczyzna nieładnie pachniał; zapach przypominał jej trochę ich łazienkę po kąpieli Bena, zakutego w swoją stalowo plastikową klatkę, wiecznie wydzielającego mieszaninę woni skwaśniałego potu i czegoś jeszcze, czegoś trudno

150

uchwytnego. Patrzyła na pana Popowa, przysłuchiwała się jego szeleszczącemu oddechowi i czekała na ratunek ze strony matki. Albo przynajmniej na reprimendę, jaką zwykle dostawała, kiedy zaczynała stroić fochy w towarzystwie obcych. Tymczasem panowała cisza. Kiedy zerknęła na twarz matki, zrozumiała dlaczego. Kobieta wpatrywała się w pana Popowa marszcząc brwi i zaciskając usta w wąską kreskę.

- Popow... - powiedziała powoli - skądś znam to nazwisko.

Mężczyzna, który je tam wprowadził i przedstawił panu Popowowi, rzucił szybkie spojrzenie na matkę Sary, po czym przeszedł w róg pokoju i zajął się ekspresem do kawy. Choć był odwrócony do nich plecami, Sara widziała, jak naciska jakieś guziczki na korpusie urządzenia, próbując przy tym nie uронić niczego z tego, co dzieje się za nim. W tej samej chwili zmieniła o nim zdanie: wcześniej przywodził jej na myśl ojca, teraz bardziej przypominał Bena, nerwowego, roztrzępanego, zawsze udającego, że to nie on, a jednak pozostającego w centrum wydarzeń. No i niezgrabnego, dodała w myśli Sara, kiedy zaczął walczyć z piramidką plastikowych kubków, nie potrafiąc wyjąć tyłu, ilu potrzebował.

Pan Popow wreszcie dał Sarze spokój i wyprostował się, przenosząc świdrujące oczka na jej matkę.

- Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali? - zapytał. Matka pokręciła głową. Sara zdumiała się widząc, że nie

przestaje nią kręcić, jakby wpadła w trans, i odetchnęła z ulgą dopiero, gdy ruchy stały się wolniejsze, aż w końcu wreszcie ustały. Ale wtedy znów jej twarz przybrała dziwny wyraz, usta lekko drgnęły i wydobył się z nich ledwie słyszalny dźwięk.

- Saro... - Tak cichy, że dziewczynka nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Drgnęła, lecz się nie odezwała. Chwilę potem jej uszu dobiegły jeszcze cichsze, choć wyraźne słowa w jidysz. - Sorełe, zogzej az mir darfn gejn, ict...

Matka wciąż patrzyła na pana Popowa. Sara podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła, że mężczyzna zdjął marynarkę, odsłaniając wielkie plamy potu pod pachami. Nagle jej także zrobiło się ciepło; mimo że na dworze panował ziąb, oblała ją fala gorąca, a w płucach zabrakło powietrza.

151

- Dlaczego? - zapytała na głos, nic nie rozumiejąc. Właśnie usłyszała polecenie, by powiedzieć, że muszą już

ić. Ale dlaczego matka mówiła do niej w jidysz? Rzuciła spojrzenie w kierunku niskiego mężczyzny, wciąż walczącego z kubkami do kawy.

- Zog zej - dodała matka - zog zej az ich chalesz.

- Naprawdę? - zdziwiła się dziewczynka, zupełnie się pogubiwszy.

Skoro jest ci słabo, dlaczego sama im o tym nie powiesz, po angielsku? zapytała w duchu.

Przyjrzała się matce uważniej i dostrzegła, że ta stoi jak sparaliżowana, z oczyma szeroko rozwartymi, zimnymi, jak gdyby skierowanymi do wewnątrz, a jednak widzi nimi więcej. W tamtym momencie wydała się Sarze obca, jakby opanował ją jakiś duch czy wspomnienie, które odebrały jej zmysły i zdolność normalnej mowy.

W odpowiedzi na pytanie Sary wyrzuciła z siebie parę urywanych słów.

- Nejn, cholile, ober zog zej... zog zej...

„Nie, niech Bóg broni, ale powiedz im... powiedz im...” Za ścianą rozległ się brzęczyk telefonu.

Sara podskoczyła. Popatrzyła na matkę ponownie i zobaczyła, jak z jej twarzy odpływa wszelki kolor. Podjąwszy decyzję poszukała wzrokiem pana Pomornika, który właśnie odstawił cudem wydobyte kubki, by odebrać rozmowę w pokoju obok, i powiedziała do niego:

- Moja mama źle się czuje...

Mężczyzna, choć wydał się nieco zdziwiony tym nagłym oświadczeniem w trzeciej osobie, nie zwolnił kroku.

- Jedną chwileczkę - rzucił. - Tylko zobaczę, kto dzwoni...

- Moja mama źle się czuje - powtórzyła Sara pewniejszym głosem, nie spuszczać z niego oczu. Telefon dzwonił jak oszalały. - Musimy stąd wyjść. Moja mama źle się czuje...

- Zaraz wróć! - krzyknął już z pokoju obok. - Tymczasem zaprowadź mamę do łazienki, jest na końcu korytarza po lewej stronie - dodał i zamknął za sobą drzwi.

Sara rozejrzała się po pokoju nieprzytomnym wzrokiem. Patrzyły na nią obce twarze, dziesiątki obcych zafrasowanych

152

tworzy. Podbiegła do siedzącego w fotelu starego mężczyzny i poklepała go po wierzchu dłoni.

Wzdrygnęła się przy tym, gdyż skórę miał nieprzyjemnie wilgotną i rozgrzaną.

- Moja mama źle się czuje - oznajmiła mu. - Musimy stąd wyjść.

Rzuciła okiem na matkę, by poszukać u niej aprobaty, lecz zobaczyła tylko bladą pustą twarz. Może faktycznie źle się czuje, pomyślała Sara. Ale dlaczego nic nie mówi? I co ja mam teraz zrobić? Zaprowadzić ją do łazienki, przynieść jej zimnej wody, kazać jej usiąść? Dotychczas to matka zawsze jej pomagała, kiedy Sara źle się poczuła, nie odwrotnie.

Siwowłosy wielkolud nareszcie przestał świdrować matkę wzrokiem i zniecierpliwiony popatrzył na dziewczynkę, wciąż stojącą u jego boku. Brwi rozpełzły mu się po czole, jakby był zmartwiony, i Sara przez ułamek sekundy miała nadzieję, że jej pomoże, jednakże szybko tę nadzieję utraciła. Brwi uniósł w zdziwieniu, nie ze zmartwienia, i kiedy już przestał się dziwić, przyjrzał się uważnie Sarze, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

- Twoja mama wcale nie czuje się źle - rzekł szorstko.

Żołądek podjechał Sarze do gardła. Popatrzyła błagalnie na matkę, lecz ta dalej stała jak przymurowana, z twarzą wypraną z wszelkich emocji. Nie mogła nic poradzić na to, kiedy mężczyzna znów ukucnął przed nią, by przyjrzeć jej się bliżej, czego nie znosiła, nawet gdy patrzącym był ktoś miły, a co dopiero taki ohydny wielkolud o nalanej czerwonej twarzy i nosie jak kartofel z porami jak kraterzy zamiast kielkujących oczek. Dzielnie zadarłszy brodę odwzajemniła jego spojrzenie, kątem oka obserwując strużkę potu ciekącą mu po policzku. Nagle jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu, co jakoś wcale nie uspokoiło Sary.

- Nie poznałem twojej matki - odezwał się do niej tym samym, „dziecinnym” głosem co przedtem - ale rozpoznaję ciebie!

Temperatura w pomieszczeniu jakby się podniosła. Sara poczuła, że wilgotnieją jej pachy, zgięcia kolan i miejsce między nogami. Usłyszała kiedyś od Bena, że ludzkie ciało

153

w osiemdziesięciu procentach składa się z wody, i przeraziła się teraz, że właśnie zaczęła przeciekać.

Tymczasem mężczyzna wreszcie przestał się na nią gapić i zadarł głowę w kierunku jej matki.

- Dziewczynka, którą pamiętam, była mniejsza od tej tutaj - rzekł, bardzo starannie wymawiając każde słowo

- ale miała niemal identyczną buzię... Bardzo ładną buzię

- dodał zmienionym głosem, palcami dotykając policzka Sary.

Chciała się cofnąć, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Z nadzieją spojrziała na drzwi, za którymi zniknął niski mężczyzna, przypominający jej ojca i Bena, lecz nie dochodził zza nich żaden dźwięk

- zresztą i tak nic by nie usłyszała, gdyż wszystko zagłuszało posapywanie blokującego jej drogę starego wielkoluda. Powietrze wokół niej przesycone było jego zapachem. Stała bez ruchu, kiedy przesuwał palcem po jej policzku, znacząc paznokciem kółka na skórze, która pod jego dotykiem napięła się i jakby zmartwiała. Sara nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa, w przeciwnym razie głośno by protestowała, gdy mężczyzna ujął ją pod brodę, jakby była jedną z okaleczonych rzeźb, a potem nieoczekiwanie uszczypnął w policzek.

- Nie dotykaj jej...

Sara odważyła się poruszyć gałkami ocznymi. Matka nadal stała w tym samym miejscu co przedtem, niczym posąg bez życia. Sara widziała ją w takim stanie tylko raz wcześniej: nad grobem ojca. Chciała coś do niej powiedzieć, pocieszyć ją jakoś, lecz wargi miała zdrtwiałe, a język stawał jej kołkiem w ustach. Z oczu pociekły jej łzy, gdy mężczyzna wzmocnił uścisk, wbijając boleśnie kciuk w ciało. Całą siłą woli walczyła, by nie rozplakać się na dobre.

- Taak... tę buzię pamiętam aż nazbyt dobrze... - oznajmił bardzo z siebie zadowolony mężczyzna i porzucając dziecięcy szczebiot, zwrócił się do matki Sary: - Wiesz, na kogo mi wyglądasz? Na małą Borysa Kulbaka. Na Raisę Kulbak.

Wpatrywał się w nią z obleśnym uśmiechem, który rozrastał mu się na twarzy, w miarę jak matka Sary bladła, by w końcu zemdleć.

154

Na szczęście odzyskała przytomność, nim nadjechało pogotowie, lecz i tak z trudem przyszło jej przekonać wszystkich, że czuje się już na tyle dobrze, by usiąść za kółkiem i samochodem wrócić do domu, nie narażając zdrowia i życia córki. Powtarzała to jak mantrę i nie mówiła nic poza tym, nawet gdy znalazły się bezpiecznie w aucie, a Sarę tak przerażało zachowanie matki, że bała się otworzyć usta.

Nazajutrz po szkole Sara nie zastała matki w domu. Już w drzwiach ją zawołała, wciąż czując się niepewnie po wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin, lecz nie uzyskała odpowiedzi. W panice przebiegła przez cały dom, szukając matki w kuchni, salonie, a potem także w pokojach na górze, a nawet w garażu i w ogrodzie za domem, by wróciwszy do środka pootwierać jeszcze drzwi do obu łazienek, drąc się wniebogłosy: „Mamo! Mamo!” W końcu zostało tylko jedno pomieszczenie, którego nie sprawdziła. Grobowiec.

Matka siedziała tam na podłodze, jak dziecko, otoczona przez samochodziki zabawki i malowidła na ścianach, tuląc do siebie męskie ubrania i czytając Księgę Umarłych.

## Rozdział Ósmy.

Palec, który tuż przed narodzeniem dziecka dotyka jego delikatnego miejsca pod nosem i zostawia tam wgłębienie na resztę życia, należy do znanej dziecku ręki, usłyszał kiedyś Der Nister. Dzień wcześniej bowiem ta sama ręka zabiera dziecko w podróż dookoła świata, by w ciągu dwunastu godzin - od poranka do zmroku - pokazać mu wszystko, co kiedykolwiek zobaczy: zakątek, gdzie się urodzi i gdzie będzie mieszkało, miejscowości, które odwiedzi w swym długim lub krótkim życiu, i wreszcie pod sam koniec dnia, kiedy przez palce trzymającej dziecko ręki przeświecają już promienie zachodzącego słońca, miejsce, w którym umrze i zostanie pochowane. Potem właściciel ręki przypomina dziecku, że zostało powołane do życia wbrew własnej woli, przyjdzie na świat, czy tego chce czy nie, będzie żyło bez względu na to, jakie jest jego życzenie w tej materii, a kiedyś w końcu umrze, zapewne także niechętnie, i któregoś dnia zostanie zawezwane, by zdać relację, jaki użytek zrobiło z tego wszystkiego, co otrzymało wbrew sobie. A dziecko zaczyna się od tamtej chwili bać - nie śmierci, lecz życia. Jest tak przerażone, że wierzga i gryzie bezzębnyimi dziąsłami rękę, która w końcu, zniecierpliwiona, uderza go lekko w twarz, a potem przykłada mu palec do ust, wymazując jego wszelkie wspomnienia z dotychczasowej egzystencji, i klapsem wysyła w świat. Z tego właśnie powodu wielu ludzi błąka się potem po świecie, nie pamiętając, że wszędzie już byli, ani nie wiedząc, co czeka ich za

156

rogiem. Być może dlatego Chagall opuścił Związek Radziecki na zawsze, podczas gdy Der Nister i reszta pisarzy, których książki malarz ilustrował, wyjechało tylko na parę lat, by prędzej czy później wrócić na stare śmieci.

Chagall od dawna przygotowywał się do tego wyjazdu. Jeszcze zanim w 1920 roku znalazł się w Małachówce, otrzymał list od przyjaciela, przebywającego podówczas w Berlinie poety, który pisał: „Żyjesz jeszcze? Niektórzy powiadają, że zginąłeś w czasie wojny, a Twoje obrazy osiągają tu zawrotne ceny!” Der Nister widział ten list na własne oczy, ponieważ Chagall nie robił z niego tajemnicy, pokazując go każdemu, kto mu się nawinął pod rękę.

- Jestem sławny! - mówił z gorzkim przekąsem. - Pieniądze, sława... - prychnął. - Ciekawe tylko, gdzie są te moje słynne obrazy?! Kto na nich położył łapę? I kiedy łaskawie zapłaci mnie? A może moja córka ma tu zdechnąć z głodu?...

Der Nister słuchał go ze spuszczoneym wzrokiem, udając, że czyści sobie paznokcie, gdyż w przeciwnym razie zdradziłoby go spojrzenie. W 1922 roku córka Chagalla była cudnie zaokrągloną pięcioletką ze słodkimi pokładami dziecięcego tłuszczu, a jego własna córka, Hodele, przypominała raczej stracha na wróble i w wieku dziewięciu lat wyglądała na zabiedzoną sześciolatkę, a do tego chudła z dnia na dzień. Chagall był sławny. Przed wojną mieszkał czas jakiś

we Francji, a w Berlinie urządzono mu wernisaż. Pisano o nim książki, recenzowano jego najnowsze obrazy, organizowano mu wystawy i handlowano jego dziełami. W pewnych kręgach jego nazwisko nie schodziło ludziom z ust. Wystarczyło przełknąć dziwaczne kolory i fruwających po płótnie ludzi i voila! sztuka Chagalla stawała przed wszystkimi otworem, gdyż nie było w niej nic do rozumienia, wystarczyło ją czuć. Nie kryło się za nią żadne znaczenie, nic, co trzeba by wyjaśnić, nazwać czy pojąć. Po prostu kolor i światło, nic więcej. Der Nister w tym samym czasie opublikował zaledwie (albo aż) cztery książki, zawierające kalejdoskopowe opowieści, w których mikroskopijne wszechświaty upakowane były jeden w drugim, poprzecinane labiryntami i obrzmiały od wieloznaczności, dokładnie

157

tak jak zagadki, za którymi Hodele przepadała, ale cóż z tego, skoro czytelnicy literatury zapisanej w jidysz zaczęli już znikać z oblicza tej ziemi. A jego córka przymierała głodem.

- Zawrotne ceny! - biadolił Chagall. - W Moskwie zalegają z zapłatą za scenografię, a w Berlinie moje obrazy idą na aukcjach jak ciepłe bułeczki! Muszę wyjechać do Berlina.

I któregoś dnia wyjechał.

Der Nister niczym cień podążył za nim. W Berlinie założył czasopismo przy pomocy pisarzy emigrantów, takich samych jak on zapaleńców, lecz i tam nie było wystarczającej liczby amatorów literatury żydowskiej, by przedsięwzięcie przyniosło jakikolwiek dochód, więc wycofał się zaraz po wydaniu pierwszego numeru. W tamtych czasach Niemcy palili pieniędzmi w piecach, zamiast je wydawać, gdyż węgiel był droższy od bezwartościowych banknotów, które także sprawdzały się w roli ociepliny ścian tanich noclegowni. Rozczarowany Chagall ruszył dalej, do Francji, i kontakt między nimi się urwał, chociaż parę lat później doszły Der Nistera słuchy o przyjęciu urodzinowym ośmioletniej już córki malarza. Mówiło się o przepychu i znamienitych gościach, wśród których brylowali znani artyści, pisarze, krytycy i właściciele galerii - śmietanka Paryża zebrana w luksusowym apartamencie na Avenue d'Orleans. W jakiejś gazecie ukazało się nawet zdjęcie Chagalla w otoczeniu jego żony i córki, pozujących jak do portretu, tyle że nawet subtelny światłocień nie był w stanie ukryć faktu, że ośmioletnia dziewczynka jest naga. O fotografii zrobiło się głośno: padały słowa świętego oburzenia, mówiono o taniej sensacji i moralnym upadku bohemy. Der Nister także nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia, lecz z zupełnie innego powodu - solenizantka nadal miała zaokrąglony brzusek i pucołowate policzki, w przeciwieństwie do jego wychudzonej jak szczapa córki i wątlęgo niemowlęcia płci męskiej, które przyszło na świat już w Berlinie.

Tłoczyli się we czwórkę - oprócz dzieci była jeszcze żona, którą Der Nister dawno przestał kochać - w obskurnym pokoiku, który służył im za kuchnię, łazienkę i sypialnię, gdzie nocami, leżąc w łóżku, starali się odpędzać od siebie to, co

158

stałoby się ich koszmarami, gdyby tylko potrafili zasnąć. Jednakże głód nie pozwalał im zmrużyć oka. Der Nister rozmyślał o swoim starszym bracie Aaronie, który w rodzinnym Berdyczowie przyłączył się do zwolenników zmarłego przed stuleciem mistyka chasydzkiego i bazarza, rabiego Nachmana z Braclawia, i morząc się głodem czekał na niebiańskie wizje, podczas gdy jego młodszy brat musiał na obczyźnie walczyć z tymi zsyłanymi mu przez piekło i wbrew jego woli. Jego duszę szarpały sny na jawie, kiedy tak czuwał całymi nocami, przysłuchując się pijackim krzykom prostytutek zza okna i świszczącym oddechem dzieci i żony śpiących koło niego.

Śnił o nosicielu świata - mężczyźnie, który nosił na plecach całą kulę ziemską, do czasu kiedy wręczył ją komuś innemu, by samemu móc się wreszcie porządnie napić. Kiedy zwałił się pijany jak bela, wszyscy ludzie na ziemi jakby się zmówili i jeden po drugim zaczęli popełniać samobójstwa, aż w końcu nie został przy życiu nikt. Der Nister widział ich ciała, kiedy podszedł do okna i przez nie wyjrzał: leżały pokotem na chodnikach i w rynsztokach, w mdłym świetle gazowych lamp. Stał pomiędzy cienką zasłonką i szybą, drżąc z zimna i zacierając ramiona dla rozgrzewki; gdy zwiniętą dłonią dotknął szyby niczym teleskopem i przyłożył doń oko, mógł

wydobyć z mroku na niebie, ponad okolicznymi karczmami i lupanarami, samotną gwiazdę, która z kolei wydobywała z mroków jego pamięci rozgwieżdżony firmament Rosji. Tutaj tylko Ursa Maior, Wielka Niedźwiedzica, zapraszała go do tańca i Der Nister nie miał innego wyjścia, jak zaproszenie przyjąć. Wdrapał się po drabinie na dach i ruszył w tan ze zwierzem, który zmieniwszy się w groźnego samca, złapał go obiema łapami i cisnął w dół do wielkiej jamy, w której spało dziesięć głodnych niedźwiedzi, marzących tylko o tym, by coś przekąsić. Der Nister karmił je czym popadło, lecz one były nienasycone i domagały się wciąż więcej i więcej, aż w końcu nie pozostało już do jedzenia nic, tak że pożarły go żywcem, zaczynając od rąk i nóg, a kończąc na sercu. Z majaków wyrwał go okrzyk Hodele. Podeszedł do córki i ukucnąwszy przy jej głowie, szepnął:

159

- Hodele?...

Ona jednak go nie słyszała, pogrążona w odrętwieniu bardziej niż we śnie. Z zimna skuliła się w ciasną kulkę pod wytartym kocem, usta miała wyszczerzone w okropnym grymasie, zęby raz po raz szczykały, kiedy jej ciałem wstrząsał dreszcz. Siedząc u wezgłowia zastanawiał się, co takiego mogło jej się przyśnić, że krzyknęła, i równocześnie wspominał Borysa Kulbaka, chłopca znalezionego w do połowy zasypanym grobie. Nachylił się i objął ją ramionami, by udzielić jej trochę swego ciepła, i w tej pozycji znowu zaczął majaczyć. Wydawało mu się, że trupy samobójców powstały z martwych i ciskają kamieniami w Hodele, i że on musi jej bronić. Łaknąca ciepła dziewczynka tuliła się do niego i czepiała kurczowo jego ramion, wyrывая go na moment z koszmaru. Po drugiej stronie niemowlę zakwiliło słabo i po chwili przerwy podjęło chrapliwy oddech, a jego matka - żona Der Nistera, której już od dawna nie kochał - zwlokła się półprzytomna do kartonowej kołyski, by podać mu pierś, która w smudze światła padającego od okna nabrała pomarańczowej barwy i przypominała obnażone piersi prostytutek. Der Nister mocniej objął ramionami swoją córkę. Była lekka jak piórko, lżejsza od szmacianej lalki, którą się bawiła. Majaki powróciły. Zdawało mu się, że Hodele ssie jego pierś, szukając mleka, lecz on nie może jej nakarmić. Poczul szarpnięcie, kiedy dziewczynka gwałtownym ruchem oswobodziła się z jego ramion, jęcząc z głodu i cmokając ustami. Przywrócony do rzeczywistości Der Nister nie wiedział, co mu się przyśniło, a co było prawdą.

Później niektóre ze swoich snów na jawie zapisywał.

W dzień, kiedy nie śnił ani nie pisał, zdarzało mu się widzieć obrazy Chagalla. W czasopiśmie, które przeglądał, albo w galeriach, do których siłą wyciągali go przyjaciele. Za każdym razem gdy na nie patrzył, uderzało go, że są tak bardzo kolorowe i zabawne i że choćby nie wiadomo jak się starał, nie jest w stanie dostrzec w nich nic więcej. Jednakże nic więcej nie było potrzebne. Obrazy robiły furorę; wyglądało na to, że Chagall stworzył nowy styl w malarstwie: ekspresjonizm, chociaż akurat on wcale nie chciał dokonywać żadnej ekspresji,

160

o czym Der Nister przecież miał okazję się przekonać. „Po prostu błękit...”, wspominał fragment rozmowy przeprowadzonej w czasach, gdy byli sąsiadami. „Niby dlaczego miałby coś znaczyć?! Chyba że potrafisz mi odpowiedzieć na pytanie, co znaczy twoja córka?” Teraz wszakże publicznie mówił zupełnie co innego.

Gdybym nie był Żydem, nie byłbym artystą, w jidysz, w żydowskiej gazecie.

Nie jestem żydowskim artystą. Chmura to chmura, nieważne, czy żydowska, rosyjska czy francuska, po niemiecku, w pamflecie.

Pewien jestem, że Rembrandt mnie kocha, po francusku, w pamiętnikach, których fragmenty przetłumaczono na niemiecki i wydawano w odcinkach w jakimś niemieckim czasopiśmie, które wpadło w ręce Der Nistera. (Pamiętniki zostały spisane w 1923 roku, kiedy Chagall miał trzydzieści sześć lat, lecz zdaniem pisarza były zbiorem nieporadnych, oderwanych od siebie myśli.)

To że jestem uważany za malarza rosyjskiego, ma dla mnie większe znaczenie niż międzynarodowa sława. Każdy centymetr kwadratowy moich płócien przesycony jest tęsknotą za ojczyzną, po rosyjsku oczywiście.

Sercem pozostałem na Wschodzie, choć mieszkam w sercu Zachodu. Jakże łatwo byłoby mi wrócić do domu, zostawiając wszystko co dobre za sobą i napawając się roztaczającym się przede mną widokiem opuszczonego sanktuarium..., czy Chagall faktycznie gdzieś to powiedział, czy był to wymysł wyobraźni Der Nistera?

Kim jestem ? - pytanie z pamiętników po francusku oraz ze snów Der Nistera.

Kimże jestem? Nietrudno odpowiedzieć na to pytanie, siedząc wygodnie w paryskim apartamencie, a wkrótce w domu w Prowansji czy wreszcie na statku z wizą USA w kieszeni, załatwioną przez nowojorskie Muzeum Sztuki Współczesnej, gdy u boku ma się kochającą żonę i radosną córkę, a na zawołanie całą armię pochlebców i jedzących z ręki krytyków. I bardzo trudno, kiedy tak jak Der Nister mieszka się w ciasnym byle jakim pokoiku z żoną, której się już nie kocha,

161

i z dziećmi, których nie sposób wyżywić, głowę mając wypełnioną opowieściami, których nikt nie chce czytać...

Der Nister wraz z rodziną przeprowadził się do Hamburga, lecz nie na wiele się to zdało. Nadal nie spał po nocach, a tylko nieco większy pokój, na równi z prawowitymi lokatorami, w dalszym ciągu okupowały okrucy historii krążących po jego głowie i wydobywających się z niej tym chętniej, im dłużej pozostawał bezsenny - tańczyły potem niczym drobinki kurzu w dogasającym świetle dnia lub nocą na podobieństwo demonów dokazujących na linach i trapezach groziły upadkiem i śmiertelnym zranieniem jego dzieci. Dochodziły go słuchy, że w Rosji sytuacja się poprawiła; rząd miał dofinansowywać żydowskie szkoły i wydawnictwa, co otwierało wielkie możliwości przed ludźmi takimi jak on. Gazety pisały, że obecna Rosja, okrzepnięty już Związek Radziecki, to istna ziemia obiecana i Der Nister łącznie by w to uwierzył, zwłaszcza że i w Hamburgu mieszkali przy ulicy, przy której toczyło się nocne życie miasta, tak że przeprowadzka z Berlina prawie w niczym nie polepszyła ich położenia: nadal byli skazani na towarzystwo pijaków i kurew. Wszelako jego sny kazały mu się mieć na baczności. Roiło się w nich od sal sądowych, bardziej przypominających średniowieczne katownie, w których jego dawni uczniowie denuncjowali go jeden przez drugiego, podając do protokołu, że jest egocentryczną świnią, która poświęciła życie córki, by ocalić własne. Po długiej nużącej rozprawie zawsze palono go na stosie. Gdyby Chagall kiedykolwiek namalował obraz płonącego stosu, byłby on jaskrawo żółty, przeraźliwie pomarańczowy albo pulsujący ognistą czerwienią - w wyobraźni Der Nistera stos był zawsze czarny.

Którejś nocy w Hamburgu - a właściwie jeszcze nie nocy, tylko późnym popołudniem zimy roku 1926, kiedy słońce zmęczyło się świeceniem i postanowiło zrobić sobie fajrant wcześniej, oddając świat we władanie księżycowi, by pójść się napić - Der Nister siedział w domu sam. Pisał jakiś artykuł i walczył z ogarniającą go sennością. Żona poszła z synkiem (obecnie prawie czteroletnim brzdącem) do lekarza, a Der Nister został w domu, by podać Hodele to, co było na obiad, i pokazać jej

162

nową sztuczkę karcianą, którą podejrział u jednego z kolegów. Był ciekaw, czy rozgryzie, na czym polega.

Zagadki pasjonowały ją od małości i na ogół żadna nie miała przed nią tajemnic, Hodele była bowiem niesłychanie inteligentna. Biegle władała czterema językami, świetnie sobie radziła z matematyką, tuzinami połykała książki. Miała już jednak trzynaście lat i w domu zapanowała niezręczna atmosfera. Rankiem musiał zrywać się z łóżka, nim ona wstała, ubierać się po ciemku i wychodzić na korytarz, gdzie czekał, aż córka się ubierze (żona postawiła sprawę jasno: Hodele jest za duża, by przebierać się w obecności ojca) i trzykrotnym stuknięciem w drzwi da znać, że wolno mu już wrócić do środka. Tam zastawał ją wciśniętą w za małe na nią ubranie; rysujące się wzgórki piersi wyzierały zza przyciasnej bluzeczki, a opięta spódnica podkreślała krągłość bioder. Żona utyskiwała, że dziewczynka się garbi i że zupełnie wdała się w ojca, co Hodele zbywała śmiechem, kiedy matki nie było w pobliżu. Bardzo lubili te chwile, kiedy byli tylko we dwójkę, i opracowali nawet system, by Der Nister mógł się cieszyć jej rychłym nadejściem, gdy jeszcze była na ulicy,



niewidoczna przez jedyne okno pokoju, wychodzące zresztą na podwórze. Hodele znów stuknęła trzykrotnie, tym razem wszakże w drewnianą ścianę budynku (mieszkali na parterze) i nie ręką, lecz za pomocą książki, którą akurat danego dnia czytała. Był to ich taki tajemny kod.

Tamtego popołudnia czy wieczoru, zależy jak na to spojrzeć, Der Nister wyteżał słuch, mając nadzieję usłyszeć umówione trzy stuknięcia, kiedy nagle na dworze rozległy się chłopięce wrzaski. Nie było w tym nic niezwykłego; pijacy i inne szumowiny zbierali się w okolicy później, lecz o tej porze dnia ulica należała do wyrostków. I tak było lepiej niż w Berlinie, gdzie nocne życie ulicy rozpoczynało się w południe. Mimo krzyków usłyszał znajome trzy stuknięcia, a zaraz potem głośne „łup!”

Zza cienkiej ściany doszedł go chłopięcy gardłowy śmiech. Der Nister pomyślał, że to pewnie jakiś wyglup albo zwykły zbieg okoliczności, ale zbliżywszy się do ściany i przyłożywszy do niej ucho, nie mógł nie rozpoznać głosu swojej córki.

163

- Proszę, nie, proszę... - błagała przez chwilę, po czym znów rozległo się łupnięcie i jej krzyk. Był to ten sam krzyk, który wydawała z siebie przez sen. Der Nister stał jak sparaliżowany tak długo, jak długo trwał dźwięk. Kiedy ucichł, dosłownie poczuł na własnej twarzy rękę zakrywającą usta jego córki. Wtedy ruszył pędem do drzwi, gdzie zatrzymały go trzy skomplikowane zamki, które niełatwo mu było otworzyć trzęsącymi się ze zdenerwowania dłońmi. Znalazłszy się wreszcie na korytarzu, rzucił się w stronę wyjścia z budynku. Niestety, tak się niefortunnie złożyło, że mieszkali w dobudówce do kamienicy, do tego na samym końcu korytarza, i główne wyjście otwierało się na zupełnie inną ulicę niż ta, gdzie znajdowała się teraz potrzebująca pomocy Hodele. Wyjście na podwórze było bliżej, ale stamtąd w ogóle nie udało mu się wydostać, gdyż było to podwórze studnia, otoczone wysokim murem. Biegł jak szalony, czując, że wszystkie prześladowające go w życiu demony teraz podstawiają mu nogi, zastawiają drogę, za wszelką cenę próbując utrudnić mu zadanie. Potknąwszy się parę razy, dopadł drzwi na ulicę, okrążył budynek i... stanął jak wryty. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą słyszał Hodele i napastujących ją wyrostków, nie było nikogo z wyjątkiem zapijaczanego starca leżącego w rynsztoku. Der Nister wyhamował bieg, zdumiony. Czyżby to wszystko sobie wyobraził? Najpierw zlustrował okolicę wzrokiem, potem przebiegł kilka przecznic w jedną i drugą stronę - ani żywego ducha. Zawrócił w to samo miejsce, pobiegł pod drzwi frontowe, jak strzała pomknął przez ciemny korytarz, prosto na podwórze. W dalszym ciągu ani śladu, ale coś zwróciło jego uwagę: zasłonięte okno ich pokoju.

Znowu biegiem, ciężko dysząc, dotarł pod drzwi mieszkania. Były zamknięte od wewnątrz. Zaczął w nie od razu walić, nie zwracając sobie głowy pukaniem, lecz nikt mu nie otworzył.

Przypomniał sobie, że w kieszeni ma klucze, otworzył wszystkie zamki po kolei, powoli, ostrożnie, jakby rozwiązywał jakąś łamigłówkę i musiał się skoncentrować na tym, co robi.

Uchyliwszy drzwi, zajrzał do środka i natychmiast zauważył zwinięty w kłębek kształt w najdalszym kącie pokoju. Ruszył

164

w jego stronę wolnym krokiem, starając się stapać jak najciszej, i znalazłszy się tuż-tuż, ukucnął, tak jak to robił jeszcze w Berlinie w nocie naznaczone bezsennością. Odwróciła się do niego, trzymając w garści brzegi podartej bluzki, z której zwisały strzępy materiału w miejscach, gdzie nigdy były guziki, ledwie osłaniającej jej nagie, podrapane do krwi ciało. Przeniósł wzrok na jej twarz i zobaczył, że pod nosem także ma zaschniętą kroplę krwi. Poruszała ustami, jak gdyby chciała coś powiedzieć, lecz z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

- Co mówisz, kochanie? - spytał.

- Chcę wrócić do domu.

Oczywiście nie zastali tam ziemi obiecanej. I Chagall miał, jak zwykle dotąd nawiasem mówiąc, rację: odkąd Der Nister wrócił do Rosji, nie pozwolono mu opublikować ani jednego utworu.

Władza uznawała wyłącznie socrealizm. Cóż, każdy taniec z niedźwiedziem musi skończyć się nieprzyjemnie, uznał Der Nister. Jego wszystkie wcześniejsze prace okrzyknięto zdradą jedyne

słusznego kierunku w literaturze, przyklejono im łatkę dekadencji i absurdu, spalono na intelektualnym stosie. Ba, posuwano się nawet do fizycznego niszczenia książek, także tych dla dzieci, tych, które stworzyli wspólnie z Chagallem.

Przez dziesięć długich lat Der Nister nie napisał ani słowa. Imał się przypadkowych prac, nieraz cała rodzina przymierała głodem. W końcu podjął decyzję: napisze książkę realistyczną do bólu, taką, którą władza radziecka uzna, a może nawet i pochwali. Podczas gdy Chagall żył sobie we Francji jak u Pana Boga za piecem, nawiązując przyjaźnie z Picassem i Matisse'em i malując swoich jaskrawozielonych ortodoksyjnych Żydów, ukrzyżowanych Jezusów, kwiatki i owoce, Ukryty zaczął spisywać jedyną prawdziwą historię, która się liczy.

Nadał swej książce tytuł: „Kryzys rodzinny”.

## Rozdział Dziewiąty.

Daniel Zyskind, ojciec Sary i Bena, na własnej skórze doświadczył takiego kryzysu i wyniósł z niego naukę, że czasu wcale nie odmierzają - jak się powszechnie sądzi - godziny, dni i lata, lecz dobre uczynki. To, co większość ludzi postrzega jako czas, to zaledwie naczynie czekające, by je napęlić, i niestety nazbyt często próżne. Świat także zamiera w oczekiwaniu, pusty i beczasowy, aż jakiś akt wspaniałomyślności nagle wszystko zmienia: chwile ruszają z miejsca, nabierają rozpędu, ścigają się w radosnej gonitwie, pełnej piękna i znaczenia. Ale wystarczy jeden zły czyn, jedna zła myśl - i czas znowu przestaje istnieć. W 1965 roku zaledwie dwudziestoletni Daniel był świadom kilku takich momentów kreacji i destrukcji.

Istnienie czasu uświadomił sobie w dniu, kiedy skończył dwanaście lat. To wtedy jego rodzice zdecydowali o przeprowadzce z Newark w stanie New Jersey do miasteczka jeszcze bardziej oddalonego od wybrzeża i Nowego Jorku, gdzie mieli zamieszkać w prawdziwym domu z prawdziwym ogrodem, a nawet z prawdziwym lasem ciągnącym się za tylnym ogrodzeniem. Dom był niewielki i jeszcze niedawno należał do jego dziadka ze strony matki; Daniel przemierzał nerwowo pokoje, co rusz wracając do punktu wyjścia, i zastanawiał się, czy to możliwe, że dziadek wyzionał ducha dokładnie tam, gdzie on teraz stał. Wraz z jego urodzinami i przeprowadzką czas powinien drgnąć, coś powinno się zmienić, tymczasem

166

tak się nie działo: Daniel wciąż pozostawał dzieckiem - był niski, twarz miał gładką jak pupa niemowlęcia, nadal mówił chłopięcym dyszkantem i bez ustanku się bał. Jego matka, odkąd pamiętał, częściej niż w domu przebywała w szpitalu, lecz w niczym nie polepszało to stanu jej zdrowia. Jego ojciec od zarania należał do Partii Komunistycznej, posyłał Daniela do szkółki żydowskiej prowadzonej przez towarzyszy i robotniczą brać z Newark i obwieszał dom portretami Stalina. Przeprowadzka zmieniła tyle tylko, że do Newark zrobiło się za daleko i Daniel spędzał popołudnia w domu, wysłuchując ojcowskich tyrad na temat ucisku klasy pracującej, jego twórczości, czyli w zależności od nastroju albo pochwalnych, albo krytycznych listów do rozlicznych redakcji, a także gniewnych manifestów skierowanych przeciwko szefom, sąsiadom, szkołom, firmom, lekarzom, szpitalom, bankom, stacjom telewizyjnym, a wreszcie przeciwko rządowi i krajowi, a nawet własnemu niczemu niewinnemu dwunastoletniemu synowi, ponieważ był zbyt słaby duchem, by swą złość konstruktywnie skierować przeciwko chorobie wyniszczającej mu żonę i rodzinę. Właśnie w jedno z takich popołudni, kiedy Danielowi udało się wymknąć z jego sponów i zagłębić w rosnący za domem las, czas ruszył z miejsca.

Chłopiec nigdy wcześniej nie widział tylu drzew naraz. Całe swoje dotychczasowe życie spędził w mieście, bawiąc się na zapaskudzonych chodnikach albo w żalonym parku, gdzie rosły anemiczne klony, podpierające się nawzajem przed i tak nieuniknionym upadkiem. Dziadka, kiedy jeszcze żył, odwiedzali niezbyt często i podczas krótkich wizyt. Daniel nie miał okazji zapuścić się tam, gdzie wiekowe drzewa wystrzelały w niebo niczym kolumny antycznej świątyni, której sklepienie stanowiła nieprzenikniona gęstwa konarów i listowia. Nie patrząc pod nogi, zapadające mu się w

miękkim, zapraszającym poszyciu, szedł naprzód to z zadartą głową, to znów ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Jak daleko ciągnie się las? dumał. Jak długo mogę tak iść? Czy uda mi się znaleźć drogę powrotną do domu?... Jego ojciec bardzo łatwo wpadał w gniew i na samą myśl o tym Daniela ścisnęło w dołku. Ale teraz miał wokół siebie opiekuńczy parawan zieleni, gałęzie

167

wyciągające się ku niemu niczym pomocne ramiona - i już się nie bał. Odetchnął pełną pierśią i parł dalej, czerpiąc radość z bliskiego kontaktu z naturą. Nagle zauważył, że drzewa stają się coraz rzadsze, przechodząc z wolna w polanę, na której w oddali majaczył dom. Poczł ukłucie smutku, że dopiero przezeń odkryty dziki kontynent, którego istnienia dotąd nawet nie podejrzewał, urwał się tak nieoczekiwanie, sprawiając, że znowu stanął na skraju cywilizacji. Dom był stary, podupadły, z gankiem przedzielonym dyktą, tak że zamiast służyć - zgodnie z zamiarem budowniczego - jednej rodzinie, dawał schronienie dwom, trzem, a może nawet czterem, podobnie jak to było w wypadku domów z biedniejszych dzielnic Newark, które Daniel wciąż miał w pamięci. Ten również zrobił na nim okropne wrażenie, z odpadającymi dachówkami, wypaczonymi futrynami, trawą wyrastającą spomiędzy rozchwianych schodków prowadzących do drzwi frontowych, i Daniel pomyślał, że być może jest zupełnie opuszczony. Wtedy jednak dostrzegł małą dziewczynkę.

Siedziała do niego tyłem, w cieniu zdziczałej jabłoni, której gałęzie sięgały nieoszlonych okien na pięterku, z długim czarnym warkoczem opadającym jej na plecy i lalką w rękę. Śpiewała. Daniel zamarł w pół kroku, nie chcąc zostać dostrzeżonym. Kiedy gruby sznur warkocza poruszył się (z jakiegoś powodu przypominał Danielowi chwost u teatralnej kurtyny), grożąc, że jego właścicielka zaraz się odwróci, zaczął gotować się do biegu z powrotem przez chaszczę, w stronę domu.

Wszakże zawahał się i w tej krótkiej chwili, dzielącej przeszłość i przyszłość, rozpoznał piosenkę, którą śpiewała dziewczynka.

Nosiła tytuł „Rejzele” i w jidysz opowiadała historię chłopca, który krąży wokół domu, gdzie mieszka jego ukochana, czekając na znak od niej. Daniel stał i słuchał zadziwiony; nigdy przedtem nie słyszał, by tak małe dziecko tak ładnie śpiewało, do tego w jidysz.

Zamiast uciekać, przykleknął na mchu, ukryty za potężnym pniem drzewa, jednym z ostatnich, stanowiących granicę pomiędzy lasem i polaną, i patrzył z zapartym tchem, pozwalając, by melodia i słowa zastąpiły szum liści i świergot ptaków,

168

którymi napawał się jeszcze przed chwilą, kiedy sądził, że jest w lesie sam. Zniknęła gdzieś ściana zieleni, brzydki dom rozpląnął się w powietrzu, pozostawiając na jego oczach tylko drobną postać dziewczynki, teraz odwróconej do niego bokiem, ale wciąż nieświadomej jego obecności. Mógł się bezkarnie wpatrywać w grę światła i cienia na jej jasnej skórze, na której błyszczącą czernią odcinały się kosmyki włosów. Obserwował, jak delikatnie się kołysze niczym w modlitwie, a promienie słońca, niepewnie przebijające przez liście jabłoni, malują na jej twarzy i szyi świetliste plamy, poruszające się razem z nią. Nie wiedział dlaczego, ale wydała mu się zupełnie inna od wszystkich znanych mu dziewczynek; może sprawił to wyraz jej twarzy, sposób, w jaki siedziała, trzepotanie powiek, delikatne drganie dolnej wargi, a może raczej ton jej głosu, gwałtowne unoszenie i opadanie jej piersi, jakby miała trudności ze schwytniem oddechu. I nagle Daniel zrozumiał. Dziewczynka była smutna - smutkiem, który dotychczas widział tylko patrząc na siebie w lustrze. Zmienił lekko pozycję, wychylając się bardziej zza drzewa, by nic nie uronić z tego widoku, i niechcący złamał kolanem gałązkę.

Śpiew ustał jak nożem uciął. W jednej i tej samej chwili Daniel skurczył się w sobie i zrobił unik, by skryć się za pniem, dziewczynka zaś rzuciła w jego kierunku wystraszone spojrzenie. On nie był dość szybki, ona była niezwykle spostrzegawcza. Z wrażenia upuściła lalkę i przyszpiliła go wzrokiem. Spodziewał się, że lada moment da drapaką do wnętrza domu, lecz ku jego zdziwieniu nie zrobiła tego. Zamiast uciec - uśmiechnęła się. I czas ruszył z miejsca.

Wraz z nim poruszył się Daniel. Wstał z kucek i wyszedł na polanę, zmierzając ku zarośniętemu chwastami ogródkowi, w którym siedziała dziewczynka. Gdy szedł, przyglądała mu się uważnie i przez cały czas uśmiechała. Im był bliżej, tym więcej szczegółów dostrzegał, ale w pewnym momencie jego uwagę przykuła jej lśniąca górna warga, od której odbijało się rażące słońce. Daniel wpatrywał się w to miejsce jak zahipnotyzowany i z tego wszystkiego zapomniał się przywitać. Stał w trawie po kolana, wpatrywał się w jej usta i w końcu wydukał:

169

- Skąd znasz tę piosenkę?

Nadal przyglądała mu się z uśmiechem, i milczała.

Wreszcie Daniel oderwał wzrok od jej drżącej połyskującej wargi i przeniósł go na jej oczy - wielkie i czarne jak dwa węgielki, i na dłonie - równie drobne i jasne jak reszta jej ciała i także lekko się trzęsące. Kątem oka widział, że lalka leży tam, gdzie upadła, na wznak, wpatrując się w niebo.

- Mało kto ją zna - ciągnął Daniel swoim wysokim głosem, którego tak się wstydził, lecz dziewczynka przysłuchiwała mu się z uwagą. - A już z pewnością nie małe dzieci. Powiedz, od kogo się jej nauczyłaś?

Dopiero teraz przestała się uśmiechać, zmarszczyła czoło (jej cienkie jak kreski brwi zbiegły się u nasady) i uciekła wzrokiem. Wbiwszy oczy w ziemię u swych stóp, pokazała na siebie palcem i rzekła:

- Angielski... nie...

Wykonała gwałtowny ruch głową, tak że warkocz wylądował z przodu. Pociągnęła nerwowo za jego koniec i Daniel poczuł, jak dopiero co uchylona kurtyna zaciąga się. Gapił się na nią bez słowa, nie wiedząc, co ma zrobić albo powiedzieć, podobnie jak to działo się ostatnimi czasy w szkole, gdzie dziewczęta zaczęły mu się nagle jawić jako istoty z Marsa czy innej obcej planety, oddzielone od niego murem nie do przebycia. Dziewczynka tymczasem sięgnęła po lalkę i zaczęła wstawać. Proszę, nie odchodź! błagał ją w duchu. W przyptywie olśnienia, nienawykłymi do dziwnych dźwięków wargami, wymamrotał:

- Wi hejstu ? - Jeszcze nigdy nie mówił w jidysz do kogoś młodszego od siebie.

Zamarła w pół ruchu. Oczy jej się rozświeciły, kurtyna znowu leciutko się rozsunęła.

- Rejzele - szepnęła. Daniel roześmiał się.

- Naprawdę tak masz na imię? - spytał po angielsku, nim zdążył pomyśleć.

Dziewczynka jednak chyba go zrozumiała albo też od samego początku miała zamiar coś dodać.

170

- W szkole - szeptała dalej, także po angielsku - wołają mnie Rosalie.

Rosalie, Rejzele... powtarzał w duchu, rozkoszując się brzmieniem tych imion.

- Ich hejs Daniel - zrewanżował się.

Kiedy się wyprostowała, okazało się, że sięga mu do brody, niczym wybujął na zadbanej grządce kwiat. Jej skóra przywodziła mu na myśl aksamitne płatki albo różowawe wnętrza muszli.

Przeskakiwał wzrokiem od promiennych oczu do połyskujących ust i myślał: Jaka ona delikatna. I jaka malutka!...

- Wi alt bistu? - zapytał zaciekawiony. Pokazała dziewięć palców.

Boże w niebiesiech! Czy wypadało mu zadawać się z dziewięciolatką? Nie odpowiedziawszy sobie na to pytanie, już unosił dłoń do własnej piersi, z trudem powstrzymując jej drzenie.

- Cwelf- oznajmił. Ona skinęła głową, uśmiechnęła się szeroko. -Fun wanen sztamstu? - pytał dalej, podejrzewając, że jest jednym z tych dzieci, które pojawiły się w Ameryce wraz z falą emigracji niemieckich Żydów, bezlitośnie wyśmiewanych przez jego kolegów w Newark przed kilkoma laty. Ale przecież tamte dzieciaki już dawno nauczyły się angielskiego, no i podrosły.

- Moskwę - odpowiedziała.

Moskwa? zdziwił się. To słowo nieuchronnie przypomniało mu o ojcu i zaczął się pocić. Zmieszany zapomniał, że mała nie rozumie angielskiego.

- Przyjechałaś z rodzicami? - Poprawił się zaraz:
  - Marne? Tatę?
  - Matka - odparła, wskazując na dom.
  - A co z twoim tatą? - zapytał Daniel i zaraz ugryzł się w język. Może nie zrozumiała, pocieszył się.
- Dziewczynka jednak znów się zafrasowała. Patrząc na trzymaną w ręku lalkę, powiedziała nieskładnie:
- Ja nie wiem jak... - Już miał jej przerwać, zapewniając, że nie musi nic mówić, kiedy nieoczekiwanie dokończyła:
  - Geharget.
- 171

Daniel popatrzył na nią zdumiony. Próbował sobie przypomnieć, czy może to w końcu rzadko używane słowo ma jeszcze jakieś inne, mniej tragiczne znaczenia, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

- Zabity? - wykrztusił.

W tej samej chwili z głębi domu rozległ się krzyk:

- Raisa!

Głoska „r” zawibrowała i przetoczyła się przez ogródek, pochylając trawę. Dziewczynka rzuciła spojrzenie za siebie, po czym odwróciła się do Daniela, mała, bezbronna, z lalką w ręku, i drżącymi wargami wyszeptwała:

- A dank, Daniel... - I zanim chłopiec zdążył cokolwiek powiedzieć, wspięła się na czubki palców i przycisnęła usta do jego policzka.

Zadrzał cały pod wpływem tego dotyku i piękna chwili. Czas przyśpieszył.

- Przyjdę tu jutro - obiecał niższym, pewniejszym siebie głosem. - Nauczę cię angielskiego.

Przyrzekam. Wart af mir... - Czekaj tu na mnie...

Dziewczynka uśmiechnęła się na pożegnanie i w podskokach pobiegła do domu. Daniel patrzył za nią, aż zniknęła za rozchwierutanymi drzwiami, i dopiero wtedy wolno wycofał się z ogrodu w stronę ściany drzew, cały czas idąc tyłem, jakby opuszczał święte miejsce czy wręcz świętą osobę. Ukrywszy się w cieniu, długo jeszcze spoglądał na zapuszczony dom, próbując się w nim dopatrzeć śladów piękna, które skrywał, jednakże budynek zazdrośnie strzegł swej tajemnicy.

Czas, raz ruszywszy z miejsca, upływał tak szybko, że nim Daniel się spostrzegł, zrobiło się ciemno i jego powrót do domu okupiony został licznymi zadrapaniami, kiedy na oślepie przedzierał się przez gęstwinę, starając się pośród niej odnaleźć drogę. Zanim jeszcze stanął na własnym ganku, całą duszą wiedział, że resztę życia chce spędzić po drugiej stronie lasu, skąd właśnie wrócił, i nie przerażała go nawet perspektywa siedmiu długich lat, które będzie musiał odczekać, by dziewczynka dorosła i nadawała się jeśli nie na żonę, to przynajmniej na narzeczoną.

172

W środku czekał na niego ojciec, wściekły, że Daniel się spóźnił, że się zgubił, czemu dał upust, uderzając chłopca na odlew w twarz, ten jednak się nie przejął, jak by to pewnie zrobił jeszcze wczoraj. Czas nie tylko ruszył z miejsca, ale zaczął biec, tak że wreszcie zaczęła się przed nim rysować przyszłość i nadzieja.

Drugi raz czas został stworzony i unicestwiony zarazem dokładnie siedem burzliwych lat później, w ciągu których życiem Daniela targały dzikie emocje. Rosalie miała wtedy szesnaście lat i od ich pierwszego niewinnego pocałunku na ganku wycisnęła na jego ustach niejednego całusa. Kiedy któregoś dnia postanowił wreszcie przedstawić ją rodzicom, skończyło się na tym, że Rosalie weszła do salonu Zyskindów, ogarnęła wzrokiem portrety Stalina na ścianach i porozkładane wszędzie komunistyczne bibuły, sama zbladła jak płótno, wybąkała jakieś przeprosiny, odwróciła się na pięcie i uciekła. Wiele czasu i starań zajęło mu później przekonanie jej, by dała rodzicom drugą szansę.

Ukończywszy dziewiętnasty rok życia, mając indeks college'u w kieszeni, Daniel poczuł się na tyle

pewnie, że podczas spożywanej tylko we dwójkę kolacji (matka jak zwykle leżała na górze w sypialni, otumaniona lekami) napomknął o tym, co spotkało ojca Rosalie. Pan Zyskind wpadł w szal.

- Albo to dziewczynisko kłamie ci w żywe oczy - krzyczał, cisnąwszy widelec na podłogę - albo jej ojciec był zwykłym przestępcą! Tak czy inaczej nie chcę jej tu więcej widzieć.

- Dobrze - odparł podniesionym głosem Daniel. Był wyższy od ojca, mocniej zbudowany i nie musiał krzyzczeć, by jego głos brzmiał groźnie. - Nie zobaczysz jej tutaj. Ale to wcale nie oznacza, że ja nie będę się z nią widywał.

- A właśnie że nie będziesz! - ryknął ojciec.

- To wolny kraj. Wolno mi spotykać się, z kim zechcę. Ojciec zerwał się na równe nogi, na podłogę poleciał kolejny sztuciec.

- To do ciebie podobne nazywać ten kraj wolnym! - wyszczał. - Do licha, masz już dziewiętnaście lat, powinieneś wiedzieć,

173

że żaden kraj na świecie taki nie jest, nawet jeśli słowo „wolność” ma wyhaftowane na sztandarach. I nic nie przychodzi darmo... - Podeszedł do komody, na której piętrzyła się góra nie zapłaconych rachunków. Przejrzał je, upuszczając połowę na ziemię, aż odnalazł to, czego szukał. Zaadresowaną i ofrankowaną kopertę. Zamachał nią w powietrzu. - Wiesz, co to jest?

Daniel nie odpowiedział, chociaż mimo odległości zdołał odczytać adres. To niemożliwe, pomyślał, to nie może dziać się naprawdę. Mama się obudzi i go jakoś powstrzyma... Zachowywał się jak mały zastraszonego chłopiec, jakim jeszcze niedawno był, w podobny sposób łudząc się zawsze, gdy ojciec stanowił dlań zagrożenie, licząc, że nieoczekiwanie w ostatniej chwili pojawi się pomoc. Nigdy nie nadchodziła na czas. Matka już prawie nie budziła się z narkotycznego snu, a jeśli nawet, to i tak prawie wtedy nie mówiła.

- To - wyjaśnił ojciec - czek z twoim czesnym za przyszły semestr. - Przedał kopertę na pół, potem jeszcze raz, i jeszcze. Skrawki papieru rozrzucił po całej kuchni. - Fruuu... Było i się zbyło.

Przekonaj się na własnej skórze, jak to jest, kiedy jest się wolnym!

- Nie mówisz tego poważnie - szepnął Daniel.

- Sam zdecyduj, co jest poważniejsze: ta dziewczyna czy twoja przyszłość.

Daniel ustąpił, także za namową Rosalie, która jeszcze tego samego wieczoru, gdy spotkali się w swym zwykłym miejscu w sercu lasu, teraz zaszypanego grubą warstwą śniegu, prosiła go, trzęsąc się z zimna pomiędzy gorącymi pocałunkami:

- Nie niszczy swego życia z mojego powodu. Czekamy na siebie już tak długo, że tych kilka lat college'u nie uczyni większej różnicy... Minie jak z bicia trząś, zobaczysz...

Początkowo Daniel jej uwierzył. Jednakże kiedy wrócił na uczelnię, złożony solenną obietnicę niewidywania się z Rosalie i ze szczerym zamiarem skupienia się na nauce (miał zostać inżynierem), czas - zamiast upływać - stanął w miejscu, przestał istnieć, wyparował. Nie mogąc tego znieść, Daniel obmyślił plan, jak pozostać w college'u, lecz nie był na

174

łascie ojca. W dniu osiemnastych urodzin Rosalie poprosił ją, by za niego wyszła, i wstąpił do wojska. W ten sposób ocalili samych siebie, swą przyszłość i czas, który na ich oczach znowu powstał, skazując ich na trzynaście miesięcy rozłąki

- potem mieli już zawsze być razem.

Trzy tygodnie po tym, jak Daniel przybył do bazy wojskowej w Da Nang w Wietnamie, otrzymał swoją pierwszą pocztę, na którą składało się pięć jego własnych listów, wysłanych jeszcze z ośrodka szkoleniowego w Stanach i nigdy nie otworzonych przez adresata, wraz z krótką, wystukaną na maszynie informacją od ojca, który zarzekał się, iż prędzej zdechnie jak niedoszły teść swego syna, aniżeli kiedykolwiek przeczyta list od Daniela bądź do niego napisze. Chłopak także się zawiązał i modlił się, by tak szybko jak to możliwe wysłano go na front, co z pewnością

rozwścieczyłoby ojca jeszcze bardziej

- gdyby tylko się o tym dowiedział rzecz jasna. Poza tym Da Nang zabijało Daniela temperaturą i wilgotnością, kiedy znudzony oczekiwaniem na przydział snuł się po ulicach miasta, zatłoczonych setkami, jeśli nie tysiącami mężczyzn i kobiet zawzięcie pedałuujących na rowerach, do których błotników przytroczone były półzywe z upału, pokwikujące świniaki. Wolałby znaleźć się bodaj w piekle, byle dalej stamtąd, byle wreszcie coś zaczęło się dziać, byle czas przyśpieszył... Wszakże zamiast do oddziału frontowego przydzielono go do jednostki inżynierskiej, której zadaniem było wybudować prawdziwą drogę w miejsce rozjechanego błotnistego traktu określanego na wyrost Autostradą numer 1 i prowadzącego od Da Nang, położonego na wybrzeżu, przez zdradliwą górską przełęcz, zwaną Przełęczą Chmur, aż do Hue, którą to nazwę należało wymawiać Huej, a oznaczała ona - według broszury wydanej przez MACV, czyli wojskowy korpus pomocniczy: „ważny ośrodek kulturalny i strategiczny, jeszcze do niedawna leżący w strefie zdemilitaryzowanej, a w zamierzczłej przeszłości będący stolicą cesarskiego Wietnamu, gdzie do dziś podziwiać można wyszukane grobowce i miejsca pochówku dawnych władców cesarstwa”. Sru tu tu, pomyślał Daniel ani trochę nie zainteresowany niegdysiejszym imperium. Jestem

175

tu, żeby posłać do piachu jak najbardziej współczesne imperium, i nie w głowie mi wycieczki krajoznawcze.

Przydział, tak różny od jego ambicji, bardzo go przygnębił, ale kiedy wczesnym ranem Daniel znalazł się u podnóża góry, gdzie właśnie trwały prace, i zobaczył mężczyzn z dobrze mu znanymi narzędziami i planami, widok ten podzielał na niego krzepiąco. Niestety już wkrótce przekonał się, jak naprawdę wygląda surowe żołnierskie życie. Siedzieli właśnie w szóstkę na miękkiej, rozkopanej ziemi zбочa, jedząc południowy posiłek, kiedy padło w jego kierunku pierwsze osobiste pytanie.

- Hej, Zyskind! Opowiedz nam o dupie twojej dziewczyny!

Pytającym był Timothy Jackson King, w prostej linii potomek T. J. Jacksona - słynnego generała konfederatów zwanego Stonewall, który poprowadził swoje wojska do kilku brawurowych, acz w ostatecznym rozrachunku bezsensownych zwycięstw w Wirginii, rodzinnym stanie Tima, nie dorastającego antenatowi do pięć. Podobnie jak Daniel zaledwie dwudziestoletni, choć już w stopniu kaprala Tim cierpiał chyba na kompleks niższości względem przodka, mimo że nie można mu było odmówić słusznego wzrostu i postury (prawdę powiedziawszy wyglądał, jakby składał się z paru worków cementu, które podczas budowy drogi dźwigał jednym palcem). Skończywszy wyjadać fasolę z puszki, przeniósł się w mniej błotniste miejsce, pod olbrzymie drzewo dające skąpą ochronę przed uporczywie siąpiącym deszczem, gdzie zapalił papierosa i popatrując spod oka na Daniela, powtórzył:

- No dalej, Zyskind, opowiadaj. Jesteś tu już trzy dni i jak dotąd nie usłyszeliśmy ani słowa na temat jej dupy! - Zarżał końskim śmiechem, a pozostała czwórka mu zawtórowała i wszyscy wlepili wzrok w Daniela.

Ten wzruszył ramionami i starając się zachowywać normalnie, najpierw skończył przeżuwać kęs, który miał w ustach, potem obrzucił spojrzeniem wgąpione w niego twarze, podrapał się po swędzącej od potu i piachu piersi, na której dyndały nieśmiertelniki, po czym jakby nigdy nic oznajmił:

- Nie chcę o tym rozmawiać.

176

Tim wyszczerzył zęby, wypuszczając przy tym kółko z dymu, i zapytał:

- A to dlaczego? Bo w ogóle nie masz dziewczyny czy też ona nie ma dupy, o której warto coś powiedzieć?

Pozostali jak na komendę ryknęli śmiechem, a Daniel uśmiechnął się krzywo. Bawiąc się puszką po fasoli, rzekł szybko:

- Dziewczyne mam - wciąż jeszcze nie przyzwyczaiał się, by nazywać ją swoją narzeczoną - ale nie

chęć o niej rozmawiać.

Najmłodszy z nich wszystkich szeregowy Wayne, zaledwie osiemnastoletni, chociaż prawie dwa razy większy niż Tim, podsunął niewinnie:

- No to może wolisz porozmawiać o mamusi? Daniel przełknął z trudem. Matka nie czuła się na tyle

dobrze, by pisać do niego listy, a że nie miał również szans na żadne wieści od ojca, nie mógł być pewien, co u niej. Zastanawiał się czasami, czy ojciec by się przełamał i napisał do niego, gdyby matka umarła, czy też po prostu dowiedziałby się o tym trzynaste miesiące później, po przyjeździe do domu. Smutne myśli przerwało kolejne pytanie, wyglądało na to, że urządzili sobie na niego nagonkę.

- A może jesteś parszywym kłamcą i pedałem? - rzucił Rob, dwudziestoletni ewangelik, jak informowały jego nieśmiertelniki, w stopniu starszego szeregowego.

Tim ponownie zarżał. Nagle przybrał pozornie poważny wyraz twarzy.

- No, no, panowie... Nie sądzicie, żebyście...

- ...nie byli sążeni! - dokończyli chórem.

Rozległ się tubalny śmiech, Daniel także się uśmiechnął. Tym razem mi się upiekło, pomyślał. W przekomarzankach i niby okrutnych żartach dostrzegł coś, czego dawno nie zaznał: przyjaźń i zaufanie. Rozpaczliwie chcąc być tego częścią, pragnąc wtopić się w otoczenie, pogroził im palcem i wpadając w ich ton, powiedział:

- No, no, panowie... Po co w to zaraz mieszać Pana Boga? - Kiedy pięciu żołnierzy jak jeden mąż przestało się śmiać, zapanowała złowroga cisza. Daniel niezdarnie próbował tłumaczyć,

177

o co mu chodziło. - No bo to zdanie jest z Pisma... Zresztą wy sami najlepiej to powinniście wiedzieć.

Jeszcze przez chwilę patrzyli na niego w milczeniu z kamiennymi twarzami, po czym pierwszy otrząsnął się Tim. Całkowicie ignorując Daniela, zwrócił się do reszty:

- No, chłopaki, wracamy do roboty. Mamy dzisiaj kupę do odwalenia.

Chociaż oficer jeszcze nie ogłosił końca przerwy, zaczęli powoli wstawać, drepcząc w kółko i przyskając błotem na wciąż siedzącego Daniela. Deszcz kapał mu na głowę, w ustach czuł kwaśny posmak puszkowego jedzenia. Widział, jak Tim i Rob podchodzą do siebie, odwracają się do niego plecami i szepczą coś, rzucając szybkie spojrzenia do tyłu.

- Zdecydowanie pedał - syknął Rob, ciskając peta w błoto.

- Zdecydowanie żydek - odparł Tim, zaciągając się po raz ostatni.

Nie starali się nawet zniżyć głosu na tyle, by ich nie usłyszał.

Daniel upchnął nieśmiertelniki za przepoconą na wskroś koszulą i pogodził się z tym, że czas znowu stanął w miejscu.

Nie ma smutniejszego widoku niż nie używana droga, uznał Daniel któregoś dnia. I sprecyzował w duchu: A zwłaszcza nie używana, nie ukończona, kiepsko zaprojektowana rozmoknie ta dróżka wspinająca się po zboczu góry pod kątem dwudziestu stopni i okalająca je licznymi zakrętami śmierci. Szybko opuścili w miarę przyjazny płaski teren z jego ciągnącymi się hen po horyzont oślepiającymi polami ryżowymi i znaleźli w istnej dżungli, wśród wybujałych drzew, gęstego poszycia, kepek bambusa, zasłon pnączy, a do tego gryzących jak wściekłe czerwonych mrówek i kolein wypełnionych błotem, które po każdym deszczu zamieniały się w rwące muliste potoki dokładnie tam, gdzie mieli budować kolejny kawałek drogi. Dwa tygodnie zajęło im ukończenie pierwszej, najkrótszej i najłatwiejszej części, po czym stanęli - bynajmniej nie w przenośni - pod murem. Musieli wyciosać drogę w żywym kamieniu, po jednej stronie mając niemal prostopadłą ścianę,

178

po drugiej zaś trzydziestopięciometrową przepaść. Ukształtowanie terenu niemal całkowicie uniemożliwiało wprowadzenie tam sprzętu, tak że większość pracy trzeba było wykonywać ręcznie.



Pogoda również im nie sprzyjała, codziennie padało przez co najmniej kilka godzin, co czyniło pracę niemal niemożliwą i uprzykrzało noc. Namioty już dawno zapadły się w błoto, brezent przeciekał, a Daniel do tego wszystkiego był skazany na wysłuchiwanie niekończących się spekulacji na temat jego dziewczyny. Od czasu pierwszej próby przełamania lodów z resztą oddziału sam rzadko się odzywał. W listach do Rosalie utrzymywał fałszywie radosny ton: Pozdrowienia z końca świata, pisał. Albo: Jest mi tu gorąco, ale nigdy nie tak jak z Tobą. Bądź też: Nic się nie martw, przynajmniej wrócę do domu z opalenizną! To tam, budując tę przekłętą drogę, nauczył się palić. Z jakiegoś powodu wydawało się uczciwsze wdychać brud i smród aniżeli zwykłe powietrze.

- Popatrz na to! - powiedział Tim któregoś popołudnia, kiedy starali się wśród deszczu i błota wytyczyć dalszy bieg drogi.

Rzecz jasna nie mówił wcale do Daniela, ale to właśnie on był najbliżej. Dopiero co wyszli zza zakrętu, za którym rozciągała się pionowa ściana z mnóstwem małych jaskiń. Przed co którąś z nich stało coś, co na pierwszy rzut oka przypominało domek dla ptaków. Przy bliższych oględzinach okazywał się on drewnianym ażurowym pudełkiem z pomalowanym na jaskrawo czerwono daszkiem, pod którym tkwiła gliniana czarka. Całość była chwiejnie umocowana na kolumnie obwieszanej paciorkami. Widywali takie już wcześniej i Daniel zastanawiał się, do czego służą, w końcu machnął na to ręką i uznał, że to po prostu jakieś oznaczenia szlaku czy coś w tym rodzaju. Najbliższy, na który wskazywał dłonią Tim, stał dokładnie tam, gdzie powinna przebiegać droga.

- Nie podoba mi się to cholerstwo - poinformował Tim, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Za dużo tego wszędzie dookoła. Moim zdaniem powinni tu przysłać specjalny oddział, który zajmowałby się tylko i wyłącznie usuwaniem tego dziadostwa!

179

Kopnął mocno kolumnę, a kiedy ani drgnęła, napał na nią całym ciałem i chwyciwszy za domek, szarpał nim w tę i w tą, aż w końcu konstrukcja poluzowała się i ustąpiła.

- I co z tym teraz zrobisz? - spytał Daniel.

Tim wydawał się zdziwiony nie tyle pytaniem, ile tym, że Daniel się w ogóle odezwał. Odsuwając od siebie z obrzydzeniem urwany domek, sarknął:

- Przekażę to do muzeum.

Idący za nimi Rob zarechotał, Daniel jednak nie miał zamiaru dać za wygraną.

- Słuchaj, nie wiemy, co to jest. Może to do kogoś należy albo jest do czegoś potrzebne...

Tim spojrzął na trzymaną w ręku rzecz, po czym przytknął ją do skały. Czarka przesunęła się i z głuchym stukotem uderzyła w bok konstrukcji.

- A kogo obchodzi, co to jest? - zapytał retorycznie Tim. - Zawadza nam i tyle.

Powoli głowy wszystkich odwracały się w ich stronę; każdy z wdzięcznością przyjmował chwilę wytchnienia od ogłupiającej pracy, a poza tym zdawało im się, że szykuje się rozróżba. Tim oderwał się od ściany i podszedł na skraj urwiska, zatrzymując się niedaleko miejsca, w którym stał Daniel. Ogarnął wzrokiem ziejącą w dole przepaść, wyszczerzył się do swoich myśli i wziął zamach potężnym ramieniem. W tym samym momencie rzucił się ku niemu Daniel.

- Nie! - krzyknął; łapiąc Tima za rękę.

Ruch ramienia z uczepionym doń domkiem został powstrzymany niczym nagle wyłączony diabelski młyn. Obaj mężczyźni stali z wyciągniętą jedną ręką, tak że wydawało się, iż wspólnymi siłami przytrzymują krwistoczerwoną pochodnię, którą chcą oświetlić rozwierającą się u ich stóp przepaść. Teraz już wszyscy otwarcie im się przypatrywali. Daniel wciąż trzymał Tima, a ten stał jak skamieniały, najpierw z szoku, a potem z wściekłości. Mierzył intruza pałającymi oczyma, które zaraz zwężyły się w szparki.

- Zabierz łapy, parszywy pedale! - zaryczał. - Liczę do trzech i jeśli nie zdążysz, zepchnę cię w przepaść. Raz...

180

Daniel przełknął nerwowo ślinę, oceniając swoje szanse. Stał dosłownie na skraju klifu i

wystarczyłby jeden ruch tamtego, by zachwiać jego równowagę i strącić go w dół. Dlatego puścił ramię Tima i powoli zaczął się odeń odsuwać. Kiedy już wydawało mu się, że znalazł się w bezpiecznej odległości, poślizgnął się na kępie mokrych liści i osunął na kolana, w ostatniej chwili podpierając się wyciągniętymi rękoma. Teraz miał przed oczyma nogi Tima, grube jak pnie okolicznych drzew. Z fascynacją patrzył, jak jego przeciwnik podnosi obutą w ciężki bucior stopę i stawia ją na jego kłykciach. Daniel stłumił jęk bólu.

- Jeśli chcesz wrócić do domu w jednym kawałku - oznajmił mu Tim - masz mnie nigdy więcej nie dotykać!...

Uwolnił dłoń Daniela, pozwalając mu odpełznąć na bok, po czym jakby nigdy nic zajął się domkiem. Zamiast cisnąć nim w przepaść, schylił się po przewróconą parę chwil wcześniej kolumnę i przeszedłszy na drugą stronę „drogi”, wbił ją w podmokły grunt, wałąc w nią i stukając, aż stała w miarę prosto, a potem starannie umieścił na jej szczycie domek. Kiedy skończył, rozejrzał się wokół i zorientował, że wszyscy mu się uważnie przyglądają.

- Co jest, do kur... - ryknął. - To nie przedstawienie! Wracać do roboty! - Ociągając się, niechętnie popodnosili z ziemi narzędzia i podjęli przerwana pracę. Tim mruknął jeszcze pod nosem: - Cholerny żydowski pedał!

Z każdą minutą robiło się coraz goręcej; nad przepaścią unosiła się oblepiająca wszystko mgła. Daniel, który zajął miejsce możliwie najdalej od Tima, pracował wolno, w pocie czoła rozrzucając i wyrównując żwir. Kiedy po jakimś czasie podniósł głowę, zobaczył, że znajduje się dobre parędziesiąt metrów od reszty oddziału. Dusząc się od pyłu i upału, skupił się na mechanicznych czynnościach, jedyną otuchę czerpiąc ze wspomnień o Rosalie. To wszystko dla niej... Już, już zapominał o otaczającej go rzeczywistości, gdy na ramieniu poczuł czyjaś dłoń. Tak go to zaskoczyło i przeraziło, że byłby spadł w ziejący poniżej wąwóz niemal bez niczyjej pomocy. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że stoi przed nim Cuong Thien Minh, żołnierz Wietnamu Południowego oddelegowany

181

do ich oddziału w charakterze tłumacza. Był to drobny młody mężczyzna o gęstych czarnych włosach i miłym uśmiechu. Nigdy za wiele nie mówił i Daniel nie wiedział, czy to dlatego, że nie czuje się pewien swego angielskiego, czy raczej dlatego, że podobnie jak Daniel nie ma ochoty z nikim rozmawiać. W przeciwieństwie jednak do innych tłumaczy, których Daniel miał okazję spotkać w bazie Da Nang, a których najbardziej interesowało zdobywanie papierosów, ten był bardzo pracowity i sumienny. Znajdował się zawsze pod ręką, robiąc za przewodnika i służąc radą, gdzie najlepiej rozbić obóz, a kiedy z rzadka na otwartej przestrzeni, wydartej splątanej masie roślinności, pojawiała się wioska, mógł także wdrożyć do akcji swoje zdolności translatorskie, negocjując z tubylcami. Teraz wszakże wyraźnie czegoś chciał od Daniela.

- Zechciałbyś mi pomóc? - zapytał podręcznikowym angielskim, który brzmiał zabawnie w połączeniu z lekko śpiewnym, jakby francuskim akcentem. - Ja nie pojmuję, co to oznacza... - Smukłym palcem dotykał punktu na rozpostartej przed ich twarzami mapie, mniej więcej pięć kilometrów przed miejscem, w którym się obecnie znajdowali, i na wyraźnie bardziej płaskim terenie.

Daniel uśmiechnął się w duchu. Odkąd przyjechał do Wietnamu, to był chyba pierwszy wypadek, kiedy ktoś poprosił go o pomoc. Przyjrzał się oznaczeniom na mapie, po czym wyjaśnił:

- To przyszły punkt przeładunkowy. Cała ta droga będzie służyć głównie do zaopatrywania rozrzuconych w terenie jednostek, a te... o tak zaznaczone... miejsca będą stanowić takie jakby stacje przeładunkowe. Tutaj też pojazdy będą mogły uzupełnić paliwo...

Twarz Cuonga rozjaśniła się zrozumieniem. Daniel skromnie spuścił wzrok, ale w środku cały aż drżał z podniecenia na tę pierwszą od dawna normalną wymianę zdań. Poza tym lubił być użyteczny.

- Pojazdy... - mówił tymczasem Cuong. - Ciężarówki czy czołgi?

- Ciężarówki - odparł bez wahania Daniel. - O, a tutaj będzie obóz dla tych, co przyjadą powiększać bazę w Phu Bai.

Cuong skinął głową, jakby nagle wszystko zrozumiał.

- Zaopatrzenie. Dla Amerykanów, którzy przyjadą z Da Nang.

Daniel spoglądał na Wietnamczyka zastanawiając się, po co to powiedział. Czyżby chciał to zapamiętać, a może tylko poćwiczyć swój angielski? Nagle uświadomił sobie ze wstydem, że jego wyjaśnienia nie na wiele się zdały, gdyż Cuong wszystko przekreślił.

- Nie, nie tak - sprostował. - Droga, którą budujemy, jest dla was, nie dla nas. Tędy będzie bliżej do wybrzeża, a zarazem bezpieczniej. Jak wreszcie skończymy, Wietkong znajdzie się w prawdziwych opałach.

Cuong zmarszczył czoło i wlepił wzrok w mapę, Daniel zaś zwątpił, czy cokolwiek z tego, co powiedział, do niego dotarło, zwłaszcza że znowu dźgał ten sam punkt co przedtem.

- To nie jest odpowiednie miejsce na obóz.

Daniel popatrzył na mapę, nie wiedząc, o co tamtemu chodzi. Miejsce jak miejsce, pomyślał.

Próbował odczytać dokładne dane, ale mapa była wyświechtana i przetarta na zgięciach, niemniej pamiętał przecież, że było tam wystarczająco płasko.

- Wszystko w porządku - uspokoił tłumacza. - To nie jest zbyt duży spadek.

Cuong potrząsnął głową.

- Może i jest płasko, lecz z gór spływają zwały błota. Nikt nie lubi, kiedy ma w namiocie błoto. Znacznie lepiej byłoby kawałek dalej, przy Deo Hai Van.

- Przy czym? - zdziwił się Daniel. Nigdy nie słyszał tej nazwy.

- Przy Hai Van Pass - uściślił Cuong i na wszelki wypadek pokazał palcem na mapie Przełęcz Chmur. - Jeśli tu się założysz obóz, będzie łatwiej zabijać żółtków.

Daniel wzdrygnął się. Wciąż jeszcze nie przyzwyczaił się, że tutaj zabija się ludzi. Tak czy inaczej nie powinno się o tym mówić, uznał w duchu. Sam nie wiedząc dlaczego, nagle poczuł sympatię do Cuonga. Może sprawił to sposób, w jaki tamten się wyrażał: taki stonowany i konkretny, choć zarazem przecież brutalny. A może dlatego, że Wietnamczyk chciał

być pomocny, zupełnie tak jak on. Pomyślał, że właściwie mógłby się z Cuongiem zaprzyjaźnić, paradoksalnie jego sposób rozumowania, a nawet bycia, był mu bliższy od wiecznych wygłupów i bezzasadnej agresji rodaków.

- Dzięki, Cuong. Wspomnę o tym oficerowi.

Cuong rozpromienił się i uznawszy misję za zakończoną, zwinął mapę w ciasny rulon, Daniel zaś w obecności tego małego przyjaznego człowieczka poczuł cień dawnej odwagi.

- Ja też chciałbym cię o coś zapytać - oznajmił z powagą. - Do czego to służy?

Pokazał na domek z czerwonym daszkiem, stojący nieopodal drogi. Tim miał jednak rację, pomyślał przy tym. Pełno ich tutaj. Ten ostał się pewnie dlatego, że był położony wystarczająco daleko od miejsca, w którym przebiegać będzie droga. W środku, w czarce, tliło się kadzidelko, jakie ktoś musiał niedawno włożyć i zapalić. Spod daszka wydobywał się gęsty pióropusz dymu. Cuong popatrzył we wskazanym kierunku i zmarszczył brwi. Jeśli nawet widział całe wcześniejsze zajście, teraz nie dawał nic po sobie poznać.

- Nie wiem, jak to powiedzieć po angielsku - rzekł z rozmysłem. - To... to pamiątka po zmarłym.

Daniel przełknął ciężko. Przed oczyma stanął mu Tim szarpiący się z kolumnką, na której stał tamten domek, zrywający go, a potem wymachujący nim nad przepaścią. Byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby Cuong tego jednak nie widział.

- Coś w rodzaju relikwiarza? - podpowiedział. Cuong przytaknął z wyraźną ulgą.

- Tak, relikwiarz... - pokiwał głową. - My czcimy naszych przodków.

Danielowi to coś przypomniało. W zakamarkach jego pamięci przyczajony tkwił taki obraz:

Jest w trzeciej klasie i na historii przerabiają właśnie Chiny. Każdy uczeń ma przynieść na lekcję coś charakterystycznego dla tego kraju. Daniel prosi o pomoc matkę, wówczas jeszcze nie tak bardzo chorą, i razem, wspólnymi siłami, budują przy stole w kuchni model chińskiego grobowca.

służą im kostki cukru i Daniel nie może się powstrzymać, by co któreś nie zjeść. Matka śmieje się z niego, że pożera budulec sarkofagów, ale w końcu sama zaczyna podjadać słodkie sześcianiki. Wkrótce zwijają się ze śmiechu i hiperglikemii. Tak zastał ich ojciec po przyjeździe z pracy i dołączył do ogólnej zabawy rzucając parę dowcipów o dentystach. Cała trójka śmiała się do rozpuku zjadając białą słodką śmierć...

Ze wspomnień wyrwał go głos Cuonga.

- Te relikwiarze są dla ludzi, którzy zginęli na drodze.

- Rozumiem, w wypadkach - odparł Daniel, nie do końca rozumiejąc, jak na takiej nędznej górskiej ścieżynie, którą dopiero próbowali zamienić w drogę z prawdziwego zdarzenia, mogły zdarzać się tak liczne wypadki, by ich świadectwem były te wszystkie domki na kurzych łapkach. Przecież w tym błocie nie ujechałby nawet rower, nie mówiąc już o rozwinięciu większej prędkości porządnym pojazdem. Może nie chodziło więc o wypadki drogowe, tylko na przykład o zgony w wyniku stoczenia się w przepaść? myślał.

Cuong ogarnął wzrokiem okolicę i jakby podążając za tokiem rozumowania Daniela, potrząsnął głową.

- Nie ma wypadków... - Daniela zaczynała męczyć ta rozmowa, pełna niedomówień i niejasności.

Ot, chociażby teraz: czy Cuong nawiązuje do przyczyn śmierci osób, dla których wystawiono te miniaturowe świątynie, czy też raczej rzuca filozoficzną uwagę na temat natury wszechświata? Tym razem Wietnamczyk sprecyzował, co ma na myśli: - Są tygrysy.

- Tygrysy? - powtórzył zupełnie zbity z tropu Daniel.

- Tak - potwierdził Cuong. - Tygrysy zjadają ludzi. Zaraz, zaraz, chciał zaoponować Daniel. Coś tu nie gra.

Na ogół to ludzie zjadają zwierzęta, nie odwrotnie. Przyjrzał się uważnie tłumaczowi, czekając, aż się poprawi, przyznając tym samym, że jego znajomość angielskiego pozostawia więcej do życzenia, niż się wszystkim z początku zdawało. Kiedy Cuong nic nie mówił, Daniel powtórzył za nim z niedowierzaniem:

- Tygrysy zjadają ludzi...?

- Tak. - Wzruszenie ramion. - Często.

Daniel rozejrzał się wokół niespokojnie. Wejścia do jaskiń, gęste pnącza, nieprzebyta ściana drzew. Wszędzie tam miałyby się czaić tygrysy ludojady?!

Cuong musiał dostrzec przerażenie na jego twarzy, gdyż roześmiał się i dodał uspokajająco:

- Amerykanie z ich M16 nie muszą bać się tygrysów!

- I jakby na dowód tego, że sam czuje się bezpiecznie, zatknął zrolowaną mapę pod pachę i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, z której wystukał na otwartą dłoń dwie sztuki.

- Z tygrysami sprawa jest prosta. Kiedy widzisz, że chce cię zabić, ty musisz zabić go pierwszy. Tak samo jak to jest z żóltkami z Wietkongu.

Daniel uśmiechnął się, nieco podniesiony na duchu. Z wdzięcznością przyjął zaferowanego papierosa, wyobrażając sobie, że to symboliczna fajka pokoju. Przez długą chwilę stali ramię w ramię, zaciągali się i wydmuchiwali dym, i obserwowali spektakl na niebie. Mgła unosiła się i znikła, odsłaniając coraz większy kawałek różowiejącego nad przepaścią nieboskłonu.

- Podoba ci się w Wietnamie? - zapytał cicho Cuong.

Daniel zapatrzył się hen przed siebie, ponad rozległą doliną pobiegł wzrokiem do dwu bliźniaczych gór, pomiędzy którymi widniał cienki skrawek nieba, na horyzoncie stykający się z niebieskim językiem oceanu liżącym białą plażę.

- Bardzo - zapewnił.

W tamtej chwili, z malowniczym zachodem słońca przed sobą i z przyjazną duszą u swego boku, wierzył, że to co mówi, jest prawdą, że - być może - nawet to, co pisał w listach do Rosalie, także

nie było do końca kłamstwem.

Tamtej nocy Danielowi śniło się to co zawsze, odkąd zaczął pracować przy budowie drogi, i podobnie jak każdy wcześniejszy, i ten sen rozgrywał się w głębi grobu. Nie takiego prawdziwego rzecz jasna, tylko w miejscu, które naszykował dla nich w lesie, aby mogli mieć swoją kryjówkę, a które Rosalie ochrzciła mianem „małego grobu” i gdzie pocałowała go po raz pierwszy.

186

Miała wówczas trzynaście lat i była nad wiek dojrzała. On miał lat szesnaście i umierał z pragnienia, które do niej czuł. Od czterech długich lat codziennie odwiedzał ją w odkrytym pamiętnego dnia ogródku, bawił się z nią w dziecięce gry, zimą budował dla niej śnieżne forty, latem pozwalał cały zlewać się lodowatą wodą wśród jej zachwyconych pisków, wiosną i jesienią, kiedy nie chodzili po skraju lasu, siedzieli pod zdziczałą jabłonią i razem rysowali albo czytali książki. Najczęściej w jidysz, bo choć szybko nauczyła się angielskiego i mówiła jak rasowa Amerykanka, książki ze szkolnej biblioteki uważała za nudne jak flaki z olejem. „Szkarłatna litera” Nathaniela Hawthorne’a, było nie było klasyka literatury dziecięcej, nie zdobyła jej uznania za grosz i została zakwalifikowana do tak zwanych cegieł. (Rosalie żartowała sobie nawet, że z każdą przeczytaną lekturą obowiązkową zdobywa nową sprawność głównie w wytrwałości.) Za to przepadała za opowieściami jakby z innego świata, które jednak okazywały się zaczerpnięte jak najbardziej z tego, tyle że ukazywały go z zupełnie innej strony i uświadamiały czytającemu, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje - wystarczy tylko uważniej się przyglądać. Czytali więc opowieści I. L. Pereca i Szolema Alejchema, a także dziwaczne historie Der Nistera, które Rosalie wygrzebała w pudełku z rzeczami ojca. Daniel czytał razem z nią, śmiał się razem z nią, bawił się razem z nią i trzymał się z nią za rękę, jak gdyby byli dwojgiem dzieci, którymi powoli przestawali być - tyle że on dojrzał pierwszy. Kiedy wyrósł na patykowatego szesnastolatka, matka ostrzegala ją, że w okolicy kręci się „jakiś podejrzany typ”. Rosalie się go jednak wcale nie bała. Któregoś jesiennego dnia, gdy jak zwykle siedzieli pod jabłonią i z czegoś się zaśmiewali, jej ręka otarła się o jego udo. Daniel na ułamek sekundy znalazł się w siódmym niebie, lecz nie napierał, wręcz przeciwnie: tak go całe wydarzenie zawstydziło, że wrócił dopiero po paru dniach. Ale wtedy ona zrobiła to ponownie; jej miękka, gładka jak szkło dłoń najpierw znów musnęła jego nogę, potem już pewniej spoczęła na jego udzie, drobne paluszki kreśliły kółka na skórze, a on, nachyliwszy się ku niej i z całej siły wsparłszy na jednej ręce o twardą ziemię, by nie sięgać ku jej

187

rosnącym piersiom, zamarł w napięciu. Tym razem to ona stchórzyła, nie ze wstydu wszakże, lecz ze strachu. „Nie tutaj” - szepnęła. - „Chodźmy gdzieś, gdzie nikt nas nie zobaczy...” Niestety zaraz zawołała ją matka i czar chwili przysł. Daniel uciekł do lasu i tam dał upust swemu pragnieniu, wprost na własne kolana i w błoto u stóp, po czym podniósł się na nogi i zaczął przemierzać las z zamiarem znalezienia kryjówki dla nich. Jak na złość ten sam las, który niegdyś zdawał mu się tajemniczy i ciemny, dający schronienie, teraz wydawał się nasycony światłem i odkryty jak na dłoni. Gdy już miał się poddać i zaniechać poszukiwań, dostrzegł trzy wielkie drzewa rosnące blisko siebie i otaczające coś jakby małą polankę. Daniel powiększył wgłębienie w ziemi, używając patyków, kamieni, a nawet drąc darń własnymi rękoma i odginając korzenie tak, by w efekcie powstała głęboka przytulna jama. Nazajutrz zaprowadził tam Rosalie. Zajrzała do dołu i roześmiała się dźwięcznie: „Kogo chcesz tam pochować?” - spytała. Wszelako już za chwilę, gdy rozpostarłszy na gołej ziemi swoją kurtkę, sprowadził dziewczynę ostrożnie na dół, zadziwiła go stokrotnie, dając mu poniekąd dowód, że te wszystkie lata, które jednym uśmiechem stworzyła w dniu ich pierwszego spotkania, były po to, by miała czas dla niego dorosnąć. Zadziwiony, zachwycony spijał jej pocałunek, którym go wspaniałomyślnie obdarzyła, myśląc, że tak smakuje samo niebo. Wiele lat później, tuż przed wyruszeniem do Wietnamu, także tam poszli, tuląc się do siebie przed mrokiem i chłodem nadchodzącej nocy. Kiedy zaczęło padać, zlizywał z jej twarzy krople ciepłego deszczu, które niepostrzeżenie zamieniły się w słone łzy.

Sen był zawsze taki sam. Daniel był w „małym grobie” z Rosalie, całował ją po twarzy, połykając

jej i swoje łyzy, gdy nagle dziewczyna zaczynała zapadać się w ziemię, która rozstępowała się niczym czeluście piekielne i skwapliwie ją połykała, tak że w końcu zupełnie zniknęła pod grubą warstwą świeżej gleby, a on zostawał sam, na pół pogrzebany, na pół żywy, krztusząc się i wypluwając drobinki ziemi. Noc w noc budził się zlany potem, z bolącymi kośćmi, rozdrapując do krwi jątrzące się miejsca po ukąszeniach mrówek. Tym razem

188

doszło do tego jeszcze gwałtowne bicie serca, gdyż we śnie pojawiła się modyfikacja: tuż po tym, jak Rosalie została pogrzebana żywcem, w głębokim dole pojawił się tygrys i zatopił kły w ciele Daniela.

Kolejny dzień - Daniel powoli zaczynał tracić rachubę czasu - wstał jeszcze bardziej parny od poprzedniego. Oficer dowodzący palnął im mowę z samego rana o tym, jak szalenie ważna jest ta droga, że muszą się pośpieszyć, jeśli ma się na coś przydać jeszcze w tej wojnie, za wszelką cenę chcąc podnieść ich morale. Chyba jeden tylko Daniel go słuchał. Potem znaleźli się znów na drodze, każdy na swoim odcinku. Tego dnia Daniel miał pracować w parze z Timem - każdy z nich dzierżył kilof, a ich zadaniem było unicestwić pokaźny kawałek gołej skały, która stała na zawadzie. Użycie w tym miejscu młota pneumatycznego czy choćby wiertarki nie wchodziło w grę, gdyż groziłoby lawiną skalnych odłamków, tak że pozostało im zdać się wyłącznie na swoje mięśnie. Praca była wyczerpująca. Daniel koncentrował się na mlóceniu kilofem i ignorowaniu bólu w otwartych ranach na wewnętrznej stronie dłoni, gdzie skóra nie zdążyła mu jeszcze zgrubieć i pokryć się ochronną warstwą odcisków. Przez pierwsze pół godziny obaj mężczyźni udawali, że są pochłonięci pracą i się nawzajem nie zauważają. Pierwszy spasował Tim; odłożył kilof i oparłszy się o prawie nie naruszoną skałę, zapalił papierosa, wykorzystując to, że reszta oddziału znajdowała się za zakrętem. Daniel nie przyłączył się do niego, lecz walił w oporną materię dalej, świadom, że Tim mu się przygląda. Wysilek - zamiast go przygnębić i osłabić - dodał mu siły; z potem zalewającym mu oczy, na drżących z napięcia nogach, pracował jak maszyna: zamach, uderzenie, zamach, uderzenie...

- No i jak, szeregowy Zyskind? - Tim nieoczekiwanie przerwał ciszę. - Cieszysz się, że uniknąłeś frontu?

Daniel był w szoku. Tim nigdy wcześniej o nic go nie zagadał, jeśli nie liczyć impertynenckich pytań o wdzięki Rosalie. Przez krótką chwilę myślał, że wreszcie przestaną drzeć koty i może się nawet zaprzyjaźnią, zaraz jednak uświadomił sobie, że to niby niewinne pytanie aż ociekało jadem; po cóż innego

189

tamten by podkreślał swój wyższy stopień i imputował mu tchórzostwo? Puścił pytanie mimo uszu. Życie było dlań o wiele łatwiejsze, kiedy udawał, że Tim nie istnieje.

Niestety Tim istniał. Ciężko było temu zaprzeczyć, kiedy podszedł do Daniela na niebezpiecznie małą odległość, biorąc pod uwagę mordercze narzędzie, śmigające w jego omdlewających dłoniach, zaciągnął się potężnie i wydmuchnął mu prosto w twarz kłęb gryzącego dymu. Daniel z wdzięcznością wciągnął w płuca nikotynę, żalując, że sam nie zrobił sobie nieregulaminowej przerwy na papierosa, niemniej za nic w świecie nie chciał dawać Timowi broni do ręki. Czując, jak cząsteczki nikotyny przenikają do jego złąknionego krwiobiegu, usłyszał:

- No, niech twoi żydowscy kolesie na uczelni się dowiedzą, że dzielnie bronisz ojczyzny! - szydził Tim. - Słyszałeś, co mówił dziś rano oficer: to od nas zależy przyszłość wolnego świata... Ani przez moment nie zapominaj, jak ważne jest, kurwa, byśmy wybudowali tę drogę. Wystarczy, że omskniemy się z planem, a komuniści zapanują nad światem!... - Urwawszy perorę, Tim odstał od Daniela, by w spokoju wypalić papierosa do końca. Upłynęła długa chwila, nim odezwał się ponownie. - Jakby to w ogóle kogoś obchodziło! No sam powiedz: obchodzi cię to? Może zrzucą na nas bombę, a może nie, ale do tego czasu powinniśmy ich mieć w dupie!

Jak dotąd Daniel miał w dupie Tima, ale teraz, usłyszawszy w jego głosie swego rodzaju refleksyjne czy zgoła filozoficzne nutki, jał się zastanawiać, czy tamten przypadkiem nie chce go

wciągnąć w normalną rozmowę. Skała, w którą tłukł bez ustanku, nie podnosząc nawet wzroku, nie ustąpiła ani na jotę - zamiast niej ustąpił Daniel.

- Sowieccy komuniści zabili ojca mojej narzeczonej - rzucił przez zęby.

Przestawszy się przejmować, czy rozbija skałę czy nie, automatycznie brał zamach i walił w nią z całej siły, poświęcając nieco uwagi temu, co dzieje się wokół. Kątem oka dostrzegł, że Timowi opadła szczeka i papieros wypadł mu z ust.

190

- To ty masz narzeczoną? - wydukał zdumiony.

Nie było to grzeczne pytanie, toteż Daniel nie udzielił odpowiedzi od razu, czerpiąc radość z tej krótkiej chwili przewagi, jaką nieoczekiwanie zyskał nad gruboskórnym Timem.

- Owszem, mam - odparł w końcu. - A ona, wyobraź sobie, ma nawet tyłek.

Wyglądało na to, że z każdym wypowiedzianym zdaniem zyskuje na przewadze: tym razem Tim zaniemówił na dobre parę minut. Kiedy wreszcie się odezwał, z jego głosu przebijała nieskrywana ciekawość.

- To znaczy, że jej ojciec był szpiegiem czy kimś w tym rodzaju?

Daniel nauczył się w wojsku wystarczająco dużo, by nie połączyć przynęty. To, że zaczęli rozmawiać z Timem jak ludzie, nie oznaczało jeszcze, że są przyjaciółmi. Poza tym nie miał ochoty rozmawiać z kimkolwiek o Rosalie czy jej rodzinie.

- Nie - uciał. - Po prostu znalazł się w złym miejscu o niewłaściwym czasie.

Tim wyraźnie miał nadzieję, że usłyszy coś więcej, jednakże Daniel milczał. Zaciął usta w wąską kreskę i przymierzał się do kolejnego ataku na skałę, mierząc wzrokiem ledwie widoczną szczelinę, którą należało pogłębić. Znowu minęła długa chwila, nim do Tima dotarło, że Daniel uważa temat za zamknięty. Wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze, wciąż przesycone słodko gorzkim zapachem nikotyny, i podsumował:

- Zatem jesteś tutaj po to, by zabijać komuchów.

Powrócił już do swego zwykłego złośliwego tonu i Daniela odeszła wszelka ochota na dalszą konwersację. Skupił się na rozbijaniu skały, przy każdym zamachu prosząc w duchu, by kilof uderzył dokładnie w to miejsce, w które celował. Raz mu się udawało, kiedy indziej znów nie i z wolna opuszczały go zapał i siły. W dłoniach czuł niewysłowiony ból. Zrobił sobie krótką przerwę, po czym podjął pracę.

- No to brawo - komentował dalej Tim. - Jesteś prawdziwym kilerem, takim z motywacją...

Rozpieprz ich wszystkich, a dadzą ci medal. - Ze złością kopnął jakiś kamień.

191

- Jeśli o mnie chodzi, mam to wszystko w dupie. Moja żona będzie rodzić w przyszłym tygodniu. Tim ma żonę? zdziwił się w duchu Daniel. Schwycił mocniej kilof, wciąż wyslizgujący mu się ze spotniałych dłoni, i pod pretekstem kolejnej krótkiej przerwy na odpoczynek zerknął na kolegę. Tim stał nieopodal, ramieniem oparty o pionową skałę, i w zamyśleniu wpatrywał się w niebo. Daniel uświadomił sobie, że dla niego czas istnieje, że „tydzień” to nie tylko kilka następujących po sobie jednakowych pustych dni, ale powtórzenie aktu stworzenia. Nim zdążył sobie wyobrazić mające się narodzić dziecko Tima, jego żonę (ciekawe, jak ma na imię?), ewentualne starsze pociechy (czy to możliwe, by Tim był już ojcem?), usłyszał:

- Jak wrócę do domu, dzieciak będzie miał roczek i prawdopodobnie będzie się mnie bał...

Daniel odłożył kilof na ziemię i po raz pierwszy spojrzął wprost na Tima, w dalszym ciągu zapatrzony w przestrzeń ponad wierzchołkami rosnącego w dole lasu monsunowego. Dostrzegł w rysach jego twarzy jakąś miękkość, bezbronność nawet, i postanowił spróbować.

- No ale przynajmniej coś robisz... dla przyszłości swojego dziecka, może nawet całego świata...

Tim przeniósł wzrok z nieba na stojącego obok żołnierza, obdarzył go przeciągłym, wymownym spojrzeniem, po czym roześmiał się gorzko.

- Taa... Tyle że mój dzieciak i tak będzie musiał naprawiać świat. Ten, na którym żyjemy, nie jest wystarczająco dobry!

Daniel nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nim zdążył coś wymyślić, Tim rzucił okiem ponad jego ramieniem i sięgnął do kieszeni. Wyciągnawszy z niej papierosa, zapytał:

- Chcesz?

Oddech wciąż miał przesycony nikotyną, której tak bardzo brakowało Danielowi. Poza tym jego propozycja zakrawała na ofertę przyjaźni, a tej Daniel nie mógł odrzucić. Zapomniawszy o swej dumie, bąknął: - Dzięki - i porwał peta z ręki kolegi. Po chwili już zaciągał się aromatycznym dymem.

192

Tim wzruszył tylko ramionami, schylił się po swój kilof i jakby nagle zamienili się rolami, zaczął z pasją walić w oporną, ledwie naruszoną skałę. Daniel miał się właśnie zaciągnąć po raz drugi, kiedy tuż za plecami usłyszał głos oficera. Szybko wypluł papieros na ziemię, złapał kilof, ale było za późno. Oficer widział, jak stoi beczynnie, podczas gdy Tim ciosa ze skały iskry.

- No, żołnierze, jak wam idzie?

Tim stanął wyprostowany jak struna, wyglądał, jakby miał zamiar wykonać komendę „prezentuj broń” za pomocą kilofa.

- Melduję posłusznie, że szeregowy Zyskind się obija! - krzyknął służbiście, wskazując na papierosa, który nie zgaszony wciąż tlił się w błocie u stóp Daniela. - Za pozwoleniem, chciałbym zaproponować przeniesienie go do pracy, która podniesie jego morale. Sir! - zakończył szczenięcim.

Daniel zamienił się w kawałek skały. Bez ruchu obserwował, jak oficer schyla się, by zbadać dowód jego winy, po czym już wyprostowany zbliża twarz do jego, tak że dzieliły ich tylko milimetry, i pryskając kropelkami śliny, wykrzykuje:

- Co to za opieprzanie się, Pisskin?! Tu się toczy wojna! Myślisz, że ją wygramy, jak każdy będzie sobie robił przerwę, kiedy mu w dupie zagra?!

Daniel przełknął obraźliwe przekręcenie jego nazwiska i wymamrotał:

- Nie, sir!

Chwilę później wyciskał karne pompki, czując, jak ostre kamyki jeszcze bardziej ranią mu otarte od kilofa dłonie i jak Tim popatruje na niego z mściwą satysfakcją.

- Żeby mi to było ostatni raz! - ryknął oficer na odchodnym. - Jeszcze jeden taki numer i do końca służby nie wyjdiesz z kamieniołomu!

Tamtego dnia nawet pogoda uwzięła się na Daniela. Najpierw zaczęły padać irytujące rzadkie i wielkie krople, które wkrótce zmieniły się w istną ścianę deszczu; woda kaskadami spływała z gołej skały, rwącymi strumieniami płynęła po dopiero co utwardzonej drodze, zmywając podkład wprost do przepaści.

193

Daniel dał za wygraną, przestał liczyć na cud. Z rezygnacją odmierzał monotonne, pełne znoju dni i noce przynoszące niechciane koszmary. Jego życie miało sens tylko w krótkich chwilach przed zaśnięciem, kiedy w myślach odtwarzał wspomnienia o Rosalie, niestety jej obraz bladł w jego pamięci i znikał niczym zdjęcie wystawione na zbyt długie działanie promieni słonecznych.

Pamiętał, że któregoś dnia, kiedy on miał osiemnaście lat, a ona piętnaście, siedzieli jak zwykle w ogrodzie jej domu. On opierał się plecami o schodki wiodące na ganek, ona zaś leżała w poprzek na trawie, z głową złożoną na jego udach. Właśnie skończyli czytać „Miasto Umarłych”.

- To chyba najlepsza opowieść, jaką razem przeczytaliśmy - powiedział, zamykając książkę.

- Dlaczego?

Z tkliwością popatrzył w dół, na rozrzucone na poły na ziemi, na poły na jego udach długie, lśniące czarne włosy.

- Nie wiem... Może dlatego, że mówi o niewykorzystanych szansach...

- A moją ulubioną jest „Bez głowy”.

- Chyba żartujesz! Tamta historia nie miała za grosz sensu!

Z tego co pamiętał, była to długaśna pokręcona opowieść, kończąca się wybudowaniem mostu



między niebem i piekłem - mostu, który został uwiedziony przez diabła! Gdzieś po drodze zaplątała się jakby samoistna wstawka o mężczyźnie, którego skazano na ścięcie. Na placu kaźni stała drabina wiodąca do nieba - drabina w całości zbudowana z poprzednio obciętych głów - a kat przed wykonaniem wyroku mówił każdemu skazańcowi, że składając głowę na katowskim pieńku dokonuje chlubnego czynu, gdyż pomaga innym dostać się do nieba!

- Moim zdaniem była bardzo sensowna - zaprotestowała Rosalie. - Niemniej cieszę się, że tobie się nie podobała.

Chciał ją poprosić, aby wyrażała się jaśniej, lecz w tym samym momencie Rosalie wstała, zamiatając włosami i pozwalając, by słońce opromieniło jej twarz, tak że Daniel

194

w jednej chwili zapomniał, o czym rozmawiali, i z nieukrywanym podziwem wpatrzył się w grę światła na jej skórze, w miękki dołek nad obojczykiem i w delikatne zagłębienie nad górną wargą, aż prosząc się, by je dotknąć. Chłonał jej widok jak zauroczony, ale cały czas pamiętał o tym, że nadal jest niepełnoletnia. Zaskoczyła go, wyrrywając mu z dłoni zamkniętą książkę.

- Zdaje się, że masz drugi egzemplarz? - mruknęła wertując kartki w poszukiwaniu „Miasta Umarłych”.

- Chyba tak...

- To dobrze - przerwała mu bezceremonialnie, chociaż kiedyś tylko napomknął, że jego ojciec ma lepsze wydanie, w twardej oprawie, a teraz wcale już nie był tego taki pewien... Czy to aby na pewno ten sam zbiór opowiadań? myślał.

Nie zdążył się nad tym zastanowić, gdyż Rosalie właśnie rozrywała książkę, chcąc wyodrębnić opowieść, którą ostatnio czytali. Daniel rzucił się, aby ją powstrzymać, lecz było za późno.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał z wyrzutem.

- Skoro to twoja ulubiona opowieść, powinnam ją mieć w swojej biblioteczce - oznajmiła, po czym podała mu rękę i kiedy wstał, pociągnęła za sobą do domu.

Choć zachowywała się jak wariatka, Daniel już dawno się przyzwyczyił, że z nią nigdy nic nie wiadomo i że należy jej się kredyt zaufania; była zbyt inteligentna, by postępować nieracjonalnie.

Poszedł więc za nią posłusznie i dał się zaprowadzić do zapuszczonego saloniku. Rosalie zatrzymała się i wskazała na niepozorny obrazek, wiszący wprost na ścianie, bez żadnej ramy.

- Widzisz? To jest Miasto Umarłych - oznajmiła. Mimo że nieraz bywał w tym pokoju, nigdy nie zauważył

obrazu czy raczej obrazka, gdyż jak wszystko w domu Rosalie, i on był mały, ciemny i zabrudzony. Na pierwszym planie widniał mężczyzna unoszący się nad ponuro wyglądającą ulicą i dopiero po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec dwa nagrobki, prawdopodobnie mające sugerować, że mężczyzna ów właśnie wstał z martwych i szybuje na tle bladego nieba, obojętny na sprawy tego i tamtego świata.

195

- Ty to namalowałaś? - spytał.

Uwaga Rosalie była jednak zaprzątnięta czym innym.

- Skoro to jest Miasto Umarłych - powiedziała, wskazując na obraz - w takim razie miejsce tego - pomachała wyrwanymi kartkami - jest tutaj.

Zdjęła obraz ze ściany, odwróciła go tyłem do przodu i tak postawiła na stojącej w pobliżu komodzie, po czym starannie złożyła trzymane wciąż w ręku kartki, wygładzając zgięcia paznokciami, aby były jak najrówniejsze i jak najbardziej płaskie. Usatysfakcjonowana efektem wsunęła plik kartek pomiędzy płótno i kawałek sklejki, od góry - co spowodowało, że po przeciwnej stronie wychynęły rogi pożółkłego ze starości papieru.

- A to co? - zapytał rozbawiony Daniel. - Jakaś wcześniejsza ulubiona historia? Ciekawe czyja...

Rosalie zbyła jego pytanie milczeniem. Z poważną miną odwiesiła obraz na ścianę i nie zmieniając wyrazu twarzy, nachyliła się w stronę Daniela, by wspierając się na palce, szepnąć mu do ucha:

- Kiedy się pobierzemy, wszystko ci powiem.

Teraz, tocząc nierówną walkę z ogarniającym go snem, na skraju urokliwego wietnamskiego klifu i w otoczeniu chrapiących głośno kolegów, uświadomił sobie, jak wiele Rosalie mu nie powiedziała. Parę dni później doszły ich niepokojące wieści. W pobliżu bazy w Phu Bai zginął dziewiętnastoletni rekrut, który był na tyle nieostrożny, że w porzuconym rowerze nie rozpoznał bomby pułapki. Sądząc po tym, co zostało z chłopaka, wehikuł musiał być dosłownie naszpikowany materiałami wybuchowymi. Dowództwo natychmiast ogłosiło alarm, podejrzewając, że wróg zaczął się w pobliżu dostępnej z obu stron Przełęczy Chmur. Jako że oddział konstrukcyjny znajdował się najbliżej miejsca zagrożenia, został postawiony w stan gotowości, a budowanie drogi zeszło chwilowo na plan dalszy. Po tygodniach katorżniczej pracy w błocie i pyłe mieli wyruszyć na zwiad.

196

- No, Zyskind - syknął Tim, kiedy szykowali nie używaną od dawna broń. Ilekroć Daniel widział Tima, zastanawiał się, czy jego dziecko już się urodziło i jak długo zajmie, nim młody ojciec się o tym dowie. - Nie zapomnij napisać do swojej narzeczonej i wszystkich żydowskich kumpli, że idziesz się bić z komuchami. Mamusia i tatuś będą pewnie pękać z dumy, co? Daniel milczał. Słowa Tima sprawiły, że poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Przed oczyma stanął mu najpierw ojciec. Która może być w domu godzina? liczył gorączkowo. Skoro tutaj jest po północy, tam musi być dopiero popołudnie. Czy ojciec jest z wizytą w szpitalu? Potem zobaczył wycieńzoną przez chorobę matkę. Czy w ogóle jeszcze żyje? A Rosalie? Czy myśli o nim, biorąc lekcje rysunku? Czy którekolwiek z nich cieszyłoby się, gdyby kogoś zabił?...

- No to pamiętaj - ciągnął tymczasem nie zrażony milczeniem Tim, któremu najwyraźniej bardzo odpowiadała taka jednostronna „rozmowa” - że jak już ci mówiłem, ja mam wszystko w dupie. Ktoś musiałby mi przyłożyć lufę do czaszki, żebym pociągnął za cyngiel. Więc lepiej miej oczy dookoła głowy, skurczybyku, bo inaczej po tobie! Dotarło?

Czyżby Tim mu groził? Daniel nie miał pojęcia, czy znieawidzony kolega mówi poważnie czy też tylko żartuje, i nie było sposobu, by to sprawdzić. Na wszelki wypadek zachował kamienną twarz, konotując sobie, by w terenie uważać za nich obu. Kiedy skończyli czyścić broń, Tim powtórzył: - Idziesz przodem i nie licz na to, że będę cię ubezpieczał. - Wstając zarzucił karabin na ramię i dodał: - No, a teraz rusz dupsko!

Dołączyli do reszty żołnierzy i w głuchym milczeniu ruszyli wzdłuż nowo wybudowanej drogi, a gdy ta się skończyła, daleko za miejscem, w którym zmagali się z litą skałą, weszli w gęstą tropikalną roślinność. Wilgotne, słodkie nocne powietrze, jakie ich oblepiło, przypominało Danielowi o ostatniej nocy spędzonej w „małym grobie”.

Po ciemku, w pełnym trzydziestopięciokilogramowym rynsztunku na grzbiecie, przemierzali dżunglę godzinami i choć wydawało im się, że pokonują wielki dystans, w rzeczywistości

197

kręcili się w kółko. Daniel ze zdziwieniem skonstatował, że bardziej boi się tygrysów niż żółtków, niemniej nawet zdawszy sobie z tego sprawę, dalej wypatrywał w mroku jarzących się na żółto ślepi, nie zaś stanowisk ogniowych wroga. Póki trwała noc, szli kupą, podświadomie dodając sobie nawzajem odwagi i czerpiąc jeden z drugiego otuchę, wszakże kiedy uniosła się mgła i zaczęło wstawać słońce, zalewając przestrzenie między drzewami rzeką złotego światła, dowódca zwiadu uznał, że tak dalej być nie może. Kazał im się dobrać w pary i dwójkami przeczesać najbliższe okolice obozu, posuwając się w stronę Przełęczy Chmur. Tyraliera została złamana i Daniel znalazł się u boku Tima. Od razu się zorientował, że ten jak zły duch depcze mu po piętach, dotrzymując swojej obietnicy.

Wokół robiło się coraz jaśniej i teraz można już było dostrzec rozpięte pomiędzy konarami olbrzymie pajęczyny, gotowe pochwyć w pułapkę człowieka. Drgały przy najlżejszym kroku, widoczne dzięki kroplom rosy przytwierdzonym do misternej konstrukcji lepkich nitek. Daniel zrywał je niechętnie, gdyż bał się pozostawić ślady, wiedział jednak, że nie da się przejść przez taką dżunglę niepostrzeżenie. Bez względu na to jak cicho starali się stapać, wokół co rusz rozlegały się

grzmoty niczym z armat, kiedy nastąpili na kruchą gałązkę czy kupę suchych liści. Bezwiednie, nie porozumiewając się ani nie myśląc, wyrównali krok, tak by czynić jak najmniej hałasu, i nagle Tim znalazł się tuż obok Daniela. Od tego momentu zdawało się, że nawet ich serca biją w tym samym rytmie, a jedynym odgłosem jest szelest przy stawianiu stóp i wszechobecne brzęczenie owadów. Dzięki temu, kiedy pół godziny później ich uszu dobiegł dysonans, nowy dźwięk, zbyt potężny, by wydało go jakiegokolwiek zwierzę oprócz tygrysa - lub człowieka - wyłowili go od razu.

Zamarli, jakby stanowili jedność. Zmrużywszy oczy, w tej samej chwili wypatrzyli postać stojącą nie dalej niż dziesięć metrów od nich, a mimo to ledwie widoczną w gęstym lesie. Danielowi zaschło w gardle. Z początku widział tylko hełm dziwnego kształtu oraz dolną część nogi. W miarę jak wzrok przyzwyczajał mu się do mroku panującego pod gęstym sklepieniem

198

nisko wiszących gałęzi, zobaczył, że właściciel hełmu i nogi ma także dłonie, w których trzyma coś, co nadzwyczaj przypominało granat ręczny.

Tim również musiał to zauważyć, gdyż dał Danielowi kuksańca w bok, unosząc przy tym lekko karabin. Daniel w chwili przeraźliwej jasności zrozumiał, że wcześniej Tim blefował i że on cały czas bał się o swoją skórę na darmo. A jednak naprzeciwko nich, w krzakach, stał mężczyzna bawiący się zawleczką. Czy i on ich widział? Czy tylko zabijał czas, zajmując czymś ręce, i czekał? Na wszelki wypadek Daniel również zaczął unosić karabin, ale wtedy poczuł, że Tim znowu ponaglająco wbija mu łokieć między zębra. Zachwiał się lekko i zwolnił uścisk, tak że musiał powtórzyć wszystko od początku. Zaczynał się właśnie składać do strzału, kiedy kątem oka zobaczył, że Tim go ubiegł. Z fascynacją patrzył, jak palec Tima wolno naciska spust...

Jednakże zamiast wystrzału wciąż panowała głucha cisza, którą nagle przerwało donośne kliknięcie. Niemal nowy M16, duma amerykańskiej armii, zwyczajnie się zaciął. Tim zaczął się szarpać ze spustem, sycząc raz po raz:

- Kurwa, kurwa!...

W tym czasie Daniel wziął intruza na muszkę, w duchu przepowiadając sobie złożoną sobie i Rosalie przysięgę. Cel był tak blisko, że nie musiał korzystać z lunety: nie spuszczał go z oka, przesuwając palec po cynglu... Nagle rozległo się kolejne głośnie kliknięcie i cel - mężczyzna trzymający granat - spojrzał w ich stronę. Kiedy ich oczy się spotkały, Daniel w domniemanym wrogu rozpoznał Cuonga i zdębiał.

- Strzelaj, kurwa, strzelaj! - syknął Tim, przysparzając mu kolejnego siniaka.

Daniel wszakże stał bez ruchu, próbując się połapać w sytuacji. Co u licha robi tu Cuong, do tego z granatem? myślał. Żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła mu jednak do głowy. Odzyskawszy panowanie nad własnym ciałem, chciał gestem przekazać Timowi wiadomość, że popełnili błąd, że pod żadnym pozorem nie wolno im strzelać, ale w tej samej chwili na twarzy Cuonga zagościł dziwny wyraz, taki niby uśmiech, który to sprawił, że Daniel zupełnie się pogubił: na

199

moment zapomniał, kim jest, gdzie jest i po co, ponieważ ten właśnie niby uśmiech zdarł z twarzy Cuonga maskę, pod którą się skrywał podczas długich, nie chcących upływać dni w obozie przy drodze, i na oczach Daniela przeistoczył osobę mu znaną w kogoś obcego czy raczej coś obcego (wyglądało to tak, jak gdyby gorące parne powietrze nagle zafalowało i w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał człowiek, pojawił się dziki zwierz, tygrys obnażający zębiska w przeciągłym ryku), kto - czy raczej co - nie zawaha się wyszarpnąć zawleczki i wziąć zamachu, by rzucić granat.

- Padnij - wrzeszczał Tim - padnij!

Kiedy granat jak w zwolnionym tempie szybował w ich stronę, Tim rzucił się na Daniela, zbił go z nóg i przykrył swoim ciałem, chociaż właściwiej byłoby powiedzieć, że częściowo przykrył go swoim ciałem, jako że gdy zaczynał to robić, był jeszcze w całości Timem, podczas gdy lądując, był już Timem zaledwie w połowie, to znaczy jego dolna część, mniej więcej od pasa w dół, leżała na Danielu, ochraniając go przed nie wiadomo czym, górna zaś, mniej więcej od pasa w górę, spoczywała obok na ściółce, krzycząc, strasznie krzycząc jak mały zraniony chłopczyk, aż wreszcie

krzyk raptownie ustał.

Ułamek sekundy później dżunglę rozdarł terkot karabinów maszynowych i równie nagle jak się rozpoczął, ucichł. Daniel wciąż leżał na brzuchu, tak jak padł na ziemię, i słuchał bzyczenia owadów przerywanego sporadycznymi wybuchami gdzieś w oddali, „na sobie mając dolną część Tima, przed sobą własny, ani razu nie użyty karabin, obok siebie zaś górną część Tima, teraz już cichą, chociaż nadal w niego wpatrzoną otwartymi z przerażenia oczyma. Daniel robił co w jego mocy, by o niczym nie myśleć, i można powiedzieć, że w dużej mierze mu się to udało. Nie myśląc popatrzył na drzewa, na ręce, na błoto, po czym wykonał wężowy ruch ciałem, by pozbyć się z pleców ciężaru rozprysniętego w drobny mak ekwipunku nasączonego krwią Tima, przy czym zrzucił z siebie także dolną połówkę Tima, która przetoczyła się i zatrzymała tuż przy górnej. Wtedy wstał i ignorując broń, zarzucił sobie na jedno ramię jedną, a na drugie - drugą część Tima i tak powędrował

200

w stronę przełęczy i drogi wiodącej do miejsca, w którym tubylcy czcili swoich przodków. Gdy tak szedł, poczuł, że czas, który stanął i jeszcze niedawno dławiał go nie mającymi końca, nieistotnymi dniami, rusza i z każdym jego krokiem nabiera prędkości niczym wstający świt, zalewający świat jasnością.

Doszedłszy do drogi i dalej, do obozu, Daniel ogarnął pustym wzrokiem pobojowisko. Wszystko to, czego udało im się dokonać i co z mozołem wyrwali naturze, zostało zniweczone. Wybrukowana nawierzchnia zniknęła, podobnie jak liny i balustrady mające stanowić zabezpieczenie przed przepaścią. Co rusz w ziemi widniała głęboka wyrwa po eksplozjach. Z obozu zniknęły namioty i prowiant, łatwe do zabrania i przeniesienia, natomiast wszystko inne, w tym ciężki sprzęt i jedyny oficerski dżip, zostało wysadzone w powietrze. Tu i ówdzie walały się jakieś resztki i metalowe części, przypominające raczej szkielec dawno wymarłego zwierzęcia. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać żywego ducha, jedynie w oddali unosił się słup czarnego dymu, znak, że jakiś amerykański oddział przetrwał i brał teraz odwet na wieśniakach.

Jak dotąd niósł na plecach Tima i nawet tego nie zauważał, w końcu jednak zmęczenie i szok wzięły górę: zaczął się niekontrolowanie trząść, tak że nie był w stanie niczego utrzymać.

Delikatnie opuścił każdą część z osobna i ułożył je pod przydrożnymi „świętyniami”. Ukucnąwszy przy górnej części, zdjął z szyi trupa nieśmiertelniki i zamknął mu oczy. Później rozejrzał się wokół siebie, szukając kogoś, kogokolwiek, komu mógłby opowiedzieć, co się stało. Nie chcąc zostawiać ciała samego, postanowił zawołać o pomoc, ale zamiast wołania z jego gardła wydobył się przeraźliwy, zwierzęcy skowyt. Mimo to nie przestawał, pozwalając, by głos dudniącym echem odbijał się od skał i rozchodził po dolinie. Przerwał dopiero, gdy zabrakło mu tchu, i wtedy usłyszał w oddali, że ktoś mu odpowiada - po wietnamsku.

Uświadomiwszy to sobie, chciał skryć się w wąwozie, licząc, że zdoła utrzymać się uczepiony prawie pionowej ścianie, lecz gdy tylko zajrzał za krawędź klifu, zobaczył dwa trupy - głowa pszenicznowłosego Roba cała była unurzana we krwi,

201

Wayne zaś musiał zostać postrzelony w plecy, gdyż leżał w charakterystyczny sposób, z rozrzuconymi na boki rękoma. Choć okazało się, że byłoby możliwe tam się uratować, gdyż stosunkowo blisko klifu tkwiła solidna skalna półka, na której zaległy ciała, Daniel z pewnością nie miał zamiaru do nich dołączać. Zresztą powoli docierało do niego, że obóz jest pusty, nie dlatego że został splądrowany, a wszyscy uciekli, ale ponieważ nikt nie przeżył. Wodząc wzrokiem po cmentarzysku zauważył domek z czerwonym daszkiem i uprzytomnił sobie, że to jego wina. Niczym z taśmy odtworzył rozmowę z Cuongiem: sugestie Wietnamczyka, gdzie lepiej rozbić obóz, jego własną inicjatywę, by przekazać rady oficerowi, to, jak łatwo się „zaprzyjaźnili”... Jak mógł być aż tak naiwny, żeby niczym dziecko uwierzyć, iż każdy - Cuong, on sam, jego oddział - robi to, co do niego należy, i najlepiej jak potrafi, że wszyscy wspólnymi siłami budują tę samą drogę prowadzącą do nieba?... Byłby znowu krzyknął, tym razem z rozpaczą nad własną głupotą, lecz

gdzieś blisko rozległ się strzał. Poderwał się na równe nogi i zaczął uciekać w przeciwnym, jak mu się wydawało, kierunku.

Dokąd ta droga prowadzi? myślał. Do wioski w płomieniach? Tak czy inaczej musiałby albo zboczyć w dżunglę, albo iść wytyczonym szlakiem Autostrady numer 1, a to oznaczało, że prędzej czy później natknąłby się na oddział Cuonga. Stał jak wryty i zastanowił się nad alternatywą. ...Jeśli pobiegnę w drugą stronę, mam szansę znaleźć się w Da Nang... Od miasta dzieliły go dziesiątki mil pustkowi, z setkami relikwiarzy, niemniej nie miał innego wyjścia. Odwrócił się więc na pięcie i zaczął biec w przeciwną stronę, błogosławiąc dziurawą i nierówną nawierzchnię, zachłystując się powietrzem i potem, uciekając z miasta umarłych. Jeśli będzie trzeba, przebiegnę całą drogę aż do Na Dang, mówił sobie w duchu, zrobię wszystko, byle znów znaleźć się w świecie żywych. Biegł tak szybko, że wkrótce przepaść po lewej i lita skała po prawej ustąpiły miejsca ścianie zieleni po obu stronach, drzewa migały mu przed oczyma, rozmywały się w niewyraźną brązowo szarą przerażającą plamę, a on sam biegnąc po coraz większej stromiźnie czuł się, jakby mu nagle wyrosły skrzydła, jakby był

202

ptakiem, którego nic nie trzyma przy ziemi. Nim jednak dobiegł do pierwszego zakrętu śmierci, usłyszał za sobą zbliżających się Wietnamczyków.

Nie przestając biec na łeb, na szyję, walcząc o każdy oddech, przed sobą nieco po prawej dostrzegł skałkę, w której ścianie było zagłębienie. Pieczara, pomyślał hamując na błotnistym zboczu.

Pochylił się i przez chwilę dyszał jak zagonione zwierzę. Kiedy gdzieś z tyłu znowu rozległy się krzyki, nie zastanawiał się wiele, zboczył z drogi i wszedł do środka.

Później nieraz go zadziwiała, jak bardzo wryły mu się w pamięć następne chwile, jak gdyby zmysły mu się nagle wyostrzyły, zamieniając się w sztylety słuchu, wzroku, węchu, smaku i dotyku, które z łatwością pozostawiły głębokie ślady w jego umyśle. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego jak tamta pieczara, no ale nie było w tym nic dziwnego, ponieważ do tamtej pory tylko raz był w jaskini, i to takiej turystycznej, do której zabrali go rodzice, gdy był jeszcze małym chłopcem, i wcale się wtedy nie bał: wokół paliły się lampy, a znaki wskazywały drogę. Tutaj zaś czuł się jak w... jak w łonie - było to jedyne porównanie, które przychodziło Danielowi do głowy. Ciemność była wszechogarniająca, zaledwie parę kroków od wejścia zrobiło się ciemno choć oko wykol, stopy zapadały się w czymś miękkim i chlupoczącym, z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Daniel nigdy nie doświadczył tak doskonałej czerni i ciszy. Dopiero gdy się dobrze wsłuchał, wychwytywał ciche pluśnięcia pojedynczej kropli wody spadającej do położonej gdzieś w głębi kałuży, ale był to dźwięk tak nienaturalny, że Daniel nie był pewien, czy go sobie nie wyobraził. Owiewało go chłodne, wręcz namacalne powietrze, tak że równie dobrze mógł się znajdować pod wodą. W tamtych pierwszych chwilach zmysły go zawiodły czy też raczej zupełnie pozbawione bodźców zrobiły sobie wolne. Starając się nie tracić orientacji, wyciągnął ręce i brnął przed siebie, w duchu wierząc, że w końcu dojdzie do drugiego końca pieczary, gdzie być może będzie nawet drugie wyjście.

Zrobił jeszcze parę drobnych kroków i boleśnie uderzył się w głowę - w tamtym miejscu sklepienie niespodziewanie opadało, a on musiał w którymś momencie - nie pamiętał

203

gdzie ani kiedy - zdjąć hełm. Zobaczył wszystkie gwiazdy, niemal się przewrócił, lecz zdołał utrzymać równowagę, drobiąc tylko w miejscu i wzburzając stopami stertę liści, które pewnie przywiał tam wiatr podczas ostatniej silnej burzy - tak przynajmniej to sobie wtedy tłumaczył. Przejechał dłonią po twarzy, by odgonić mroczki, i poczuł coś ciepłego i mokrego, co wziął za pot albo błoto, a co w rzeczywistości było krwią Tima, którą był cały umazany. Uświadomił to sobie, kiedy poczuł w ustach słodko mdlący smak. Lekko spanikował, zaczął pluć jak oszalały, na wszelki wypadek pochylił głowę i wyteżył wzrok, żeby lepiej widzieć, ale oczywiście niczego nie zobaczył, wyciągnął więc ręce ku górze, by kontrolować wysokość pieczary, i zrobił kolejny krok. Wraz z nim stracił grunt pod nogami i koziołkując wpadł prosto do piekła.

Znalazł się w „tygryskiej pułapce”, jednej z wielu rozsianych po dżungli - ostrzegano przed nimi wszystkich nowo przybyłych żołnierzy. Był to dół głębokości około dwóch metrów, przykryty bambusową kratą, na której wierzchu grubą warstwą układano liście i ściółkę, na dnie czyhały zaś mniej więcej metrowej długości bambusowe tyczki, zastrzone na końcach i wysmarowane ekskrementami. Gdyby czas i okoliczności mu pozwoliły, Daniel z pewnością zastanowiłby się, dlaczego ktoś postanowił umiejscowić pułapkę w pieczarze (znacznie później, kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że było to swego rodzaju centrum treningowe, sprytnie położone w pobliżu planowanej zasadzki, a wokół obozu z pewnością roilo się od jej podobnych, tyle że jego oddział - gdy jeszcze istniał - miał na tyle szczęścia, że żadnej nie odkrył), w tamtej chwili jednak nie myślał o niczym z wyjątkiem swojej prawej nogi, przez którą przeszły na wylot trzy z ośmiu tyczek, a i to nie od razu, gdyż z początku nie czuł zgoła niczego. To znaczy najpierw wydało mu się, że wisi w powietrzu, na włosku, i nijak nie mógł pojąć, jak to możliwe, że przestał spadać, mimo że nigdzie nie wylądował, jak gdyby ziemia go nie chciała i niczym magnes o tym samym ładunku odpychała go od siebie, utrzymując w jednej i tej samej odległości. Wyciągnął rękę, aby zbadać to niesłychane zjawisko, i dopiero kiedy jego dłoń natrafiła na koniec tyczki wystający

204

z jego prawej łydki, otworzył usta do krzyku. Lecz nie wydał z siebie żadnego dźwięku, gdyż z zewnątrz pieczary doszedł go odgłos strzału, co mogło oznaczać tylko jedno: że Cuong i jego wietnamscy towarzysze są w pobliżu. Jeśli nie chciał, by wzięli go do niewoli albo zlikwidowali na miejscu, musiał być cicho mimo bólu szarpiącego mu ciało.

Zacisnął szczęki, niemal odgryzając sobie przy tym język, nic wszakże nie mógł poradzić na dreszcze, które nim targały, powodując, że tyczki wydawały się nie martwymi przedmiotami z drewna, lecz tysiącem malutkich drapieźnych istot, pożerających go żywcem. Resztką zdrowego rozsądku, jaką udało mu się zachować w tej sytuacji, podpowiadała mu, że jeśli chce się uratować, musi przedsięwziąć jakieś kroki, zanim straci przytomność, lecz jakiś inny głosik szeptał mu, że i tak stracił już tyle krwi, że nie ma szans na przeżycie. Pomyślał nawet, że w sumie dobrze byłoby umrzeć (może nawet zabić się samemu) i już więcej nie cierpieć, ale wtedy przed oczyma stanęli mu Rosalie i Tim, i inni - i to dla nich właśnie, nie dla siebie, zaparł się rękoma i zdrową nogą o ściany dołu i niewyobrażalnym wysiłkiem woli zmusił udreżone ciało do poderwania się do góry, przy czym uwięziona na szpikulcach łydka ucierpiała jeszcze bardziej, a but (i jak się potem okazało, kawałek stopy także) został w jamie. Uchwyciwszy się krawędzi dołu, wypełznął zeń na tyle, na ile było to konieczne, by znów nie osunąć się w czeluść, i wycieńczony legł na brzuchu, twarzą do ziemi, na przemian wymiotując i jedząc glinę, aby tylko powstrzymać się przed krzykiem. W końcu jakimś cudem zdołał wyczołgać się całkiem, wymacać przy pasie manierkę, odkręcić ją i polać wodą zakrwawione i brudne rany. Potem ostatkiem sił i woli oderwał kawałek koszuli i najciaśniej jak potrafił obwiązał nim to, co pozostało z jego łydki. Zawijając supeł nie panował już nad znów ogarniającymi go dreszczami, chwilę później z powrotem leżał twarzą w błocie, zapychając usta ziemią. W rzadkich chwilach trzeźwości spoglądał w stronę, z której jak mu się wydawało, przyszedł, jednakże niczego już nie był pewien. Czy to możliwe, że stamtąd gdzie się znalazł, widziałby wejście do pieczary jak na dłoni? I pająka?

205

Był to jeden z mniejszych, jak na realia lasu tropikalnego; wisiał sobie na nitce pajęczyny, którą musiał zacząć tkąć już po tym, jak Daniel na swoje nieszczęście wszedł do środka, i która niczym wahadło kiwała się to w tę, to we w tę, coraz wolniej i wolniej, jakby odmierzająca zamierający czas. Daniel wodził oczyma jak zahipnotyzowany, walcząc ze wzbierającym w piersi krzykiem. Miał wrażenie, że na tych dwu czynnościach upłynęła mu cała wieczność, kiedy nagle do jego świata wdarły się obce dźwięki, dochodzące od wejścia do pieczary. Spośród niezrozumiałych nawoływań przebijał się głos Cuonga. Nagle w polu jego widzenia pojawiły się dwie sylwetki, uzbrojone w coś, co do złudzenia przypominało amerykańskie M16.

Pewien, że go zauważyli, skurczył się w sobie, czekając, aż nienawistne głosy zaczną się zbliżać, jednakże nic podobnego się nie stało. Wtedy w przeblysku jasności umysłu zrozumiał, że stojąc na zewnątrz i tylko zaglądając do pieczary, nie są w stanie przeniknąć wzrokiem panujących tam egipskich ciemności, których jeszcze niedawno sam stał się ofiarą. Chciał zmówić krótką modlitwę dziękczynną, prosząc przy tym, by nie wpadło im do głowy zagłębiać się w pieczarę, lecz ból w nodze znów odbierał mu zmysły, tak że kiedy głosy - w tym Cuonga - zaczęły się oddalać, nie mógł być pewien, czy dzieje się tak naprawdę czy to tylko rojenia jego umysłu. Na wszelki wypadek jednak nie poruszył się ani nie wydał najłżejszego dźwięku jeszcze długi czas po tym, jak wokół niego zapanowała niczym nie zmacona cisza. Na przemian wyobrażał sobie, że zaniechali poszukiwań albo że odeszli po posiłki, by większa ich liczba miała swój udział w jego egzekucji, którą niewątpliwie będą chcieli uwiecznić na zdjęciach czy nawet taśmie filmowej. Wiele godzin później - musiały minąć godziny, gdyż do niewyobrażalnych cierpień Daniela doszedł jeszcze szarpiący mu kiszki głód - zrozumiał, że jednak dali mu spokój. Z jakiegoś powodu uwierzyli, że pieczara jest pusta; być może uratował go niepozorny pracowity pająk, którego pajęczyna świadczyła - ich zdaniem - że nikt do pieczary od dawna nie wchodził.

Daniel zupełnie stracił rachubę czasu, to popadając w omdlenie, to się z niego wybudzając. Nie wiedział, ile czasu

206

spędza za każdym razem nieprzytomny - sekundy? godziny? lata? W którejś chwili zaczęło padać, z początku uderzenia kropel na zewnątrz dołączyły do monotonnego pluskania w głębi pieczary, później rozpełtała się istna ulewa. Przy wejściu utworzył się rwący potok, niosący ze sobą zwały błota, wkrótce zastąpione przez mniejsze i większe odłamki skalne, tak że wyglądało to bardziej jak lawina niż burza. Błoto i kamienie zalegały warstwami u wylotu pieczary, sięgając wyżej i wyżej i powodując, że pociemniałe od ściany deszczu Danielowe okno na świat zaczęło się na jego oczach zmniejszać. Mimo trawiącej go gorączki wiedział, co to oznacza, lecz nie mógł temu w żaden sposób zaradzić - był zbyt słaby, by przepelznąć tych kilka metrów i wydostać się póki czas. Beznamiętnie obserwując, jak ostatnie grudy błota i skały szczelnie wypełniają otwór, przez który wszedł, odcinając go od światła słonecznego i świata, stawał się coraz bardziej otepiały i obojętny na swój los. A miał zginąć pogrzebany żywcem.

Zaiste bardzo łatwo jest przespać koniec świata...

Daniel walczył z sennością, próbując mówić do siebie, lecz dla odmiany teraz, po tyłu zdławionych w zarodku jękach i krzykach, nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Ból dopadał go falami: na zranionej nodze zaciskały się rozgrzane do czerwoności kleszcze, którymi wrzucano go całego do kowalskiego paleniska czy wręcz w ogień piekielny, trząsł się przy tym jak w febrze i związał w konwulsjach, drąc ziemię paznokciami i dławiąc się błotem i własnymi wymiocinami, po czym następowała chwila wytchnienia, równie straszna albo nawet straszniejsza od wcześniejszego bólu, gdyż przepelniona śmiertelnym strachem przed kolejnym paroksyzmem, z których każdy wydawał się gorszy od poprzedniego. Nie potrafiłby nawet rozróżnić, czy ma oczy otwarte czy zamknięte, gdyby nie to, że kiedy przysypiał, wciąż widział i słyszał przeraźliwie krzyczącą górną część Tima. Był to jeszcze jeden powód, by bronić się przed odpłynięciem w sen. Dziwiło go, że choć jeszcze niedawno niemal bez ustanku narzekał na gorąc, teraz wstrząsają nim dreszcze; ilekroć kończyła się seria wymiotów i konwulsji, czuł, jak zimne powietrze pieczary kołysze go i pieści

207

mu policzki, kładąc się kompresem na jego ranach. Na poły śniąc, na poły czuwając, przypomniał sobie przeczytaną w czasach college'u opowieść greckiego filozofa. Jej bohaterami była grupka ludzi od zawsze uwięzionych w jaskini. Jednemu z nich udało się wydostać na zewnątrz, gdzie zachwyił się słońcem i drzewami, i całą resztą, po czym wrócił i opowiedział towarzyszom niedoli o tym, co tracą. Tak ich to rozwścieczyło, że zabili go na miejscu, nawet nie próbując pojąć, o czym mówił. Z tego co Daniel pamiętał, opowieść ta miała pokazać, iż każdy człowiek żyje we własnej jaskini, będącej takim „fałszywym światem”, podczas gdy tylko nielicznym udaje się zeń wydostać

i poznać piękno tego prawdziwego. W jego wypadku było dokładnie na odwrót. To świat na zewnątrz stał się fałszywy i nierzeczywisty, istniała i liczyła się tylko mroczna pieczara. Z każdą chwilą było mu trudniej pozostać przytomnym. Fale tępego bólu przychodziły jedna po drugiej, wymuszając świadomość - przynajmniej tę dotyczącą ciała - a kiedy go opuszczały, łapczywie walczącego o następny oddech, perspektywa osunięcia się w nieświadomość była coraz bardziej kusząca. W końcu powieki opadły mu zupełnie, co spowodowało, że znów zobaczył górną część Tima, który tym razem nie krzychał jak bezrozumne zwierzę, lecz wzywał swą żonę. Daniel z przerażeniem przypomniał sobie o mającym się narodzić - być może nawet tego samego dnia - dziecku Tima i szlochając jął go błagać, by przestał, by wreszcie zamilkł i dał mu odpocząć. Wołanie Tima przeszło nagle w grzmiący ryk, o wiele głośniejszy od wybuchu granatu, który go uśmiercił, i za jego plecami ukazała się potężna sylwetka. To tygrys, pomyślał Daniel. Rzucając się rozpaczliwie, próbował się wybudzić z maligny, lecz oczywiście nie mógł. Musiał zostać tam, gdzie był, i patrzeć. Bezradnie obserwował, jak tygrys zatapia długie kły w szyi Tima, jak gdyby obdarzając go namiętym pocałunkiem, i słuchał coraz cichszych wołań kolegi, aż wreszcie umilkły zupełnie. Wtedy wciąż nienasycona bestia przeniosła spojrzenie na Daniela i oblizała ciemne wargi, on zaś wciąż nie potrafiąc się ruszyć ani choćby wydać najlżejszego dźwięku, zaczął kopać pod sobą. Rył w błocie gołymi rękoma,

208

wyrzucając grudy gliny i ciskając je w stronę zwierzęcia, aż je oślepił, a sobie wykopał tunel. Pograżony w delirium, mającąc, wpełzł do tunelu niczym zagoniony lis do nory i sunął nim dopóty, dopóki jego udręczony umysł nie pokazał mu drzwi.

Daniel pchnął drzwi i znalazł się w małym pokoju. Był to pokój dziecienny, w którym mieszkała parka: chłopiec i dziewczynka, niezwykle mali i kościści, całkowicie nadzy i - co ciekawe - pozbawieni pępka. Daniel próbował domyślić się, które z nich może być nowo narodzone dziecko Tima, jednakże oboje popatrywali na niego przyjaźnie i jak gdyby wyczekująco, uśmiechali się bezzębnymi dziąsłami i gulgotali radośnie, tak że nawet jeśli zdawali sobie sprawę, że przyczynił się do śmierci ich - być może - ojca, w żaden sposób nie dawali tego po sobie poznać. Pokoik wyglądał na podziemną komnatę, kiepsko oświetloną i pozbawioną jakichkolwiek mebli, w której jednak pełno było książek. Daniela zastanowiło, do kogo mogły należeć i kto je czytał - no bo chyba nie dzieci, prawda? Książki pięły się wysoko przy ścianach i zaścielały całą, wyłożoną symetrycznymi płytami podłogę; były wśród nich opasłe woluminy i cienkie zwoje, wszystkie zakurzone i wyglądające na niezmiernie stare. Dzieci, różowiotkie i niemal pachnące nowością, siedziały pośród nich, a ich wątłe rączki i nóżki zdawały się falować w przyćmionym świetle komnaty. Dziewczynka pierwsza zauważyła Daniela, oderwała się od lektury i uśmiechnęła do niego, gestem zapraszając do środka.

Kiedy Daniel zaczął ku niej pełznąć, ciągnąc za sobą okaleczoną nogę, podłoga pod nim nagle zadrżała i płyty zaczęły się rozjeżdżać we wszystkie strony. On także zadrżał ze strachu, obawiając się, że wpadł w kolejną pułapkę, wszelako spojrzawszy w dół, zrozumiał, że to, co początkowo wziął za symetryczne płyty, wcale nimi nie jest - pod sobą miał żółwie, istną armię żółwi, których skorupy sprawiały wrażenie żołnierskich hełmów. Książki i zwoje nie były więc rozrzucone po podłodze bez ładu i składu, lecz każde z nich przypisano konkretnemu żółwiowi, który z mozołem dźwigał swój ciężar.

209

Chłopiec i dziewczynka zainteresowali się najpierw nogą Daniela, a potem jego twarzą. Gdy tak wpatrywali się w siebie nawzajem, Daniel dostrzegł w ich delikatnych rysach coś znajomego, jednakże było to zaledwie mgliste uczucie, którego nie potrafiłby sprecyzować, co bardzo źle na niego wpłynęło, tym bardziej że maluchy zdawały się go rozpoznawać. Zakończywszy oględziny, rozsiadły się naprzeciwko niego, wygodnie opierając się o najbliższe żółwie, i czekały. Czego ode mnie chcą? myślał gorączkowo Daniel.

Znowu pierwsza poruszyła się dziewczynka. Rozejrzała się dookoła i zatrzymawszy wzrok na



jakiejś księdze, zdjęła ją z grzbietu żółwia przy wydatnej pomocy chłopca. Daniel patrzył zafascynowany, jak stękając z wysiłku kładą ją sobie na kolanach, po czym otwierają i porozumiewając się niezrozumiałymi dlań dźwiękami, kartkują to w tę, to we w tę. Początkowo nawet uznał, że traktują to jak świetną zabawę, czerpiąc radość z szelestu stronic, rychło jednak stało się dla niego jasne, że ich poszukiwania mają cel. Były tak pochłonięte swoim zajęciem, że nie zwróciły uwagi na Daniela, gdy ten podparł się na łokciach i wyciągnął szyję, by przeczytać tytuł księgi, nadaremno jednak. W końcu dzieci chyba znalazły to, czego szukały, gdyż zaprzestały kartkowania i zręcznym ruchem, jakby robiły to w przeszłości nie raz, obróciły księgę w stronę Daniela. Musiał wyteńczyć wzrok, by w mrocznym świetle odczytać litery, które najpierw skakały mu przed oczyma, by dopiero po dłuższej chwili ustatkować się i nabrać sensu. Pierwsze, co Daniel zrozumiał, to że księga jest napisana w jidysz. Już to zdumiało go na tyle, że drgnął i o mały włos znowu osunąłby się na żółwie skorupy. Jakimś cudem jednak złapał równowagę i przyjrzał się tekstowi dokładniej. Okazało się, że ma przed sobą nie tylko księgę napisaną w jidysz, ale jedną z tych, które przed laty czytał z Rosalie. Aż sapnął z podniecenia, gdy rozpoznał „Opowieść o siedmiu żebrakach” pióra wielkiego mistrza. Róg strony zdobił odcisk dziecięcej rączki. Daniel długo wpatrywał się w rozpostarte przed nim strony, potem przeniósł wzrok na dwie pary uważnie go śledzących oczu, z których zdawał się promieniować niezwykły

210

spokój. Przyjrzał się raz jeszcze atramentowemu odciskowi w rogu strony, po czym zaczął bezgłośnie czytać. Miał właśnie przewrócić stronę, kiedy chłopiec ucapił go za palec, obejmując ściśle całą piąstką; chwilę później dziewczynka złapała go za kciuk, równie mocno, jak to w zwyczaju mają niemowlęta, tak że Daniel poczuł się skrępowany - dziesięć dziecięcych paluszków odcinało dopływ krwi do części jego dłoni. Ze zdziwieniem zauważył, że ich uśmiechy gdzieś znikły, a twarzyczki wykrzywia im teraz płacz. Rozejrzał się znów po komnacie i tym razem, kiedy w oczy rzuciły mu się dziesiątki, jeśli nie setki ksiąg, pomyślał, że być może trafił do sali tortur. Bo przecież nie może być nic gorszego, jak znajdować się pośród ksiązek i nie umieć czytać!

- Chcecie, żebym wam poczytał?

Uśmiechy ponownie zagościły na dziecięcych twarzyczkach, a Daniel poczuł, że uścisk drobnych paluszków słabnie. Dwie pary rączek złapały księgę i podniosły ją wysoko, podsuwając mu niemal pod sam nos, tak że nie miał innego wyjścia, jak tylko ująć ją w swoje dłonie. Dzieci włożyły kciuki do buzi, nachyliły się nad nim i czekały. Patrzyły to na niego, to na księgę, nad którą z wolna pojawiały się dwie nitki cieknącej im z buzi śliny. Daniela znowu naszło uczucie, którego już tutaj doświadczył: że skądś zna te dzieci, a nawet że w komnacie czai się ktoś jeszcze dobrze mu znany, niemniej nie miał czasu się nad tym zastanowić, gdyż czuł również wyteżone oczekiwanie, którym nabrzmiała cisza.

Daniel opuścił wzrok na tekst. Przez chwilę nic nie widział, tylko ciemne kleksy atramentu, które jednak nagle nabrały kształtu liter, podobnie jak farba nabiera kształtu, kiedy już dotknie płótna.

- „Opowiem wam teraz” - czytał na głos Daniel - „o ludziach, którzy niegdyś żyli szczęśliwie...”

Czytając przypominał sobie tę historię, która zawierała w sobie mnóstwo innych historii, a te z kolei złożone były z następnych. On i Rosalie z wielkim trudem się przez nie przedzierali, usiłując z okruczeństwa złożyć coś, co miałoby sens. Teraz zaś było jeszcze gorzej: egzemplarz, który dostał od dzieci, cały był poplamiony, tu i ówdzie w ogóle

211

brakowało strony, a światło z chwili na chwilę robiło się coraz słabsze. Daniel czytał to, co potrafił przeczytać, a resztę próbował sobie przypomnieć, i w ten sposób powstawała całkowicie nowa opowieść, rodem z otchłani. Szło to mniej więcej tak:

Dawno, dawno temu w lesie porzucono dwoje dzieci: dziewczynkę i chłopca. Odnalazł ich ślepy żebrak, ale że był ślepy, nie potrafił wyprowadzić ich z lasu, dał więc im tylko trochę chleba. Dzieci skwapliwie go przyjęły i na odchodnym jeszcze usłyszały błogosławieństwo, „żeby były takie jak on”. Następnego dnia dzieci wciąż były same i znowu głodne. Spotkały w lesie głuchego żebraka,

który podzielił się z nimi skibką chleba i ponownie obdarzył błogosławieństwem, „aby były takie jak on”. W ciągu tygodnia siedmiu żebraków nakarmiło ich i błogosławiło tymi samymi słowami: ślepy i głuchy, jąkała i garbus, paralytyk, bezręki i beznogi.

Minęły lata, w czasie których dzieci dorosły i wreszcie wydostały się z lasu. Dołączyły do grupy żebraków krążących od miasta do miasta i od domu do domu i proszących o jałmużnę. Kiedy osiągnęły pełnoletność, starszyzna żebraków uznała, że chłopiec i dziewczyna powinni się pobrać, a oni na to chętnie przystali. Rozpoczęły się przygotowania do ślubu, wesele miało odbyć się w lesie, gdy tylko wszystko będzie gotowe.

- „Żebracy wykopali wielki i głęboki dół” - czytał Daniel dalej - „z wierzchu przykryli go patykami i ziemią i gdy już wszyscy się w nim znaleźli, rozpoczęło się weselisko...”

Daniel urwał nagle, jakby doznał olśnienia. Poderwał głowę i przyjrzał się dzieciom - dziewczynka wpatrywała się weń wielkimi oczyma, na jej wilgotnej i drżącej z przejęcia dolnej wardze połyskiwało światło, chłopiec tylko się blado uśmiechał. Daniel już wiedział, kim oni są.

- Nie mogę dalej czytać... - wydukał i rozplakał się. Było mu wstyd, że płacze przy dzieciach, ale nie potrafił się powstrzymać. Do czasu aż chłopiec zwinął dłoń w pięstkę i ze złością uderzył we wciąż otwartą księgę. Wtedy Daniel zebrał się w sobie, zaczerpnął tchu i podjął opowieść.

212

Weselisko miało potrwać siedem dni, w czasie których dzieci chciały znów zobaczyć siedmiu żebraków, którym zawdzięczały ocalenie. Co dzień wołały jednego z nich, a on przybywał, udawał, że wcale nie jest kaleką, jak to się na pozór wydawało, opowiadał jakąś historię i składał nowożeńcom podarunek ślubny.

Pierwszego dnia na uczcie weselnej pojawił się ślepiec.

- Sądzicie, że jestem ślepy? - zapytał i kręcąc głową, sam sobie odpowiedział: - Wcale tak nie jest! Po prostu wieczność to dla mnie jak mgnienie oka!

Później opowiedział im o tym, jak to kiedyś znalazł się na wraku statku i ci, którzy ocalili, umilali sobie czas snuciem historii. Każdy z nich musiał wydobyć z pamięci najwcześniejsze wspomnienie i wszyscy opowiedzieli coś fascynującego, ale historia ślepego żebraka nie miała sobie równych: on pamiętał nicość, czas na długo przed tym, jak powstała pierwsza opowieść. Skończywszy mówić, podarował młodej parze długie życie.

Drugiego dnia przybył głuchy żebrak.

- Sądzicie, że jestem głuchy? - spytał i potrząsając głową, sam udzielił odpowiedzi: - Wcale tak nie jest! Po prostu nie warto słuchać tych wszystkich ludzkich narzekań!

I opowiedział o dalekim zamożnym kraju, gdzie ludzie wierzyli, iż prowadzą dobre, szczęśliwe życie. Na każdym kroku mieli rajskie ogrody, w których aż roiło się od widoków, zapachów i dźwięków, tak że rychło postradali zmysły - dosłownie! - odurzeni tym, co zobaczyli, poczuli, usłyszeli, posmakowali i dotknęli. Gdyby nie głuchy żebrak, nigdy by ich nie odzyskali! To on nauczył ich, jak należy korzystać z własnych zmysłów. Kiedy opowieść dobiegła końca, złożył podarunek w postaci dobrego życia.

Trzeciego dnia gościem weselnym był jąkała.

- Sądzicie, że się jąkam? - zapytał płynną mową. - Ależ skąd! Po prostu zwykłe słowa, nie będące pochwałą, nie są warte, by je wymawiać!

Jego opowieść traktowała o górze, z której biło źródło, i o sercu świata, leżącym tysiące kilometrów dalej (bo jak zapewniał jąkała, wszystko ma swoje serce, nawet świat). Źródło i serce tęskniły za sobą nieustannie, ich istnienie było nierozzerwalne, tyle

213

że źródło było uzależnione od serca: biło dzięki piosenkom i zagadkom, które słyszało z oddali.

Jego podarunkiem były więc piosenki i zagadki, przywołujące uśmiech i stwarzające czas.

I tak dzień po dniu na weselisku pojawiali się żebracy, którzy tylko na niby byli kalekami. W rzeczywistości każde kalectwo okazywało się wyjątkowym podarunkiem, niosącym umiejętność odnalezienia odłamków prawdziwego świata wśród pozorów i zlepiania z nich sensownej całości.

Daniel czytał coraz szybciej, nie mogąc się doczekać opowieści ostatniego żebraka, tego bez nogi. Doczytał do końca opowieść bezrękiego i z drżeniem serca przewrócił stronę...

Nic tam nie było.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. „Opowieść o siedmiu żebrakach” dobiegła końca: bezręki żebrak wręczył nowożeńcom swój podarunek i tam, gdzie powinna rozpocząć się ostatnia część, widniała czysta strona.

- A co z tym bez nogi? - zapytał na głos.

Pamiętał przecież, że kiedy czytali tę książkę z Rosalie, miała zakończenie jak należy! A może tak mu się tylko zdawało? Czyżby autor umarł, nim dokończył opowieść?... Daniel popatrzył na dzieci. Buzie miały roześmiane, oczyma strzelały od pustej strony do jego zmartwionej twarzy i z powrotem. Chłopiec zaczął się nawet śmiać radosnym gulgotającym dziecięcym śmiechem, który rozchodził się ciepłymi falami po całej komnacie. Nagle Daniel przypomniał sobie Tima i Roba, i Wayne'a, i masakrę, jaką zgotowano im na zewnątrz, a także swój w niej udział. Jakże mógł zaufać, uwierzyć, wyobrazić sobie, zamiast widzieć to, co czarno na białym miał przed sobą?! Zateśknił nagle do czasu niemowlęstwa i niewinności z nim związanej, wolałby nawet być taką oto nie narodzoną istotą, aniżeli przyczynić się do tego, czego nigdy nie zdoła wymazać z pamięci! Powiódł wzrokiem po wpatrzonych w niego, znowuż poważnych twarzyczkach i zapragnął nigdy nie opuścić tej komnaty, nigdy nie wypuścić z rąk malutkich ciepłych dłoni, zawsze tu być i czytać niekończące się opowieści... Wzburzenie spowodowało, że nogą szarpnął ostry ból, niemal odbierający mu zmysły, jednakże Daniel wykorzystał

214

całą pozostałą siłę woli, by nie wydać choćby najłżejszego jęku, byle tylko nie sprawić przykrości chłopcu i dziewczynce...

- A co z tym bez nogi? - zapytał ponownie, kiedy już był pewien swego głosu.

Dzieci roześmiały się na to pytanie, tak że przyszło mu nawet do głowy, że to wszystko to psikus, a ostatnia strona opowieści leży ukryta gdzieś na podłodze pośród żółwiowych skorup i starych zwojów. Utwierdził go w tym przekonaniu chłopiec, który odpełził kawałek i sięgnął po niepozorny cienki zwój. No, nareszcie, pomyślał z ulgą Daniel. Zaraz się dowiem. W duchu popędzał małe ciało, by pęzło z powrotem szybciej, i nie zwracał uwagi na rozradowaną dziewczynkę, która z napięciem obserwowała, jak zwój przechodzi z małej zaciśniętej rączki do męskiej poharatanej, zakrwawionej dłoni.

Daniel rozwinął go, gotów poznać prawdę o żebraku bez nogi i tym, co miał do zaoferowania, ale papier był pusty, jeśli nie liczyć trzech słów, tym razem po angielsku:

**SAM SIĘ PRZEKONAJ!**

Sam się przekonaj?

Daniel siedział jak ogłuszony, gdy nagle z oddali doszedł go jakiś dźwięk. Obrócił się błyskawicznie, posykując z bólu, i zobaczył, że to drzwi, którymi dostał się do komnaty, otwierają się za sprawą napierających na nie żółwich skorup podobnych do żołnierskich hełmów. Wyczuwszy ruch za plecami, odwrócił się raz jeszcze, by dostrzec, że para dzieci oddala się od niego, machając mu na pożegnanie filigranowymi rączkami. Podłoga znowu zadrżała, poczuł, jak żółwie układają się pod nim i zaczynają go wynosić z komnaty. Dzieci już na niego nie patrzyły, zaprzątnięte swoimi sprawami śmiały się radośnie, podskakując przy każdym wybuchu śmiechu, jakby go tam w ogóle nie było.

- Proszę, nie każcie mi odchodzić! - krzyknął Daniel.

Jak grochem o ścianę. Nieustający marsz żółwi trwał, coraz dalej od dzieci, przez drzwi, w górę tunelu, do pieczary.

215

Kiedy Daniel zrozumiał, gdzie go zabierają, ogarnął go taki strach, że zaczerpnąwszy porządnie tchu, zaczął krzyczeć.

Był to pierwszy krzyk, który Danielowi udało się wydać z siebie od bardzo dawna, i z pewnością

najgłośniejszy. Krzyczał nieprzerwanie, dopóki nie zobaczył, że skorupy żółwi, tak bardzo podobne do żołnierskich hełmów, faktycznie są hełmami i że żołnierze wynoszą go z pieczary na światło dzienne, manipulując przy jego szyi, ciągnąc za łańcuszek, na którym wisiały nieśmiertelniki, i wreszcie wołając go po nazwisku.

- Szeregowy Zyskind?!

## Rozdział Dziesiąty.

Cała kategoria pytań, ułożonych przez Bena dla celów teleturnieju „Amerykański geniusz”, dotyczyła ciąży. Odpowiedzi krążyły wokół słów takich, jak: morula, blastula, zygota, zarodek ze skrzelami, płód. Współpracownicy Bena żartowali, że posiadał wiedzę w tej dziedzinie tak rozległą, iż prześcignął niejedną przyszłą matkę. Jemu również tak się wydawało. Teraz wszakże, kiedy Sara była w ciąży, Ben nie miał pojęcia, co to naprawdę oznacza. Rozglądał się po wagonie kolejki, a potem gdy już się przesiadł, także metra, spoglądał w twarze nieznanym i rozmyślał. Czy to, co Sara w sobie nosi, to osoba czy rzecz? A może tylko czyjś zamysł? Czy można powiedzieć, że to byłby samodzielny czy też raczej część jego siostry? Uporczywie nawiedzała go myśl, że to właśnie w ten sposób on i Sara spotkali się po raz pierwszy.

Bliźnięta. Kiedy był mały, nawet mu do głowy nie przyszło, że mógłby wieść życie odrębne od niej albo - żeby wyrazić to precyzyjniej - do głowy mu nie przyszło, że Sara mogłaby wieść życie odrębne od niego. Do śmierci ich ojca wszystko robili razem. Rano szli razem do szkoły, na lekcjach siedzieli obok siebie, rozmawiali ze sobą w jidysz, gdy nie chcieli, by zrozumieli ich inne dzieci, w domu dzielili się zadaniem domowym, a potem całymi popołudniami układali klocki w niesłychanie skomplikowane budowle. Ben, który był odrobinę starszy i odrobinę bystrzejszy, zawsze przewodził ich zabawom, świetnie się czując w roli grającego pierwsze skrzypce,

217

a Sara po prostu we wszystkim go słuchała. Na początku każdego roku szkolnego władze szkoły robiły co mogły, by umieścić ich w oddzielnych klasach, ich rodzice zaś regularnie oprostowali taką decyzję, dopilnowując, by bliźniaki pozostały razem. Jednakże w wakacje poprzedzające piątą klasę nowotwór ojca rozprzestrzenił się z płuc na praktycznie całe ciało i nikt nie pamiętał, by stanąć w obronie Bena i Sary. A później, kiedy ojciec umarł, stała się rzecz zadziwiająca: Sara wystrzeliła w górę, przerastając Bena o głowę! Stała się powabna i zwinna, podczas gdy Bena wtłoczono w ramy jego stalowo plastikowej klatki, w której trudno mu było urosnąć choćby o centymetr. Jej umysł rozkwitał, czemu dawała wyraz malując świat takim, jakim go widziała, bądź przetwarzając go po swojemu i czyniąc jeszcze piękniejszym, Ben zaś powoli zamieniał się w więźnia własnego błyskotliwego mózgu. Teraz, kiedy mieli po trzydzieści lat, Sara spodziewała się dziecka, a on wciąż czekał, aż jego życie się rozpocznie...

Patrzył właśnie na siedzącą naprzeciw niego ciężarną kobietę (dlaczego nagle wszyscy wokół zdają się spodziewać dziecka? nie mógł zrozumieć Ben), gdy przypomniał sobie coś strasznego. Zaraz po tym jak ich ojciec umarł, matka powiedziała jemu i siostrze, że dostał nową, ważną pracę. Nie był już inżynierem dróg i mostów, jak za życia, lecz inżynierem dusz na tamtym świecie, gdzie przygotowywał niespodziankę dla obojga bliźniąt, budując dla nich przyszłość. Bena ta perspektywa rozwścieczyła. Złapał pierwszy z brzegu środek chemiczny (był to łazienkowy odświeżacz powietrza), wziął zapalniczkę po ojcu i wypadł na tylne podwórze, gdzie miał zamiar dokonać swego przełomowego eksperymentu. Jego jedenastoletni umysł wykoncypował sobie, że skoro ojciec czuwa nad ich przyszłością, zapewne zainterweniuje widząc, że syn zamierza puścić dom z dymem. Nacisnął delikatnie zwalnicznik odświeżacza i przyłożył płomień - pierwsza kula ognia była niepozorna i szybko zgasła. Powtórzył czynności. Tym razem trzymał przycisk dłużej, toteż druga kula ognia wyszła mu bardziej imponująca, cóż z tego jednak, skoro ojciec nadal nie interweniował! Za trzecim razem powołał do życia wspaniały łuk ognia, który zdążył prosto ku drewnianej ścianie domu. Śledząc go

z pałającymi z podniecenia policzkami, Ben w ostatniej chwili stchórzył i odciął dopływ chemikaliów. Ogień zgasł, a chłopiec odetchnął z ulgą. Potem zastanawiał się, czy to ojciec w jakiś sposób wpłynął na niego, by zaprzestał zabawy, tym samym pracując nad jego, Bena, duszą, ale zaraz odrzucił tę myśl. To niemożliwe, uznał. A że miał umysł małego naukowca, postanowił to udowodnić. Pochwycił odświeżacz i z całej siły nacisnął zwalniacz, kierując strumień pachnącego ostro powietrza wprost na drewnianą ścianę. Jeśli ojcu naprawdę zależy na mojej przyszłości, myślał, powstrzyma mnie. A jeśli nie, po co komu dom? Ben był niezwykle rozżalony, i to od dawna. Jako jedyni w okolicy mieszkali w jednopiętrowym drewnianym domku, ponieważ tak było wygodniej ich ojcu, kiedy jeszcze żył. Teraz wyobraził sobie, że przeprowadzą się do lepszego domu: wielopiętrowego, z mnóstwem stopni i schodów, z pokojami wysoko w wieżyczkach i głęboko w piwnicach, do których wieść będą spiralne wąskie klatki schodowe sięgające nieba i piekła.

- No to zobaczymy, czy zdołasz mnie powstrzymać! - krzyknął Ben w stronę niebios, wystrzykując jeszcze więcej odświeżacza. - Jeśli naprawdę tam jesteś, zrobisz to! No, dalej!...

Wypisał już chyba prawie całą objętość pojemnika, wokół było aż gęsto od trujących związków chemicznych, od których kręciło mu się w głowie. Ben zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od śmierci ojca czuje się lekko, co tylko uczyniło go odważniejszym. Czekał jeszcze chwilę, aż wreszcie zakrzyknął z tryumfem:

- No i mnie nie powstrzymałeś!

Przyłożył zapalniczkę do niemal widocznego strumienia oparów i już miał ją zapalić, kiedy matka złapała go w pasie, powaliła na ziemię niczym mistrz zapaśniczy i wyłuskała z jego drżącej dłoni kolejne, ostatnie już chyba zippo.

Otrząsnął się ze wspomnień. W głowie kotłowało mu od faktów poznanych podczas układania pytań: od RNA i DNA, chromosomów i nukleotydów, podwójnych helis i genów, groszku i praw Mendla. Czy tego chciał czy nie, wewnątrz Sary zachodził tajemniczy proces, podczas którego maleńkie fragmenty

219

ich rodziców wirowały niewidoczne i milczące, tworząc nową duszę. Każda mająca dać życie kobieta nosi w sobie cząstkę umarłych...

Nie znalazłszy tego, czego szukał za pierwszą wizytą, Ben wrócił do domu rodziców, żeby poszukać jakichkolwiek materiałów wiążących się z obrazem, na wypadek gdyby go jednak złapano. Byłby winny kradzieży, ale przynajmniej mógłby się bronić. Niestety wyprawa nie do końca się udała. Ledwie wszedł do gabinetu, w oczy rzuciły mu się naścienne malunki Sary i poczuł, jak w jego sercu i u jego stóp otwiera się ziejąca dziura. Cały dzień spędził na przeglądaniu różnych papierów, a było ich zatrzęsienie. Wszędzie poniewierały się jakieś a to kontrakty matki zawarte na nigdy nie powstałe ilustracje, a to jego własne wyniki badań z dołączonymi zdjęciami rentgenowskimi, wypis ojca ze szpitala wojskowego mówiący o amputacji, nieskładne historyjki zapisane dziecięcym pismem Sary, wreszcie akty zgonu rodziców i plan cmentarza z zaznaczonymi kwaterami. Jedyny dokument dotyczący obrazu stanowił list od marszanda. Choć krótki, zawierał bulwersującą treść, toteż Ben natychmiast skontaktował się z Sarą. Kiedy wszakże próbował przez telefon wyjaśnić jej, o co chodzi, dosłownie zachłystywał się powietrzem z oburzenia i nie był w stanie wydukać jednego sensownego słowa. Rzucił więc tylko: „Spotkamy się wieczorem” i odłożył słuchawkę.

Nie patrząc więcej na list, zaczął go składać, aż kartka zamieniła się w wąski sztywny pasek papieru (Ben oczywiście wiedział, że żaden kawałek papieru nie da się złożyć więcej niż siedem razy, mimo to próbował, być może chcąc w ten sposób zanegować fakty). Przez całą drogę powrotną raz po raz sięgał do kieszeni i sprawdzał, czy list jest na miejscu - w pociągu, w metrze, podczas spaceru słabo oświetloną ulicą wiodącą do jego mieszkania, nawet wchodząc do bramy. Jak powiedzieć o tym Sarze? dumał. Oblewały go siódme poty na samą myśl o tym, że jakoś będzie jej musiał wszystko

wyjaśnić. Choć wieczór był chłodny, musiał obetrzeć czoło, potem zdjął okulary, by przetrzeć także szkła. Pozbawiony soczewek korygujących postrzegał świat jak obraz abstrakcjonisty

220

- jawiły mu się same niewyraźne kształty i rozmyte plamy koloru. Zdarzało mu się nawet zastanawiać, który świat istnieje naprawdę: ten, który widzi za pomocą okularów, czy też ten roztaczający się przed nim, gdy nie ma ich na nosie. Zresztą od jakiegoś czasu i tak nie wierzył w to, co widzi. Kiedy jeszcze byli z Niną małżeństwem, zbyt często spoglądał na nią tylko własnymi oczyma i ufał, że się doń uśmiecha.

Nim wsunął z powrotem okulary, dostrzegł przed sobą zarys osoby - mógł stwierdzić, że to kobieta, dopiero po silnym zmrużeniu oczu - ubranej w ciemnoczerwoną... ciemnoczerwone... nie, jednak ciemnoczerwoną spódnicę, nie spodnie, i bluzkę bez rękawów. Stała pomiędzy wejściem do bramy a kublami na śmieci i chyba na kogoś czekała. W wieczornym świetle jej rozmyty zarys wydał mu się bardzo pociągający i przez moment pożałował, że nie czeka na niego. Jednakże postanowił zignorować jej obecność, zgodnie ze swą zasadą ograniczania kontaktów z obcymi do minimum. Założył okulary, by uwolnić ręce, i zaczął szukać po kieszeniach klucza, cały czas kątem oka podziwiając rozmyty kształt, który w pewnym momencie wydał mu się jakby znajomy. Erika Frank tutaj? pomyślał skonfundowany. W tym samym momencie kobieta się odezwała.

- Dzień dobry, panie Zyskind. - Postąpiła krok do przodu, stając naprzeciwko Bena. - Poznaje mnie pan? Jestem Erika, poznaliśmy się w muzeum....- Tak jakby mógł o tym zapomnieć. Ciekawe tylko, czy rzeczywiście czekała tu na niego czy to zwykły zbieg okoliczności?... - Przepraszam, że znowu zawracam panu głowę...

Zatem czeka na mnie, skonstatował Ben i zaraz w duchu dodał: Znowu będzie mi wiercić dziurę w brzuchu. Uśmiech jednak miała szczery i tak obezwładniający, że nie potrafił się na nią złościć.

- Cześć! - rzucił, jak gdyby była przyjaciółką, na którą wpadł przypadkiem, i to spotkanie go ucieszyło. Niemniej, mimo że z przyjemnością chłonał jej widok i słuchał jej głosu, pozostał lekko nieufny.

- Dzwoniłam do pana wcześniej - wyjaśniała tymczasem Erika - lecz nikt nie odbierał telefonu, pomyślałam więc

221

sobie, że skoro wieczorem i tak będę przechodzić w pobliżu, równie dobrze mogę do pana zajść. Przyniosłam ze sobą... - urwała i sięgnęła do torebki.

Ben patrzył na nią w osłupieniu. Kiedy zaczęła się szarpać z zamkiem od torebki, jej bujne włosy odsłoniły szyję i zagłębienie obojczyka, których widok z jakiegoś powodu przywiódł mu na myśl Sarę. Chciał już jej pomóc - po to tylko, by mogli szybciej załatwić sprawę, czymkolwiek była, i się pożegnać, lecz Erika już wydobywała z czeluści torby... książkę. Zaprezentowała mu okładkę tak, że nie spuszczając wzroku z jej twarzy, wyraźnie widział rysunek przedstawiający zaśnieżony pejzaż. Nad dwoma małymi, przykrytymi śniegiem nagrobkami, na tle namalowanego akwarelami nieba unosiła się kobieca postać. Ben rozpoznał ostatnią pracę matki - mającą przyprawić o dreszcze i piski strachu książeczkę dla dzieci zatytułowaną „Lepszy świat”.

- Jak już panu mówiłam, jestem wielką fanką twórczości pańskiej matki i bardzo bym chciała, żeby podpisała dla mnie choć jedną ze swych książek - zakończyła Erika z uśmiechem.

Ben ujął książkę bezwiednie, gdyż całą uwagę miał skupioną na Ericie - na jej uniesionych pytająco brwiach, wpatrzonych weń wielkich szmaragdowych oczach, karminowych wargach i białych równych zębach odsłoniętych w uśmiechu, w którym mimo najszczerzych chęci nie potrafił doszukać się krzty fałszu. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni jakakolwiek kobieta spoglądała na niego z takim wyrazem twarzy, jeśli nie liczyć Sary, rzecz jasna, i Niny - ale tylko w pierwszych miesiącach ich małżeństwa. Wystarczyło bowiem kilka tygodni, by jej szczery uśmiech zamienił się w ironiczny grymas. Teraz, mając przed sobą Erikę, Ben poczuł zadziwiająco lekkość ciała i umysłu i na śmierć zapomniał, że jego matka nie żyje.

Zerknął znów na okładkę książki, po raz pierwszy zauważając podobieństwo widniejącej tam

ilustracji do obrazu Chagalla; z przyjemnością śledził łagodne linie kobiecej sylwetki, wyciągniętej w locie i uwolnionej od ziemskiego ciężenia. Nie mógł się powstrzymać, by nie otworzyć książki - kiedy to zrobił, Erika postąpiła jeszcze jeden krok ku niemu. Ben

222

zamarł, nie wiedząc, czego się spodziewać. Wtedy usłyszał ciche:

- Wiem, że pan to zrobił, panie Zyskind. Zatrzasnął okładki z hukiem i odskoczył do tyłu, chcąc wydostać się spod jej wpływu i znaleźć poza jej zasięgiem, lecz za plecami miał mur. Erika wykorzystwała to i zbliżyła się doń jeszcze bardziej.

- W dokumentacji znajduje się nazwisko pańskiej matki - ciągnęła szeptem. - Wiem, że obraz wcześniej należał do niej.

Ben poruszył bezgłośnie ustami. Przypomniawszy sobie horror „Dorośli kontra cudowne dzieci”, kiedy to w świetle mocnych reflektorów pocił się w swej klatce, czując, jak serce próbuje wyskoczyć mu z piersi, gdy rozpaczliwie szukał właściwej odpowiedzi i trzymał drżącą rękę zaledwie milimetry od czerwonego przycisku - teraz bowiem doświadczał tego samego. Nagle do jego wspomnień zakradło się nowe doznanie, na grzbiecie jego dłoni spoczęło coś niewiarygodnie miękkiego i chłodnego. To delikatne palce Eriki go dotknęły.

- Potrafię zrozumieć, że pańska matka chce odzyskać obraz...

Ben przelknął ciężko i wyszarpnął rękę spod jej dotyku, jakby nagle użądliła go osa.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi!

- Jestem w stanie ci pomóc, Ben... - Erika mówiła łagodnym, ciepłym głosem. - Są sposoby, by cała ta sprawa zakończyła się bez nieprzyjemnych konsekwencji dla ciebie. Jeśli tylko zechcesz, powiem ci, jak możesz zwrócić obraz, nie ściągając na siebie podejrzania...

Nieoczekiwanie przeszła z nim na „ty” - jego imię w jej ustach brzmiało tak naturalnie, jakby od lat nie inaczej się do niego zwracała. To Bena zaniepokoiło. Chciał się cofnąć, lecz był przyparty do muru; tuż przed sobą miał Erikę, która odcinała mu drogę ucieczki. Czuł na sobie jej oddech, słodki i różowawy. Pomyślał, że ostatnio był tak blisko kobiety wtedy, gdy jego żona oznajmiła mu, że odchodzi, a on po początkowych godzinach spędzonych na otrząsaniu się z szoku i błaganiu jej,

223

by zmieniała zdanie, nachylił się, aby pocałować ją na pożegnanie. Odepchnęła go wówczas z obrzydzeniem. Teraz poczuł pełznące mu po krzyżu zimno.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi! - powtórzył, zmuszając się, by słowa przeszły mu przez gardło. - Skoro coś pani podejrzewa, dlaczego nie wezwie pani policji?...

Odrzuciła głowę do tyłu i uśmiechnęła się zwycięsko.

- Skoro jest pan niewinny - odparła w tym samym stylu

- dlaczego sam pan jej nie wezwie? Proszę zadzwonić i powiedzieć, że pana napastuję! - Kostki palców zaciśniętych na pasku od torebki pobielaly jej gwałtownie. - Jeśli tego nie zrobiłeś, Ben, nie stoi na przeszkodzie, byś mnie zaskarżył

- dodała cicho - ale jeżeli to jednak ty zabrałeś obraz, dobrze się zastanów, nim poczynisz jakiegokolwiek kroki... Uwierz mi, mam swoje powody, by zaproponować ci pomoc. A oddanie obrazu wyjdzie wszystkim na dobre.

Ramiona zaczęły jej drżeć z nerwowego podniecenia i to paradoksalnie uspokoiło Bena. Z wolna docierały do niego inne wrażenia, poprzednio odcięte przez spanikowany umysł. Był teraz świadom intensywnego zapachu unoszącego się znad kubłów, dostrzegał trzepoczący na wietrze materiał czerwonej spódnicy i fragment zgrabnej nieopalonej nogi. Kiedy przeniósł wzrok z powrotem na twarz Eriki, dostrzegł, że się uśmiecha. Zastanowiło go, czy robi to specjalnie, by wzbudzić w nim zaufanie, z nerwów czy też faktycznie chce go zachęcić do współpracy. Zaufać jej? myślał i milczał. Erika spoglądała na niego wyczekująco, niecierpliwie poprawiając rozwiane przez wiatr włosy. Ben ze wstydem uświadomił sobie, że ma rozchylone usta.

- Masz dzień, by się zdecydować - oznajmiła, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Spotkamy się jutro wieczorem o dziewiątej przed muzeum. Jeśli nie przyjdiesz, dotrę bezpośrednio do twojej

matki. Nie zawaham się, nawet jeśli trzeba będzie zdobyć nakaz rewizji jej domu...

Rewizja w domu rodziców? Ben zagryzł wargę i przymknął oczy. Kiedy je otworzył, poczuł się tak, jakby niewidzialna ręka zdjęła mu okulary: powietrze przed nim falowało, sylwetka Eriki rozmyła się na konturach i zmieniła lekko barwę.

224

Za nią pojawiła się jakby druga postać, odcinając się jaskrawą zielenią od szarości przeciwległego muru.

- Sara! - wykrzyknął.

Erika odwróciła się raptownie. Tuż za nią stała Sara. Ben zlustrował ją wzrokiem i doszedł do wniosku, że tego dnia musiała prowadzić zajęcia, gdyż prezentowała się znacznie lepiej niż na ogół: kręcone włosy miała związane w luźny węzeł, na sobie elegancką połyskującą zielono bluzkę i ciemne spodnie, które z całą pewnością nie były džinsami, jej lewe przedramię zdobiła tylko jedna smuga niebieskiej farby. Pod ostrzałem ich spojrzeń poruszyła się niespokojnie i przeszła parę kroków. Erika cały czas uśmiechała się do niej.

- Cześć, jestem Erika - oznajmiła w końcu, wyciągając na przywitanie rękę.

Sara skinęła tylko głową. Erika w zwolnionym tempie opuściła ramię wzdłuż tułowia. Choć trwało to ułamek sekundy, nie uszło uwagi Bena, że obie kobiety zmierzyły się wzrokiem, przeprowadzając inspekcję włosów, twarzy, piersi i bioder.

- To moja siostra, Sara - dokonał prezentacji Ben i kątem oka spostrzegł, że Erika ledwie dostrzegalnie się odprężyła. Już nie tak spięta poszukała paska torebki i zaczęła się nim bawić. - Saro, to Erika. Ona... eee... Poznaliśmy się w muzeum w zeszłym tygodniu.

Zaakcentował słowo „muzeum”, mając nadzieję, że Sara zrozumie prawdziwy przekaz, ale ona zaabsorbowana była już całkiem jawnym ocenianiem Eriki, jak gdyby ta była jednym z jej obrazów, wymagającym naniesienia poprawek: tu trochę koloru, tam nieco światłocienia...

- Jestem wielką fanką twórczości waszej matki - wyznała Erika Sarze i gestem wskazała Bena. Ten zdziwił się niepomniernie, kiedy opuściwszy wzrok dojrzał w swych dłoniach egzemplarz „Lepszego świata”. - Wpadłam dzisiaj, żeby zostawić książkę do podpisu.

- Do podpisu?! - powtórzyła Sara. Ben dostrzegł w jej oczach nie tyle zdziwienie, ile raczej przerażenie, i nagle sam przypomniał sobie to, o czym podczas rozmowy z Eriką zupełnie zapomniał. Poczuł się tak, jakby go siłą wybudzono

225

z przyjemnego snu, jakby już na zawsze miał utracić spokój ducha. - Ale przecież...

Ben szybko przełożył książkę do jednej ręki, palcami drugiej szczypiąc Sarę w ramię.

- Nic się nie martw - zapewnił nienaturalnie ożywionym głosem - niedługo dostaniesz ją z powrotem!

- Może jutro wieczorem? - podsunęła Erika. Cienkie jasne włoski na jej przedramieniu stanęły na sztorc w nagłym powiewie chłodnego wiatru. - O dziewiątej? Jestem pewna, że wtedy się zobaczymy - dodała.

Widzieli się jeszcze przez chwilę, nim Erika nie obróciła się na pięcie i nie odeszła, zostawiając za sobą Bena trzymającego w ręku jej książkę i wdychającego jej zapach.

## Rozdział Jedenasty.

Ben objął Sarę ramieniem i wprowadził do budynku. Znalazłszy się w mieszkaniu zajęli miejsca na stojącej pośrodku pokoju sofie (Ben kupił ją niedawno w sklepie z używanymi meblami, nie zastanawiając się nad kolorem ani fakturą obicia, gdyż przede wszystkim zależało mu, aby zappełnić pustkę powstałą w wyniku grabieżczych działań Niny). Sara w zamyśleniu wodziła palcem wskazującym po okładce przekazanego przez Erikę egzemplarza, a Ben zezował na brzuch siostry, próbując sobie wyobrazić, co się w nim kryje. Musiał przestać, kiedy Sara odłożyła książkę na



podółek i się odezwała.

- Jest naprawdę piękna, Ben. Kto to właściwie jest?

Ben zeszywniał. Czasami wciąż czuł się tak, jakby nadal tkwił zasklepiony w swojej klatce, wymuszającej na nim prostą postawę i powodującej irytujące swędzenie pomiędzy łopatkami, dokładnie jak to miało miejsce, gdy był dzieckiem. Odkąd osiągnął dorosłość, działało się tak zwłaszcza wtedy, gdy rozmawiał z Sarą na temat kobiet w swoim życiu. Nawiasem mówiąc Ninę, swoją eks, zawdzięczał nikomu innemu jak właśnie Sarze: poznał ją na przyjęciu zorganizowanym przez siostrę w celu wyswatania go ze znajomą artystką projektantką pracującą dla telewizji. Kobieta okazała się bardzo ładna, ale niegotowa na nowy związek (wyszła z przyjęcia wcześniej, tłumacząc się bólem głowy); Nina, będąca przypadkowym gościem, przez cały wieczór zaśmiewała się z dowcipów Bena, a potem wyszła za niego. Sara szóstym zmysłem wyczuła, że to

227

małżeństwo z góry skazane jest na porażkę, lecz milczała. Później odmawiała wysłuchiwania żalów Bena i zmieniała temat, ilekroć pragnął się przed nią otworzyć. Niewątpliwie chciała go w ten sposób chronić, ale pomiędzy nimi nie trzeba było wiele słów. Jak każde bliźnięta, i oni stworzyli magiczny system porozumiewania się, który, gdy wciąż jeszcze byli bardzo młodzi, rozszerzył się na Leonida. Niny, czwartej osoby, nie był już w stanie wchłonąć. Teraz Ben ze zmartwieniem pomyślał, że wkrótce znów pojawi się między nimi ktoś czwarty...

- To ta z muzeum - odparł niby obojętnym tonem.

- Uważa, że to ja ukradłem obraz, i chce mnie namówić, bym go jej oddał jutro wieczorem.

Obiecuje, że nikomu nic nie powie, jeśli zrobię tak, jak mówi.

Sara przysłuchiwała się słowom brata, przekrzywiwszy głowę, by nadal móc spoglądać na spoczywającą na jej podółku książkę. Spod ledwie spiętych włosów wyzierała jej smukła szyja.

- Jest naprawdę piękna... - powtórzyła.

- I co, twoim zdaniem mam jej z tego powodu zaufać?

Sara nie odpowiedziała. Ben wzruszył ramionami i postanowił więcej nie mówić - ani, jeszcze lepiej, nie myśleć

- o Ericie. Spojrzał na leżącą przy sofie stertę przekazaną mu do recenzji. Zawierała hasła do encyklopedii, które zaczął czytać minionego wieczoru i przy których zasnął. Jako dziecko nigdy nie miał dość encyklopedii. Gdy jego ojciec umarł i nie pozostało mu nic innego jak zapamiętane opowieści, nie raz wracał w myślach do historii mówiących o okolicznościach, w jakich stracił nogę (a te z biegiem czasu obrastały w nowe szczegóły albo zupełnie się zmieniały, tak że powstały wersje tak różne jak ta o nieśmiertelnym tygrysie, trzęsieniu ziemi, a nawet kłótni rodzinnej). Ben postanowił sprawdzić wszystko w książkach i tak dotarł do encyklopedii, z których dowiadywał się o zwyczajach rozmaitych zwierząt, dalekich krajach, dawnych wojnach, wyobrażając sobie przy tym, że w taki oto sposób przygotowuje się na równie okropną ewentualność, z której jednak miał zamiar - w przeciwieństwie do ojca

228

- wyjść obronną ręką, czy raczej nogą... Teraz encyklopedie go nudziły.

Sara poruszyła się i otworzyła książkę. Widząc to, Ben przysunął się do niej, by także móc patrzeć na obrazki. Pierwszy, który rzucił mu się w oczy, przedstawiał parę jadącą samochodem:

mężczyzna prowadził, zaciskając usta w wąską czarną kreskę, a dłonie na kierownicy, tak że kostki mu pociemniały, zamiast pobieleć; na pstrokatym tylnym siedzeniu tkwiła blado się uśmiechająca, niemal przezroczysta kobieta.

- Nie powiedziałeś jej o mamie...

- Nie... - Ben przez chwilę zastanawiał się, jak to wyrazić. - Kiedy dała mi książkę, ja... ja... sam nie wiem.

Wiedział jednak doskonale. Erika dała mu sposobność ożywienia matki czy choćby podtrzymania iluzji, że żyje. Jak długo Erika będzie wierzyć, że Rosalie Zyskind nie umarła, tak długo Ben będzie mógł wierzyć w to samo...

- Najbardziej podobały mi się barwy - powiedziała cicho Sara, obrysowując palcem kontury niewidzialnej kobiety.

- Ta soczyście czerwona spódnica...

O wszystkim mówiła tak, jakby stanowiło część obrazu. Miała nieprawdopodobnie plastyczną wyobraźnię i Benowi często się zdawało, że gdyby nie siostra, nie byłby w stanie wyłowić tyle z rzeczywistości. Teraz także ujrzał Erikę w zupełnie nowym świetle i uśmiechnął się do siebie. Czy nazajutrz pójdzie na umówione spotkanie? Już zaczynał mieć na to ochotę, gdy przypomniał sobie, dlaczego dziś spotkał się z Sarą. Wyprostował się i wyjął jej z rąk książkę.

- Chcę, żebyś coś zobaczyła - powiedział rozkładając zmaltretowaną kartkę. - Przywiozłem to z domu.

Przejechał otwartą dłonią po licznych zagięciach, po czym umieścił list na książce i podsunął ją na powrót Sarze.

Krwistoczerwony nagłówek przykuwał wzrok. W jaskrawej ramce widniały ogniste litery składające się na napis: POMORNIK-SZTUKA-WYMIANA. Sara zerknęła na nie najpierw od niechcenia, by zaraz się nachylić i położywszy dłoń na krawędzi kartki, dosłownie połykać treść, którą Ben tak bardzo chciałby zapomnieć.

229

18 grudnia, 1986 r.

Szanowna Pani Zyskind!

Jest mi niezmiernie przykro z powodu nieprzyjemnego przebiegu naszej wczorajszej rozmowy telefonicznej, niemniej w niniejszym liście podtrzymuję wszystko to, co już Pani powiedziałem: moja decyzja dotycząca szkicu do obrazu Chagalla pt. „Nad Witebskiem” pozostaje nieodwołalna. Nawet gdyby przyjąć do wiadomości Pani oskarżenia wobec osoby p. Siergieja Popowa (które notabene wydają mi się nie tylko nie na miejscu, ale i mocno naciągane - w końcu miała Pani zaledwie pięć lat, kiedy się rzekomo spotkaliście), nie zmienia to w niczym faktu, że p. Popow jest jednym z moich najpoważniejszych klientów, z którym zawarłem wiele transakcji, od czasu kiedy w Związku Radzieckim rozpoczęła się pieriestrojka. Muszę zaznaczyć, że współpracując z nim, ani razu nie natknąłem się na najmniejsze choćby problemy, nie mówiąc już o tym, że darzymy się wzajemnym zaufaniem. Jeszcze raz podkreślam, że zarzuty, jakie Pani postawił w swym faksie, a które Pani wczoraj odczytałem, nie są błahe. Mówiąc w skrócie, jest Pani podejrzana o popełnienie przestępstwa.

Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie jest moim zamiarem szarganie pamięci Pani ojca, lecz tylko zwrócenie Pani uwagi na to, że przy transakcji tej wagi świadectwo zmarłych członków rodziny nie może być traktowane poważnie. Jak Pani wie, byłem skłonny wziąć pod uwagę zarówno przedstawianą przez Panią wersję, jak i opinię eksperta przez Panią poleconego, jednakże w zaistniałej sytuacji ani jedno, ani drugie nie przedstawia dla mnie większej wartości, a z usług wzmiankowanego eksperta właśnie zrezygnowałem. Tak się bowiem składa, że ostatnimi czasy rynek sztuki został dosłownie zalany kopiami dzieł Chagalla - oszuści korzystają na tym, że odkąd artysta zmarł w ubiegłym roku, niezwykle trudno jest potwierdzić autentyczność przypisywanych mu prac. Nie muszę chyba Pani tłumaczyć, jak niekorzystne to jest dla wciąż pozostających na rynku oryginałów, a także dla osób jak ja zajmujących się handlem dziełami sztuki. W świetle powyższego rozumiem Pani, mam nadzieję, że Pani prośba, by obraz został Pani zwrócony, nie może zostać spełniona. Nawet gdyby p. Popow wyraził chęć zadania

230

sobie trudu i poniesienia kosztów przesyłki, czego z pewnością nie ma najmniejszego zamiaru zrobić, ja w zgodzie z własnym sumieniem i wiedzą profesjonalisty osobiście zniszczyłbym odesłany mi obraz, aby tylko sytuacja nie powtórzyła się w przyszłości, ponieważ nie mogę Pani ufać, że nie postarałaby się Pani sprzedać go komu innemu.

Poznawszy Panią bliżej, jestem świadom, jak bardzo los doświadczył Panią i Pani rodzinę. Proszę jednak nie zapominać, że to przez Panią znalazłem się w nader niezręcznym położeniu: p. Popow

jest przekonany, iż wprowadziła go Pani - a i ja pośrednio - w błąd celowo, i byłby wielce rad, gdyby mógł Panią podać za to do sądu; niestety w obecnej sytuacji prawnej jest to niemal niemożliwe, dlatego też dał wolną rękę mnie, bym działał bezpośrednio na miejscu. Nie robię tego z czystego ludzkiego współczucia dla wdowy i sierot, co - mam nadzieję - zdoła Pani docenić i zaniecha wreszcie dochodzenia niesłusznych racji.

Z poważaniem Lawrence Pomornik.

- To nie może być prawda! - szepnęła Sara zmartwiałymi wargami.

Ben delikatnie wyjął list z jej zaciśniętych kurczowo palców i położył sobie na kolanach, po czym zdjął okulary i nerwowo pocierając szklami o koszulę, odważył się powiedzieć na głos to, co tknęło mu się po głowie przez całą drogę powrotną z New Jersey do domu.

- To musi być prawda, Saro. - Nie sprzeciwiła mu się, lecz on ciągnął, jakby właśnie rozpętała na ten temat sprzeczkę. - Tak, ja także w to z początku nie uwierzyłem. Przed oczyma miałem naszą zmartwioną sprzedawcą matkę...

- mówił powoli, jak do dziecka - ...ale przecież oboje wiemy, że gdyby tylko zechciała, z łatwością by ten obraz podrobiła. Nawiasem mówiąc, nie byłoby to jej pierwsze oszustwo!

- Sięgnął po leżącą wciąż na kolanach Sary książkę i rzucił nią o podłogę. - Przecież te opowieści również komuś ukradła!

Nigdy o tym nie rozmawiali, chociaż oboje od dawna żywili podobne podejrzenia. I je ignorowali. Tak jak teraz znów zrobiła to Sara.

231

Z namysłem pokręciła głową, po czym stanowczo stwierdziła:

- To nie może być kopia. W końcu obraz przyjechał tutaj z rosyjskiego muzeum!

- I o czym to twoim zdaniem świadczy? - zapytał Ben z przekąsem. - Bo według mnie tylko o tym, że facet, którego zrobiła w konia, okazał się bystrzejszy, niż myślała. Wyczuł pismo nosem i nim ktokolwiek się o tym dowiedział, już przekazywał obraz jakiemuś muzeum, kasując za to ładną sumkę.

- To nie było tak... - Sara w dalszym ciągu kręciła przecząco głową. - Ja tam byłam.

Benowi opadła szczęka.

- Byłaś tam? To znaczy gdzie? - chciał wiedzieć.

- Byłam z mamą, kiedy sprzedawała obraz. Zabrała mnie ze sobą, jadąc do tego dealera... - machnęła ręką w stronę listu. - Jestem przekonana, że człowiek, który obraz kupił, był zły.

Ben popatrzył na nią bezradnie. W głowie próbowała mu się uformować jakaś myśl.

- Jak to: zły?

Myśl nabrała kształtów. Zły był Ben jako mały chłopiec, gdy po raz pierwszy zobaczył protezę ojca. Jak dziś pamiętał tamten palący wstyd, że on ma dwie prawdziwe nogi, podczas gdy ojciec tylko jedną. Teraz oczywiście wiedział, że to było współczucie, że chętnie zamieniłby się wtedy z ojcem, że oddałby za niego życie.

W duchu poganiał Sarę, by wreszcie odpowiedziała.

- Tak to. Mama zemdląła przez niego.

Ben zupełnie oklapł. Ogarnęło go rozczarowanie. Poza tym jakoś nie widział mdlejącej matki.

- To niczego nie wyjaśnia. - Zaczął mówić swoim dorosłym, racjonalnym głosem, którego jak wiedział, Sara po prostu nie znosiła. - Zemdleć można z mnóstwa powodów. Zresztą ile ty wtedy miałaś lat? Jedenaście? Pewnie wszystko pokręciłaś, jak zwykle.

Sara patrzyła na niego z dziwną zaciętością.

- Nie wierzysz, że ktoś może być zły, nie wierzysz w zło... Dla ciebie wszystko to zwykłe nieporozumienia...

232

Jeszcze chwila i zacznie krzyczeć, pomyślał Ben. Nie miał pojęcia, co ją ugryzło i jak ją udobruchać. Przestał główkować i jęknął jak mały chłopiec.

- Ludzie nie są źli, Saro. Przynajmniej nie tak zupełnie, od początku do końca - przekonywał,

słyszając we własnym głosie nutki pobażania. - No i trudno powiedzieć tak o kimś, kogo widziałas przez dziesięć minut dwadzieścia lat temu.

- Mogę się z tobą zgodzić w tym, że ludzie nie rodzą się zli. Ale potem dokonują wyboru... i niektórzy decydują stać się złymi. I tacy też pozostają.

Kiedy mówiła, broniąc swego zdania, zaczęła drżeć. Ben akurat patrzył na pobrudzone farbą ramię i przez moment wydało mu się, że niebieska smuga na jej skórze w rzeczywistości jest przebijającą spod spodu żyłą. Później, nie wiadomo dlaczego, pomyślał o pozbawionej żył nodze ojca.

Wzdrygnął się wewnętrznie i uznał, że potyczki z Sarą na argumenty mijają się z celem. Opuścił oczy, lecz i wtedy nie znalazł wytchnienia, gdyż jego wzrok padł na okładkę książki, która przypominała mu, w jak nieszczęśliwym położeniu się znalazł.

- Ale co ja mam zrobić? - zapytał. - Przecież nie ma znaczenia, czy obraz jest prawdziwy czy to tylko kopia. Ukradłem go. Do tego wygląda na to, że zostałem przyłapany, bo ta kobieta twierdzi, że postara się o nakaz rewizji w domu rodziców, jeśli jutro nie stawię się na umówione spotkanie. Coś mi mówi, że z jej zdaniem liczą się w muzeum, więc chyba nie rzuca słów na wiatr, jeśli się uprze, dopnie swego. - Zazgrzytał zębami z wściekłości. - Ona wie, że mam obraz. I wie, gdzie mieszkam. Adres mamy wyszpera prędzej czy później, ot, choćby czytając notkę o autorze na skrzydełku obwoluty którejs z książek, a potem sprawdzając jej nazwisko na informacji telefonicznej, nie sądzę, żeby tak szybko aktualizowali dane. Do licha, ona zna nawet twój adres, po tym jak rozmawiała z tobą policja! Jasne, mógłbym schować obraz w wynajętej skrytce, ale na co by się to zdało? I tak do niego dotrą. Jestem przyparty do muru, Saro...

Sara wpatrywała się w powietrze przed sobą i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, uśmiechnęła się szeroko. Przeniosła spojrzenie na Bena.

233

- W takim razie spotkaj się z nią - rzekła z roziskrzonym wzrokiem.

Ben wbijał sobie paznokcie w ciało.

- Nie mogę... Po pierwsze, za nic nie oddam obrazu. Jest nasz, bez względu na to kto go namalował, i tak ma zostać. A po drugie, nie ufam jej. Jestem pewien, że nawet jak zwrócę obraz, wyda mnie w łapy policji. Nikomu nie ufam... Każdy, komu zaufałem, wystawił mnie rufą do wiatru. Ba, ktokolwiek z naszej rodziny okazał odrobinę zaufania, został wydymany!

- Nie, bracie, nie tym razem - uspokoiła go Sara. - Sfalszujemy ten obraz.

Bena zatkało. Chciał coś powiedzieć, ale poruszał tylko ustami jak ryba wyrzucona na brzeg.

Wreszcie wydukał:

- Ale jak... co...

Sara uściśniła mu dłoń.

- Spotkaj się z nią jutro, tak jak chce. Zgrywaj pewnego siebie. Niech pokaże ci więcej informacji na temat obrazu, niech cię przekona, że powinieneś go zwrócić. I przede wszystkim niech się przed tobą obnaży... - pacnęła go drugą dłonią, kiedy się wyszczerzył - ...nie tak, baranie. Musisz mieć na nią haka, coś, co da ci pewność, że nigdy cię nie wyda.

Takiej Sary Ben prawie nie znał i ilekroć objawiała przed nim tę swoją stronę, niezwykle praktyczną i poukładaną, nie mógł wyjść z podziwu, że w jednej osobie może tkwić tyle sprzeczności. Po raz pierwszy go zadziwiła, kiedy z premedytacją realizując swój plan, niby to niechętnie powlokła się z nim do mieszkania Leonida. Czasami widział też przejawy jej racjonalności na obrazach, które namalowała - pośród mglistych, zamazanych pejzaży nagle wykwitowało na przykład pasmo niezwykle jasnego światła.

- Informacji? - powtórzył zbity z tropu. - Jakich znowu informacji?

- Cokolwiek na temat pochodzenia obrazu, jego stanu przed konserwacją i po niej, jeśli taka miała miejsce... - Kiedy nadal patrzył na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem, wyjaśniła: - Chociaż mamy oryginał, nie zdajemy sobie sprawy z wszelkich niuansów, na jakie zwracają uwagę muzealnicy. Chodzi o to, żeby wiedzieć o każdym najdrobniejszym szczególe,

234

którego brak mógłby zdradzić, że to kopia. Jak już uda mi się dokonać fałszerstwa doskonałego, odniesiesz kopię do muzeum.

Wciąż ścisnęła mu dłoń, a Ben myślał: Czy to nie dziwne, że jednego dnia dotykają mnie dwie kobiety?

Poruszył się niespokojnie.

- Ale Saro, ja myślałem, że... że ty... Obdarzyła go zawadiackim uśmiechem.

- Skoro mama mogła to zrobić, to czemu my nie możemy?

Z początku uznał, że wreszcie pogodziła się z prawdą, którą objawił im list od Lawrence'a Pomornika: że ich matka sfalszowała obraz znanego malarza i poślizgnęła się przy sprzedaży, i dopiero po chwili zrozumiał, że Sara ma na myśli nie obraz, lecz książki.

- Saro, naprawdę, nie musisz tego robić... Nie musisz się dla mnie poświęcać. To w końcu mój problem.

- Nie ma takiego problemu, który byłby twój, a mój nie - odparła po prostu.

Potem długą chwilę siedzieli w milczeniu, które niechętnie przerwała Sara. Podniosła do oczu rękę Bena, jakby to była jej własna, żeby popatrzeć na zegarek.

- Muszę już iść. Leonid na mnie czeka.

Imię Leonida zadźwięczało Benowi w uszach, przejaśniając myśli i przykuwając w miejscu. Czy Sara - żona Leonida i matka jego dziecka - uważa, że coś Benowi zawdzięcza? Że jest mu coś winna?... Gdy wstał, by ją odprowadzić do wyjścia, była już przy drzwiach, machała mu ręką i wołała:

- Do zobaczenia!

Zniknęła, nim zdążył jej podziękować.

Matka powiedziała mu kiedyś, że gdy ktoś umiera, to nie tak, jakby przechodził z pokoju do pokoju, ale jakby przemieszczał się z jednej jego połowy na drugą. Stojąc przy drzwiach Ben patrzył na tkwiącą pośrodku pokoju sofę i na książkę, którą Sara przed wyjściem podniosła z podłogi i położyła obok siebie, tak że teraz wydawało się, że ktoś wciąż tam siedzi, opierając się wygodnie o poduszki. Ostrożnie, by

235

nie wzburzyć otaczającego go powietrza, Ben przeszedł na wskroś pokoju i przysiadł obok książki. Po chwili ujął ją w dłonie, otworzył i zaczął czytać.

Pozwólcie, że opowiem wam historię o tym, jak razu pewnego wzięłem na swoje barki ciężar, który niemal zrujnował mi życie. Byłem wtedy bardzo młody, a młodość ma to do siebie, że lubi popełniać błędy i wyczyniać najróżniejsze głupstwa.

Którejś nocy, w krótki czas po ślubie - a panowała wtedy wyjątkowo mroźna zima - udałem się w podróż z Metropolis, gdzie mieszkałem, do Megapolis, najbliższego dużego miasta. Panował siarczasty mróz i sypał gęsty śnieg i gdybym miał choć odrobinę oleju w głowie, zostałbym w domu, ale że niedawno kupiłem sobie nowy samochód z pięknymi wielkimi oponami, byłem pewien, że nic mi się nie stanie. Wyruszyłem więc w długą i samotną drogę.

Wkrótce przekonałem się, że nawet prowadząc nowy samochód o potężnym silniku i grubych oponach, nie jest łatwo przedzierać się przez śnieg i lód. Jechało mi się ciężko i nadzwyczaj wolno i czułem się przy tym tak zmęczony i samotny, że gdy tylko dał mi się we znaki lekki głód, postanowiłem zatrzymać się przy pierwszej okazji pod pretekstem zjedzenia czegoś. Niestety droga łącząca Metropolis i Megapolis biegnie przez niezamieszkałe rejony i długo mi zeszło, nim wśród zamieci wypatrzyłem malutki zajazd, równie samotny jak zapadły w ziemię nagrobek, a jedynym znakiem, że żyją tam ludzie, były pobłyskujące mdło światelka. Zjechałem na pobocze i - będę tego żałował do końca życia

- wszedłem do środka.

Ledwie otworzyłem drzwi, zobaczyłem coś, czego mam nadzieję już nigdy nie zobaczyć. W ciasnym pomieszczeniu, pośrodku podłogi, leżały zwłoki. Były przykryte grubą czarną tkaniną, a u wezłowia prowizorycznego katafalku miały dwie zapalone świece. Wokół nich kręgiem stała gromadka dzieci i mężczyzna

- wszyscy oni zawodzili i rwali włosy z głowy. Już chciałem wyjść stamtąd po cichutku, wsiaść do samochodu i przyciskając gaz do dechy pognać do Megapolis, kiedy mężczyzna przestał na chwilę płakać, uniósł oczy i mnie zobaczył.

- Pomocy! Pomocy! - zawołał na mój widok. - Boże, co mamy począć?! Moja biedna żona! - łkał. - Trzeba ją pochować!

236

To nie przystoi, tak ją tutaj trzymać! Trzeba ją natychmiast pochować! Ale cmentarz jest tak daleko, aż w Nekropolis!

- narzekał. - Jak nam tam jechać w tej śnieżycy? Boże, co mamy począć?! - i tak w kółko, aż wreszcie już tylko płakał, ale dziwnym płaczem, takim bez łez, wydając dziwne i przerażające dźwięki z głębi gardła, chwilami przypominające szaleńczy śmiech.

To wtedy zupełnie zapomniałem, po co wyruszyłem w drogę do Megapolis. Jakież miało znaczenie, że byłem przemarznięty do szpiku, utrudzony, głodny i z dala od domu?

- Mogę pana tam zawieźć - powiedziałem i wyjaśniłem, że mam nowy duży samochód, w którym zwłoki na pewno się zmieszczą. - Jadę właśnie z Metropolis do Megapolis, ale nie stanowi dla mnie problemu zatrzymać się po drodze w Nekropolis.

- Ale co z dziećmi? - zmartwił się mężczyzna. - Nie mogę ich tak tutaj zostawić!

Poczułem się niezmiernie ważny. Byłem niczym starożytny heros - mogłem podjąć się każdego zadania.

- Proszę się nie martwić - rzekłem. - Skoro tak, zabiorę tylko pańską żonę.

- Dziękuję! Dziękuję! - wołał uradowany mężczyzna.

- Wiele jest dobrych uczynków, ale pochować zmarłego to najlepsze, co człowiek może zrobić, gdyż bez wątpienia czyni to z altruizmu, nie oczekując nic w zamian. Za taki uczynek czeka cię, młody człowieku, zaszczytne miejsce na tamtym świecie!

Wspólnie zanieśliśmy zwłoki do samochodu, ułożyliśmy je wygodnie na tylnym siedzeniu, a potem wysłuchałem szczegółowych wskazówek mężczyzny. Okazało się, że wszyscy go znają w Nekropolis, tak że wystarczy, jeśli wymienię jego imię, a już ktoś się zajmie pochówkiem. Nie musiałem nawet kiwnąć palcem! I patrzcie państwo, za coś takiego zyskałem sobie zaszczytne miejsce na tamtym świecie!

Kiedy udałem się w dalszą drogę, śnieg padał tak gęsty, że w ogóle nic przed sobą nie widziałem. Musiałem zwolnić i jechać w żółwym tempie. Przez cały czas dla otuchy powtarzałem sobie w głowie wskazówki mężczyzny, ale moje myśli uparcie powracały do jednego bezspornego faktu: wraz ze mną jechał trup! Chwilami wydawało mi się, że kobieta patrzy na mnie spod

237

półprzymkniętych powiek, że na jej niedomkniętych ustach formują się jakieś słowa... Byłem bliski ataku serca ze strachu! W pewnym momencie samochód utknął w zaspie. Zrobiło się bardzo późno, ja od wielu godzin byłem w drodze, toteż oczy same mi się zamykały. To zapadając w sen, to się zeń wybudzając, wyobrażałem sobie, że kobieta zrzuca całun i już całkiem otwarcie mnie obserwuje. Na zewnątrz wył potępieńczo wiatr, wtórując jękom kobiety, a ja zacząłem się zastanawiać, które z nas jest martwe...

Opowieść nie miała dobrego zakończenia. Kiedy mężczyzna znalazł się wreszcie w Nekropolis, stwierdził, że zapomniał, jakie było nazwisko zmarłej. Niemniej chciał dotrzymać danego słowa i pochować ją, co tylko przysporzyło mu kłopotów: oskarżono go o morderstwo. W panice zaczął mówić, że to jego teściowa, i wszystko szło gładko do czasu, gdy pojawiła się jego prawdziwa teściowa, wściekła, że chce ją pogrzebać żywcem. A potem...

Ben czytał tę historię w kółko, jak gdyby bał się, że kiedy zaśnie, dopadną go koszmary. Gdy w końcu zapadł w niespokojny sen, nic mu się nie śniło. Zamiast zwykłych marzeń sennych i obrazów, jakie zazwyczaj niosą, jego umysł sprokurował dziesiątki myśli, objających mu się boleśnie o czaszkę. Jak to możliwe, że kochankowie żyją w tym samym czasie, mimo że do dyspozycji mają całe milenia? Dlaczego czasami człowiek rodzi się nie w swoim ciele? Czemu tak

często trzeba dźwigać cudze brzemie? Skąd powszechna opinia, że dobroć popłaca? I najgorsza ze wszystkich, bezdennie głęboka prawda, którą Ben nagle ujrzał i zrozumiał z przeraźliwą jasnością: że tamten świat, lepszy świat, o którym nieraz słyszał od rodziców, to wcale nie życie po życiu gdzieś w zaświatach, ale ten, jak najbardziej materialny świat, którego jeszcze nie ma, który dopiero trzeba sobie stworzyć - to nasza przyszłość, którą każdy dla siebie mozolnie wykuwa za pomocą uczynków i wyborów.

Przebudziwszy się po ciężkiej nocy, Ben wiedział już, że wieczorem stawi się w umówionym miejscu i o umówionym czasie.

238

## Rozdział Dwunasty.

Będąc dzieckiem Der Nister zasłyszał historię opowiadaną adeptom przez rabbię z akademii rabinicznej w Wołożynie. Którejś nocy, gdy wciąż jeszcze był młodym chłopcem, przyszłemu rabbiemu przyśniło się, że umarł i trafił na tamten świat. Gdy nadeszła jego kolej, by stanąć przed Boskim obliczem, Baruch ha Kodesz, Święty, niech będzie błogosławiony, ujął go za rękę i powiódł ku małym drzwiom, za którymi rozpościerał się przesycony światłem pokój, cały wypełniony książkami. Na stołach, półkach, nawet na podłodze - wszędzie leżały księgi i manuskrypty. Rabbi rozejrzał się po niebiańskiej bibliotece i uśmiechnął szeroko. Był niemal pewien, że właśnie to miejsce miało stać się dla niego obiecującym mu za życia rajem. Jednakże kiedy wyciągnął rękę, by dotknąć pierwszego z brzegu opasłego woluminu, Boska ręka powstrzymała go brutalnie. - To księgi, które powinieneś być napisać - oznajmiło surowo oblicze Najwyższego. - Dlaczego ich nie napisałeś?

Der Nister zamieszkał w takim właśnie pokoju w 1942 roku.

Zona, której od dawna nie kochał, opuściła go zabierając ze sobą chorowitego synka. Ukochana Hodele także go zostawiła, wyruszając do Leningradu, gdzie jak słyszała, w fabrykach była praca dla takich jak ona silnych młodych dziewcząt. Der Nister zaś uciekał z miejsca w miejsce, krył się tu, to

239

tam, przeprowadzał z miasta do miasta, aż w końcu znalazł się w Taszkencie w Uzbekistanie. Tam, w małym pokoiku - jednym z wielu mu podobnych w brzydkim, zaniedbanym betonowym bunkrze położonym w pobliżu bazaru, który przyprawiał o ból głowy smrodem i hałasem - tam właśnie zebrał wszystkie dotąd napisane fragmenty książki, którą postanowił ukończyć, nim umrze. Zapisane skrawki papieru, całe jego płachty i cienkie skupiska kartek zajmowały każdą wolną przestrzeń: blaty, półki, podłogę, nawet pięły się pionowo po ścianach maleńkiego i poza tym prawie zupełnie pustego pokoju. W mieście, w którym tak mało osób potrafiło czytać, że nikt nie zwracał sobie głowy stawianiem znaków ulicznych i wypisywaniem szyldów, mieszkanie Der Nistera stanowiło taką sekretną bibliotekę nie z tego świata, jaka przyśniła się rabbiemu. Wydawało się, że słowa wiszą w powietrzu, podtrzymywane cienkim papierem i tylko z lekka ciężące atramentem ku ziemi, podobnie jak zdawały się przeczyć prawom grawitacji spotykane na każdym kroku zasłony z koralików odcinające taszkiencką ulicę od wnętrza domów i straganów... Pierwszy tom książki jego życia ukazał się jeszcze w 1939 roku i został przyjęty z uznaniem. Powieść określano mianem majstersztyku, arcydzieła literatury żydowskiej. Der Nister przezornie zaopatrzył tekst w małe „wyznania wiary” - krótkie dygresyjki potępiające rodzinę burżujów, skazaną na klęskę za ich zacofane poglądy, naiwną religijność, wykorzystywanie ludu pracującego i najgorszą ze wszystkiego odmowę przyjęcia do wiadomości nieuniknionego postępu - które pojawiały się z zegarmistrzowską precyzją co jakieś czterdzieści stron, by zadowolić cenzurę. Jednakże w Taszkencie, wśród ciężkiego zapachu końskiego potu i chmur pyłu wdzierającego się przez puste otwory okienne i osiadającego mu na brwiach i wąsach ciemnopomarańczową grubą warstwą, Der Nister zapomniał o przekleństwie cenzury i po prostu pisał. Zdawał się całkowicie świadomy tego,

że powoli traci zmysły, pozwalając, by opuszczały jego mózg i przenosiły się na skrawki papieru, którymi potem wyklejał ściany. W taki sposób doznał niemal do końca drugiego tomu.

240

Przez cały ten czas, nawet w odległym od cywilizowanego świata Uzbekistanie, dochodziły go wieści o sukcesach Chagalla, jakie ten odnosił w Ameryce. Słyszał, że malarzowi zgotowano gorące przyjęcie w Nowym Świecie, otwierając przed nim drzwi muzeów i organizując mu liczne wystawy, zlecając udekorowanie budynków publicznych i słynnych oper swymi pracami, zapraszając do drogich hoteli i opłacając pobyt całej jego rodziny w znanych kurortach, o których to miejscach przeciętny Żyd nawet nie mógł pomarzyć. Jak świat długi i szeroki wychwalano go w gazetach i czasopiśmie za stworzenie obrazów pełnych przestrzeni i koloru, i radości - i w głównej mierze składających się ze światła. Wszakże, jakby dla równowagi, już przed paroma laty żona zmarła mu na zapalenie płuc podczas wypoczynku w górskim kurorcie. Chagall oczywiście zawiózł ją do szpitala - był to chrześcijański szpital rzecz jasna - lecz pani Chagallowej (kobiecie w błękitach, jak lubił o niej myśleć Der Nister), w zależności od wersji plotki, której chciało się dać wiarę, albo odmówiono porady lekarskiej, albo też nie spodobało się jej pytanie o wyznawaną religię widniejące w formularzu, jaki należało wypełnić, nim stanęło się przed doktorem. Tak to już jest w Ameryce, skwitowali ówcześni towarzysze Der Nistera. Namówili go potem, by wstąpił do Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego i pomógł im zbierać od emigrantów fundusze mające się przyczynić do pokonania faszystów przez Sowietów. Z tego co Der Nister mógł zaobserwować, ich działania jak dotąd nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, mimo że w którymś momencie starzy przyjaciele Chagalla - Szlojme Michoels, szef teatru, dla którego Chagall pracował, oraz Icyk Fefer, mierny wierszokleta, którego zbiorki poezji Chagall ilustrował - zostali oficjalnie wysłani za granicę (mieli odwiedzić Nowy Jork, Boston, Filadelfię, Detroit, San Francisco i Los Angeles, z radzieckimi tajniakami deptającymi im po piętach, jakżeby inaczej!) w celu zebrania dalszych funduszy i poparcia od amerykańskich Żydów. Partyjne gazety rozpisywały się o spotkaniu wysłanników z przebywającym na miejscu Chagallem i nie omieszkwały podkreślić, że podejrzliwi jak zwykle Amerykanie nasłali na Boga ducha winnego malarza

241

FBI, ale na szczęście wciąż była szansa stworzenia wspólnego frontu wobec faszystowskiej zarazy. Der Nister czytał to wszystko i własnym oczom nie wierzył: skoro było tak dobrze, w takim razie czemu on, także niewinny, musiał uciekać aż do Taszkientu?...

Nie ukończona książka stała się jego obsesją. Prawie w ogóle nie wychodził z pokoiku, którego okna zamiast szyb miały płachty zapisanego przezeń papieru z możliwymi początkami i zakończeniami, ściany nosiły ślady pośpiesznych zapisków czynionych, gdy ogarniał go przypływ weny, drzwi zaś zasłaniały długie wąskie paski z wypisanymi całymi zdaniem. Wysokie na metr albo i więcej sterty papieru, pośród których tkwiły gotowe sceny i rozdziały, wyrastały z podłogi, jak gdyby dostąpiły reinkarnacji i na powrót wcieliły się w drzewa, z jakich powstały. Papierowy las migotał w mętym świetle, czasem produkując minitęcze. Głód szarpał pisarzowi kiszki, lecz jeszcze silniejszy był w nim głód słowa pisanego. Tworzył, odpędzając od siebie sen. Gdy kończyły mu się zapasy papieru, pisał na starych gazetach, drobiąc literki pomiędzy zaczytanymi kolumnami, na zużytych opakowaniach, nawet na korze odrapanej z rosnącego na podwórzu drzewa. Aby mieć czym pisać, przehandlowywał ziemniaki za atrament.

W głębi papierowego lasu spoczywało królestwo Der Nistera: wymyślone i wyidealizowane dziewiętnastowieczne miasteczko Berdyczów, w którym Der Nister spędził dzieciństwo. Roilo się w nim od kupców i rzemieślników, i szlachty, i uczonych, a przede wszystkim od całych zastępów ludzi prawych, religijnych przywódców trzymających rząd dusz. Na każdej stronie pojawiał się jakiś członek dotkniętej kryzysem rodziny. Mojsze, dobrze prosperujący lichwiarz o złotym sercu, zawsze wszystko planujący z wyprzedzeniem (by nie kłopotać dzieci, miejsce pochówku wykupił sobie za życia, jeszcze w pierwszym rozdziale), któremu nagle powinęła się noga. Luzer, zwolennik mistyka chasydzkiego i bazarza Nachmana z Braclawia, działający swą religijnością na nerwy bratu,



dla którego był lustrem i sumieniem. Wreszcie Alter, głupek, który widział czas i czuł zmiany, zarówno te zachodzące w naturze,

242

jak i w jego braciach, Mojszem i Luzerze, i który w rzadkich przebłyskach mądrości, a może geniuszu, pisywał listy do postaci z Biblii, do aniołów i samego Boga. Der Nister na długo po tym, jak opuścił rodzinny Berdyczów na zawsze, wciąż tam mieszkał, sercem i duszą. Można by powiedzieć, że nie ukrywał się we wstrętnym mu Taszkencie, lecz w nie istniejącym od dawna miasteczku, do którego wiódł stworzony przezeń papierowy most.

Jednakże pewnego dnia, przesyconego jak zwykle upałem i kurzem, most runął. Latem 1942 roku Der Nister otrzymał list. Przeczytawszy go, osunął się na podłogę i tam pozostał przez tydzień. Przez siedem dni siedział na ziemi ze zzutymi butami, rozdartą koszulą i żółtopomarańczowym pyłem wtartym w czoło. Ósmego dnia nie podjął pisania, lecz opuścił swój pokój i wałęsał się po ulicach Taszkientu, aż doszedł do bazaru, pełnego młodych dziewcząt, rżących koni, barwnych tkanin i gryzącego zapachu przypalonego mięsa. Nie zatrzymał się. Uparcie szedł dalej, zataczając koła i wracając po własnych śladach, zbyt przerażony, by zapytać kogokolwiek o drogę. Dopiero wieczorem, kiedy słońce stało nisko na wyblakłym od gorąca niebie, znalazł to, czego szukał. Wszedł do synagogi. Starej, nie tej drugiej, nowszej, którą odwiedzali jemu podobni uciekinierzy. W tej, w której się znalazł, Żydzi nie mówili w jidysz, ale w jakimś innym, chyba tylko im znanym starożytnym języku. Mógł się z nimi porozumieć wyłącznie używając hebrajskiego, ale nawet wtedy miał kłopoty ze zrozumieniem ich gardłowych odpowiedzi. Niemniej został tam, ponieważ musiał. Słuchał ich modlitw i sam mamrotał słowa, w które bardzo chciałby wierzyć. I wracał tam każdego dnia do końca roku.

Po trzydziestu dniach modłów, w które nie wierzył, zaczął znowu pisać. Ale nie książkę. Przypomniawszy sobie stworzoną przez siebie postać Altera i postanowił, że on także będzie pisał listy. Zajrzał do poradników zwracających uwagę na takie sprawy, jak właściwe zwroty i pozdrowienia, które to poradniki na szczęście zabrał ze sobą i był w stanie odszukać wśród stert papierów.

Podobnie jak Alter pisał swoje listy po

243

hebrajsku i adresował je do osób, które nie mogły mu odpowiedzieć.

Do Anioła Snów

(oby Twoja aureola nigdy nie przestała płonąć niebiańskim blaskiem)

Wybacz mi, proszę, iż odrywam Cię od Twojej trudnej i jakże ważnej pracy. Zdaję sobie sprawę, że ostatnimi czasy jesteś niezmiernie zajęty, ponieważ wielu śmiertelników skarży się na koszmary. Tuszę jednak, że znajdziesz kilka cennych chwil i dla mojego przypadku.

Ja zupełnie przestałem śnić.

Będąc dzieckiem - jak zapewne pamiętasz - śniłem bez ustanku długie, cudowne sny. Najczęściej unosiłem się w powietrzu ponad miastem. Wystarczyło, że przyłożyłem głowę do poduszki, a już otrzymywałem te wspaniałe przesyłki od Ciebie, wsuwane mi przez zaciśnięte powieki niczym listy do skrzynki. Otwierałem je z niecierpliwością, tak jak niecierpliwie rozrywa się kopertę skrywającą długo wyczekiwaną wiadomość. Zamiast słów wszakże otrzymywałem widoki, całe światy stworzone na potrzeby mojego snu, zawsze pozostające daleko w dole, podczas gdy ja szybowałem w przestworzach, pośród miast położonych w chmurach. Każde przebudzenie było dla mnie jak upadek z wysoka, jakbym nagle zderzył się z ziemią. Później zaczęłaś dostarczać mi swe przesyłki także wtedy, gdy nie spałem. Nie wiem, czy stało się tak przez przypadek czy też chciałaś napędzić mi strachu koszmarami, które na mnie zsyłałaś za to, że nie zasypiałem... Tak czy owak, nawet najstraszniejsze widoki zesłane mi przez Ciebie były wspaniałe intensywnością barw i w dalszym ciągu traktowałem je jak podarunki.

Wszelako obecnie nie potrafię już ani zasnąć, ani śnić. Gdy zamykam wieczorem oczy, próbując przywołać sen, nie widzę już tych wspaniałych kolorów, lecz nieprzeniknioną czerń, tę samą, która coraz częściej spowija mnie szczelnym całunem również w trakcie dnia. W miejsce kolorów i

opowieści, jakie dla mnie snułeś, pojawia się czern i cisza. Leżąc w łóżku drzę niczym przestraszone dziecko, nie wiedząc, jak mam rozumieć

244

tę zaciągniętą kotarę, tę opuszczoną kurtynę, która odgradza mnie od mych snów.

Powiedz, dlaczego je przede mną ukrywasz?

Z należnym szacunkiem, Der Nister.

Do Nabuchodonozora, króla Babilonii (niech Twe imię będzie przeklęte na wieki)

Piszę do Ciebie na tamten świat dziewiątego dnia miesiąca aw, aby złożyć Ci gratulacje z okazji 2528. rocznicy zburzenia przez Ciebie Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej, gdzie moi przodkowie służyli Bogu, gdyż nie wątpię, że co roku hucznie obchodzisz ten dzień.

Ślę te słowa z końca świata, z miasta położonego w państwie leżącym wysoko w górach, dokąd nigdy nie sięgnęło zbrojne ramię Twego potężnego imperium, by poinformować Cię, iż znalazłem się tutaj, na krawędzi świata, z Twojego powodu. Albowiem to Ty wzięłeś sobie za cel unicestwienie mojego narodu, podkładając ogień pod Świątynię, co zainspirowało Twych pomysłowych naśladowców w następnych pokoleniach. Lecz to Ty byłeś pierwszy!

Dziś ci, którzy wciąż mają wiarę, siadają na gołej ziemi, zzuwają buty, rozdzierają ubranie, poszczą i rozpaczają - nawet tutaj, na tym pustkowiu zapomnianym przez Boga i ludzi, pamiętają, by dopełnić rytuału żałoby. Posypując sobie głowy popiołem, wołają ku niebu: „Najwyższy wygnał nas z naszej ziemi za nasze grzechy”, tak jak czynili to wszyscy Żydzi przez ostatnie dwa tysiące pięćset dwadzieścia osiem lat.

Wiem, dlaczego to robią. Łatwiej jest przyjąć, że to sprawka Boga, że żaden człowiek nie byłby zdolny do tak okrutnego czynu, że musiał być powód, że to kara za grzechy, że kryje się za nią jakieś głębsze znaczenie...

Wiem też, że się mylą. To nie sprawka Boga, lecz Twoja!

Pomimo wszystko

z wyrazami szacunku,

Der Nister.

245

Do Najwyższego

(święć się imię Twoje na wieki wieków)

Wybacz mi, proszę, że odrywam Cię od Twojej Boskiej pracy. Tuszę, iż okażesz mi swą łaskę i wspaniałość, mimo że zwracam się do Ciebie w tak trudnym momencie historii tego świata. Pragnę wierzyć, że absorbują Cię obecnie niezwykle istotne sprawy, niewyobrażalne dla zwykłego śmiertelnika w swym ogromie, kreatywności i świętości, których efektów - jeśli taka będzie Twoja wola - niebawem wszyscy doświadczymy (oby stało się to jak najrychlej i za naszego jeszcze życia), gdyż nie znajduję innego wytłumaczenia dla Twojej nieobecności na ziemi.

Piszę do Ciebie w związku z listem, jaki ostatnio do mnie dotarł po wielomiesięcznej wędrówce z niewątpliwie przez Ciebie stworzonego miasta o nazwie Leningrad, które to miasto zostało wcześniej oblężone i praktycznie obrócone w perzynę, przez co tysiące ludzkich istnień uległo unicestwieniu; ci, którzy nie umarli z głodu, zaczęli żywić się zawartością rynsztoków, karaluchami, a nawet sobą nawzajem. W otrzymanym liście zostałem sucho, acz treściwie poinformowany, że moja córka, moja ukochana Hodele - chyba jedyny dowód Twego istnienia - zmarła i opuściła mnie na zawsze.

Jestem świadom, drogi Boże brzemienny istnieniami, że wraz ze mną wołają do Ciebie miliony innych (to znaczy ci z nich, którzy nie utracili wiary, że ich słyszysz) i tak jak ja chcą wiedzieć dlaczego. Dlaczego spośród milionów dzieci na całym świecie postanowiłeś zabić właśnie moje? Czy nie spełniłem Twych oczekiwań? A może to ona w ciągu swego zaledwie dwudziestodwujędziesięcioletniego życia uczyniła coś, co wzbudziło Twój gniew i sprowadziło na nią tak surową karę? Albo po prostu zapragnąłeś jej i wykradłeś mi ją tak, jak tu, na ziemi, mężczyzna kradnie żonę bliźniemu swemu? Czy naprawdę jej radosna obecność była Ci niezbędna do

ukończenia tego, czym się właśnie zajmujesz? Czemu - dołączam swój słaby głos do chóru sięgającego Twego niebiańskiego tronu - czemu moje dziecko?!

Po namyśle postanowiłem przeformułować pytanie. Mam nadzieję, że uszczkniesz chwilę z wieczności, by udzielić mi na nie

246

odpowiedzi, gdyż jest to jedyne pytanie, jakie Ci kiedykolwiek zadam.

Co Hodele znaczyła?

Z wielkim szacunkiem, Der Nister.

W Uzbekistanie, zupełnie jak przed paroma miesiącami w Leningradzie, skończyło się jedzenie. Nie miało to większego znaczenia, gdyż Der Nistera nie trapił już głód. Żył powietrzem i wspomnieniami. Zamknął się w pokoiku wypełnionym papierem, tym pokrytym pismem i dopiero czekającym na zapisanie, zbudował wokół siebie klatkę, której pręty wyznaczały zasięg jego pamięci, wyłożył ją aksamitem miłych wspomnień i pograżył się w nich, nieświadom tego, że zamyka się w grobie, do którego wkrótce przestanie docierać światło i kolory.

## Rozdział Trzynasty.

Nazajutrz o dwunastej Erika wiedziała już, że to on. To że nie nasłał na nią policji, po tym jak go zaskoczyła pod domem, oznaczało, że sam się boi. Ale to jeszcze nie wszystko. Z samego rana ponownie przejrzała dokumentację zaginionego obrazu i odkryła dwie foliowe torebki, oznaczone: „Wyjęte zza płótna”. Wynikałoby z tego, że muzeum w Rosji nigdy nie wystawiało obrazu - gdyby tak bowiem było, cokolwiek znajdowało się za płótnem, zostałoby odkryte tam, a nie tutaj, podczas przygotowań do wystawy. Erika przypomniała sobie, że również z innego obrazu Chagalla, z wielkiego malowidła rozpiętego na sklejce, udostępnionego przez moskiewski Państwowy Teatr Żydowski, jej koledzy wydobyli dziesiątki zapisanych kartek, które jak sądzono, umieszczono tam w celu wypełnienia wolnej przestrzeni pomiędzy płótnem a drewnem. Teraz, im bardziej zagłębiała się w historię obrazu, tym większego nabierała przekonania, że nie był wystawiany od co najmniej piętnastu lat. Świadczyły o tym nie tylko odnalezione zapiski, ale także lekko zgrzybiały jeden róg, tam, gdzie obraz musiał przylegać do ściany albo co gorsza podłogi w jakimś zapuszczonym rosyjskim magazynie. Nawiasem mówiąc, w podobnym stanie znajdowała się większość obrazów, które obecnie mogli podziwiać zwiedzający. Były to prace dotychczas rzadko oglądane, prace przetrzymywane w piwnicach muzeów, wiszące pośród prywatnych zbiorów, których właściciele nie byli świadomi ich wartości, czy wręcz poniewierające się

248

w złodziejskich schowkach. Prace, które równie dobrze mogłyby nigdy nie powstać albo dawno ulec zniszczeniu. Erika była niezwykle wyczulona na takie sprawy; rozwścieczało ją marnotrawstwo i narażanie dzieł sztuki na szwank. Wszakże to, co znalazła w foliowych torebkach, rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

Pierwsza zawierała plik zadrukowanych kartek wyglądających na fragment książki, jak gdyby ktoś wyrwał interesujący go rozdział, druga - pożółkły papier zapisany odręcznie, niewyraźnym charakterem i staromodnym brązowym atramentem. Erika nie potrafiła nic z tego odczytać.

Domyślała się, że oba teksty są w jidysz, ale litery - mimo iż przypominały hebrajskie, które doskonale знаła - nie chciały przed nią odsłonić znaczenia. Poprosiła więc o pomoc Samuela, starszego wiekiem kustosza, z którego wnukiem - tak się złożyło

- jeździła w dzieciństwie na kolonie. Samuel na jej prośbę odcyfrował nazwisko autora i tytuł, co jednak niewiele dało, gdyż nigdy nie słyszała ani o pisarzu, ani o książce. Całą przerwę obiadową spędziła w miejskiej bibliotece, kartkując grubą antologię przełożonych na angielski utworów i odkrywając coś tak zaskakującego, że aż rozboleła ją brzuch. Do pracy wróciła bardzo wzburzona; cała złość, którą czuła do Saula, a której nigdy naprawdę nie uzewnętrzniła, wezbrała w niej i

skierowała się przeciwko Benjaminowi Zyskindowi.

Samuel próbował zbagatelizować sprawę.

- Eriko - mówił - spróbuj zapomnieć o tym obrazie. Wiem, że Max potrafi być przykry i na pewno dał ci się we znaki, ale jak go znam, już o wszystkim zapomniał. Po prostu chciał pokazać ci, kto tu rządzi, i sprawić, byś na przyszłość była czujniejsza. Taki już jest, robi wiele hałasu o nic i szybko traci zapał. Obraz jest nie tylko ubezpieczony, ale... niech to zostanie między nami... taki sobie.

Każdy inny wart jest o wiele więcej. Poza tym szukanie złodzieja to nie twoje zajęcie! Max może sobie mówić co chce, ale to sprawa dla policji.

- Tyle że oni nic nie robią! - poskarżyła się Erika.

- A ja wiem, że obraz ukradł ten facet!

O tym także już rozmawiali.

249

- W takim razie poinformuj policję o swoich podejrzeniach. - Patrzył na nią łagodnie, uśmiechając się jak do dziecka.

- Rozmawiałam z policją i co? Dalej siedzą z założonymi rękami i czekają, aż ktoś odwali za nich robotę! - upierała się Erika. - Ich zdaniem złodziejem jest ktoś z muzeum!

- Na wszelki wypadek nie wspomniała o tym, że policja ma jej po dziurki w nosie i że jest z tego powodu jedną z głównych podejrzanych...

- Policjanci go przesłuchali - przypomniał Samuel z anielską cierpliwością. - Czego więcej oczekujesz? Sam słyszałem, jak mówili ci, że nie odpowiada profilowi przestępcy, poza tym ma alibi nie do podważenia. Nękać go dalej to strata sił i środków. Wiesz co, Eriko? - w jego głosie pobrzmiwało znużenie i coś jakby pobłażanie. - Jeśli koniecznie chcesz się czymś martwić, znajdź sobie inny powód.

Erika zacisnęła dłonie w pięści. Nikt nie miał prawa mówić do niej takim tonem - nikt z wyjątkiem matki, która nie żyła, i ojca, który tracił zmysły.

- Radzi mi pan, żebym znalazła sobie inny powód do zmartwienia? Świetnie! Otóż już od dawna zamartwiam się, że mimo tej kradzieży nikt w muzeum nie widzi potrzeby zainstalowania porządnego systemu alarmowego! - krzyczała.

Samuel skrzywił się.

- Wiesz przecież, jaki mamy budżet...

- Tak? - nie dawała za wygraną Erika. - To po co nam psy wyszkolone do lokalizowania ładunków wybuchowych? Na to mamy pieniądze, prawda?

- Bo to poważna sprawa, Eriko. Federalne Biuro Śledcze przesłało nam ostatnio zalecenie, byśmy jako żydowska instytucja...

- Psy? Bomby? - przerwała mu bezceremonialnie.

- Gdzie my, do licha, jesteśmy? W muzeum czy w fortecy?

- Chyba nie muszę ci przypominać, na jakim świecie żyjemy, Eriko...

- Na takim, gdzie ktoś pod pachą wynosi z muzeum obraz wart milion dolarów, a dyrekcja się tym ani trochę nie

250

przejmuje, bo nie ma ofiar w ludziach! - warknęła w odpowiedzi.

Samuel westchnął i odwrócił się do biurka, dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną.

- Powinnaś przeczytać tę historię, którą mi przyniosłaś. Na pewno gdzieś znajdziesz tłumaczenie. Ręczę, że ci się spodoba.

Ale Eriki już nie było. Zresztą, zdążyła przeczytać tę historię w bibliotece i poniekąd za jej sprawą tak się wściekała na złodzieja i władze muzeum. Chwilami zastanawiała się, czy w ogóle warto się przejmować. Może będzie lepiej, jeśli obraz nigdy się nie odnajdzie? myślała. Ale przecież chodziło o coś więcej. O dzieła sztuki, na które nikt nie patrzy, o rzeczy, ukryte i zapomniane, które powinny znaleźć się w centrum zainteresowania. W miarę upływu czasu - a tego popołudnia godziny wlokły

się jej niemiłosiernie - złość Eriki tylko się wzmacniała. Nie mogła się wprost doczekać wieczornego spotkania ze złodziejem, rzucenia mu prosto w twarz prawdy o książkach jego matki i - przede wszystkim - zarejestrowania tego, jak złoczyńca niesie obraz, dzięki właśnie zainstalowanym kamerom przy wejściu, które zgodnie z narzuconą przez FBI filozofią skierowane były na ulicę, nie do środka

- zamiast wychwytywać i uwieczniać fizjonomie koneserów o lepkich rękach, pstrykały fotki wkraczającym do muzeum zwiedzającym.

O dziewiątej wieczorem było nadzwyczaj spokojnie. Erika przystanęła w pobliżu muzeum, w jednym z nielicznych w Nowym Jorku miejsc, które dawały złudzenie, że przebywa się w zupełnie innym mieście, pięknym i cywilizowanym. Gdy odwróciła się lekko w prawo, widziała aleję wysadzaną wielkimi drzewami; ich liście szeleściły cicho nad ładnym chodnikiem wybrukowanym kamieniem. Gdyby spojrzała w lewo, za skrzyżowaniem dostrzegłaby kobietę cierpliwie czekającą na autobus. Zza niskiego muru, oddzielającego ulicę od położonego przy niej parku, dochodził pijacki, acz przyjemny śpiew. Za parkiem stał budynek, w którym mieszkał brat Eriki

- siedział właśnie z żoną na kanapie i całował ją namiętnie,

251

podczas gdy ich dzieci, bratanice Eriki, przewracały się niespokojnie w łóżeczkach, śniąc koszmary, jakie sprokurować może tylko kilkuletni umysł karmiony niesamowitymi opowieściami dla dzieci. W domu leżącym około dwudziestu pięciu kilometrów od miejsca, w którym się znajdowała, jej ojciec połykał wieczorną porcję leków, niespokojnie przemierzając pokoje i bojąc się położyć samemu spać; matka Eriki obserwowała ją z tamtego świata z niepokojem... Wieczór był przyjemny i ciepły i nawet ruch uliczny jakby zamarł. Przed ciągnącymi się wzdłuż alei willami było pusto, rozleniwieni odzwierciadlili się w swych stróżówkach.

Erika nastawiła się na długie czekanie, dopuszczała także możliwość, że będzie czekać na darmo. Wyzaczyła sobie granicę: za kwadrans dziesiąta - jeśli Benjamin Zyskind nie pojawi się do tego czasu, da za wygraną i zejdzie z posterunku, może nawet odpuści całą sprawę. Jednakże ledwie wybrała dogodną pozycję naprzeciwko oka kamery, w oddali zauważyła męską postać i nim jeszcze była w stanie rozpoznać rysy twarzy, wiedziała, że to on. Szedł swoim zwyczajem sztywno wyprostowany, stawiając kroki jakby z wahaniem. Przy przejściu dla pieszych zatrzymał się karnie i czekał, aż światło zmieni się na zielone, mimo że ulica była pusta jak okiem sięgnąć. Pod pachą trzymał coś małego i płaskiego, pakunek, który w świetle latarni nabierał pomarańczowego poblasku.

Obraz! wykrzyknęła w duchu Erika. No i proszę, jakie to okazało się proste!

Kiedy Ben znalazł się po jej stronie ulicy, była w stanie dojrzeć szczegóły obrazu: pod jego nadgarstkiem widziała dolną, ciemną część, a ponad nią zarys postaci unoszącej się w powietrzu. Uderzyło ją, że obraz jest taki mały. Musiał wyjąć go z ramy, pomyślała. Im podchodził bliżej, tym więcej miała wątpliwości, aż w końcu, gdy byli nie dalej niż o metr od siebie, zauważyła, że w poprzek postaci wydrukowane są słowa. Stał dokładnie tam, gdzie sobie umyśliła - na wprost kamery. Spojrzał w jej oko, potem na nią. W ręku trzymał egzemplarz „Lepszego świata”.

- Nie przyniosłeś obrazu - stwierdziła.

252

- Nie przyniosłem - przytaknął. Głos miał swobodny, pewny siebie; emanowało z niego znacznie mniej gniewu, niż się spodziewała. - Niczego nie chowam w zanadrzu - dodał i powiedział: - O, proszę!

Schylił się, żeby położyć książkę na krawężniku, i najpierw uniósł ręce do góry, jakby grożono mu z pistoletu, potem zaś opuścił i włożywszy dłonie do kieszeni, wyciował je: z jednej wypadło kilka pomiętych banknotów jednodolarowych, z drugiej klucze i bilet metra. Podniósł je, pomachał jej przed nosem, po czym upchnął z powrotem po kieszeniach. Prezentacja wszakże jeszcze nie dobiegła do końca. Wyciągnął koszulę ze spodni, zadarł i okręcił się jak baletnica, by mogła podziwiać jego obnażony brzuch i plecy. Erika nie odwróciła wzroku, żart czy nie żart, miała okazję

zlustrować jego ciało w poszukiwaniu... noża? broni palnej? Sama nie wiedziała, ale po człowieku, który ukradł obraz wart fortunę, jej zdaniem można się było spodziewać wszystkiego. Z tego co widziała, nie przyszedł uzbrojony - nie mógł nawet niczego chować w skarpetkach, gdyż rozczłapane sandały ledwie okrywały jego gołe stopy. Co za szkoda, pomyślała smętnie, że kamera wszystko to nagra, ale nie zarejestruje naszej rozmowy (jak wiedziała, kamery nie były wyposażone w mikrofony). Tymczasem ku własnemu zdumieniu sama poczuła się rozbrojona tym pokazem - może sprawił to widok ciemnych włosów wokół jego pępka i nad gumką bokserek, a może twarz, której rysy wciąż wydawały się miękkie i chłopiące, choć oczy i szczęka nabrały już męskiej twardości. Taki Benjamin Zyskind przypominał jej pierwszą miłość, jeszcze z czasów szkoły średniej, jedyne go chłopca, którego akceptowała jej matka. Na wargach poczuła smak pierwszego pocałunku...

- Nie przyniosłem obrazu - powtórzył, podnosząc książkę i jej podając - ale za to zwracam twój egzemplarz „Lepszego świata”.

Co to ma znaczyć? zastanawiała się Erika w duchu, podczas gdy Ben uśmiechał się do niej nerwowo, trzymając rękę cały czas wyciągniętą w powietrzu. W co on ze mną gra? Może to nie on ukradł obraz? Już dopuszczała do siebie myśl, że się

253

całkowicie co doń pomyliła, gdy jej wzrok padł na okładkę książki i w jednej chwili wróciło do niej całe wzburzenie, jakiego doświadczyła po południu. Obraz zszedł na dalszy plan. Odepchnęła rękę Zyskinda i powiedziała:

- Dowiedziałam się czegoś dzisiaj. W ramie obrazu ukryte były kartki z opowieściami zapisanymi w jidysz... Pokazałam je starszemu koledze i on mnie oświecił. Wiesz, jaki był tytuł jednej z nich? - zapytała. Ben nie dał się pociągnąć za język.

- „Miasto Umarłych”! - zakończyła z tryumfem.

- Twoja ulubiona - skomentował.

Erika zdębiała na moment, ale zaraz sobie przypomniała, że podczas rozmowy w swoim biurze napomknęła o bratanicach i o tym, że czytała im do snu książeczkę, która bardzo się jej spodobała. Ale czemu on to zapamiętał? Zagryzła wargę, by ukryć zdziwienie.

- Autorem nie była wcale Rosalie Zyskind - ciągnęła

- tylko słynny pisarz o nazwisku Perec. - Mówiąc te słowa, obserwowała go bardzo uważnie, by przekonać się, czy to go wzruszyło. Tak. Ledwie dostrzegalnie, ale skrzywił się, brwi i łopatki mu drgnęły, co starał się zamaskować wkładając wolną dłoń pod wciąż wyciągniętą zza paska koszulę i drapiąc się niby to leniwie po brzuchu. Ericie bardziej to przypominało szarpanie niewidzialnej pępowiny, jakby Benjamin Zyskind chciał poluzować więzy z matką. - Jak tylko miałam wolną chwilę, wyskoczyłam do biblioteki, żeby sprawdzić, czy podobieństwo tytułów to jedynie zbieg okoliczności, ale okazało się, że nie. Przeczytałam „Miasto Umarłych” Pereca w przekładzie na angielski i muszę powiedzieć, że obie historie są nadzwyczaj podobne! Zresztą nie tylko one... W antologii znalazłam jeszcze kilka innych... - zaczerpnęła powietrza i wymieniła jednym tchem: - „O człowieku, który przespał koniec świata”, autorstwa Mojszego Nadira, „Mój ostatni dzień w raju”, napisany przez Icyka Mangera, i ta też - wskazała na trzymaną przez niego książkę - „Lepszy świat” pióra Szolema Alejchema. Do licha, nawet ja słyszałam o Szolemie Alejchemie! To znaczy, jasne, że w jego wersji nie ma samochodu, tylko furmanka czy coś w tym stylu, ale reszta jest kropka w kropkę taka sama. Są jeszcze inne...

254

Urwała widząc, że Ben ociera pot z czoła. Oczywiście próbował udawać, że odgania komara, ale ona wiedziała swoje, zresztą był wyjątkowo kiepskim aktorem.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał nieprzyjaźnie.

- Chodzi mi o to - z trudem artykułowała każde słowo

- że twoja matka, której prace dotąd podziwiałam i szanowałam, jest oszustką!

Spuścił wzrok i zacisnął dłoń na grzbiecie książki, aż mu kłykcie pobieleły.

- Nie wydaje mi się, żeby o to chodziło...

- Nie?! W takim razie o co?

Ben w dalszym ciągu unikał jej wzroku. Teraz trzymał książkę już obiema rękoma, palcem wskazującym obwładając zarys kobiecej postaci.

- Moim zdaniem chodzi o to, że moja matka uratowała te wszystkie wspaniałe opowieści od zapomnienia!

To Erikę zaskoczyło.

- Cóż, skoro tak uważasz... - chciała, by ta uwaga wypadła złośliwie, jadownicie, ale przypomniała sobie, co sama czuła w związku z obrazami zakopanymi w piwnicach jakiegoś zapyziałego rosyjskiego muzeum, i głos jej zadrżał.

Ben prawie nie zwrócił na nią uwagi.

- A kiedy chciała je opublikować pod nazwiskami prawdziwych autorów, żadne wydawnictwo nie było zainteresowane wskrzeszaniem zmarłych. Toteż gdy w końcu zdecydowała, że wyda je pod swoim nazwiskiem, marzyła tylko o takiej chwili jak ta: by ktoś rozpoznał jej plagiat, bo to by oznaczało, że przynajmniej tej jednej osobie zależy! - Dyszał jak po długim i wyczerpującym biegu.

- Moje gratulacje! Jesteś pierwszą osobą w ciągu ostatnich piętnastu lat...

Erika w milczeniu wpatrywała się w przedstawioną na okładce zmarłą kobietę unoszącą się nad miastem i myślała nie o tym, co Ben powiedział, nie o jego matce nawet, ale o własnej. Nagle kątem oka uchwyciła jakiś ruch. To Ben, obejrzawszy się za siebie, zrobił kilka kroków w bok. Postąpiła za nim jak cień, dopiero po fakcie zdając sobie sprawę, że w ten sposób odsunęli się od drzwi wejściowych do muzeum

- i od kamer.

255

- Lepiej zaprzestań poszukiwań obrazu - Ben rzucił w jej stronę ściszym głosem - to czysta strata czasu.

No, nareszcie, pomyślała z ulgą.

- Niby czemu? - zapytała z udawaną nonszalancją. - Twoim zdaniem złodziej jest nieuchwytny?

Pokręcił głową.

- Dlatego że obraz nie jest autentyczny.

W Erikę jakby piorun uderzył. Poczuli się schwytni w pułapkę - dosłownie, gdyż stała przyparta do muru, z Benem nachylającym się ku niej i złowrogo pobłyskującym szklami okularów, i w przenośni, ponieważ dość już miała rewelacji i niedomówień.

- Jak to? - wydukała.

- To kopia - wyjaśnił spokojnie. - Matka próbowała go sprzedać, ale nigdy nie dostała za niego pieniędzy. Obrazu nie namalował Chagall.

Długo patrzyła na niego bez słowa.

- Zmyśliłeś to - powiedziała w końcu.

- Y-y - ponownie potrząsnął głową. - Spójrz tutaj. Ben otworzył książkę na chybił trafił w miejscu, w którym

jak na rozkładówce powtórzony był motyw z okładki. Za zakładkę posłużyła złożona na dwoje zmaltretowana kartka papieru. Wziął ją do ręki, rozprostował i podał Erikę.

Wystarczył jeden rzut oka, by się zorientowała, że to list od marszanda, który zaprzestał działalności całe lata temu. Pobieźnie przebiegła wzrokiem treść i nie zrozumiała ani słowa.

Wróciła więc do góry strony i przeczytała list raz jeszcze, uważniej. W miarę lektury wszystko układało się w spójną całość. Rosalie Zyskind była oszustką w każdym calu! Warto by ją poznać, pomyślała i zerknęła na adres u góry strony. Ciekawe, czy wciąż tam mieszka? Jeśli tak, nie ujdzie jej to na sucho! obiecała sobie w duchu Erika i zaraz dodała: Ani jej synowi! Po krótkim zastanowieniu doszła do wniosku, że to jednak matka stanowi większe zagrożenie: jest doświadczona, utalentowana i jak dotąd nie padł na nią nawet cień podejrzenia! Czytając list dla pewności po raz trzeci, nieświadomie zaczęła kręcić głową. Słowa rozmywały się jej przed oczyma i traciły na klarowności. Nagle coś przestało

się jej zgadzać. Podniosła wzrok na Benjamina i mu oznajmiła:

- To niemożliwe. Obraz nie może być sfalszowany. Przeprowadziliśmy test i mamy stuprocentową pewność, że to płótno Chagalla, inaczej nie trafiłoby na naszą wystawę.

Oczy Bena powiększyły się za szklami okularów.

- Jaki test? - zapytał.

Erika zagryzła nerwowo wargę, próbując ocenić, ile może wyjawic bez straty dla świata sztuki.

- Chagall opracował system oznaczania swoich obrazów - powiedziała, starannie dobierając słowa.

- Kilka lat po śmierci artysty system został ujawniony przez jego spadkobierców wąskiemu kręgowi ludzi, tak aby zapobiec pojawieniu się na rynku falsyfikatów. Ten list pochodzi z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego, a zatem został napisany zaledwie rok po tym, jak Chagall zmarł, jest więc mało prawdopodobne, by ktokolwiek słyszał o metodzie identyfikacji jego płócien. Niemniej ten obraz ostatnio przeszedł test pozytywnie.

Ben otworzył usta i poruszył nimi bezgłośnie. Erika żałowała, że nie może ująć go za rękę.

- Obraz jest autentyczny - podsumowała, zwracając mu list. - Jeśli twoja matka nigdy nie dostała za niego pieniędzy, znaczy to, że ją okradziono... - Teraz już nie cenzurowała swoich słów, mówiła to, co myśli. - Na jej miejscu po prostu bym... - w tym momencie ugryzła się w język, zdawszy sobie sprawę z toku własnego rozumowania.

Ben potaknął, jak gdyby dokończyła zdanie, i zaraz opuścił głowę, chcąc ukryć ten subtelny, ledwie dostrzegalny gest, Erika jednak go ujrzała. Zdawszy sobie z tego sprawę, Ben skinął głową ponownie, tym razem patrząc jej prosto w oczy. Jego miękka, wilgotna dolna warga połyskiwała w świetle latarni.

- Wiem, gdzie jest obraz - rzekł cicho - i chcę znaleźć sposób, by go oddać.

Nie było to przyznanie się do winy, ale Ericie wystarczyło. Zyskała pewność. Przez ułamek sekundy wpatrywała się w jego ciemne oczy skryte za grubymi szklami okularów

257

i czuła coś zbliżonego do współczucia. Może powinna sobie odpuścić? Ale przecież żaden obraz nie zasłużył na to, by do końca świata spoczywać w jakimś zakamarku, i nie miało znaczenia, czyj to zakamarek. Tym jednym cichym zdaniem obraz zyskał szansę ujrzenia znów światła dziennego.

Erika przyłgnęła do zimnego muru, przełknęła ciężko ślinę i słuchała.

- Jeśli go oddam - ciągnął Ben - muszę mieć gwarancję bezpieczeństwa.

Tym razem głos mu lekko zadrzał i Erika rozpoznała w tym drzeniu szczerą i uczciwą. Gdyby mogła, podskoczyłaby z radości.

- Będziesz bezpieczny - zapewniła go szybko. - Obiecuję, że ty... że ja... - z podniecenia zaczęła się jękać.

Zdziwiło ją, że nie potrafi skłamać czy choćby powiedzieć czegoś, co nie do końca jest prawdą. Stał tak blisko niej, że wbrew sobie ponownie pomyślała o chłopcu z liceum, o dotyku, który był czystym zaufaniem.

Nagle Ben wyprostował się i rzucił hardo:

- To za mało. Musisz mi dać gwarancję. Pokazać mi, że jeśli ja znajdę się w tarapatkach, ty także.

Wygrywamy albo przegrywamy razem.

Tego się nie spodziewała. Na szczęście Ben był nikczemnej postury, w przeciwnym razie poczułaby w tamtej chwili strach. (Doświadczenie z Saulem przynajmniej ją czegoś nauczyło.)

- Co konkretnie masz na myśli?

- Jeśli chcesz dostać obraz z powrotem, wejdiesz teraz do muzeum i udowodnisz mi czarno na białym, że obraz przeszedł test, o którym mówiłaś. A potem dasz mi te historie...

- Historie? - zupełnie się pogubiła.

- Tak, historie - powtórzył niecierpliwie.

- Chodzi ci o te kartki, które były schowane w obrazie?

- Tak.



- Ale... dlaczego?

- Dlatego że będę ich potrzebował na wypadek, gdybyś mnie jednak wydała. Wtedy pokażę wszystkim te papiery i powiem, że byłaś moją współniczką.

258

Teraz już naprawdę się go bała. Odsunęła się na tyle, na ile pozwalał jej mur za plecami, stwierdzając przy tym, że cała drży ze strachu i emocji.

- To by wcale nie był dowód - zaprotestowała słabo.

- Owszem, byłby - odparował. - Dopiero co powiedziałaś mi, że pokazywałaś je jakiemuś starymu kustoszowi. Oznacza to, że ludzie w muzeum wiedzą, że miałaś do tych papierów dostęp. Wrobię cię we współudział, jeśli nie dotrzymasz słowa.

Erika zaczęła się dusić. Czy on mówi poważnie?

- Ale jeśli wszystko pójdzie jak należy, oddam i obraz, i historie.

- Nie - odparła Erika, nie widząc sposobu, by wydostać papiery z muzeum. Zresztą i tak nie mogłaby tego zrobić!

- No to z obrazu nici - skwitował Ben. - I nie licz na to, że go znajdziesz sama. I jeszcze jedno: jeśli zaczniesz na mnie nadawać na policji, ja zrobię to samo. Zgadnij, komu uwierzą?

- Nie - powtórzyła Erika i gwoli wyjaśnienia dodała: - Nie mogę tego zrobić.

Chciała przeciągnąć tę rozmowę, zyskać na czasie. Przecież musi być jakiś sposób... powtarzała w duchu, wiedząc równocześnie, że Ben ma rację. Policja nigdy jej nie uwierzy, po tym co nawyprawiała dotychczas, wśród kolegów w muzeum także straciła twarz; wszyscy uważali ją za wariatkę, co więcej: niewykluczone, że faktycznie nią była, skoro to ona jedna w ciągu długich piętnastu lat, odkąd Rosalie Zyskind rzekomo sprzedała obraz do rosyjskiego muzeum, cokolwiek zauważyła i jeszcze się tym przejmuje! Z rozmyślań wyrwał ją dotyk książki. To Ben, schowawszy list do kieszeni spodni, wsunął jej „Lepszy świat” w dłonie, mówiąc:

- Cieszę się, że książka ci się podobała.

Nim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się i zaczął od niej oddalać. Kiedy zatrzymał się jak poprzednio na przejściu dla pieszych, Erika zastanowiła się, czy przypadkiem nie daje jej szansy, by zmieniła zdanie. Wiedzioną przecuciem otworzyła szybko książkę i przejrzała pierwsze kilka stron, ustawiając się tak, by przez ramię padało jej światło latarni. Mimo to nie

259

znalazła tego, czego szukała. Benjamin Zyskind ponownie wystrychnął ją na dudka.

- Nie dałeś książki matce do podpisu! - krzyknęła za niego

Światło zdążyło się zmienić na zielone, lecz Ben stał bez ruchu. Ze zdziwieniem przyglądała się, jak powoli się ku niej odwraca. Twarz, którą zobaczyła, należała jakby do obcego człowieka.

- Przepraszam w jej imieniu - rzekł bezbarwnym głosem - ale niestety zmarła pół roku temu.

Erika popatrzyła na okładkę książki, na szybującą kobietę, potem przeniosła wzrok z powrotem na zmienioną twarz Bena. Cały jej gniew gdzieś się ulotnił.

- Zgoda - powiedziała. - Zrobię to.

- Nie przez te drzwi! - Erika złapała Bena za łokieć i wyjaśniła: - Kamera... - Przedtem chciała, by został schwytany, na taśmie i na gorącym uczynku, wnosząc obraz do muzeum; teraz jednak urządzenie wchodziło jej w paradę. Wciąż nie była pewna, czy dobrze zrobiła, godząc się na propozycję Zyskinda, ale przynajmniej już się nie bała (możliwość, że zaatakuje ją jakimś niebezpiecznym przedmiotem, została wykluczona, kiedy zaprezentował jej zawartość swoich kieszeni), - Wejście dla personelu także odpada, ale mam pomysł. Chodźmy!

Zacząła oddalać się od muzeum; na czerwonym świetle przeszła na drugą stronę ulicy i wyraźnie zmierzała ku parkowi. Gdy obejrzała się za siebie, aby sprawdzić, czy Ben za nią idzie, zobaczyła, że waha się, popatrując to na budynek muzeum, to na nią, aż wreszcie podjął decyzję i w śmiesznych podskokach dołączył do niej. Ledwie się powstrzymała, by nie podać mu ręki.

- Dokąd my właściwie idziemy? - spytał zdziwiony. W jego głosie pobrzmiwała również nerwowość. Ben był

zaniepokojony, podobnie jak kiedyś w trakcie rozmowy w biurze, co podziało na Erikę kojąco. Czuła się pewniej, gdy inni tracili głowę - lubiła panować nad sytuacją.

- Jak to dokąd? Do środka!

260

Tymczasem wciąż byli na zewnątrz i maszerowali wzdłuż muru odgradzającego miejski park, pozostawiając muzeum hen w tyle. Zatrzymali się dopiero dwie przecznice dalej, na znak dany przez Erikę. Stała tuż pod murem, w cieniu, i badawczym wzrokiem omiatała okolicę. Uderzyło ją, że Ben wygląda jak postać z ilustracji jego matki - w pomarańczowym świetle ulicznej latarni jawił się raczej jako zjawia niż żywy człowiek. Odczekała jeszcze chwilę, pozwalając, by przejeżdżający właśnie autobus minął ich i oddalił się na bezpieczną odległość, po czym nagle ukucnęła. U ich stóp znajdowała się metalowa pokrywa, jakich pełno na nowojorskich ulicach i chodnikach. Większość z nich to wyloty wentylacyjne metra albo od dawna nie używane wejścia do piwnic, wszakże w tym konkretnym miejscu nie było żadnego budynku, do którego piwnicy otwór mógłby prowadzić, ani tym bardziej tunelu metra, wymagającego wentylacji. Ben patrzył na Erikę z niedowierzaniem, kiedy w torebce szukała pęku kluczy, a potem jednym z nich próbowała trafić po ciemku w zardzewiałą dziurkę. Po dłuższym gmeraniu rozległo się charakterystyczne „klik!”, któremu towarzyszyło westchnienie ulgi. Erika wrzuciła klucze z powrotem do torebki i z lekkim sapnięciem podniosła klapę.

Cały ten czas zastanawiała się, co myśli sobie Ben, lecz ani przez chwilę nie spodziewała się, że kiedy podniesie wreszcie głowę, by na niego popatrzeć, ogarnie ją pusty śmiech. Główny podejrzany o kradzież wartościowego obrazu Chagalla stał naprzeciwko niej z rozdziawionymi ustami i oczyma jak spodki, jak gdyby właśnie zaprezentowała mu wejście do piekieł bądź zaprosiła, żeby zstąpił do własnego grobu. Chociaż właściwie mógł tak pomyśleć, uznała w duchu rzuciwszy spojrzenie w czeluść. Od brzegu otworu wiodła w dół wąska drewniana drabina, której już trzeci szczebel ginał w ciemnościach. Erika uśmiechnęła się zachęcająco i żeby mieć obie ręce wolne, wsunęła oddaną jej książkę do przepastnej torby. Ben wydawał się coraz bardziej przerażony, bezwiednie kręcił głową - z niedowierzania albo chcąc dać jej do zrozumienia, że on się na to nie pisze... Jego strach podziało na nią motywująco, zdecydowanym ruchem wsunęła najpierw jedną, potem drugą

261

nogę w otchłań i zręcznie zeszła po drabinie, niemal ginąc mu z oczu.

- No chodź! - popędziła go, nim zupełnie zniknęła z widoku, mimo że wcale nie potrzebowała, by dotrzymywał jej towarzystwa - w istocie wołała załatwić sama to, co miała do załatwienia. - Przecież jesteśmy współnikami!

- Nie! - szepnął Ben pobielalymi wargami.

Jest przystojniejszy, kiedy się boi, oeniła w duchu Erika i nagle poczuła, że pragnie znaleźć się z nim sam na sam w ciemnym podziemnym korytarzu.

- Jak chcesz - rzuciła, chwytając pokrywę i zatraskując ją za sobą.

Czyli będzie musiała zrobić to sama. Oby tylko nie dostał cykora i mnie tu nie zostawił, zaniepokoiła się nagle, ale zmitrężyli już zbyt wiele czasu i było za późno, by namawiać go, żeby jednak odważył się zejść. Wzruszyła ramionami i zaczęła opuszczać stopy, po omacku szukając każdego kolejnego szczebla. Jeszcze jeden krok w dół i straci z oczu zarys zakrywającej klapę i podświetlonej na pomarańczowo sylwetki... Z jakiegoś powodu przypomniała sobie w tamtej chwili pewną noc sprzed roku, kiedy śpiesząc się podążała do domu rodziców za miastem: najpierw pędziła, by zdążyć na pociąg, później posuwała się do przodu składu przez rozchybotane łączniki, byle znaleźć się bliżej wyjścia ze stacji, kiedy pociąg już dotrze na miejsce, a potem jeszcze biegła od stacji do domu, przez park i wzdłuż zadrzewionej ulicy, przy której mieszkali rodzice, pozwalając sobie na zaledwie sekundowy odpoczynek, mimo że zaczynało już jej brakować tchu, aż wreszcie dotarła na podjazd i zdyszana, przez pot zalewający jej oczy zobaczyła, jak w drzwiach pojawia się jej brat - wolno, zbyt wolno - i od razu wiedziała, że się spóźniła, choć zapewne tylko o

włos...

Ze wspomnień wyrwał ją odbijający się metalicznym echem głos Bena.

- Zaczekaj! - zawołał, otwierając kratę i podążając jej śladem.

262

W drabinie brakowało kilku ostatnich szczebli - skończyła się tak raptownie, że Ben wbrew własnej woli zawisł w powietrzu, rozciągnięty pomiędzy niebem i ziemią. Erika przyglądała się w milczeniu, jak obuta w sandał goła stopa sięga w dół badając, jak daleko ma jeszcze do gruntu; w końcu zlitowała się i powiedziała:

- Po prostu skocz. To niewysoko.

Ben nie ufał jej ocenie i wolałby ześlizgnąć się powoli, minimalizując ewentualne obrażenia, lecz zdradziło go własne ciało: uchwyt dłoni na drabinie słabł, pot powodował, że palce mu zwilgotniały, i to przesądziło. Odpadł od drabiny i niezdarnie wylądował, rozpryskując gęste, brzydko pachnące błoto, w którym - Ben widział to oczyma wyobraźni - na pewno roilo się od oślizgłych zimnych stworów mogących przyprawić o niepohamowane dreszcze.

Tak jak przewidywał, na dole było ciemno i głucho jak w grobie. Ze spokojnej ulicy nie dochodziły żadne odgłosy i jedyne, co słyszał, to kapanie wody - brzmiało to tak, jak gdyby ktoś w oddali szarpał nad wyraz cienkie struny. Zapach także nie był o wiele lepszy, mieszanina mokrego cementu i zgnilizny, zupełnie jak w grobowcu; do tego powietrze zdawało się zimne i lepkie jednocześnie - Ben wzdrygał się za każdym razem, gdy taki niezdrowy powiew owionął mu twarz. Oczy długo nie chciały mu się przyzwyczaić do mroku i Erika, która znalazła się pośród ciemności parę chwil wcześniej, widziała, jak Ben śmiesznie mruży powieki i wybałusza gałki oczne na przemian, lecz jak dotąd także na próżno, po czym wyciąga ręce przed siebie niczym ślepiec, bojąc się uczynić choćby najmniejszy krok. Któraś jego dłoń dotknęła jej piersi i odskoczyła, jakby napotkała przewód elektryczny pod napięciem. Erika zadrżała i dalej stała bez ruchu, pielęgnując w pamięci to krótkie doznanie. Dotyk był doskonały, za takim od dawna tęskniła jej skóra...

- Błoto jest tylko przy drabinie, bo parę dni temu padało

- wyjaśniła rzeczowo, starając się zapanować nad swoimi zmysłami. - Wystarczy, że odejdziesz kawałek, i będziesz stał na suchym. - Ben posłusznie zrobił kilka kroków do przodu.

- Przykro mi z powodu drabiny - ciągnęła wyjaśnienia Erika

263

- ale taka już była, gdy odkryłam to przejście. Przypuszczam, że ostatnie stopnie zarwały się kiedyś pod kimś, a może nadgniły po jakimś silnym deszczu...

Nadal stali w kompletnych ciemnościach. Gęsty czarny atrament zafalował i coś otarło się o ramię Eriki, którą nagle odeszła cała odwaga. Kierowana odwiecznym strachem zaczęła rozpaczliwie macać za zamkiem błyskawicznym torby, po czym rozsunęła go z głośnym zgrzytem i zanurzyła dłoń w środku. Odetchnęła z ulgą, gdy jej palce natrafiły na zimny metal. Klucze obijały się o siebie, gdy gwałtownie wyciągała je na wierzch, i pobrzękiwały niczym odległe dzwony. Złapała pęk mocniej i bicie dzwonów ustało, rozległo się za to pstryknięcie - równocześnie mrok przeciął wąski promień światła z minilatarki przy breloczku. Ben zaskoczony spojrział w dół na jej ręce, lecz niemal natychmiast musiał zamknąć oczy, boleśnie porażony światłem, kiedy Erika zadarła brelok do góry, prosto w jego stronę. Taki układ bardziej jej odpowiadał: znów wszystko miała pod kontrolą.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał, zasłaniając oczy dłonią, zza której połyskiwały szkła jego okularów.

Światelko zatańczyło mu na twarzy i opadło na pierś.

- Byłeś kiedyś w Synagodze Touro?

- W czym?

Zdziwiło ją, że ktoś, kto układa pytania do teleturnieju „Amerykański geniusz”, nie słyszał o Synagodze Touro. Chciała nawet zrobić jakiś przytyk na ten temat, ale ostatecznie zrezygnowała.

- W najstarszej synagodze w Stanach - wyjaśniła. - Wybudowano ją na Rhode Island jeszcze w

osiemnastym wieku, a jej budowniczy byli tak pewni tego, że prędzej czy później osiągną ich prześladowania, że przewidzieli w projekcie sekretne podziemne przejście wiodące od świątyni w bezpieczne miejsce, na wypadek gdyby kiedykolwiek musieli uciekać z pogromu. - Poruszyła latarką, tak że znów oświetlała mu twarz. Nie chciała, by patrzył jej prosto w oczy. - A ten budynek, w którego podziemiach znajdujemy się teraz, w dziewiętnastym wieku należał do rodziny sefardyjskich Żydów, którzy jak widać, żywili podobne

264

obawy... To przejście wiedzie z wnętrza muzeum aż do parku.

Ben nic nie mówił, mrugał tylko zażawionymi oczyma, toteż Erika postanowiła nie dręczyć go dłużej i opuściła promień, tak że oświetlił kolejno pierś Bena i jego ręce, ścianę za nim, grunt pod ich stopami, wreszcie tunel rozpościerający się przed nimi - niewielka moc żarówki pozwalała obejrzeć tylko jakieś parę metrów z jego długości - i na sam koniec niski sufit. Ściany i sufit były gołe, ale podłogę tunelu wyłożono kiedyś granitową kostką. Ben cierpiał chyba na lekką klaustrofobię, bo ten widok sprawił, że jego oddech znów stał się świszczący i urywany.

- Jakiś miesiąc temu porządkowałam jeden z magazynów - opowiadała Erika - i znalazłam na podłodze klucz. A właściwie nie tyle na podłodze, ile pod podłogą... Przenosiłam coś i to coś zahaczyło o wystającą płytkę i ją przesunęło. W płytce szparze leżał jakby nigdy nic ten właśnie klucz... - Pogmerała przy całym ich pęku i wyłowiła kluczyk, na który skierowała promień latarki. Zauważyła przy tym, że Ben uważnie się jej przygląda; jego wzrok wydawał się mięknąć przy każdym jej słowie, jak gdyby mówiąc, czyniła to miejsce znośniejszym i przytulniejszym. - No ale dosyć już gędzenia! Chodźmy!

Odwróciła się i ruszyła do przodu, bardziej czując, niż słysząc, że Ben podąża za nią. Ciekawe, co on o tym wszystkim myśli? dumiała.

Powietrze z każdym ich krokiem stawało się wyraźnie chłodniejsze i suchsze, w miarę jak tunel się poszerzał. Gdy stał się na tyle szeroki, że mógł pomieścić dwie idące koło siebie osoby, Ben przesunął się do przodu i zajął miejsce obok Eriki. Przez ułamek sekundy wydało jej się, że zrobili sobie normalną wycieczkę, że są - na przykład - w jakimś muzeum dziwów.

- Tu jest jak w katakumbach - powiedział nagle Ben.

- W czym?

- No, w krypcie, w grobowcu - tłumaczył.

Erika skrzywiła się, jak to czyniła od roku, gdy ktoś w jej obecności wspomniał o śmierci bez zachowania należytej powagi.

265

Zaraz jednak usprawiedliwiła w duchu Bena, przypomniawszy sobie książkę, którą niosła w torbie, i wszystkie inne książki i opowieści, które jego matka uratowała od zapomnienia, na jakie były skazane w bibliotecznych katakumbach. - Poczekaj, aż zobaczysz resztę - rzekła. Szli koło siebie, czasem tylko jedno przepuszczało drugie, gdy tunel nieoczekiwanie się zwężał, wtedy Erika najczęściej zostawała w tyle i podziwiała cień Bena wydobywany przez promień latarki i rzucany na ścianę niczym rysunek piórkiem i węglem. Nie mogła nie zauważyć różnicy w sposobie ich poruszania się: ona kroczyła przez podziemia jak królowa świata cieni, pewnie i dystyngowanie, podczas gdy Ben bez przerwy się potykał i kłął pod nosem. Wreszcie zaczęli się zbliżać do końca tunelu. Początkowo wyglądało to tak, jakby mieli dojść do litej skały, o którą rozpaczliwie obijało się światło latarki, wszakże wkrótce okazało się, że to nie ściana, lecz drzwi. Potężne metalowe drzwi, do których nienaturalnie mały kluczyk znalazła Erika przed miesiącem, a teraz właśnie wsuwała go w dziurkę i kręciła nim niecierpliwie. Kiedy zamek zaskoczył, rozległ się metaliczny dźwięk, a potem zapadła głucha cisza, którą przerwało dopiero posapywanie Eriki mocującej się z opornymi drzwiami. Ciągnęła je i szarpała nadwierzając mięśnie rąk i karku, a latarka nadaremnie dyndała przy breloczku. Wygląda na to, że się zacięły, pomyślała podejmując ostatnią próbę. Nagle po obu stronach swoich stóp zobaczyła rozczłapane sandały i poczuła, jak obejmują ją silne ramiona; chwilę później na jej omdlewających dłoniach spoczęły gładkie, lecz mocne ręce. Erika

przymknęła oczy i przygotowując się do kolejnego wysiłku, zaparła plecami w pierś Bena - zaskoczyło ją przy tym, z jaką ufnością to zrobiła i jak wielkie wrażenie wywarł na niej ten krótki, wymuszony kontakt fizyczny. We dwójkę wreszcie dali drzwiom radę, odsuwając się zaraz od siebie i nie komentując, jakby nigdy się do siebie nie zbliżyli.

Ku frustracji Bena w otworze drzwiowym pojawiła się następna ściana; stał i patrzył na nią z niedowierzaniem, gotów okręcić się na pięcie i ruszyć tam, skąd przyszedł, kiedy Erika pewnym ruchem przesunęła „ścianę” tak, że powstała szczelina

266

na tyle szeroka, że zdołała się przez nią przecisnąć. Jak się okazało, drzwi zasłaniało wielkie płótno i jeśli tylko wiedziało się, w którym miejscu je lekko unieść i odsunąć, droga stawała otworem. Ben niezgrabnie dołączył do Eriki, która właśnie z uśmiechem mówiła:

- A co powiesz na taki grobowiec?

Wyszędłszy z tunelu znaleźli się w obszernym pokoju, po brzegi zastawionym metalowymi regałami i przeszklonymi witrynami na podobieństwo dziwacznej biblioteki czy skarbcza. Na półkach, połyskujących w świetle latarki, tkwiły rzędy najróżniejszych przedmiotów. Pierwsze rzucały się w oczy obrazy - wszelakich stylów, zgrupowane na specjalnych stojakach, dzięki których rolkowemu mechanizmowi mogły być jak gdyby przewijane, tak że w danej chwili widoczne w całej okazałości były tylko nieliczne, a i to wystarczyło, by oszołomić wielością barw i figur, i postaci. Później uwagę przyciągały rzeźby, skryte w mroku abstrakcyjne kształty od nudnych, pełnych majestatu przysadzistych brył po gniewne, powykręcane na wszystkie strony kawałki zardzewiałego metalu. Dopiero gdy wzrok przyzwyczał się do panującej w pomieszczeniu szarości, można było dojrzeć bardziej filigranowe dzieła ludzkich rąk, najczęściej wykonane w srebrze - świeczniki, puchary do wina, puszki na wonności, dawno zapomniane skarbonki w kształcie domków, służące do zbierania pieniędzy na jałmużnę, korony i napierśniki, a także miniaturowe jady - rączki, których przeznaczeniem było przytrzymywanie rozwijanego przy czytaniu zwoju Tory. U dołu, poniżej linii wzroku, w czymś w rodzaju niewielkich skrzyń leżały niezliczone pomniejsze zwoje, pojedyncze i podwójne, niektóre ciasno zwinięte w rulon, inne lekko rozwinięte, jak gdyby zapisane na nich słowa właśnie wydobywały się z pergaminu, kiedy odwieczną ciszę zakłóciło najście ludzi. Jeszcze niżej, na samym dole, ścieliły się niewysokie sterty papieru, ciemnego i grubego, które widać było tylko wówczas, gdy bezpośrednio padały na nie promienie latarki, tu i ówdzie wydobywając z cienia złocone hebrajskie inicjały. Erika omiatała wnętrza światłem w górę i w dół, w prawo i w lewo, z satysfakcją

267

przysłuchując się westchnieniom Bena, gdy udało jej się zaprezentować wyjątkowo cenny eksponat.

- W przyszłym miesiącu urządzamy wystawę manuskryptów - wyjaśniła szeptem, jakby naprawdę byli w krypcie. Przeniosła promień latarki na pierś Bena i przypomniawszy sobie, po co tam w ogóle przyszli, dodała: - Zaraz pokażę ci te dokumenty...

Ruszyła pewnie mimo ciemności i zniknąwszy na chwilę w mrocznej niszy za najwyższym regałem, pchnęła drzwi wiodące do jej biura, które moment później wydało się Benowi zaledwie cieniem pomieszczenia, jakie zapamiętał z poprzedniej przymusowej wizyty. W gęstej szarości, której nie przecinało ostre światło jarzeniówek, na ledwie widocznym biurku spoczywał pozbawiony życia i mocy komputer, a na tle ściany majaczyły zarysy szaf na akta. Podchodząc do nich Erika zdziwiła się, że jej wcześniejszy strach, wynikający ze świadomości współudziału w przedsięwzięciu nie tylko niezgodnym z prawem i wątpliwym z moralnego punktu widzenia, ale także - a może przede wszystkim - będącym czystym szaleństwem, o jakie nigdy by się nie podejrzewała, opuścił ją niemal zupełnie. Miała jednak na tyle zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego, że nie zapaliła górnego światła - zresztą podobało jej się biuro skąpane w słabej, lekko niebieskawej poświacie wyczerpującej się powoli latarki. Przelotnie nawiedziła ją myśl, że nocą biura muzeum zaludniają duchy wszystkich poprzednich pracowników, zwłaszcza

oddanych swej pracy całym sercem i nadzwyczaj obowiązkowych kustoszów, i kontynuują katalogowanie i zaprowadzanie porządku wśród tych dzieł sztuki, o których świat żywych zdążył zapomnieć.

- To tutaj mnie przesłuchiwałaś - zauważył cierpko Ben. Erika powiodła słabiutkim promieniem za głosem i się uśmiechnęła.

- Spędzam tu większość swego życia, od niedzieli do czwartku. Dobrze, że przynajmniej piątki i soboty mam wolne! - zachichotała.

Była już zupełnie rozluźniona, czuła się tak, jakby wcale nie miała zaraz złamać prawa, lecz oddać przysługę przyjacielowi. Nieco otrzeźwiło ją szybkie spojrzenie rzucone w stronę

268

Bena: wyraźnie nie podzielał jej nastroju, na jego twarzy zamiast uśmiechu gościł nerwowy grymas.

Erika wydobyła z jednej z metalowych szuflad cienką teczkę, przejrzała ją w płaszącym świetle i wyjęła niepozorny karteluszek.

- Tak jak już ci mówiłam, Chagall oznaczał swoje obrazy. Dokładnie polegało to na tym, że umieszczał szereg cyfr u dołu płótna, na tym fragmencie, który zachodzi za drewnianą ramę, na której płótno jest rozpięte. Każdy - podkreśliła to słowo - oryginalny obraz Chagalla ma takie numery.

Podążyła Benowi odnalezioną fotografię, przedstawiającą tył jakiegoś obrazu. Jego prawy dolny róg został odczepiony od ramy, tak że na widoku znalazła się ta część płótna, która normalnie przybita jest gwoździkami do drewna. Na niej, wymalowane drobnym acz ozdobnym charakterem pisma, widniały opatrzone wieloma zawijasami cyfry, o jakich wspomniała Erika, przedzielone łącznikami. Wyglądało to mniej więcej tak:

200-4,00-60-50

- Znakowanie rozpoczął dopiero po swej pierwszej wystawie w Berlinie - kontynuowała wykład Erika, pozwalając Benowi, by do woli przyglądał się zdjęciu. - Nie oznacza to jednak, że zapomniał o swych wcześniejszych pracach, co to, to nie. Oznakował je niejako hurtem, tak że niektóre obrazy noszą te same cyfry.

- Co one oznaczają? - Ben nie odrywał wzroku od fotografii.

Erika wzruszyła ramionami, ciesząc się, że Ben na nią nie patrzy i nie widzi wypętlającego na jej twarzy rumieńca. Wstydziła się, iż nie potrafi udzielić na to pytanie konkretnej odpowiedzi.

- Nic... To po prostu coś w rodzaju kodu kreskowego - wyjaśniła zadowolona, że udało jej się znaleźć adekwatne porównanie. - Jeśli szukasz sensu, popatrz na to.

Na jej biurku, tam gdzie je zostawiła, leżały zabezpieczone folią papiery wyjęte z ramy obrazu. Podniosła je jeden

269

po drugim i ponownie im się przyjrzała, żałując, że nie potrafi odczytać ani słowa.

- Ty to rozumiesz, prawda? - zapytała miękko. - Pamiętam, że wspomniałeś kiedyś, iż znasz jidysz... - Ostrożnie podała mu oba skarby. - Ten starszy kustosz, o którym ci opowiadałam, rozpoznał drukowany tekst, ale nie miał zielonego pojęcia, kto jest autorem tego drugiego... Powiedział mi tylko, że to historia o moście. Wiesz może, kto napisał coś takiego?

Ben przysunął się do Eriki, by mieć więcej światła, i mrużąc krótkowzroczne oczy, wpatrzył się w okryte folią teksty. Spoglądał to na jeden, to na drugi, wreszcie powiedział:

- Niestety nie. I nigdzie tutaj nie ma nazwiska autora, ale wygląda mi to na starą rzecz...

Erika usłyszała w jego głosie nutę szczerzego zainteresowania, co mile ją zdziwiło.

- Obraz pochodzi z tysiąc dziewięćset czternastego roku, a numerację dodano gdzieś w okolicach tysiąc dziewięćset dwudziestego... - urwała, zawstydzony się, że się przed nim

wymądrza.

Benowi zaczęły trząść się ręce, jak gdyby dopiero w tej chwili uświadomił sobie wiekowość obu eksponatów.

- W innych obrazach także znaleźliśmy papiery... - Erika nie mogła się pohamować, by mu o tym nie powiedzieć. - Na przykład w wielkim malowidle udostępnionym przez moskiewski Państwowy Teatr Żydowski pod tylną sklejką były dziesiątki kartek zapisanych tym samym charakterem co ta opowieść o moście. Jak gdyby z jakiegoś powodu ktoś schował tam cały rękopis książki. Mam je gdzieś tutaj... Wciąż czekają na przetłumaczenie.

Erika nieoczekiwanie zaświeciła Benowi w twarz, co go wystraszyło. Jakby został przyłapany na gorącym uczynku, szybko odłożył trzymane w rękę teksty na stół i skierował wzrok na współniczkę.

- Jak więc widzisz, wszystko jest autentyczne. Teksty są twoje, do czasu kiedy zwrócisz obraz. To znaczy przez trzy dni, bo tyle ci daję. - Poprawiła uchwyt na breloczku wyslizgującym

270

jej się z dłoni. - Przez trzy dni nie pisnę nikomu ani słowa.

Stała teraz blisko Bena, wciśnięta pomiędzy jego patykowate ciało i biurko, sama nie wiedząc, kiedy się tam znalazła. Wśród nawiedzanego przez duchy biura, w trzepoczącym świetle gasnącej latarki, jego twarz wydawała się delikatna i smutna, i pełna tęsknoty, jak gdyby szczęście było uczuciem, które ledwie pamiętał, czymś od dawna mu zakazanym.

- Dlaczego to robisz? - spytał cicho.

Mogła podać wiele powodów, część z nich niewątpliwie była prawdziwa - jeśli nie w tamtej właśnie chwili, to z pewnością wcześniej, kiedy podejmowała decyzję. Jednakże wśród ciemności skarbcza skrywającego zapomniane dzieła sztuki Erika czuła obecność swojej matki i jego - obserwujących ją i czekających, co powie i zrobi.

- Ponieważ ci ufam - odparła.

Śliski od potu breloczek wymknął jej się z dłoni i pęk kluczy upadł z łoskotem na podłogę.

Światelko nieodwołalnie zgasło. Nim zdążyła pomyśleć, że powinna się schylić i odnaleźć latarkę, nim zdążyła cokolwiek zrobić, w jakikolwiek sposób zareagować, poczuła na ramionach dłonie Bena, palcami sięgające jej karku i zagłębiające się we włosy.

Wokół niej panowała atramentowa czern; głęboka, wspaniała i lepka wsączała się w każdą najdrobniejszą szczelinę jej ciała, wciskała się pod powieki i między wargi, lecz oto nagle ciemność wypełniająca jej usta, tak że Erika wyraźnie czuła ją pomiędzy językiem i podniebieniem, przecięła błyskawica światła i załala falą barw, eksplodując jej w umyśle.

## Rozdział Czternasty.

W ciemnościach włosy sprawiają w dotyku zupełnie inne wrażenie aniżeli w pełnym świetle. Gdy się je widzi, można ich dotykać i właściwie wcale nie czuć, ponieważ zmysły absorbuje wtedy ich kolor i długość, i nadane im ułożenie, a także gra światła i cienia pomiędzy pojedynczymi pasmami i palcami tego, kto ich dotyka. Po ciemku jej włosy przelewały się w jego dłoni niczym płynne złoto, przemawiając doń przy tym delikatną muzyką. Skórę również inaczej się odbiera, w zależności od tego czy się ją widzi czy też nie. Patrząc na człowieka, niemal w ogóle nie zauważa się powłoki, gdyż uwaga koncentruje się na oczach śledzących każdy ruch, oczach, którym tak trudno zaufać i które być może czyhają tylko, by przyłapać obserwatora i go zawstydzić albo nawet wyśmiać. Po ciemku jej skóra była ciepła i drżąca, i pełna życia - swoimi opuszkami napotykał sekretne muszle jej uszu, równocześnie czując miękkie koniuszki palców zataczających drobne kręgi na jego karku, wyczuwał drgnienia powiek, w których odzwierciedlenie znajdował rytm jej pulsu, wargami badał jej policzki, nagle zapadające się w czeluść ust, do której już sięgał jego chętny język... Widząc kogoś, nie myśli się o tym, jak może być ciepły i zapraszający, ani o tym, z jaką łatwością można zgubić się w jego ramionach, znajdując bezpieczną przystań pośród ciała i

kości, i ubrań, i mroku, który rozjaśnia tylko emanujące z obojga promieniowanie... Po ciemku chłonał ją całym sobą, by nagle zorientować się, że lekko się odeń odsuwa, przykładając mu

272

do piersi dłonie - gestem nie obronnym, lecz wibrującym od nadziei. Wspólnie poszukali ściany i oparli się o nią, osunęli po niej plecami, aż znaleźli się na ziemi, wciąż razem, jedno obok drugiego w tej podziemnej miejskiej jaskini. Ona trzymała głowę na jego ramieniu, a on wtulał twarz w jej włosy, wdychając bogaty aromat spodziewanego pocałunku.

- To musi być dziwne, prawda? Nic nie widzieć... Ucieszył się, kiedy odezwała się pierwsza - zbytnio się

bał, że nie będzie w stanie powiedzieć nic, co wydawałoby się w takiej chwili właściwe. Wszakże jej się to udało, jak zwykle utrafiła w sedno. Uniósł niewidoczną dłoń i zadrżał z radości, gdy czubki jego palców zetknęły się w powietrzu z jej opuszkami.

- Ja prawie w ogóle nie widzę bez okularów - usłyszał swój głos. - Tylko jakieś rozmazane kolorowe plamy, no i światło.

Dźwięki ich rozmowy naruszyły pozostającą dotąd bez ruchu kurtynę czerni. Sylaby wypowiedzianych przez niego słów przesywały mrok niczym iskry wyładowań elektrycznych, miniaturowe błyskawice na tle atlasowo czarnego nieba. W tym czasie jej palce wygrywały na jego skórze etiudę, w rytmie arpeggio przebiegały przez ramię do szyi, by na moment zatrzymać się na małżowinie usznej i zahaczając o uszka okularów, zakończyć akord na jego porośniętym szczecinką policzku.

- Nie poznałeś mnie, kiedy wczoraj czekałam na ciebie pod domem... - powiedziała mu do ucha - ...mimo że patrzyłeś wprost na mnie. Wtedy sądziłam, że mnie nie poznałeś, ale teraz sobie uświadomiłam, że na moment przed tym, nim na mnie spojrzales, zdjąłeś okulary...

Zaśmiał się lekko.

- Sama więc widzisz, że tego nie zmyśliłem...

- Masz zbyt ładne oczy, by je chować za szklami okularów, wiesz? Szkoda, że musisz je nosić non stop.

Gdyby rozmawiał z Niną, zaczęłby się tłumaczyć, że jest praktycznie ślepy, że ma fobię na punkcie soczewek kontaktowych i grzebania we własnych oczach, ale tutaj, otoczony przez

273

ciemność i Erikę, po prostu rozkoszował się wrażeniami i jej głosem. Odwrócił się delikatnie i tym razem to on rozpoczął wędrówkę wzdłuż jej ramienia, aż do zagłębienia pod brodą, skąd koniuszkami palców sięgnął ku jej ustom. Kilkakrotnie obwiodł ich zarys, po czym przytknął czubek palca wskazującego do zagłębienia pod nosem i je delikatnie pieścił, dopóki Erika nie odwzajemniła się pocałunkiem, najpierw w palec wskazujący, a później we wszystkie pozostałe, i nie ujęła jego dłoni w swoją. Cisza, która między nimi zapadła, wibrowała od niewypowiedzianych słów i uczuć. Ben rozpaczliwie próbował wymyślić coś, co mógłby powiedzieć, co jakimś cudem sprawiłoby, że chwila, kiedy Erika wstanie, zapali światło, porzuci go i zniknie z jego życia na zawsze, odwlekałyby się w nieskończoność. Nic takiego wciąż nie przychodziło mu do głowy, toteż odetchnął z ulgą, gdy to znowu ona przerwała milczenie.

- Cieszę się, że poznałam twoją siostrę - rzekła. - Próbowałam zgadnąć, czy jest od ciebie młodsza czy starsza, ale musiałam się poddać...

Choć Ben w dalszym ciągu nic nie widział, poczuł się tak, jakby tuż naprzeciw miał swoją siostrę, a może także rodziców, jakby był zaledwie małą częścią większej całości, czegoś naprawdę ważnego.

- Nic dziwnego - wyjaśnił. - Ja i Sara jesteśmy bliźniętami.

Erika poruszyła się obok niego, potrząsając głową i łaskocząc go włosami. •

- Wiesz, że nie znam żadnej dorosłej osoby, która byłaby czymś bliźniakiem? Do mojej klasy w podstawówce chodziła para bliźnięt i z tego co pamiętam, zawsze bardzo im zazdrościłam...

W normalnej rozmowie zbyłby tę uwagę wzruszeniem ramion, ale że głowa Eriki nadal spoczywała na jego ramieniu, nie ważył się drgnąć, by jej nie spłoszyć. Zamiast tego powiedział więc:



- Niestety w dorosłym życiu to już nie jest takie zabawne. Znowu delikatny ruch i znowu ta ledwie wyczuwalna pieszczota na jego skórze.

274

- Mimo to bardzo chciałabym mieć bliźniaka... - Kiedy mówiła, wydychane przez nią powietrze muskało mu szyję i twarz. - Człowiek ma innych przyjaciół, gdy jest dzieckiem, innych w okresie dorastania i młodości i jeszcze innych, jak już jest dorosły. Wydaje mi się, że to musi być cudowne znać się z kimś od samego początku, przez całe życie... - Bena uderzyło to, co mówiła (nigdy w ten sposób nie myślał, ale może było tak dlatego, że sam należał do nielicznych szczęśliwców, przynajmniej zdaniem Eriki, którzy dzielili z kimś życie od momentu narodzin), jednakże jeszcze bardziej zdumiało go, że w ciemności jest o tyle łatwiej o wynurzenia, jak gdyby brak światła i niemożność dojrzenia twarzy rozmówcy tylko pomagały nawiązać nić porozumienia, jak gdyby głos i dotyk zupełnie wystarczały do komunikacji z drugim człowiekiem. Erika tymczasem ciągnęła: - Ja sama mam brata, ale on jest siedem lat starszy ode mnie i czasem wydaje mi się, że mam dwóch ojców...

Przez ułamek sekundy chciał ją zapytać o matkę i ojca, ale szybko zarzucił ten pomysł.

Wystarczyło, że w pomieszczeniu wraz z nimi przebywali jego rodzice. Przyciągnął ją do siebie bliżej, rozkoszując się jej ciepłem i ciężarem i próbując odzyskać głos.

- A czy on ma dzieci? - zapytał, znacznie bardziej nieśmiało, niż zamierzał, i niemal natychmiast przypomniał sobie, że przecież sama mu kiedyś wspomniała o małych bratanicach, którym czytała do snu książki napisane przez jego matkę. Wyrzucał sobie, że wyszedł na głupca, ale Erika zdawała się tego nie zauważyć bądź też jej to nie przeszkadzało.

- Tak - odparła. W jej głosie usłyszał uśmiech i prawie równocześnie poczuł na kolanie ciepłą dłoń.

- Dwie córeczki.

Ben przełknął nerwowo ślinę, w dalszym ciągu niepewien, czy może jej zaufać, wszakże ciemność dodała mu odwagi.

- Moja siostra spodziewa się dziecka - zdradził cicho. - A ja chyba jej za to nienawidzę... Ledwie parę miesięcy temu rozwiodłem się i...

275

Do licha, po co to powiedział? Teraz już na pewno wyswobodzi się z jego objęć, które nagle musiały jej się wydać pułapką...

Lecz Erika znowu go zadziwiła. Zamiast od niego uciec, nachyliła się jeszcze bliżej i złożyła na jego wargach miękki pocałunek, zbyt krótki, by zdążył go w pełni poczuć, i zaraz oderwała usta od jego, po to tylko, by przyłożyć je do koniuszka jego ucha, podczas gdy on rozpaczliwie próbował odnaleźć jej niewidoczne wargi, łykając łapczywie przesycone ciepłem ich ciało powietrze.

- Ja też nienawidziłam mojego brata, kiedy miała mu się urodzić pierwsza córka - szeptała Erika - i też czułam się fatalnie z tego powodu. - Ben zadumał się pod osłoną mroku. Skąd ona wie, co czuję? Jej słowa zawisły przed nim w powietrzu niczym czarne piórko, którego bał się dotknąć, by go nie zniszczyć. - Nic tylko w kółko mówił o dziecku, a ja musiałam udawać, że też jestem zachwycona. Był z siebie taki dumny, tak się chwalił, jakby nikt nigdy przed nim nie spłodził potomka! Miałam ochotę stłuc go za to na kwaśne jabłko albo chociaż nagadać mu tak, żeby mu w piętę poszło. Ale potem wszystko się zmieniło. Pojawienie się niemowlęcia naprawdę wszystko zmienia... - Mówiła teraz ciut głośniejszym głosem, na szyi czuł mocniejsze uderzenia powietrza. - To nieważne, że dziecko nie jest twoje, bo i tak jest częścią ciebie i znaczy dla ciebie więcej niż cokolwiek innego na świecie. Jeśli będzie trzeba, oddasz za nie życie... W obliczu narodzin wszystko inne traci na znaczeniu, uwierz mi..

Ben słuchał w skupieniu i było mu coraz lżej na duszy. Przejechał palcami po jedwabistych włosach Eriki, przyciągnął ją do siebie i ucałował w czubek głowy. Trwali tak przytuleni do siebie, zawieszani w nicości przez parę długich chwil, aż wreszcie Ben odzyskał panowanie nad głosem. Kiedy Erika poprawiła się u jego boku, lekko się odsuwając i zabierając odrobinę ciepła, przemówił.

- Musimy się spotkać znowu.

Odsuwała się coraz bardziej, kołyszącym ruchem zmieniała pozycję, jego dłoń musnęła przy tym jej łydkę - właśnie, nogi, pomyślał Ben, gołe nogi pod spódnicą, czy powinienem

276

był ich dotknąć? spróbować chociaż? Zamachał rękoma w powietrzu, lecz natrafił na własne kolana; chwilę później poczuł, jak Erika wślizguje się pomiędzy nie, ujmuje jego dłonie i kładzie je sobie na ramionach - klęczała teraz na wprost niego, traktując jak podporę, powoli, niechętnie podnosząc się z ziemi.

- Dopiero jak oddasz obraz - rzuciła. - Możesz go jakoś podrzucić albo jeszcze lepiej prześlij pocztą. Znajdź jakiś urząd pocztowy, gdzie cię nie znają, wymyśl adres zwrotny. Nikt się nigdy nie dowie, że to ty go ukradłeś, obiecuję. Bałabym się z tobą spotkać przedtem, ale potem... tak.

Obraz. Zupełnie o nim zapomniał. Przecież nie ma zamiaru go oddawać, czy ona nie potrafi tego zrozumieć? Był wprawdzie plan, który opracowali z Sarą dawno temu, zakładający, że jego siostra ten obraz... no ale...

- Musisz mi przyrzec, że po wszystkim wrócisz i mnie odnajdziesz - prosiła, wciąż kucając. Role się odwróciły: teraz to ona miała palce zagłębione w jego włosach, to ona opuszkami palców wodziła po jego czaszce, jak gdyby rzeźbiła mu umysł. - Nie jestem już tak ufna jak niegdyś - szeptała.

- Nie oczekuj, że będę cię szukać... Musisz mi przyrzec, że po wszystkim wrócisz i mnie odnajdziesz - powtórzyła ledwie dosłyszalnie.

Ben nie zdawał sobie nawet sprawy, że wstrzymał powietrze. Teraz je wypuścił, czując, jak wraz z nowym wdechem przepelnia go radość.

- Przyrzekam - odszepnęła i badając po omacku jej twarz, dodał: - pod warunkiem, że jeszcze nie odejdziesz...

Zaśmiała się i nic nie powiedziała. Chwilę potem poczuł na swych ustach jej wargi i już nie oddychał powietrzem, lecz nią - zaufanie na powrót wypełniało klatkę jego piersi

- klatkę, która skrywała ożywające na nowo serce.

## Rozdział Piętnasty.

Były czasy, kiedy mędrcy nauczali, że dzień w dzień wiszą nad głową każdego człowieka trzy rzeczy: oko, które widzi wszystko co on robi, ucho, które słyszy wszystko co on mówi, i księga, w której zapisywane są wszystkie jego uczynki. Chagall i Der Nister, będąc dziećmi, nie tylko tę krótką przypowieść wielokrotnie słyszeli, ale musieli także wyuczyć się jej na pamięć i byli z niej nieraz odpytywani. Oczywiście ani trochę im się to wtedy nie podobało i co ciekawe, jeden Der Nister zapamiętał lekcję na dłużej.

Oko wiszące nad Chagallem niewątpliwie widziało wszystkie obrazy, które namalował i wystawił począwszy od roku 1948, kiedy to jego sława sięgnęła szczytu, by nie rzec: nieba. Z pewnością nie umknęła uwadze Wszechwidzącego wielka retrospekcja w Nowym Jorku, Chicago i w Paryżu ani wystawa nowych prac zorganizowana z rozmachem najpierw w Amsterdamie, a potem w Londynie, ani tym bardziej pierwsza nagroda, którą artysta zdobył na biennale w Wenecji. Oko nie mogło nie dostrzec witraży, których Chagall był autorem, a które zdobiły kościoły na całym świecie, i z pewnością z zainteresowaniem śledziło lot namalowanych przezeń kochanków, którzy trafili na sklepienie paryskiej opery. Musiało przyglądać się, kiedy Chagall zakochał się w Anglii w swej, zamężnej nawiasem mówiąc, gospodyni i kiedy na świat przychodziło ich dziecko, a także wtedy, gdy ta nieoficjalna rodzina

278

przenosiła się do Francji, by zamieszkać w domu przypominającym pałac, i później - kiedy Chagall został porzucony. Ucho wiszące nad Chagallem niewątpliwie słyszało setki udzielonych przezeń

wywiadów, które trafiły do gazet i czasopism we wszystkich krajach, dziesiątki jego wykładów, którym przysłuchiwały się znakomitości spośród światowej śmietanki, wreszcie niekończące się zachwyty nad każdym Matisse'em czy Picasse'em, na którym spoczęły jego oczy. A potem - równocześnie z tym, jak jeden po drugim znikali żydowscy pisarze i artyści, których Chagall znał w Rosji: Szlojme Michoels, Icyk Fefer, Dowid Hofszejn, Perec Markisz, Dowid Bergelson, Lejb Kwitko, a wraz z nimi praktycznie wszyscy inni, którzy przewinęli się przez kolonię dla żydowskich sierot wojennych w Małachówce - ucho nie mogło nie odnotować ciszy. Wielki artysta pozwalał sobie zauważyć brak starych przyjaciół tylko w nieliczne bezsenne noce, zupełnie zapominając, że nic co robi i mówi, nie pozostanie bez echa.

Der Nister przeciwnie, bez ustanku był świadom towarzyszącego mu oka i ucha i choć bardzo chciał, nic nie mógł na to poradzić. Gdy po wojnie znów znalazł się w Moskwie, wróciwszy z dalekiego Taszkientu, czuł na sobie niestrudzone oczy, które śledziły każdy jego krok, i nadstawione uszy, wyczekujące, co powie. W Moskwie roiło się od tajniaków, a podsłuch był na porządku dziennym - Der Nister nie miał złudzeń, że jego jednego pozostawiono w spokoju. Wiedział, że niemal wszyscy jego koledzy po piórze zniknęli. Począwszy od 1948 roku tajna radziecka milicja wyłuskiwała ich po kolei i umieszczała alfabetycznie w więziennych celach, jak gdyby chcąc stworzyć żywą encyklopedię literatury, a potem tak skatalogowanych wysyłała przed pluton egzekucyjny. Zapytany, Der Nister potrafiłby podać dzień i godzinę każdego aresztowania, a za wyłączną odpowiedź wystarczyłoby mu, dobrze zakamuflowana z powodu cenzury, półka z książkami autorstwa swoich i Chagalla dawnych przyjaciół. Nikt, kto miał choć odrobinę talentu, nie ostał się na wolności: moskiewskie więzienie Lefortowo zamieniło się w coś w rodzaju kawiarenki artystycznej, do której nie zaproszono tylko Der Nistera. Czuł się tym urażony.

279

Drugi tom „Kryzysu rodzinnego” był na ukończeniu. Autor dzieła, niedawno świętujący swoje sześćdziesiąte urodziny, był zmęczony jak nigdy przedtem. Świat wokół się zmienił. Wszystko się zmieniło. Podczas długiego roku w Taszkencie opłakał utratę córki i syna, toteż kiedy w Moskwie stanęła przed nim Lina, uciekinierka i osierocona w zawierusze matka, był gotów na drugie małżeństwo. Zamieszkali w małym nieogrzewanym pomieszczeniu, które służyło Der Nisterowi za jego „apartament”, i co wieczór kładli się razem na wąskim łóżku, czerpiąc ze swych ciał ciepło i otuchę. Po tym jak Lina zapadła w sen, Der Nister siadał swoim zwyczajem przy stole i patrzył na śpiącą kobietę; w nogach łóżka widział skulone postaci ich zmarłych córek.

Jednakże jeszcze większe zmiany zaszły w rodzinie, którą uczynił zbiorowym bohaterem swej książki. Luzer, ten z braci, który przystąpił do chasydzkiej sekty wysławiającej rabiego Nachmana z Braclawia, w miarę rozwoju fabuły zamienił się w istnego fanatyka ideologii swego mistrza, coraz bardziej przekonanego, że tylko jego sposób myślenia i życia jest właściwy. Rozsądniejszy z braci, Mojsze, ze stoicyzmem przyglądał się, jak jego własne zdrowie, firma i życie, a wraz z nimi pokaźna część świata popadają w ruinę, podczas gdy przyczyniający się do tego fanatycy unoszą głowy cało i jeszcze kwitną. Pod koniec tomu drugiego sprawy przedstawiały się naprawdę kiepsko i nie rokowały dobrze Majerkowi, trzeźwo myślącemu wnukowi Mojszego, młodzieńcowi, który miał być bohaterem tomu trzeciego i ostatniego. Niestety cenzura się przebudziła i fragmenty powieści, dotychczas drukowane sporadycznie w prasie, przestały się ukazywać. To wtedy Der Nister postanowił ukryć rękopis ostatniego tomu.

Zapisane maczkiem kartki chował dosłownie wszędzie - wypełniały jego niewygodny materac, tkwiły pod deskami podłogi, wystawały nieśmiało spod przetartego chodnika. Lina martwiła się, widząc, jak mąż z szaleńczym błyskiem w oku upycha papier gdzie popadnie, lecz czuła przed nim zbyt ni respekt, by wyrazić swe obawy na głos. Już wówczas pisarz był opętany przez manię prześladowczą; ulegając swym wymysłom i realnemu zagrożeniu, wprawdzie podpisywał każdą

280

ukrytą kartkę swoim nazwiskiem, lecz czynił to używając szyfru - czasem własnej inwencji, częściej zaś zapożyczonego od rabbich, którzy uciekali się do takiej metody już w starożytności, a

których księgi Der Nister studiował w młodości. Polegało to na przykład na tym, że wzorem antycznych manuskryptów zmieniał kolejność czterech hebrajskich liter: nister wchodzących w skład jego pseudonimu. Kiedy jednak układały się w hebrajskie słowo „ogień”, zarzucał ten sposób, jakby bojąc się wszystkiego co niesie jakiegokolwiek znaczenie, i obmyślał inny kod. Od czasu do czasu za podpis służyło mu słowo „kapłan”, zapisane cyrylicą bądź w jidysz, jako że jego rodowe nazwisko brzmiało: Kahanowicz, odkąd w zamierzonej przeszłości przodkowie służyli w jerozolimskiej Świątyni. W chwilach odwagi określał się mianem „ojca Hodele, której pamięć niech będzie błogosławiona”, kiedy indziej znów krył się za kabalistyczną symboliką, umieszczając w rogach zapisanych kartek liczby: 50, 60, 400 i 200 - od prawej do lewej, tak jakby były to litery N - nun, S - samech, T - to/i R - rejsz. W ostatecznym rozrachunku wszystko to było zaledwie zabawą i Der Nister zdawał sobie z tego sprawę, ufając równocześnie, że nie jest to zabawa całkowicie bez wartości. W końcu jego dawny sąsiad Chagall, którego konikiem były wszelkie gry słowne i który cieszył się jak dziecko, kiedy mógł w swym obrazie zawrzeć jakiś zakamuflowany przekaz, nie wyszedł na swych zabawach źle - było nie było dożył wieku średniego, ani razu nie trafiając do więzienia.

W miarę upływu czasu Lina żywiła coraz więcej obaw, za to brakło jej cierpliwości; za dnia wciąż pozwalała mężowi ukrywać papiery, wieczorem zaś ruszała jego śladem i zewsząd je wyciągała, strofując go przy tym, jakby był jej utraconym dzieckiem.

- Po co to robisz? - zapytała szeptem któregoś dnia, gdy położywszy się spać usłyszała pod głową szelest, a chwilę potem ze spranej powłoczki na poduszkę wyjęła garść pomiętych kartek.

Od dawna porozumiewali się niemal wyłącznie szeptem, świadomi wiszącego nad nimi ucha, choć Der Nister wołał, kiedy pisali do siebie liściki. Żadne z nich nie pamiętało już,

281

jak brzmi pełny głos drugiego. Tym razem nie odpowiedział w ogóle, jęknął tylko i dalej patrzył w popękany sufit nad łóżkiem, w miejsce, z którego kapąła woda z mieszkania powyżej. Lina wszakże nie miała zamiaru ustąpić.

- Sądzisz, że to dzieci - syczała mu do ucha - które nie potrafią znaleźć tego, co przed nimi schowasz?

Der Nister zbył ją milczeniem, zafascynowany odkryciem, jakie właśnie poczynił. Ich miniaturowa alkowa, wyodrębniona z reszty pomieszczenia za pomocą wnęki i kotary, przypominała mu biblijną Grotę Machpela, pierwszy kawałek Ziemi Obiecanej legalnie zakupiony przez Abrahama i przeznaczony na grobowiec patriarchów.

- Wiesz o tym, że zupełnie oszalałeś, prawda? - nie dawała za wygraną Lina.

- Tak - odmruknął Der Nister szcękając z zimna zębami i owinał się cienkim kocem.

Lina sarknęła i wyciągnęła rękę przed siebie, tak że fragmenty nie opublikowanej książki Der Nistera znalazły się tuż nad jego twarzą - mógł nawet odczytać początek rozdziału, w którym na scenę wprowadził swoją nową postać, Majerka. Przechodził właśnie do drugiego akapitu, kiedy papiery zafurkotały, wyrzucone przez Linę w powietrze, po czym zaczęły łagodnie opadać; śledził ich lot, ciesząc się w duchu, że tego dnia z sufitu akurat nie kapie. Gdy spoczęły na kocach przykrywających ich ciała, Lina nie bacząc na męża niecierpliwie strzepnęła je na brudną podłogę.

- Jeśli naprawdę zależy ci, by przetrwały ciebie - syknęła - schowaj je gdzie indziej. W ten sposób tylko prowokujesz los...

Zgasła nocną lampkę i odwróciła się do niego plecami, gdyż wąskie łóżko nie pozwalało na bardziej dobitne wyrażenie targających nią uczuć. Niejako zmuszony do położenia się także na boku Der Nister przysunął się do niej mimowolnie i zapatrzył w wyłaniający się z ciemności zarys jej sylwetki. Lina dopiero niedawno przekroczyła czterdziestkę, była odeń o wiele młodsza i z racji wieku mniej odporna na razy życia. Kiedy się z nią kochał, przypominała mu szunemitkę Abiszag, sprowadzoną dla króla Dawida w podeszłych latach, aby ogrzewała

282

jego stare kości. Nie wierząc wcale, że odwrócone plecy oznaczają, że zasnęła, ujął w palce

kosmyk jej włosów i poczuł, jak cała drży. Po chwili zmieniła pozycję i wtuliła się w niego, chowając mu twarz na piersi, a on głaskał ją po włosach, zastanawiając się, czy to co do niej czuje, jest rzeczywiste, czy też to zaledwie cień wspomnienia po uczuciu żywionym do kogoś innego - czy ten lok, który właśnie odsunął jej z czoła, jest jej czy też w jego rękach stał się czymś innym... Nie widział, że płacze, ale poczuł na jej policzkach łzy.

- Proszę, schowaj je gdzie indziej - mówiła szeptem.

- Zrób to dla mnie. Nie zniosę utraty kogoś jeszcze...

Oplotła go ciasno ramionami, tak że jego owłosiony brzuch dotknął jej pustego łona. Zasypiając Der Nister czuł, jak ich zmarłe córki popychają ich ku sobie i pogrążają całą czwórkę w koszmarach.

Któregoś wieczoru Der Nister udał się do moskiewskiego Teatru Żydowskiego. Sztuka wydała mu się nic niewarta

- ot, tani melodramat z dołatanym końcowym monologiem na temat świetlanej przyszłości kraju - lecz wnętrza z nawiązką zrekompensowały mu to przykre wrażenie: na każdej ścianie audytorium wisiały ogromne malowidła pędzla Marka Chagalla, zamieniające przybytek Melpomeny w kawałek raj.

Der Nister oczywiście już wcześniej widział te malowidła. Szkice do nich walały się gdzie popadło w ich wspólnym domu w Małachówce, poza tym nie była to pierwsza wizyta Ukrytego w teatrze od jego powrotu do Moskwy - od poprzednich różniła się tym, że niemal nikt z jego dawnych znajomych i przyjaciół artystów nie pozostał na wolności, a wielu zdążyło już stracić życie...

Siedem wielkich płócien, rozpiętych na gołych ścianach, otaczało widownię - całą lewą stronę zajmowało największe: pejzaż z tańczącymi postaciami, pośród których wyróżniał się dyrektor teatru, na którego zlecenie Chagall pracował, sam Szlojme Michoels, ofiara rzekomego wypadku drogowego; z tyłu przytwierdzone było nieco tylko mniejsze płótno przedstawiające jakąś abstrakcję; po prawej na górze ciągnęło się niczym fryz wielkie weselisko, niżej zaś - na przemian z zakrytymi czarnym papierem oknami

283

- prezentowały się cztery wyższe niż szersze dowcipne portrety sztuk pięknych: muzyki, tańca, teatru i literatury. Der Nister nie mógł się na nie napatrzeć, zwłaszcza że nawet najmniej ciekawe z malowideł i tak było o niebo bardziej interesujące od toczącego się przedstawienia.

Szczęśliwym trafem przypadło mu miejsce po prawej stronie widowni, tak że podczas antraktu i lepiej oświetlonych scen mógł napawać oczy do woli, tyle że jeśli chciał podziwiać najbliższy mu z wielu powodów portret literatury, musiał zadzierać wysoko głowę, co szybko wywołało u niego sztywność karku. Malowidło przedstawiało skrybę zapisującego poźółkły zwój i ukazanego na głęboko błękitnym tle; co ciekawe, zwój pozostawał pusty, podobnie zresztą jak postać skryby, która była idealnie biała od stóp do głów, jak gdyby ten, co pisze, zniknął, zamieniał się w ducha na oczach patrzącego. Bezpośrednio za skrybą majaczyło wysokie, okryte zielenią wzgórze, a po nim piał się mały człowieczek dźwigający pulpit, u którego podstawy ktoś wyrzezał kilka hebrajskich liter. Kiedy Der Nister skoncentrował się, by je odczytać, przeszedł go dreszcz - litery układały się w jego imię, a przynajmniej w jego początek. Pod osłoną ciemności, gdy przygasły teatralne reflektory, wyciągnął rękę i przyłożył ją do płótna, wyczuwając jego fakturę i podtrzymując je sklejkę. Z jakiejś przyczyny nie oderwał dłoni od razu, co nakazywałby rozsądek, lecz wodził nią po obrazie, aż dotarł do dolnej krawędzi, gdzie ku własnemu zdumieniu odkrył szczelinę.

Opuszczając teatr miał już pewien pomysł.

Tydzień później zarezerwował to samo miejsce na widowni. Przed wyjściem z domu, korzystając z nieobecności Liny, podważył podłogową deskę i wyciągnął ze schowka niewielką kupkę papieru, stanowiącą brudnopis pierwszego rozdziału tomu trzeciego książki jego życia. Wsunął luźne kartki za rękaw cienkiego swetra, nałożył płaszcz i udał się do teatru. Wystawiano, podobnie jak przed tygodniem, jakiś ulizany melodramat, różniący się od poprzednika wyłącznie tym, że wykorzystano w nim muzykę, co wbrew nadziejom obecnej dyirekcji bynajmniej nie zwiększyło frekwencji; Der Nister siedział sam jeden w całym rzędzie. Gdy tylko zgasły światła,

odszukał dłonią róg płótna i kartka po kartce wsuwał swój rękopis pomiędzy obraz a ramę ze sklejki, pracując w ciszy i skupieniu głównie w trakcie zmian dekoracji na scenie, kiedy zapadała niemal zupełna ciemność. Do przerwy udało mu się upchnąć cały rozdział pierwszy, nie wzbudzając przy tym najlżejszego choćby zainteresowania.

Od tamtej pory był częstym gościem w teatrze. Pracownicy znali go, wiedzieli, że był przyjacielem Michoelsa, toteż wpuszczali go za darmo, dziwiąc się tylko, że znalazł upodobanie w miernych sztukach. Der Nistera wszakże nie interesowały przedstawienia - owszem, odbębniał swoje na jednym melodramacie za drugim, lecz uwagę skupiał na czym innym. Nigdy nie siadał na tym samym miejscu, wybierał te w pobliżu płócien, które poddawały mu się albo z własnej woli, albo nieco przymuszone jego niezłomną wolą, aż w końcu wyniósł z domu wszystkie papiery. Za każdym razem gdy kartka rękopisu niknęła w obrazie, Der Nister żegnał się z nią na zawsze, wiedząc, że już nigdy nie ujrzy żadnej z nich. Mimo to czuł się szczęśliwy - w swoim mniemaniu nie porzucał swego dzieła, lecz wysyłał je do lepszego świata. Krążyły wprawdzie pogłoski o rychłym zamknięciu teatru, Der Nistera jednak to nie martwiło: miał pewność, że obrazy Chagalla przetrwają. Jego dawny sąsiad był zbyt sławny, malowidła zbyt wartościowe, by ot, tak sobie zniknęły, jak to się stało z okazałą częścią dawnego świata.

Ostatni raz odwiedził teatr zimą 1949 roku. Mieszkanie, pozbawione papierowej izolacji, stało się nagle puste i nieprzyjazne, jeszcze zimniejsze niż kiedyś. Gdy zziębnięty Der Nister kładł się do łóżka, by zaznać choć trochę ciepła, Lina wiedziała już, co uczynił. W myślach oboje zastanawiali się, czy i oni nie stali się puści w środku i nieprzyjaźni wobec siebie, choć wbrew sobie. Żadne z nich przez cały miesiąc nie zarobiło ani kopiejki, nie mieli co jeść, nie mieli w co się ubrać, ich ciała zrobiły się kościste i szare, ich dusze - nijakie. Głodni, przemarznięci do szpiku, smutni i wystraszeni chwyтали się siebie kurczowo, gdyż tylko to im pozostało.

- Sorełe miała piękne nogi - szepnęła Lina, którą od czasu do czasu nachodziła chętka, by opowiadać o swej zmarłej córce.

285

Zarazem bez powodu i z tysiąca powodów. - Nogi prawdziwej baletnicy. Jaka szkoda, że nie uszczęśliwiła żadnego mężczyzny...

Der Nister przełknął ciężko. Leżeli w zupełnych ciemnościach, wyczuwali się tylko dotykiem i rękoma błędzili sobie nawzajem po twarzach, nie chcąc uronić ani jednego słowa. Der Nister mógł odwzajemnić się jakąś opowieścią o Hodele, ale wołał nie wymawiać jej imienia nadaremno.

Powiedział więc:

- Znałem kiedyś chłopca, był mniej więcej w wieku mojej córki, który zakopał się żywcem. Lina milczała, co Der Nister bardziej czuł, niż słyszał. Nagle jej wargi rozchyliły się i wydobył się spomiędzy nich obłoczek pary. Wyobraził sobie, że ułożyły się w owalne „O” zdziwienia.

- Był jednym z moich uczniów w Małachówce - podjął Der Nister. Lina oddychała miarowo, spokojnie, ogrzewając mu wnętrze dłoni. - Ci, co go znaleźli, mówili, że był do połowy zasypany w świeżym grobie. Dwadzieścia dziewięć lat temu...

Urwał, uświadomiwszy sobie, jak wiele czasu upłynęło. Hodele miałyby teraz trzydzieści pięć lat, prawie trzydzieści sześć, myślał, czyli tyle ile ja miałem, kiedy uczyłem w Małachówce, kiedy mieszkałem nad Chagallem, kiedy poznałem Borysa Kulbaka.

- Sądzisz, że on żyje? - z zamyślenia wyrwał go bezgłośny szept Liny.

Der Nister zapatrzył się w ciemność.

- Sądzisz, że ja żyję? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Zaległa przytłaczająca cisza. Oboje wiedzieli, że ukrycie rękopisu w niczym nie mogło już pomóc - jeszcze kilka takich nocy jak ta i przyjdą także po niego. Po omacku, jak ślepcy, jęli wodzić dłońmi po swoich ciałach, chcąc zapamiętać każdy szczegół, zapisać w pamięci nieliczne krągłości i wszystkie zmarszczki. Der Nister przesunął rękoma po skórze Liny, suchej i popękanej, po jej chudych nogach i słabych ramionach, po piersiach, włosach i znowu po twarzy, aż natrafił

na delikatne wgłębienie pod nosem. Odcisk anioła. Na palcu czuł miarowy oddech, charakterystyczny dla kogoś, kto zasypia.

- Lina - wyszeptał chrapliwie. W pozbawionej barw ciemności nagle przypomniał sobie pytanie, które zadał mu niegdyś Chagall i które dręczyło go przez długie lata. - Czy ty sądzisz, że twoja córka coś znaczyła?

Pytanie, tak skomplikowane i ważne dla niego, dla Liny okazało się proste i oczywiste.

- Sorele znaczyła wszystko - odszepnęła, po raz ostatni tej nocy ogrzewając mu dłoń swym oddechem, po czym zapadła w sen.

Przyszli po niego nazajutrz wieczorem.

Der Nistera niemile rozczarowało, że wszystko odbyło się tak zwyczajnie. W swoich koszmarach widział tabuny żołdaków wyważających drzwi w samym środku nocy, powiewających sztandarami i strzelającymi w sufit, tymczasem rzeczywistość okazała się szara i brzydka jak wszystko dokoła. Do pokoiku, gdzie mieszkali z Liną, weszło bez pukania dwóch ubranych w ciemne garnitury mężczyzn, z których wyższy wydobył skądś oficjalnie wyglądający papier, popatrzył przeciągle na Der Nistera i zaczął czytać.

- Pinie Mendelewicz Kahanowicz... Jesteście aresztowani pod zarzutem zdrady i na mocy paragrafu 64-A radzieckiego kodeksu karnego. Zarzuca się wam współudział w syjonistycznym spisku mającym na celu doprowadzenie do upadku Związku Radzieckiego.

Usłyszał więc ten sam wyspany z palca zarzut co wszyscy pozostali pisarze, przy których zatrzymaniu obecne były prawie wyłącznie żony - to właśnie z ich relacji wiedział, co go czeka, i zdążył się do tego tak dobrze przygotować, że cała sprawa niemal go nudziła... No, przynajmniej na tyle, że zdołał zachować kamienny wyraz twarzy. Lina z kolei, mimo że obiecywała wcześniej, iż zachowa godność, gdy przyjdzie co do czego, chyba o swej obietnicy zapomniała i wyła teraz nieludzko, zgięta wół i wstrząsana łkaniem. Der Nister zdołał jeszcze ucisnąć jej dłoń, nim niższy z agentów złapał go brutalnie

287

za ramię i odciągnął w stronę drzwi. Jego spokój nie był li tylko maską - Der Nister naprawdę się nie bał, gdyż po raz pierwszy od bardzo dawna nie miał nic, ale to nic do ukrycia.

- Miło, że wreszcie się pofatygowaliście - rzucił tonem pogawędki. - Już się zastanawiałem, czyście o mnie przypadkiem nie zapomnieli...

Zagadnięci wydawali się zbici z tropu. Wymienili niepewne spojrzenia, lecz rutyna szybko wzięła górę.

- Musicie nam oddać swoje rękopisy i inne papiery - burkliwie oznajmił ten niższy. - Macie na to pięć minut.

Der Nister uśmiechnął się łagodnie. Potem przeniósł wzrok na zapłakaną Linę, jakby chcąc powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze.

- Panowie zechcą mi wybaczyć - rzekł patrząc w przestrzeń - ale moje rękopisy to moja sprawa. Nie tworzyłem ich z myślą o was, tak więc niech lepiej pozostaną tam, gdzie są, czyli w bezpiecznym miejscu.

W odpowiedzi otrzymał kopniaka w krocze, tak że przygięło go niemal do ziemi. Gdyby nie na czas wysunięta noga drugiego agenta, upadłby twarzą na deski podłogi, a tak klęczał tylko kiwając się z bólu i wydając stłumione jęki, podczas gdy szpicle lustrowali czujnym okiem całe pomieszczenie. Wreszcie jeden podszedł do komody i wysuwał szufladę po szufladzie, z każdej wyrzucając zawartość, drugi zaś przyglądał się temu z kpiącym uśmieszkiem, gwizdnięciami witając kobiecą bieliznę. Der Nister widział to i słyszał, lecz w żaden sposób nie reagował. Skończywszy z komodą, agent zaczął przytupywać jak tancerz, szukając inkryminujących klepek, lecz kiedy znalazłszy je podnosił lub wrywał, pod spodem zastawał tylko kurz. Po krótkiej chwili przerwy na złapanie oddechu zainteresował się łóżkiem - najpierw jednak ze skórzanej aktówki wyciągnął kordzik. Wraził go w sam środek materaca i ciął jak oszalały na wszystkie strony, aż ze steranej

gąbki zostały tylko strzepy; potem zajął się fotelem. Der Nister spoglądał na to beznamiętnie, martwiąc się tylko w duchu, gdzie będzie spała Lina, kiedy jego już zabiorą. Odpowiedź, nieproszona, nadeszła sama: miejsce wdowy oplakującej męża jest na gołej podłodze, tak samo jak każdego

288

innego żałobnika. Popatrzył na nią z czułością i zrozumiał coś jeszcze: ona to przetrwa, podobnie jak przetrwała poprzednią tragedię.

Odprowadzały go jej krzyki i zawodzenia, kiedy skuwano mu z tyłu ręce i popychano w stronę wyjścia, rychło jednak drzwi stłumiły większość dźwięków. Gdy na klatce schodowej Der Nister podniósł wzrok, ujrzał przed sobą Hodele. Wyglądała na starszą i bardziej zaokrągloną, niż ją zapamiętał; ubrana była w jaskrawoczerwoną suknię, której nigdy na niej nie widział, a długie czarne błyszczące włosy opadały jej falami na ramiona; z twarzy biło światło. Stała tak blisko, że byłby jej dotknął, gdyby nie krępujące go więzy, ruszył więc do przodu z nagle odzyskaną energią - szpicle nie musieli go już popychać ni ciągnąć - byle tylko znaleźć się przy niej i musnąć ją choćby ramieniem... Wszakże ona z każdym jego krokiem do przodu robiła jeden w tył, cofała się i schodziła po stopniach, uśmiechając się zachęcająco, lecz wciąż utrzymując dystans. Na ulicy jej suknia i włosy powiewały za nią na zimnym porywistym wietrze, ten widok coś Der Nisterowi przypominał, lecz nim zdążył nazwać w myśli to wspomnienie, silne ręce pochwyciły go i wrzuciły do zaparkowanej przy krawężniku suki. Równocześnie poczuł na potylicy twardy chłód metalowej podłogi i usłyszał zatraskiwane rygle; wokół zapanowała totalna ciemność, jak gdyby znalazł się w głębi kałamarza

- jego sześćdziesięcioletnie sponiewierane ciało i umysł poddały się, tonąc w krainie cieni.

Nieprzytomny, nieświadom ruchu milicyjnej karetki, nie odrywał oczu od Hodele, która zręcznie odsuwała masywne rygle i uchylała drzwi, wpuszczając do środka promienie księżyca. Czerń ustępowała barwom tak, jak to miało miejsce na obrazach jego dawnego sąsiada

- światło wydobywało z ciemności kolory, padało na jego twarz i dłonie, które stopniowo rozjaśniały się zielenią i purpurą, i błękitem... Hodele tymczasem rozwijała długi zwój pokryty gęstym pismem, przytwierdzała jeden jego koniec do samochodu, drugi podając wiatrowi, który uniósł lekki papier ku wiszącej nad nimi chmurze. Potem ujęła ojca za rękę i razem pofrunęli ku mostowi łączącemu ziemię i niebo, ku mostowi, który on stworzył...

289

Rozdział Szesnaście.

OSTATNI DZIEŃ MOJEGO POBYTU W RAJU. Rosalie Zyskind.

Dni, które spędziłem w raju, były najpiękniejszymi dniami mego życia. Jeszcze dzisiaj serce mi lekko drży, a łzy napływają do oczu na samo wspomnienie tych radosnych chwil, które mimo to przywołuję tak często jak tylko się da, przymykając powieki i raz jeszcze przeżywając ten niezapomniany czas, jaki już nigdy się nie powtórzy... W marzeniach zapominam, że opuszczając raj, utraciłem swe skrzydła, toteż rozpościeram ramiona, by unieść się w górę, i niestety zawsze bardzo boleśnie przekonuję się, że nie jestem już tą samą istotą co niegdyś. Zapytacie pewnie, po co opuszczałem raj, skoro było mi tam tak dobrze, a ja mogę wam tylko powiedzieć, że nie zależało to ode mnie...

W dniu, w którym usłyszałem, że muszę opuścić raj, spacerowałem po rajskim ogrodzie, przysiadając pod rajskimi drzewami i słuchając śpiewu rajskich ptaków. Nawiasem mówiąc, jeśli sądzą, że ptaki w raju śpiewają podobnie jak ptaki na ziemi, to się grubo mylicie i z wielką chęcią bym was z tego błędu wyprowadził, jednakże niestety żaden ludzki język nie jest w stanie opisać rajskiego śpiewu. Tak czy owak tamtego dnia mój nauczyciel, anioł o ciężkich ciemnoszarych skrzydłach, zakończył lekcje wcześniej i wszyscy uczniowie rozpierzchli się po całym raju, by dokazywać i grać w rozmaite rajskie gry, wszakże ja po krótkim spacerze spocząłem pod moim



napomknąłem, przysłuchiwać się ptakom, a także zamienić parę słów z rajskimi motylami. Och, rajske motyle są oczywiście także zupełnie inne niż motyle na ziemi, powiedziec, iż mienią się wszystkimi kolorami tęczy, to za mało, jako że w raju jest znacznie więcej barw niż tutaj, gdzie nawet nie ma opisujących je słów. Kiedy więc tak sobie leżałem, nagle dobiegł mnie czyjś głos.

- Sammy! Sammy!

Ktoś wykrzykiwał moje imię. Podparłszy się na łokciu, rozejrzałem się wokół i dostrzegłem zbliżającego się przyjaciela - Pissanta. Tak go wszyscy w raju wołali, gdyż był chyba najmniejszym aniołem o najdrobniejszych skrzydełkach. Wtedy także zawisł nade mną, trzepocząc i furkocząc zawzięcie, by nie zwał go lekki powiew rajskiego wiatru.

- O co chodzi, Pissant? - zapytałem leniwie.

Pissant przestał na moment furkotać - był tak lekki, że z łatwością utrzymywał się w powietrzu - i zakrywszy usta skrzydełkiem, szepnął:

- Sammy, och, Sammy! Właśnie usłyszałem, że masz się narodzić.

Serce podskoczyło mi w piersi.

- Jesteś pewien, że się nie przesłyszałeś?

Pissant opowiedział mi więc, jak to przelatywał nad rajskim barem, gdzie dostrzegł Simona, największego ochlapusa spośród aniołów, który mamrotał coś sam do siebie.

- No to podleciałem bliżej, żeby przekonać się, co takiego mamrocze, i usłyszałem, jak narzeka, że otrzymał polecenie, by sprowadzić cię na ziemię. To on da ci klapsa na pożegnanie i przytknie ci palec do ust, by wymazać wszystkie twoje wspomnienia. Zapomnisz o raju, o tym, czego się tu nauczyłeś, zapomnisz nawet mnie, swojego najlepszego przyjaciela! - I Pissant uderzył w ryk.

- Nie płacz, Pissant. To tylko głupi stary anioł. Jeśli przyjdzie mu do głowy wysłać mnie na ziemię, popamięta mnie - powiedziałem butnie. - Już ja go tak pacnę, że się skrzydłami nakryje!

- Ale to przecież S... Simon! - jękał przez łyżę Pissant. - To prawdziwy drań, morderca!

Wiedziałem, o czym mówi. Nie było w raju istoty, która by się nie bała Simona. Tylko on jeden czerpał radość z wysyłania nas na

ziemię i po prawdzie tylko on to robił - pozostałe anioły były na to zbyt łagodne. Tak więc ilekroć spotykasz człowieka, wiedz, że wgłębienie pod nosem zawdzięcza właśnie Simonowi, a każdy, kto ma choć trochę zadarty nos, z pewnością oberwał mocniej, niż mu się należało.

- No tak - przyznałem markotnie. - Cóż w takim razie mam począć?

Pissant znowu się rozszlochał.

- Nic, zupełnie nic!... Twój los jest przypieczętowany. Najpierw wszystko zapomnisz, a potem się urodzisz... Pamiętaj, żeby się nie bronić, bo jak ci Simon przyłoży po pijaku, to jeszcze urodzisz się bez nosa. - No ładnie, pomyślałem, ja mam problem, a on sobie żarciki stroi. Zaraz jednak zorientowałem się, że w oku Pissanta pojawił się wcale nie złośliwy błysk. - Czeka, Sammy, mam pomysł! - rzucił uradowany, a łyżę obeschły mu w okamgnieniu.

- Jaki pomysł? - zapytałem podekscytowany.

Pissant zamiast odpowiedzieć, wyjął z kieszonki kawałek gliny. Podał mi go i poinstruował:

- Przyłóż go sobie do twarzy, na czubek nosa i tuż poniżej. Jestem pewien, że gdy Simon do ciebie przyjdzie, będzie tak pijany, że nic nie zauważy. Uderzy w glinę i tym sposobem narodzisz się ze wszystkimi wspomnieniami... - Pissant zadumał się na chwilę, po czym udzielił mi jeszcze jednej rady: - Lepiej idź do niego do baru. Jeśli nie dasz mu się zaskoczyć, wszystko pójdzie jak z płatka! Polecieliśmy więc z Pissantem nad rajem po raz ostatni. Przy jego domu zatrzymaliśmy się, by się pożegnać.

- Proszę, nie zapomnij o mnie! - Pissant wołał za mną płaczliwym głosem. - Gdziekolwiek na ziemi się znajdziesz, pamiętaj, że w raju zostawiłeś przyjaciela, który cały czas o tobie myśli. Ale z niego płaksa, pomyślałem lecąc w kierunku baru. Inna sprawa, że szybki lot i ciepłe

powietrze zdążyły osuszyć moje łzy...

Simona zastałem jak zwykle przy szynkwasie; cały on: twarz miał niemal tak czerwoną jak brodę. Długo mu się przyglądałem, nim w końcu zebrałem się na odwagę, by do niego podejść.

- Witaj, Simon! - pozdrowiłem go drżącym głosem.

292

Chciał wstać, żeby się ze mną przywitać, ale wypił za dużo i skrzydła miał całe splątane, tak że tylko się zachwiał i z powrotem opadł na barowy stół. Podeszedłem do niego od tyłu i odplątałem mu skrzydła, teraz choć pijany jak bela, nie musiał zwracać sobie głowy utrzymaniem się na nogach: anioły potrafią latać w każdych okolicznościach. Do tego mają niestłuchanie mocne głowy i Simon nie był tu wyjątkiem - doskonale wiedział, po co do niego przyszedłem.

- Dobrze, że jesteś - oznajmił i złapał mnie za rękę. - Czas na nas.

Wsadził mnie sobie pod skrzydło i nim zdążyłem powiedzieć cokolwiek, już zmierzaliśmy w stronę granicy dwóch światów.

Nie myślcie, że poszło nam łatwo. Było nie było, Simon pił jak smok przez cały dzień i co rusz gubił teraz drogę. Najpierw krążyliśmy przez bite trzy godziny i wylądowaliśmy dokładnie tam, skąd wystartowaliśmy. Na dodatek panowała wyjątkowo ciemna noc, a Simon zgubił latarkę, toteż parę razy groziło nam zderzenie czołowe - raz nawet zahaczyliśmy o anioła snów, który właśnie wybierał się służbowo na ziemię, i o zgrozo! uszkodziliśmy mu jedno skrzydło. Tamtej nocy nikomu nic się nie przyśniło. Co jakiś czas myślałem o Pissancie, bezpiecznym w swoim rajskim łóżku, i zbierało mi się na płacz, ale powstrzymałem się całą siłą woli, gdyż wiedziałem, że Simon nie znosi beks.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do granicy, zrobiło się przeraźliwie zimno, gdyż wiały tam straszne wiatry.

- Brrr... - burczał Simon, zły jak osa. Wciąż się lekko chwiał.

- No dobra, Sammy, czas na ciebie - oznajmił i postawił mnie na ostatnim skrawku raj. W tym momencie ogarnęła go pijacka wylewność. - No, Sammy - mówił, szczypiąc mnie w policzek - świetny z ciebie gość, naprawdę... Gdybym mógł, tobym cię tu zostawił na dłużej, ale sam rozumiesz: rozkazy... - wymownie wznosił oczy do góry. - Bądź więc tak dobry i nie utrudniaj mi zadania, co? Stań teraz na jednej nodze, jak grzeczny chłopiec, i wyrecytuj wszystko, czego nauczyłeś się w raj.

Zrobiłem, jak kazał. Kiedy skończyłem, wyjął zza pazuchy olbrzymie nożyce, odwrócił mnie do siebie plecami i dwoma ciachnięciami odciął mi skrzydła. Byłem zbyt przerażony, by choćby zakwilić.

293

- No, chłopie - ryknął Simon - teraz jeszcze tylko nochal i sprawa załatwiona!

Ale kiedy on odcinał mi skrzydła, ja zdążyłem przymocować sobie do twarzy gliniany nos.

- Proszę, nie uderz mnie mocno!

Simon nic nie zauważył i nawet posłuchał mojej prośby - poczułem ledwie dotknięcie.

- No, znikaj już - powiedział niemal przyjaźnie. Spojrzałem za siebie po raz ostatni, by na zawsze zapamiętać

raj skąpany w delikatnej złocistej poświacie, kątem oka zauważając przy tym moje porzucone skrzydła.

- Żegnaj, Simon! - odezwałem się do swojego towarzysza i rzuciłem w przepaść wiodącą do rzekomo lepszego świata.

Popatrzył na mnie zszokowany, lecz było już za późno, by mógł cokolwiek zrobić.

A ja zapamiętałem jego imię i wszystko inne i jak widzicie po mojej opowieści, pamiętam to po dziś dzień.

Jeszcze niedawno Sara zapytana, którą książkę matki ceni najwyżej, bez wahania wskazałaby na „Ostatni dzień mojego pobytu w raj”, idealne jej zdaniem połączenie treści i formy we wspianalej akwarelowej oprawie. Kiedy książkę wydano po raz pierwszy, Sara uczyła się w college'u,

odmierzając czas kolejnymi wizytami Leonida, poganiając niemrawo upływające dni, które w porównaniu ze wspólnie spędzonymi nielicznymi nocami nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Nieraz wtedy myślała, że wróci do tej lektury będąc w ciąży i że później, gdy dziecko albo nawet dzieci przyjdą już na świat, im także przeczyta opowieść stworzoną przez ich babcię. Nigdy by nie uwierzyła, że ten sam tekst można odbierać zupełnie inaczej w zależności od własnego położenia. Mimo że jej ciąża nadal była niewidoczna - jeżeli w ogóle, objawiała się tylko nieznacznym zaróżowieniem policzków - mimo że wiedziała, iż powinna napawać ją szczęściem - które owszem, w rzadkich chwilach odczuwała - postrzeganie przez nią świata całkowicie się zmieniło i nie można powiedzieć, by matczyzna książka nie miała w tym udziału. Sara bez względu na to, co robiła, była przerażona. Późno wieczorem czekała

294

na Leonida, aż wróci z pracy, i bała się. Nocą leżała koło niego i bała się. Nawet kochając się z nim (ciekawe, jak długo jeszcze?), bała się. Strach dosłownie ją paraliżował.

Myślała o tej istocie wewnątrz siebie, która przecież jeszcze nie była w pełni uformowanym człowiekiem, i drżała uświadamiając sobie, że nosi w swym łonie kogoś obcego, kogoś, kto w każdej chwili może przysporzyć jej bólu i kłopotów, kogoś, komu nie sposób ufać, gdyż jest całkowicie nieprzewidywalny. Może na przykład opuścić jej ciało zbyt wcześnie i szczeznąć albo, co byłoby chyba jeszcze gorsze, odczekać do wyznaczonego terminu i przyjść na świat w formie powykrecanego na wszystkie strony potworka bez rąk, bez oczu, bez nóg... Bądź też narodzi się doskonały pod każdym względem, lecz skutek jakiegoś defektu, którego Sara nawet nie będzie się domyślać, kiedy dorośnie, przyczyni się do zniszczenia czyjegoś życia - bo przecież zniszczyć czyjeś życie, przysporzyć komuś nieszczęść jest tak łatwo i można tego dokonać na tak wiele sposobów, podczas gdy uszczęśliwić kogoś jest tak niewyobrażalnie trudno! A najgorsza ze wszystkich możliwości była chyba taka, że ten ktoś okaże się dziewczynką, skazaną - tak jak wcześniej ona, Sara - na ciągnięcie wszędzie ze sobą przyszłości i wreszcie, gdy nadejdzie czas, na stworzenie lepszego świata - tak jak to właśnie ona, Sara, teraz czyniła. Ciężko było mieć takie myśli i nie trząść się ze strachu! Zwłaszcza że zaczęła także zauważać rzeczy, które dotąd dla niej nie istniały. Dokoła niej zaroilo się nagle od rodziców z dziećmi i gdy tak im się przyglądała, obserwując spod oka albo zupełnie otwarcie, dostrzegała, że ani dorośli, ani ich pociechy nie uśmiechają się - nawet jeśli był piękny słoneczny dzień bez jednej chmurki na niebie. Na twarzach jednych i drugich zawsze widniał skrzywiony grymas: ci marszczyli brwi, tamci wykrzywiali usta w podkówkę, biegając od sklepu do sklepu, od domu do samochodu, jak gdyby już obmyślili, co złego może ich spotkać. Dzieci wcale nie wyglądały jak dzieci, tylko jak mali staruszkowie; siedziały w swych fotelikach na tylnych siedzeniach, łyse i pomarszczone, łypiąc i zezując - od zaledwie trzech miesięcy tutaj, a już złe i znudzone tym, co zastały. Oczywiście Sara jak każda przyszła matka wierzyła, że jej dziecko

295

będzie inne, lepsze. Jednakże tej wiary wystarczało jej tylko na parę godzin, za dnia. W nocy, gdy leżała bezsennie obok masywnego ciała pochrapującego Leonida, który czasem przypominał jej raczej skałę niż człowieka, skałę trzęsącą się przy każdym oddechu i podrygującą jak zmieniająca położenie płyta tektoniczna, z właściwą płytom tektonicznym flegmatycznością, pewnością i nieuchronnością, zdawała sobie sprawę, że w nic już nie wierzy, i z trudem tłumiła łyzy, aż w końcu Leonid wyczuwał jej przerażone myśli i wybudzał się z pozbawionego marzeń sennych snu.

- Znów martwisz się o dziecko? - pytał.

Mówił niewyraźnie, tak samo jak wtedy, gdy chodził do szkoły średniej - jego akcent ani trochę się nie poprawił, wciąż wypowiadał słowa zlepione ze sobą, jakby miał na języku kłatkę podobną do tej, którą Ben musiał nosić na grzbiecie. Sara przypominała sobie, że kiedyś, wkrótce po tym jak się poznali, wracali we trójkę po lekcjach. Ben pomagał Leonidowi, z ręką nadal na temblaku, odnieść tornister do domu, a ona się do nich przyłączyła. Ledwie wyszli ze szkoły, Ben powiedział, że zapomniał czegoś z szatni, i pognał z powrotem, zostawiając ich sam na sam. W Leonidzie zaszła

wówczas niebywała zmiana: dotąd milczący i dąsający się, ożywił się i zaczął nawijać jak najęty, wyrzucając z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, w byle jakiej kolejności, bez spójników i form czasu przeszłego, chociaż opowiadał o swym dawnym życiu: o Czarnobylu, tamtejszej szkole, nauczycielach, kolegach i klubie bokserskim, gdzie niemal zdobył tytuł mistrza juniorów, o awarii reaktora, o ucieczce z miasta i azylu w wielkim opuszczonym magazynie, który stał się tymczasowym domem dla niego i matki, i tysiocy podobnych im uciekinierów. Opowiadał ze szczegółami o panującej tam rutynie, o latrynach na zewnątrz i prysznicach z lodowatą wodą, do których wiły się tasiemcowe kolejki, o spaniu na gołym betonie i apatycznym czekaniu, aż trucizna opuści ich ciała. Opowiedział Sarze o swojej ciotce i jej chorobie, która zdaniem jego matki była wynikiem skażenia, i o tym, że jego rodzice wrzeszczeli na siebie przy wszystkich, obrzucając się przekleństwami i piorąc stare brudy. Że ojciec nazywał matkę

296

starą grubą krową bez krztyny rozumu, a ona w rewanżu wyzywała go od męskich dziwek, trochę nielogicznie, zważywszy, że chwilę potem zarzucała mu, że sypia z każdą podfruwajką, jaka mu się nawinie, i oskarżała go, że jej nie docenia, gdyż od dawna wie o Katii, o której zresztą wiedzieli wszyscy lokatorzy ich komunalnego mieszkania, bo nie sposób nie słyszeć przez cienką ścianę jęków, jakie ta mała zdzira wydaje, kiedy ona, rzekomo bez krztyny rozumu, jest poza domem, ucząc na wieczornych kursach dla dorosłych, i zapewniała, że Lonia również o niej wie, a jeśli ojciec myśli inaczej, to sam jest głupią krową, chociaż stary byk z niego, i nie ma pojęcia o dzieciach, gdyż dzieci wiedzą o wszystkim, i może łatwo jest ukryć romans przed „mądrymi” kolegami z pracy, ale nie przed dzieckiem, co bardzo Leonida ubodło, bo po pierwsze nie uważał się już za dziecko, a po drugie nie miał zielonego pojęcia, o czym matka mówi - w życiu nie słyszał żadnej Katii ani nawet o niej, poza tym przepadał za ojcem, więc na poczekaniu uznał, że matka kłamie i że faktycznie nie ma krzty rozumu, właśnie jak twierdził jego ojciec, siedział zatem na betonowej podłodze, trzęsąc się z zimna i wściekłości pod cienkim i brudnym państwowym kocem na oczach dziesiątek uciekinierów, którzy od dawna nie mieli żadnej rozrywki i teraz z wielkim zainteresowaniem śledzili rozgrywkę pomiędzy skłóconym małżeństwem, jakby to był mecz bokserski, biorąc stronę żony albo męża, podczas gdy pył radioaktywny nad ich domami, odległymi o setki kilometrów, powoli opadał... Niemal nie robiąc przerwy na zaczerpnięcie oddechu, Leonid przeskoczył w czasie i przestrzeni, opowiadając o tym, co zastali po powrocie do Czarnobyla, o niby normalnym życiu, jakie podjęli, o szkole przeniesionej na peryferie miasta, do innego starego magazynu, o nauczycielach, kolegach i trenerach z klubu bokserskiego, którzy udawali, że wszystko jest jak dawniej, mimo że nie było, żalił się, że tracił na wadze, gdyż bał się cokolwiek jeść, ba, obawiał się wkładać ubrania, myć zęby czy kąpać się, bo wszystko mogło być nadal skażone; w którymś momencie doszedł do wniosku, że rząd kłamie, że wszystko jest skażone, i odtąd jego życie stało się koszmarem, a na domiar złego przyłapał ojca z Katią w małżeńskim łóżku

297

po tym, jak wrócił z mistrzostw juniorów, gdzie znowu nie zdobył tytułu mistrza, a przecież ojciec mówił, że nie może być na trybunach z zupełnie innego powodu, no i skoro i tak wszyscy mieli umrzeć, to przyłożył ojcu, ale tamten mu oddał - dwa razy mocniej i znacznie więcej razy, tak że w końcu rozłożony na łopatki czuł, jak ojciec wali jego głową o podłogę, odliczając przy tym jak sędzia bokserski, podczas gdy Leonid to tracił przytomność, to znów ją odyskiwał, ale tylko na chwilę, i że teraz to on byłby górą i gdyby tylko ojciec był tutaj, to już on by się z nim policzył, rozdarłby go na strzępy (tak jak zdrową ręką rozdzierał na strzępy brzeg temblaka), tyle że z drugiej strony ma już piętnaście lat i wie, że życie nie trwa wiecznie, a do tego nigdy nie wiadomo, na jakiego przeciwnika się trafi, bo czasami największy słabeusz może mieć pod koszulą stalowy pancerz i wtedy zamiast wygranej ma się strzaskaną dłoń, a po co to komu, więc może najwyższy czas przestać się bić i przestać bać... Sara przysłuchiwała się temu strumieniowi świadomości i w jej oczach gigant, za jakiego dotychczas miała Leonida, kurczył się i przybierał ludzkie rozmiary - podobnie działo się, kiedy pod koniec dnia ojciec odpinał protezę: przestawał być wtedy dla Sary

bogiem. Nie wiedząc, jak zareagować na ten przytłaczający ogrom faktów, którymi została zasypana, ustosunkowała się tylko do ostatniego zdania, mówiąc: „Wyjąłeś mi to z ust”. Leonid uśmiechnął się szeroko i zapytał: „A mogę włożyć z powrotem?” W pierwszej chwili nie zrozumiała, co ma na myśli, ale zaraz poczuła, jak Leonid się nad nią nachyla, sztywno trzymając rękę na temblaku, żeby nie urazić wciąż bolącego nadgarstka, i wsuwa język między jej wargi.

- No przecież widzę, że się martwisz - wyrwał ją ze wspomnień.

- Nie - zaprzeczyła pod osłoną ciemności i niemal równocześnie poczuła na piersiach dłoń Leonida.

- Będzie wspaniale, zobaczysz - zapewnił ją. - Własne dziecko jest zawsze wspaniale...

Jej matka mogłaby powiedzieć coś podobnego, gdyby żyła, na przykład: „Zobaczysz, Saro, wszystko wygląda inaczej, gdy na świat przychodzi twoje dziecko...”

298

O tak, pomyślała Sara, zupełnie inaczej. Tysiącrotnie gorzej!

Wszakże jej myśli zaprzętało coś jeszcze, gdy tak leżała w niedźwiedzim uścisku Leonida, a był to obraz Chagalla, który Ben przyniósł wreszcie do jej mieszkania, w urywanych słowach przekazując, co powiedziała mu kobieta z muzeum o ciągach cyfr ukrytych u dołu płótna pod ramą. Zaraz delikatnie odgięli prawy dolny róg, tyle tylko, by przekonać się, czy takie numery znajdują się na ich obrazie, i ku ich mieszanym uczuciom ukazały się tak nagle, jakby właśnie się zmaterializowały. Teraz usypiającej Sarze wirowały przed oczyma na przemian z dzieckiem, które nosiła w głębi siebie, i z niezrozumiałymi danymi z wyników badań lekarskich (zapamiętała z nich jedynie tętno płodu i jego wielkość) - a wszystko to widziała na tle drabiny czy raczej podwójnej helisy DNA, gdzie zakodowana była przyszłość jej syna lub córki.

Odegnęła zakradający się sen, wyswobodziła się z objęć Leonida i oddała dalszym rozmyślaniom.

Była już w posiadaniu obrazu identycznego z obrazem Chagalla pod względem rozmiaru i wieku; wyszperała go w jednym z licznych antykwariatów idąc za radą „Podręcznika fałszerza”, nabytego przezornie wcześniej. Zdążyła z niego nawet zedrzeć wierzchnią warstwę farby za pomocą zwykłego kuchennego druciaka i usunąć podkład zamaczając płótno w wybielaczu i trzymając je tam tak długo, aż stało się całkowicie gładkie i czyste. Wciąż jednak się bała, że w każdej chwili ktoś może zechcieć przeszukać jej mieszkanie albo dom matki. Uświadomiwszy sobie swoje obawy, pomyślała, że Leonid niczego się nie boi ani o nic nie martwi - nawet o ich nie narodzone dziecko - ponieważ od czasu kiedy ją poznał, czyli już od ponad piętnastu lat, nie boi się niczego, gdyż tak sobie postanowił, i nagle, przez odległe skojarzenie, przypomniała sobie o kluczach, które od niego dostała, kluczach do mieszkania jego matki w New Jersey (Raisa pojechała z tygodniową wizytą do Rosji). Przypomniała sobie także o papierach wyciągniętych przez pracowników muzeum zza ramy oryginału, o czym Ben tylko napomknął. „Musisz się szczególnie przyłożyć do odtworzenia wybrzuszeń na płótnie” - rzucił zdawkowo i zreflektowawszy się,

299

dodał: - „Najlepiej chyba będzie, jak wepchasz tam trochę papierów... tylko nie zapomnij ich potem wyjąć! No i pamiętaj o cyfrach, cyfry są najważniejsze.” Był nieobecny duchem, gdy przyniósł do niej obraz, lekko czymś zawstydzony, wyglądał, jakby śpieszył się dokądś, jakby coś zaraz musiał załatwić... Sara doskonale umiała rozpoznać, kiedy jej brat bliźniak jest zakochany.

- Sara, daj już spokój tym rozmyślaniom - znów przerwał jej głos Leonida. Pogłaskał ją po włosach, po czym ponownie objął, tym razem tak, że jedna z jego wielkich jak bochny dłoni spoczęła na jej brzuchu, jak gdyby chciał ochronić zaledwie cień ich przyszłego dziecka. - Proszę, śpij już.

Parę godzin później, o świtanie, Sara wreszcie zasnęła.

Barwa... barwa... śmiałe, głośne barwy... barwy śpiewające, barwy nućące, barwy krzyczące, barwy szlochające, a nade wszystko barwy gotujące się od złości, barwy gniewne, zgorzkniałe, pozbawione widowni, ignorowane, blednące nie z powodu upływu czasu, lecz od samotności i opuszczenia, od wiedzy, że tak naprawdę nie istnieją, dopóki ktoś nie spojrzy na nie i się nimi nie zachwyci...

Dla Sary barwa to nie było li tylko doznanie wzrokowe - ona kolory postrzegała wszystkimi zmysłami: słyszała je, czuła, smakowała, dotykała... Ilekroć sięgała po pędzel, przepełniała ją radość, toteż zdziwiło ją niepomiernie, kiedy znalazłszy się w kuchni Raisy, pośpiesznie zaadaptowanej na pracownię, gdyż we trójkę uznali, że policji nie przyjdzie do głowy przeszukiwać mieszkania teściowej, i to w dodatku teściowej siostry głównego podejrzanego, nie ogarnęła jej zwykła euforia tworzenia, lecz smutek. Malowanie zaczęła od naniesienia na płótno nic nie znaczących cyfr dokładnie tam, gdzie znajdowały się naoryginale, i dokładnie takich samych, do najdrobniejszego szczegółu - łącznie z odchodzącymi od nich ledwie widocznymi dla niewprawnego oka cieniuteńkimi nitkami farby sterzącymi niczym włos na zjeżonym ze strachu czy furii kocie; potem długo musiała czekać, aż farba wyschnie, nim mogła przyłożyć ramę we właściwych miejscach i kontynuować pracę. Zresztą dobrze się złożyło, gdyż nagle

300

ogarnęły ją poranne mdłości, których udało jej się uniknąć z samego rana, jeszcze w domu, a które teraz wróciły ze zdwojoną siłą, być może z powodu intensywnego zapachu farby. Wstrząsana torsjami pobiegła do łazienki, lecz gdy nachyliła się nad muszlą, jej ciało nieoczekiwanie się uspokoiło, choć wciąż czuła lekkie zawroty głowy i miękkość w nogach. Aby zupełnie dojść do siebie, położyła się w jednej z sypialni i zapatrzyła na śnieżnobiały sufit, rozpościerający się nad nią niczym tiulowy baldachim albo sklepienie czekające na rękę malarza.

Bała się.

Dawno temu Sarze przyśniło się, że po drabinie dostała się do nieba. Było to w noc święta Jom Kipur; niedawno skończyła dwunasty rok życia i po raz pierwszy obowiązywał ją pełny post, jak dorosłych. Po raz pierwszy też poczuła się dorosła, wcześniej tego dnia zauważywszy, że jej ciało tu i ówdzie zaokrągliło się, a włosy z prostych, dziewczynskich zamieniają się w bujne loki. Od wielu godzin martwiła się, że gdy położy się spać, będzie ją męczył głód i pragnienie, lecz nic podobnego się nie stało: zamiast tego ogarnęła ją lekkość, jakby była suchym liściem targanym przez wiatr, bez jednej ziemskiej troski. W swoim śnie wspinała się po drabinie, wyżej i wyżej, aż stanęła przed zawieszonymi między dwiema gwiazdami wrotami. Zapukała, lecz nikt jej nie otworzył. Ponowiła pukanie - z takim samym rezultatem. Za trzecim razem włożyła w kołatanie do drzwi całą swą duszę, zapierając się stopami w atlasowym granatowym firmamencie, i wkrótce znalazła się w pracowni. Poznała, że to pracownia, a nie na przykład gabinet, po tym, że różniła się całkowicie od pokoju, w którym pracowali jej rodzice: nie było tam schludnie ułożonych papierów i przyrządów kreślarskich, za to w jednym kącie leżały nieobrobione grudy gliny. Mimo to pomieszczenie w niczym nie przypominało klasy do zajęć plastycznych z jej szkoły, było na to zbyt duże, poza tym wszędzie leżały narzędzia, jakich nigdy nie widziała i spośród których tylko nieliczne potrafiła nazwać, a znajdowały się tam i koła garncarskie, i kowadła, i piece do wypalania gliny, i warsztaty tkackie, i cała masa innych, jeszcze dziwniejszych. Wrzało tam jak w ulu, w powietrzu

301

przeskakiwały iskry i wprost czuło się atmosferę wyteżonej pracy. Krosienko tkackie poruszało się rytmicznie pomiędzy nićmi, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, wydając ciche stuknięcia przy zmianie kierunku; rozgrzane żelazo z hukiem opadało na bryłę metalu leżącą na kowadle; dłuto uderzało rytmicznie o kamień, nadając mu jakąś jeszcze niesprecyzowaną formę, a bańki roztopionego szkła rosły w oczach, aż włożone zniemacka w ogień zapadały się w sobie i zamierały w kształcie srebrzystych łez. Wśród pracujących w pocie czoła byli i mężczyźni, i kobiety, bez względu na płeć w większości w podeszłym wieku, chociaż Sara wypatrzyła mężczyznę w okolicach czterdziestki, niskiego i szczupłego, o łysej głowie i czymś znajomym, czego nie potrafiłaby ubrać w słowa, który mozolnie urabiał bryłę gliny. Zresztą kiedy się im wszystkim dobrze przyjrzała, doszła do wniosku, że każdy bez wyjątku wydaje jej się znajomy, nie w tym sensie, że znała go kiedyś osobiście, ale że czuła się w jego czy jej obecności swobodniej niż w towarzystwie zupełnie obcej osoby. Oni także ją dostrzegli, głowy jedna po drugiej podnosiły się na moment znad warsztatu, by uprzejmie skinąć na powitanie i przesłać w jej stronę uśmiech.

Sara poruszała się po pracowni ostrożnie, nie chcąc przeszkadzać w ich nadzwyczaj ważnej, jak jej się zdawało, pracy, która wszakże niezmiernie ją ciekawiła. Przemieszczała się więc po cichutku dzięki bosym stopom, aż dotarła do stanowiska, przy którym siedział łysy szczupły mężczyzna, całkowicie pochłonięty swoją bryłą gliny. Stała u jego boku i w milczeniu śledziła pewne ruchy jego palców, wydobywających z gliny... twarz. Wąską twarz o wąskim długim nosie i podłużnych rozbieganych oczach. Obserwując, jak delikatne paznokcie powołują do istnienia powieki, z wolna zaczynała rozumieć, że ma przed sobą twarz Bena!

Rozejrzała się po pomieszczeniu zdumiona. Na krosnach powstawała jej matka: włosy, oczy, nos i usta były już utkane, wplecione jako skomplikowany wzór w długą wysublimowaną tkaninę, a tkaczka właśnie zabierała się do zwieńczenia swego dzieła brodą. Parę metrów dalej kto inny wydobywał postać Bena z bloku marmuru; nie mogło być wątpliwości, że to on

302

- na twarzy dominowały charakterystyczne grube brwi stykające się u nasady nosa, a pośród pyłu i odłamków wylaniał się jego skrzywiony kręgosłup. Jeszcze kto inny odlewał z płynnego srebra twarz jej matki, twarz, którą Sara rozpoznałaby wszędzie po wycięciu ust i wystających kościach policzkowych. A tam... czy to nie ona sama, figurka ze szkła, rosnąca i rosnąca, najpierw wielkości dziecka, potem nastolatki i wreszcie dorosłej kobiety? O, teraz nawet mogła się przejrzeć w gładkim jak lustro szkłe i nałożyć swój obraz na to wyobrażenie...

Zrobiła krok do tyłu, wystraszona, że któreś z powstałych dzieł ujrzy ją, już w pełni uformowaną pod ludzką postacią. Chciała właśnie chyłkiem wymknąć się z tej niezwykłej pracowni, gdy zobaczyła, że przez drugie drzwi wchodzi jej ojciec. Jak wszyscy pozostali ubrany był w zakurzony fartuch, lecz jego dodatkowo upstrzony był kolorowymi plamami po farbie. Na nosie miał okulary, tak jak za życia, jednakże tutaj nie potrzebował ani kuli, ani protezy, gdyż znów miał dwie zdrowe nogi! Kiedy wreszcie popatrzył na Sarę, odniosła wrażenie, że wcale jej nie widzi - spoglądał na nią, jakby była kimś zupełnie innym, czy też raczej dostrzegał w niej nie tę osobę, którą była, lecz którą mogła się stać. Stanąwszy przed swym stanowiskiem, wziął do ręki paletę malarską i pędzel i nim zdążyła zaciekawić się, co też zaraz namaluje, podszedł do niej, wodząc po niej wzrokiem tak, jak ona sama później będzie to robić, stojąc przed nie zaczętym jeszcze obrazem. Zamoczył pędzel w brązowej farbie i przyłożywszy go na wysokości jej głowy, jął malować bujne loki, wolną rękę kładąc na jej ramieniu i lekko ją popychając w stronę drzwi. Wrota otworzyły się na oścież i Sara pokoziołkowała w dół, na ziemię, budząc się, jak to w snach bywa, na ułamek sekundy przed upadkiem.

Nazajutrz odbywano modły za zmarłych. Sara przyglądała się, jak wszystkie inne dzieci z ich kongregacji są wyganiane z synagogi, gdyż nie mając kogo opłakiwać i za kogo się modlić, nie miały powodu pozostać w środku. Uważała za wielką niesprawiedliwość, że Bóg postarał się, by mogły beztrudnie spędzić to przedpołudnie, bawiąc się w opromienionym jesiennym słońcem parku, podczas gdy ona i Ben...

303

- A szwarc jor - szepnęła ledwie dosłyszalnie jej matka - że musicie tu ze mną siedzieć.

A szwarc jor, powtórzyła w myślach Sara. „Czarny rok" ...? I nagle, w przypiływie olśnienia, zrozumiała, że wszystko co ją otacza, to czas.

Ben nieraz jej zarzucał, że ma kłopoty z pamięcią. Była to prawda: Sara nie zapamiętywała niczego, podobnie jak niczego nie przewidywała - albowiem nie istniała dla niej przeszłość, którą należało zapamiętać, ani przyszłość, którą trzeba by przewidzieć - ona wszystko widziała, tak jak się widzi rozciągający się przed oczyma krajobraz, tyle że w jej wypadku nie był to krajobraz, a czas - dni, miesiące i lata, tłoczące się i zapelniające jej pamięć barwami. Od tamtej chwili w synagodze Sara nie musiała już wysilać się, by wyobrażać sobie przeszłość, teraźniejszość bądź przyszłość po to, aby zadowolić brata czy kogokolwiek innego, lecz po prostu wszystko to spostrzegała. Stała sobie i obserwowała dni, jak gdyby byli to członkowie jej rodziny zasiadający do szabasowej wieczerzy. Niektóre jawiły się jej oczom blade, szare, mdłe; inne połyskiwały zielenią w przyćmionym świetle;

jeszcze inne pulsowały czerwienią albo migotały na pomarańczowo niczym płomienie. Jednakże cały ostatni rok był czarny, tak jak powiedziała jej matka, i Sara oczyma wyobraźni zobaczyła, jak kroczy w stronę nieprzeniknionej ciemności wzdłuż alei drzew obsypujących ją drobnymi kolorowymi minutami, które łączą się w godziny o różnych kształtach i fakturach - gdy dotykały jej skóry, jedne były miłsze, drugie bardziej chropawe i nieprzyjemne, niemniej wszystkie niosły choć odrobinę światła, którego całkowicie pozbawiony był „czarny rok”.

Tutaj ciemność była wręcz namacalna, dusząca. Tylko ktoś o wytrenowanym oku, ktoś wiedzący, czym naprawdę jest czas, potrafiłby odnaleźć niuanse pozwalające dostrzec różne odcienie szarości. Przy wejściu do tej jaskini mroku było chyba najgorzej, ale również później miejscami pojawiał się nieoczekiwanie gęsty gryzący dym, tak że Sara dusiła się i chwilami nawet musiała pełzać tuż przy ziemi, walcząc o każdy oddech i krztusząc się czarnym błotem. Gdy odważyła się unieść głowę,

304

przez wyciśnięte z oczu łzy widziała, że powietrze u góry płonie, pokrywając jej twarz grubą warstwą sadzy i otulając umysł mięsistym welwetem, pod którym wydawało się jej niemożliwe choćby wyobrazić sobie światło. Wszakże tu i ówdzie dym rzednął, odsłaniając onyksową czerń, na przemian gładką i kaleczącą jej wyciągnięte do przodu dłonie. Znowuż gdzie indziej na przestrzeni tego roku mrok rozwiewał się i odpływał, zostawiając po sobie co najwyżej kałuże atramentu, zabawnie chlupoczącego pod jej stopami, a pomiędzy nimi znajdowały się nieliczne suche i czyste miejsca, w których mogła przycupnąć i odpocząć. Zdarzało się nawet, choć tylko sporadycznie, że przez ciemność przeświecał promień światła, nie wprost oczywiście, lecz dyskretnie ogłaszając swą obecność poprzez cień na ścianie czy ledwie uchwytną zmianę odcienia czerni na ołówkowy grafit. W takich miejscach Sara szła wyprostowana, starając się nie widzieć tego, co jeszcze ją czeka, bliska uwierzenia, że najgorsze już za nią, że czarny rok się kończy. Maszerowała zamaszystym krokiem, nabierając pewności siebie, aż do rzeczywistości przywoływał ją jakiś samotny ciemnoszary stalaktyt, o który zawadzała głową. Niemniej prawdziwe wyzwanie było dopiero przed nią. W części jaskini, do której musiała dotrzeć, jeśli chciała się z niej kiedykolwiek wydostać, gdyż jak wiedziała, dopiero za nią położona była wąska szczelina wiodąca ku światłu, leżała głęboka jama, otchłań, kwintesencja czerni - nie takiej stworzonej przez wymieszanie wszystkich barw, lecz będącej zaprzeczeniem istnienia światła. Jednym słowem bezkształtna i bezdenna nicość. Gdyby ktoś do niej wpadł, nie byłoby dlań ratunku. A wpaść w tę istną czarną dziurę było nadzwyczaj łatwo. Naturalnie można ją też było ominąć i wyjść ku światłu przez niebotycznie wąską szczelinę, za którą rozpościerały się całe dziesiątki następnych lat. Lat w barwie indygo, żółci i pomarańczy, lat rozkwitających niczym polne kwiaty, zmrożonych na kamień, umykających jak piasek z otwartych dłoni. A także tygodni, które zakorzeniały się na dobre i radośnie rozkrzewiały, biorąc wszystko we władanie, oraz miesięcy, które niczym twarda kostka brukowa na delikatnych podszwach stóp odciskały się na duszy i przyprawiały ją o bolesne nagniotki.

305

Można było przeżyć całe pory roku, które należało zdobywać niczym broniące dostępu szczyty, biorąc je sposobem lub brawurą, i dekady spokoju opromienione świetlistą tęczą; były także ruchome wydmy marzeń sennych i zaćmienia koszmarów. Niektóre godziny mogły wydawać się jabłkami, inne znów chlebem...

Pierwszy rok Sary po tym, jak udało jej się opuścić jaskinię, był czystym mlekiem. Zdarzały się mgnienia oka - jakieś spojrzenie, dotyk rąk, pocałunek albo dźwięk czy słowo - które powodowały wiry w tym białym strumieniu, przyśpieszając bądź odwlekając upływ czasu, nieliczne prowadziły do mniejszych, ukrytych w głębinach jaskiń, wszelako Sara umiała już nawigować po rzece czasu, stanowiącej jej życie. Podejrzewała, że nawet najczarniejsze chwile mają jakiś głębszy sens, a nawet że każdy następny moment wynika z poprzedniego, że ani czas, ani jej przyszłość nie istnieją samoistnie, lecz tworzą się na bieżąco, z każdym jej krokiem, z każdą decyzją. Jeśli więc znajdowała się nagle pod ścianą, była to najprawdopodobniej jej własna wina, wynikająca z wcześniejszych wyborów, i że gdyby tylko gdzieś po drodze wybrała inną ścieżkę, jej życie



potoczyłoby się zupełnie inaczej. Poniekąd otuchą, poniekąd przerażeniem napawała ją świadomość, że wszystko w gruncie rzeczy zależy od niej. Była ona i czas, który za jej sprawą powstawał. Oboje niezdefiniowani, lecz niezaprzeczalni - przypisani sobie na dobre i na złe. Z chwilą gdy Sara uświadomiła sobie, czym jest czas, rozglądała się dokoła siebie uważnie. Spozstrzegła wtedy, że nie tylko czas, ale wszystko, wszyściusieńko w jej oczach zamienia się w kolor lub przynajmniej w grę światła i cienia. Barwami były dźwięk, smak i dotyk - chude ramiona Bena zamykające się wokół niej, dłoń matki na jej twarzy, miękkie usta Leonida na jej wargach, to wszystko miało swój, właściwy tylko sobie kolor. Jej brat prezentował się w jej oczach zielonoszaro, na podobieństwo wystrzelającej w górę sadzonki młodego drzewka; matka była głębokim błękitem, jaki przy wielkim szczęściu można dostrzec w odbłasku szyby, gdy w bezchmurny dzień zachodzi słońce; Leonid zaś porażał jak błysk światła na wodzie, ognistopomarańczowy promień łączący dwa żywioły.

306

Najczęściej wszakże Sara widziała nie światło, lecz cień

- przemykając od jednej chwili do następnej nieodmiennie dziwiła się, że na świecie jest tak mało jasności, a tak wiele mroku. Dziwiła się, lecz już się nie bała, nie po pierwszym długim czarnym roku i licznych czarnych chwilach, które stały się jej udziałem. Pamiętała, jak przed laty - ósmego dnia, zaraz po tym, jak po żałobie odsłonięto w domu lustra

- oglądała uważnie swą twarz. Gdy spojrzała sobie w oczy, zdumiała się, że w większości są białe, z czarną kropką pośrodku, a pomiędzy bielą i czernią tkwi cienki brązowy pierścień. Wydawałoby się, że człowiek powinien widzieć białkiem oka, tymczasem wcale tak nie jest. Przemówiło do niej, że może postrzegać świat i samą siebie dzięki tej małej czarnej kropce, temu odpryskowi ogarniającej świat ciemności.

Podbudowana na duchu i wzmocniona na ciele Sara wstała z łóżka i przeszła z powrotem do kuchni, na wszelki wypadek siłą woli opanowując kolejny atak mdłości, kiedy brała do ręki wyschnięte już płótno i przyczepiała je do ramy. Potem umocowała obraz na składanych sztalugach, które ze sobą przyniosła, i odsłoniła okna. Puste, szarawe dotąd płótno natychmiast się rozświetliło. Sara zamarła na ten widok jak porażona. Tyle jest piękna na świecie, a mało kto to dostrzega, pomyślała, wpatrując się w jaśniejący prostokąt. Sama czuła się przy tym lżejsza i czystsza, jakby odrobina tego piękna i jej się udzieliła. Długą chwilę po prostu stała bez ruchu i patrzyła, lecz gdy przypomniała sobie, co zaraz ma zrobić, odwróciła wzrok. To było tak, jakby wyznaczono ją do przeprowadzenia egzekucji, a skazaniec stanąwszy przed nią, przewiesił szyję przez sztalugi, pokornie czekając, aż padnie pierwszy cios pędzla. Dopiero gdy przed oczyma stanęli jej rodzice i brat, zebrała się w sobie i zaczęła malować.

Pracowała bez przerwy, nie zwracając uwagi na upływ czasu i zmieniające się pory dnia; kiedy za oknem ciemniało, ona patynowała naniesioną farbę i czyniła ostatnie poprawki. Nieustannie spoglądała na zawieszony niżej na sztalugach oryginał, bojąc się zaufać swej pamięci, i kolejno powoływała do życia budynki stojące przy spokojnej ulicy, cyzelowała łuki okienne, dopieszczała samą ulicę, podmurówkę i prety ciągnące się

307

wzdłuż niej ogrodzenia; potem wmalowała sztachety i w centralnej części naniosła dwa kanciaste nagrobki, po drodze pociągając pędzlem po dachach i dzwonnicy, by dodać im nieco blasku. Za pomocą noża nałożyła białą farbę, pokrywając ulicę i dachy śniegiem, a potem jeszcze przejechała po świeżej warstwie pędzlem, aby jego włoskami wyźłobić rowki. Pozwoliła, by szarość płótna prześwitywała miejscami, zwłaszcza na niejednolitej powierzchni dzwonnicy na pierwszym planie, a później zajęła się cieniem mężczyzny po lewej i dziwnym, przypominającym pajęczynę cieniem po prawej. Złamała umbry odrobiną żółci, aby dodać im życia, i płynnie przeszła do szarobiałych drzew, z których jedno (zauważyła to dopiero teraz!) miało gałęzie powykręcane w kształt hebrajskiej litery, od jakiej zaczyna się jedno z imion Boga. Każde kolejne pociągnięcie pędzla było bardziej udane, każdy następny kolor bardziej trafiony. Sara dziwiła się, że tak łatwo jej idzie.

Chwilami czuła, że kto inny prowadzi jej rękę, kto inny dobiera farby i je miesza, by uzyskać właściwy odcień, jak gdyby wraz z unicestwieniem obrazu, który posłużył za płótno pod kopię, we wszechświecie zrodziła się potrzeba, by stworzyć coś równie doskonałego. Wiedziała jednak, że to niemożliwe, ba, nie tylko niemożliwe, lecz wręcz chore! Uczucie nawiedzenia jej przez ducha malarza zniknęło w momencie, kiedy skoncentrowała się na sylwetce unoszącego się nad ulicą mężczyzny z tobołkiem i laską, przecinającego niebo na tle kościelnej wieży.

Centralna postać obrazu była najtrudniejsza do skopiowania. Miała nienaturalne proporcje, ciało z powodzeniem zakryłoby kilka budynków, wszystko pozostałe zaś - rysy twarzy, obwisły tobołek i kapota - sugerowało, że podlega prawom grawitacji, chociaż równocześnie szybowiała z twarzą skierowaną do dołu, w pozycji niemal horyzontalnej, co zaprzeczało tamtemu wrażeniu. Jedyne kątnychylenia laski świadczył, że mężczyzna wie, iż znajduje się w powietrzu. Niesłychanie trudno było oddać czerń, jaką Chagall go namalował. Mężczyzna był praktycznie cały czarny, a podświetlające go od strony przeciwnej do oglądającego słońce, umieszczone za chmurami na kremowym zimowym niebie, wydobywało

308

zaledwie cień koloru to na ramieniu, to na brodzie czy oku. Jedynym fragmentem, w którym można się było dopatrzeć krztyny światła, była jego ręka, zaciśnięta równym rzędkiem palców na wspartej o ziemię lasce. Sara wpatrywała się w tę dłoń tak długo, aż oczy zaczęły jej łzawić i gdy nimi zamruwała, zobaczyła - nie: przypomniała sobie ani nie: wyobraziła

- zobaczyła dłoń ojca zaciśniętą na rączce kuli, kłykcie palców napięte i poróżwiałe od wysiłku - wszystkie z wyjątkiem jednego, najmniejszego, który tak jak niegdyś trzymał wyprostowany, by mogła go ująć. Zatrzepotała powiekami ponownie i ojciec zniknął.

Jakoś dokończyła malować postać mężczyzny, ale czyniła to mechanicznie, bez serca. Przykładała się do szczegółów, nie zapomniała nawet o mikroskopijnej ilości białej farby potrzebnej, by nieco rozświetlić brodę, lecz było to właśnie nakładanie farby, a nie prawdziwe malowanie. Gdy wreszcie odsunęła się od sztalug, by ogarnąć wzrokiem całość swego dzieła, w ułamku sekundy zrozumiała, że poniosła porażkę. Każdy inny na jej miejscu zobaczyłby idealną replikę oryginału, kopię doskonałą, fałszerstwo stulecia, ona jednak wiedziała, że namalowana przez nią postać, mimo dopracowania w każdym detalu, mimo postrzępionej w tych miejscach co trzeba kapoty i cieni na zapadłych policzkach, jest martwa

- że to tylko zwłoki podparte spróchniałą drewnianą laską. Latający trup.

Zagryzła dolną wargę, próbując nie przejmować się klęską

- tak czy inaczej musiała doprowadzić sprawę do samego końca. Pozostało jej jeszcze postarzyć tył obrazu, a w tym celu powinna dokładnie odtworzyć plamy powstałe na płótnie i drewnianej ramie.

Zajrzała do „Podręcznika fałszerza”, przypatrzyła się uważnie oryginałowi i zdecydowanym ruchem zanurzyła lewy róg obrazu w wodzie, co miało mu nadać znamiona złego przechowywania, niewątpliwie uwzględnione w muzealnej dokumentacji. Po jakimś czasie mogła złożyć podrobiony podpis Marka Chagalla - użyła do tego mieszanki żółtej ochry i palonej sjeny.

Obraz był gotowy, a Sara załamana. Doskonale wiedziała, czego się spodziewać po udanym obrazie, nieraz doświadczyła

309

takiego uczucia przy własnych pracach - patrzyła na swoje dzieło i odnosiła wrażenie, że coś znalazła... A może nie tyle „znalazła”, ile „odkryła na nowo”, jak gdyby zobaczyła coś, co widziała bądź przeżyła dawno temu albo we śnie - miejsce, zapach, strach, słowo... Lecz teraz przed sobą miała miasto umarłych i nieboszczyka, w obrazie nie było nic do znalezienia ani odkrycia, nie było w nim nawet nic „do patrzenia”. Już odchodząc od obrazu, dostrzegła dwa nagrobki i uświadomiła sobie, czyje ciała się pod nimi skrywają.

Puściła się pędem do łazienki, gdzie ledwie trafiła do muszli i długo, bardzo długo wymiotowała, a potem jeszcze dłużej siedziała na podłodze i rozpaczliwie łapała oddech. Otoczona przez śnieżną biel ścian walczyła z noszonym w łonie dzieckiem, które starało się wyrwać ją przeszłości i

popchnąć ku przyszłości.

Wieczorem na progu mieszkania w New Jersey stanęli Ben i Leonid - pierwszy nie mógł się doczekać zobaczenia obrazu, drugiego zaś niepokoiła przedłużająca się nieobecność żony. Sara była wtedy nadal w łazience i gdyby ktoś ją zapytał, nie potrafiłaby powiedzieć, jak wiele czasu tam spędziła, aczkolwiek nie miała wątpliwości, że owe minuty czy godziny należały do najczarniejszych w jej życiu. Dopiero usłyszawszy pukanie wzięła się w garść i wolnym krokiem ruszyła w stronę drzwi frontowych, po drodze odganiając sprzed oczu mroczki. W obramowaniu futryny ujrzała męża i brata, zlewających jej się w jedną postać.

Leonid długą chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym starannie dobierając słowa, rzekł niewyraźnie:

- Wyglądasz... kolorowo.

Wyciągnęli do siebie ramiona w tym samym momencie i Sara zrozumiała, co miał na myśli: jej przedramiona i dłonie upakowane były farbą. Jednakże Ben jak zwykle nie certolił się z siostrą i pozwolił sobie na szczerłość.

- Sara, jesteś cała zielono żółta! Dobrze się czujesz? Ach, więc o to mu chodziło, pomyślała.

- To tylko dziecko, nic mi nie jest, naprawdę - zapewniła i zaraz poczuła, że nie jest to do końca prawda, gdyż

310

nawet w przedpokoju snuł się ostry nieprzyjemny zapach, zielonożółty, tak jak określił to Ben.

Leonid pociągnął parę razy nosem i całując ją w policzek, wymamrotał:

- Wszystko przez te opary! Nie powinienem był pozwolić ci malować...

- Przecież codziennie maluję i jakoś żyję... - Sara zaczęła się słabo bronić, lecz urwała, kiedy poczuła kolejną falę mdłości podchodzącą jej do gardła.

- Ale tu jest gorzej niż w twojej pracowni - nie dawał za wygraną Leonid, węsząc ostentacyjnie.

Przebisnął się koło nich -jego masywna sylwetka zajmowała niemal całą szerokość długiego, lecz niezbyt obszernego przedpokoju - i skierował się w stronę najbliższego okna. Ben odprowadzał go wzrokiem, jak gdyby obliczając w myślach, kiedy odległość zwięźszy się na tyle, że będzie mógł bezpiecznie odezwać się do Sary. Na wszelki wypadek odczekał, aż szwagier zaczął się szarpać ze staromodnym, przesuwanym do góry skrzydłem, i dopiero wtedy szepnął:

- Mam wątpliwości, Saro...

- Jak to?

- No wiesz - bąknął - chodzi o Erikę, tę z muzeum...

- Sara stłumiła uśmiech widząc, jak czerwień, która przejściowo zupełnie opuściła jej ciało, wlewa się pod skórę jej brata, zabarwiając krwisto jego uszy i szyję. - Ona pomyśli, że to oryginał... - Ben rzucił spojrzenie w kierunku Leonida, który właśnie w tej chwili uporał się z oknem, wpuszczając do mieszkania powiew świeżego powietrza, i dokończył szybko:

- Zdobyłem jej zaufanie i nie wiem, czy potrafię...

- Potrafisz - stwierdziła stanowczo Sara, obejmując męża. - Wszyscy potrafimy.

Ukontentowany niezamierzonym komplementem Leonid rzekł skromnie:

- Tylko się zacięło... Ale i tak będę je musiał naprawić.

Jego szerokie barki były wręcz stworzone do przyjmowania składanych na nie ciężarów. Choć nigdy nie mieszkał tutaj z matką, pomagał jej przy zakupie i urządzaniu mieszkania

311

i nawet teraz czuł się w obowiązku, by okiem gospodarza sprawdzić, czy wszystko jest jak należy. Wracając do stojącego wciąż w przedpokoju rodzeństwa, domknął drzwi szafy i mruknął coś pod nosem na temat konieczności naoliwienia zawiasów.

- Mistrzynie pędzla - odwzajemnił się, składając przesadny ukłon - czy dostąpimy wreszcie zaszczytu obejrzenia twego najnowszego dzieła?

Sara parsknęła śmiechem.

- Jest w kuchni.

Poprowadziła ich do pokrytego gazetami pomieszczenia. Stała przed sztalugami, nieco z lewej, by nie zasłaniać bratu i mężowi widoku, i raz jeszcze przyjrzała się oryginałowi i kopii. W jej oczach różniły się jak niebo i ziemia, jak woda i ogień. Oryginał przemawiał do niej symfonią barw, podczas gdy kopia zgrzytała nieczystymi kolorami, naigrawając się z tej, spod której ręki wyszła.

- Przepra... - zaczęła i urwała w pół słowa, gdyż poczuła obok siebie ruch.

To Ben i Leonid jednocześnie postąpili krok do przodu, z oszołomionymi minami i wyrazem niedowierzania na twarzach.

Ben pierwszy przyszedł do siebie.

- Saro, jesteś geniuszem! - wykrzyknął. - Są nie do rozróżnienia!

Jak zwykle praktyczny Leonid nachylił się nad sztalugami i wypróbował różne kąty, uchwycił błysk mokrej farby na podrobionym obrazie.

- To niewiarygodne - zagrzmiał, odwracając się i zamykając ją w ramionach, przy czym niemal zmiądzzył jej zębra. - Niewiarygodne!

Sara oswobodziła się z objęć, by móc obserwować reakcję Bena. Kiedy to zbliżał, to znów oddalał się od obu płócien, przeskakując wzrokiem od jednego do drugiego, miała nadzieję, że jej brat, jej pokrewna dusza, odkryje na świeżej kopii jakiś niewybaczalny feler - nie tyle coś, co można zobaczyć, ile raczej coś, co się po prostu czuje. Kiedy otwierał usta, aby wydać werdykt, serce jej przyspieszyło w miarowej modlitwie,

312

nadaremno wszakże, Ben bowiem z zachwytem w oczach wyjąkał:

- Saro, jesteś perfekcjonistką. Ten obraz jest doskonały! - i po chwili dodał: - Dziękuję...

Wyciągnął do niej ręce, a ona pozwoliła mu się uściskać i ucałować, a potem jeszcze przekazać Leonidowi, który także ją uściskał i ucałował, aż wreszcie wyrwała im się, odwróciła na pięcie i nie mówiąc ani słowa, pobiegła do łazienki.

Jadąc do domu podmiejską kolejką Sara siedziała pomiędzy mężem i bratem, z głową złożoną na ramieniu Leonida, czując na swej dłoni delikatny uścisk Bena i siłą woli walcząc z dzieckiem targającym jej wnętrznościami. Koła pociągu stukwały miarowo w usypiającym rytmie, toteż cała trójka milczała, oddając się własnym rozmyśleniom. Sara wpatrywała się w mdłobrazowe obicie fotela przed nią i próbowała przywołać wspomnienie obrazu, gdy ten jeszcze wisiał na ścianie domu rodzinnego. Z przerażeniem skonstatowała, że jej wspomnienia zmieniły barwy, że całe wcześniejsze życie u boku matki i ojca zostało sprowadzone do wyblakłych brązów i błękitów, nagle nierzeczywiste, jak gdyby nigdy nie miało miejsca... Wszystko co jej pozostało i co kochała na tym świecie, znajdowało się w tym pociągu, obok niej. Przytulona do Leonida kątem oka widziała, jak zapatrzone w przestrzeń Ben toczy wewnętrzną walkę, co poznawała po jego ściągniętych brwiach i drgającym mięśniu szczęki. Tym razem nie była w stanie mu pomóc, toteż poddała się ogarniającej ją senności.

Śniło jej się, że przemierza krajobraz wypełniony nie materialnymi obiektami, lecz barwami, i to barwami w najczystszej postaci: nie zwykłą czerwień, zielenią, żółcią i błękitem, ale kolorami, jakich nigdy dotąd nie widziała. Kiedy Leonid ją zbudził, przez ułamek sekundy była na niego zła, że wyrwał ją z krainy tak niewyobrażalnego piękna. Później, gdy już znalazła się w łóżku, bezpieczna w objęciach męża, podobnie jak bezpieczne w jej objęciach było ich dziecko, próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądały kolory, o których wcześniej śniła, bezskutecznie jednak, gdyż nie sposób o nich myśleć czy choćby wyobrażać je sobie, nie będąc w raj.

313

## Rozdział Siedemnasty.

Mimo że Borys Kulbak jako chłopiec trafnie odgadł, który z mężczyzn poznanych w Małachówce przetrwa wichry historii, a który zostanie przez nie złamany, trzydzieści lat później zdumiało go, iż miał rację: Chagall żył, podczas gdy Der Nister zniknął z oblicza ziemi.

Borys skończył w Małachówce szkołę, po czym opuścił kolonię dla sierot i przeniósł się do Moskwy, by rozpocząć dorosłe życie. W miarę upływu lat wpadały mu w ręce kolejne opowieści Der Nistera, które czytał - czasami nawet dwa lub trzy razy, takie były dziwaczne i pokręcone - próbując dociec, o co w nich chodzi, a potem jeszcze długo o nich rozmyślając, gdyż w niepokojący sposób nie potrafił się od nich uwolnić na długo po tym, jak już skończył lekturę. Tuż po ślubie - a ściśle mówiąc: po drugim ślubie, gdyż jego pierwsze małżeństwo przetrwało niecały rok za sprawą oblubienicy, która najzwyczajniej w świecie porzuciła go którejś nocy, tak że pewnego dnia obudził się w małżeńskim łóżku sam - tak więc tuż po ślubie wyszperał gdzieś czy dostał od kogoś opowieść Der Nistera zupełnie inną od wszystkiego, co przeczytał wcześniej. Była to trylogia, z której do tamtej pory ukazały się drukiem tylko dwa pierwsze tomy, zatytułowana „Kryzys rodzinny”. Uważny czytelnik w Borysie nie ominął dedykacji drugiego tomu:

314

Pamięci mego dziecka,  
tragicznie zmarłej ukochanej Hodele,  
urodzonej w lipcu 1913 roku w Żytomierzu,  
ofierze oblężenia Leningradu,  
która opuściła ten świat na wiosnę 1942 roku.  
Niech złamane ojcowskie serce będzie  
kamieniem nagrobnym  
na Twym bezimiennym grobie.

Książka wydała się Borysowi inna od pozostałych, a nawet dziwniejsza od nich wszystkich razem wziętych, ponieważ była taka normalna. Nie było w niej aniołów ani demonów, ani nawiedzonych przedmiotów; była w stu procentach realistyczna. Jak gdyby Chagall nagle przestał malować swoje barwne, unoszące się w powietrzu postaci i zaczął przykładać się do szczegółu jak, dajmy na to, Vermeer. Mimo to lektura Borysa wciągnęła; dosłownie pochłonął oba tomy i umierał z ciekawości, jak powieść się skończy, lecz nie udało mu się natrafić na ostatnią część. W roku 1951 pseudonim Pinie Kahanowicza - Der Nister, Ukryty - był bardziej adekwatny niż kiedykolwiek: od 1949 nikt nie słyszał o nim ani o jego nowych utworach.

Zresztą nie on jeden rozplynął się w siennej mgłę. Szlojme Michoels, dyrektor Teatru Żydowskiego, tak hojnie udekorowanego przez Chagalla, został potrącony w wypadku drogowym na tyle nieszczęśliwie, że wkrótce potem zmarł, i być może jego nagła śmierć nie wydałaby się nikomu z lekka podejrzana, gdyby nie to, że aktor, który zastąpił go na stanowisku, parę miesięcy później także zniknął, brutalnie aresztowany. Taki sam los spotkał Dowida Hofszejna i Icyka Fefera. Żadne z tych nazwisk nie było obce Borysowi - Fefer przez krótki czas uczył go literatury w Małachówce, a zarówno on, jak i Hofszejn byli autorami patriotycznych wierszy, których zbiorki wieńczyły ilustracje Chagalla - toteż gdy pogłoski o tajemniczych zniknięciach zataczały coraz szersze koła, wywoływały u niego zrozumiałe zainteresowanie, zwłaszcza że przed paroma laty - bodaj w 1943 roku - otrzymał dziwny list napisany w jidysz.

315

Szanowny Towarzyszu!

Wybaczenie mało osobisty ton tego listu. Wasz adres uzyskałem z archiwów kolonii dla żydowskich sierot wojennych w Małachówce, której szkoły jesteście absolwentem, i piszę do Was w nadziei, że Wasze przeżycia, wychowanie i patriotyzm skłonią Was, byście podali swą pomocną dłoń w walce z faszystowskim najeźdźcą. Aczkolwiek przekroczyliście już wiek, w którym moglibyście zasilić szeregi Armii Czerwonej, z pewnością zdajecie sobie sprawę, iż do wygranej można przyczynić się na wiele sposobów.

Nie wątpię, że jako bezpośrednia ofiara pogromów sprzed dwudziestu lat jesteście w pełni świadomi położenia naszych braci, którzy wbrew własnej woli znaleźli się pod faszystowską

okupacją. Choć informacje o szykanach i aktach okrucieństwa, jakie ich spotykają z rąk nazistów, docierają do nas mocno okrojone i nie są nagłaśniane, na pewno doszło Waszych uszu to i owo o losie naszych żydowskich towarzyszy. Zapewniam Was, że cokolwiek słyszeliście, nie było ani o jotę wyolbrzymione, wręcz przeciwnie. Ci z nas, których rodziny i krewni pozostają pod okupacją, wiedzą aż nazbyt dobrze, co tam się naprawdę dzieje. A prawda jest taka, że nie poszczególne jednostki, ale całe żydowskie społeczności są wycinane w pień!

Dlatego zwracam się do Was z apelem, byście dołączyli do Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego działającego pod egidą Radzieckiego Biura Śledczego i mającego na celu budowanie poparcia dla idei stłamszenia faszystowskiej zarazy. Osobiście, wraz ze znanym poetą Icykiem Feferem, odbyłem podróż do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie zostaliśmy bardzo gorąco przyjęci na wiecu Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego zorganizowanym w Nowym Jorku. Przybyło tam ponad pięćdziesiąt tysięcy naszych zwolenników. Jednakże to wciąż za mało i czeka nas jeszcze mnóstwo pracy!

Towarzyszu! Doświadczyliscie agresji na własnej skórze i niewątpliwie jesteście świadomi, że my, Żydzi, nigdy nie przestaniemy być traktowani brutalnie, jeśli sami nie zaczniemy się

316

bronić. To nic, że jesteście za starzy, by wziąć w dłoń karabin. Wzywam Was do walki Waszym sercem!

Z wyrazami poważania.

Tow. Szlojme Michoels

Żydowski Komitet Antyfaszystowski.

Poniżej ciągnęła się długa lista nazwisk, pośród których Borys rozpoznał te bardziej znane - pisarzy i osób publicznych. List potraktował nader poważnie, mimo że nie został - tak jak zapewne chciałby Michoels - artystą, ba! jego umiejętność ekspresji bez względu na środek, czy był to pędzel czy pióro, nie poprawiła się wiele od czasów Małachówki, miał za to inny talent, być może nawet przynoszący krajowi więcej pożytku w zaistniałej sytuacji, był mianowicie inżynierem. Aczkolwiek czuł się potrzebny, odczuwał także wstyd z tego powodu, że nie mógł stanąć zbrojnie w obronie ojczyzny, i bardzo ucieszyła go możliwość wzięcia udziału w wojnie z za biurka. Posiłkując się instrukcjami zawartymi w dalszej części listu Michoelsa oraz wykorzystując załączone szablony, sporządził kilka pism, które rozesłał do żydowskich gazet i czasopism wydawanych w USA, a nawet porwał się na korespondencję z waszyngtońskimi politykami. Jako członek Związku Inżynierów Radzieckich organizował spotkania poparcia dla Żydowskiego Komitetu

Antyfaszystowskiego i zajmował się zbiórką pieniędzy, kiedy przyszły naprawdę chude lata. Długo nie miał się dowiedzieć, czy którykolwiek z jego listów został opublikowany i czy zebrane przezeń pieniądze trafiły do potrzebujących, lecz to nie studziło jego zapału. Również gdy zorientował się, że ludzie noszący nazwiska wyszczególnione u dołu listu od Michoelsa zaczęli znikać jeden po drugim wraz z innymi, o których nigdy nie słyszał, starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że coś jest nie tak. Tłumaczył sobie, że wszyscy oni byli przecież artystami i politykami, a kto żelazo kuje, ten się może sparzyć, wmawiał, że większość z pewnością bezpiecznie opuściła kraj, udając się śladem Chagalla do Francji. Dzięki temu było mu łatwiej żyć, być dobrym obywatelem i inżynierem budującym drogi i mosty, których prawomyślności nikt nie mógł zakwestionować,

317

choć w głębi duszy cały czas wiedział, że tylko się oszukuje.

Dorośli często zazdroszczą dzieciom wyobraźni, ale paradoksalnie prawda jest taka, że to nie dzieci, lecz właśnie dorośli czynią ze swej wyobraźni większy użytek. Borys dosyć wcześnie doszedł do wniosku, że prawie każda dorosła osoba kroczy przez życie zatopiona we własnych myślach, ślepa na rzeczywistość, pogrążona w fantazjach, które za nią bierze, we wspomnieniach i troskach, ignorując teraźniejszość i koncentrując się na przeszłości i przyszłości.

Wkroczywszy w dorosłość prawie natychmiast zawarł (pierwszy) związek małżeński i ku swemu zdumieniu znalazł się w całkowicie mu obcym świecie rodzin. Tu wszyscy mieli rodziców - nawet ci rodzice mieli swoich, wciąż żyjących rodziców! - życie człowieka nie rozpoczynało się w wieku jedenastu lat w grobie, lecz na stulecia, zanim się narodził, czasami nawet w domu, który przechodził z pokolenia na pokolenie od wieków. Trwał więc Borys w swym zdziwieniu, nie wierząc w to, co widzi, nie wierząc, że to prawda, i nie wierząc w miłość; a kiedy to wszystko za sprawą jego pierwszej żony faktycznie okazało się ułudą, ocaliła go Tatiana - ładna Żydówka, również świeżo po rozwodzie. Z wykształcenia była biologiem, toteż nic dziwnego, że kiedy zaszła z nim w ciążę, upierała się, by jej stan odmienny traktowali jak naturalny proces: podział komórek, różnicowanie tychże komórek w tkanki, tworzenie z tkanek organizmu, powstawanie nowego życia, a nie jak coś zdumiewającego i fascynującego, co miało odmienić ich egzystencję, jak chętnie postrzegałby to Borys, gdyby tylko dostał cię szansy. Z drugiej strony bez oporów poddał się tej mechanicystycznej filozofii, czerpiąc spokój z przekonania żony, że ciąża to nic niezwykłego. Dziecko wszakże - o, dziecko okazało się nie tylko jak najbardziej rzeczywiste, namacalne, ale do tego absolutnie niezwykle i niestety chwilami przyprawiające o obłęd. Mając pięć lat Raisa była mała jak na swój wiek, miała niewiarygodnie smoliste gładkie włosy i oczy czarne jak węgielki, a do tego widywała rzeczy, których nikt inny nie umiał dostrzec.

318

Wystarczyło, że Borys jechał z nią pociągiem albo spacerował po parku, a boleśnie przekonywał się o istnieniu nieprzezroczystej kurtyny, którą przez długie lata tkął, a która teraz odgradzała go od prawdziwego świata, przesłaniając znaczną część każdego widoku i każdej chwili błahymi wspomnieniami i nieważnymi troskami, tak że nie widział tego, co miał przed oczyma. Dla niego park był szary i brzydki, z udeptanym błotem w miejsce trawy i drzewami straszącymi gołymi gałęziami przez większość miesięcy w roku. Jego córce nawet błoto jawiło się jako ósmy cud świata - z życiem rojącym się pod i nad powierzchnią, w które mogła ingerować, budując z patyczków drogi i mosty dla mrówek i zuczków, pomagając odnaleźć właściwą trasę ślepej dżdżownicy albo - w zależności od nastroju - powodując katastrofę na miarę Armagedonu, kiedy zdejmowała buty i taplała się w mazi piszcząc z uciechy. Dla Borysa kuchnia ich komunalki to był czysty koszmar, który przyprawiał jego i Tatianę o siwe włosy, kiedy czekali, aż zwołni się palnik na kuchence, zastanawiając się przy tym po cichu, kto z lokatorów jest szpiclem (było powszechnie wiadomo, że każde mieszkanie komunalne ma przynajmniej jednego); według nich najbardziej do tej roli pasował Siemion, staruszek noszący tupecik, chociaż ani moda męska, ani polityka nie były problemami spędzającymi im sen z powiek. Dla Raisy kuchnia stanowiła centrum jej świata, szkołę życia i teatr w jednym - to tam jej niewielka rodzina powiększała się o dziesięć osób, to tam poznawała zasady gospodarki rynkowej, to tam była świadkiem pierwszych dostrzeżonych intryg i zdrad, a sterty nie umytych talerzy, przypalone garnki i połamane krzesła stanowiły scenerię. Dla ojca pociąg był miejscem, w którym udawało się, że się śpi, a w rzeczywistości oddawało się smętnym rozmyślaniom, przywołując w pamięci przeszłe niemiłe przejażdżki i przewidując przyszłe, jeszcze mniej miłe, kiedy to na przykład będzie musiał zaciskać zęby i uśmiechać się uprzejmie do wariatki teściowej, która czerpie radość z obrzucania mięsem własnej córki. Dla kilkuletniego dziecka pociąg to miejsce, gdzie każdy nieznajomy ma brodę innego koloru, gdzie można znaleźć bilety, z których ułożyłoby się mapę całego ZSRR, wreszcie gdzie panuje istna

wieża

319

Babel, a słowa w języku polskim, ukraińskim i uzbeckim krzyżują się w powietrzu... Raisa i Borys byli połączeni niewidzialną pępowiną, którą przepływała krew z jego do jej ciała, czyniąc go coraz bardziej bladym i wysuszonym, podczas gdy dziewczynka nabierała rumieńców, a pod jej skórą wesóło pulsowały niebieskawe żyłki. Borys Kulbak po raz pierwszy w życiu zakochał się bez pamięci.

Któregoś dnia na wiosnę w mieszkaniu poniżej pojawili się Irina i Siergiej Popowowie. Raisa

niemal natychmiast zaprzyjaźniła się z ich pięcioletnim synkiem Tolą - miłym rudym grubaskiem, który w pierwszych dniach po przeprowadzce snuł się po klatce schodowej niczym potępiona dusza. Dzieci bawiły się zgodnie, najczęściej na korytarzu, by nie zawracać starszym głowy, ale rodzice chłopca poczuli się w obowiązku nawiązać kontakty towarzyskie z sąsiadami z góry. Wołając Tolę do domu, poprosili Raisę, by przyszła kiedyś z mamą i tatą. Tatiana nie miała głowy do sąsiedzkich wizyt - praca w laboratorium pochłaniała ją całkowicie, ostatnio do tego stopnia, że wracała do domu grubo po północy - ale Borys chętnie skorzystał z zaproszenia.

Ledwie zapukał do drzwi piętro niżej, te otworzyły się szeroko i para gospodarzy jęła go wylewnie witać, jakby był starym i dobrym znajomym - nie obeszło się przy tym bez krępujących uścisków na niedźwiedzia i pocałunków z dubeltówki. Kiedy wreszcie mógł się im lepiej przyjrzeć, zauważył, że Irina jest drobną rudą kobietką o łagodnym uśmiechu, i od razu ogarnęła go ulga, że przyszedł sam: znając Tatianę był niemal pewien, że zjadłaby tę szarą myszkę, nim ta zdążyłaby pisnąć. Siergiej był dla odmiany wysoki i potężny, w barach szeroki jak zapaśnik, śmiał się głośno i zaraźliwie. Kobieta zajęła się dziećmi, wyciągając dla nich pudło z zabawkami i przygotowując kanapki, a mężczyzna poprowadził Borysa do stołu, usadził go i zaczął pogawędkę.

- Jak tylko usłyszeliśmy od małej Raiski, że mieszkacie tuż nad nami, po prostu musieliśmy was zaprosić... - Mówiąc używał nie tylko gardła i warg, ale i swej okazałej klatki piersiowej, tak że Borys poczuł się przytłoczony jego bliskością. - Z początku bardzo się martwiliśmy, że w kamienicy nie ma

320

prawie dzieci, ale kiedy Tola i wasza córka tak się ze sobą zaprzyjaźnili, kamień spadł nam z serca.

- My też się bardzo cieszymy - powiedział słabo Borys, żałując nagle, że Tatiana zostawiła go na lodzie i sam musi sobie radzić z tą górą mięsa. - Od dawna tu mieszkacie?

- rozejrzał się dookoła.

- Och, od lat - odparł Siergiej i zapytał retorycznie:

- Nie ma to jak w domu, prawda? Mamy to mieszkanie od zaraz po wojnie... Byliśmy pierwsi, rozumiesz... - uśmiechnął się na poły przepraszająco, na poły wyzywająco, zataczając ręką koło.

Borys zdążył się już zorientować, że mieszkanie - dokładnie takie samo jak to, w którym mieszkał on, jego żona i córka oraz trzy inne małżeństwa i jeden samotny mężczyzna, domniemany szpicel w tupeciku - Irina, Siergiej i mały Tola mieli wyłącznie dla siebie. Ściany pokryte były tapetą i zawieszane oprawnymi zdjęciami i medalami, tu i ówdzie zdarzył się jakiś obraz. Wyglądało na to, że Siergiej nie ma problemów z władzą radziecką. Każdy inny poczułby się na miejscu Borysa nieswojo, ale on był dumny ze swego patriotyzmu, wkładu w zwycięstwo i odbudowę kraju, toteż nie bał się byle kogo.

- Jaka szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej - rzekł niemal szczerze. - Czy to nie dziwne, że spotykamy się dopiero teraz?

- Wcale nie - odparł nonszalancko Siergiej - to duża kamienica, trudno tu wszystkim znać. Na pewno nie masz czasu przyglądać się przez okno, kto wchodzi i wychodzi...

- Borys miał znacznie więcej czasu niż jego wiecznie zapracowana żona, ale nie sprostował wypowiedzi sąsiada, gdyż pochlebiło mu, że ma o nim takie dobre zdanie. Już w Małachówce przekonał się, że najbezpieczniej jest sprawiać wrażenie bardzo zajętego i pożytecznego dla ogółu. - A propos, w jakiej branży pracujesz?

- Jestem inżynierem - rzekł Borys z dumą.

- Takim od oczyszczalni ścieków?

Coś w uśmiechu czy raczej grymasie Siergieja powiedziało mu, że sąsiad nie ceni wysoko tej akurat branży. Sam Borys

321

nie miał nic przeciwko niej - tuż po wojnie otrzymał za zadanie zaprojektować nowy system odprowadzania ścieków, gdyż ten stary był nie dość że niewydolny, to na dodatek niemal w całości zniszczony przez działania wojenne, i sprawiło mu to nieliczną satysfakcję - brał udział w zmywaniu



brudów przeszłości naniesionych przez faszyzm. Do tego właśnie wtedy zaczął umawiać się z Tatianą i nic nie potrafiłoby mu zepsuć humoru: każdy ranek niósł nowe możliwości, każdy wieczór przynosił spełnienie. Bardzo miło wspominał tamte czasy. Teraz jednak powiedział:

- Obecnie zajmuję się przede wszystkim projektowaniem dróg i mostów.

- Tak... - Siergiej poskubał się po brodzie. - Miasto zmienia się z dnia na dzień, prawda? Dorastałeś tutaj, w Moskwie?

- Nie, ale całkiem niedaleko: w Małachówce. Siergiej zmarszczył brwi.

- Pochodzisz ze wsi?

Borys odchrząknął. Zdarzało mu się kłamać na temat swej przeszłości i na ogół nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, zwłaszcza że prawdę zatajał przed zupełnie obcymi ludźmi, których jego życie nie miało prawa interesować, ale ten człowiek był ojcem chłopca, z którym zaprzyjaźniła się Raisa. Widok bawiących się dzieci zmiękczył go, z rozczeniem przyglądał się, jak z zafrasowanymi minami rysują coś kredą na małej, zabawkowej tablicy w drugim rogu pokoju. Iriny nigdzie nie dostrzegali. Musiała utknąć w kuchni, pomyślał i podjąwszy decyzję, powiedział szeptem, tak by dzieci nie usłyszały:

- W Małachówce mieszkałem w sierocińcu.

Nieoczekiwanie dla Borysa Siergiej nachylił się nad stołem i położył mu dłoń na ramieniu. Z bliska wydawał się brzydszy niż w istocie - z rzadkimi ciemnymi włosami, nabrzmiałą szyją i za szerokimi ustami był jednak zdaniem Borysa niegroźny.

- Mój ojciec zginął w dwudziestym, bijąc się z Polakami - Siergiej nadal przygniatał Borysa do krzesła - nigdy go nie poznałem, urodziłem się parę miesięcy później.

322

Obaj mężczyźni milczeli przez siedem sekund. Borys zdążył pomyśleć, że całe życie człowieka sprowadza się do zbierania odłamków przeszłości, której się nawet nie znało, a potem rozległ się perlisty śmiech Raisy, który nie raz przywołał na twarz nawet najbardziej zatroskanego obcego człowieka łagodny uśmiech. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Siergiej uśmiecha się doń przyjaźnie. Mogę mu zaufać, uznał w duchu Borys i w przypływie naglej odwagi zapytał:

- A czym ty się zajmujesz, że stać cię na takie wspaniałe obrazy?

Właściwie chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Siergieju, ale gdy zadawszy pytanie przyjrzał się dokładniej obrazom, zrozumiał, iż kolekcja faktycznie jest imponująca. Z daleka wydawało mu się, że to reprodukcje, ale kiedy podszedł bliżej, przekonał się, że wszystko to oryginały, olej na płótnie, niektóre naprawdę stare.

- Och, to tylko kopie - Siergiej zbył machnięciem ręki zainteresowanie Borysa - oboje z żoną pracujemy w muzeum.

Na kierowniczych stanowiskach, dodał w myślach Borys, sądząc po mieszkaniu i obrazach. Pod koniec spotkania na stole pojawiła się wódka. Zaczęli od toastu za partię i dzieci, a potem już poszło. Po którymś z kolei kieliszku Borysowi rozwiązał się język, opowiadał o Raisie, o Tatianie, o nowym szefie w biurze projektów... Siergiej cały czas uśmiechał się zachęcająco i śmiał tubalnie, kiedy usłyszał jakiś dowcip. Przerzucali się opowieściami, aż nagle mówił tylko Siergiej - o swym udziale w wojnie. Skończywszy się przechwalać, zapytał Borysa, gdzie on walczył. Wtedy zapadła krępująca cisza. Borysa ogarnął wstyd za to, że jest taki stary, za to, że przez minione dziesięć lat życia tak niewiele osiągnął, za to wreszcie, że ma za młodą żonę i za małe dziecko jak na swój wiek. Bojąc się, że może źle wypaść w oczach nowo zyskanego przyjaciela, zaserwował mu upiększoną opowieść o swym udziale w akcjach Komitetu Antyfaszystowskiego, zatajając przy tym, że był to Żydowski Komitet Antyfaszystowski. Z jakiegoś powodu wydawało mu się to nieistotne.

323

- Dobrze się bawiłaś z Tolą? - zapytał córkę, kiedy pięli się po schodach do swego mieszkania.

Klatka schodowa była kiepsko oświetlona, toteż dla bezpieczeństwa musieli trzymać się chropawej żelaznej poręczy; w powietrzu unosił się ostry zapach środka odkażającego, który przywodził

Borysowi na myśl infirmerię w Małachówce i na przekór jego woli przypominał, jak wrzeszczącego i drżącego z przerażenia próbowała okiełznać ciężarna kobieta nie będąca jego matką, ku jego zgrozie zdejmująca zeń ubranie i próbująca ogolić mu głowę. Wyłowił z półmroku sylwetkę Raisy, wesoło podskakującej na brudnych stopniach, i poczuł, że na piersi zaciska mu się stalowe imadło. Gdyby mógł, ująłby ją całą w dłonie, by chronić przed światem, dziewczynka była już jednak zbyt duża, nawet by wziąć ją na ręce, toteż tylko położył jej dłoń na głowie. Raczej wyczuł, niż zobaczył, że w odpowiedzi na jego pytanie przytakuje z entuzjazmem, równocześnie starając się wyswobodzić.

- Opowiadałam Toli historyjki - powiedziała z dumą. - Nieomal umarł ze śmiechu...

Raisa paplała, co jej ślina na język przyniosła, a on, wciąż mając przed oczyma swoją córkę i syna sąsiadów, bawiących się zgodnie i na śmieszny dziecięcy sposób mających się ku sobie, pomyślał o Tatianie. Oni także bardzo się niegdyś lubili, jednakże obecnie ich przyjaźń zdawała się należeć do przeszłości. Naskakiwał na nią, ilekroć wracała z pracy o jakiejś niehumanitarnej porze, co powodowało, że stosunki między nimi jeszcze bardziej się pogarszały. Minionego dnia na przykład Tatiana pokazała się w domu dopiero o drugiej w nocy i Borysowi puściły nerwy: warczał na nią, czyniąc jej wymówki, a od krzyku powstrzymywała go tylko myśl o śpiącej smacznie Raisie. Tatiana wyjątkowo trzymała nerwy na wodzy, tak że uniknęły pyskówki, ale zamiast tego szlochała mu w rękaw, wyrzucając z siebie żale, jak to mało czasu ostatnio ze sobą spędzają, jaka okropna atmosfera panuje w jej pracy, że czuje się raczej więźniem niż pracownikiem i że przede wszystkim nie może pogodzić się z tym, że jej córka dorasta praktycznie bez matki. Twarz miała przy tym faktycznie poszarzałą ze

324

zmęczenia, oczy zaczerwienione od ślęczenia nad mikroskopem i od łez, które wydawały się szczere, ale równie dobrze mogły być udawane, a ona nadgodziny mogła wyrabiać nie w laboratorium, lecz u kochanka, podobnie jak czyniła to pierwsza żona Borysa, podczas gdy on niczego się nawet nie domyślał. Tulił Tatianę mechanicznie, poklepując ją uspokajająco po plecach i spoglądając w sufit, ponad którym musiało rozpościerać się rozgwieżdżone niebo, jedyny towarzysz i świadek jego czarnych godzin, kiedy to opuszczony tkwił w odmęcie własnych myśli. Im dłużej rozmyślał w chwilach samotności, tym większego nabierał przekonania, że nie może ufać nikomu z wyjątkiem Raisy.

Kiedy stanęli pod drzwiami, mała zarzuciła go kolejnymi rewelacjami.

- Tola mówi, że chce poznać inne dzieci.... - Borys zawstydził się, że nie słuchał jej na schodach, pozwalając, by nieprzezroczysty mroczny welon znów przesłonił mu oczy, markując prawdziwe życie - ...bo dopiero się tutaj wprowadził i nikogo nie zna... Mówi, że nie znosi przeprowadzać się z miejsca w miejsce.

- Tola zmyśla, skarbie - rzekł Borys, głaszcząc ją po głowie. Jak to możliwe, dumął, że moja córka ma jedwab zamiast włosów? - Jego tata powiedział mi, że mieszkają tutaj od lat, nawet dłużej niż my.

- Ale Tola twierdzi, że bawi się tylko ze mną.

- No tak... I ty także bawisz się tylko z nim, a mieszkamy tu już od dawna, prawda?

- Nieprawda! - zaprzeczyła z pasją dziewczynka, okręcając sobie wokół palca jedwabisty lok i kładąc ojcu zdziwić się, że tyle dookoła niego piękna, a on go prawie nigdy nie zauważa. - Bawię się jeszcze z Baszą z końca korytarza!

- Oczywiście, skarbie, jak mogłem zapomnieć o Baszy! Zaczął szukać po kieszeniach klucza, łudząc się, że choć

tego jednego dnia Tatiana wróciła z pracy o normalnej porze, mimo że w głębi duszy doskonale wiedział, że to mało prawdopodobne. Znowu zaczęło go gryźć, czy to na pewno praca jest powodem jej późnych powrotów do domu czy może co innego... Czy powinien ją o to zapytać, czy też lepiej dać spokój

325

i zostawić wszystko tak, jak jest?... Z zamyślenia znowu wyrwał go dźwięczny głosik Raisy.  
- Ale ja nienawidzę Baszy! -informowała go, jednocześnie wystawiając język w stronę drzwi ukrytych w głębi korytarza.

Borys nareszcie znalazł klucz.

- Raiso, nie wolno nienawidzić ludzi - powiedział otwierając drzwi. Jęknęły zawiasy i coś w jego duszy. Czy ja naprawdę tak myślę, zdziwił się, czy tylko powtarzam słowa Tatiany?

- Dlaczego nie? - spytała rezolutnie Raisa i wbiegła do mieszkania.

Borys popatrzył za nią i uświadomił sobie, że nie ma na to pytanie zadowalającej odpowiedzi. Na szczęście dziewczynka natychmiast pognęła do swego kącika - maleńkiego pokoju wyodrębnionego z przydzielonego im pomieszczenia za pomocą regału z książkami - i zajęła się swoimi sprawami. Nazajutrz, wciąż zastanawiając się nad pytaniem Raisy, Borys wykorzystał moment, kiedy dziewczynka bawiła się na klatce schodowej, i zdjął ze ściany obraz, który przed laty otrzymał od nauczyciela plastyki, po czym ostrożnie wyciągnął go z ramy, upewnił się, że opowiadanie Der Nistera tkwi bezpiecznie pomiędzy płótnem i sklejką, i wsunął obraz wraz z ukrytym w nim tekstem pomiędzy książeczki córki. Siergiej Popow i jego żona pracowali w muzeum, a ostrożności nigdy za wiele...

Borys, który już od dawna był dotkliwie świadom, że jest o wiele mniej użyteczny dla kraju niż jego żona, miał coraz mniej pracy. Główny inżynier z niewyjaśnionego powodu omijał go przy wyznaczaniu zadań, tłumacząc się, że nastąpił zastój w budownictwie i właściwie wszyscy w biurze się nudzą, co wydało się Borysowi dziwne, gdyż nie raz słyszał, jak jego koledzy narzekają, że są zawaleni robotą. Do tego doszła redukcja płac, którą Borys przyjął ze stoickim spokojem, uważając, iż dotyczy ona wszystkich projektantów - zresztą głupio było mu zapytać o przyczynę, bo mógł wyjść na wyzyskiwacza albo co gorsza kapitalistę. Zaczął więc przychodzić do domu wcześniej, chcąc uniknąć niemiłosiernie się dłużeń godzin

326

przy pustej desce kreślarskiej. Mniej więcej w tym samym czasie Tatiana zaczęła zostawać w pracy jeszcze dłużej niż zwykle, tak że Borys i Raisa z wdzięcznością witali każde zaproszenie Popowa. U sąsiadów z dołu było więcej przestrzeni i mniej ludzi, a to oznaczało idealne warunki do zabawy dla dziecka i Borys nie chciał przepuścić takiej okazji. Świetlica, do której Raisa uczęszczała, kiedy oboje rodzice byli w pracy, zbytnio przypominała Borysowi szkołę w Małachówce: za nic nie chciał, by jego córka wychowywała się w takim miejscu. Poza tym szczerze polubił Siergieja (zresztą nawet gdyby go nie lubił, miło by mu było otworzyć gębę do kogoś dorosłego), a Raisa zdawała się przepadać za Tolą i jego zabawkami, którzy to nie stracili dla niej jeszcze posmaku nowości.

Borysa z kolei fascynowały zabawki starego Popowa. Sądząc po imponującej kolekcji obrazów oraz rzędach medali, pracownikowi muzeum (niewątpliwie bliżej mu było do kierownika niż zwykłego urzędnika) i byłemu żołnierzowi (bez dwóch zdań bitnemu i dzielnemu, o czym świadczyły różnobarwne wstążki odznaczeniowe) już na pierwszy rzut oka powodziło się po stokroć lepiej niż przeciętnemu inżynierowi, co to nawet nie odsłużył swego w Armii Czerwonej. I choć na logikę biorąc Borys powinien był być dumny, że jego kraj docenia walczących o wolność i oddających swe siły na rzecz sztuki, to przede wszystkim niezmiernie go bolała przepaść w poziomie życia między jego rodziną a rodziną sąsiada z dołu. Po pierwsze, Popowowie mieli mieszkanie tylko dla siebie - niewyobrażalnie komfortowe i zapewniające prywatność trzy całkiem spore pokoje, z których jeden w całości przeznaczony był dla Toli, tak że dzieciak nie musiał wysłuchiwać kłótni rodziców, jeśli takowe się tutaj w ogóle zdarzały, a do tego łazienka i kuchnia do wyłącznego użytku. Po drugie, wszystkiego mieli pełno - w serwantce stały kryształowe karafki z przednimi trunkami, którymi Siergiej szczerze dzielił się z Borysem, w porcelanowych miseczkach leżały cukierki, na których widok Raisa śliniła się już z chwilą wejścia do salonu i którymi czasem była częstowana, w kuchni kryła się elektryczna lodówka (taka, która wymagała dostarczania do niej lodu, była dobra dla plebsu) zawierająca

327

w przepastnym wnętrzu istny róg obfitości: butelki mleka karnie ustawione na dolnej półce niczym batalion żołnierzy, piętrzące się hałdy owoców i warzyw, mięs i ryb tylko czekających, by wjechać do piekarnika gazowej kuchni i wyjechać z niego w postaci aromatycznych potraw, na których każde dziecko rosłoby jak na drożdżach... Borysowi marzyło się, głównie ze względu na Raisę, by zostali tu kiedyś na kolacji, ale jak dotąd nie dostąpili jeszcze tego zaszczytu. Po trzecie, Popowowie mieli zatrzęsienie obrazów, w których Borys podejrzewał bynajmniej nie nad wyraz udane kopie... Mimo to postanowił grać według reguł narzuconych przez Siergieja.

- Te kopie są ładząco podobne do oryginałów - rzekł kiedyś, stojąc przed parą obrazów z kieliszkiem wódki w ręce i czując, jak już wypity alkohol przepelnia go odwagą. Uśmiechnął się przy tym, aby nie wydać się gospodarzowi nazbyt podejrzliwym.

Jak zwykle byli w salonie sami; Irina poszła dokądś, chyba spotkać się z przyjaciółmi, a dzieci pobiegły do małego pokoju, dzierząc farbki i brystol.

Siergiej roześmiał się chrapliwie.

- To dlatego, że malowali je zawodowi kopiści - wyjaśnił.

- Jak to: zawodowi kopiści? - zdziwił się Borys.

Nagle poczuł, jak rzeczywistość wokół niego gęstnieje, przybiera postać mroku, czarnej zasłony przesłaniającej mu oczy, tak że realniejsze od właśnie przeżywanej chwili stały się jego wspomnienia i zmartwienia. Kiedy spojrzął w stronę Siergieja, zobaczył pustkę, nie wiedział już, czy obrazy, które ma naprzeciw siebie, są prawdziwe czy też to cienie przeszłości.

- No bo widzisz, to jest tak... W muzeum oficjalnie jestem gryziptórkiem jak dziesiątki innych, ale nieoficjalnie zajmuję się czymś innym. Z wojska wyniosłem spore doświadczenie w pewnej delikatnej dziedzinie... no, tobie chyba mogę to powiedzieć... podrabiania dokumentów dla naszych szpiegów. Dzięki temu stałem się ekspertem, jeśli chodzi o kopie: wiem, jak sprawić, by coś co oryginałem nie jest, wyglądało autentycznie. I jak to rozpoznać. Mam do tego oko, można by rzec...

328

- Cieszę się, że możesz wykorzystywać swój talent także w cywilu - mruknął zza zasłony Borys, próbując sprawiać wrażenie wciąż obecnego nie tylko ciałem, ale i duchem. Ilekroć Siergiej wspominał o wojnie, Borys czuł się starszy i mniej użyteczny, jak gdyby podczas takiej rozmowy faktycznie przybywało mu lat, a ubywało włosów.

- Zdziwiłbyś się, jak bardzo ktoś taki jak ja jest w muzeum potrzebny! - ożywił się Siergiej, mile polecthany komplementem. - Zastraszająca liczba obrazów, które trafiają w nasze ręce, jest podróbkami! Na szczęście znam parę łatwych sposobów, by je od razu rozpoznać... Wystarczy, że na przykład odwrócę obraz do góry nogami. Kopia będzie wyglądać nienaturalnie... Tyle że zawodowcy o tym również doskonale wiedzą.

- Zawodowcy?

- Tak - Siergiej pokiwał głową i konfidencko nachylił się ku Borysowi - mało kto wie, że istnieją zawodowi kopiści dzieł sztuki. Wraz z wygraną wojną do kraju spłynęło mnóstwo obrazów, rzeźb i tak dalej, ale niestety rynek zanieczyszcza opoortuniści, którzy chcą uszczknąć coś dla siebie i dlatego produkują kopie. Ktoś musi odsiewać ziarno od plew, prawda? Kiepską podróbkę poznam na kilometr - przechwalał się, a Borys przelotnie się zdziwił, że w oddechu przyjaciela nie wyczuwa ostrego zapachu wódki, lecz coś jakby... mleko. - Jednakże te, które widzisz przed sobą - ciągnął - wyszły spod ręki prawdziwych mistrzów, ludzi, którzy naprawdę mają duszę artysty, a do tego nie brak im odpowiedniej wiedzy, by profesjonalnie postarzyć płótno itepe. Dlatego jestem taki dumny, że je wykryłem. Weźmy choćby tego Rembrandta... Niby taki niepozorny obrazek, a popatrz tylko. Kunszt kopisty poznać po tym, że wie, jak starego płótna użyć, potrafi gdzieś wynaleźć odpowiednio starą ramę, umie „postarzyć” farbę, której używa, no i ma rękę do pędzla. Jednym słowem, prawdziwy artysta. Ale ja mam nosa do takich rzeczy, jak już mówiłem. Poradziłem, żeby na małym kawalku, o tu, w tym rogu, pod ramą, nanieść na płótno bezpieczny rozpuszczalnik i usuwać farbę warstwa po warstwie, aż ukaże się podkład nie pasujący wiekiem do dzieł Rembrandta.

- Yhm - wykrztusił Borys, niewiele zrozumiawszy z tej przemowy.

- Tak czy owak wszystko co tu widzisz, to kopie. Zresztą z dzieckiem w domu trudno obwieszać ściany oryginałami... Przynajmniej nie dostanę zawału, jak Tola któregoś dnia postanowi upiększyć jakiś obraz szminką Iriny.

Borys roześmiał się z ulgą - lubił pogawędki na ten temat, poza tym zasłona jakby się rozwiewała.

- To niesłychane, z jaką łatwością przychodzi dzieciom niszczenie... - zauważył. - My z Tatianą drżymy na samą myśl, że Raisę prędzej czy później zainteresują gniazdka elektryczne...

- Taa... - wyszczerzył zęby Siergiej. - Ja z kolei drzę o swoje dokumenty. Gdybym nie trzymał ich w bezpiecznym miejscu, Tola jak nic by je pobazgrał. - Przyłożył dłoń do ust i konspiracyjnym szeptem dodał: - Biorąc pod uwagę niespożytą energię twojej córki, musisz robić to samo.

- O, tak - zapewnił skwapliwie Borys.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, by nie rozczarować sąsiada, ale w tej właśnie chwili do pokoju wpadły rozchichotane dzieci. Trzymając się za ręce biegły w stronę obu mężczyzn, ale Tola w ostatniej chwili zmienił zdanie i zamiast w rozpostarte ramiona ojca pognął ku Borysowi, zderzając się z nim z impetem i obłapiając go za kolana. Raisa zatrzymała się w pół kroku, lekko skonfundowana, jednakże zaraz dołączyła do głośnego śmiechu swego nowego przyjaciela, który skacząc wokół Borysa wykonywał coś w rodzaju indiańskiego tańca. Nim skończył i się uspokoił, Siergiej schylił się i wziął na ręce Raisę, unosząc ją wysoko ponad swoją głowę, tak że zdawała się szybować w powietrzu.

Wszyscy się śmiali: Tola, Siergiej, nawet Borys zachwycony, że jego córka tak dobrze się bawi, kiedy raptownie śmiech Raisy ucichł. Borys przyglądał się jej zawieszonyj pomiędzy niebem i ziemią, z włosami powiewającymi za nią falami, i na ten widok przypomniał sobie obraz, który niegdyś widział w mieszkaniu nauczyciela plastyki w Małachówce - ten przedstawiający żonę artysty powiewającą niczym flaga na wietrze. Siergiej również musiał zauważyć zmianę w nastroju dziewczynki,

330

gdyż przestał się okręcać i stanął jak wryty. Jedwabiste czarne włosy opadły jej na plecy, a ona sama zrobiła niezadowoloną minę i kategorycznie zażądała:

- Chcę na ziemię.

Siergiej roześmiał się z przymusem. W głosie Raisy czaiło się coś czarnego, złowieszczonego, coś, czego nawet dorosły mężczyzna nie mógł zignorować. Niemniej odczekał krótką chwilę, nim obniżył ją na wysokość pasa, po czym nie postawił na podłodze, lecz przekazał bezpośrednio w ręce Borysa.

- No, zabierz tego gagatka do domu - odezwał się jowialnie, raczej na użytek Iriny, która nieoczekiwanie pojawiła się w progu.

Nastąpiło szybkie pożegnanie, wymiana uścisków dłoni i całusy dzieci, i Borys wraz z przygaszoną Raisą już wędrowali na górę, do siebie.

Po tym wieczorze przyszła kolejna długa noc. Kiedy wreszcie udało mu się Raisę udobruchać, było już bardzo późno, a Tatiany ani widu, ani słyhu. Podochocony słowami Siergieja Borys przesunął materac małżeńskiego łóża i po raz pierwszy od bardzo dawna przyjrzał się papierom, które od biedy mogły uchodzić za jego „dokumenty”. Były tam fotografie, z jakichś powodów nie umieszczone przezeń w rodzinnym albumie: Borys i Tatiana w podróży poślubnej do Odessy (czy to możliwe, że kiedyś miał tak gęste włosy?), brzemienna Tatiana, koso spoglądająca na tego, kto robił zdjęcie, jego teściowa z szerokim uśmiechem na twarzy, co zakrawało na fotomontaż, jako że ani razu nie widział jej uśmiechniętej w prawdziwym życiu, Tatiana jako dziecko, nastolatka i młoda kobieta, Borys w otoczeniu związkowców i wreszcie Raisa tuż po urodzeniu, uchwycona, gdy się śmiała lub płakała, z półotwartymi ustami i wielkimi oczyma. Poza tym przeważały papiery - ich dowody osobiste (narodowość: żydowska), akt urodzenia Raisy (narodowość: żydowska), dwa

zestawy dokumentów rozwodowych, jeden akt ślubu, trzy czasopisma, w których Tatiana opublikowała swoje artykuły naukowe, brudnopisy wyników jej dawnych badań, akt nadania komunalnego prawa do lokalu wystawiony przez jakiś urząd oraz, na samym spodzie, wycinki z amerykańskich gazet, które zamieściły

331

list Borysa napisany przezeń w imieniu Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, spięte wraz z odpowiedziami od osób, które udzieliły mu poparcia. Nic więcej, co by choć odlegle przypominało medale Siergieja, Borys nie posiadał.

Wiele godzin po tym, jak odłożył „dokumenty” na swoje miejsce i nakrył je materacem, do domu wróciła Tatiana. Kochali się tamtej nocy mechanicznie, w sposób, w jaki spożywa się dary boże po długim poście - w poszukiwaniu nie przyjemności, lecz nasycenia. Po wszystkich Borys szybko odpłynął w sen. Żona nie śniła mu się już od dawna, w ogóle mało co mu się ostatnimi czasy śniło, toteż zasypiając nie mógł się spodziewać, że ledwie zamknie oczy, znajdzie się wraz z Raisą na otwartej przestrzeni - będą spacerować, potem biec trzymając się za ręce, by w końcu oderwać się od ziemi jak startujące samoloty i długo, całymi kilometrami, unosić się w powietrzu szybując nad miastem.

- Nie podoba mi się tata Toli - oznajmiła Raisa przy kolacji.

Od przeszło dwóch miesięcy niemal co wieczór udawali się z wizytą do sąsiadów z dołu, wszakże ani razu nie zostali zaproszeni na wspólny posiłek. Borys obwinił o to Irinę, która jego zdaniem poczuła się obrażona ciągłymi wymówkami Tatiany i brała odwet za impertynencję żony na Bogu ducha winnym mężczyźnie i dziecku. Borys poniekąd to rozumiał, gdyż sam miał serdecznie dość ciągłej nieobecności swojej żony w domu, a także tego że musiał jadać z córką sam. Nie chcąc tłoczyć się we wspólnej kuchni, nabrał zwyczaju przygotowywania kolacji w pokoju i podawania jej do małego stolika, przy którym kiedyś, w lepszych czasach, grywał z Tatianą w karty. Długi drewniany stół w kuchni zbytnio przywodził mu na myśl Małachówkę i przypominał ciosy, jakimi okładali go inni, silniejsi chłopcy, rozpychający się łokciami i walczący o swoje miejsce w świetle. Jednakże jego umiejętności kulinarne nie pochodziły znikąd indziej jak właśnie z Małachówki - to tam nauczył się robić smażone ziemniaki z cebulą, do których teraz w przypływie fantazji czasami dorabiał trochę surówki z czerwonej kapusty. Tego wieczoru, gdy Raisa poinformowała go

332

o swej antypatii do ojca Toli, ziemniaki mu się przypaliły. Mimo to nałożył jej kopiasty talerz, wiedząc, że i tak nie zje wszystkiego.

- Nie podoba mi się... Jest zły - upierała się dziewczynka.

- To nieładnie tak mówić, Raiso... - Borys bronił Siergieja przed córką. - Państwo Popowowie są dla nas bardzo mili.

Raisa puściła tę uwagę mimo uszu.

- Tola mówi, że jego tata przejechał kogoś ciężarówką. Celowo - podkreśliła. - Taką ma pracę.

Borys z trudem powstrzymywał irytację.

- Raiso, skarbie, Tola zmyśla. Ma wybujałą wyobraźnię. Jego tata nawet nie ma ciężarówki, oboje z Iriną pracują w muzeum.

- Ale Tola tak mi powiedział!

- Może Tola coś przekreślił? - zasugerował Borys. - Mógł przecież usłyszeć jakąś wojenną opowieść swojego taty, prawda?

Zakonotował sobie, by zapytać Siergieja, czy służył w artylerii. Tak czy inaczej jemu nie podobało się, że jego córka dorasta w świecie, w którym historie wojenne są wciąż tak świeże i nijak się mają do rzeczywistości i jej przyszęłego życia, jak również to, że jej nowy przyjaciel okłamuje ją bez zmrużenia oka.

Raisa wzruszyła ramionami i sięgnęła po szklankę z mlekiem, by popić przypalone ziemniaki, Borys zaś z rozpaczą pomyślał, że musiał rozcieńczyć to mleko wodą z kranu, żeby wystarczyło do następnej wypłaty Tatiany. Jestem inżynierem, użalał się w duchu, moja żona - biologiem, żyjemy

w przodującym kraju na świecie, a ledwie nas stać, żeby wyżywić pięcioletnie dziecko! Obserwował, jak białoszary płyn znika w idealnie wykrojonych usteczkach jego córki, i oczyma wyobraźni widział baterię butelek stojących w lodówce Sergieja - wystarczyłoby ich, by napoić całą armię takich małych wychudzonych dziewczynek. Poczul falę mdłości - na myśl o podłym smaku płynu, który pije Raisa, na myśl o swoim nieudacznictwie, na myśl o świecie, w jakim przyszło mu żyć.

333

- Moim zdaniem jak ktoś przejeżdża kogoś innego ciężarówką, to jest zły - stwierdziła Raisa.

- Masz rację - zgodził się Borys na odczepnego, dłubiąc widelcem w talerzu.

Nagle odszedł go głód. Znów zadreślał się, czy Tatiana faktycznie siedzi do późna w laboratorium czy też jest zupełnie gdzie indziej, a on wykazuje niebywałą naiwność i łatwowierność. Przyszło mu nawet do głowy, że zostawi dla niej stertę talerzy i garnków do mycia, ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu, jako że byłoby to zbyt jawne wypowiedzenie wojny.

Podniósł wzrok na Raisę; nosk miała długi i wąski po Tatianie, ale usta miękkie i pełne, po nim. Wgłębienie między górną wargą a czubkiem nosa było prawie niewidoczne - to z kolei odziedziczyła po babci, jego matce.

Dziewczynka wzięła jego zainteresowanie za sygnał, że może mówić dalej.

- Tola powiedział mi jeszcze, że jego tata musiał przejechać tamtego człowieka, bo inaczej to on przejechałby cały kraj... - wyrzucała z siebie słowa z pełną buzią i kawałek ziemniaka wylądował na stole - ...jak to możliwe? - zastanowiła się przez chwilę. - Nie można przejechać całego kraju, to by przecież zabrało straaasznie długo...

- Rejzele! - przerwał jej ostro Borys, odkładając z hałasem widelec i celowo używając jej żydowskiego imienia. Tatiana nie znosiła, gdy to robił, no ale Tatiany nie było w pobliżu. - Rejzele!

- Co? - spytała niewinnie, zajęta nadziewaniem ziemniaka umykającego jej po całym talerzu.

- Rejzele, ile razy mam ci powtarzać, że Tola to mały kłamca?

- A ja mu i tak powiedziałam, że nikt nikogo nie może przejeżdżać, nawet jeśli ten przejeżdżany zrobiłby coś naprawdę brzydkiego! - jej oświadczeniu towarzyszyło metaliczne brzęknięcie, kiedy widelec ponownie trafił w talerz zamiast w krążek ziemniaka.

Borys położył dłonie płasko na stole i wzrokiem zmusił ją, by nań spojrzała.

334

- Rejzele... Posłuchaj mnie uważnie, skarbie. Niektórzy ludzie sądzą, że wyobraźnia to wspaniała rzecz, ale ja nie chcę... słyszysz?... nie chcę, żebyś ty żyła w świecie wyobraźni tak jak Tola. Powinnaś żyć tu i teraz, postrzegać świat takim, jakim jest. Czasem to bardzo trudne, ale uwierz mi: warto zachodu. Najważniejsze bowiem to widzieć to, co istnieje naprawdę...

Raisa spuściła oczy i jednym sprawnym dziabnięciem pochwyciła niesforne jedzenie, po czym na powrót uniosła głowę i wpatrzyła się w ojca wzrokiem tak świdrującym, że aż odrzuciło go na oparcie krzesła.

- Ja widzę... wszystko - rzekła cicho, lecz dobitnie. Borys westchnął. Podobne uczucie frustracji ogarnęło go

przed kilkoma tygodniami, kiedy próbował nauczyć ją liczyć. Zarówno teraz, jak i wtedy umysł Raisy zdawał się filtrować przekazywane jej informacje i wybierać tylko te, które jej odpowiadały.

- Posprzątajmy lepiej ze stołu - polecił surowo.

Wszakże już ułamek sekundy później, kiedy Raisa ześlizgnęła się z krzesła i stała z brodą na wysokości blatu stołu, wpatrując się w niego wielkimi czarnymi oczyma, uśmiechnęła się i poderwał ją do góry. Mała aż zapiszczała z uciechy.

W ostatnich miesiącach wypracował następującą rutynę: po południu szli do sąsiadów, wracali tak późno jak się dało, jedli wspólnie kolację, po czym Raisa kładła się od razu spać. Dzięki wrażeniom z wizyty była zmęczona, prosty acz suty posiłek dodatkowo ją rozleniwił, tak że łatwo zasypiała. Borys szybko uporał się z brudnymi naczyniami, pomógł Raisie przebrać się w nocną koszulkę i

razem wcisnęli się na wąskie łóżko za regałem z książkami. Tamtego dnia czytał jej do snu książeczkę, którą Tatiana przyniosła z biblioteki. Była to ilustrowana historia kota, który na różne sposoby dręczył myszy mieszkające w jego domu - nagminnie podkradał im ser, a czasami nawet łapał jakąś biedną myszkę i zgniatał ją w potężnych łapach. Wszystko do czasu. Jak się łatwo domyślić, któregoś dnia myszy zjednoczyły się przeciwko kotu oprawcy, wywołały rewolucję i zabiły wyzyskiwacza, po czym żyły

335

długo i szczęśliwie w pokoju i braterstwie. Raisa słuchała uważnie, coraz bardziej marszcząc brwi.

- Okropna ta książka - stwierdziła, kiedy dotarł do ostatniej strony.
- Mnie też niezbyt się podobała - wyznał Borys, zatraskując okładki. Ilustracja na stronie tytułowej była wyjątkowo ohydna. - Chcesz, żebym poczytał ci coś innego?
- Nie - ziewnęła rozziewając. - Nie lubię książek. To było coś nowego.
- Dlaczego nie lubisz książek? - zapytał.
- Bo są wymyślone. Opowiedz mi jakąś prawdziwą historię - poprosiła.
- Jak to: prawdziwą? - zdziwił się.
- Prawdziwą, to znaczy taką, która naprawdę ci się przydarzyła - wytłumaczyła z anielską cierpliwością - kiedy byłeś mały.

Przymknęła oczy, czekając, aż zacznie opowiadać. Borys podziwiał jej długie i gęste rzęsy, stanowiące pieczęć na jej twarzy. Co miał córce opowiedzieć? Nie potrafił zmyślać na poczekaniu, tak jak niektórzy.

- Kiedy byłem mały... - zaczął i urwał, czując, jak żołądek mu się zaciska z powodu przypalonych ziemniaków i złych wspomnień. Nagle znalazł temat i już pewniej podjął: - Kiedy byłem mały, bardzo lubiłem malować. Jednego dnia spotkałem słynnego artystę, któremu tak się spodobał mój obrazek, że postanowił go sobie zatrzymać...

Usteczka Raisy drgnęły.

- Co było na tym obrazku? - zapytała, nie otwierając oczu.

Borys zawahał się.

- Dziecko - odparł wreszcie. - Na moim obrazku było dziecko... - Bał się, że zacznie go wypytywać o szczegóły, ale na szczęście tak się nie stało. Kontynuował więc swą opowieść. - Artysta pragnął zatrzymać mój obrazek, ale ja mu powiedziałem, że niczego mu nie dam, jeśli nie dostanę czegoś w zamian. To on dał mi ten obrazek, który jeszcze niedawno wisiał u nas na ścianie, a który teraz jest... jest gdzie indziej. Ten przedstawiający mężczyznę unoszącego się w powietrzu.

336

- Yhm - mruknęła Raisa, przewracając się na bok. Borys pogłaskał jej długie jedwabiste włosy. Chciał już pocałować ją na dobranoc, kiedy nagle otworzyła oczy i zapytała: - A czy tobie rodzice też opowiadali takie historie przed snem?

Zamarł. Nigdy nie mówił jej o swoich rodzicach, chociaż zawsze podejrzewał, że prędzej czy później o nich zapyta, i bardzo bał się tej chwili. Nawet Tatiana nie wiedziała wszystkiego - powiedział jej, że w czasie pogromu był za mały, by cokolwiek zapamiętać, i ona mu uwierzyła.

- Czasami - odparł przez ściśnięte gardło. Powieki Raisy zatrzepotały i na powrót opadły.
- Na pewno bardzo za nimi tęsknisz...

Borys wstrzymał oddech. Czyli jednak ktoś jej powiedział, że nie żyją, pomyślał. Być może Tatiana albo jej matka... Albo dzieci takie rzeczy po prostu wiedzą. Zaczął znów oddychać, odchrząknął i dopiero wtedy odpowiedział:

- Już nie muszę za nimi tęsknić... Teraz mam ciebie. Nachylił się, by ucałować na dobranoc czubek jej głowy,

lecz Raisa już spała.

Borys nie potrafił spać sam. Przewracał się z boku na bok, przez trzy godziny próbując zasnąć, wszelako nadaremno. Był w pełni rozbudzony, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Tania? - szepnął.



Musiała zapomnieć kluczy, myślał gramoląc się z łóżka, albo w obu rękach trzyma siatki. Dobrze, że już jest...

- Nie, to nie Tania - odpowiedział mu męski głos.

Nim zdążył cokolwiek zrobić, drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczyło czterech mężczyzn - staruszek Siemion, dwóch osiłków, których Borys nigdy nie widział na oczy, oraz Siergiej Popow.

- Długo się zastanawiałem, czy faktycznie masz żonę

- mówił Siergiej, podczas gdy Borys kręcił głową z niedowierzaniem, nie będąc pewnym, czy to co widzi, to jawa czy sen

- ale wygląda na to, że jednak masz. - Pokazał Borysowi zdjęcie przedstawiające jego i Tatianę na plaży Morza Czarnego, to samo, które jeszcze niedawno bezpiecznie tkwiło pod materacem. Borys zerwał się jak oparzony.

337

- Jesteś aresztowany na mocy paragrafu 64-A radzieckiego kodeksu karnego za zdradę i współdziałanie w syjonistycznym spisku mającym na celu doprowadzenie do upadku Związku Radzieckiego - poinformował go z zimną krwią Siergiej.

- W spisku? - powtórzył bezradnie Borys. Wszystkie dźwięki dochodziły do niego z oddali, a dokładniej przytłumione, jak gdyby znajdował się pod wodą.

- Tak - potwierdził Siergiej bez mrugnięcia okiem

- w spisku organizowanym przez żydowski komitet, w którym działałeś w czasie wojny, próbując wraz ze swymi amerykańskimi poplecznikami doprowadzić ZSRR do zguby.

Oszołomiony Borys nagle wszystko pojął. Im chodzi o Żydowski Komitet Antyfaszystowski! pomyślał. Siergiej tymczasem zwracał się do Siemiona:

- Mamy tu jeszcze czego szukać? Siemion w odpowiedzi potrząsnął głową.

- Wszystko już zabezpieczyłem, materiał dowodowy możemy przekazać z samego rana.

Borys wodził wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego, nie zwracając uwagi na stojących przy drzwiach osiłków.

- Dowody? - szeptał. - Jakie dowody?

- Nie ma czasu na dyskusje - uciał Siergiej, bezceremonialnie mnąc w rękę odeską fotografię Tatiany i Borysa.

- Twoja żona niebawem wróci do domu, a pewnie nie chcesz, by zobaczyła cię w takim stanie. Jeśli chcesz jej oszczędzić upokorzenia, dasz się teraz grzecznie sprowadzić na dół tym panom...

Stojący dotąd jak posągi przy drzwiach mocarze drgnęli i w zwolnionym tempie podpłynęli ku Borysowi, który chciał unieść ręce - by się bronić, a może w geście poddania - lecz z jego zamiaru nic nie wyszło, gdyż wciąż znajdował się we śnie - a może pod wodą - i jego własne ciało go nie słuchało. Jeden z osiłków złapał go za dłonie i wykręcił mu je boleśnie do tyłu, spinając kajdankami, podczas gdy drugi, wyczuwając niesprecyzowane zamiary Borysa, ustawił się z boku, tak że zablokował mu drogę ucieczki, która i tak była niemożliwa, gdyż trudno uciekać w żółwym tempie, zwłaszcza kiedy ma się skrępowane ręce, i na wszelki wypadek wolno, bardzo wolno

338

zwinął dłoń w pięść i wolno, bardzo wolno zdzielił nią Borysa między oczy.

- Zbierajmy się! - zarządził Siergiej, popatrując na zegarek.

Z pogrążonego w ciemności kąta pokoju rozległ się zastygły z przerażenia cienki głosik.

- Tatusiu?

Ślaniający się od uderzenia Borys ledwie widział sylwetkę Raisy stojącej przy regale z książkami. Przydługa koszulka nocna falami spływała u jej stóp, krępując ruchy, światło raziło ją w oczy.

Mimo to otwierała je coraz szerzej, rejestrując kolejno obecność obcych mężczyzn w mieszkaniu, widok ojca w żelaznym uścisku najpotężniejszej dwójki, rosnącą mu na czole śliwę, wreszcie znienawidzonego Siergieja Popowa.

- Tatusiu!! - rozdarła się na dobre.

Siergiej odwrócił się w jej stronę, a ona ze strachu cofnęła się aż pod ścianę.

- Raiso, twój ojciec zrobił coś bardzo brzydkiego, więc musi na jakiś czas pójść z nami. Wracaj do łóżka i zaczekaj na matkę.

Borys przełknął ślinę i starał się coś powiedzieć.

- Raiso, ja...

Umilkł, kiedy kątem oka dostrzegł powolny ruch zmierzającej ku niemu ręki. Być może jego córka widzi wszystko, tak jak mu kiedyś powiedziała, ale on nie dopuści, by zobaczyła coś takiego.

Zwiesił głowę.

Raisa tymczasem postąpiła krok do przodu i zwracając się bezpośrednio do Siergieja, drżącym głosem zapytała:

- Czy pan przejedzie moją ciężarówką?

- Wychodzimy, ale to już - rzucił Siergiej w stronę rozbawionych mężczyzn trzymających Borysa.

- Proszę, niech pan nie przejeżdża mojego taty!! - krzyczała Raisa, kiedy cała czwórka z opierającym się Borysem kierowała się ku drzwiom.

- Zamknij za nami od zewnątrz - polecił Siergiej Siemionowicz - jej matka ma klucz.

- Tatusiu, nie zostawiaj mnie!!

Co mówi się dziecku, którego już nigdy nie ma się zobaczyć? Że w życiu na każdym kroku czyha ohydna otchłań,

339

w którą łatwo wpaść? Że jedynym sposobem, by uniknąć brudu i oślizgłych stworów, jest nauczyć się latać? Że ten świat to zaledwie most wiodący do tamtego, lepszego świata i że najważniejsze to się nie bać? Borysa jak zwykle zawiodła wyobraźnia. Po raz ostatni popatrzył na swoją córkę i spierzchniętymi wargami wyszeptał to, co widział:

- Moje dziecko... - i na zawsze opuścił pokój, który przez kilka ostatnich lat był jego domem.

Tuż za drzwiami opadła ci z oczu zasłona, od dawna spowijająca świat w mroku, i znów byłeś jak dziecko. O niczym nie myślałeś, niczego nie pamiętałeś, nie próbowałeś niczego przewidywać ani sobie wyobrazić. Po prostu widziałeś to, co miałeś przed oczyma: mury, kraty, betonową posadzkę, obcęgi, pejcz, pałkę, połyskujące ostrza, drut kolczasty zagłębiający się w ciało, ciało zagłębiające się w wannę wypełnioną kwasem, iskrę elektryczną, imadło, a potem... potem przestałeś cokolwiek widzieć i tylko czułeś - swoje włosy, paznokcie, skórę, oczy, nogi, krocze... A kiedy półtora roku później nadszedł czas, żebyś także przestał czuć, żeby wszystko nareszcie się skończyło (bo wszystko się kiedyś kończy, czyż nie?), nadal o niczym nie myślałeś - ani o swojej żonie, ani o córce, ani nawet o ojcu czy matce, no, może tylko o dziecku, które dawno, bardzo dawno temu widziałeś szybujące przez skąpiany w płomieniach pokój i wylatujące za okno, o tajemnicach, które to dziecko posiadało będąc w raju w łonie matki i których jeszcze nie zdążyło zapomnieć, i o Bogu, który w ostatecznym rozrachunku nie jest pełen miłosierdzia, lecz pełen łon

- brzemienne istnieniami, które opuszcza w potrzebie

- może również zdążyłeś pomyśleć, że krew, która trysnęła z twojej piersi wprost na przód koszuli, wcale nie jest niebieska...

Ale to, co stało się później, nie jest tak naprawdę istotne; ważne jest to, co stało się wcześniej. Życie Borysa Kulbaka zakończyło się z chwilą, gdy opuścił dom, lecz co ważniejsze: w tym samym momencie - za zamkniętymi drzwiami, gdzie została pięcioletnia dziewczynka o wielkich czarnych oczach

- rozpoczęło się życie małej Rejzele, jego córki.

340

## Rozdział Osiemnasty.

Benem targały wyrzuty sumienia. Zrobił to. Z ruchliwej poczty w New Jersey wysłał kopię namalowaną przez Sarę - wysuszoną pod lampą emitującą specjalne promienie w celu „postarzenia”, udekorowaną plamami we właściwych miejscach i dla porządku maźniętą w jednym

rogu bezbarwnym lakierem do paznokci, po czym jeszcze delikatnie potraktowaną papierem ściernym i solą, jednym słowem doskonałą pod każdym względem - starannie opakowaną i opatrzoną dwiema nalepkami: z danymi adresata (Muzeum Sztuki Żydowskiej, Nowy Jork) i nadawcy (pierwsze bzdurne nazwisko i adres, jakie przyszły mu do głowy). Wiedział już, że Erika się nabrała - zresztą nie tylko ona. W gazetach zaroilo się od informacji o cudem odzyskanym obrazie, autorytety z dziedziny sztuk plastycznych prześcigały się w komentarzach, przeprowadzono liczne testy i z całą pewnością uznano, że odesłany obraz jest oryginałem. Sara i Leonid wiwatowali, Ben odwrotnie - chodził przygaszony i załamany. Wciąż czuł na skórze odcisk ust Eriki i to w niczym mu nie pomagało.

Nie mogąc spać po nocach, w myślach roztrząsał wydarzenia tamtego wieczoru, kiedy spotkali się pod muzeum i dziwną trasą dotarli do gabinetu Eriki. Oczywiście to, co sobie wyobrażał, niewiele miało wspólnego z tym, do czego naprawdę wtedy między nimi doszło, ale bynajmniej się tym nie przejmował. W jego fantazjach Erika przypierała go do obwieszzonego

341

malowidłami muru, opadała na kolana i w ciemnościach piła z niego wszystko. Wystarczyło jednak, że otworzył oczy, i natychmiast dopadało go poczucie winy, że ją oszukał - ciążyło mu na piersi i paliło wnętrzności żywym ogniem. Na podłodze koło jego łóżka wałały się napisane przez Rosalie Zyskind książki, po które sięgał pomiędzy napadami szaleństwa, byle zapomnieć o tym, co zrobił, z mizernym wszakże skutkiem: Erika wzywała z każdej strony. Rankiem, goląc się, nie patrzył w lustro, w pracy bezmyślnie wertował kolejne tomy encyklopedii, zapisując na skrawkach papieru pytania do samego siebie. Przyrzekł jej, że ją odnajdzie - ale co to naprawdę znaczy? Czy ma do niej zadzwonić? Napisać? Udać się pod muzeum i tam na nią czekać? Jak może się z nią spotkać po tym, co on i jego siostra zrobili? Miał rozpalone czoło, poczucie wstydu uniemożliwiało mu podjęcie racjonalnej decyzji.

Mniej więcej tydzień od dnia, w którym nadał przesyłkę, Sara i Leonid zapytali go, czyby się z nimi nie wybrał do muzeum na wystawę prac Chagalla. Ben sądził, że się przesłyszał! Rychło też przekonał się, że siostra i szwagier wcale nie żartują - jak dotąd nie mieli okazji zobaczyć wystawy, a Leonid wprost pękał z dumy, że obraz Sary wisi pośród oryginałów, i nie potrafił się doczekać, by ujrzeć to na własne oczy. Propozycja zniesmaczyła Bena, o czym nie omieszkiał poinformować Sary, ale ona mimo to nalegała.

- Przeczytałam gdzieś, że obrazy w przyszłym tygodniu wracają do Rosji. Niedziela jest ostatnim dniem, kiedy będą udostępnione zwiedzającym... - Ben wyczuł lekkie drżenie w jej głosie i uświadomił sobie, że jego siostra wie, o jak wiele go prosi. Zawsze potrafiła przejrzeć go na wylot.

- Proszę, chodź tam z nami w niedzielę - prosiła.

Ben był zdecydowany odmówić, lecz nagle coś sobie przypomniał. Erika powiedziała mu kiedyś, że w niedzielę ma w muzeum dyżury, a on przecież przyrzekł, że ją odnajdzie. Co jej powie i jak - tym będzie się martwił później.

Ku zdziwieniu i niesłychanej uldze Sary zgodził się im towarzyszyć.

342

Niedziela wstała wyjątkowo piękna. Mimo że zbliżała się już jesień, było bardzo ciepło, łagodne słońce opromieniało ulice miasta czyniąc je mniej brzydkimi, niż były w rzeczywistości, a liście nielicznych drzew dopiero się lekko żółciły i czerwieniły przy brzegach, ubarwiając miejski krajobraz.

Ben wszedł do wnętrza muzeum szybkim krokiem, żeby nie pochwyciła go kamera ochrony, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że nie boi się już kamer ani policji, tylko jednej osoby na świecie: Eriki. Paradoksalnie to jego strach go tutaj sprowadził. Sara i Leonid deptali mu po piętach, zachowując się tak, jakby to był zwykły rodzinny wypad do galerii sztuki, śmiali się i rozmawiali beztrudnie, mijając bramki z wykrywaczami metalu. Znalazłszy się w środku zwolnili, lecz nie zatrzymywali się dłużej przy żadnym obrazie - do chwili gdy zobaczyli obraz zatytułowany „Wesele”.

Namalowany w 1918, przedstawiał młodą parę, oddaną w czerni i bieli, trzymaną w objęciach

zawieszono nad nimi czerwonego anioła; na policzku panny młodej widniał odcisk miniaturowego człowieczka. Ben, Leonid i Sara bezwiednie utworzyli półokrąg i przyglądali się obrazowi w milczeniu. Każde z nich widziało się w jednej z ról - panny młodej i przyszłej matki, pana młodego, anioła, który popchnął ich ku sobie. Gdyby którekolwiek oderwało choć na moment wzrok od obrazu, ujrzałoby pozostałą dwójkę zatopioną we własnych myślach...

- Widziałem taką wystawę - oznajmił nieoczekiwanie Leonid - jak jeszcze byłem mały. Sara i Ben wolno powracali do rzeczywistości, otrząsając się, jakby zostali wybudzeni z głębokiego snu.

- Leonid, ty przecież nigdy nie byłeś mały - odpalił Ben. Sara roześmiała się z dowcipu, a Ben lekko uśmiechnął.

- Mówię poważnie - burczał Leonid - jak byłem mały, wystawiali te same obrazy w Moskwie. Dziadkowie zabrali mnie na wycieczkę do stolicy. Jak dziś pamiętam, że stałem koło babci i oglądałem te obrazy - masywną brodą wskazał na otaczające ich ściany. - Miałem wtedy jakieś dziewięć czy dziesięć lat. To była wielka atrakcja, trzeba było godzinami stać w kolejce, żeby się dostać do środka...

343

- Żeby kupić papier toaletowy, też musieliście stać godzinami w kolejkach - zauważyła niezupełnie na temat Sara.

Leonid wybuchnął śmiechem, ale Ben zachował śmiertelnie poważną minę. Odwrócił się plecami do tamtej dwójki i patrząc znów na obraz, rozmyślał o Ericie i o tym, jak bardzo ją zawiódł. Widok pary nowożeńców przypomniał mu także klęskę własnego małżeństwa i upokarzający rozwód, do którego doszło w biurze rabina. Przez pełne czterdzieści pięć minut spoglądał na czubki butów, za wszelką cenę chcąc uniknąć wzroku byłej żony, która wraz z trzema innymi rabinami, powołanymi na świadków, obserwowała skrybę spisującego akt rozvodu za pomocą gęsiego pióra. Później trzeba było jeszcze odczekać, aż atrament wyschnie, co trwało niewiarygodnie długo, tak że Ben miał sposobność wyobrazić sobie swoją żonę w łóżku kochanka we wszystkich możliwych pozycjach. Wreszcie musiał zwinąć dokument w rulon i rzucić go tak, by jego żona go złapała, i dopiero odprowadziwszy ją wzrokiem do wyjścia (a jednak nie obyło się bez spojrzenia na nią!), sam mógł opuścić pomieszczenie, gdzie dokonana się ceremonia. Patrząc na plecy oddalającej się żony, obiecywał sobie w duchu, że nigdy więcej nie popełni tych samych błędów. Z każdym jej krokiem wypowiadał bezgłośnie mantrę, która miała obowiązywać go odtąd w przyszłości: Nikomu nie wierz, nikomu nie ufaj... A potem poznał Erikę, która wiedząc, jakiego postępu się dopuścił, nie wydała go w ręce wymiaru sprawiedliwości, ba, nawet go nie osądzała, i zachwiał się w swym postanowieniu, by nikomu nie wierzyć i nikomu nie ufać, bo może jednak było to postanowienie z gruntu fałszywe i złe, może nie wszyscy sprzysięgli się, by go oszukiwać i zdradzać, może nie każdy, kto stapał po tym świecie, żył po to tylko, by zniszczyć Bena Zyskinda... Stojąc w muzeum przed obrazem zatytułowanym „Wesele” i namalowanym w 1918 roku, Ben uświadomił sobie, że nawet gdyby między nim i Eriką nic nie wyszło, i tak otrzymał od niej w darze coś bezcennego i za to właśnie winien jej jest podziękowanie. Najpierw wszakże musiał ją odnaleźć, a nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Skrycie ufał, że po prostu wpadnie na nią w tłumie snującym się po galerii, że w ten sposób los się do

344

niego uśmiechnie, ale na nic podobnego się nie zanosilo - byli tutaj już dosyć długo, a nie widział jeszcze żadnego pracownika muzeum. Przyjął więc, że Erika jest w swoim gabinecie w suterenie. Aby się tam dostać, przewidywał, będąc musiał komuś się przedstawić i wyjaśnić, dlaczego chce się z nią zobaczyć... Lepiej chyba zaczekać na nią na zewnątrz, w końcu przecież musi pójść do domu... Najbardziej jednak gnębiło go, co ma jej powiedzieć. Kiedy tak rozglądał się bezradnie wokół, po części wypatrując Eriki, po części zaś licząc, że gdzieś ujrzy wypisaną odpowiedź na swoje pytanie, jego wzrok padł na obraz, który widział już wcześniej, w ten sam wieczór gdy całkowicie pochłonał go, później przezeń ukradziony, szkic do „Nad Witebskiem”. Dopiero teraz

przyjrzał się uważniej małemu kwadratowemu obrazkowi przedstawiającemu parę na głęboko błękitnym tle - ich ciała zdawały się wtapiać w widniejące za nimi niebo, a ono z kolei prześwitywało przez ich twarze... Piękno to przywilej kochanych, pomyślał.

- Ben, obejrzałeś już wszystko? - do jego myśli zakradł się głos Leonida. - My z Sarą chcemy już iść na piętro.

- Jasne - bąknął.

Istniała niewielka szansa, że Erika będzie na górze, tam gdzie ją poznał, ale Ben zbyt na to nie liczył. Wróciwszy myślami do ich pierwszego spotkania przypomniał sobie, jakie słowa do niego wtedy skierowała: „A pan, panie Zyskind?” Teraz zabrzmiało to w jego uszach niczym wyzwanie, pytanie trudniejsze od wszystkich, które dotąd ułożył. Jak lunatyk podążył za siostrą i szwagrem, ogarnięty obsesją, której powodu nikt oprócz niego nie potrafiłby dostrzec.

Weszli do największej sali, w której prezentowano malowidła będące niegdyś dekoracją moskiewskiego Teatru Żydowskiego, jak wyjaśniała obszerna informacja przy wejściu. Musieli zadzierać wysoko głowy, żeby ogarnąć postaci przedstawiające teatr, muzykę, taniec i literaturę. Nie uszło ich uwagi, że ta ostatnia mozolnie zapisywała zwój, który mimo to pozostawał pusty.

- Popatrzcie - szepnęła Sara, wskazując na dolny róg obrazu, tuż przy stopie piszącego - płótno tutaj jest nienaturalnie naciągnięte...

345

Ben i Leonid jak na komendę schylili się i ze zdziwieniem stwierdzili, że Sara ma rację. Wyglądało to tak, jakby ktoś wielokrotnie odginał róg płótna i coś tam chował. Identycznie jak w wypadku ich małego obrazu...

- Erika mi o tym wspominała - powiedział z ożywieniem Ben. - Mówiła, że przygotowując tę wystawę znaleźli setki zapisanych kartek... - Te, które pochodziły z ich obrazu, skopiował, a oryginały odesłał osobnym listem, z jeszcze innym wymyślonym adresem nadawcy. Kopie czytał na przemian z książkami matki, próbując dojść do ładu ze swymi uczuciami po jego zdaniem haniebnym postępku, ale zwłaszcza rękopis przysparzał mu siwych włosów: nie miał zielonego pojęcia, skąd się wziął za ramą obrazu ani kto był jego autorem. Do białej gorączki doprowadzała go myśl, że tajemnicę zabrała ze sobą do grobu jego matka.

- Powinienem ją spytać, czy ktoś już go przetłumaczył...

- powiedział do siebie, jednakże na tyle głośno, że Sara dosłyszała.

Widząc, jak się doń uśmiecha, zarumienił się po same uszy i zdał sobie sprawę z podłogi pod swoimi stopami, z galerii rozciągającej się poniżej oraz z sutereny kryjącej się w podpiwniczeniu muzeum. Całym sobą czuł obecność Eriki w budynku, mówiąc sobie przy tym: Ona jest pod tym samym dachem co ja! Ojciec udał się dla matki na koniec świata, przeszedł istne piekło, a ja nie mogę zejść tych paru stopni, bo jestem zwyczajnym tchórzem!

Większość zwiedzających przykuta była do elektronicznych przewodników. Ze słuchawkami na uszach przemieszczali się wzdłuż ścian jak zombi, zatrzymując tylko tam, gdzie zdaniem głosu z taśmy było warto się zatrzymać. Ich trójka szła bardziej przytomnie, dokonując świadomych wyborów, aż wreszcie dotarli do ostatniej salki, zazwyczaj zarezerwowanej na podsumowanie wystawy albo parę prac, które nie pasowały nigdzie wcześniej, lecz tym razem umieszczono tam skradziony przed paroma tygodniami i cudownie odzyskany obraz namalowany przez Sarę. Wisiał pośrodku ściany, samotnie, a kilka zalaminowanych kartek informowało drobnym drukiem o jego ostatnich perypetiach. Po prawej stronie były

346

drzwi prowadzące na klatkę schodową, migotał nad nimi pulsujący napis „Wyjście”.

Podobnie jak wcześniej otoczyli obraz półkolem, nie śmiać przekroczyć niewidzialnej granicy.

Wygląda niemal tak, jakby wisiał u nas w domu, pomyślał Ben. Prawie. Ogarnął go dreszcz, którego przyczynę pojął dopiero po chwili: obraz namalowany przez Sarę podobał mu się bardziej niż oryginał. W jej wersji linie były łagodniejsze, czyniąc złudzenie ruchu bardziej prawdziwym.

- Jest piękny, Saro - wykrztusił wzruszony Leonid.

Sięgnął ku żonie ramieniem i przygarnął ją do siebie, a Ben obserwując ich spod oka pomyślał, że w jego obecności rzadko kiedy okazują sobie czułość. Zwłaszcza od czasu rozvodu brata Sara zbywała awanse męża, nie chcąc przysparzać mu przykrości. Wszelako Ben wcale nie odczuwał żalu, widząc ich bliskość, lecz raczej zachwyty i zdumienie. Oto ręka, która niegdyś uderzyła go w pierś (robiąc sobie przy tym krzywdę), a teraz ta sama ręka delikatnie obejmuje jego siostrę, ociera jej łzy, spoczywając zaś na jej brzuchu ochrania przyszłego wnuka Daniela i Rosalie. Czyli to jednak możliwe, ba, więcej nawet: całkiem prawdopodobne, że świat można odbudować z gruzów, a życie z potrzaskanych kawałków...

- Idę na dół - oznajmił Ben, podjąwszy decyzję. Sara i Leonid odskoczyli od siebie, jakby dopiero w tej

chwili przypomnieli sobie o obecności Bena. Pomiędzy nimi szybował mężczyzna z torbą i laską.

- Co? - spytała nieprzytomnie Sara, przeczuwając już chyba katastrofę.

- Muszę powiedzieć o wszystkim Erice - szepnął Ben, wskazując oczyma obraz i oglądając się za siebie, czy na pewno są sami. - Chcę jej oddać oryginał.

Leonidowi opadła szczęka.

- A... ale - nagle znów zaczął się jąkać, jak wtedy gdy był nastolatkiem - d... dlaczego?

Sara przez długą chwilę nie potrafiła wykrztusić słowa.

- Czyś ty zupełnie oszalał? - syknęła wreszcie. - Ona to zgłosi na policję.

347

- Nie zrobi tego... - Ben pokręcił głową, by wzmocnić wagę swych słów. - Ufam jej.

Sara i Leonid popatrzyli najpierw po sobie, później wbili wzrok w Bena. Równocześnie otworzyli usta, by powiedzieć coś, co go powstrzyma, lecz on ich nie słyszał - powietrze wokół niego zdawało się falować, jakby i ono cieszyło się nagłą lekkością i wolnością, a on sam czuł się tak jak wówczas, gdy na zawsze pożegnał się ze stalową klatką. Dosłownie unosił się nad ziemią. Ruszył w stronę wyjścia, wyciągając przed siebie rękę, by jak najszybciej otworzyć drzwi i zbiec po schodach, i w tej samej chwili wszystkich troje rzuciła na podłogę fala uderzeniowa bomby.

Wybuch nastąpił przy wejściu do muzeum, zatem piętro niżej i od przeciwnej strony. Samochód dostawczy wyładowany po brzegi materiałami wybuchowymi, nie robiąc sobie wiele z kamer i wykrywaczy metalu, staranował drzwi frontowe i wysadził w powietrze konstrukcję nośną budynku wraz z jego zawartością, czyli obrazami, rzeźbami, rękopisami, książkami, dokumentacją oraz ciałami trzydziestu sześciu osób, które na swoje nieszczęście podziwiała właśnie dzieła Chagalla wystawione na parterze Muzeum Sztuki Żydowskiej.

Po eksplozji zapadła przytłaczająca cisza, ale tylko na moment, gdyż rychło - i niemal równocześnie - rozległy się krzyki ludzi i wycie alarmów, prawie nie do rozróżnienia. Ben odstłonił głowę, instynktownie zakrytą rękoma, akurat w chwili, kiedy oświetlenie, pozbawionego okien pomieszczenia galerii na piętrze zamigotało i zgasło. Miał problemy z oddychaniem. Wokół unosiła się ostra woń spalenizny, tnąca nieruchome powietrze i przywodząca mu na myśl jego eksperymenty pirotechniczne z dzieciństwa; odnosił wrażenie, że cały pokryty jest smołą i popiołem, nawet w nozdrzach i ustach czuł dziwny chemiczny posmak. Czy temperatura powietrza wokół rzeczywiście się podniosła czy tylko tak mu się zdawało?

- Co się... co się... co się stało? - Ktoś jąkał się w ciemności, wyrzucając słowa z trudem, pomiędzy jękami kogoś innego.

348

Długą chwilę zajęło Benowi, nim zrozumiał, gdzie jest i że to on sam - ten jąkający się, nie jęczący - koniecznie chce się dowiedzieć, co się stało. Głos miał zmieniony, choć nie całkiem obcy - w podobny sposób mówił dwadzieścia lat temu, kiedy matka i siostra przemocą zamykały go w klatce ze stali i plastiku.

- Co się stało?

- Co to było?

- Co się dzieje?

Zewsząd dochodziły pełne strachu krzyki ludzi i świdrujące wycie syren, nagle zagłuszone przez głośne chrupnięcie, po którym rozległ się łomot zapadającego się stropu. Przez powstałą dziurę zaczął się wdzierać z dołu gęsty gryzący dym, jak gdyby budynek muzeum usadowiony był na wulkanie. Pożar szalejący na parterze oświetlał pomarańczową poświatą zawieszoną teraz jakby na antresoli górne galerie, odbijając się w popękanych taflach szkła ochraniającego płótna przed zwiedzającymi, tu i ówdzie wydobywając z mroku coś na kształt oczu przerażonego nocnego zwierzęcia.

Krzusząc się i parszcząc Ben poczuł, że ktoś ujmuje go za rękę. Wolną dłonią zaczął macać po omacku w poszukiwaniu kawałka ściany albo podłogi, o którą mógłby się podeprzeć, ale zamiast na kawałek solidnego muru czy posadzki natrafił na czyjeś podrygujące ramiona i oślinioną brodę.

Wreszcie udało mu się wstać. Oczy natychmiast go zapiekły od unoszącego się wysoko w powietrzu pyłu, ogarnęły go zawroty głowy, a może to budynek się chwia! Ludzie na dole wciąż wrzeszczeli jeden przez drugiego, wołając bliskich, prosząc o pomoc albo po prostu krzycząc z bólu - wiele spośród tych głosów zdawało się należeć do dzieci. Ben otrząsnął się z obrzydzeniem, kiedy jego skórę musnęło coś pierzastego czy futrzastego - w mdłym poblasku płomieni nie sposób było tego stwierdzić. Wzdrygnął się usłyszawszy przy uchu męskie zawodzenie.

- Saro, nasze dziecko!...

- Z dzieckiem wszystko w porządku! - odparła Sara, wciąż gramoląc się na czworakach. - Lepiej pomyśl, jak nas stąd wyciągnąć...

349

Leonid rzucił się w stronę drzwi prowadzących na klatkę schodową i otworzył je na oścież samym impetem ciała. W świetle gasnącego słońca, wpadającego przez niewielkie okienka, Ben zobaczył siostrę i pomógł jej wstać. Ułamek sekundy później Leonid znów był przy nich; złapał Sarę za rękę i pociągnął w stronę wyjścia. Ben, nie przygotowany na nagłe szarpnięcie, zachwiał się i kątem oka zauważył, że w pomieszczeniu, w którym jeszcze niedawno, przed wybuchem, byli sami, zaroilo się od ludzi. Otepiały tłum stał zbity w gromadkę i ruszył się z miejsca dopiero na widok smugi czarnego dymu wydobywającego się z przewodu wentylacyjnego umieszczonego tuż pod sufitem, niemal dokładnie nad obrazem Sary. Owczy pęd porwał Bena, który zdążył się jeszcze odwrócić, usłyszawszy dziwny syczący dźwięk - to zraszacz systemu przeciwpożarowego wreszcie się włączyły, pokrywając wszystko wodną mgiełką. Szybka ochraniająca obraz zaparowała, a chwilę później dzieła dopełnił dym i ogień. Mężczyzna unoszący się nad miastem zniknął na zawsze. Bena jakby sparaliżowało - pewnie on także by zniknął, gdyby Sara nie pociągnęła go ku schodom.

Biegli za Leonidem, a za nimi po gołym betonie tupotały dziesiątki stóp. Jedyнным świadkiem ich ucieczki były z rzadka rozmieszczone lampy wydające upiorne światło. W mgnieniu oka znaleźli się na parterze, wciąż czując na sobie oddech podążającego za nimi tłumu. Stamtąd byli już o krok od bezpieczeństwa - tylko kilkoro drzwi dzieliło ich od sporego wewnętrznego placu wyłożonego kostką granitową. Na klatce schodowej i dalej, w sali, gdzie jeszcze niedawno wystawiano obrazy, roilo się od krwawiących i osmalonych postaci. Jakaś kobieta z głębokimi ranami na ramionach i kawałkiem szkła wbitym w policzek przepychała się między nimi, by czym prędzej znaleźć się na zewnątrz. Chwilę później musieli się rozstąpić, by zrobić miejsce mężczyźnie biegnącemu w stronę wyjścia z chłopcem na rękach. Dziecko nie miało obu nóg. W krótkiej chwili, kiedy metalowe drzwi były otwarte, Ben dojrzał pośród zgietku samotną spokojną postać. Siedziała na wózku inwalidzkim, tyłem do niego, a przodem do oglądanego, teraz na poły zwęglonego obrazu. Koła wózka

350

ani drgnęły. Obok jednego z nich zwisała nieruchoma ręka.

Wąż złożony z Leonida, Sary i Bena, wciąż trzymających się za ręce, wypadł wreszcie na zewnątrz, wszakże nim zamknęły się za nimi ostatnie drzwi, Ben wypuścił dłoń Sary.

- Wracam po Erikę - powiedział dysząc.

- Co...? - Sara odwróciła się i natychmiast została odtrącona na bok przez biegnący ich śladem

tłum.

- Biuro Eriki jest w suterenie - Ben musiał krzyczeć ponad głowami uciekających - ona teraz tam jest! Idę po nią.

- Skąd możesz wiedzieć, że ją tam zastaniesz?

Ben poczuł się nagle słabo. Oparł się o ścianę, walcząc z atakiem kaszlu.

- Po prostu wiem.

Oczy Sary rozszerzyły się ze strachu.

- Ben, to szaleństwo... Nic się jej nie stanie. Na miejscu są już na pewno ekipy ratownicze.

- Ale nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby jej tam szukać!

W wąskim przejściu robiło się coraz goręcej i duszniej. Pojawiali się ludzie pokryci od stóp do głów pyłem i tynkiem, nie licząc krwi. Z każdym kolejnym otwarciem drzwi ewakuacyjnych na klatkę schodową przedostawała się następna porcja gryzącego dymu. Pośród ogólnego harmideru mała dziewczynka o czarnych długich warkoczach, które ogień bezlitośnie jej skrócił, zostawiając ledwie poszarzałe sterczące kikuty, wyrwała się z płaczem, wskazując za siebie; ktoś złapał ją w ostatniej chwili, nim udało jej się pobiec pod prąd, i wypchnął na zewnątrz.

- Tutaj jest pełno dymu... - wargi Sary drżały, kiedy to mówiła - jeszcze parę minut i ta droga także będzie odcięta.

- Z sutereny można wyjść tunelem. Prowadzi aż do parku.

- Co takiego? - Sara rozkasłała się.

- Dwie przecznice stąd w chodniku jest krata. Tam się spotkamy.

- Ben... - z oczu ciekły jej łzy.

- Saro, dym nie jest zdrowy dla dziecka. Idź stąd już.

351

- Ben, nie! - krzyknęła. - Ty ni...

Urwała w pół słowa, kiedy złapał ją za ramiona i popchnął w stronę wyjścia; moment później porwała ją lawina uciekinierów, tak że nie miała już drogi odwrotu. Wśród okaleczonych zakrwawionych ciał wypadła na zewnątrz, gdzie na tle wciąż jeszcze niebieskiego nieba majaczyła ruda czupryna Leonida. Upewniwszy się, że siostra jest bezpieczna, Ben zaczął przeciskać się w drugą stronę, w kierunku drzwi opatrzonych napisem „Tylko dla personelu”. Na szczęście były otwarte. Biegł w dół na złamanie karku, biorąc po dwa stopnie naraz, podczas gdy jego pleców sięgały pióropusze dymu i nieśmiałe języki ognia.

W suterenie panowało istne pobożowisko. Wybuchając na parterze, bomba musiała wyrwać dziurę w podłodze, która zapadła się, zawalając miejscami przejście i miażdżąc to, co po drodze napotkała. Wokół pod gruzem walały się połamane sprzęty biurowe, w powietrzu wirowała mokra sadza, powstała za sprawą cudem chyba ocalałego zraszacza dyndającego u resztek tego, co niegdyś było sufitem podpiwniczenia. Ben uparcie parł naprzód, próbując zorientować się, gdzie znajduje się gabinet Eriki, jednakże wśród tych zniszczeń było to niemal niemożliwe. Gdzieś w pobliżu rozdzwonił się nagle telefon, którego nikt nie odebrał. Wydał jeszcze kilka niepewnych dzwonek i umilkł.

Ben chciał zawołać Erikę po imieniu, ale bał się, że może nie dostać odpowiedzi. Cały czas dręczyła go myśl, że nawet jeśli Eriki wcale nie było w jej gabinecie w chwili wybuchu, w suterenie powinni być inni pracownicy muzeum - a skoro tak, to gdzie się podziali? Zaraz jednak włączała się jego intuicja mówiąca mu, że Erika na pewno gdzieś tu jest. Wszakże jak się mógł przekonać na własne oczy, piwnica zdawała się całkowicie wyludniona - we władanie wziął ją wszędobylski dym i pył. Ben postanowił więc przystawać przy zwałowiskach, żeby sprawdzić, czy ktoś pod nimi nie leży, i już na samym początku natknął się na nogę mężczyzny, oddzieloną w kolanie od reszty ciała, co ostudziło jego zapał poszukiwacza. Zerwał się na równe nogi i zaczął wycofywać. Nim zdążył się

352

przewrócić, idąc tyłem, bądź też udusić od kłębow dymu, przystanął i zaczerpnął kilka płytkich



oddechów, podjął wędrówkę przez zniszczoną piwnicę. Omijał kupy gruzu, a kiedy było trzeba, grzązł w nich i przepelzał po nich na czworakach, przechodził przez zwalone ściany czując się jak duch, kierując się w stronę - jak mu się wydawało - końca tunelu.

Po jakimś czasie połamane biurka i roztrzaskane monitory komputerów części biurowej ustąpiły miejsca powykręcany metalowym prętom regałów magazynowych, które Ben raczej wyczuwał wysuniętymi przed siebie rękoma, aniżeli widział w słabym i co rusz zanikającym świetle przeblyskującym przez potężne wyrwy w stropie. Tam gdzie widoczność była lepsza, rzucały mu się w oczy dymiące kupy papieru, a tu i ówdzie dostrzegał nawet wciąż się tłące pojedyncze kartki rękopisów. W jednym miejscu pękła rura kanalizacyjna, zalewając bezcenne żydowskie pisma smrodliwą rzeką ludzkich nieczystości. Ben z bólem serca pomyślał o papierach znalezionych za ramą obrazu jego matki i w wielkich malowidłach stanowiących niegdyś dekorację Teatru Żydowskiego w Moskwie - całe opowiadania i powieści przepadły! Wstrzymując oddech z obrzydzenia, brnął po kostki w ohydnej mazi, przywołując w pamięci treść matczynej książki i nie potrafiąc już odróżnić jawy od snu, rzeczywistości od wyobraźni, jak mały chłopiec będący bohaterem tamtej opowieści spoglądał pod stopy w poszukiwaniu magicznego pierścienia, który zamieniłby brud w czysty śnieg. Wszelako widział tylko srebrne puchary i świeczniki, i zabytkowe jady, na poły zatopione, na poły unoszące się w rzece brudu. Z czasem Ben przestał zauważać cokolwiek. Wreszcie dotarł do końca tunelu, którego wyjście blokowała olbrzymia bryła nadtopionego metalu, niegdyś będącego zapewne jedną z licznych rzeźb. Zatem tędy nie wyszła, skonstatował udręczony umysł Bena.

W takim razie gdzie jest?!

Z mozołem tworzył w głowie mapę podziemi. Ustaliwszy punkty orientacyjne i porównawszy je z zapamiętanymi z tamtego wieczoru, kiedy przecież wyglądały zupełnie inaczej - rzeźby coś przedstawiały, rękopisy i zwoje leżały suche i schludne... - w końcu wyznaczył miejsce, gdzie powinien

353

znajdować się gabinet Eriki. Zaraz jednak ogarnęły go wątpliwości. Czy to możliwe, że wciąż tam jest? Ale przecież gdyby wychodziła z piwnicy, musieliby się po drodze minąć albo choćby usłyszeć. Odkąd znalazł się na dole, właściwie niczego nie słyszał. Na duchu podnosiło go wyłącznie to, że ta część piwnicy wydała mu się najmniej zniszczona. Ocalała większość ścian i drzwi, chociaż i tutaj dotarły nieczystości. Mogła więc i ocaleć Erika, z jakiegoś powodu uwięziona w swym gabinecie. Może właśnie teraz, gdy on jej szuka, ona woła o pomoc, lecz jej krzyki tłumią grube, nienaruszone mury. Wszystko było możliwe, Ben już to wiedział i nie miał zamiaru pozwolić, by znów zawiodła go wyobraźnia.

Obrócił się raz jeszcze, by nabrać pewności, że jest we właściwym miejscu, poślizgnął się przy tym i niemal przewrócił prosto w odrażającą mazę pokrywającą całą podłogę, ale w ostatniej chwili odzyskał równowagę i już nie spuszczał oczu z drzwi, przez które dwukrotnie przeszedł: pierwszy raz, by z nią porozmawiać o skradzionym obrazie, drugi - by ją pocałować. Sufit nad nimi był pęknięty, futryna osmalona, ale skrzydło zdawało się nawet nie draśnięte. Podeszedł bliżej i przyłożył rękę do metalu - był chłodny. Jego analityczny umysł podsunął mu jedno z zagadnień, które rozpatrywał układając pytania do teleturnieju. W fizyce istniało pojęcie „kot Schrödingera”, obrazowo tłumaczące, na czym polega dualizm korpuskularno falowy. Ben uchwycił się go jak ostatniej deski ratunku, czerpiąc otuchę z faktu, że gdzieś, choćby na subatomowym poziomie, możliwe są dwa stany równocześnie. Śmierć i życie. Erika będzie żyła i nie żyła dopóty, dopóki on nie otworzy tych drzwi i się nie przekona. Ale czy i na tym świecie coś takiego jest możliwe? Tak! Pisała przecież o tym jego matka: „Nikt tam naprawdę nie umarł, ponieważ nikt naprawdę nie żył!” Nie mogąc już dłużej czekać, Ben chwycił za klamkę.

Znacznie później, w czasie, który ona dla niego stworzyła, prawo ciężenia zostało unieważnione i Ben unosił się nad miastem, spoglądając w dół i dostrzegając każdą możliwość równocześnie: budynki wystrzelające w górę i podupadłe, drzewa obsypane kwiatami i uschnięte, ulice zalane słońcem i skąpane

w mroku, nagrobki wyzierające z opadłych liści i mknących obłoków. Przecinając zarazem błękitne, granatowe i pomarańczowe niebo, uświadamiał sobie, co znaczyła, nawet jeśli znaczyła to tylko dla niego. Ale to było później. Teraz wciąż stał z ręką na klamce, przed drzwiami, które wciąż były zamknięte.

- Erika! - zawołał i przez chwilę nasłuchiwał, czy zza drzwi dojdzie go jej głos. Kiedy nic nie usłyszał, z całej siły nacisnął klamkę i w jednej chwili rozpoczął się dla niego lepszy świat.

## Rozdział Dziewiętnasty.

To wielka niesprawiedliwość losu, że śmierć zabiera ludzi, których znamy i niejednokrotnie kochamy, podczas gdy ci, którzy przychodzą na świat, są nam zupełnie obcy. Nadajemy dzieciom imiona naszych drogich zmarłych, w nadziei że z czasem zaczną ich przypominać, tym samym starając się umniejszyć niedawną stratę i zarazem oswoić przybysza. Związek tej nowej osoby z niegdyśszą wydaje się nieunikniony i oczywisty, a mimo to większość z nas boi się to przyznać, nawet przed samymi sobą. Wszakże na czym ów związek polega? Z pewnością nie jest to prosta zależność reinkarnacji, lecz więź zdecydowanie subtelniejsza, zasadzająca się na tym, że ci, którzy odeszli, i ci, którzy jeszcze się nie narodzili, przebywają gdzieś tuż poza naszym światem, dokąd nie sięga nasza percepcja, wymieniając się w odwiecznym łańcuchu istnień.

My mamy całe życie, by się nad tym zastanawiać, lecz na tamtym świecie czas umyka szybciej i osoby czekające na narodziny mają zaledwie dziewięć miesięcy, aby zgłębić ten i wszystkie inne problemy - a nie jest łatwo o cokolwiek myśleć, kiedy się wie, iż zostało się skazanym na wygnanie z raju, wskutek czego czuje się głównie strach.

Daniel Zyskind Dymitrow (naturalnie jego rodzice nawet nie podejrzewają, że nadadzą mu to imię, nikt na ziemi tego nie podejrzewa) przed paroma miesiącami dołączył do

356

licznej rzeszy czekających na przyjście na świat. Wraz z wszystkimi innymi, poczętymi w tej samej godzinie, został niezwłocznie wysłany do szkoły. Ledwie usadowił się w niebiańskiej ławce, kiedy do klasy wszedł wychowawca - wielki człowiek, który miał już dawno za sobą epizod życia na ziemi, o czym Daniel rzecz jasna nie wiedział, gdyż wtedy nie wiedział jeszcze o niczym.

- Witajcie w lepszym świecie - przywitał ich, otwierając wielką księgę. Kartki zafurkotały nad ich głowami; na każdej u samej góry widniało imię i nic więcej. Wychowawca odczytywał je kolejno, a czekający na narodziny jeden po drugim wstawali. Daniel przysłuchiwał się pilnie, martwiąc się, że nie będzie wiedział, kiedy wstać, ale gdy tylko wychowawca przeczytał: - Daniel, syn Leonida i Sary - natychmiast się domyślił, że chodzi o niego, i zerwał się na nogi.

- Jestem! - zawołał, wciąż rozkoszując się brzmieniem swego imienia, które usłyszał po raz pierwszy w życiu.

Rozejrzał się wokół, ciekaw, czy zaraz nie okaże się przypadkiem, że kogoś nie ma, bo wagaruje albo zwyczajnie postanowił nie zaistnieć. Jednakże imię Daniela było ostatnie na liście.

Wychowawca postawił przy nim jakiś znaczek, po czym zamknął księgę, z ulgą mamrocząc pod nosem:

- Wszyscy obecni i przytomni, to dobrze.

Czekający na narodziny kręcili się niespokojnie na krzesłach, w dalszym ciągu zadziwieni faktem swego istnienia i brzmieniem swych imion. Szuranie ustało, kiedy wychowawca podniósł księgę wysoko do góry i obwieścił:

- Tylko wasze imiona są tutaj zapisane i każdy z was niebawem dostanie szansę, by uzupełnić swoją kartę uczynkami... Pewnie już wiecie, iż znaleźliście się w raju, ale to nie znaczy, że nie czeka was wiele pracy. Jeśli chcecie się czegoś nauczyć, słuchajcie pilnie swych nauczycieli! Zresztą na sam koniec, po dziewięciu miesiącach, zrobimy wam test.

Daniel zadrzał ze zgrozy. Test?! Przecież on nic nie wie, nie ma nawet pojęcia, jak się uczyć! Nigdy nie zdoła zdać końcowego testu... Nie mógł jednak roztrząsać tego dłużej, gdyż właśnie rozpoczynała się pierwsza lekcja.

357

Czego uczą w lepszym świecie? Głównie historii, chociaż nie jest to historia choćby z grubsza podobna do tej wykładanej w ziemskich szkołach. Wielkie postaci, bohaterzy narodowi, cesarze i generałowie tak dobrze nam znani, nie znajdują miejsca w niebiańskich podręcznikach. Tutaj uczy się o tych, którzy są naprawdę ważni: o matkach i ojcach, ciotkach i wujkach, siostrach, braciach i przyjaciółach rodziny. Dla Daniela te lekcje były szczególnie trudne, ponieważ zasypany masą faktów bał się, że nie spamięta wszystkiego. Wszelako słuchał uważnie każdego słowa nauczyciela, mając przed oczyma widmo testu.

- Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku - mówił nauczyciel na którejś lekcji, wypisując daty i nazwiska na niebiańskiej tablicy - Leonid Dymitrow odkrył, że jego ojciec Tola zdradza żonę, i poprzysiągł sobie, że sam nigdy nie dopuści się zdrady małżeńskiej. Wszakże dopiero zimą tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego zrozumiał, że najważniejsze to nigdy nie zdradzić samego siebie.

...nie zdradzić samego siebie - notował Daniel, z wysiłku wysuwając koniuszek języka. Na wszelki wypadek podkreślił cały fragment na czerwono, podejrzewając, iż może znaleźć się na teście - było nie było, nauczyciel użył kredy i tablicy, a nie robił tego często. Nim Daniel skończył podkreślać zapisane słowa, nauczyciel już zmywał z tablicy informacje o Leonidzie i szedł z materiałem dalej - albo cofał się, w zależności od punktu widzenia. Czas w raju biegł nie tylko szybciej, ale i zupełnie inaczej niż na ziemi. Jeden z wykładowców lubił powtarzać, że czasu wcale nie odmierzają - jak się powszechnie sądzi - godziny, dni i lata, lecz dobre uczynki. Daniel za wszelką cenę chciał nadażyć bez względu na to, w którą stronę czas biegł i czym był odmierzany.

- Zimą tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku w życiu Sary Zyskind nastąpiła istna rewolucja wraz ze słowami jej matki: Nie pozwól nikomu wmówić sobie, że twoje życie jest tylko próbą... Wtedy Sara przejrzała na oczy.

...życie nie jest tylko próbą - notował Daniel. Chciał zapytać, co to dokładnie oznacza, i nawet podniósł rękę, ale nauczyciel był odwrócony do tablicy i niczego nie zauważył.

358

- Wkrótce po tym, jak zmarła mu matka i opuściła go żona, Benjamin Zyskind poczuł się oszukany przez ludzi i życie i postanowił, że nikomu już nie zaufa. To prawda, że zaufanie może być przyczyną cierpienia. Ale prawdą jest również to, co Benowi uświadomił kto inny, a mianowicie że zaufanie nadaje życiu wartość.

...zaufanie powoduje cierpienie, ale nadaje życiu wartość - pisał Daniel mdlejącą już ręką. Ale dlaczego? I co, jeśli...?

- Borys w swym krótkim życiu, które trwało od tysiąc dziewięćset dziewiętego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego, poznał słynnego malarza i pisarza i na ich przykładzie zrozumiał, jak niebezpiecznie jest żyć w świecie wyobraźni. Wyobraźnia to wspaniała rzecz, ale zarazem wielka pułapka. Mądrzy ludzie używają wyobraźni do woli, kiedy są dziećmi, ale osiągając dorosłość zaczynają postrzegać świat takim, jakim jest w rzeczywistości. Borys Kulbak miał nieszczęście zastosować tę zasadę w odwrotnej kolejności: jako dziecko zbyt wiele widział, a potem schronił się w świecie wyobrażeń.

...wyobraźnia - wspaniała, ale pułapka - notatki Daniela były coraz bardziej skrótowe. W głowie kłębiły mu się pytania. Z przerażeniem pomyślał, że może w ogóle nic nie rozumiał z wykładu, i żeby sprawdzić, czy notuje odpowiednie informacje, zerknął na zeszyt sąsiada. Jak wół stało w nim: Enrique Calderon, 1971, wypadek. Pamięć nie jest tak istotna jak szczęście.

To ostatnie zdanie podkreślone było dwiema zamaszystymi liniami. Daniel wrzucił ramionami.

Skoro jego sąsiad chce oblać test, jego wola, on będzie zapisywał to, co słyszy.

- Trzynastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku - monotonnym głosem

recytował nauczyciel - Daniel Zyskind podarł na strzępy list otrzymany w Wietnamie od ojca, w którym ten ostatni informował go, że może już nie pisać do domu. Żałował swego postępku długo potem, nawet gdy wrócił do kraju bez nogi, niemniej nigdy nie wybaczył ojcu ani nie uczynił niczego, by naprawić stosunki między nimi. Kiedy zrozumiał, że powinien był pierwszy wyciągnąć

359

rękę do zgody i że złem było wykluczać ojca z życia jego wnuków, było już za późno: ojciec od wielu lat nie żył. W sprawach naprawdę ważnych nie wolno zwlekać.

...nie wolno zwlekać - zanotował Daniel, mając nadzieję, że tego nie będzie na teście.

Poza tym Daniel nieźle radził sobie w szkole. Jego ulubionym przedmiotem była fizyka, na której poznawali prawa rządzące wszechświatem; Daniel aż rwał się do przeprowadzania doświadczeń. Na którejś lekcji kazano im umieścić w szalkach Petriego mikroskopijne komórki zdrady i obserwować ich rozwój. Daniel nie odrywał oczu od okularu mikroskopu, zafascynowany szybkością, z jaką komórki się namnażały - gładka i czysta powierzchnia pożywki w okamgnieniu zarosła gangrenowatą tkanką zgnilizny. Podobnie było z urazą. Z kolei zazdrość nie rozpleniała się w ogóle, tylko dla odmiany pożerała pożywkę do cna, po czym sama ginęła. Inny eksperyment dotyczył plotki i prędkości jej rozprzestrzeniania się w zależności od medium - kolejno badano mowę, słowo pisane, fale radiowe i telewizyjne oraz ciszę. Paradoksalnie najszybszym środkiem przekazu okazała się cisza, która umożliwiała plotce błyskawiczne przemieszczanie się, podczas gdy użycie któregośkolwiek z pozostałych mediów mogło - chociaż gwoli ścisłości wcale nie musiało - zahamować ją dzięki ingerencji tych ze słuchaczy, którzy występowali w obronie pomówionego. Mimo zamiłowania do nauk podstawowych Daniela wstrętem napawały krwawe doświadczenia, podczas których trzeba było na przykład dokonać sekcji kłamstwa. Na szczęście pracowali wtedy w parach, toteż Daniel tylko się przyglądał, jak jego kolega tnął skalpelem cienkie, podobne do skóry powłoki, po czym przyszpila je do stołu sekcyjnego, odsłaniając wnętrza, jakimi zazwyczaj były strach i niskie mniemanie o sobie samym. (Nieliczni z uczniów poprosili o zwolnienie z udziału w tych zajęciach, tłumacząc swą prośbę tym, iż ich przekonania nie pozwalają przeprowadzać wiwisekcji, ale nikogo nie oszczędzono.)

Jak w każdej szkole największym powodzeniem cieszyły się wycieczki - i tu Daniel nie był wyjątkiem. Jednej nocy

360

polecili z nauczycielem do magazynów śniegu. Na dziedzińcu szkoły złapali się za ręce i niczym sznur gęsi poszybowali przez atramentowy nieboskłon aż do jego najzimniejszego i najciemniejszego krańca, który wydawał się niczym więcej jak nicością, gdzie niknęły nawet myśli. Wszakże nim wszyscy rozplnęli się w niebycie, ich przewodnik - a był nim zadowolony staruszek imieniem Hiob - wyciągnął rękę i zapukał do bramy. Wielkie wrota otworzyły się z przeraźliwym skrzypieniem, ukazując przedsionek pomieszczenia przypominającego podziemną grootę, które całe wypełnione było rażącym światłem, odbijającym się w milionach sopli lodu zwieszających się ze stropu niczym stalaktyty i wyrastających na dnie na podobieństwo stalagmitów. Wszędzie pełno było lodowych klatek utrzymujących w ryzach zwały śniegu, przeznaczonego na wszystkie zimy do końca świata. Panował tam istic niebiański spokój i cisza, która dźwięczała Danielowi w uszach aż do dnia narodzin. Jeśli ktoś zapytałby go przed opuszczeniem raj, czego najbardziej żałuje, bez chwili wahania wskazałby właśnie to miejsce i ten niebotyczny spokój. Kiedy indziej znów przewodnik powiódł ich ku bramom mórz - potężnym portalom utkany z światła księżycy i wiatru, niewidocznym dla oczu śmiertelników, które tkwiły u brzegów mórz w świetle poniżej i płynnym ruchem zamykały się w ostatnim momencie, kiedy fale stawały się zbyt wysokie, grożąc oceanom przelaniem. Klasa Daniela zawędrowała do najgłębszych zakątków otchłani i do szczytów niebios, a także do zakamarków ludzkich serc. Chwile spędzone poza szkołą, w których czuł, że naprawdę czegoś się uczy, sprawiały Danielowi najwięcej radości.

Kiedy zostało im już tylko sześć miesięcy do narodzin, udali się na wycieczkę po rajskim ogrodzie. Jedli z drzewa poznania dobra i zła słodkie owoce, które tylko wzmagały głód i pozostawiały gorzki

posmak w ustach. Mogli dokazywać na rajskich alejkach, pod warunkiem że nie deptali trawy, ale do jednego miejsca nie mieli dostępu. Przewodnik tylko im o nim opowiedział, odmawiając wskazania drogi.

- Do czasu waszych narodzin cały raj należy do was, więc korzystajcie z tego - mówił dobrotliwie, by zaraz ich

361

przestrzec: - ale pod żadnym pozorem nie szukajcie drzewa życia.

Uczniowie popatrzyli po sobie łobuzersko, a najodważniejszy z nich zapytał:

- A gdzie ono jest?

Przewodnik zachnął się, ale nie mógł odmówić im tej informacji.

- W najdalszym wschodnim zakątku nicości - odparł z westchnieniem. - Bronią go anioły o czterech twarzach i trzech parach skrzydeł, a drogi strzeże połyskujące ostrze miecza.

Połyskujące ostrze? To określenie wydało się Danielowi znajome. Zdekoncentrował się w tamtej chwili, a szkoda, bo przewodnik właśnie zaczął im przedstawiać metody leczenia raka.

Świadomość, że coś istnieje poza granicami raju, niepokoiła Daniela, ale jak na wzorowego ucznia przystało nigdy nie podejmował działań wbrew życzeniom i poleceniom nauczycieli. Zresztą raj był bardzo duży i miał w nim co robić, no a do tego wciąż chodził do szkoły, chociaż nauka nie sprawiała mu już takiej przyjemności jak na początku. Wujek Daniela, Benjamin, napisał kiedyś w liście do swego dziadka - którego ten nigdy nie przeczytał, gdyż uważał, że odmowa czytania listów od syna rozciąga się także na listy od wnuka - że szkoła to łatwizna i że nowych rzeczy uczy się poza nią. Na przykład w łaźni publicznej.

Niebiańskie łaźnie, podobnie jak te na ziemi, składają się z wielu pomieszczeń, w niektórych z nich leci woda, w innych jest tylko para wodna, te są gorętsze, tamte znów chłodniejsze. Tyle że podczas gdy łaźnie ziemskie rzekomo dobrze wpływają na skórę i odmładzają cały organizm, te w niebie służą doskonaleniu charakteru. Każdy bywalec może wybrać basen z emocjami, w jakich chce się zanurzyć, pozwalając, by jego dusza hartowała się i okrzepła. W raju Daniel uczęszczał do łaźni codziennie i zawsze udawał się prosto do basenu z miłością, gdzie przy brzegu na specjalnych ławach tłoczyła się większość czekających na narodziny. Od czasu do czasu wrzucali

362

jednego spośród siebie na głębszą wodę. Daniel bardzo lubił te chwile w lepszym świecie, kiedy podczas długich jasnych nocy unosił się na plecach w ciepłym płynie, wcale się nie broniąc, gdy miłość zalewała mu oczy i uszy. Czasami dawał nurka w głębinę, wyobrażając sobie, że nikt nie zauważy jego nieobecności, i będzie mógł zostać na zawsze bezpieczny i szczęśliwy. Ale łaźiebni mieli za zadanie pilnować, by żaden z uczniów nie przebywał tam za długo. Wielkie czerwone napisy na ścianach informowały, że pozostawanie w wodzie dłużej może być niebezpieczne dla zdrowia, zwłaszcza tych, których przodkowie mieli kłopoty z sercem. Zawał w rodzinie albo złamane serce praktycznie były przeciwwskazaniem, ale mało kto się tym przejmował. Kiedy nadchodził ranek, trzeba ich było wyciągać siłą. Daniel nie raz szedł do szkoły cały pomarszczony, z nie wysuszonymi skrzydełkami. Którejś nocy, ledwie pojawił się w łaźni i zanurzył w przyjemnie ciepłym basenie, jeden z łaźiebnych, szczapowaty łysy mężczyzna imieniem Borys, podpłynął doń i zaczął go ciągnąć w stronę brzegu.

- Co ty wyprawiasz?! - oburzył się Daniel, znalazłszy się na zimnej glazurze. Nie minął nawet miesiąc, odkąd odkrył łaźnię, a już go stąd wyrzucają?

- Nie wolno przesiadywać wciąż w tym samym basenie

- pouczył go Borys zrędlawie. - Po to każdy ma inną temperaturę i zawiera inne emocje, żebyś przyzwyczaił się do każdych warunków, inaczej nie przetrwasz, kiedy już się urodzisz...

- No dobrze - zgodził się niechętnie Daniel - ale co z nimi? - ręką wskazał na dokazujących na płyciźnie kolegów. - Im nikt nie każe się stąd zabierać! - Użyłby dosadniejszych słów, ale w uszach wciąż miał kropelki ciepłej wody z basenu z miłością.

Borys rozejrzał się wokół, po raz pierwszy zauważając, że inni łaźiebni zamiast pilnować swych

podopiecznych, sami moczą nogi w wodzie.

- Tylko dlatego, że ich opiekunowie są głupcami

- szepnął do chłopca. - Chodź, pokażę ci, gdzie jeszcze powinienes wziąć kąpiel.

363

I nim Daniel się zorientował, już tkwił pod skrzydłem Borysa, który prznosił go do pustego pomieszczenia na samym końcu łaźni. Tam wypuścił go prosto do lodowato zimnej wody z nienawiścią. Daniel wrzasnął. Rozpaczliwie bijąc rękoma wodę chciał wydostać się na brzeg, ale Borys mu nie pozwalał, ba, wpychał go głębiej pod powierzchnię! Tysiące maleńkich igiełek kłuło mu skórę i docierało do samej duszy, a on krzyczał i krzyczał, lecz nie wzbudził tym miłosierdzia u łaźnienego. Zachryplł, wreszcie zamilkł zupełnie, czując, jak stopniowo ogarnia go martwota. Przemarznięty do szpiku przestał się ruszać i przestał czuć. Bezwładnie opadał na dno basenu. - No, wystarczy - uznał Borys.

Wyciągnął Daniela z lodu, przerzucił sobie przez ramię jak sztywny kloc drewna, milczący i obojętny, po czym przeszedł do pokoiku, w którym był mały, ale głęboki basen. Zamknął starannie drzwi, po czym pochylił się i pozwolił chłopcu ześlizgnąć się do chłodnej, spokojnej wody z żalem. Daniel po raz pierwszy od długiej chwili wreszcie coś poczuł. Chłodna woda wlewała mu się do nie wykształconego jeszcze w pełni nosa, oczu, uszu i ust, obmywała zmartwiałe kończyny. Próbował niemrawo nimi poruszać, żeby utrzymać się na powierzchni, ale niemal natychmiast poszedł jak kłoda na dno. Pomyślał, że w basenie z nienawiścią było lepiej, bo tam przynajmniej po początkowym bólu przestał cierpieć, podczas gdy tutaj jego ciało i dusza bez ustanku wystawione były na działanie przejmującego chłodu. Odzyskując panowanie nad członkami, zaczął walczyć z napierającym nań płynem, lecz im więcej się ruszał, tym głębiej przenikał go chłód i żal. Borys przyglądał się jego walce z pozoru beznamietnie, w rzeczywistości jednak wstrzymywał z napięcia oddech. Po czasie, który Danielowi wydawał się wiecznością, zlitował się nad nim i wy dobył na powietrze, mówiąc:

- Wielu ludzi uważa, że zdrowo jest przeskoczyć z lodowatej wody do ukropu, ale ja tego nie polecam. - Daniel miał w nosie dobre rady łaźnienego. Dygotał z zimna, wcale nie wstydząc się spływających mu po policzkach łez. - Moim zdaniem najlepiej rozgrzać się w parówce.

364

Daniel łkał, siedząc Borysowi na barana, gdy przemierzali długie korytarze łaźni, lecz kiedy znaleźli się w zaparowanym do granic pomieszczeniu, odetchnął z ulgą i nawet się rozchmurzył. Otaczała go para z przyjaźnią, ciepła, ale nie za bardzo - ot, w sam raz, by jego przemarznięte na wskroś ciało i dusza odtajały. Całkowicie odzyskał zdolność ruchu, oddychał pełną piersią rozkoszując się odświeżającą wilgocią, która przywracała mu chęć do życia. Kiedy poczuł na małżowinach usznych delikatne łaskotanie, roześmiał się dźwięcznie. Nadął się śmiał, gdy Borys niósł go na rękach do następnego pomieszczenia, w którym długi wąski basen przedzielono na dwie połowy: jedna zawierała wodę z požądaniem, druga - z pragnieniem. Zanurzony w części bliższej wejścia, Daniel poczuł tak niewyobrażalne gorąco, że groziło mu oparzenie. Jedyne ratunkiem była natychmiastowa ucieczka, niemniej jego ciało z wolna zaczęło się przyzwyczajać do ekstremalnie wysokiej temperatury, tak że już po chwili pływał w ukropie, zanurzał się w nim, a raz nawet odważył się otworzyć pod wodą oczy. I tu czekała go niespodzianka. Sól zaatakowała mu śluzówkę oczu, a za chwilę także ust, kiedy zaczął krzyczeć z bólu i parskać słoną wodą. Oślepiiony, z drętym językiem, powtarzał sobie, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko będzie trzymał oczy zamknięte i język za zębami, ale zło, które miało się dokonać, już się dokonało. W głowie mu się kręciło, lecz choć był zupełnie skołowany, zdołał bez niczyjej pomocy przedostać się do drugiej części basenu, równie gorącej, tyle że już nie atakującej jego zmysłów tak dotkliwie. Przeplukał oczy i usta, nawet napił się trochę, aż poczuł się zupełnie rozklejony. Gdyby nie interwencja Borysa, pewnie zostałby tam na zawsze, pozwalając, by pękło jego małe, słabo bijące serduszek, na szczęście łaźnieny zareagował na czas, odprowadzając chłopca do głównego basenu i pozwalając mu znów zanurzyć się w wodzie z miłością.

- Dobrze się czujesz? - zapytał podopiecznego na koniec, ale nie doczekał się odpowiedzi, gdyż Daniel zaniemówił z wrażenia.

Woda, którą wcześniej określał po prostu jako przyjemnie ciepłą, teraz wywołała w nim uczucie bliskie ekstazy, pieszcząc go

365

ze wszystkich stron i utrzymując na powierzchni, jak gdyby czyjaś ręka pod jego karkiem nie pozwalała mu zatonać. Później pozwolił się Borysowi wyłowić bez słowa protestu, gdyż ciepło miłości przeniknęło go na dobre, pozostając w głębi jego istoty i w sercu.

- No to teraz już rozumiesz, dlaczego ci to zrobiłem - oznajmił bardzo zadowolony z siebie Borys, zawijając Daniela w puszysty ręcznik. Chłopiec czuł tylko żylaste ramiona Borysa i dziwił się, że nie tęskni za ciepłem wody.

- Taak - rzekł rozmarzonym głosem Daniel.

Nagle jego spojrzenie padło na grupkę dokazujących kolegów. Nawet nie wiedzą... pomyślał.

- Kiedy się urodzisz - mówił dalej Borys, nie zauważając trzeźwiejącego wzroku chłopca - może cię spotkać każda z tych rzeczy, których przed chwilą doświadczyłeś, w dowolnej kolejności, w dowolnym momencie. Na ogół ludzie nie są na to przygotowani... - Daniel chciał popatrzeć mu w oczy, ale Borys odwrócił się od niego i spuścił głowę. Zamrugawszy parę razy, dokończył cichym głosem: - Mam nadzieję, że nic złego cię w życiu nie spotka, ale wołałem, żebyś wiedział, czego możesz się spodziewać.

Jednym z najbardziej ulubionych zajęć tych, którzy czekają na narodziny, jest sen. Nic dziwnego, skoro łóżeczka i hamaki w rajku zrobione są z muzyki. Gdy ktoś kładzie się spać na sprężystym niczym fanfara materacu, przykładą głowę do delikatnej etiudy i przykrywa się atlasową symfonią, do snu kołyszą go ballady, jakim nie sposób się oprzeć. Śniąc, przysłuchują się wszystkim tym dźwiękom, które kiedyś usłyszą na ziemi, i coraz mniej obawiają się opuścić raj. Ale niektórzy są zbyt pobudliwi, by dać ukołysać się cichym balladom, i ci w chwilach bezsenności oddają się jedzeniu. Daniel należał do tej drugiej grupy, toteż był częstym gościem w rajskich restauracjach, które również pełniły funkcję muzeów, gdzie codziennie podawano istne cuda kulinarne ze wszystkich zakątków obu światów. Menu tych miejsc przechodziło wszelkie wyobrażenie, można tam było znaleźć i akwarele, i arrasy, origami, pomniki i rzeźby - od tych najbardziej realistycznych

366

po najbardziej abstrakcyjne. Kustosze kelnerzy, mając za sobą bagaż życia na ziemi, zachęcają swych małych gości, by odżywiali się zdrowo i różnorodnie, lecz ci wołają zamawiać w kółko te same potrawy o kolorowo brzmiących nazwach i łatwym słodkim smaku. Opiekunowie pozwalają na to do czasu, lecz gdy widzą, że miarka się przebrała, że w brzuskach gości znika zbyt wiele nieoryginalnych pejzaży, martwych natur, portretów i aktów, wkraczają do akcji i namawiają, by spróbowali dla odmiany nieco surrealizmu, rysunku satyrycznego czy sztuki abstrakcyjnej, bo na ziemi nic nie jest takie, jakim się wydaje, i trzeba w sobie wyrobić umiejętność patrzenia, aby nie dać się zjeść w kaszy. Bez należytego przygotowania, powiadają, urodzicie się nie złaknieni nowych wrażeń estetycznych, wasze oczy nie będą tęsknić do nowej perspektywy i nowych wizji. Dlatego szefowie kuchni obmyślają misterne menu oferujące zarówno świeżuteńkie, jak i szlachetnie postarzałe prace rozmaitych artystów, słodko kwaśne rzeźby i subtelnie doprawione wyobrażenia, jednym słowem wszystko to, co czeka ich gości, gdy już przyjdą na świat. W nielicznych wypadkach odnoszą sukces i rozwijają u co odważniejszych gości zamiłowanie do piękna, ale w gruncie rzeczy o gustach się nie dyskutuje. Dla jednych więc piękny będzie tylko śmiały kobiecy akt, dla innych portret tajemniczo uśmiechającej się damy; ten zachwycił się będzie świetlistym pejzażem, inny znów niewyraźną męską postacią widzianą od tyłu... Tyle gustów, ile ludzi, rzec by można. Zapewne nie zabraknie i takich, dla których liczyć się będą tylko obrazy przedstawiane przez media jako niosące gorzką prawdę o życiu. Dobrze przynajmniej, że najmniej liczna jest grupa wrażeńiowych anorektyków, w stu procentach odmawiających kosztowania choćby i najśłodszych ze smaków. Dla tych kelnerzy donoszą na specjalnych półmiskach dania z

dziecięcymi malowankami, nieproporcjonalnymi ludzikami i uśmiechniętymi słoneczkami, byle tylko utrzymać ich przy życiu do czasu narodzin, a i tak rodzą się z powiekami ciasno zaciśniętymi i choć potem je rozwierają, przez całe życie widzą niewiele więcej niż ślepcy. Niestety nawet w lepszym świecie fotografowie mają silne lobby

367

- a „niestety” dlatego, że ich dzieła psują dusze tak, jak słodycze psują zęby. Mimo to oczekujący swych narodzin wrywają sobie z rąk to, co i tak wkrótce zobaczą na własne oczy: zdjęcia rodziców, krewnych, rodzeństwa, i zapychają się nimi do nieprzytomności, niejednokrotnie robiąc sobie krzywdę, gdyż niektóre z fotek są trudne do przełknięcia. Mamia obiecując słodycz wizerunku matki czy brata, a pozostawiają delikwenta z gorzkim posmakiem na języku. Zdarza się też i tak, że delikwent połyka w całości wizerunek przyszłej miłości, a w nocy zwija się z bóleści. Tak to już jest z deserem

- stanowi najgroźniejszą część posiłku, a mimo to jest pochłaniany bez umiaru.

Dla Daniela lepszy świat okazał się nieustającą ucztą. Jego głód nie słabł ani na chwilę, chłopiec gotów był eksperymentować i zamówić coś tylko dlatego, że kolega czy koleżanka przy sąsiednim stoliku mieli to na talerzu. Dosłownie pożerał wszystko, co w jakiegokolwiek formie przedstawiało ludzi i rzeczy, podniebienie miał wyrobione acz niewybredne i w przeciwieństwie do innych czerpał radość z każdej części posiłku

- począwszy od pożywnych olei, przez pełnoziarniste drewniane lub marmurowe posągi, a skończywszy na chrupkich lukrowanych komiksach. Kustosz kelner, który miał przyjemność go obsługiwać w jednym z muzeów -restauracji - wiecznie uśmiechnięty mężczyzna imieniem...

Daniel - z początku nie zwracał na niego większej uwagi, zajęty spełnianiem zachcianek tych, którzy zbytnią wagę przykładali do diety lub przekonań nie pozwalających im jeść tego czy owego i patrzeć na to czy tamto, ale z czasem dostrzegł nienasycenie swego imiennika i starał się tak manewrować, by obsługując jego stolik, przy okazji kształtować dobry smak chłopca.

Któregoś popołudnia mały Daniel złożył następujące zamówienie:

- Poproszę dwa płótna nenufarów i dwie odbitki z górą Fudzi w tle.

- Ależ jedno i drugie występują w większej liczbie!

- odparł były Daniel, zajrzawszy do menu. Zmarszczywszy brew, nachylił się konfidencjonalnie do stołownika i kładąc mu dłoń na ramieniu, szeptem dodał: - Nawiasem mówiąc,

368

i

jedne i drugie są lekko zwietrzałe. Czy mogę polecić ci coś świeższego?

- Na przykład co?

- Pozwól, że ci zaprezentuję... - rzucił za siebie, szybkim krokiem oddalając się w stronę kuchni magazynu. Chwilę później wrócił z małą akwarelką w rękę; przedstawiała ona kobietę zawieszoną nad miasteczkiem. - O, proszę...

Mały Daniel popatrzył i natychmiast zaczął się ślinić.

- Kto to namalował? - spytał z podnieceniem.

- Och, nie sądzę, by jej nazwisko ci coś powiedziało... Mimo to przyszły Daniel już wkładał do buzi cały obrazek,

smakując jego soczystość i intensywność. Potem nie miał nawet apetytu na deser.

Z każdym dniem stawał się bardziej otwarty na nowe propozycje. Jadał latające kozły, rozmazane plamy koloru, pokryte mgiełką szczyty gór, dobrze przyprawione miękkie zegary... cokolwiek duży Daniel zaproponował, przyszły był gotów spróbować na miejscu bądź zabrać na wynos. Nie odrzucało go nawet od sztuki nagrobnej, co było ewenementem na skalę raję, gdyż większość tam przebywających wolała unikać myśli o śmierci. Daniel także obawiał się, że połamie sobie zęby na suchych sarkofagach i twardych nagrobkach, a terakotowymi ozdobami w najlepszym razie się zakrzusi, ale wkrótce odkrył, że kryją one niepowtarzalny smak wieczności.

- Hmm... - chrząknął były Daniel, przyjmując zamówienie na malowidła naścienne z egipskiej



piramidy - to chyba rodzinne... - Niemniej kiedy następnym razem usłyszał o rzeźbach z grobowców cesarskich w Hue, odłożył kelnerski bloczek i kategorycznie odmówił przyniesienia stawy do stolika. Przyszły Daniel zatupał na to nóżkami, ale nie zdołał wymusić zmiany decyzji. - Sztuka nagrobna nie jest zdrowa w zbyt dużych ilościach, łatwo wtedy o zgaśnięcie serca. Pozwól, że wybiorę za ciebie... - Wkrótce na stole pojawiło się zatrzęsienie starodawnych rękopisów przyprawionych połączanymi literami sławiącymi imię Jedyne.

Przyszły Daniel pałaszował, aż mu się uszy trzęsły, mimo że nie wszelka stawa pochodziła z jego wyboru. Z czasem

369

wszakże zaczął podejrzewać, że kustosz kelner wmusza w niego najbardziej ekstremalne smaki, a poznał to po tym, iż w trakcie konsumpcji paliło go wielkie pragnienie. Ale kiedy poprosił o coś do picia, jego opiekun tylko się roześmiał. Odtąd chadzał ścieżkami raj, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, a z rzadka wypuszczał się w stronę gwiazd albo podchodził do drzewa poznania dobra i zła, licząc na orzeźwienie - nic z tego jednak! Gwiazdy były za gorące, a owoce utraciły gdzieś całą swą podszytą goryczą słodycz. Nawet parę łyków wody deszczowej skradzionej w magazynie burz nic mu nie pomogło, przysporzyło za to zmartwień, że jak będzie nieuważny, to spowoduje oberwanie chmury w świecie poniżej. Nie było już w niebie muzyki, która ukołysałaby go do snu, ani zakątka, gdzie czułby się dobrze: wszystko go nudziło i nie miał na nic ochoty, a do tego wciąż dawało mu się we znaki przeraźliwe pragnienie. Uznał, że najlepiej będzie, jak po prostu przeczeka czas pozostały do jego narodzin. I zapewne byłby tak zrobił, gdyby na trzy tygodnie przed swymi narodzinami nie znalazł wreszcie sposobu, by ugasić pragnienie.

Pobierający nauki i przygotowujący się do życia na ziemi, bez względu na płeć, pełnoletność osiągają w wieku dwudziestu jeden - dni oczywiście, nie lat - czyli na równe trzy tygodnie przed narodzinami. Wtedy stają przed nimi otworem wszystkie bary lepszego świata, w których mogą wedle życzenia pozostać stuprocentowo trzeźwi bądź tylko lekko się upić czy też, jak to często dzieje się w wypadku tych wyjątkowo przerażonych perspektywą przyjścia na świat, pić niemal do utraty przytomności. Napoje im podawane nie mają nic wspólnego z byle jakimi ziemskimi trunkami, są to bowiem najwytrawniejsze i najczystsze książki w butelkowanej postaci.

Piwniczki barów urządzone są na podobieństwo bibliotek, a ich obsługa używa katalogów, w których zamiast danych o winnicy, rodzaju i roczniku widnieją informacje o autorze, gatunku i dacie wydania. Książki przechowywane są z wielką pieczołowitością i tak samo podawane.

Większość należy spożywać w temperaturze pokojowej, niektóre można śmiało

370

wykorzystać do przyrządzenia grzańca z domieszką uczucia miłości, inne wędrują na stół w oszronionych kubelkach z lodem nienawiści albo tylko lekko schłodzone gniewem. Na ogół nie uderzają szybko do głowy, ale nieliczne tanie tytuły, których nie wypada pić w towarzystwie, wywołują wiele mówiący rumieniec podniecenia. Ostrożniejsi z bywalców uważnie czytają nalepkę, nim pozwolą otworzyć butelkę i nalać sobie do kieliszka, gdyż chcą w ten sposób sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie chce im zrobić głupiego kawału (któregoś razu podchmielony bibliotekarz barman przyniósł Danielowi karafkę zawierającą powieść pt. „Nora”, chociaż zamawiał on Torę!). Ci bardziej wyrobieni gestem ręki proszą najpierw o kapkę, by mogli sprawdzić bukiet i aromat (Fuj! parsknął kiedyś Daniel z obrzydzeniem, to przecież plagiat!). O wyborze głównie jednak decyduje gust - dobry albo zły - a resztę przesądza wytrzymałość głowy. Kontuar jest na ogół okupowany przez zwolenników gazet i czasopism, serwowanych w siermiężnych kuflach, a nawet o zgrozo! zwykłych ulotek reklamowych i - zwłaszcza ostatnimi czasy - internetowych blogów, których wieczka otwierają się z głośnym sykiem. Przy stolikach o lepianych się blatach siedzą niewybredni koneserzy sieczki, wychylający setkę za setką - im nie robi różnicy gatunek, przelkną wszystko, byle było mocne: kryminał, dreszczowiec, romans, cokolwiek co oderwie ich myśli od tego, co ich czeka, bez względu na ryzyko potężnego kaca. W głębi, w tak zwanych lożach, którym jakże daleko do tych teatralnych, przesiadują miłośnicy

koktajli złożonych z urywków zaczerpniętych wzorem „Reader's Digest” z różnych utworów - drinki te dają smakującemu ułudę czytania. Najbardziej spragnieni mijają ich wszystkich szybkim krokiem i przechodzą dalej, do prywatnej części baru, gdzie tak jak Daniel oddają się zgłębianiu starożytnych ksiąg, wierząc, że w nich znajdują to, czego nie znaleźli wcześniej podczas obfitych posiłków. Jest jeszcze jedna, ostatnia grupa - tych, którzy raz zajrzawszy do baru, są tak przerażeni wpływem, jaki opowieści wywierają na dusze, że czym prędzej stamtąd umykają, ślubując, że nie zamoczą ust w książkach. Ci rodzą się trzy tygodnie później bez krzyku i dochowując swego ślubu,

371

przez całe życie na ziemi nie przeczytają nic ponad program telewizyjny.

Daniel trafił do baru wkrótce po swych dwudziestych pierwszych przedurodzinach i niemal od razu natknął się na wytrawną barmankę imieniem Rosalie. To ona wprowadziła go do sali klubowej, dostrzegłszy, że zzieleniał na widok jednego z gości, który siedząc na wysokim stołku przy kontuarze zwracał zawartość właśnie pochłoniętego czytadła. Rosalie na pierwszy rzut oka poznała, że ma do czynienia z prawdziwym bibliofilem, chociaż Daniel nie miał o tym jeszcze pojęcia.

- Podać ci kartę win? - zapytała.

- Słucham? - chłopiec wciąż dochodził do siebie po wcześniejszych przeżyciach.

- Kartę - powtórzyła cierpliwie, sadowiąc się koło niego. Daniel natychmiast poczuł do niej sympatię. W odległy sposób przypominała mu łąziebno Borysa, a skoro tamten ostatecznie nie uczynił mu żadnej krzywdy... - Cieszę się, że do nas trafiłeś. Mamy najlepszy wybór win w tej części rajy...

- zachwalała rozwijając długi zwój. Daniel zmrużył oczy, by w przydymionym świetle odczytać pokaźną, imponującą listę nazw, które nic mu nie mówiły. Rosalie roześmiała się. - No nie, ty chyba jeszcze nigdy nie piłeś! - Chciał zaprzeczyć, nagle zawstydzony swym brakiem doświadczenia, ale wyczuł, że to na nic by się nie zdało. Barmanka czytała w nim jak w otwartej księdze. Poklepała go uspokajająco po skrzydełku i pochwycawszy jego spojrzenie, rzekła cicho: - Wiem, że masz ochotę na coś wyszukanego... Pozwól, że ci doradzę.

- Przejechała długim palcem w dół listy, aż zatrzymała się przy jakiejś pozycji, której i tak nie potrafił rozszyfrować.

- Co ty na to?

Nonszalancko wzruszył ramionami.

- Może być. - W tej samej chwili czające się wciąż na podniebieniu pragnienie objawiło się z nową siłą.

- Jedną chwileczkę! - zawołała Rosalie, odlatując w stronę piwniczki.

Parę chwil później - choć Daniel byłby przysiągł, że minęła cała wieczność, i między nimi mówiąc, całkiem możliwe, że miałby rację - Rosalie była już z powrotem.

372

- Proszę bardzo - podsunęła mu butelkę pod nos. Na nalepce widniały dwa słowa: Księga Rodzaju. Nie mając pojęcia, czego się spodziewać, Daniel skinął lekko głową, co Rosalie potraktowała jako akceptację i naląła mu nieco wina do kieliszka. - Tylko pamiętaj, pij powoli, rozkoszuj się smakiem. Większość ludzi popełnia ten błąd, że wypijają wszystko paroma haustami, przez co tracą całą przyjemność.

Daniel uniósł kieliszek do ust i ostrożnie upił łyk. Z początku trunk wydał mu się muląco słodki, jak niektóre z obrazów, które wcześniej widział, ot, ciemność, woda, światło, ziemia, słońce, księżyc, gwiazdy - jednym słowem nic nowego. Ale już moment później mdląca słodycz gdzieś zniknęła, a zastąpiła ją cała gama smaków; Daniel ledwie nadązał z ich rejestrowaniem, części nawet nie potrafili nazwać... Tuż zanim przełknął, w ustach wybuchł mu znajomy smak owocu z drzewa poznania dobra i zła, taki, jakim go zapamiętał z pierwszych dni pobytu w rajy.

- Mmmm... Bardzo dobre - powiedział pod nosem i sięgnął po otwartą butelkę, by sobie dolać.

- Tak - zgodziła się z nim Rosalie. Daniel przymknął oczy i przełykał w zamyśleniu. Przez jego gardło kolejno przewalała się wielka powódź, resztki wielkiej wieży, nawet jakiś mężczyzna

trzymający nóż przy szyi swego syna. Rosalie tymczasem mówiła, raczej do siebie niż do niego: - Zupełnie nie rozumiem, czemu niektórzy ludzie nie mogą znieść tego smaku i ledwie skosztują, plują i parskają!... - Daniel właśnie cichutko mlaskał, językiem rozcierając na podniebieniu ostry posmak zazdrości braterskiej. - A może spróbujesz jeszcze czegoś? Z tego samego rocznika, ale o zupełnie innym bukicie... - W tamtej chwili Daniel przypiął się do butelki i jak dziecko ssące pierś matki, którym w gruncie rzeczy niedługo miał się stać, poruszając zabawnie ustami śnił lekko pijane sny o jedenastu gwiazdach i snopach zboża. Smak kwaśnych winnych gron przeplatał się ze słodko gorzkim, kiedy niestrudzeni bracia walczyli ze sobą. - Wspaniale. Zaraz wracam! - Rosalie zamachała skrzydłami i już jej nie było. Tym razem wróciła z kilkoma butelkami, podtrzymując je brodą. Kolejno na stole ustawiała: - Księga Wyjścia, Księga Izajasza, Księga

373

Ezechiela... Uważaj na Koheleta, można przy nim popaść w depresję, ale mimo to warto choć liznąć. Jedz, pij i bądź szczęśliwy...

Daniel odstawił pustą już butelkę z Księgą Rodzaju i sięgnął po pierwszą z brzegu pełną. Sam wyciągnął korek, nalał sobie do kieliszka i przytknął go do wciąż spragnionych warg. Marność za marnością wypełniały mu usta, aż wszystko było marnością. Faktycznie smutas z tego Koheleta, pomyślał Daniel. Przemówiła wszakże do niego równowaga pomiędzy słodkim i gorzkim smakiem i słowa: Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: jest czas rodzenia i czas umierania, czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płasów. Osad na dnie był najcięższy do przełknięcia: pisaniu wielu ksiąg nie ma końca, a wiele nauki utrudzą ciało, toteż Daniel poczuwszy zmęczenie sięgnął po coś lżejszego, po Księgę Psalmów.

- Nalać ci? - spytała Rosalie.

- Lej szczerze, jak za dawnych czasów - kiwnął głową Daniel i czknął głośno.

Nim zdążył złapać Rosalie za rękę, jego kielich był już przeobfity.

W krótkim czasie Daniel stał się jednym z najwierniejszych gości baru, w którym pracowała Rosalie. Zdążyła już dobrze poznać jego gusta i zawczasu wiedziała, o jakie wina będzie prosił. Najczęściej zamawiał pewne fragmenty Talmudu traktujące o życiu przed narodzinami ze względu na ich kojący smak, ale nie stronił też od dzieł polecanych przez nią, a były to zazwyczaj dzieła spisane w językach żydowskich. Tak się bowiem złożyło, że pośród wszystkich bibliotekarzy barmanów właśnie ona posiadała w ziemskim życiu najszerszą o nich wiedzę - pozostali, nawet jeśli mienili się pozeraczami książek, ograniczali się do literatury spisanej w powszechniejszych językach, takich jak: angielski, rosyjski, francuski, hiszpański, niemiecki, arabski i chiński - toteż Daniel miał dzięki temu dział hebrajski i jidysz niemal wyłącznie do swojej dyspozycji, a trzeba mu przyznać, że gdy się już rozsmakował, porównać go można było wyłącznie do nałogowca, przez

cały

374

dzień nie myślącego o niczym innym, jak tylko o tym, by zaspokoić swój nałóg. W szkole siedział jak na szpilkach, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy pędem ruszy do baru, gdzie już czekała na niego Rosalie z kieliszkiem poezji na dobry początek i na koszt firmy.

W dni kiedy był mniejszy ruch, Rosalie dołączała do niego na dłużej i wtedy na ogół zagłębiali się w jedną albo nawet parę komedii z rzędu, tak że gdy przychodził czas na składanie ostatnich zamówień, Daniel był dosłownie pijany śmiechem i wypiwszy strzemiennego, wytaczał się wesoło z baru. Dla równowagi następnym razem czekały na niego już odkorkowane smukłe butelki zawierające tragedie i historie niespełnionej miłości, a Daniel pijąc je, płakał rzewnymi łzami. Większość opowieści łączyła w sobie smutek i radość, miłość i nienawiść, szczęście i nieszczęście i tych Daniel nigdy nie miał dość, zwłaszcza że Rosalie służyła mu nie tylko radą, ale i niemal naukowym komentarzem, tak pokierowując jego winną przygodą, że wychodził z niej zawsze światlejszy. Któregoś razu zaskoczyła go całkowicie, podając mu świeży, lekko owocowy wiersz Icyka Mangera.

Przystanąła Ewa przed jabłonki pnem,

Gdy zachodem płonęła nieba ćwierć.  
Ewo, pramatko nasza, co ty wiesz,  
Czy ty wiesz, czym jest śmierć?  
Zniknął Adam, gdy dnia nadszedł czas.  
Błądzi gdzieś po dziczy, samotnie.  
On to przecie rzekł: dziki jest nasz las,  
A piękne to, co nieznanne i ulotne.  
Lecz Ewa lęka się kniei wilgotnej.  
Wokół jabłoni krążą jej pragnienia.  
I nawet gdy zasypia z dala od niej,  
To w sennych ogląda ją marzeniach.

- To najlepszy przykład, jak łatwo jest coś źle zinterpretować - wyjaśniała Danielowi, w zamyśleniu sącząc wiersz

375

z małego miedzianego naczynka zawieszzonego na łańcuszku. - Większość ludzi czuje tu tylko sok jabłkowy i mówi: „Ach, to wiersz o seksie!” i nie mogliby się bardziej mylić. Mało kto rozumie, co naprawdę wydarzyło się w raju. Tam wcale nie chodziło o seks, tylko o śmierć. Zakazanym owocem nie była miłość cielesna, tej można dostać pod dostatkiem na każdym kroku, także na ziemi, ale nieśmiertelność.

- Hm... - mruknął niezobowiązująco Daniel. Wprawdzie filozofia i teologia były bardziej przystępne po jednym albo i paru głębszych, ale nigdy nie czuł się swobodnie w takich intelektualnych dyskursach. Aby przejaśnić sobie w głowie, upił łyk psalmów, po czym wybełkotał:

- Wierzę, iż będę oglądał dobra Pańskie w ziemi żyjących...

Głowa opadła mu na stolik, jeszcze chwila i chrapał. Rosalie roześmiała się dobrotliwie.

- Nie liczyłabym na to zbyt...

Biblioholizm Daniela zmienił jego nawyki żywieniowe; jak każdy nałogowiec utracił apetyt i jadł tylko wtedy, kiedy musiał - nie podchodziły mu nawet najbardziej wysublimowane dzieła sztuki, nagle miały w porównaniu z przebogatym smakiem ksiąg. Upijał się nimi do nieprzytomności, a potem nie bacząc na ryzyko udawał się do łaźni, aby zniwelować skutki wzbierającego kaca siarkową kąpielą samotności. Któregoś ranka, po nocy spędzonej na czytaniu wyjątkowo niepokojącej butelki zawierającej całe miasto umarłych, schronił się w zaciszu mało uczęszczanego basenu, gdzie jednak wypatrzyło go czujne oko Borysa. Łazienki uklękł na skraju zbiornika z mętną żółtawą wodą i zdzielił swego dawnego podopiecznego w głowę, krzyjąc:

- Daniel, co ty wyprawiasz? Natychmiast stamtąd wylaż! Wciąż pijany Daniel ledwie poczuł uderzenie.

- Co? Dlaczego? - mamrotał nieprzytomnie.

Borys nachylił się jeszcze bardziej, ryzykując, że zamoczy skrzydła, i cierpliwie tłumaczył:

- Bo jak tam jeszcze trochę posiedzisz, ten wstrętny zapach przylepi się do ciebie na dobre i gdy się urodzisz, nikt nie będzie się chciał z tobą zadawać.

376

Daniel potrząsnął tylko głową.

- Nie dbam o to - rzekł bezbarwnym głosem i zanurzył się aż po szyję.

- Co ty nie powiesz! - Borys sapnął ze złością. - Jesteś tak samo uparty jak twój wujek. No, a teraz wychodź stamtąd, ale to już!

Daniel ani drgnął. Chwilę potem został siłą wyciągnięty z przyjemnie ciepłej, acz smrodliwej wody i zaniesiony do sauny, gdzie Borys usadowił go na dębowej ławie tuż przy parowniku wypuszczającym białe kłęby ufności, zraszające się na skrzydełkach perłową warstwą zaufania.

Sam Borys usiadł nieopodal i marszcząc śmiesznie nos, rzucił w zaparowaną przestrzeń:

- Oho, już wszystko rozumiem. Piłeś Księgę Lamentacji! - Daniel poczerwieniał na twarzy, choć można było podejrzewać, że to z powodu wysokiej temperatury. - Może mi jeszcze powiesz, że to

Rosalie cię rozpiła, co?

Daniel zainteresował się wreszcie tym, co mówi Borys, chociaż niczemu się nie dziwił, gdyż wciąż kręciło mu się w głowie od wypitych nocą słów.

- To ty też znasz Rosalie? - zapytał rozmarzonym głosem.

Borys sarknął, ale pohamował się od kąśliwego komentarza.

- Uwierz mi, mały, że to niezdrowo tak wiele pić. Pamiętasz, jak na siłę wyciągnąłem cię z basenu z miłością? Zrobiłem to dla twojego dobra, żebyś nie urodził się uzależniony od miłości. Z książkami jest tak samo, bardzo łatwo się od nich uzależnić, a już najgorsze jest to, że rodzisz się potem bezbronny i spragniony rzeczy, które naprawdę nie istnieją...

Daniel zaczerpnął w płuca orzeźwiającej pary i westchnął przeciągle.

- Gdybyś tylko wiedział, jakie piękne są niektóre opowieści... - rzekł i dalej miarowo wdychał i wydychał zaufanie, leniwie się zastanawiając, czy to możliwe, że Borys także nielecho sobie kiedyś gołnął, jeszcze zanim się narodził i potem umarł, a zatem że wie, o czym mówi.

377

- Wiem tylko - Borys przerwał rozmyślenia Daniela

- że nie jesz jak należy.

- Bo wszystko utraciło dla mnie smak! - poskarżył się Daniel. - W porównaniu z książkami każdy obraz i zdjęcie wydają mi się bezwartościowe, bez różnicy, czy jest to abstrakcjonizm, surrealizm czy postmodernizm. Nic się tam nie dzieje! - ostatnie słowa wymówił przez łyżę.

- Czy ty zupełnie nic nie rozumiesz? - Borys starał się przekrzyczeć głośnie zawrodozenie przyszłego Daniela. - O to właśnie chodzi w sztuce wizualnej: to ty masz się jej przydarzyć! Naoglądawszy się tutaj krajobrazów i portretów, i rozmaitych abstrakcji, po urodzeniu będziesz do nich tęsknił i ich szukał, a kiedy już je znajdziesz, wypełnisz je sobą! Sztuka to tylko dekoracja albo postaci drugoplanowe... To ty jesteś głównym bohaterem i reżyserem!

Daniel nie przestawał szlochać.

- Ale czy w ogóle da się jeszcze wymyślić coś nowego?...

- odbiło mu się Koheletem - ...zmieniają się tylko ludzie, jedno pokolenie odchodzi, inne przychodzi, ale poza tym nic się nie zmienia, co było, zawsze będzie, nie ma nic nowego pod słońcem.

- To jednak nie oznacza, że nie musisz jeść!

Daniel na wzmiankę o jedzeniu poczuł, jak burczy mu w brzuchu, i żeby zagłuszyć ten odgłos, krzyknął:

- Ale to wszystko marność!

Borys objął Daniela skrzydłem i szepnął mu do ucha:

- A co powiesz na to? Poproś swego kustosza o coś pasującego do pitych przez ciebie książek.

- Sądzisz, że znajdzie się coś takiego? - spytał z nadzieją.

Borys skinął poważnie głową i nie wypuszczając Daniela z uścisku, przesunął się w stronę parownika.

- Sam się przekonaj!

Gdyby znajdowali się gdziekolwiek indziej, Daniel być może wyczułby pismo nosem, ale że miał nozdrza wypełnione głębokim zaufaniem, niczego się nie domyślał, widząc wszystko w różowych kolorach.

378

Tamtego wieczoru Daniel przekroczył próg muzeum-restauracji po raz pierwszy, odkąd wpadł w biblioholowy ciąg. Już w drzwiach ogarnęły go mdłości na widok wystawionych w galerii dań opatrzonych szumnym „Szeff kuchni poleca”, ale mając w pamięci słowa Borysa zaparł się w sobie i usiadł przy stoliku. Niemal natychmiast podszedł do niego z menu jego dawny kustosz imiennik. Mały Daniel od razu zabrał się do przeglądania menu, mając nadzieję, że znajdzie coś, co pobudzi jego apetyt. Dopiero po dłuższej chwili jego wzrok padł na nazwę, która przynajmniej nie wywołała w nim wstrętu, chociaż z trudem przyszło mu sobie wyobrazić, iż zdoła to przełknąć - nazwa

zapowiadała bowiem wielkie płótno przedstawiające parę czarno białych nowożeńców, nad którymi zawieszony był czerwony anioł; uwadze Daniela nie umknęła mała postać jemu podobna umieszczona na policzku panny młodej.

- Ja... - Daniel mówił do kustosza kelnera, nie patrząc mu w oczy - ja... piłem i...

- Sam się tego domyśliłem - uspokoił go były Daniel.

- Chodzi mi o to - rzekł już pewniej przyszedłszy Daniel - że piłem „Pieśń nad pieśniami” i nie wiem, czy to - wskazał pozycję w menu - będzie do tego pasować...

Duży Daniel zerknął najpierw na czerwonego anioła, a potem na poczerwieniałego podopiecznego.

- Może... - powiedział z wahaniem. - Ale ja polecałbym coś innego. Co powiesz na parę fotografii?

- Fotografii! - ryknął zawiedziony przyszedłszy Daniel, powstrzymując gwałtowną falę mdłości. - Niedobrze mi od nich!

- Ale te będą nie takie, jak myślisz - zapewnił szybko kelner. - To dania na specjalne zamówienie. Satisfakcja gwarantowana.

- Jak uważasz - rzekł przyszedłszy Daniel, z rezygnacją kładąc głowę na stole.

Kelner oddalił się pośpiesznie, by gość nie zdążył zmienić zdania, po czym wrócił niosąc wielki platerowany półmisek z dwiema fotografiami, których mały Daniel nigdy wcześniej nie widział.

Pierwsza ukazywała parę nowożeńców, wszakże ani trochę niepodobnych do tych z obrazu - na obrazie pan młody

379

wydawał się malutki i chyba o pół głowy niższy od oblubienicy, i miał drobne niespokojne ręce, podczas gdy mężczyzna na zdjęciu był ogromny, miał gigantyczną pierś i wielkie jak bochny dłonie, a do tego bujną rudą czuprynę. Oblubienica z fotografii zdawała się przezeń przytłoczona i nieco zdumiona tym, co się wokół niej dzieje - można to było poznać po szeroko otwartych, niemal czarnych oczach wyzierających spod ufryzowanej grzywki. Drugie podane Danielowi zdjęcie przedstawiało tę samą parę, a miejsce czerwonego anioła z obrazu zajmował chudy bladej mężczyzna o ciemnych włosach i w okularach. Nowożeńcy patrzyli wprost na niego, ale on spoglądał w dal, na osobę robiącą zdjęcie albo nawet na kogoś, kto stał za nią, kogoś być może niewidzialnego dla wszystkich z wyjątkiem niego. Daniel odważył się ugryźć kęs pierwszej fotografii i z ulgą stwierdził, że ma przyjemny, słodki smak. Pochłonął ją całą, rozkoszując się słodyczą i uczuciem sytości, którego doświadczył po raz pierwszy, odkąd trafił do baru, ale gdy tylko w jego przetyku zniknął ostatni fragment drugiego zdjęcia, z podwójną siłą dopadł go głód i poczucie samotności.

- Za mało, prawda? - zapytał ze smutkiem były Daniel.

- Yhm - przytaknął przyszedłszy Daniel, przetykając ostatnie kawałtko fotografii, które zaplątało mu się pod językiem.

- W takim razie może powinieneś zjeść coś pożywniejszego - zaproponował były Daniel, marszcząc brew. - Nie sztukę, ale prawdziwe, sycące jedzenie.

Czekający na swoje narodziny Daniel podniósł na opiekuna zdziwiony wzrok.

- Jak to? Co masz dokładnie na myśli?

- Prawdziwe jedzenie - wyjaśnił kustosze kelner. - Na przykład jakiś owoc.

Mały Daniel stracił całe zainteresowanie. Machnął ręką z lekceważeniem.

- Taa... owoc z drzewa poznania dobrego i złego... - roześmiał się paskudnie. - Mam tego po dziurki w nosie!

Były Daniel nachylił się do niego i szepnął:

- A co byś powiedział na owoc z drzewa życia?

380

Przyszłemu Danielowi ze zdumienia otworzyła się buzia. Wpatrywał się w kustosza kelnera, podejrzewając, że tamten zaraz wybuchnie śmiechem i powie, iż tylko żartował, chociaż jakąś częścią siebie, prawdopodobnie tą nasączoną parą zaufania, chciał wierzyć, że było inaczej. Drżał z podniecenia, kiedy zakrywając usta skrzydełkiem, by nie usłyszał ich kelner obsługujący sąsiedni

stolik, mówił:

- Ale nam przecież nie wolno...
- A kto tak powiedział?
- No... wszyscy nauczyciele nam tego zakazują...
- Dlaczego? - obłudnie zdziwił się były Daniel.

Jego rozmówca pomyślał, że może faktycznie opił się za dużo opowieści, zaraz wszakże przypomniał sobie słowa wychowawcy.

- Nie wolno nam i już... A poza tym to zbyt niebezpieczne... Tam jest jakieś połyskujące ostrze. Były Daniel roześmiał się z politowaniem.

- A cóż ci może zrobić jakieś głupie połyskujące ostrze? - spytał. - Przecież jeszcze się nie urodziłeś, a zatem nie żyjesz, a skoro nie żyjesz, to nie możesz umrzeć. Capisci? Chyba że się obawiasz, że twoja matka poroni...

Przyszły Daniel nigdy się nawet nie zastanawiał nad taką możliwością i teraz przeniknął go chłód. Jednakże były Daniel uśmiechał się do niego z pewnością siebie.

- Niepotrzebnie - podjął po chwili opiekun. - Możesz mi wierzyć, że z twojej matki to twarda sztuka.

On zna moją matkę? pomyślał przyszły Daniel, przestając cokolwiek rozumieć. Perspektywa zjedzenia owocu z drzewa życia nęciła go, ale zachował jeszcze resztki zdrowego rozsądku. Rozpaczliwie próbował wymigać się od ewentualnego ryzyka, nie tracąc przy tym twarzy.

- To strasznie daleko - wydukał wreszcie - aż w najdalszym wschodnim zakątku nicości. Nie zdążę tam dojść przed terminem narodzin, więc dajmy sobie lepiej spokój.

Ale wtedy właśnie były Daniel zamiast zrezygnować i odejść, usiadł naprzeciwko niego. Siedzieli tak przez długą, ciągnącą się w nieskończoność chwilę, która być może rzeczywiście była całą wiecznością, i patrzyli na siebie: Daniel, który

381

przeżył już swoje życie i umarł, i Daniel, który dopiero czekał na narodziny.

- A właśnie że zdążymy - oznajmił w końcu były Daniel. - Wybudowałem wygodną drogę, która tam prowadzi, do tego na skróty. - Przyszły Daniel wstrzymał oddech.

- No, chodź tam ze mną - kusił go dalej były Daniel.

- Niedługo się urodzisz i wtedy będziesz żałował straconej okazji...

Przyszły Daniel dostał nagłego zawrotu głowy. Komu ma wierzyć, komu ufać? Drzewo życia - to przecież nie przystoi, żeby on... Ale z drugiej strony, czy może przepuścić taką szansę? Ile mu w ogóle jeszcze zostało dni w niebie? Z nagłym przerażeniem uzmysłowił sobie, że odkąd zaczął pić, przestał liczyć! Z pewnością było to mniej niż dwadzieścia jeden dni, ale ile dokładnie?

Czternaście? Siedem? Podjął decyzję, kiedy przypomniał sobie jedną z pierwszych lekcji w niebiańskiej szkole: „Nie wolno zwlekać” - miał to nawet zapisane w zeszycie.

Skinął głową opiekunowi, ufnie podając mu rękę. Spacerkiem wyszli z muzeum, a potem szli, biegli i lecieli dniami i nocami, aż wreszcie znaleźli się w najodleglejszym zakątku lepszego świata.

- Wszyscy tutaj, budując drogi, do wykończenia używają bruku z dobrych chęci - narzekał były Daniel, kiedy unosili się w powietrzu mknąc na wskroś nieba. - Moim zdaniem takie drogi są do niczego, nigdy nie prowadzą tam, gdzie powinny... Dlatego moja droga zrobiona jest z pomyłek i błędów.

Przyszły Daniel spoglądał w dół, na wszelki wypadek starając się zapamiętać trasę, którą przemierzali. Najpierw mknęli główną szosą, rzeczywiście wybrukowaną dobrymi chęciami; ciągnęły się wzdłuż niej setki szkół, do których uczęszczali wszyscy czekający na narodziny w przeszłości i terażniejszości i gdzie mieli pobierać nauki ci skazani na życie w przyszłości. Gdy mijali internaty, ich uszu dochodziła niebiańska muzyka, przy łaźniach musieli zatykać sobie uszy, tyle tam było pisków i plusków, na szczęście muzea restauracje i biblioteki bary

382

rezonowały dostojną ciszą. Najlepiej jednak frunęło im się nad rozległym rajskim ogrodem. To tam

mały Daniel, czując rozchodzący się po jego ciele chłód, uświadomił sobie, jak mało czasu mu już zostało. Zaledwie za parę dni czekało go wykonanie wyroku urodzenia - miał zostać zrzucony z nieba na ziemię. Oczywiście nie napawało go to radością, ale przynajmniej mógł się pocieszać tym, iż dobrze wykorzystał swój pobyt tutaj, co więcej: dzięki zapobiegliwości opiekunów zrobi też lepszy użytek ze swego pobytu na ziemi - w przeciwieństwie do większości śmiertelników, którzy odżyją swoje i umrą. On miał pozostać nieśmiertelny! Czyż to nie o tym każdy marzy? Nawet Rosalie mówiła, że prawdziwym zakazanym owocem, a zatem najbardziej pożądanym przez wszystkich, jest nieśmiertelność! Zaraz, a może była to nieżyciowość? Co było zakazane, a co wrodzone? Przyszły Daniel poczuł kompletny zamęt w głowie.

Wreszcie, po trzech długich dniach i nocach, zadziwiająco przypominających wieczność, dobrnęli do kresu swej podróży

- osiągnęli najodleglejszy zakamarek nieba, gdzie wszystko się kończyło, a zaczynała nieprzenikniona ciemność... U stóp przyszłego Daniela ziała niezgłębiona czeluść, ciągnąca się w nieskończoność, z której wiatry wstępujące, istne podniebne cyklony, wywiewały pierzaste odpadki w postaci resztek skrzydeł, łez i żalów, a nawet - tak, przyszły Daniel po chwili nabrał pewności, że oczy go nie mylą - fragmenty poczerniałych kości. Nad tym wszystkim górował wąziutki mostek łączący miejsce, w którym się zatrzymali, z nieodgadnionym punktem w przestrzeni zasnutej przez mrok i pył.

- Jak widać, błędy to bardzo solidny materiał budulcowy

- mówił z dumą były Daniel. - Wielka szkoda, że większość ludzi pozbywa się ich zaraz po popełnieniu, nie zdając sobie sprawy, że można z nich zrobić użytek. Ci wszakże, którzy z namysłem pochyla się nad swymi pomyłkami, odnoszą olbrzymią korzyść... - Wyciągnął stopę do przodu i czubkami palców zbadał konstrukcję mostu. Lekkie postukiwanie rozległo się echem w czeluści poniżej i falami rozprzestrzeniło po całym wszechświecie. - Widzisz, utrzyma nas jak nic. Chodźmy już!

383

Jednakże przyszły Daniel cofnął się gwałtownie i z trudem przełykając ślinę, wyszczał:

- Wolałbym n... nie... Przecież możemy polecieć! Były Daniel roześmiał się chrapliwie.

- Żarty sobie stroisz? - Skrzydłem machnął w stronę przepaści. - Pod nami rozciąga się największy w całym kosmosie śmietnik, hulają tu takie wiatry z powodu składowanych nielegalnie ludzkich tragedii, że nie ma mowy o lataniu! Dlatego wybudowałem ten most! Trzymaj się dobrze błędów milowych, a nic ci się nie stanie! - Przyszły Daniel bardzo chciał uwierzyć swemu opiekunowi, tak jak czynił to wcześniej, lecz strach był silniejszy. Zamaszyste przeczące kręcenie głową rychło przeszło w ogólną drżączkę, która jeszcze się wzmogła, kiedy towarzyszący mu mężczyzna jakby nigdy nic ruszył przodem i opadłszy dla bezpieczeństwa na czworaki, już chwycił się pierwszych błędów milowych. Obejrzał się za siebie i zachęcająco machnął skrzydłem: - No, dawaj!

Najważniejsze to się nie bać!

Przyszły Daniel z przerażeniem obserwował, jak jego kompan pnie się po wybrzuszonym moście niczym po drabinie, powoli niknąc mu z oczu. Nie mając wyjścia podążył jego śladem, wbijając wzrok przed siebie w próbie ignorowania zawodzącego wiatru, który wzbijał wokół niego tumany piór, przeróżnego śmiecia i niewysłowionego bólu. Wkrótce odkrył, że duży Daniel miał rację. Choć błędy same w sobie były słabe jak nie narodzone dziecko i słusznie obawiał się im powierzyć swoje ciało, to podobnie jak w wypadku większości prawidłowo wzniesionych budowli ich siła tkwiła w przemyślnej konstrukcji - zwłaszcza w odpowiednim rozmieszczeniu podpór - najwięcej zaś zależało od użytkownika, który gdy tylko wykazywał właściwe podejście, mógł liczyć na pełne wsparcie. Budulcem były zarówno wielkie wojny i katastrofy, jak i pomniejsze defraudacje, uzależnienia i zdrady małżeńskie. Daniel pełną ostrożnie przez średniowieczne krucjaty, przy ostatniej zachwiał się i byłby runął w czeluść, ale cudem zdążył złapać się jakiegoś błędu milowego i już bez przeszkód dobrnął do katastrofy w Czarnobyli, która ku jego zdumieniu stanowiła solidne oparcie. W którymś momencie cały most

384



zachwiał się, kiedy nastąpiło wybrzuszenie w miejscu, gdzie pojawiało się załamanie rynku akcji, ale on był już za daleko od ostatniego skrawka nieba, by zawrócić. Nie spuszczał oczu z ledwie widocznej sylwetki opiekuna, nie zwracał uwagi na mijane większe i mniejsze katastrofy: uwolnienie izocyjanianu metylu nad Bhopalem w Indiach w 1984 roku, zajęcie Sudetów jesienią 1938 roku, wypadek samochodowy spowodowany przez pijanego kierowcę, parę nieudanych małżeństw, pierwszą wojnę światową... Widział, jak były Daniel brnie z mozołem przez teorię domina usprawiedliwiającą moralny indyferentyzm w dwudziestowiecznej polityce wielkich mocarstw, a potem zgrabnie przekracza Rubikon, jakby to był pierwszy lepszy ziemski strumyk. Chwilę później oczom przyszłego Daniela ukazało się drzewo życia.

Nie wyglądało ani trochę tak, jak się spodziewał. Nie porażało świetlistością liści, nie oszałamiało wonią kwiatów ani nie zachwycało świergotem ptaków. Nie było nawet opromienione słońcem. Prezentowało się mizernie i jakoś tak... ponuro. Wyrastało wprost z otchłani i nie dano się stwierdzić, w czym jest zakorzenione ani skąd czerpie siłę życiową jego chudy, poszarzały z wysiłku pień. Nie miało kwiatów, żaden ptak nie siedział na jego gałęzi i nie śpiewał, a słońce najwyraźniej o nim zapomniało albo wręcz go unikało. To, co określano szumnie mianem drzewa życia, składało się z paru rachitycznych gałęzi, zwieszających się do dołu jak u pospolitej wierzby płaczącej, na których powiewały pojedyncze i niezdrowo pożółkłe listki. Jedyny owoc, przejrząły i zbrązowiały, w dziwny sposób przywodzący na myśl stary zapomniany obraz z odrobiną bezbarwnego lakieru w dolnym rogu, kołysał się na zimnym wietrze przynoszącym woń zgnilizny i rozpadu.

- No i sam powiedz, czy nie można zważyć we wszystko, czego tutaj uczą? - zagaił były Daniel. - Miało się przy nim roić od ochrony, a tu co? Ani jednego cheruba o czterech twarzach... - urwał nagle, w tej samej chwili kiedy oczy ich obu poraziło oślepiające światło. To połyskujące ostrze sięgnęło ku szyi szydzącego. Uchylił się w ostatnim momencie,

385

na swoje szczęście. - Nienawidzę tego draństwa - sapnął, uśmiechając się słabo na użytek podopiecznego, który wszakże zauważył, że uśmiech jest wymuszony. No bo po co w takim razie zasłaniałby się skrzydłami? - Ale ty to zupełnie co innego, możesz śmiało brać owoc.

- Słucham? - wydukał przyszły Daniel. Jak to: brać? A co z ostrzem? - Mam go po prostu wziąć?

- Właśnie tak! - usłyszał w odpowiedzi. Wstrzymując oddech przyglądał się, jak połyskujące ostrze zatacza łuk w powietrzu, po czym śmiga mu nad głową, by zaraz cofnąć się lekko i gwałtownym ruchem znów ku niemu sięgnąć i wycofać się na pozycję tuż przy drzewie. Jeszcze parę chwil i przyszły Daniel wiedział, że ostrze porusza się w jednostajnym rytmie, który będąc w założeniu morderczy, był równie przewidywalny jak pluskanie fal w basenie z miłością. Wystarczyło więc rozgryźć ów przewidywalny wzór i potem, odliczając w głowie: raz, dwa, trzy, cztery, poruszać się tak, by ich drogi nigdy się nie przecięły.

W tym celu odsunął się na bezpieczną odległość i odczekał jeszcze parę cykli, wyginając ciało tak, jakby ostrze znajdowało się tuż przy nim. Miał wrażenie, że śmiercionośne ruchy skoordynowane są z biciem jego serca, z jego oddechem nawet. Wciągał zimne powietrze i przymykał oczy, by zapobiec oślepieniu, i kiedy wreszcie poczuł, że jest gotów - uchylił się jednym zwinnym ruchem, potem zrobił dwa błyskawiczne kroki, niemal przy tym wpadając do otchłani, wyciągnął rękę i nim zdążył pomyśleć: „Nieśmiertelność!”, zerwał owoc i znów stał na moście, a wszystko to szybciej niż w mgnieniu oka. Dyszał ciężko, nie mogąc uwierzyć, że mu się udało. Gdy poczuł, że wieczność za bardzo ciąży mu w dłoni, rozwarł zaciśniętą pięść i uważnie przyjrzał się skórcie owocu, lekko draśniętej przez ostrze i wydzielającej teraz pieniający się, aromatyczny sok. Westchnął przeciągle, przymknął oczy i przyłożył owoc do ust.

- Daniel!!

Odwrócili się obaj, równocześnie. U szczytu mostu widniała kobieca postać, jak torpeda mknąca w ich stronę przez opalizującą ciemność.

386

- Rosalie! - wykrzyknął były Daniel z uśmiechem. Niezadowolony, że mu się przeszkadza, przyszedł Daniel odsunął ciekący owoc od ust i pomyślał: A ci skąd się znają?

- Daniel! - Kobieta podfrunęła do niego i patrząc nań groźnie, rzekła: - Przecież ty masz się urodzić dzisiaj nocy!

To już dzisiaj? zdziwił się Daniel w duchu. Zerknął na wciąż wirujące połyskujące ostrze, na owoc trzymany w ręku i pomyślał: Ależ ja nie jestem jeszcze gotowy!

- Och, Rosie, to moja wina! - kajał się duży Daniel. - Zupełnie zapomniałem!

Rosalie wzruszyła ramionami.

- Akurat! Przywiodłeś go tu specjalnie!

- No cóż... Może masz rację... - Daniel wyszczerzył się w uśmiechu.

- Ale po co to zrobiłeś? - Ze złości aż wzięła się pod boki. - Po co mu pokazałeś to miejsce? Żeby przez całe życie pragnął czegoś, czego nigdy nie dostanie?

- A jeśli nawet, to co? Ty robisz mu to samo u siebie w barze! - rzucił były Daniel zapalczywie, w jego głosie nie wyczuwało się jednak pewności siebie.

Rosalie przyjrzała mu się uważnie, po czym szczerze zaskoczona wyjąkała:

- T... ty naprawdę chcesz, żeby on zjadł ten owoc i stał się nieśmiertelny!

Były Daniel milczał. Spoglądał to na Rosalie, to na przyszłego Daniela, który wyczuwał jego zakłopotanie po niepewnym furkotaniu skrzydeł. Rosalie wprost nie mogła uwierzyć, że jej podejrzenia są prawdziwe. Kiedy po długiej chwili znów przemówiła, głos jej się trząsł z oburzenia.

- Chcesz, by się urodził i nigdy nie umarł!!

Zapanowało niezręczne milczenie. Cała trójka przysłuchiwała się swoim myślom i wzbierającemu na sile huraganowi. Kilka uderzeń połyskującego ostrza później były Daniel wybuchnął:

- Dlaczego miałbym tego nie chcieć, co, Rosalie? Dlaczego przynajmniej on nie ma dostać tego, czego myśmy tak

387

bardzo pragnęli? Dlaczego jego dzieci mają być świadkami jego śmierci? Dlaczego...?

Rosalie odpowiedziała na wszystkie pytania za jednym zamachem.

- Dlatego, że życie ma sens tylko wtedy, gdy po nim następuje śmierć - szepnęła i wzięła na ręce zawstydzonego całym zajściem przyszłego Daniela. Czerpali ze swego uścisku ciepło, podczas gdy były Daniel trząsł się na szalejącej wichurze. - Widzisz, co narobiłeś? Prawie nie zostało już czasu, a przy takich wiatrach nigdy nie dolecimy na czas... - powiedziała, zadzierając głowę. Na firmamencie jedna po drugiej pokazywały się pierwsze gwiazdy. Rosalie przytuliła Daniela mocniej, po czym odstawiała go na skraj nieba, mówiąc: - Trzeba cię będzie wysłać stąd, trudna rada. - Zerknęła na byłego Daniela, który potaknął.

Przyszły Daniel stał i trząsł się, nie wiedząc, czy po grzbiecie chodzą mu zwykle ciarki zimna, strachu czy też może dotyka go czyjaś lodowata dłoń. Wykręcił szyję i stwierdził, że to skrzydła mu odpadają, zamieniając się na jego oczach w kupę wirującego na wietrze pierza. Wrzasnął z przerażenia i żalu.

Rosalie złapała go za rękę, w której wciąż ścisnął owoc życia, i uspokajającym tonem przemówiła:

- Posłuchaj mnie, Danielu... Ten cały tak zwany lepszy świat... - machnęła skrzydłem w stronę raju rozciągającego się gdzieś hen, za mostem - to zaledwie imitacja prawdziwego świata...

- Kopia - dodał wyjaśniająco były Daniel.

Przyszły Daniel przenosił wzrok z kustosza na bibliotekarkę i z powrotem, nic a nic nie rozumiejąc. O czym oni mówią? Jaka kopia? Pamiętał wszystko to, co z obrzydzeniem wypluwał w restauracji i barze - plagiaty i podróbki, niegodne jego podniebienia. No ale żeby twierdzić, że niebo również jest marną kopią?...

- Robimy, co możemy, żeby niebo przypominało prawdziwy świat, po to, abyście ty i twoi koledzy wiedzieli, czego oczekiwać po narodzinach... - tłumaczył tymczasem były Daniel zafasowany obrotem spraw. - Niemniej efektem naszych starań jest zaledwie odwzorowanie.

- Właśnie - przytaknęła Rosalie - a prawdziwy lepszy świat jest tam, na dole. Czeka na ciebie, byś go stworzył. Lepszy świat to twoja przyszłość, twoje życie.

Przyszłemu Danielowi kręciło się od tych rewelacji w głowie; nie wiedział, czy czuje się pijany czy chory z nadmiaru informacji. Poślizgnął się i byłby sam runął w dół, gdyby nie wyciągnięta na czas ręka Rosalie. Chwiejąc się na krawędzi dwóch światów spoglądał na dwoje ludzi, którzy odcisnęli największe piętno na jego dotychczasowym istnieniu, i na nieruchome mimo porywistego wiatru drzewo życia. Więc to tak? myślał. Tak kończy się raj? Czy też jak chcą tamci, w ogóle nie ma żadnego raju? Ale przecież musi być coś jeszcze... Nagle przypomniał sobie swój pierwszy dzień w szkole.

- A co z testem? - zapytał. - Wychowawca mówił coś o teście...

Były Daniel i Rosalie wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wybuchnęli śmiechem.

- Nie martw się, będzie test, i to niejedyn... - Rosalie zapewniła go, ocierając ręką łzy.

- Później? - zdziwił się przyszły Daniel.

- Tak - pokiwał głową kustosz. - Będziesz zdawał test w każdej minucie swego istnienia.

Rosalie sięgnęła pod skrzydło i wydobyla księgę, tym razem taką najprawdziwszą - z okładkami i mnóstwem kartek. Daniel natychmiast rozpoznał w niej dziennik ze szkoły. Znalazłszy stronę, której szukała, Rosalie odwróciła księgę w jego stronę i powiedziała:

- A teraz możesz albo zjeść ten owoc, albo udać się na dół i zapełnić tę stronę swymi uczynkami.

Przyszły Daniel popatrzył na białą pustą kartkę pod swoim nazwiskiem, przełknął ciężko ślinę i przeniósł wzrok na trzymany kurczowo owoc. Skórka była odcisnięta w miejscach, gdzie wbijał paznokcie, miąższ pulsował pod nią niebieskawą poświatą - wcale nie wydawał mu się już tak apetyczny jak wcześniej. Rozluźnił palce i upuścił owoc w przepaść.

Rosalie odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję - szepnęła.

A potem jego dziadek Daniel przyłożył mu palec do ust.

Spadając z krawędzi nieba na ziemię, widział dwoje nieznanym, kobietę i mężczyznę, odprowadzających go wzrokiem. Twarze mieli ściągnięte bólem, a z oczu tryskały im łzy. Mimo to nie słyszał ich płaczu - wokół zawodził wiatr, a jego zawodzenie bardzo przypominało śmiech wmalowany w ciemny firmament, śmiech przez łzy, śmiech tak donośny i zaraźliwy, że wkrótce on sam także śmiał się radośnie. Wykonał kilka wesołych obrotów wokół własnej osi, aż przyjął pozycję twarzą do ziemi, rozłożył szeroko ramiona i wciąż się śmiejąc i fikając koziółki, przyszedł na świat.

Już tam na niego wszyscy czekali.

## Od AUTORKI.

W czerwcu 2001 roku w Jewish Museum w Nowym Jorku odbył się wieczorek dla samotnych serc, podczas którego zniknął mały obraz Marka Chagalla zatytułowany „Szkic do «Nad Witebskiem»” pochodzący z roku 1914 i na potrzeby nowojorskiej wystawy wypożyczony z Galerii Trietiakowskiej w Moskwie. Został odnaleziony parę miesięcy później w małym urzędzie pocztowym w Topece w stanie Kansas, co poprzedził łańcuch nieprawdopodobnych wydarzeń, jakie - gdyby je przedstawić w książce - wzbudziłyby niewiarę czytelnika. Niniejsza powieść jest wytworem wyobraźni. Choć osnuta na kanwie wspomnianego wydarzenia, w najmniejszym stopniu nie odnosi się do faktycznej kradzieży ani też nie prezentuje rzeczywistych losów obrazu od momentu jego powstania aż po dzień zuchwałej kradzieży. Powieść w żadnym razie nie zawiera jakichkolwiek autentycznych informacji na temat osób powiązanych z galeriami i muzeami na terenie Rosji i Stanów Zjednoczonych.

Wszakże Marc Chagall na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku naprawdę mieszkał przez jakiś czas w podmoskiewskiej kolonii dla żydowskich sierot wojennych w Małachówce, gdzie dom znalazło wiele żydowskich dzieci osieroconych w trakcie pogromów, które przetoczyły się przez Związek Radziecki u jego zarania, po Wielkiej Rewolucji Październikowej. Malarz w swej autobiografii pt. „Moje życie” tak wspominał okres, kiedy prowadził w Małachówce zajęcia z plastyki:

391

Kolonie te liczyły około pięćdziesięciorga dzieci, sierot, wychowywanych przez nawiedzonych nauczycieli, którzy marzyli, żeby zastosować najlepsze i najbardziej nowoczesne systemy pedagogiczne.

Te dzieci były najniezwyklejszymi spośród sierot.

Wszystkie zostały wyrzucone na ulicę, były bite przez bandytów, przerażone błyskiem sztyletu, którym poderżnięto gardła ich rodzicom. Ogłuszone świstem kul i hukami rozbijanych szyb, dzieci słyszały jeszcze ostatnie modlitwy ojca i matki. Widziały, jak z dzikim okrucieństwem wyszarpywano brodę ojca, jak rozpruwano brzuchy ich sióstr, gwałconych w pośpiechu. [...]

I oto mam je przed sobą. [...]

Uczyłem sztuki tych małych nieszczęśników.

Na bosaka, w lekkich ubraniach, krzyczeli jeden przez drugiego: „Towarzyszu Chagall!...”

Tylko ich oczy nie chciały czy nie potrafiły się uśmiechnąć.

Lubiłem ich. Rysowali. Rzucali się na farby jak zwierzęta na mięso.

Jeden z chłopców był jakby w nieustannym transie tworzenia. Malował, komponował muzykę, układał wiersze.

Inny konstruował spokojnie swe dzieła niczym inżynier.

Przez Małachówkę przewinęło się wielu żydowskich twórców. Jednym z nich był Der Nister („Ukryty”), czyli Pinie Kahanowicz, który tak jak przedstawiłam to w swojej powieści, mieszkał na terenie kolonii w sąsiedztwie Chagalla i w późniejszych latach zginął w radzieckim obozie. Inni, także wymienieni w powieści z nazwiska, to poeci Dowid Hofszejn i Icyk Fefer, w 1952 roku skazani na śmierć pod zarzutem członkostwa w Żydowskim Komitecie Antyfaszystowskim. Marc Chagall mieszkając w Małachówce nie tylko uczył sieroty, ale także ilustrował zbiorki poezji i książeczki dla dzieci wszystkich wymienionych wyżej autorów, a ponadto stworzył dekorację moskiewskiego Teatru Żydowskiego, wówczas pozostającego pod zarządem Szlojmeja (Solomona) Michoelsa.

392

Ten ostatni wiele lat później stanął na czele wspomnianego Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego i w 1948 roku zginął zamordowany przez tajną milicję - jego śmierć upozorowano na tragiczny wypadek drogowy. Chagall opuścił Związek Radziecki w 1922 roku i jako jeden z bardzo nielicznych żydowskich artystów zmarł w podeszłym wieku i śmiercią naturalną. Czytelnicy zainteresowani kręgiem pisarzy żydowskich związanych z Chagallem mogą sięgnąć po pracę Benjamina Harshava pt. „Marc Chagall and His Times: A Documentary Narrative” (Stanford, California, Stanford University Press, 2004), jak również po którąkolwiek z licznych biografii malarza. Tym, których interesują losy Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego oraz jego członków, polecam pracę Joshuy Rubensteina i Vladimira P. Naumova pt. „Stalin's Secret Pogrom: The Postwar Inquisition of the Jewish Anti Fascist Committee” (New Haven, Yale University Press, 2001). Pisząc tę powieść korzystałam z obu wymienionych wyżej tytułów, jak również z zachowanych esejów i pamiętników Der Nistera, zapisanych częściowo w jidysz, rzadziej w języku hebrajskim, a dostarczających obfitych informacji na temat jego życia i działalności twórczej - w tym między innymi szczegółów o jego spotkaniu z Percem i jego reakcji na własne aresztowanie. Niestety istnieje bardzo mało źródeł w języku angielskim, które traktowałyby o Pinie Kahanowiczu, a te z jego opowiadań, które doczekały się przetłumaczenia na język angielski, rozrzucone są po rozmaitych antologiach. Wszelako dzieło jego życia, nieukończona powieść pt.

„Kryzys rodzinny” (jid. Di miszpoche maszber) lub „Rodzina Maszberów” (jid. Di miszpoche Maszber), jest dostępne w tłumaczeniu na angielski (New York, Summit Books, 1987) pod tytułem „The Family Mashber” (maszber to nazwisko rodziny głównych bohaterów, a zarazem hebrajskie słowo znaczące „kryzys”); autorem przekładu jest Leonard Wolf, który we wstępie pokusił się o obszerny esej na temat życia i twórczości Der Nistera.

Jidysz to znany przynajmniej od milenium język (nie dialekt!), do którego zapisu używa się alfabetu hebrajskiego. W oryginale niniejszej powieści zastosowano transliterację według zaleceń YIVO (Yiddish Scholarly Institute), polegającą

393

na fonetycznym odwzorowaniu dźwięków za pomocą alfabetu łacińskiego. Samogłoski wymawia się następująco: a - a, e - e, i - i, o - o, u - u, ey - ej, ay - aj. Spółgłoskę zapisywaną kh wymawia się k. W tym zapisie nie funkcjonują samogłoski nieme, dlatego na przykład imię Rejzele składa się z trzech sylab zarówno w piśmie, jak i w mowie\*.

[\* W przekładzie zastosowano transliterację zgodną z zasadami przyjętymi przez autorów „Polskiego słownika judaistycznego” (Warszawa 2003) opracowanego w Żydowskim Instytucie Historycznym, polegającą na fonetycznym odwzorowaniu dźwięków za pomocą alfabetu łacińskiego. Samogłoski wymawia się następująco: a - a (aj), e - e (ej), i - i, o - o, u - u (przyp. wydawcy polskiego)].

Poniżej przedstawiam listę źródeł żydowskich, z których zaczerpnęłam opowieści Rosalie Zyskind oraz inne utwory literackie bądź ich fragmenty, jakie znalazły się w niniejszej książce. Zarówno przekład, jak i ewentualne skróty są mojego autorstwa.

Rozdział 2. Adaptacja „Gekept” Der Nistera; dostępne w przekładzie na język angielski („Beheaded”) w: „No Star Too Beautiful”, pod red. Joachima Neugroschela (New York, W. W. Norton, 2002).

Rozdział 3. Adaptacja „Farszlofn a weltuntergang” Mojszego Nadira; dostępne w przekładzie na język angielski pt. „The Man Who Slept Through the End of the World” w: „A Treasury of Yiddish Stories”, pod red. Irvinga Howe’a i Eliezer Greenberg (New York, Penguin, 1953, 1990).

Rozdział 4. Wyimek z „Jingł Cingł Chwat” Mani Lejba; dostępne w przekładzie na język angielski („Young Tongue Scamp”) w: „Little Stories for Little Children”, pod red. Miriam Margolin, w tłum. Jeffreya Shandlera (Mt. Kisco, New York, Moyer Bell Ltd., 1986).

Rozdział 7. Adaptacja „Di tojte sztot” Icchoka Lejba Pereca; dostępne w przekładzie na język angielski („The Dead Town”) w: „The I. L. Peretz Reader”, pod red. Ruth Wisse

394

(New York, Schocken, 1990). Piosenka zaczerpnięta z „Rejzele” Mordechaja Gebirtiga; słowa w przekładzie na język angielski oraz muzyka dostępne w: „Mordechai Gebirtig: His Poetic and Musical Legacy”, pod red. Gertrudę Schneider (Westport, CT, Praeger, 2000).

Rozdział 8. Sny na jawie Der Nistera zaczerpnięte z kilku jego symbolicznych opowiadań, w tym: „In wajn keler”, „Fun majne giter” oraz „Hinter a plojt”; dostępne w przekładzie na język angielski („From My Estates” oraz „Behind a Fence”) w: „Great Tales of Jewish Fantasy and the Occult”, pod red. i w tłum. Joachima Neugroschela (1976, New York, Overlook, 1987), „Anthology of Modern Yiddish Literature”, pod red. Josepha Leftwicha (The Hague, Mouton, 1974), oraz „A Treasury of Yiddish Stories”, pod red. Irvinga Howe’a i Eliezer Greenberg (New York, Penguin, 1953, 1990).

Rozdział 9. Adaptacja „Majse mit di zibn betlers”, nieukończonego dzieła Nachmana z Braclawia; dostępne w przekładzie na język angielski („Tale of the Seven Beggars”) w: „Nahman of Bratslav: The Tales”, pod red. Arnolda Banda (New York, Paulist Press, 1978).

Rozdział 11. Adaptacja „Ojlem Habe” Szolema Alejchema; dostępne w przekładzie na język angielski pt. „Eternal Life” w: „The Best of Sholom Aleichem”, pod red. Irvinga Howe’a i Ruth Wisse (Washington, New Republic Books, 1979).

Rozdział 16. Adaptacja pierwszego rozdziału „Dos buch fun Ganejdn” (pt. „Mój ostatni dzień w raju”) Icyka Mangera; dostępne w przekładzie na język angielski w: „The Book of Paradise: The

Wonderful Adventures of Shmuel Aba Abervo", w tłum. Leonarda Wolfa (New York, Hill and Wang, 1965, 1986)\*.

[\* Jest też polski przekład: Icyk Manger, „Księga rajy czyli Przedziwne żywota opisanie Szmula Aby Aberwo", w tłum. Michała Friedmana, Warszawa 1988 (przyp. wydawcy polskiego)].

395

Rozdział 19. Fragment „Chawe un der epelbojm" Icyka Mangera; dostępne w przekładzie na język angielski („Eve and the Apple Tree") w: „The World According to Itzik", pod red. Leonarda Wolfa (New Haven, Yale University Press, 2002).

## PODZIĘKOWANIA.

Wyrazy wdzięczności pragnę złożyć przede wszystkim tym, dzięki którym poznałam jidysz - Davidowi Braunowi, mojemu nauczycielowi języka, oraz Ruth Wisse, mej przewodniczkę po literaturze - za to, że nieświadomie natchnęli mnie do napisania tej powieści. (Wszystkie błędy gramatyczne i nieudane tłumaczenie biorę na siebie.)

Przystąpiwszy do pracy nad tą książką, nieraz odwoływałam się do rady nauczyciela wielu pokoleń mojej rodziny - niezastąpionego doktora Nathana Wintera, którego zamiłowanie do studiowania Tory, obrządku oraz spełniania dobrych uczynków z pewnością zapewni mu miejsce w lepszym świecie, mimo że wszystkie jego dokonania pozostają jak najbardziej na tym świecie. Niech jego pamięć będzie błogosławiona.

Dziękuję także Gary'emu Morrisowi i Alanę Salierno Mason - agentowi i redaktorce, jakich każdy autor by sobie życzył. Oboje znajdowali czas dla mnie i powstającej książki, mimo że właśnie powiększały się ich rodziny. Jestem wam bardzo wdzięczna!

Najwięcej zawdzięczam oczywiście swoim Rodzicom, Susan i Matthew Hornom, którzy nie ustają w wysiłkach, by uczulać mnie na cuda tego świata. Mojej Mamie należą się specjalne podziękowania za wytrwałość i uważną lekturę, a memu mężowi Brendanowi Schulmanowi za cierpliwość, uczciwość i optymizm oraz nieustającą wiarę we mnie i w tę

397

książkę na wszystkich etapach jej powstawania. (Przepraszam, że nie wykorzystałam proponowanego przez Ciebie tytułu: „Nieposkromiony Chagall".)

Książkę dedykuję swemu wyjątkowemu rodzeństwu: Jordanie (pisarce od zawsze i matce od niedawna), Zachary'emu (reżyserowi filmów animowanych, który specjalnie dla mnie zrealizował animację żydowskiej opowieści) oraz Ariel (gorąco polecam jej pierwszą książkę pt. „Help Wanted, Desperately"). Jesteście nie tylko najbliższymi mi ludźmi, ale także przyjaciółmi po piórze i współnikami artystycznej zbrodni - we wszystkich możliwych światach!